

Brown Sandra

Francuski jedwab

Piękna rudowłosa Claire Laurent, właściciela firmy Francuski Jedwab, projektującej i szyjącej oryginalną, seksowną damską bieliznę, jest podejrzana o morderstwo. Jego ofiarą padł fanatyczny kaznodzieja, zwalczający wszelkie przejawy erotyzmu w życiu publicznym.

Prowadzący śledztwo młody asystent prokuratora okręgowego poważnie traktuje swoje obowiązki, mimo to między nim a Claire nawiązuje się sympatia, która przekształca się w gorące uczucie. Kiedy wreszcie znaleziono zabójcę, nieoczekiwanie przyznaje się do popełnienia zbrodni dotychczasowa podejrzana. Czy jednak kochający mężczyzna uwierzy w jej winę?

Prolog

Niebieska sójka przysiadła na stopie figury nagiego cherubina. Zbyt próżna, by pluskać się w towarzystwie mniejszego od niej beztroskiego wróbla, wypila łyk wody i odfrunęła. Mogło się wydawać, że nie odpowiada jej spokój tego miejsca, otoczonego starym murem z czerwonej cegły, pokrytego pnączami kwitnącej glicynii. Wśród delikatnych pastelowych kwiatów uwijały się pracowite trzmiele. Po rannym deszczu kosze z paprocią nadal ociekały wilgocią. Na woskowatych liściach filodendronów i krzewach kamelii połyskiwały w jasnym słońcu deszczowe krople.

- Tak więc Rapunzel rozpuściła swoje piękne złociste włosy, a książę użył ich, by wspiąć się po ścianie stromej kamiennej wieży.

Claire Laurent, która przez cały czas słuchała z uwagą, spojrzała na matkę sceptycznie.

- Ale czy to nie bolało, mamo?

- Nie, ponieważ to wszystko działo się w bajce, kochanie.

- Szkoda, że ja nie mam długich złocistych włosów. - Dziewczynka westchnęła z żalem.

Mary Catherine pogładziła swoją pięcioletnią córkę po rdzawych lokach.

- Twoje włosy są zbyt śliczne, żeby opisać je słowami. Spokojna atmosfera podwórza została nagle zakłócona.

Przez oszklone drzwi wyszła z domu wyraźnie zdenerwowana ciotka Laurel.

- Mary Catherine, oni znowu są tutaj! Tym razem mają ze sobą jakiś dokument, który daje im prawo odebrania nam Claire.

Mary Catherine spojrzała na ciotkę jakby nie rozumiejąc.

- Kto przyszedł?

Claire jednak wiedziała. Pamiętała tego strasznego mężczyznę w czarnym ubraniu, który pachniał wodą lawendową i brylantyną. Już dwa razy przychodził do ich domu, wypełniając salonik ciotki Laurel agresywnym zapachem.

Towarzyszyła mu zawsze kobieta z dużą skórzaną torbą na ramieniu. Rozmawiali

z ciotką Laurel i Mary Catherine o Claire, jakby w ogóle nie zauważali jej obecności.

Claire nie rozumiała jeszcze wszystkich słów, ale wyczuwała charakter rozmów. Po każdej z wizyt na twarzy ciotki długo malowało się przerażenie, lecz najbardziej cierpiała matka. Ostatnim razem przez trzy dni leżała w łóżku, płacząc nieustannie. I o był jeden z najgorszych napadów jej choroby.

Claire czym prędzej schowała się za metalowe krzesło, na którym siedziała mama. Pragnęła stać się jeszcze mniejsza i niewidzialna. Ze strachu coś ścisnęło ją za gardło, a serce zaczęło kołatać w drobnej piersi.

- O Boże, o Boże! – Ciotce Laurel trzesła się broda. W pulchnych dłoniach mięła nerwowo chusteczkę do nosa - Nie wiem, co mam robić. Mary Catherine, co ja mam zrobić? Oni mówią, że teraz mogą nam ją zabrać.

Mężczyzna pojawił się pierwszy. Sokolim okiem omiół władczym podwórze. Zachowywał się tak samo bezceremonialnie jak niebieska sojka, która zawitała tutaj wcześniej. W końcu utkwiał wzrok w pięknej młodej kobiecie siedzącej nieruchomo niby żywy portret na malowniczym tle.

- Dzień dobry, panno Laurent - powiedział

Z miejsca za plecami matki Claire dostrzegła jego uśmiech. Ten uśmiech jej się nie podobał. Był sztuczny jak na karnawałowej masce Mimo że byli na świeżym powietrzu, wyczuła mdlący, słodkawy zapach lawendy.

Słowa ciotki Laurel obudziły w niej niepokój. Chcieli ją zabrać. Ale dokąd? Przecież nie mogła zostawić swojej mamy. Kto zatroszczy się o mamę, kiedy ją zabiorą? Kto będzie gładził ją po plecach i śpiewał piosenkę, kiedy będzie smutna? Kto pobiegnie za mamą, gdy wymknie się z domu podczas jednego z ataków choroby?

- Nie możesz dłużej opiekować się swoją córką - kobieta w brzydkiej szarej sukience zwróciła się do Mary Catherine. Mówiła szorstkim, nieprzyjemnym tonem. Jej lewe ramię ugięło się pod ciężarem skórzanej torby. - To nie jest właściwe środowisko dla twojego dziecka. Wiesz o tym, prawda?

Szczupła dłoń Mary Catherine powędrowała do piersi ku sznurowi pereł otaczających koronkowy kołnierzyk.

- Nic z tego nie rozumiem. To wszystko jest jakieś zagmatwane.

Nieproszeni goście wymienili znaczące spojrzenia. Mężczyzna powiedział w końcu:

- Proszę się nie martwić, panno Laurent. Zatroszczymy się o

pani małą córeczkę. - Skinął głową na towarzyszkę, która obeszła krzesło i schwyciła Claire za ramię.

- Nie! - Dziewczynka wyszarpnęła się z uścisku gorącej, wilgotnej od potu dłoni i odbiegła kilka kroków. - Nie chcę z wami iść. Chcę zostać z moją mamą.

- No, chodź, Claire. - Kobieta zdobyła się na fałszywie pieszczotliwy ton i uśmiechnęła się niewyraźnie. - Chcielibyśmy zabrać cię do takiego domu, gdzie mieszka dużo dzieci, z którymi będziesz mogła się bawić. Na pewno cię polubią. Obiecuję.

Claire nie wierzyła jej. Kobieta miała ostry nos i oczy szczura, który przemyka wśród cuchnących odpadków wąskimi uliczkami miasta. Nie była miła ani łagodna, nie pachniała ładnie i choć starała się mówić uprzejmie, jej głosowi brakowało melo-dyjności głosu mamy.

- Nie chcę nigdzie iść - oświadczyła dziewczynka z uporem. - Bez mamy nigdzie nie pójde.

- Obawiam się, że będziesz musiała.

Kobieta jeszcze raz chwyciła Claire. Tym razem na tyle mocno, że próby wyswobodzenia się nie przyniosły rezultatu.

- Nie! Nie! - Paznokcie kobiety wpiły się w jej ramię, przecinając skórę. - Puść mnie! Zostaję z mamą i ciocią Laurel. Krzycząc wykręcała się, kopała, uderzała na oślep ramionami, zapierała się ze wszystkich sił. Bez skutku'. Kobieta ciągnęła ją bezlitośnie.

Tymczasem ciotka Laurel, odzyskawszy panowanie nad sobą, próbowała tłumaczyć mężczyźnie okrucieństwo rozdzielania dziecka i matki.

- Mary Catherine cierpi na ataki melancholii, ale któż na nie nie cierpi? Ona po prostu odczuwa to głębiej i silniej. Jest wspaniałą matką. Claire uwielbia ją. Zapewniam pana: ona jest zupełnie nieszkodliwa.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na argumenty ciotki Laurel, kobieta wciągnęła Claire przez oszklone drzwi do kuchni. Dziewczynka obejrzała się i zobaczyła swoją matkę nadal siedzącą spokojnie w promieniach słońca.

- Mamo! - krzyknęła. - Mamo, nie pozwól im mnie zabrać.

- Przestań się wydzierać! - Kobieta potrząsnęła Claire tak mocno, że ta przygryzła sobie język i krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem. Tym razem z bólu.

Przeraźliwe wołanie wyrwało wreszcie Mary Catherine z odrętwienia, uświadamiając jej, że córka znalazła się w niebezpieczeństwie. Zerwała się gwałtownie z krzesła, które runęło

z hałasem. Podbiegła do kuchennych drzwi. Prawie ich dosięgała, gdy mężczyzna zacisnął dłoń na jej ramieniu.

- Niestety teraz już nic pani nie może zrobić, aby nas powstrzymać, panno Laurent. Jesteśmy upoważnieni do tego, aby zabrać stąd pani córkę.

- Wcześniej cię zabiję. - Mary Catherine chwyciła ze stolika na patio wazon i uniosła go nad głowę prześladowcy. Twardy kryształ rozciął skórę na skroni pracownika opieki społecznej na długość kilku centymetrów. Upuszczony wazon rozbił się o cegły, którymi wyłożone było patio. Woda zmoczyła czarne ubranie mężczyzny. Róże rozsypały się wokół ich stóp.

Mężczyzna wrzasnął z bólu i złości.

- Zupełnie nieszkodliwa! - krzyknął prosto w twarz ciotki Laurel, która nadbiegła, by powstrzymać Mary Catherine. Z ustami pełnymi krwi sączącej się z rozciętego języka Claire nie przestawała walczyć z kobietą, która brutalnie wlokła ją przez pokoje. Za nimi, chusteczką do nosa tamując krew płynącą ze skroni, stapał ciężko mężczyzna.

Próbując sobie ulżyć, cały czas przeklinał.

Claire, dopóki mogła, starała się nie spuścić z oczu matki, unieruchomionej w ramionach ciotki Laurel. Twarz Mary Catherine wyrażała udrekę. Dłonie błagalnie wyciągała ku córce.

- Claire! Claire! Moja maleńka dziewczynko!

- Mamo! Mamo! Mamo!

Claire gwałtownie usiadła w swoim szerokim łóżku. Dyszała ciężko, z trudem chwytając oddech. Miała spieczone wargi. Od bezgłośnego krzyku we śnie piekło ją w gardle. Nocna koszula kleiła się do spoconej skóry.

Odrzuciła pościel, podciągnęła kolana, oparła się na nich czołem. Siedziała w tej pozycji tak długo, aż zniknęły wszystkie ślady koszmaru, a demony pamięci uciszyły się.

W końcu wyszła z łóżka i pomaszerowała przez hall do pokoju matki. Mary Catherine spała. Uspokojona Claire naląła sobie w łazience szklankę wody i wróciła do swojej sypialni. Włożyła świeżą koszulę nocną i zanim znowu położyła się do łóżka, poprawiła pościel. Wiedziała, że teraz sen nie powróci szybko.

Ostatnio często nachodziły ją złe sny, ożywiając najgorsze wspomnienia dzieciństwa. Przyczyna tych snów nie była dla niej tajemnicą. Claire знаła źródło swoich lęków. Znowu pojawiła się ta sama co dawniej diabelska siła, zagrażając spokojowi i bezpieczeństwu, które osiągnęła z takim trudem po latach wysiłków.

A już zaczęła przyzwyczajać się do myśli, że na dobre będzie mogła zapomnieć o tamtych ciężkich chwilach swojego życia. Jednak za sprawą ponurego natręta odżyły przykre uczucia. To właśnie on stanowił zagrożenie dla wszystkiego, co kochała. On siał spustoszenie w jej życiu. Jeżeli nie podejmie radykalnych kroków, by zmienić bieg wydarzeń, cała jej przyszłość legnie w gruzach.

Rozdział I

Wielebny Jackson Wilde został trafiony trzykrotnie: w głowę, w serce i jądra. Cassidy uznał, że ten szczegół ma istotne znaczenie.

- Piekielny bałagan.

Uwaga inspektora medycznego zabrzmiała zbyt delikatnie -pomyślał Cassidy. Przypuszczał, że morderca posłużył się rewolwerem kalibru 9,65, z którego wystrzelił z bardzo bliskiej odległości. Sprawca użył wklęsłych pocisków, prawdopodobnie chcąc mieć pewność, że ofiara nie będzie miała szans na przeżycie. Ściana nad łóżkiem i prześcieradła były poplamione fragmentami ludzkiej tkanki. Materac nasiąknął krwią, która spłynęła w zagłębienie pod ciałem. Widok był dość przerażający, ale Cassidy spotykał w swojej karierze znacznie gorsze przypadki. Najciekawsza jednak w tym morderstwie była osoba ofiary. Cassidy dowiedział się o morderstwie z komunikatu radiowego, gdy podczas porannego szczytu z żółwią prędkością jechał samochodem do biura. Natychmiast wykonał nieprawidłowy manewr zawracania i podążył na miejsce zdarzenia, choć wcale nie było to jego obowiązkiem. Policjanci broniący dostępu do hotelu „Fairmont” rozpoznali go i wpuścili do środka, uznając za oczywiste, że Cassidy reprezentuje urząd prokuratora okręgowego. Nikogo też nie zdziwiła jego obecność na siódmym piętrze w apartamencie „San Louis”, gdzie wprost roilo się od członków ekipy dochodzeniowej, którzy w swojej gorliwości zbierania śladów zapewne zniszczyli większość z nich.

Cassidy podszedł do inspektora medycznego.

- Co o tym sądzisz, Elvie?

Doktor Elvira Dupuis była postawną srebrnowłosą i dość powabną kobietą. Jej życie seksualne ustawicznie rozbudzało emocje plotkarskiego światka, ale w istocie żaden z dostarczycieli rewelacji o niej nie mógł poszczycić się bezpośrednim doświadczeniem. Większość pogardzała Elvie, niewielu lubiło ją, jednak nikt nie podważał jej kompetencji. Cassidy zawsze się cieszył, kiedy występowała na rozprawie jako świadek, oczywiście po stronie oskarżenia. Zawsze mógł liczyć na to, że

jej odpowiedzi będą proste i jednoznaczne. Kiedy przysięgała na Biblię, sprawiała wrażenie szczerzej. Zwykle wywierała głębokie wrażenie na przysięgłych.

Teraz, zanim odpowiedziała na pytanie, najpierw poprawiła okulary na kanciastej twarzy.

- Przypuszczam, że zginął od postrzału w głowę. Pocisk zniszczył większość szarych komórek. Rana na piersi chyba nie była śmiertelna. Jest położona nieco po prawej stronie, więc chyba serce nie zostało uszkodzone. Jednak nie mogę ocenić tego na sto procent, dopóki nie rozpruję jego klatki piersiowej. Strzał w jaja prawdopodobnie nie spowodował śmierci, przynajmniej nie od razu. - Zerknęła na asystenta prokuratora okręgowego i posłała mu łobuzerski uśmiech. - Jak amen w pacierzu, ma to jakiś związek z jego życiem miłosnym.

Cassidy skrzywił się ze współczuciem.

- Zastanawiam się, który strzał padł pierwszy.

- Nie sposób powiedzieć.

- Moim zdaniem ten w głowę.

- Dlaczego?

- Bo rana w klatce piersiowej, jeśli nie była śmiertelna, nie mogłaby go unieruchomić.

- Chyba że krew zalała płuca. Coś jeszcze?

- No i gdyby ktoś strzelił mi w krocze, odruchowo starałbym się zasłonić ten rejon.

- Śmierć z ręką zaciśniętą wokół jąder?

- Coś w tym rodzaju. Potrząsnęła głową.

- Ramiona Wilde'a leżą wzdłuż boków. Żadnych oznak walki ani obronnego gestu. Przypuszczam, że pozostawał w zażyłych stosunkach z tym, kto go zabił. A może nawet zginął podczas snu. Nie wygląda na to, aby został zaskoczony.

- Rzadko kiedy ofiara spodziewa się swojej śmierci - mruknął Cassidy. - Jak sądzisz, kiedy to mogło się stać?

Podniosła prawą dłoń zamordowanego i obróciła nią w nadgarstku, sprawdzając stężenie pośmiertne.

- Około północy, może trochę wcześniej. - Opuściwszy bezwładną rękę powiedziała: - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, zajęłabym się nim od razu. Cassidy po raz ostatni zerknął na sponiewierane zwłoki.

- No, to do dzieła! Czuj się swobodnie.

- Kopię protokołu autopsji dostaniesz zaraz, jak tylko skończę. Dlatego nie dzwoń i nie poganiaj mnie, bo możesz jedynie wszystko opóźnić.

Doktor Dupuis uznała, że to Cassidy poprowadzi sprawę. Na razie nie chciał jej wyjaśniać, na jakiej zasadzie znalazł się tutaj. W końcu to tylko kwestia czasu. Przecież musi dostać tę sprawę.

Stanąwszy z boku, aby nie przeszkadzać ekipie kryminalistycznej, badał wzrokiem przestrzeń hotelowej sypialni. Zdjęto już odciski palców ze wszystkich przedmiotów na nocnym stoliku. Cienką czarną taśmę daktyloskopijną przyklejono niemalże do wszystkiego. Wiele drobiazgów zbierano i umieszczano w oddzielnych plastikowych woreczkach z etykietami. Rabunek jako motyw raczej nie wchodził w grę. Na stoliku pośród innych rzeczy leżał złoty rolex.

Policyjny fotograf robił zdjęcia. Inny policjant, w chirurgicznych rękawiczkach, na czworakach zbierał z dywanu włosy i obce włókna.

- Czy był już tutaj ktoś z prasy?

- Nie - odpowiedział policjant klęczący na dywanie.

- W takim razie trzymajcie ich z daleka najdłużej, jak tylko się da. I pilnujcie, aby żadna istotna informacja nie wydostała się na zewnątrz. Kiedy poznamy fakty, nasze biuro wyda stosowne oświadczenie.

Młody mężczyzna skwitował instrukcje skinieniem głowy.

Cassidy przeszedł do saloniku. Mimo pastelowego wystroju pomieszczenie było mroczne i ponure. Ciemne, mocno udra-powane zasłony wpuszczały do środka niewiele dziennego światła. W rogu pluszowej sofy w kolorze brzoskwini kulila się młoda kobieta. Twarz ukryła w dłoniach i szlochała histerycznie. Obok niej siedział równie młody mężczyzna. Wyglądał na zdenerwowanego, może nawet przestraszonego, i na próżno starał się ją pocieszyć. Oboje byli właśnie przesłuchiwanymi przez detektywa z nowoor-leańskiego wydziału zabójstw. Howard Glenn pracował tam od przeszło dwudziestu lat. Zwykł jednak zawsze chodzić własnymi drogami i nie był specjalnie lubiany przez swoich kolegów. Jego powierzchowność i maniery nie zachęcały do szukania w nim towarzysza czy przyjaciela. Nie dbał o strój, bez przerwy palił camele bez filtra i przypominał trochę postać ze starej fotografii. Jednakże wśród miejscowych stróżów prawa cieszył się niekwestionowanym autorytetem i uznaniem za nie-ustępliwość w prowadzeniu śledztwa.

Glenn zerknął w stronę wchodzącego.

- Cześć, Cassidy. Szybko przyjechałeś. Crowder cię przysłał? Anthony Crowder był prokuratorem okręgowym w Nowym

Orleanie i szefem Cassidy'ego. Cassidy zignorował pytanie Glenna i wskazał głową w kierunku sofy.

- Kim oni są?

- Nie oglądasz telewizji?

- W każdym razie nie oglądam programów religijnych. Nigdy nie widziałem showu Wilde'a.

Glenn odwrócił się i powiedział przyciszonym głosem tak, że tylko Cassidy mógł go słyszeć:

- No, to masz pecha. Wyższa instancja odwołała naszego bohatera na wieki.

Cassidy zajrzał ponad jego ramieniem do sypialni, gdzie Elvie Dupuis nadzorowała przenoszenie zamkniętych w foliowy worek zwłok z łóżka na nosze.

- Tak, skutecznie i nieodwołalnie.

- A to jest żona naszego apostoła, Ariel Wilde - poinformował go Glenn. - I jego syn, Joshua.

Młody człowiek podniósł wzrok. Cassidy wyciągnął prawą rękę.

- Asystent prokuratora okręgowego Cassidy.

Joshua Wilde przyjął podaną dłoń. Jego uścisk był dość silny, choć ręce miał delikatne, gładkie, wypiełgnowane.

Nie były to dłonie człowieka pracy. Miał szeroko otwarte, pełne ekspresji, brązowe oczy. Długie popielatobrązowe włosy układały się w lekką falę. Syn Jacksona Wilde'a był niewątpliwie mężczyzną przystojnym, niemal pięknym. Gdyby urodził się wiek albo dwa wcześniej, zapewne byłby poetą i odwiedzałby najlepsze salony. Cassidy wątpił, czy kiedykolwiek grał w baseball, nocował pod gołym niebem albo uczestniczył w prawdziwej bójce. Wyrażał się jak wykształcony mieszkaniec Południa.

- Niech pan odnajdzie tego potwora, który zrobił to mojemu ojcu, panie Cassidy.

- Właśnie mam zamiar.

- I jak najszybciej niech pan go odda w ręce sprawiedliwości.

- Jest pan pewien, że to mężczyzna zabił pańskiego ojca, panie Wilde?

Joshua Wilde był zakłopotany.

- Nie, skąd? Tak tylko... Użyłem rodzaju męskiego w znaczeniu ogólnym.

- A więc równie dobrze mogła to być kobieta.

Do tej pory szlochająca w postrzępioną chusteczkę higieniczną wdowa zdawała się w ogóle nie zauważać, co się wokół niej dzieje. Teraz jednak odgarnęła nagle swoje jasne, proste włosy i utkwiała w Cassidym dziki, fanatyczny wzrok. Jej cera była kre-

dowobiała jak gipsowa lampka stojąca na krawędzi stołu. Piękne błękitne oczy w oprawie nadzwyczaj długich rzęs błyszcząły od świeżych jeszcze łez.

- Czy w taki właśnie sposób prowadzi pan sprawy o morderstwo, panie...?

- Cassidy.

- Czy zawsze prowadzi pan dochodzenie chwytając za słowa?

- Czasami tak.

- Nie jest pan ani trochę lepszy od tego detektywa z bożej łaski. - Zerknęła drwiąco na Glenna. - Zamiast szukać mordercy uparł się, żeby przesłuchiwać mnie i Josha.

Cassidy i Glenn wymienili znaczące spojrzenia. Detektyw wzruszył ramionami i wyjaśnił:

- Zanim zaczniemy szukać mordercy, pani Wilde, wcześniej musimy zbadać dokładnie, co się stało z pani mężem.

Wskazała palcem w stronę przesiąkniętego krwią łóżka w sąsiednim pokoju i wykrzyknęła:

- Czy może być coś bardziej oczywistego?

- Nie wszystko jest takie jasne.

- W takim razie i my nie wiemy, co się stało - zaszlochała teatralnie, a potem przycisnęła chusteczkę do bladych ust.

- Czy uważa pan, że jeżeli wiedzielibyśmy, co może spotkać Jacksona, to zostawilibyśmy go samego w jego apartamencie?

- A więc ostatniej nocy wielebny Wilde został sam? A gdzie państwo byliście? - Cassidy usiadł na brzegu fotela.

Teraz dokładnie mógł się przyjrzeć kobiecie i jej pasierbowi. Sądząc po wyglądzie, oboje nie przekroczyli jeszcze trzydziestki.

- Byliśmy w moim apartamencie - odpowiedział Josh. - Ćwiczyliśmy.

- Ćwiczyliście?

- Pani Wilde śpiewa podczas wszystkich ceremonii i programów telewizyjnych - wyjaśnił Glenn. - Młody pan Wilde gra na fortepianie.

Cassidy pomyślał, że to bardzo rozsądnie ze strony Jacksona Wilde'a uczynić własne kapłaństwo rodzinnym przedsięwzięciem. Nie miał najlepszego zdania o telewizyjnych kaznodziejach i nie spotkał się dotąd z niczym, co odbiegałoby od stereotypu.

- A gdzie jest pański apartament, panie Wilde? - zapytał.

- W głębi korytarza. Ojciec zarezerwował wszystkie pokoje na tym piętrze.

- W jakim celu?

- To takie przyzwyczajenie, które gwarantowało nam prywatność. Zwolennicy ojca zrobiliby wszystko, żeby znaleźć się w pobliżu niego. On kochał ludzi, ale potrzebował też spokoju i odpoczynku w przerwach między wystąpieniami. Ojciec i Ariel zatrzymali się w tym apartamencie. Ja zająłem nieco większy, aby zmieścił się w nim fortepian.

Cassidy zwrócił się do młodej wdowy:

- Ten apartament ma dwie sypialnie. Dlaczego nie spała pani z mężem?

Sapnęła ze wzgardą.

- On już mnie o to pytał - powiedziała, po raz drugi posyłając detektywowi Glennowi dyskredytujące spojrzenie. - Wróciłam późno w nocy i nie chciałam zakłócać Jacksonowi odpoczynku. Był bardzo wyczerpany, więc położyłam się w drugiej sypialni.

- O której godzinie pani wróciła?

- Nie zwróciłam uwagi.

Cassidy przeniósł pytający wzrok na Josha.

- A może pan zapamiętał, kiedy pańska macocha poszła do siebie?

- Przykro mi, ale nie. W każdym razie późno.

- Po północy?

- Dużo później.

Na razie Cassidy pozostawił tę kwestię na boku.

- Czy po powrocie do siebie rozmawiała pani z mężem?

- Nie.

- Nie weszła pani i nie pocałowała męża na dobranoc?

- Nie. Do swojego pokoju wchodziłam zawsze bezpośrednio z hallu. Powinnam była zajrzeć do niego - powiedziała płacząco. - Myślałam jednak, że spokojnie śpi.

Cassidy zerknął na Glenna i surowym spojrzeniem powstrzymał go od cisnącego się na usta komentarza. Ale detektyw powiedział tylko:

- Niestety pani Wilde odkryła ciało męża dopiero rano.

- Kiedy nie zareagował na dzwonienie budzika - dopowiedziała łamiącym się głosem. - I pomyśleć, że on tam przez cały czas leżał... nieżywy... podczas gdy ja spałam w sąsiednim pokoju.

Mdlejąc osunęła się na swojego pasierba, który, otoczywszy ją ramieniem, zaczął do niej cicho i łagodnie przemawiać.

- Póki co, na tym poprzestaniemy. - Cassidy wstał. Glenn odprowadził go do drzwi.

13

- To śmierdzi jak nieświeża ryba, nie sądzisz?

- Och, nie wiem - odrzekł Cassidy. - Jak na kłamstwo to wszystko jest za proste.

Glenn wydał z siebie niemile prychnięcie, szukając kolejnego camela w pogniecionej paczusce, którą wyjął z kieszeni koszuli.

- Pewnie chciałbyś, żebyśmy wdepnął w gówno, co? A sprawa jest jasna jak słońce, nie udawaj. Młodzi palą się do siebie, więc sprzątnęli kaznodzieję, bo stał im na drodze.

- Może tak - powiedział Cassidy wymijająco - a może nie. Przypalając papierosa, Glenn spojrzał na niego przenikliwie.

- Taki bystry facet jak ty nie nabiera się na piękne niebieskie oczy, no nie, Cassidy? I na teatralny płacz. Żebyś tylko widział, jak głośno się modlili, zanim przyszedłeś. - Zaciągnął się głęboko camelem. - Na pewno nie wierzysz, że mówią prawdę?

- Pewnie, że im wierzę. - Przechodząc przez drzwi Cassidy odwrócił się i dodał jeszcze: - Tak samo jak wierzę, że można szczać prosto, stojąc pod huraganowy wiatr.

Samotnie zjechał windą i wyszedł wprost na zatłoczony parter. Hall w hotelu „Fairmont” ciągnął się przez długość całego budynku. Zwykle była to oaza spokoju i wyrafinowanego luksusu z matowoczarnymi ścianami, czerwonymi pluszowymi obiciami mebli i błyszczącymi akcentami złocień. Lecz tego rana atmosferę tę burzył tłum sfrustrowanych, zagniewanych ludzi. Policja starała się ignorować agresywne zachowanie reporterów, szukających sensacyjnych szczegółów związanych z zamordowaniem Jacksona Wilde'a. Goście hotelowi, zebrani wcześniej przez policję i przesłuchiwanymi w sali balowej, byli teraz systematycznie zwalniani; jednakże, nadal naładowani złością, rozchodzili się niechętnie. Członkowie personelu hotelowego również odpowiadali na pytania policji, nie przestając jednocześnie zabiegać o względy niezadowolonej klienteli.

Cassidy pomagając sobie łokciami przedarł się przez hałaśliwy tłum. Z ogólnego zgiełku wyłowił głos kobiety, która przez nos, z akcentem typowym dla mieszkańców jednego ze środkowo-wozachodnich stanów, wyraziła przypuszczenie, że w hotelu zamieszkał jakiś psychopata i wszyscy są skazani na śmierć z jego ręki.

Pewien mężczyzna krzyczał piskliwym głosem, że „oni” jeszcze o tym usłyszą, choć nie było wiadomo, kogo miał na myśli.

Zwolennicy wielbnego Jacksona Wilde'a, dowiedziawszy się o jego zgonie, przybyli tłumnie, by wspólnie dzielić żal po jego

stracie. Dla nich hall stał się prowizoryczną świątynią. Płakali głośno, modlili się, śpiewali hymny i wzywali Wszechmogącego, by obrócił swój gniew przeciwko temu, który pozbawił życia telewizyjnego apostoła. Aby uniknąć spotkania z wysłannikami lokalnych stacji radiowych i telewizyjnych, Cassidy skierował się do wyjścia przy University Street. Jednakże szybko dostrzeżono go i po chwili był już otoczony liczną grupą reporterów.

- Panie Cassidy, czy widział pan...

- Nie mam jeszcze nic do powiedzenia.

- Panie Cassidy, czy on...

- Żadnych komentarzy.

- Panie Cassidy...

- Później.

Manewrował między kamerami, odsuwał wyciągnięte w jego kierunku mikrofony i roztropnie unikał jakiegokolwiek wypowiedzi, dopóki prokurator okręgowy Crowder nie uczyni go odpowiedzialnym za ściganie mordercy Wilde'a. Założywszy, że Crowder w ogóle to zrobi.

Chociaż po co te przypuszczenia? Crowder musi to zrobić.

Cassidy niemal rozpaczliwie pragnął dostać tę sprawę. Więcej, on jej potrzebował.

Yasmine przeszła dumnym krokiem przez automatyczne drzwi hallu portu lotniczego w Nowym Orleanie. Za nią, skarłały przy jej nadzwyczajnym wzroście i zapatrzony w oszołomieniu na długie, zgrabne nogi wyłaniające się spod krótkiej skórzanej spódniczki, posuwał się wolno bagażowy z dwiema walizkami w rękach.

Dźwięk klaksonu zwrócił jej uwagę na samochód Claire zaparkowany zgodnie z umową przy krawężniku. Walizki zostały umieszczone w bagażniku, który Claire otworzyła używając przycisku na tablicy rozdzielczej. Bagażowy otrzymał napiwek, a Yasmine wślizgnęła się na siedzenie obok kierowcy, błyskając brązowymi udami i wypełniając wnętrze zapachem perfum.

- Witaj - powiedziała Claire. - Jak minęła podróż?

- Pewnie podobnie jak ja nie możesz uwierzyć w to, co spotkało Jacksona Wilde'a? - powiedziała Yasmine.

Claire obejrzała się przez lewe ramię, a potem śmiało włączyła w strumień pojazdów - autobusów, taksówek i zwykłych samochodów - które bez przerwy przywoziły i odwoziły pasażerów.

- A tym razem cóż takiego zrobił?
- Nie słyszałaś? - zdziwiła się Yasmine. - Gdzie wobec tego podziewałaś się dzisiaj przez cały ranek?
- Zbierałam zamówienia... Dlaczego pytasz?
- Nie oglądałaś wiadomości telewizyjnych? Nie słuchałaś radia? - Yasmine zauważyła, że w samochodzie gra magnetofon.
- Przez cały tydzień rozmyślnie unikałam wszelkich wiadomości. Nie chciałam, aby mama dowiedziała się, co Wilde wygaduje o nas, od kiedy jest w mieście. A tak na marginesie, otrzymałam kolejne zaproszenie do publicznej debaty z nim. Oczywiście odmówiłam.
- Yasmine nadal patrzyła z niedowierzaniem na swoją najlepszą przyjaciółkę i partnerkę w interesach.
- Naprawdę nic nie wiesz?
- O czym? - zapytała Claire ze śmiechem. - Że znowu zaatakował Francuski Jedwab? Za co tym razem jego zdaniem będziemy cierpieć wieczne męki, smażąc się w piekielnym ogniu? A może nawoływał, żebym się opamiętała i zrezygnowała z grzesznego procederu? Albo stwierdził, że niszczę amerykańską moralność pornograficznymi zdjęciami?
- Yasmine zdjęła ciemne okulary, które miały ją ukryć przed wzrokiem ciekawskich, i spojrzała na Claire oczyma tygryscy zdobiaczami od blisko dziesięciu lat okładki niezliczonych magazynów mody.
- Wielebny Jackson Wilde nie powie już o tobie ani słowa, Claire. Nie oczerni Francuskiego Jedwabiu ani naszego katalogu. Nic już nie robi, kochanie - powiedziała wpadając w murzyński slang, którego używała w dzieciństwie. - Ten człowiek zamilkł na wieki. Nie żyje.
- Nie żyje? - Claire zahamowała gwałtownie.
- Kompletnie. Zabity na śmierć, jak mawiała moja mama. Claire, z pobladłą twarzą, utkwiała w niej pełen niedowierzania wzrok i powtórzyła: - Nie żyje?
- Widocznie wygłosił jedno kazanie za dużo. W końcu kogoś poniosło na tyle, żeby go zabić.
- Claire nerwowo zwilżyła usta.
- To znaczy, że został zamordowany?
- Za nimi jakiś zdenerwowany kierowca zatrąbił przeraźliwie. Inny, wyprzedzając ich samochód, zrobił obsceniczny gest. Claire zdjęła stopę z hamulca i przeniosła ją na pedał gazu. Samochód ruszył z nagłym szarpnięciem.
- Co się z tobą dzieje? Myślałam, że się ucieszysz? Może ja usiądę za kierownicą?

- Nie. Nie, już dobrze.
- Mam wątpliwości. Wyglądasz jak rozdeptane gówno.
- Źle spałam w nocy.
- Mary Catherine? Claire potrząsnęła głową.
- Przyśniło mi się coś nieprzyjemnego, a potem już nie mogłam z powrotem zasnąć.
- O czym śniłaś?
- Nieważne. Yasmine, nie mylisz się co do tego morderstwa?
- Dowiedziałam się wszystkiego na lotnisku, kiedy czekałam na bagaż. Mają tam telewizor. Zebrał się wokół niego tłum. Zapytałam jednego faceta, o co chodzi, oczekując czegoś w rodzaju wybuchu Challenge'a. A on powiada: „Ten telewizyjny kaznodzieja dał się zastrzelić ubiegłej nocy”. Ponieważ mam figurkę voodoo, podobiznę pewnego ściśle określonego kaznodziei, naturalnie moja ciekawość została pobudzona. Przysunęłam się bliżej ekranu i usłyszałam tę wiadomość na własne uszy.
- Został zamordowany w hotelu „Fairmont”? Yasmine zerknęła na nią ciekawie.
- Skąd wiesz?
- Wiedziałam, że tam się zatrzymał. Od André.
- Od André. Zapomniałam o nim. Pewnie od rana przeżywał prawdziwe obłąkanie. - Lecz zanim Yasmine zdążyła skomentować temat ich wspólnego przyjaciela, Claire zadała kolejne pytanie.
- Kto odkrył zwłoki?
- Jego żona. Znalazła go w łóżku dzisiaj rano z trzema dziurami po kulach. ,
- Mój Boże! O której to było godzinie?
- O której godzinie? Do licha, nie wiem. Nic o tym nie powiedziano. Zresztą co za różnica? - Yasmine ściągnęła z głowy opaskę i potrząsnęła długimi, skręconymi w stylu afro włosami. Z dużej podręcznej torby wyjęła kilka bransoletek, które nasunęła na przeguby smukłych dłoni. Następnie wpięła w uszy ogromne kolczyki w kształcie dysków. Tych kilka drobnych zmian przeobraziło ją w najbardziej znaną czarną modelkę od czasów Imane.
- Czy policja aresztowała już kogoś?
- Nie. - Yasmine cienkim pędzelkiem naniosła na usta warstwę koralowego błyszczaka. Różem przypudrowała policzki i w lusterku samochodowym przyjrzała się uważnie swojej pięknej twarzy.

Pora szczytu już minęła, ale droga szybkiego ruchu jak zwykle była wypełniona pojazdami. Claire poruszała się między nimi z wielką wprawą. W Nowym Orleanie mieszkała przez całe życie. Od kiedy Yasmine zaczęła dzielić czas między Nowy Orlean a Nowy Jork, Claire zwykle odbierała ją z lotniska.

- Czy morderca zostawił jakieś ślady? Czy znaleziono broń, z której zabito ofiarę?

Niecierpliwym ruchem Yasmine przywróciła lusterku poprzednie położenie.

- Przecież to były tylko wiadomości. Nie podano szczegółów. Reporterzy próbowali dowiedzieć się czegoś od pewnego faceta z biura prokuratora okręgowego, ale ten nie chciał złożyć żadnego oświadczenia. Po co więc zadajesz tyle pytań?

- Nie mogę uwierzyć, że on nie żyje. - Claire zawahała się, jak gdyby nagle mówienie zaczęło sprawiać jej trudność.

- Jeszcze wczoraj wieczorem głosił kazanie pod Wielką Kopułą.

- W wiadomościach pokazali fragment filmu z tego wydarzenia. Widziałam go na ekranie. Miał krótko obcięte włosy, czerwoną twarz i wykrzykiwał coś o ogniu piekielnym i siarce. Nawoływał Amerykanów do skruchy. - Yasmine ściągnęła cienkie brwi. - Jak to możliwe, żeby Bóg słyszał modlitwy innych, podczas gdy Wilde wydzierał się tak głośno? - Wzruszyła ramionami. - Ja tam jestem zadowolona, że ktoś go w końcu zastrzelił. Ta wesz nie będzie nam więcej szkodzić.

Claire spojrzała na nią ostro.

- Nie powinnaś mówić w ten sposób.

- Dlaczego nie? Tak właśnie czuję. Nie mam zamiaru uderzyć w płacz ani udawać, że ubolewam nad jego śmiercią. Temu, kto go załatwił, należy się medal za uwolnienie kraju od zarazy..

Wielebny Jackson Wilde wykorzystywał program telewizyjny do walki z pornografią w Ameryce. Traktował to jako swoją specjalną misję i poprzysiągł, że wykorzeni raz na zawsze wszelką obsceniczną. Płomiennymi kazaniem wywoływał u swoich zwolenników fanatyczny obłęd. Konsekwencją tego był fakt, że zaczęto atakować pisarzy, artystów i przedstawicieli innych sztuk, a ich dzieła wyklinano, czasami nawet niszczone.

Wielu uważało, że działalność telewizyjnego apostoła ma na celu coś więcej niż tylko zakaz wydawania niemoralnych magazynów. Widziano w niej zagrożenie dla praw przyznanych Pierwszą Poprawką. Prawnicza definicja tego, co jest, a co nie jest pornografią, była niejasna, a ponieważ Sądowi Najwyższemu Stanów Zjednoczonych nie udało się ustalić ostate-

cznych kryteriów, oponenti Wilde'a musieli ustawicznie protestować przeciwko przyjmowaniu jego wąskiego pojęcia jako obowiązującego prawa.

Trwała prawdziwa wojna. Bitwy toczyły się w kinach, teatrach, księgarniach, bibliotekach i muzeach; w miastach i miasteczkach. Przeciwników Wielbego traktowano bez różnicy, określając ich mianem „niewierzących barbarzyńców”. Z czasem awansowali w wystąpieniach „prawdziwych wyznawców” na współczesnych heretyków, pogan, czarownice i czarowników, osoby wyklęte.

Ponieważ katalog prezentujący bieliznę projektowaną we Francuskim Jedwabiu, i tutaj szytą, stał się obiektem ataków ze strony Jacksona Wilde'a, Claire jako twórczyni całego przedsięwzięcia chcąc nie chcąc stała się jego wrogiem numer jeden. Od miesięcy atakował katalog, stawiając go w jednym rzędzie z najbardziej wyuzdanymi magazynami pornograficznymi. Yasmine zgadzała się z Claire, że należy raczej ignorować Wilde'a i jego absurdalne oskarżenia niż bronić czegoś, co tej obrony nie wymagało.

Lecz Wilde'a nie można było tak łatwo zignorować. Kiedy jego kazania nie wywołały reakcji, jakiej pragnął, czyli debaty telewizyjnej, przeszedł do walki imiennej z Yasmine i Claire, nazywając je lubieżnymi nierządnicami. Zjadliwość kazań znacznie wzrosła, od chwili gdy przed tygodniem Wilde zawitał do Nowego Orleanu, siedziby Francuskiego Jedwabiu. W tym czasie Yasmine zajmowała się interesami w Nowym Jorku, więc Claire sama musiała znosić brutalne zniewagi Wilde'a.

Dlatego właśnie Yasmine była skonsternowana reakcją przyjaciółki na wiadomość o jego śmierci. Francuski Jedwab był dziełem Claire. To właśnie jej talent do interesów, żywa wyobraźnia i wspaniałe wyczucie tego, czego pragną amerykańskie kobiety, złożyły się na sukces. A sukces Francuskiego Jedwabiu oznaczał dla Yasmine przedłużenie kariery. I ratunek, chociaż nawet Claire nie uświadamiała sobie, jak naprawdę wyglądała sytuacja Yasmin. A teraz ten sukinsyn, który chciał wszystko to zniszczyć, nie żył. W mniemaniu Yasmine fakt ten wart był uczczenia. Jednakże Claire widziała tę sprawę inaczej.

- Ponieważ wszyscy wiedzieli, że Wilde uważał nas za swoich wrogów, a teraz został zamordowany, byłoby niewłaściwe cieszyć się publicznie z jego śmierci.

- Oskarżano mnie o mnóstwo różnych rzeczy, Claire, ale nigdy o to, że jestem dwulicowa. Nie ważę słów. Po prostu

mówię, co myślę. Jesteśmy różne. Ciebie przez całe dzieciństwo uczono grzeczności, podczas gdy ja w Harlemie musiałam zębami i pazurami walczyć o przeżycie. Ja zachowuję się jak gangster. Wokół ciebie nawet powietrze nie drgnie, choć się poruszasz. Ja nie ubieram myśli w piękne słowa. Ty ciepłem swojego głosu mogłabyś topić masło. Ale przecież i twoja cierpliwość ma swoje granice, Claire Louise Laurent. Od czasu, gdy po raz pierwszy zza swojego poślaczanego pulpitu obrzucił błotem katalog Francuskiego Jedwabiu, minął prawie rok. Przyssał się do ciebie jak pijawka. Czy nie czujesz się tak, jakby publicznie karcono twoje dziecko za to, że jest niegrzeczne? Wytrzymałaś jego prymitywne sądy ze spokojem i wdziękiem, zgodnie zresztą ze swoimi zasadami i dziedzictwem dobrze ułożonego mieszkańca Południa. Ale teraz przyznaj szczerze: czy naprawdę nie jesteś zadowolona, że ów świątobliwy sukinsyn nie żyje?

Claire patrzyła przed siebie w zamyśleniu.

- Tak - powiedziała spokojnie, powoli. - W głębi duszy jestem zadowolona, że ten sukinsyn nie żyje.

- Hmm. Wiesz, może jednak byłoby lepiej, gdybyś poszła za własną radą i pomyślała nad czymś innym, co mogłabyś im powiedzieć.

- Im? - Claire ocknęła się z transu i spojrzała w stronę najbliższego budynku.

Wzdłuż Peters Street, naprzeciwko siedziby Francuskiego Jedwabiu, stało kilka telewizyjnych wozów transmisyjnych z czaszami do przekazu satelitarnego. Wokół kręcili się reporterzy i wideokamerzyści.

- Do licha! - mruknęła Claire. - Nie chcę być w to wplątana.

- Zbierz się do kupy, moja droga - powiedziała Yasmine. - Dla Jacksona Wilde'a byłaś jednym z ulubionych celów. Chcesz czy nie, tkwisz w tym po same uszy.

Rozdział II

- W trzech ostatnich sprawach nie udało ci się znaleźć przekonujących dowodów.

Cassidy liczył się z tym argumentem. Mimo to krytyka zaboląła go. Nie pokazał jednak tego po sobie, nadrabiając tylko nieco większą pewnością siebie.

- Obaj wiedzieliśmy, że w tych trzech przypadkach opieramy się na bardzo słabych podstawach, Tony. W każdym z nich wszystko, co obrońca miał do powiedzenia i musiał powiedzieć, sprowadzało się do słów: „Udowodnij to”. Nie miałem wielkiego pola do działania, ale zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, i ty o tym dobrze wiesz.

Prokurator okręgowy Anthony Crowder skrzyżował krótkie owłosione ręce i opadł na oparcie skórzanego fotela przy swoim biurku.

- Nasza rozmowa jest przedwczesna. Policja jeszcze nikogo nie aresztowała. Być może upłyną miesiące, zanim aresztują kogokolwiek.

Cassidy uparcie potrząsnął głową.

- Chcę prowadzić dochodzenie równoległe z nimi, aby mieć pewność, że nie przeoczą czegoś istotnego.

- Wobec tego przez cały czas komisarz policji będzie mi siedział na karku, twierdząc, że zajmujesz się sprawami, które należą wyłącznie do jego wydziału.

- Cieszę się, że wspomniałeś o komisarzu. Jesteście kumplami. Porozmawiaj z nim. Może udałoby ci się namówić go, aby Howard Glenn dostał sprawę Wilde'a.

- Ten zaniedbany...

- W tym przypadku nikt go nie zastąpi. Jest dobry. Najlepszy.

- Cassidy...

- Nie martw się, będę pamiętał, na co mogę sobie pozwolić. Wykorzystam cały mój talent do dyplomacji.

- Ty nie masz żadnych umiejętności w tej dziedzinie - przypomniał mu prokurator okręgowy. - Od kiedy pięć lat temu przyszedłeś do naszego biura, odwaliłeś trochę dobrej roboty,

ale, generalnie rzecz ujmując, byłeś raczej dokuczliwym kolcem w dupie.

Cassidy, nie zrażony burkliwą uwagą Crowdera, uśmiechnął się szeroko. Wiedział, co prokurator okręgowy naprawdę o nim myśli. Nieoficjalnie był kandydatem na następcę Tony'ego Crowdera. Rozumiało się samo przez się, że w drodze do tego stanowiska będzie miał jego poparcie. Choć czasami Cassidy drażnił go, to jednak Crowder odnajdywał w nim tę samą kombinację ambicji i wytrwałości, która niegdyś charakteryzowała i jego.

- Prowadziłem i wygrałem dla ciebie więcej spraw niż jakikolwiek inny prawnik w twoim urzędzie - powiedział Cassidy bez fałszywej skromności.

- Wiem o tym - uciał Crowder. - Nie musisz mi przypominać. Przez ciebie miałem również niemało kłopotów.

- Nie powinien wchodzić do wody ten, kto się boi, że wywoła fale.

- W twoim przypadku są to zawsze fale sztormowe.

Cassidy pochylił się na krzesło do przodu i utkwiał w przełożonym zniewalający wzrok. Spojrzenie jego spokojnych szarych oczu skłaniało do zeznań małomównych świadków, oddziaływało na cynicznych sędziów, wpływało na decyzje przysięgłych, sprawiało, że nadmiar słów stawał się zbędny.

- Daj mi tę sprawę, Tony.

Zanim Crowder zdążył sformułować decyzję, do pokoju zajrzała jego sekretarka.

- Ariel Wilde zwołała konferencję prasową. Idzie na żywo we wszystkich stacjach telewizyjnych. Pomyślałam, że to pana zainteresuje. - Wycofała się zamykając za sobą drzwi.

Crowder włączył odbiornik przyciskiem zdalnego sterowania.

Na ekranie pojawiła się ładna blada twarz wdowy. Młoda kobieta wyglądała na istotę delikatną i bezbronną jak ulatujący ku niebu anioł, lecz jej głos pobrzmiwał niezłomnym przekonaniem.

- Śmierć mojego męża nie oznacza kresu jego walki przeciwko dziełu szatana.

Głośne „amen”, wypowiedziane przez chór wiernych zwolenników napierających na członków ochrony za plecami reporterów i fotografów, podkreśliło wagę jej słów.

- Szatan wiedział, że wygrywamy tę walkę. Musiał więc podjąć desperackie kroki. Najpierw posłużył się tym skorumpowanym miastem. Władze miasta odmówiły przyznania mojemu mężowi stałej ochrony, jakiej żądał.

- Do diabła - powiedział Crowder, pomrukując z niezadowolenia. - Po co zaraz obwiniać miasto? Patrzy na to cały cholerny świat.
 - Nikt nie wie tego lepiej niż ona. - Cassidy wstał z krzesła i podchodząc bliżej odbiornika, wsunął ręce do kieszeni. Wdowa mówiła dalej, a po jej bladych policzkach spływały teraz wymowne łzy.
 - To piękne miasto jest za pan brat z grzechem i korupcją. Wystarczy przejść się wzdłuż Bourbon Street, aby zobaczyć, z jaką mocą zło zapanowało nad Nowym Orleanem. Jackson Wilde był sumieniem szepczącym do ucha tego miasta, że staje się ono moralnym szambem, pełnym szlamu rezerwuarem zbrodni i upodlenia. Wyjątkiem jest kilka miejscowych liczących się osób, które przyszły tutaj, by okazać wsparcie i żal po odejściu Jacksona. Inni poczuli się obrażeni jego uczciwością inspirowaną bożą nauką. - Kamera odnalazła ponurą grupę składającą się z jednego kongresmana, sędziego i kilku wysokich urzędników miejskich.
 - Politycy - Crowder wydał z siebie wrogi pomruk.
 - Niektórzy myśleli, że Jackson Wilde i wyborcy stoją po tej samej stronie.
 - Wolałbym raczej wypieprzyć kozę - burknął Crowder.
 - Mojego męża traktowano z obojętnością, która graniczyła nieomal z wrogością! - krzyczała Ariel Wilde. Ta obojętność na sprawę jego bezpieczeństwa kosztowała go życie!
- Kiedy ucichły wrzaski jej zwolenników, podjęła na nowo:
- Potem szatan użył jednego ze swych demonów, aby strzałem w serce uciszyć swego najzagorzalszego wroga, wielbnego Jacksona Wilde'a. Ale nas nikt nie uciszy! - zawołała unosząc szczupłe ramiona i potrząsając pięściami.
 - Mój ukochany Jackson jest teraz z Panem. Dobrze sobie zasłużył na wieczną szczęśliwość i spokój. Chwalmy Pana.
 - Chwalmy Pana - zawtórował tłum.
 - Lecz nasze dzieło nie jest jeszcze skończone. Dalej ja poprowadzę walkę, którą rozpoczął Jackson. Ostatecznie to my wygramy wojnę przeciwko plugastwu, co kala umysły i serca! Nasza misja nie zostanie wypełniona, dopóki Ameryka nie uwolni się od śmieci zalegających teatry i półki z książkami, dopóki muzea utrzymywane za pieniądze podatników, za wasze pieniądze, nie oczyszczą się z pornografii, która - o zgrozo! - uchodzi za sztukę. Chcemy, aby ten kraj stał się dla reszty świata ideałem godnym naśladowania, aby był własnością narodu, którego dzieci dorastają w środowisku czystym i pełnym światła.

Podniósł się krzyk aprobaty. Policjanci z trudem wytrzymywali napór tłumu, jedną z kamer uchwycono całą tę chaotyczną scenę. Ariel, wyczerpana i, jak się wydawało, bliska omdlenia, zeszła ze sceny, opierając się na ramieniu pasierba. Ze wszystkich stron otaczała ją świta Wilde'a.

Przypadkowe zbliżenia kamery wydobywały z tłumu twarze pełne duchowej udręki, oczy wilgotne od łez, usta poruszające się w cichej modlitwie. W żałobnym nastroju zwolennicy Jacksona Wilde'a chwycili się pod ramiona i zaczęli śpiewać jego przewodnią pieśń „Naprzód, rycerze Chrystusa”.

Precyzyjnym ruchem Tony Crowder wyłączył odbiornik telewizyjny.

- Cholerni hipokryci. Jeżeli tak bardzo troszczą się o szczęście swoich dzieci, to dlaczego, do licha, nie są teraz w domu i nie uczą ich odróżniać dobra od zła? Zamiast tego włączają się za jakimś martwym świętym. - Westchnął w rozdrażnieniu i skinął głową w kierunku telewizora. - Jesteś pewny, że chciałbyś wmieszać się w ten bałagan?

- Absolutnie.

- Mówiąc między nami, to będzie straszliwy zamęt, szczególnie kiedy policja zacznie gromadzić podejrzanych.

- Których liczbę można w tej chwili ocenić na około sześciuset. Może to być każdy, kto ostatniej nocy kręcił się nie tylko wewnątrz, ale i wokół hotelu „Fairmont”.

- Ja Wziąłbym pod uwagę przede wszystkim dwie osoby: wdowę i pasierba.

- Oni są na pierwszych miejscach mojej listy. - Cassidy uśmiechnął się szeroko. - Czy to oznacza, że mam tę sprawę?

- Na razie.

- Daj spokój, Tony!

- Na razie - starszy mężczyzna powtórzył głośno. - Już jest gorąco, a będzie jeszcze goręcej. Wolę nie myśleć, co się stanie, jeśli sprowokujesz Ariel Wilde. Jest kochana i wielbiona tak samo jak jej mąż. Jej ewentualne aresztowanie za morderstwo mogłoby wywołać zamieszki.

- Bądź pewny, że jestem na to przygotowany. - Cassidy wrócił do swojego krzesła i usiadł. - Wiele razy byłem w kłopotach. Nie przejmuję się tym.

- To fakt, nie przejmujesz się. Ty się tym żywisz.

- Lubię wygrywać. - Cassidy patrzył teraz przełożonemu prosto w oczy. Przestał się uśmiechać, a jego zaciśnięte usta zamieniły się w wąską, bladą linię. - Tak naprawdę właśnie

dlatego chciałbym dostać tę sprawę. Nie wciskam ci pierdół. Potrzebuję zwycięstwa, Tony. Bardzo potrzebuję. Crowder skinął głową. Cenił sobie otwartość Cassidy'ego.

- Jeżeli pragniesz sukcesu, to mogę ci go zapewnić. Mam do rozdzielania kilka bardziej przyziemnych przypadków. Cassidy potrząsnął głową.

- Mnie interesuje wielka wygrana. Postawienie mordercy Wilde'a przed sądem będzie w dziedzinie ścigania jednym z największych wyczynów tego roku, o ile nie dekady.

- Masz więc nadzieję, że w końcu pojawisz się na honorowym miejscu w głównych wiadomościach o szóstej - powiedział Crowder marszcząc brwi.

- Znasz mnie od mojej lepszej strony, dlatego nie będę zaprzeczał. Dzisiaj rano sprawa Wilde'a sama wpadła mi w ręce. Nie podoba mi się to, za czym obstawał ten kaznodzieja ani co sobą reprezentował. W istocie nie zgadzam się z żadnym słowem, które wygłosił. Jego wersja chrześcijaństwa nie współgra z tą, którą przekazano mi w szkółce niedzielnej.

- Chodziłeś do szkółki niedzielnej? I tę uwagę Cassidy zignorował, zmierzając do puenty.

- Poza wszystkim Wilde był człowiekiem i miał prawo dożyć sędziwego wieku. Ktoś odmówił mu tego prawa. Nagi i bezbronny, został zamordowany przez kogoś, komu ufał.

- Skąd o tym wiesz?

- Na drzwiach do apartamentu nie było śladów włamania. Zamki nie zostały naruszone. Albo więc winowajca dysponował kluczem, albo Jackson sam wpuścił go do środka. Najwidoczniej Jackson leżał w łóżku, rozmawiając z mordercą lub po prostu śpiąc. Był religijnym fanatykiem, to prawda, może nawet bardziej niebezpiecznym od Rasputina, ale nie zasłużył sobie, by ktokolwiek z zimną krwią poczęstował go kulą w głowę.

- I w serce, i w jaja - dodał Crowder. Cassidy zmrużył oczy.

- To dziwne, prawda? W zupełności wystarczyłby strzał w serce albo w głowę, a dla pewności jeden i drugi. Ten trzeci pozostaje zagadką.

- Morderca był poirytowany.

- Całkiem mocno poirytowany. Jest w tym jakiś bardzo osobisty motyw. Na przykład zemsta kobiety.

- Myślisz, że kobieta go załatwiła? Że, jak jemu podobni, miał na boku jakąś słodką blondynkę, a Ariel dowiedziała się o tym?

- Nie wiem. Mam jedynie silne przeświadczenie, że mordercą była kobieta.

- Dlaczego?

- Tylko to ma sens - powiedział Cassidy. - Gdzie strzełiłyś, gdybyś był kobietą i chciał zemścić się na facecie? Claire prawie bez tchu dotarła wreszcie do pomieszczeń mieszkalnych w sąsiedztwie biura Francuskiego Jedwabiu. Słyszała odgłosy rozmowy między Yasmine i matką, ale udało się jej niezauważenie prześlizgnąć wzdłuż hallu i wejść do własnej sypialni.

Ich przybycie wywołało prawdziwą wrzawę wśród reporterów, którzy tkwili pod budynkiem. Otoczyli je ciasno, ledwie zdążyły wysiąść z samochodu. Claire początkowo chciała pochylić głowę, przedrzeć się do drzwi i zniknąć w środku, ale szybko zdała sobie sprawę, że taki unik jedynie odwlecze to, co nieuchronne. Dziennikarze czekali by dotąd, aż złożyłaby oświadczenie. Utrudniliby prowadzenie interesu, rozdrażnili sąsiadów i być może przestraszyli jej matkę. Nie będąc pewna tego, co powie Yasmine dziennikarzom, Claire poprosiła ją, aby zajęła się Mary Catherine i uświadomiła jej sens rozgrywających się na zewnątrz zdarzeń. Strojąc miny do kamer, Yasmine spełniła jej prośbę.

Claire zasypano pytaniami. Ledwie dotarło do niej jedno, już rzucono następne. Nie była w stanie odpowiedzieć na wszystkie jednocześnie. W końcu uniosła ręce, prosząc gestem o ciszę.

- Chociaż wielbny Wilde nazwał mnie grzesznicą i swoim wrogiem, strasznie mi przykro z powodu jego śmierci. Jego rodzinie składam wyrazy współczucia - powiedziała do skierowanych w jej stronę mikrofonów.

Ruszyła w stronę wejścia do Francuskiego Jedwabiu, lecz zaraz zatrzymała ją znów wrzawa żurnalistów.

- Pani Laurent, czy to prawda, że wielbny Wilde wielokrotnie zapraszał panią do publicznej debaty, a pani konsekwentnie odmawiała?

- To nie były zaproszenia, ale wyzwania. Ja chciałam i nadal chcę zajmować się wyłącznie swoją pracą.

- Co pani powie na jego zarzuty, że...

- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Kto go zamordował, pani Laurent?

Ostatnie pytanie zatrzymało Claire w pół kroku. Utkwiła osłupiały wzrok w łysym dziennikarzu, który postawił obcesowe pytanie. Ten zareagował wymuszonym, sztucznym uśmiechem. Pozostali zamilkli, czekając na odpowiedź. W tej krótkiej chwili Claire uświadomiła sobie, że jej konflikt z Jacksonem Wilde'em bynajmniej się nie skończył. Kaznodzieja był martwy, ale nie oznaczało to, że ją od siebie uwolnił. Co więcej, najgorsze być może

miało jeszcze nadejść. Dlaczego reporter zapytał właśnie ją o mordercę? Czyżby skorzystał z jakiegoś wiarygodnego źródła w wydziale policji? Może słyszał coś o ewentualnych podejrzanych?

Chociaż nie dała niczego po sobie poznać, to jednak poczuła, jak ze strachu po plecach przebiega jej lodowaty dreszcz.

- Przepraszam. Już nic więcej nie powiem.

Zdecydowanie precyzyjnie przeszła przez tłum reporterów. Odetchnęła dopiero, gdy znalazła się w swoim prywatnym mieszkaniu na najwyższym piętrze. Nieoczekiwane przeżycie zburzyło jej spokój. Bielizna kleiła się do ciała. Zdjęła ją z siebie w gorączkowym pośpiechu. W łazience pochyliła się nad umywalką i chłodną wodą obmyła twarz, szyję, piersi i ramiona.

Nieco odświeżona, włożyła luźny jednoczęściowy bawełniany kostium - najbardziej popularny strój z letniej kolekcji Francuskiego Jedwabiu - a długie do ramion włosy związała w koński ogon. Gdy wyszła z łazienki, już bardziej trzeźwym wzrokiem popatrzyła na masywną komodę z wiśniowego drewna, stojącą po przeciwnej stronie pokoju.

Przed trzema laty, kiedy przebudowywała stary dom towarowy, czyniąc z niego siedzibę Francuskiego Jedwabiu, zamieniła ostatnie piętro budynku w swój prywatny apartament. Był to zaledwie drugi adres w jej dotychczasowym życiu. Wcześniej mieszkała w dużym domu ciotki Laurel przy Royal Street, niedaleko esplanady.

Po śmierci ciotki Claire i Mary Catherine wyprowadziły się stamtąd. Jednakże Claire nie miała serca, by dom odnowić i sprzedać. Trudno byłoby jej także rozdać rzeczy ciotki, ponieważ sympatyczna dama, o której inni mówili z lekceważeniem „stara panna”, była bardzo przywiązana do swojej własności, co prawdopodobnie rekompensowało jej brak męża i dzieci.

Komoda z wiśniowego drewna była jedynym wyjątkiem, jedyną rzeczą, którą Claire zabrała ze sobą podczas przeprowadzki. Zawsze podziwiała ten mebel. Jego proste kształty dobrze komponowały się ze współczesnym wystrojem pomieszczenia. Specjalnie poprosiła projektanta, by ściana w sypialni była odpowiednio szeroka, aby komoda mogła tam stać.

Podeszła teraz do niej, przyklękła przed rzędem szuflad, otworzyła najniższą. Wysunięcie jej wymagało użycia siły, ponieważ była ciężka, dokładnie wypełniona wycinkami z dzienników i magazynów. Najstarsze z nich pochodziły sprzed kilku lat.

W przeszłości Claire wiele czasu poświęciła na czytanie artykułów, zastanawianie się nad ich treścią, analizowanie własnych reakcji. Kolekcjonowanie wycinków stało się dla niej niemal fascynującym hobby. Z żalem myślała, że trzeba je będzie zniszczyć.

Lecz teraz musiała pozbyć się swojego zbioru. Natychmiast. Byłoby szaleństwem zatrzymywać drukowaną dokumentację każdego kroku wielbego Jacksona Wilde'a.

Hotelowy apartament był wypełniony ludźmi. Niektórzy przyszli tu z ciekawości, inni pragnąc pomóc. Wszyscy wydawali się skonsternowani nagłą utratą przywódcy. Spacerowali bez celu, zbierali się w małe grupki, rozpraszali potrząsując głowami i szepcząc płacząco niby refren: „Wprost nie mogę w to uwierzyć”.

Po rozmowie z Cassidem Ariel wyprowadziła się z apartamentu „San Louis”. Obecne miejsce było mniejsze i już nie tak luksusowe. Jak dotąd o samotności mogła jedynie marzyć. Odwiedzinom żałobników nie było końca. Ariel skinęła na Josha, który natychmiast podszedł do niej. Oboje szeptem wymienili kilka słów, potem Josh podniósł głos, by zwrócić na siebie uwagę gości.

- Ariel jest wyczerpana. Bądźcie tak dobrzy i pozwólcie jej odpocząć. Jeżeli będziemy czegoś potrzebowali, damy wam znać.

Bliscy zwolennicy Wilde'a, sprawiający wrażenie zagubionych i opuszczonych, zaczęli się kierować w stronę drzwi. Przechodząc obok skulonej na sofie wdowy, przesyłali jej współczujące spojrzenia.

Ledwie Josh zamknął drzwi za ostatnim z nich, Ariel wyprostowała się i zsunęła nogi z sofy.

- Dzięki Bogu, nareszcie sobie poszli. I wyłącz w końcu to cholerne pudło. Nie mogę na to patrzeć. - Wskazała na odbiornik telewizyjny.

Głos był wyciszony, ale ekran wypełniał obraz kobiety usiłującej uniknąć nagabującej ją hordy reporterów.

- Kim ona jest? - zapytał Josh.

- To ta persona z Francuskiego Jedwabiu. Minutę wcześniej pokazali napis z jej imieniem i nazwiskiem.

- A więc to jest Claire Laurent - powiedział Josh. - Często zastanawiałem się, jak ona wygląda. Nie ma rogów i ogona, choć powinna mieć zgodnie z tym, co mówił o niej ojciec. Nie przypomina też nierządnicy. Powiedziałbym, że całkiem przeciwnie.

- Kogo to obchodzi, co byś powiedział? - Ariel podeszła do odbiornika i sama go wyłączyła.
- Nie jesteś przynajmniej ciekawa, co panna Laurent ma do powiedzenia?
- W najmniejszym stopniu. Dostanie za swoje, ale jeszcze nie dzisiaj. Wszystko w stosownym momencie. Póki co, zamów mi coś do jedzenia. Umieram z głodu. - Zniknęła w sąsiednim pokoju.

Joshua Wilde, dwudziestoosmioletni syn z pierwszego małżeństwa Jacksona Wilde'a, zamówił przez telefon lekki posiłek dla swojej macochy. Pomyślał, że pogrążona w smutku wdowa nie może okazywać nadmiernego apetytu. Dla siebie zamówił „muffuletę”, sandwich - nowoorleańską specjalność, której smak szczególnie polubił. Czekając na dostarczenie zamówienia, podszedł do okna i wyrztał na zewnątrz. Ludzie na ulicy spieszyli za swoimi codziennymi sprawami, jakby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Czyżby nie słyszeli? Jackson Wilde odszedł spomiędzy żywych.

Josh jeszcze nie przyzwyczał się do tej myśli, chociaż na własne oczy widział martwe ciało i krew. Wprawdzie nie oczekiwał, że nagle Ziemia przestanie się kręcić, ale coś szczególnego powinno zaznaczyć śmierć jego ojca. Już nigdy więcej Jackson nie roztoczy wokół siebie pasożytniczej mocy, która wszystkich innych pozbawiała sił życiowych. Już nigdy jego głos nie zabrzmiał w modlitwie ani w mówieniu złości. Już nigdy ojciec nie spojrzał na niego zimnym wzrokiem, który zbyt często wyrażał rozczarowanie i niechęć, natomiast zawsze - krytycyzm. Przed siedmiu laty bez fanfar - takie było jej całe życie - zmarła matka Josha, Martha. Właśnie przebywał w Nowym Jorku, studiując muzykę w szkole Juilliarda, kiedy otrzymał wiadomość, że zmarła natychmiast po wylewie krwi do mózgu. Nie zdążyli się pożegnać. W tamtych dniach jej zgon spowodował zaledwie przerwę w pracowitym kapłaństwie Jacksona, który właśnie wchodził ze swoimi programami do telewizji kablowej. Pracował bez przerwy, bez wytchnienia. Siły miał niespożyte. Bezpośrednio po pogrzebie żony wrócił do biura, żeby nie zmarnować całego dnia.

Nigdy nie zapomniał ojcu tego szczególnego zapału do pracy. Właśnie dlatego nie miał teraz wyrzutów sumienia z powodu apetytu, od którego burczało mu w brzuchu, choć od chwili odkrycia zakrwawionego ciała minęły zaledwie godziny.

Z tego samego powodu nie czuł wyrzutów sumienia dopuszczając się cudzołóstwa z jego drugą żoną. Uważał, że pewne grzechy są usprawiedliwione, chociaż nie znalazł w Biblii odpowiedniego cytatu na poparcie tej tezy.

Ariel była od Josha starsza jedynie o dwa lata, ale kiedy wyszła z łazienki ubrana w luźną bawełnianą koszulkę, z włosami zebranymi z twarzy, wyglądała na kilka lat młodszą. Nogi miała nagie.

- Zamówiłeś coś na deser?

Jackson zawsze szydził z niej za nadmierny apetyt na słodycze i nigdy nie pozwalał jej oddawać się beztrząsco tej słabości.

- Kawałek czekoladowego przekładańca - odrzekł Josh.

- Mniem, mniem.

- Ariel?

- Hmm?

Począł, aż odwróci się do niego twarzą.

- Minęło zaledwie kilka godzin od chwili, gdy znalazłaś ciało martwego męża.

- Zamierzasz zepsuć mi apetyt?

- Na to by wyglądało. Nie jest ci ani trochę smutno? Zrobiła nadęsaną minę.

- Wiesz przecież, jak bardzo wcześniej płakałam. Josh roześmiał się bez cienia rozbawienia.

- Płaczesz na zawołanie. Od pierwszej chwili, gdy przyszli ze specjalną prośbą do mojego ojca o modlitwę za twojego najmłodszego brata, który dostał dożywocie, korzystasz z tej umiejętności. Udało ci się wzruszyć ojca i przy najbliższej okazji śpiewałaś już na podium przy jego boku. Zdażyłem przyjrzeć się twoim łzom. Ktoś inny mógłby pomyśleć, że są szczere, ale nie ja. Posługujesz się nimi, kiedy jest ci wygodnie albo kiedy czegoś chcesz. Nigdy nie płaczesz ze smutku. Na to jesteś zbyt samolubna. Bywasz zła, sfrustrowana, zazdrosna, ale nigdy smutna.

Od dnia ślubu z ojcem Josha trzy lata temu Ariel dużo straciła na wadze. Wcześniej była raczej pulchna. Teraz jej piersi były mniejsze, ale pośrodku jak dawniej sterczały duże brodawki. Josh nienawidził się za to, że dostrzegał je pod cienką bawełnianą koszulką.

- Jackson Wilde był podłym, złośliwym, egocentrycznym sukinsynem - powiedziała nie zmrużywszy nawet błękitnych oczu. - Jego śmierć nie zepsuje mi apetytu, ponieważ w ogóle nie jest mi przykro, że on nie żyje. Boję się tylko reakcji członków Rady.

- I o to zatroszczyłaś się podczas konferencji prasowej.

- Otóż to, Josh. Nie chciałam, aby po odejściu Jacksona wszystko legło w gruzach. Ktoś przecież musiał pomyśleć o przyszłości.

Jakby cierpiąc na rozsadzający ból głowy, Josh przycisnął do skroni koniuszki swych długich, delikatnych palców pianisty i zamknął powieki.

- Boże, jaka ty jesteś wyrachowana, zimna. Ciągle coś knujesz.

- Życie mnie do tego zmusiło. Ja nie dorastałam w dostatku jak ty, Josh. Nazywasz farmą posiadłość swoich dziadków, tę niedaleko Nashville - zakpiła. - Moja rodzina miała prawdziwą farmę. Było tam zawsze brudno i śmierdziało gnojem. Ja nie pomagałam czyścić rasowych koni, co ty robiłeś, kiedy tylko miałeś ochotę. Chciałam czy nie, musiałam wrywać chwasty w ogródku z warzywami, łuskać groch i karmić wieprza, aby był odpowiednio tłusty w listopadzie, kiedy go zarzynaliśmy. Miałam tylko jedną parę butów. Dziewczęta w szkole śmiały się ze mnie, bo nosiłam rzeczy po innych. A od kiedy skończyłam dwanaście lat, w sobotnie noce musiałam wystrzegać się spoconych łap pijanych wujków, a na niedzielnej mszy patrzeć z chóru na ich zadowolone z siebie twarze. O tak, co niedziela chodziliśmy do kościoła i słuchaliśmy kazań, które uświęcały ubóstwo. Lecz ja nie wierzyłam nigdy ani jednemu ich słowu.

Potrząsnęła długimi, prostymi, platynowoblond włosami.

- Byłam biedna, Josh. A z biedy rodzi się niktzemność, desperacja. Człowiek osiąga stan, w którym zrobiłby wszystko, aby od tego uciec. Właśnie dlatego mój najmłodszy brat musi spędzić w więzieniu resztę swojego życia. Kiedy go zamknęli, wiedziałam już, że muszę coś zrobić, w przeciwnym razie skończę gorzej niż on. Rozpłakałam się więc przed twoim ojczulkiem, to prawda. I jeśli wtedy kazałby mi podtrzeć sobie tyłek albo natychmiast mu się oddać, nie zawahałabym się ani przez moment. Od niego nauczyłam się, że pozycja człowieka zależy przede wszystkim od pieniędzy. O całe niebo lepiej być niktzemnym i bogatym niż biednym i niktzemnym. Jeżeli jesteś biedny, idziesz do pudła za niktzemność, ale jeżeli jesteś bogaty, robisz, co ci się podoba, i nikt nie śmie cię tknąć. Jestem intrygantką, zgadza się. Będę nią do końca życia, bo nie chciałam już nigdy żyć w biedzie. - Zacerpnęła powietrza. - Nie próbuj wmawiać mi, że zmartwiła cię jego śmierć, Josh. Nienawidziłeś go tak samo jak ja, o ile nie bardziej.

Nie umiał spojrzeć jej prosto w oczy.

- Myślę, że moje odczucia są raczej ambiwalentne. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia, ale też, inaczej niż wcześniej przypuszczałem, nie czuję również ulgi.

Podeszła do niego i otoczyła jego szyję ramionami.

- Czy ty tego nie widzisz, Josh? Jeżeli rozegramy wszystko wystarczająco sprytnie, otworzy się przed nami wielka szansa. Tłum nas uwielbia. Będziemy nadal robili to, co dawniej. Bez jego pretensji i utyskiwań czeka nas życie bez porównania przyjemniejsze.

- Czy ty naprawdę sądzisz, że wyznawcy ojca zaakceptują nas jako małżeństwo? - Uśmiechnął się niewyraźnie.

Może rozbawiła go jej naiwność, a może pomyślał o jej zachłanności.

Nie mógł mieć jej za złe ani jednego, ani drugiego. Sam nie pragnął rzeczy, wśród których dorastał i których istnienie uważał za oczywiste. Jackson Wilde, już zanim stał się powszechnie znany, korzystał z hojności wiernych zwolenników. Taca na datki była zawsze pełna. Razem ze spadkiem po żonie dawało to wcale pokaźny dochód. Josh nigdy nie cierpiał na brak czegokolwiek materialnego.

Kiedy po raz pierwszy zobaczył Ariel, miała na sobie tanią sukienkę w krzykliwych kolorach i zbyt dużo jarmarcznej biżuterii. Jej sposób mówienia i fatalny akcent raziły go. Mimo to był dla niej pełen podziwu za jej śmiałość, gdy dotarła do jego ojca, aby poprosić o modlitwę za skazanego brata.

Dzisiaj była szczupła, zadbana i wyrażała się poprawnie. Mimo to Josh wiedział, że Ariel patrząc na siebie w lustrze nadal widzi w nim grubą, zaniedbaną, zdesperowaną młodą kobietę podejmującą ostatnią próbę, by zmienić kierunek swojego życia.

- Publiczność zaakceptuje nasz związek - powiedziała - jeżeli dostatecznie często będziemy się powoływać na boże błogosławieństwo. Możemy powiedzieć, że walczyliśmy z romantycznym uczuciem, ponieważ wydawało się nam bezprawne i grzeszne. Lecz łącząc się z nami dzięki naszej modlitwie i studiom nad Biblią, Bóg przekonał nas, że nasz związek był zgodny z Jego wolą. Zobaczysz, ludzie dadzą się nabrać. Wszyscy lubią szczęśliwe zakończenia. - Pocałowała jego usta delikatnie, drażniąco, wypełniając je jednocześnie łagodnym ciepłem własnego oddechu. - Chcę ciebie, Josh. Teraz.

Zacisnął mocno powieki, próbując rozpaczliwie opanować przyływy pożądania.

- Ariel, przez pewien czas nie powinniśmy być ze sobą. Oni mogliby pomyśleć...

Przywarła do niego mocniej, napierając biodrami.

- O kim mówisz?

- O policji... o tym Cassidym z biura prokuratora okręgowego. Na pewno uważają nas za podejrzanych.

- Bądź rozsądny, Josh. Pamiętaj, że ty jesteś moim, a ja twoim alibi.

Jej nonszalancja drażniła go, lecz skłonność Josha do młodej macochy była silna. Pobudzała ją frustracja i świadomość przekraczania tabu. Miał ochotę potrząsnąć nią, ale zamiast tego wsunął dłonie pod cienki bawełniany materiał, objął ją w pasie i przyciągnął mocno do siebie. Pocałował ją. Językiem wdarł się głęboko w pożądlive, wilgotne usta, opuszkami palców zaczął gładzić skórę jej pleców.

Poczuł niemal natychmiastową silną erekcję. Niecierpliwie sięgnął do suwaka przy spodniach, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- To pewnie nasz lunch - westchnęła Ariel. Jeszcze raz pocałowała go lekko, musnęła ręką wybrzuszenie przy rozporoku, potem wyswobodziła się z jego ramion. - Każ kelnerowi przynieść tacę do sypialni. Zjemy najpierw.

- Cassidy?

- Przy telefonie. - Przez chwilę żonglował słuchawką, próbując przełączyć fonię na głośnik i nie upuścić przy tym boloń-skiego sandwicza i piwa.

- Tu Glenn. Zostałem oficjalnie wyznaczony do sprawy Wilde'a.

W porządku, pomyślał Cassidy, Crowder postarał się. Detektyw Howard Glenn miał spełniać rolę głównego łącznika pomiędzy nim a policyjnym wydziałem zabójstw. Kiedy już Glenn dobierze sobie pluton odpowiednich funkcjonariuszy, on, Cassidy, powinien otrzymywać na bieżąco wszelkie informacje na temat postępów śledztwa. Wiedział, że Glenn należy do trudnych współpracowników. Był leniwy i niechlujny z wyjątkiem jednego - pracy detektywa. Ale był kompetentny i Cassidy'ego wcale nie interesowały wady jego charakteru.

- Masz coś nowego? - zapytał odkładając nie dojedzonego sandwicza.

- Dostaliśmy raport z laboratorium. Teraz zamierzamy zająć się nim dokładniej.

- Co z niego wynika?

- Znalezione odciski palców pochodzą od Wilde'a, jego żony i pokojówki odpowiedzialnej za apartament. Poza tym mamy mnóstwo innych szcątkowych śladów, ale te należą do poprzednich gości.

Chociaż Cassidy w zasadzie nie liczył na więcej, poczuł się nieco rozczarowany.

- Jakiś ślad broni?

- Niestety nie. Ktokolwiek wszedł do apartamentu Wilde'a i zabił go, zabrał broń ze sobą.

Brak narzędzia zbrodni oznaczał, że rozwiązanie sprawy i doprowadzenie jej do fazy aktu oskarżenia stawało się prawdziwym wyzwaniem. Szczęśliwie Cassidy lubił wyzwania. Im poważniejsze, tym lepiej.

- Kiedy otrzymasz pierwsze nagrania rozmów telefonicznych?

- Najwcześniej jutro rano. Na kogo jeszcze bierzemy namiar prócz żony i syna?

- Przedyskutujemy to jutro. Bądź ze mną w kontakcie. Odłożył słuchawkę, ugryzł kęs sandwicza, popił ciepłym piwem i powrócił do przerwanej zajęcia. Wcześniej zadzwonił do stacji telewizji kablowej, która nadawała program Wilde'a „Godzina modlitwy i dziękczynienia”, i poprosił o dostarczenie kopii możliwie wszystkich nagrań. Kierownictwo stacji bezzwłocznie dostarczyło kasety z nagraniami do jego biura. Zabrał je do domu, gdzie mógł przejrzeć wszystkie uważnie i w spokoju.

Programy były zrobione nad podziw zręcznie. Wilde stworzył oszałamiające widowisko z wypuszczaniem w niebo białych gołębi, orkiestrą, pięciusetosobowym chórem, połączonym pulpitem i odbitym w lustrach fortepianem Josha. Ogólny kształt przedstawienia pozostawał nie zmieniony. Za każdym razem początek widowiska obwieszczała pompatyczna fanfara tak głośna, jakby stanowiła zapowiedź końca świata. Potem chór rozpoczął śpiew, uwolnione gołębie z trzepotem skrzydeł wzbijały się w górę, podczas gdy Wilde schodził po krętych schodach, jak gdyby właśnie przed chwilą zakończył wizytę u Wszechmogącego, co zresztą zawsze sugerował w początkowych słowach swego wystąpienia.

Ariel, spowita w nieskazitelną biel, ze złotą ślubną opaską na włosach i dyskretnymi kolczykami w uszach - Wilde zwykł podkreślać, że ich jedyne bogactwo ma charakter duchowy - pojawiała się przy akompaniamencie trąbkowych tryłów.

Następnie publiczność zapoznawała się z Joshem, kiedy ten grał wstęp do pierwszej pieśni Ariel. Jej nie najlepszy głos zyskiwał wiele przy orkiestrze i chórze oraz dzięki systemowi nagłaśniającemu, którego koszt mógłby stanowić zapewne poważną część długów państwowych. Rozsyłała anielskie uśmiechy w kierunku męża, Josha, publiczności i ku niebu. Niezmiennie pod koniec utworu co najmniej jedna wymowna łza spływała z jej niebiańsko błękitnych oczu.

Cassidy był z natury sceptyczny i rzadko ulegał emocjom. Zupełnie nie potrafił zrozumieć, jak ktoś przy zdrowych zmysłach mógł dać się nabrać na to niepoważne widowisko, które było dziełem Wilde'a. Jego kazania karykaturalnie wypaczały przesłanie Ewangelii. Z dużo większym zaangażowaniem i chętniej krzyczał o potępieniu niż o łasce, o odrzuceniu niż o miłości, o ogniu piekielnym niż o przebaczeniu. Bardziej zajmował się szatanem niż Chrystusem. Łatwo było pojąć, czemu kapłani większości chrześcijańskich odłamów odnosili się do niego z lekceważeniem lub pogardą.

Jasne było, dlaczego Wilde wywoływał w prostych umysłach swoich zwolenników taki fanatyzm. Mówił im po prostu to, co chcieli usłyszeć. Przekonywał ich, że mają rację, a ten, kto nie podziela ich opinii, jest zły. Rzecz jasna, Bóg zawsze był po ich stronie.

Po kilkakrotnym przejrzaniu taśm i sporządzeniu notatek Cassidy wyłączył telewizor i pomaszerował do sypialni. Sprawdził stan czystej bielizny i koszul i doszedł do wniosku, że wyprawa do pralni czeka go dopiero za kilka dni. Kiedy był żonaty, Kris dbała o jego garderobę, zajmowała się domem, robiła zakupy, przyrządzała posiłki.

Przyczyną rozwodu nie była więc bynajmniej niedbałość z jej strony. On również mógłby zostać uznany za całkiem dobrego męża. Pamiętał zawsze o rocznicach i dniach urodzin, a szósty zmysł podpowiadał mu, kiedy seks nie wchodzi w grę, i wtedy powstrzymywał się od próśb.

Powodem rozwiązania trwającego cztery lata związku była bardziej apatia niż wrogość. Rozpadł się pod naciskiem zewnętrznych okoliczności, a ich wzajemna miłość okazała się za słaba, by utrzymać to małżeństwo. Po pewnym istotnym wydarzeniu, które zachwiało całym jego dotychczasowym, doskonale ustabilizowanym życiem, jedyne rozwiązanie dla siebie widział w przeprowadzce, ale o tym Kris nawet nie chciała słyszeć.

Kiedy dotarła do niego wiadomość o wolnej posadzie w

biurze prokuratora okręgowego w Nowym Orleanie, tego samego dnia złożył wniosek o przyjęcie do pracy i o rozwód. Według ostatnich wieści Kris nadal mieszkała w Louisville, ponownie wyszła za mąż i oczekiwała przyjścia na świat drugiego dziecka. Szczerze życzył jej szczęścia. Z pewnością nie można było jej winić za to, że praca była dla niego ważniejsza od niej i że po niepowodzeniu zawodowym musiał przewartościować całe swoje życie, nie wyłączając ich małżeństwa.

Pod pewnymi względami w dalszym ciągu ciążyły mu błędy z przeszłości. Walczył z tym od pięciu lat, ale bez powodzenia. Być może nie zdoła nigdy uwolnić się od tych problemów. Lecz o swoim małżeństwie wspominał bez żadnych emocji. O byłej żonie myślał jedynie wtedy, gdy odzywał się w nim biologiczny popęd i akurat nie miał przy sobie nikogo albo kiedy brakowało mu czystych koszul. To nie było w porządku wobec Kris. Na pewno zasłużyła na lepszą pamięć. Ale taka była kolej rzeczy.

Rozebrał się i położył do łóżka. Jego umysł zaprzętało zbyt wiele myśli, by mógł zasnąć od razu. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że ma erekcję. Jednak nie pragnął kobiety. To był rezultat podświadomej ekscytacji. Jego organizm wszedł w stadium fizycznego i psychicznego napięcia.

Leżąc bezsennie, analizował po kolei wszystkie fakty związane ze sprawą Wilde'a. Przeklinał w duchu, że było ich tak niewiele. Co do jednego miał pewność: ta sprawa zabierze mu z życia wiele miesięcy, o ile nie lat.

Nie zrażony taką perspektywą, miał wielką ochotę i zamierzał spróbować. Wcześniej już zadbał, aby gazety, które chciały zamieścić relację o morderstwie, otrzymały odpowiednie informacje. Do niego oficjalnie należało kierowanie śledztwem, a gdyby doszło do procesu - występowanie po stronie oskarżenia. Otrzymał to, o co sam prosił. Nie mógł zawieść. Musiał udowodnić Crowderowi, że ten słusznie mu zaufał. Sobie również musiał to udowodnić.

Rozdział III

Budynek, którego szukał, znajdował się przy końcu Peters Street. Był ostatni w rzędzie dużych, murowanych z tradycyjnej cegły domów składowych. Tutaj mieściło się niegdyś centrum handlowe starej francuskiej dzielnicy przemysłowej. Większość okolicznych budynków, włączając w to również pobliski browar Jaxa, przebudowano wewnątrz i zamieniono w nowoczesne bistra i małe pomieszczenia sklepowe.

Teraz miejsce to grzeszyło brakiem harmonii i było mieszaniną elementów tradycyjnej nowoorleańskiej architektury i ekspansywnej komercji w złym guście. Starzy mieszkańcy dzielnicy, którzy pragnęliby zachować mistyczną atmosferę Vieux Carre, uważali to nastawienie wyłącznie na zysk za godną potępienia profanację. Jednakże fasada Francuskiego Jedwabiu z całą pewnością mogła odpowiadać ich gustom.

Cegły pomalowano białą farbą, ale mimo to ściana budynku od strony ulicy miała na sobie wyraźne ślady niszczącego działania czasu. Zgodnie ze stylem kreolskim wszystkie okna miały błyszczące czarne okiennice. Na poziomie pierwszego i drugiego piętra dodano ozdobne czarne balustrady imitujące balkony. Nad wejściem widniała wymalowana kursywą nazwa firmy.

Cassidy odkrył wkrótce, że frontowe drzwi były atrapą. Do budynku wchodziło się przez ciężkie, metalowe drzwi od strony Conti Street. Dzwonek zadźwięczał głośno jak w szkole. Na reakcję czekał kilka sekund.

- O co chodzi? - W wejściu przywitała go kobieta o silnej sylwetce dokera. Na przedramieniu wewnątrz czerwonego serca miała wytatuowane niebieskimi literami imię „Ralph”. Widoczny nad górną wargą wąsik zraszały krople potu. W zakładzie, w którym szyto damską bieliznę, wyglądała równie nie na miejscu jak gracz w rugby na balu dla dorastających panienek. Cassidy z całego serca współczuł Ralphowi.

- Nazywam się Cassidy. Czy to pani jest Claire Laurent? Jej głos przypominał ryk portowej syreny.

- Czy to miał być dowcip?

- Nie. Szukam Claire Laurent. Jest tutaj? Zmierzyła go podejrzliwym wzrokiem.
- Jedną minutę. - Przytrzymując drzwi nogą, podniosła słuchawkę przymocowanego do ściany telefonu. - Jakiś facet chciałby się widzieć z panną Laurent. Niejaki Keneddy.
- Cassidy - poprawił z grzecznym uśmiechem. Wprawdzie nie był żadnym Schwarzeneggerem, ale umiałby walczyć o swoje w zwykłej bójce. Jednakże nie miał najmniejszej ochoty wplątywać się w kabałę z tym holownikiem. Czekał na dalsze instrukcje, przypatrywała mu się bezceremonialnie. W pewnym momencie, zasłoniwszy dłonią mikrofon, splunęła ponad jego ramieniem. W końcu odezwała się znowu:
 - Panna Laurent chce wiedzieć, w czym rzecz.
 - Jestem z biura prokuratora okręgowego. - Z kieszeni na piersi wyciągnął legitymację. Zasłużył tym sobie na kolejne nieufne spojrzenie.
 - On jest z biura prokuratora okręgowego. - Po chwili kobieta odwiesiła słuchawkę. - Tędy. - Nie wyglądała na zadowoloną z decyzji swojej chlebodawczyni. Stąpała gumowymi podeszwami butów po betonowej posadzce, jakby przy każdym kroku rozdeptywała karalucha. Poprowadziła go wzdłuż rzędów kartonowych pudeł, zapakowanych i przygotowanych do wysyłki.
- Duże wentylatory zamontowane w ścianie pracowały hałaśliwie, przemieszczając jedynie ciepłe, wilgotne powietrze. Łopatki wiatraków przecinały strumień słonecznego światła, tworząc w pomieszczeniu surrealistyczny nastrój.
- Cassidy poczuł łaskotanie potu, który zaczął spływać mu po plecach. Postanowił w duchu nie mieć za złe kobiecie jej spoconej górnej wargi. Zdjął z siebie marynarkę i zarzucił ją na ramię. Potem jeszcze rozluźnił węzeł krawata. Przemierzając wnętrze budynku zauważył, że wszędzie panuje porządek i jest czysto. Zajęte szyciem pracownice, z pozoru niewrażliwe na wysoką temperaturę, rozmawiały beztrosko między sobą. Kilka z nich obrzuciło go ciekawym spojrzeniem, lecz żadna z nich w taki sposób, w jaki to zrobiła kobieta-doker. Przypuszczał, że jej podejrzliwość wiązała się z charakterem pracy, przy której zapewne obecność intruzów takich jak on nie była pożądana.
- Kiedy doszli do windy towarowej, jego przewodniczka rozsunęła ciężkie drzwi.
 - Pierwsze piętro.
 - Dziękuję.

Drzwi zamknęły się ze szcękaniem. Znalazł się w windzie większej niż łazienka w jego mieszkaniu. Jadąc do góry, podwinął rękawy koszuli.

Wysiadł z windy i znalazł się w długim hallu, od którego odchodziły odnogi mniejszych korytarzy z wejściami do biur. Stamtąd słyszał odgłosy urzędniczej działalności. Bezpośrednio przed nim znajdowały się szerokie podwójne drzwi. Wyczuł instynktownie, że znajdzie za nimi pannę Laurent.

Rzeczywiście, wszedł do klimatyzowanego, wyłożonego dywanem pomieszczenia, w którym za biurkiem błyszczącym od szkła i lakieru siedziała uśmiechnięta sekretarka.

- Pan Cassidy? - zapytała uprzejmie.

- Zgadza się. - Nie spodziewał się tak luksusowego biura. Nie powinien był zdejmować marynarki i rozluźniać krawata. Jednakże nie miał czasu naprawić swego błędu, bo sekretarka podprowadziła go do kolejnych podwójnych drzwi.

- Panna Laurent czeka na pana. Proszę po prostu wejść. Po drugiej stronie napotkał następną serię niespodzianek. Oczekiwał, że zobaczy podobnie bogate wnętrze. Zamiast tego ujrzał przestronną pracownię, z której okien roztaczał się panoramiczny widok na Missisipi. Było tam kilka stołów do rysowania z kompletem przyborów, były stojaki, próbki materiałów, trzy bezgłowe manekiny, była maszyna do szycia... i kobieta.

Siedziała na wysokim taborecie z ołówkiem w dłoni, pochylając się nad jednym ze stołów do rysowania. Kiedy za Cassidym zamknęły się drzwi, uniosła głowę i spojrzała na niego zza okularów w oprawkach ze skorupy żółwia.

- Pan Cassidy?

- Panna Laurent?

Zdjęła okulary, odłożyła ołówek i podeszła do niego z wyciągniętą ręką.

- Tak, Claire Laurent.

Takiej twarzy, figury, stroju w ogóle się nie spodziewał. Ściskając z kurtuazją jej dłoń, popadł na moment w stan lekkiego oszołomienia. Ale na jakiej podstawie sądził, że Claire Laurent będzie wyglądała tak jak wielbicielka tajemniczego Ralpha? Albo jak ta słodka laleczka, sekretarka? Nie przypominała ani jednej, ani drugiej. Trudno było uwierzyć, że ona i dozorczyńni należą do tego samego rodzaju istot. Jeszcze trudniej byłoby zaliczyć je do tej samej płci.

Claire Laurent miała na sobie szerokie spodnie w kolorze dojrzałych liści tytoniu i luźną jedwabną bluzkę. Z całą pew-

nością w jej powierzchowności nie było żadnych cech męskich. Nie była też taka śmiała i przyjazna jak jej sekretarka.

Była wysoka i szczupła. Miała modnie podkreślone ramiona. Piersi nieduże, ale wyraźnie zarysowane, ukryte pod koronkowym stanikiem, którego skrawek, jak mu się zdawało, dostrzegł w rozcięciu kremowej bluzki. Jej oczy były koloru pierwszorzędnej whisky, a jeśliby whisky miała głos, to brzmiałby on dokładnie tak jak jej głos - aksamitnie i ciepło.

- Pan chciał widzieć się ze mną? Uwolnił jej rękę.

- Tak.

- Co mogłabym zaproponować panu do picia? Wskazała w kierunku otomany z poduszkami oraz niskiego stolika między dwoma miękkimi fotelami. Na jednym z nich znajdował się koszyk wypełniony kłębkami różnokolorowej włóczki. Na stole stało kilka kryształowych karafek, które odbijały promienie popołudniowego słońca i barwiły tęczą białe ściany i drewnianą podłogę.

- Niestety nic. Dziękuję.

- Może powieszę pańską marynarkę?

Już prawie ją podał, lecz w ostatniej chwili rozmyślił się.

- Nie, dziękuję. Nie trzeba. Przepraszam za niedbały strój, ale na dole jest prawdziwa sauna.

Panna Laurent była inna, niż oczekiwał, a to kosztowało go kilkusekundową utratę samokontroli. Lubił zawsze panować nad sobą i nad sytuacją. Teraz chciał się odegrać za tę chwilę słabości. Ostatnie zdanie, pozornie niewinne, zamierzone było jako uszczypliwa uwaga, czego nie zauważyłby jedynie ktoś z głową w chmurach. Panna Laurent zauważyła.

Jej oczy rozbłysły, jakby zamierzała się bronić, lecz w rezultacie puściła uWagę mimo uszu.

- Rzeczywiście, czasami robi się tam nieprzyjemnie ciepło. Proszę, niech pan siądzie.

- Dziękuję.

Podszedł do jednego z foteli, usiadł, a marynarkę ułożył na kolanach. Ona zajęła miejsce na otomanie. Dostrzegł, że miała startą szminkę, tak jakby koncentrując się na pracy przygryzała swą pełną dolną wargę. Jej jasnokasztanowe włosy połyskiwały jak ogień w słonecznym świetle. Minęło zaledwie kilka chwil, a już zdążył się trochę o niej dowiedzieć. Że Claire Laurent była przede wszystkim kobietą pracy, w której zachowaniu nie wyczuwało się nawet cienia próżności czy kobiecej afektacji. Że za jej gościnnością kryło się

zdenerwowanie. Zdradzało je pulsowanie tętnicy na jej pięknej, wysmukłej szyi.

Zerknął na medalion w kształcie małej buteleczki zawieszony na czarnym jedwabnym sznurku. Powędrowała za jego wzrokiem i wyjaśniła:

- To prezent od mojej przyjaciółki Yasmine.

- Co jest w środku? - Mała błyszcząca fiołka przy jej piersi zawierała przeźroczysty płyn. - Elixir miłości?

Ich spojrzenia spotkały się. I naraz Cassidy zaczął współczuć samemu sobie za ostatnią noc, kiedy to położył się do łóżka z nie chcianą, dręczącą erekcją. Wolałby też, by dzisiejsza wizyta była mniej oficjalna.

Zamiast odpowiedzieć Claire zdjęła z fiołki zatyczkę, podniosła ją do ust i dmuchnęła w miniaturową rurkę.

Dziesiątki maleńkich, opalizujących baniek wystrzeliło w górę, zasłaniając niemal jej twarz.

Roześmiał się ze zdziwienia, rozładowując zarazem część nagromadzonego w sobie napięcia.

- Niewinne zajęcie na chwile, kiedy czuję się przytłoczona pracą - powiedziała. - Yasmine bardzo często obdarowuje mnie podobnymi drobiazgami, twierdząc, że traktuję siebie za bardzo poważnie. - Uśmiechając się zamknęła fiołkę.

- Czy to prawda?

- Co? - Podniosła głowę.

- Że traktuje pani siebie za bardzo poważnie.

Jej reakcja uświadomiła mu, że posunął się za daleko. Nagle przestała się uśmiechać. Nadal uprzejmie, ale z odrobiną zniecierpliwienia w głosie zapytała:

- W jakiej sprawie przyszedł pan do mnie, panie Cassidy? Czy może chodzi o ten podejrzany czek, o którym powiadomiłam biuro prokuratora okręgowego?

- Podejrzany czek? Nie, niestety nie.

- Cóż wobec tego pana do mnie sprowadza?

- Sprawa wielbego Jacksona Wilde'a - rzucił bez wstępów. Wypowiedziane przez niego słowa zabrzmiały jak wyzwanie. Jednakże nie podniosła rękawicy, lecz nadal przyglądała mu się pytająco, czym zmusiła go do wyjaśnień.

- Domyślałam się, że słyszała pani o jego śmierci.

- Oczywiście. Nie widział mnie pan w telewizji? Zdziwił się.

- Nie. A kiedy to było?

- W dniu znalezienia ciała Wilde'a. Przedwczoraj. Reporterzy chcieli usłyszeć moje oświadczenie. Niestety chyba nie speł-

niłam ich życzeń i nie zaprezentowałam się odpowiednio dramatycznie. Ale w końcu to nie ja odpowiadam za telewizyjne wiadomości.

- Czy ich wizytę przyjęła pani z ulgą, czy z rozczarowaniem?

- Nie rozumiem. - Ponownie uśmiech zgasł na jej ustach. Cassidy zmienił taktykę.

- Co pani wie o mordercy?

- Co wiem? - powtórzyła wzruszając ramionami. - Tylko to, co przeczytałam w gazetach i zobaczyłam w telewizji.

Dlaczego pan pyta?

- Znała pani wielbego Wilde'a?

- Chodzi panu o to, czy zetknęłam się z nim osobiście? Nie.

- Nigdy?

- Nigdy.

- Ale on panią znał. - Milczała, lecz nie wyglądała już na tak opanowaną, spokojną i zrównoważoną jak jeszcze przed chwilą. - Znał panią, panno Laurent, prawda? I to na tyle dobrze, żeby po jego śmierci mediom zależało na pani opinii.

Zwilżyła usta zgrabnym, różowym językiem, co rozproszyło go na moment.

- Wielbny Wilde wiedział, jak się nazywam. Znał mnie jako właścicielkę Francuskiego Jedwabiu i wyklinał z za swojego pulpitu za szerzenie pornografii.

- Jak pani to odbierała?

- A jak pan myśli? - Nagle dając upust wzburzeniu, które, jak podejrzewał, wzbierało w niej pod maską spokoju, wstała gwałtownie i obeszła otomanę.

- Podejrzewam, że to się pani cholernie nie podobało.

- Ma pan absolutną słuszność, panie Cassidy. Nie podobało mi się. Twierdził, że mój katalog jest sprośny. To słowo nie pasuje ani do mojej firmy, ani do mojego katalogu.

- Była pani na czarnej liście Wilde'a. Wie pani o tym?

- O czym pan mówi?

Cassidy wyjął z kieszeni marynarki kartkę papieru, którą następnie rozłożył i wręczył jej, mimo że ona nie poruszyła się nawet, by ją od niego odebrać.

- Tę sporządzoną odręcznym piśmem listę czasopism znaleźliśmy wśród osobistych rzeczy Wilde'a. Jest tutaj „Playboy”, „Hustler” i niemal wszystkie ważniejsze magazyny z nagimi dziewczętami. Również katalog Francuskiego Jedwabiu.

Tego dnia rano, kiedy z Howardem Glennem omawiali kilka szczegółów sprawy, detektyw wyraził niewielkie zainteresowa-

nie listą. Glenn w swym dochodzeniu skoncentrował się na żonie i synu Wilde'a. Jego zdaniem oni właśnie byli najbardziej podejrzani.

Prawdopodobnie miał rację, ale Cassidy nie chciał ograniczać śledztwa do jednego tylko kierunku. Na sugestię sprawdzenia Francuskiego Jedwabiu Glenn zareagował obojętnym wzruszeniem ramion, uważając to za oczywistą stratę czasu.

Wizyta u Claire Laurent sprawiła, że Cassidy był przeciwnego zdania. Wprawdzie jego gospodyni charakterologicznie nie bardzo mieściła się w typie mordercy, ale było pewne, jak dwa razy dwa jest cztery, że coś jednak ukrywała, no i miała osobiste powody, by nie darzyć nadmierną sympatią byłego kaznodziei.

Przez chwilę Claire wpatrywała się w kartkę papieru, potem wskazała na nią ze złością.

- Nie wiedziałam o tej liście. Mój katalog nie ma absolutnie nic wspólnego z pozostałymi tytułami.

- Najwidoczniej Wilde myślał inaczej.

- Mylił się.

- Panno Laurent, pani firma była obiektem oszczerstw i niewybrednych ataków mających na celu sparaliżowanie jej działalności. Kilka tygodni przed śmiercią Wilde złożył świętą przysięgę, że nadejdzie dzień zapłaty. Zobowiązanie podpisał własną krwią.

- Najwidoczniej był obłąkany.

- Miał tysiące gorliwych zwolenników.

- Hitler też miał. Niektórzy ludzie są jak bezwolne owieczki. Trzeba im powiedzieć, w co mają wierzyć, ponieważ nie potrafią samodzielnie myśleć. Aby zapanować nad ich umysłami, wystarczy dostateczną ilość razy powtórzyć to, co chcieliby usłyszeć. Potem już gotowi są przyjąć każdą bzdurę. Żal mi ich, ale każdy ma prawo postępować według własnego wyboru. Chciałabym, aby również w stosunku do mnie inni uszanowali to prawo. Na tym polega istota mojego sporu z Jacksonem Wilde'em. Natomiast on uważał, że tylko jego poglądy są właściwe. Krytykował mój katalog, w porządku. Tego nie mam mu za złe. Ale kto go upoważnił, żeby niszczył moją pracę?

- Zwykł mawiać, że Bóg.

- Na co mamy jedynie jego słowo, nieprawdaż?

Teraz była już rzeczywiście zdenerwowana. Oddychała coraz szybciej. Dzięki tej chwili wzburzenia Cassidy dowiedział się czegoś więcej o Claire Laurent. Z pozoru była kobietą opanowaną, ale w jej piersi biło serce skłonne do silnych namiętności.

Nagle uświadomił sobie, że stoi, chociaż nie przypominał sobie, by wstawał.

- A więc miała pani poważny problem z naszym telewizyjnym apostołem i zagrożeniem, jakie stwarzał dla pani firmy.

- To raczej on miał problem, nie ja.

- Ogłosił panią swoim wrogiem i poprzysiął nie spocząć, dopóki nie zwycięży.

- Wobec tego była to jego walka. Ja w niej nie uczestniczyłam.

- Jest pani pewna?

- A pańskim zdaniem było inaczej?

- W każdej wojnie muszą brać udział co najmniej dwie strony. Czyż ta nie dotyczyła was dwojga?

- Nie. Ja zignorowałam Wilde'a.

- Gdzie pani była w nocy ósmego września? Raptownie podniosła głowę.

- Co proszę?

- Jestem pewien, że pani dobrze słyszała.

- W nocy ósmego września zamordowano Wilde'a. Czy mam rozumieć, że pan mnie podejrzewa?

- Załóżmy.

- Niech pan idzie do diabła!

Po tych słowach zapadła złowieszcza cisza. Nagle za Cassidym ktoś otworzył podwójne drzwi. Odwrócił się szybko, niemalże oczekując zjawienia się kobiety-dokera, spieszącej, by z właściwą sobie wprawą wyeksmitować go z pomieszczenia.

Na szczęście kobieta, która weszła do środka, sprawiała wrażenie tak delikatnej, jakby nie była w stanie skrzywdzić muchy.

- Och, wielkie nieba! - zawołała na jego widok. Kładąc dłoń na piersi powiedziała: - Nie wiedziałam, że mamy gościa. Claire, kochanie, dlaczego mnie nie uprzedziłaś, że spodziewamy się wizyty? Przebrałabym się w coś bardziej stosownego. Wróciwszy do równowagi, Claire podeszła i wzięła ją pod ramię.

- Ty zawsze pięknie wyglądasz, mamó. Pozwól, że przedstawię ci naszego gościa.

Kiedy podchodziły do niego, Cassidy po raz kolejny tego dnia przeklinał w duchu swoje położenie. Od samego początku nie panował nad sytuacją. Stracił kontrolę, gdy na dole powitała go tamta zwałista amazonka, i właściwie już jej nie odzyskał. Wprawdzie przed chwilą wywalczył sobie korzystniejszą pozy-

cję, ale wszystko zepsuło pojawienie się tej kobiety przy boku Claire.

- Mamo, to jest pan Cassidy. Przyjechał... w sprawach handlowych. Panie Cassidy, moja matka, Mary Catherine Laurent.

- Pani Laurent - powiedział.

Skromnie wyciągnęła rękę. Przez moment czuł presję szaleńczego impulsu, by pochylić się i pocałować podaną dłoń, ale w końcu uściśnął ją tylko lekko i uwolnił.

Przed sobą miał zadziwiająco młodzieńczą twarz otoczoną falującymi, jasnobrązowymi włosami. Matka Claire przyglądała mu się z lekko przechyloną głową.

- Jest pan zdumiewająco podobny do swojego ojca, panie Cassidy. Pamiętam, jak przychodził na bale kotyliionowe w wyjściowym mundurze. My, dziewczęta, niemal mdlałyśmy na jego widok.

Przyłożyła palce do policzka, jak gdyby chcąc powstrzymać rumieniec zawstydy.

- Wiedział, że jest przystojny, i bezwstydnie łamał nasze serca. Postępował jak prawdziwy szubrawiec, aż pewnego lata spotkał pańską matkę, która przyjechała na wakacje z Biloxi. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, nosiła prostą, muślinową sukienkę i miała wpiętą we włosy białą kamelię. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Razem tworzyli taką piękną parę.

Cassidy spojrzał niepewnie na Claire. Uśmiechała się, jakby słowa jej matki były całkowicie na miejscu.

- Usiądź, mamo. Nie miałabyś ochoty na odrobinę cherry?

Mary Catherine usiadła w fotelu i starannie ułożyła na kolanach fałdy sukienki. Cassidy wyczuł delikatny zapach jej perfum.

- Ponieważ zbliża się piąta, przypuszczam, że mogę sobie pozwolić na cherry. Panie Cassidy, pan będzie mi towarzyszył, prawda? Damie nie wypada samotnie pić alkoholu.

Cherry? Nigdy nie zasmakował w tym trunku i nie sądził, aby kiedykolwiek go polubił. W tym momencie najchętniej wlałby w gardło jedną albo dwie solidne porcje czystej chivas. Lecz zachęcającemu uśmiechowi Mary Catherine nie był w stanie się oprzeć nawet taki zblazowany prokurator jak on. Może Bóg nie dopuści, aby musiał powołać tę kobietę na świadka. Wystarczyłby jeden jej uśmiech, aby przekonać ławę przysięgłych, że Księżyc to nic innego, tylko zawieszony na niebie słynny filadelfijski ser.

- Z przyjemnością - usłyszał własny głos. Posłał uśmiech w kierunku Claire; nie odwzajemniła go.

Zimny wyraz jej twarzy klócił się wyraźnie z ciepłym kolorem jej policzków, bardziej jeszcze zaróżowionych w świetle zachodzącego słońca.

- Proszę mi opowiedzieć o Akademii, panie Cassidy - powiedziała Mary Catherine. - Kiedy pana przyjęto, byłam z tego prawie tak samo dumna jak pańscy rodzice.

Tylko dzięki sportowemu stypendium Cassidy mógł uczęszczać do podrzędnego college'u w rodzinnym miasteczku w stanie Kentucky. Zamierzał potem pracować przez rok i zbierać dość pieniędzy, by wstąpić na uniwersytet.

Nawet w myślach nigdy nie był kandydatem do Akademii Wojskowej. Na ochotnika wstąpił do wojska, a następnie, po zwolnieniu, skończył wydział prawniczy. W sfinansowaniu studiów pomogła mu w pewnym sensie wietnamska armia.

- No cóż, nie zawiodłem się pod żadnym względem - powiedział przyjmując kieliszek sherry, który Mary Catherine naląła mu z błyszczącej, kryształowej karafki.

- Claire, a może dasz się skusić? - Mary Catherine podniosła kieliszek w kierunku córki.

- Nie, dziękuję, mam jeszcze sporo pracy przed sobą. Mary Catherine potrząsnęła głową ze współczuciem i zwróciła się do Cassidy'ego:

- Ona bez przerwy pracuje. O wiele za dużo jak na młodą damę. Ale jest bardzo utalentowana.

Tak, to widać. - Już wcześniej zauważył oprawione projekty wiszące na ścianach.

- Usiłowałam nauczyć ją robienia na drutach i szydełkowania - powiedziała starsza kobieta, wskazując na kosz z kłębkami włóczki przy swoich stopach - ale Claire Louise woli zajmować się wyłącznie ubraniami. Zaczęła od papierowych lalek. Kiedy skończyły się stroje w książkach, rysowała, kolorowała i wycinała własne rysunki. Uśmiechnęła się czule do córki.

- Modele jej pomysłu były o wiele ładniejsze niż te w książkach. Potem od papierowych lalek przeszła do szycia. Ile miałaś lat, kiedy poprosiłaś o maszynę do szycia pod choinkę?

- Chyba dwanaście - odpowiedziała niechętnie.

- Dwanaście! - wykrzyknęła Mary Catherine. - Dostała ją i od tamtego dnia poświęca cały wolny czas na szycie ubrań z wykrojów, które kupuje albo które robi sama. Tak, tak, do tego ma prawdziwy talent.

Pochyliła wstydliwie głowę, zarumieniła się lekko.

- Oczywiście pewne rzeczy, które Claire teraz robi, nie

bardzo mi się podobają. Są jakby trochę za małe. Chociaż może ja jestem staroświecka. Dzisiaj młode kobiety nie są już tak skromne jak za moich czasów. - Wypiła mały łyk cherry, potem spojrzała na niego ciekawie. - Niech pan mi powie, panie Cassidy, czy pański wuj, Clive, nadal szuka ropy na Alasce? Ropa to taki niewdzięczny i ryzykowny interes.

Zanim zdążył odpowiedzieć na pytanie o swojego nie istniejącego wujka, drzwi za nimi otworzyły się ponownie. Tym razem towarzyszył temu odczuwalny podmuch powietrza, chociaż otwierały się na zewnątrz. Tak go poruszył widok kobiety, która weszła do środka, że poderwał się na równe nogi, prawie rozlewając cherry.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknęła kobieta spostrzegłszy Mary Catherine. - A już myślałam, że znowu się wymknęła. Miała co najmniej sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i nogi wysmukłe jak u gazeli. Jej efektowne ciało okrywał krótki, sięgający połowy ud szlafrok, a głowę owijał turban z ręcznika. Twarz, nawet bez makijażu, była urzekająca - ogromne oczy w kolorze agatu; mały, prosty nos; pełne usta; ładnie wymodelowana szczęka; wysoko położone, wystające kości policzkowe. Egzotyczna piękność przeszła w głąb pokoju wyniosłym krokiem afrykańskiej księżniczki.

- Wybacz, Claire. Harry musiała dzisiaj wyjść wcześniej, a ja zdecydowałam się na szybką kąpiel. No i podczas mojej nieobecności Mary Catherine zniknęła. O tej porze wszyscy już zabrali się do domów. Boże, pomyślałam, że tym razem naprawdę nawaliłam.

- Wszystko w porządku, Yasmine.

- Kto to jest? - Odwróciła się do Cassidy'ego z wyrazem szczerego zainteresowania.

Claire przedstawiła ich sobie. Uścisnął jej dłoń, długą i smukłą. Nawet z bliska skóra Yasmine zdawała się nieskazitelnie gładka. Na jej powierzchni o odcieniu kawy z mlekiem perliły się jeszcze krople wody, co świadczyło o tym, że przyjaciółka Claire nie traciła czasu na wycieranie. Niewątpliwie szlafrok był jedyną rzeczą, jaką miała na sobie, a w jej olśniewającym białą zębów uśmiechu w ogóle nie było śladu skrępowania.

- Miło mi poznać pana, panie Cassidy.

- Mnie również. Jestem pełen uznania dla pani pracy.

- Dziękuję. - Zerknęła pytająco na Claire, a po chwili znowu przeniosła wzrok na Cassidy'ego. - Czy może powinnam wiedzieć, kim pan jest i dlaczego przyszedł pan tutaj?

- Nie.

Nastąpiła chwila niezręcznej, krepującej ciszy. W końcu przerwała ją Claire.

- Yasmine, czy mogłabyś zabrać mamę z powrotem na górę? Może wziąć ze sobą swój kieliszek cherry. Przyjdę do was na obiad, jak tylko załatwię sprawę z panem Cassidyem.

- Chodźmy, Mary Catherine - powiedziała Yasmine. - Claire ma ważną sprawę do załatwienia.

Mary Catherine wstała bez wahania. Na pożegnanie podała Cassidy'emu rękę. Tym razem nie namyślał się i podniósł ją do ust. Starsza dama rozpromieniła się. Poprosiła go, żeby był tak uprzejmy i przekazał ukłony swojej rodzinie. Potem, ciągnąc za sobą niewidoczną smużkę zapachów - róż i sherry - opuściła pokój przy boku oniemiałej ze zdziwienia Yasmine.

Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, Cassidy odwrócił się do Claire.

- Współczuję. To może być uciążliwe. Mój ojciec przed śmiercią wiele lat cierpiał na chorobę Alzheimer'a.

- Moja matka nie cierpi na chorobę Alzheimer'a, panie Cassidy. Po prostu miesza często przeszłość z teraźniejszością. Czasami wydaje się jej, że rozpoznaje wśród ludzi, z którymi się styka, kogoś, kogo znała wcześniej.

- Wcześniej? To znaczy: kiedy?

- Zanim stała się taka, jaka jest - odpowiedziała wymijająco. - Ludzi podobnych do niej nazywa się zwykle wariatami, szaleńcami, odmieńcami. Pan dobrze zna te wszystkie dobitne określenia. Ja znam. Słyszałam je wiele razy. Odkąd znalazłam się na tym świecie, moja matka nigdy nie była inna. I choć jestem wdzięczna, że traktuje ją pan uprzejmie, to jednak nie zamierzam dyskutować z panem o stanie jej umysłu. W istocie nie zamierzam też rozmawiać z panem na żaden inny temat. - Wstała, dając tym samym niedwuznacznie do zrozumienia, że jeśli o nią chodzi, ich spotkanie dobiegło końca. - Nie znałam Jacksona Wilde'a, panie Cassidy. Pan o to pytał. Udzieliłam wyczerpującej odpowiedzi. Odprowadzę pana do drzwi.

Kiedy przechodziła obok niego, pochwycił ją za ramię i przytrzymał w miejscu.

- Więc to jeszcze do pani nie dotarło, prawda? A jeżeli nawet, to zapewne jest pani wystarczająco sprytna, żeby tego nie okazać.

- Proszę mnie puścić.

Wydało mu się, że materiał bluzki, tak delikatny i cienki,

stopił się w jego dłoni, która dotknęła jej skóry. Pod palcami poczuł ustępującą twardość kobiecej piersi. Powoli, niemal z żalem, rozluźnił palce.

- Cóż takiego miałoby do mnie „dotrzeć”, panie Cassidy?

- Że nie przyszedłem tutaj na pogaduszki i cherry.

- Doprawdy?

- Przyszedłem oficjalnie przesłuchać panią w związku z zabójstwem Jacksona Wilde'a.

Zaczęła szybciej oddychać. Zadrżała mimowolnie.

- To absurdalne.

- Nie sędzę. Wystarczy rozważyć, ile by pani straciła, gdyby Wilde zrealizował swoje zamiary.

- Nigdy by do tego nie doszło.

- Być może chciała pani uzyskać absolutną pewność.

Przegarnęła dłonią włosy. Stopniowo powracała do równowagi. Z jej czoła zniknęły zmarszczki konsternacji. Kiedy ponownie na niego spojrzała, jej twarz była gładka jak u porcelanowej lalki.

- Panie Cassidy, powiedziałam już panu, że nigdy nie zetknęłam się osobiście z wielbnym Wilde'em. Nigdy też bezpośrednio nie kontaktowaliśmy się ze sobą. Nie rozmawialiśmy nawet przez telefon, chociaż zwracał się do mnie ktoś z jego personelu, bym stanęła z nim do publicznej debaty. Za każdym razem odmawiałam. I w tym sensie nic mnie z tym człowiekiem nie łączy. Ja go nie zabiłam.

- A jednak był poważnym zagrożeniem dla pani firmy.

- Był dostarczycielem fanatycznych iluzji! - wykrzyknęła, tracąc na chwilę zimną krew. - Czy pan naprawdę wierzy, że on mógłby pogrążyć imperium „Playboya”?

- Gra z panią szła o co innego.

- Zgoda. I co dalej?

- To, że pani firma ma siedzibę właśnie w Nowym Orleanie. Być może skorzystała pani z okazji, że przyjechał ze swoją misją do naszego miasta, i zamknęła mu pani usta na zawsze.

Z zadowoleniem złożyła dłonie na brzuchu.

- To byłoby chyba zbyt oczywiste, nieprawdaż? Może pan wierzyć, że jestem zdolna do popełnienia morderstwa, ale proszę nie ujmować mi inteligencji.

- W żadnym razie - powiedział łagodnie, zaglądając głęboko w jej bursztynowe oczy. - Nigdy tego nie zrobię, może być pani pewna.

Jego spojrzenie trwało o kilka uderzeń serca za długo, by na miejsce wyrazu oskarżenia nie pojawiło się w nim coś więcej niż

51

tylko zainteresowanie. Cassidy czuł się coraz bardziej nieswojo. Jednakże to Claire przerwała ciszę.

- To jasne, że nie ma pan żadnego namacalnego śladu, który łączyłby moją osobę z tą zbrodnią.

- Skąd pani wie?

- Bo nic takiego nie istnieje. Nie było mnie tam. - Podniosła dumnie głowę. - Liczy pan na przypadek, szukając wokół po omacku jak ślepiec. Co zresztą możecie zrobić, kiedy policji i wam, prokuraturze, brakuje podejrzanego? Tymczasem morderca postarzał się już o ponad trzy doby. Czas nagli, a tu wdowa oskarża lokalne władze o opieszałość, niekompetencję i obojętność. Dostaje się wam od środków masowego przekazu, a zwolennicy Wilde'a żądają szybkiego osądzenia i ukarania sprawcy. Krótko mówiąc, panie Cassidy, potrzebuje pan kozła ofiarnego. Ma pan poważny problem, współczuję, ale to nie znaczy bynajmniej, że zgadzam się, by mnie obrażano i naruszano moje prawo do prywatności. Proszę odejść.

Cassidy był pod wrażeniem trafności jej słów. To prawda, że Crowderowi coraz bardziej doskwierała duszna atmosfera, jaka wytworzyła się po zamordowaniu Wilde'a. W doniesieniach prasowych z coraz większą złośliwością i coraz większym sarkazmem komentowano poczynania policji.

Ariel Wilde i najbliżsi członkowie świty jej zamordowanego męża krytykowali nieomalże wszystkich, od szacownego burmistrza poczynając, na prostym policjancie kończąc. Wdowa pragnęła odebrać ciało Wilde'a, aby przewieźć je do Tennessee i tam pogrzebać, ale policja ociągała się z wydaniem zwłok, licząc, że mimo dokładnej autopsji dokonanej przez Elvie Dupuis znajdzie być może jeszcze jakiś przeoczony, a istotny szczegół. Całą sytuacją, dokładnie jak to przewidywał Crowder, przeradzała się w straszliwy zamęt.

Claire Laurent miała pod każdym względem rację. Smutna prawda polegała na tym, że Cassidy rzeczywiście nie dysponował nawet najdrobniejszym dowodem, który świadczyłby o jej związku ze zbrodnią. Z drugiej jednak strony od momentu przekroczenia progu tego pokoju nie opuszczało go przeczucie, że ona coś przed nim ukrywa. Była niezwykle uprzejma, to prawda, ale naturalny instynkt podpowiadał mu, iż uważa jego obecność tutaj za co najmniej niepożądaną.

Kiedy dawniej pracował jako adwokat, ten sam wrodzony instynkt podpowiadał mu, czy jego klient jest winny, mimo że zapewniał o swojej niewinności. Tym szóstym zmysłem wyczuwał kłamstwo w zeznaniach świadków. To wewnętrzne prze-

czucie uprzedzało go o zwycięstwie lub porażce, zanim jeszcze ogłoszono wyrok. Ów instynkt rzadko zawodził. Ufał mu i polegał na nim.

Wiedział, że Claire Laurent prowadzi bogatsze życie, niż komukolwiek mogłoby się wydawać, gdyby sądził po pozorach. Być może oczy zdradzały, co kryje się w jej duszy, ale nieczęsto udawało się w nie zajrzeć. Z całą pewnością była kimś więcej niż utalentowaną kobietą interesu, kimś więcej, niż na to wskazywały jej wspaniałe, seksowne włosy i usta, które sprawiały też, iż cieszył się, że nawet asystent prokuratora okręgowego może sobie pozwolić na ominięcie niektórych przepisów. Jakaś część siebie usiłowała starannie ukryć. Tylko dlaczego? Cassidy postanowił dążyć dopóty, dopóki się nie dowie.

- Zanim wyjdę...

- Tak, panie Cassidy?

- Chciałbym obejrzeć egzemplarz pani katalogu.

Rozdział IV

Jego prośba zdziwiła Claire.

- Po co?

- Nie udało mi się dostać go w budkach z gazetami.

- Katalogu nie ma w wolnej sprzedaży, lecz jest wysyłany pocztą.

- Cóż takiego zawiera, że zajął się nim wielebny Wilde?

- Jego powinien był pan zapytać.

- Jednak skoro to niemożliwe - powiedział sucho - wolałbym sam zobaczyć, w czym rzecz.

Myślała pewnie, że kiedy reporterzy przestaną nachodzić ją z prośbami o komentarz, skończą się jej problemy związane z morderstwem. Nie była przygotowana na wizytę wścibskiego asystenta prokuratora okręgowego, chociaż jak do tej pory mogła sobie pogratulować umiejętności znalezienia się w tej sytuacji. Teraz jednak rozpaczliwie usiłowała nakłonić go do odejścia, pragnąc pozbiierać myśli. A z drugiej strony nie chciała okazywać wrogości ani sprawiać wrażenia, że ma coś do ukrycia. Ostatecznie poprosił ją tylko o pokazanie katalogu. Dopóki jego pytania nie były zbyt osobiste, dopóty nie widziała niebezpieczeństwa w odpowiadaniu na nie.

- Ależ oczywiście, panie Cassidy. Proszę usiąść. - Wręczyła mu wydanie katalogu Francuskiego Jedwabiu za ostatni kwartał. Nie chcąc nerwowo mu się przyglądać, wyjrzała przez okno. Niebo w oddali zaczęło pokrywać się jasnymi kolorami zachodzącego słońca. Powierzchnia rzeki przybrała barwę płynnej miedzi. - Mamy porę koktajlu. Czy miałby pan teraz ochotę na drinka?

- O ile nie byłoby to cherry, to czemu nie?

- A więc wino czy coś mocniejszego?

- Najchętniej szkocką, jeśli można.

- Z lodem czy z wodą?

- Z lodem.

Przygotowała drinka dla niego, a sobie naląła kieliszek różowego wina. Kiedy wróciła do otomany, właśnie kartkował katalog. Nagle opuścił magazyn na kolana, zamrugał i szarpnął

głową w tył, jakby nagle ktoś uderzył go w twarz. Bezwiedny okrzyk wyrażał oszołomienie: - Do licha! Rzuciła okiem na otwartą stronicę.

- Staramy się oddziaływać na kobietą wyobraźnię.

Ze wzrokiem utkwionym nadal w to samo miejsce, uśmiechnął się z odrobiną autoszyderstwa.

- Ja tam kobietą nie jestem, to pewne, a już zacząłem fantazjować. Chyba pani nie urażę, jeśli zauważę, że ta modelka jest praktycznie naga.

- Jest ubrana.

- W...

- Peniuar.

- Co do obrazu, wyobraźnia niewiele mogłaby dorzucić.

- Panie Cassidy, niech pan weźmie pod uwagę, czym my handlujemy. Sprzedajemy bieliznę i intymne dodatki.

Chcemy, aby klientki znalazły w naszych propozycjach coś, w czym byłyby ponętne i piękne.

- Przede mną nie musi pani bronić swoich produktów ani tłumaczyć mi rynkowej strategii. Nie jestem Jacksonem Wil-de'em. Proszę mi tylko zdradzić, w jaki sposób mógłbym zostać odbiorcą waszego katalogu.

Kiedy na nią spojrział i uśmiechnął się, ogarnęło ją jakieś dziwne podniecenie. Nieczęsto spotykała się z kokieterią ze strony mężczyzn, ponieważ większość tych, których znała, należała do ścisłego grona jej partnerów w interesach.

Czasami zdarzały się jej przypadkowe flirty w samolocie albo w windzie, lecz rzadko wykraczały poza kontakt wzrokowy i błahą rozmowę. Nie zachęcała do niczego więcej. Tak więc reakcja na łobuzerski uśmiech Cassidy'ego była dla niej samej czymś nieoczekiwanym i poruszającym. Aby tego nie okazać, podniosła kieliszek i powoli wypila łyk wina.

- Sam katalog jest właściwie dziełem Yasmine - wyjaśniła po chwili. - Oczywiście nie mówię o kolportażu. Aby pozyskać nabywców, korzystamy z reklam w telewizji. Yasmine jest kimś w rodzaju producenta. Wychodzi od jakiegoś pomysłu, a potem pracuje nad rozplanowaniem szczegółów.

- Jest też modelką.

Odwrócił magazyn w stronę Claire. Całostronicowa reklama jedwabnych piżam przedstawiała sylwetkę Yasmine wyciągniętej na rozesłanym łóżku. Rozpięta góra piżamy zasłaniała wszystko z wyjątkiem wewnętrznych krągłości jej piersi, natomiast dół rozpoczynał się około trzech centymetrów poniżej pępka. W sumie wszystko wyglądało dosyć przyzwoicie, ale

wilgotne, lekko rozchylone usta modelki oraz jej wzrok wygłodniałej tygrysicy nadawały fotografii charakter prowokujący.

- Potrafi dobrze się sprzedać - powiedziała Claire. Studiował zdjęcie przez kilka sekund.

- Chyba domyślam się, na czym to polega.

- Jest również inteligentna. Zaczęła pracować jako modelka, aby zapłacić za naukę w szkole artystycznej - wyjaśniła.

- Nawet gdy osiągnęła w swoim zawodzie szczyt, nie przestała studiować. Nasza współpraca...

- Kiedy i w jaki sposób do niej doszło?

- To było przed sześciu laty. Prowadziłam wtedy mały, lokalny zakład szyjący specjalną bieliznę, głównie dla bogatych klientów. Chciałam rozszerzyć działalność, więc zabrałam swoje projekty do Nowego Jorku w nadziei, że znajdę kogoś, kto zajmie się ich realizacją i sprzedażą. Nie odniosłam sukcesu - powiedziała ponuro, przypominając sobie wszystkie te grzeczne, ale stanowcze „nie, dziękujemy pani”, którymi zbywano ją przy Siódmej Alei. - Yasmine spotkałam zupełnie przypadkowo w jednym z salonów wystawowych. W przyjacielskiej rozmowie zapytała, co mnie sprowadziło do Nowego Jorku. Oczywiście byłam szczęśliwa i pochlebiało mi, że pochwaliła moje wzory. Zamówiła nawet kilka drobiazgów dla siebie. Przypadłyśmy sobie do gustu i kilka razy umówiliśmy się na lunch. Ona jest wspaniała, bez dwóch zdań. Ale prócz tego jest również przewidującą kobietą interesu, która zdaje sobie sprawę, że kariera modelki nie trwa wiecznie. Zrozumiała szybko, do czego zmierzam.

- Mianowicie?

- Chodziło o projektowanie i wytwarzanie jedynej w swoim rodzaju bielizny oraz jej sprzedaż w cenie dostępnej dla przeciętnej kobiety. Co kwartał proponujemy nowe wzory, licząc na rozbudzenie wyobraźni kupujących. Oferujemy towary ekscytujące, odmienne od innych i niedrogie. Kobiety mogą kupować biustonosze, figi i halki u Penneya, ale Francuski Jedwab proponuje im ubiory niepowtarzalne i fantazyjne. Chcemy, aby traktowano seksowną bieliznę z uznaniem.

- Jackson Wilde życzył sobie czegoś przeciwnego.

- Nie darzyłam go uznaniem.

Cassidy nieznacznym skinieniem głowy zaznaczył, że jej punkt widzenia został przyjęty pozytywnie.

- Wróćmy do Yasmine. Kiedy zaczęłyście wspólnie działać?

- Po tygodniu od naszego pierwszego spotkania.

- Tak szybko?

- Byłam pewna, że się uda. A ona szukała właśnie nowego zajęcia, w którym mogłaby spożytkować swoje artystyczne talenty. Potrzebowałam jej profesjonalnej wiedzy. W zamian za udział w spółce poznała mnie z odpowiednimi ludźmi, którzy mogli wesprzeć finansowo nasze przedsięwzięcie. Po pierwszym wydaniu katalogu z trudem nadążałyśmy z realizacją zamówień. W drugim roku wspólnej pracy spłaciłyśmy wszystkie długi. Dzisiaj interes rozkwita.

- Prawdziwa historia sukcesu.

- Dziękuję.

Cassidy przewrócił stronę.

- Hmm. Widzę tu również mężczyzn.

- To ostatnia innowacja. Yasmine podsunęła pomysł, a mnie się on spodobał i zaprojektowałam kilka strojów dla mężczyzn.

- Daję głowę, że do tego Wilde miał szczególne zastrzeżenia. - Reklama przedstawiała kobietę pochylającą się nad siedzącym głęboko w skórzanym fotelu przystojnym młodym mężczyzną. Poły jej satynowego szlafroka zwisały luźno na boki. - Chyba nikt nie może mieć wątpliwości, gdzie się podziewa lewa ręka tego faceta?

- Myśli pan, że to jest erotyczne, panie Cassidy?

- Jak diabli - odrzekł bez zastanowienia. - A pani nie? Kiedy podniósł na nią wzrok, poczuła, jakby ktoś mocno, choć dla zabawy, ugryzł ją w brzuch. Pochyliła głowę nad reklamą.

- Ja widzę to inaczej. Cena tego szlafroka wynosi sto dwadzieścia pięć dolarów. W tym wydaniu nie znajdzie pan droższej rzeczy. Ubiory szyjemy teraz w Hongkongu. Płacimy za nie zaledwie ułamek ceny sprzedaży. Jeśli dodać do tego koszty pakowania, przewozu i sprzedaży, to i tak procent naszego zysku jest olbrzymi. Patrzę więc na tę fotografię i mam nadzieję, że każda kobieta, która na nią spojrzy, da się skusić i wyśle zamówienie.

- W nadziei zwabienia faceta o szafirowych oczach i kręconych włosach.

Claire roześmiała się.

- O, nieładnie, panie Cassidy! Jest pan po prostu utyskującym, zakłamanym antyfeministą.

Zmarszczył brwi.

- Doprawdy? Nigdy tak o sobie nie myślałem.

- Ale tego młodego człowieka na zdjęciu raczej nie mógłby pan zastąpić.

- On doskonale tutaj pasuje.

- No, to teraz pewnie rozumie pan, co czuje kobieta, kiedy jej kochanek nie może oderwać oczu od środkowej strony. My apelujemy do fantazji naszych klientek, pozwalając im wierzyć, że mogą być co najmniej tak samo piękne. Nasze przesłanie brzmi: „Każda kobieta może być piękna i godna pożądania. Włóż to i pozwól się podziwiać”. Być może niektóre z nich pragną jedynie odciągnąć swojego męża od oglądania „Poniedziałkowej nocy futbolu”.

Po uważnym wysłuchaniu jej wyjaśnień Cassidy powrócił do oglądania katalogu. Claire milczała, obserwując, jak jego szare oczy omiatają spojrzeniem stronę po stronie. Od czasu do czasu podnosił do ust szklanke. Usta miał dość szerokie, cienkie, typowo męskie, ale ich mocną linię łagodziła nieco pełniejsza dolna warga i poprzeczne wgłębienie w lewym policzku.

Z czysto obiektywnego punktu widzenia prezentował się bardzo korzystnie. Nitki siwizny w jego baczach dodawały mu atrakcyjności, podobnie - sterczące nad uszami kosmyki kasztanowych włosów. Niewielu mężczyzn wzrostem przewyższało Yasmine, ale kiedy Cassidy wymieniał z nią uścisk dłoni, Claire zauważyła, że był wyższy od niej o pięć do siedmiu centymetrów.

W końcu dotarł do ostatniej strony, obejrzał ją i zamknął magazyn.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Myśli pan, że Jackson Wilde miał rację? Czy to są brudy?

- Mówiąc nieoficjalnie: nie. Jest wiele zmysłowości, erotyzmu, ale nie porno. Natomiast służbowo nie mogę się wypowiedzieć. Muszę zachować bezstronność.

Ucieszyła ją świadomość, że nie zamierzał jej ukamienować. Postawiła kieliszek z winem na stole i wstała.

- Proszę sobie wziąć ten egzemplarz. Może któregoś dnia zamówi pan coś.

Wziął katalog i podniósł się również.

- Wątpię. Za bardzo przywiązałem się do białych bawełnianych spodenek z wyszywanymi owocami.

- Ale na wyjątkowe okazje na pewno chętnie włożyłby pan jedwabne „bokserki”.

- Sam nie wiem, może. Czy ma pani własną broń?

Nie spodziewała się podobnego pytania po tak, zdawałoby się, pokojowym oświadczeniu.

- Nie, nie mam, panie Cassidy.

- W takim razie czy ma pani dostęp do broni?

- Nie.

- Wracając zatem do początku: gdzie była pani tej nocy, kiedy zamordowano Jacksona Wilde'a?

Powstrzymała się od pierwszej gwałtownej reakcji i odpowiedziała spokojnie:

- Nie pamiętam, abym wychodziła. Prawdopodobnie cały wieczór spędziłam w domu.

- Czy może to ktoś potwierdzić?

- A czy to wymaga potwierdzenia? Pan uważa, że kłamię? Wytrzymała jego spojrzenie, choć zdawało się trwać bez końca i sprawiać jej niemal fizyczny ból.

- Dziękuję za drinka - powiedział w końcu. Sięgnął po marynarkę i zarzucił ją na ramię.

- Nie ma za co.

Zerknął w stronę okna; właśnie zapadał zmrok. Przed sobą miał niczym nie ograniczony widok na rzekę. Światła wzdłuż nabrzeża i spinającego przeciwległe brzegi mostu skrzyły się na tle głębokiej purpury przechodzącej w połyskujące złoto. - Wspaniały widok.

- Dziękuję.

Już przed laty pomyślała o zachowaniu tej godnej zazdrości panoramy, nabywając na własność obszar rozciągający się od budynku po brzeg rzeki i zamieniając go w plac parkingowy. W ten sposób miała pewność, że przed jej oczami nie zacznie niespodziewanie wyrastać z ziemi budynek przyszłego hotelu lub jakiegoś domu towarowego. Od czasu, kiedy zakupiła ten skrawek ziemi, jego wartość wzrosła tysiące razy, lecz mimo to nie rozstałaby się z nim za żadną cenę. - Odprowadzę pana. Przeszli przez drzwi, minęli błyszczące biurko sekretarki i weszli do windy. Zjeżdżali w dół, kiedy zapytał: - A co mieści się na drugim piętrze?

- Mój apartament.

- Niewielu ludzi trzyma się tego oryginalnego zwyczaju, by mieszkać nad własnym przedsiębiorstwem.

- Zdarza się to często w Vieux Carre.

- I pani tych ludzi zna?

- Oczywiście. Tutaj się urodziłam i mieszkałam. Tutaj również uczyłam się w college'u, dojeżdżając codziennie tramwajem do Tulane.

- Jednym słowem: szczęśliwe dzieciństwo?

- Bardzo.

- Bez żadnych zwrotów i kryzysów?

- Bez.
 - Żadnych kłopotów z matką? Claire wzruszyła ramionami.
 - Dla mnie ona nigdy nie była inna niż teraz. Przyzwyczaiłam się do jej choroby jak każde dziecko mające wyjątkowych rodziców.
 - A co dzieje się z pani ojcem?
 - Umarł, kiedy byłam jeszcze niemowlęciem. Matka nigdy nie wyszła ponownie za mąż. Krótco po jego śmierci zamieszkałyśmy z jej ciotką Laurel.
 - Hmm. Matka nadal z panią mieszka?
 - Tak.
 - I nikt więcej?
 - Yasmine, kiedy akurat przebywa w mieście.
 - Kim jest Harry?
 - Harriett York - nasza gosposia i opiekunka mamy. Zostaje na noc tylko wtedy, kiedy ja wyjeżdżam.
 - Często to się zdarza?
 - Dwa razy w roku udaję się do Europy i Azji po zakup większych partii materiałów. Poza tym raz na jakiś czas jestem zmuszona odwiedzić Nowy Jork.
 - Jak często Yasmine przyjeżdża do Nowego Orleanu?
 - To zależy.
 - Od czego?
 - Od wielu rzeczy.
 - Na przykład?
 - Na przykład od tego, gdzie robimy zdjęcia do nowego katalogu. - Nie było najmniejszego powodu, by informować go, że ostatnio wizyty Yasmine w Nowym Orleanie stały się znacznie częstsze. Dobrowolne dostarczanie mu informacji mogłoby się okazać głupotą i ryzykiem. Claire już jako dziecko nauczyła się nie ufać urzędnikom, którzy tak uzyskaną wiedzę zawsze potrafili wykorzystać przede wszystkim na korzyść biurokracji. Mimo tych swoich męskich rąk i dołka w policzku Cassidy był biurokratą.
 - Ma pan jeszcze jakieś pytania, panie Cassidy?
 - Mam ich wiele. Co tym razem Yasmine robi w Nowym Orleanie?
- Claire westchnęła z rezygnacją.

- Dyskutujemy nad nowym katalogiem. Yasmine opracowała koncepcję i znalazła już odpowiednie miejsce do zdjęć.
Teraz wspólnie wybieramy modelki i kreacje do zaprezentowania.

61

- A co z resztą czasu? Kiedy nie ma jej w Nowym Orleanie?
- Na stałe mieszka w Nowym Jorku.
- Pracując jako modelka?
- Aż do ubiegłego roku była związana dość korzystnym kontraktem z pewną firmą kosmetyczną. Ale znudziła się tym, tak więc w tej chwili występuje jako modelka jedynie w katalogu Francuskiego Jedwabiu. Czas dzieli pomiędzy swoje obowiązki tutaj i dogłądanie zainwestowanego kapitału.

Claire odetchnęła z ulgą, gdy winda zatrzymała się wreszcie na parterze. Nigdy dotąd droga z góry na dół nie wydawała jej się tak długa, a winda tak mała i ciasna. Penetrujący wzrok Cassidy'ego sprawiał, że miała ochotę okryć się jakimś ochronnym płaszczem.

Po dżentelmeńsku rozsunął ciężkie drzwi. Mruknęła pośpieszne „dziękuję” i wstąpiła w przepastną przestrzeń magazynu. Wokół panowała teraz cisza. Było spokojnie i ciemno. Jedynie dla bezpieczeństwa tu i ówdzie pozostawiono zapalone światła, tworzące jasne kręgi na gładkiej, wypolerowanej betonowej posadzce. Claire starannie omijała miejsca przypominające jej sceny z więziennych filmów, w których złowieszcze światła reflektorów próbowały odnaleźć w mroku uciekających skazańców.

Odsunęła zasuwę przy głównych drzwiach i otworzyła je przed wścibskim gościem.

- Do widzenia, panie Cassidy.
- Chce pani pozbyć się mnie jak najszybciej, prawda, panno Laurent?

Claire była na siebie wściekła, że nie potrafiła ukryć przed nim swoich uczuć. Gorączkowo szukała w myślach jakiegoś logicznego wytłumaczenia.

- Mama musi zażywać lekarstwa o określonych porach. Nie chciałabym, aby przeze mnie zbyt długo zwlekała ze zjedzeniem obiadu.
- Bardzo sprytne.
- Co?
- To wytłumaczenie. Musiałbym być prawdziwym draniem, żeby je zakwestionować.
- Ale to prawda.

Jego przebiegły uśmiech świadczył o tym, że jej nie wierzy, ale nie zamierza też robić z tego problemu.

- Jeszcze jedno pytanie i już naprawdę sobie pójdę. Obiecuję.
- Słucham.

- Czy kiedykolwiek miała pani kłopoty z policją?
- Nie!
- Nigdy nie była pani aresztowana?
- Powiedział pan: Jedno pytanie", panie Cassidy. A to już drugie.
- Nie odpowie pani?

Niech go cholera! Niechętnie myślała o uleganiu ludziom mającym władzę, ale teraz odmowa odpowiedzi mogła jedynie wszystko skomplikować.

- Nigdy nie byłam aresztowana. Pańskie pytania obrażają mnie.
- Mimo wszystko dziękuję - powiedział nie zrażony. - Dobranoc, panno Laurent. Wkrótce jednak znowu się zobaczymy.

Stała w mroku, więc na szczęście nie mógł zauważyć wyrazu zaniepokojenia na jej twarzy.

- Powiedziałam już panu wszystko, co wiem. Zaryzykował jeszcze jedno oszukańczo-przenikliwe spojrzenie.
- Pozwolę sobie sądzić inaczej. - Zasalutował zwiniętym w tubę katalogiem. - Jeszcze raz dziękuję za drinka. Ma pani doskonałą whisky.

Claire pospiesznie zatrzaskała drzwi, jednym szarpnięciem zaciągnęła zasuwę i oparła się czołem o chłodny metal. Dyszała ciężko, jakby przed chwilą przebiegła bez odpoczynku kilka kilometrów. Czowała ból serca bijącego szaleńczym rytmem. Była mokra od potu, co tłumaczyła sobie nieznośnym upałem... nawet jeśli w głębi duszy wiedziała, że tak nie jest.

Rozdział V

Ruchliwym językiem błdził zapamiętane wokół sterczących czubków jej piersi. Każdym dotknięciem wydobywał z niej szaleńcze, pogańskie dźwięki.

- Zabijasz mnie - dyszała. - Och, och, nie przestawaj. Nie przestawaj. - Mocnymi, białymi zębami pochwyciła koniuszek jego ucha i silnie przygryzła.

Jęknął z bólu, ale jej nieposkromiona zmysłowość wzmogła jego podniecenie. Zaciśnął palce na jej twardych, jędrnych pośladvkach, przyciągnął ją do swoich bioder i jednym gwałtownym szarpnięciem wdarł się w nią jeszcze głębiej. Sztywną brodawkę otoczył wargami i z całych sił wessał do środka.

Krzyknęła, zatopiła palce w gęstwinie jego włosów. Porwana falą bliskiej już ekstazy, napierała na niego coraz szybciej, bardziej dziko i namiętnie. Chwilę później, sapiąc, prężąc się, wykrzywając twarz, weszła w ostatnią fazę miłosnego uniesienia. Pokryte potem ciało Yasmine błyszczało, odbijając światło nocnej lampki, jak wypolerowany brąz, ale żaden rzeźbiarz nigdy nie nadał swojemu dziełu tak doskonałego kształtu.

Uniosła się nad bezwładnym teraz ciałem kongresmana Alistera Petriego i z podziwem spojrzała na jego zarumienioną twarz.

- Nie było źle, kotku - szepnęła całując go delikatnie w usta. - Nareszcie trafiłeś tam, gdzie było trzeba.

Nie otwierając oczu zachichotał.

- Złaz ze mnie, ty nienasycona suko, i nalej mi drinka. Yasmine z wdziękiem zeszła z łóżka i pomaszerowała do barku, gdzie wcześniej umieściła butelkę jego ulubionej brandy, kociołek z lodem i dwie szklanki. Za cały ubiór służyła jej tylko para długich złotych kolczyków, które przy każdym ruchu głowy dotykały jej gładkich ramion. Części garderoby leżały porozrzucane na meblach i dywanie.

Grę miłosną rozpoczęli w chwili, gdy Alister Petrie przekroczył próg hotelowego apartamentu. Podczas długiego, głębokiego pocałunku znalazła jego rękę, wsunęła ją pod spódnicę i przycisnęła do miejsca między swymi lekko rozchylonymi udami.

- Wiesz, co masz robić, kotku. Spraw, żebym oszalała.

- To masz na myśli? - Jego palce rozdzieliły dwa śliskie płatki i wniknęły do wnętrza. - Uszczęśliwiasz klientki swoimi towarami, których jednak sama nie nosisz - szepnął pieszcząc ją. - Co by to było, gdyby wszyscy chodzili bez bielizny?

- Wszyscy mieliby więcej zabawy.

Nadal złączeni pocałunkiem, pośpiesznie zrzucili z siebie ubrania. Nadzy opadli na łóżko, tworząc brązowo-białą plątaninę ciał.

Teraz Yasmin przyrządzała drinka i w lustrze przyglądała się partnerowi. Zawsze kochała go najsilniej tuż po akcie miłosnym. Jego piaskowe włosy wciąż jeszcze były w nietypowym dla niego nieładzie, a usta miał miękkie i rozluźnione. Oboje byli niemal jednakowego wzrostu. Drzemało w nim więcej sił witalnych, niż mogłaby na to wskazywać jego szczupła, zwarta sylwetka. Kropelki potu na jego gładkiej piersi przypomniały jej, z jakim zapalem potrafił się kochać, i między udami poczuła na nowo napięcie oczekiwania.

Czekał na nią wsparty plecami o poduszki. Wracając do łóżka, umoczyła w szklance wskazujący palec, a potem podała mu go.

- Smakuje?

Przez moment z miną smakosza ssął koniuszek szczupłego palca.

- Czuję twój smak - powiedział ochryple. - I mój też. Wybornie. Doskonale.

Yasmine zadowolona, uśmiechając się, wręczyła mu koktajl i położyła się obok. Musnął wargami jej czoło.

- Robisz wszystko perfekcyjnie, Yasmine. Jesteś perfekcyjna.

- A nie do dupy? - Przytuliwszy się mocniej, zaczęła drażnić wilgotnym językiem brodawkę jego piersi.

- Nie do dupy - jęknął.

- Byłabym dla ciebie wspaniałą żoną.

Jego reakcja była gwałtowna i negatywna. Zesztywniał, ale nie z powodu wzbierającego w nim pożądania.

- Nie psuj tych chwil, kiedy jesteśmy razem, Yasmine - poprosił łagodnie. - Przecież wiesz, jak zabiegam o każdą wspólną godzinę i ile to dla mnie znaczy. Nie niszczonego tego, mówiąc o czymś, co obojgu nam psuje humor.

Przetoczyła się na plecy i utkwiała wzrok w suficie.

- Mojego humoru nie psuje myśl o zostaniu panią Petrie.

- Nie to miałem na myśli. Dobrze wiesz, o co mi chodziło.

- Myślę o tym przez cały czas. Tego właśnie pragnęłabym bardziej niż cegokolwiek innego na świecie - powiedziała szczerze. Do oczu napłynęły jej łzy.

- Ja również, kochanie. - Odstawił szklanę na stolik przy łóżku i przekreślił się na bok, by spojrzeć jej w twarz. - Jesteś taka piękna. - Dłonią powiódł po pełnych, krągłych piersiach, których bardzo wrażliwe brodawki były tylko nieznacznie ciemniejsze od reszty skóry. Pochylił się i zamknął jedną z nich w delikatnie napiętych wargach.

- Czy jestem głupia, że tak bardzo cię kocham? - zapytała.

- Ja jestem głupi.

- A czy w ogóle zamierzasz od niej odejść?

- Już wkrótce, Yasmine, wkrótce. Zaufaj mi. Muszę jedynie wybrać właściwy moment. Jestem w trudnej sytuacji. Trzeba by włożyć w to sporo finezji, aby nikogo, a przede wszystkim ciebie, nie zranić.

Poznali się przed rokiem w Waszyngtonie na oficjalnym przyjęciu w ambasadzie pewnego afrykańskiego państwa. Yasmine została zaproszona, ponieważ powszechnie sądzono, że urodziła się i wychowała w owym kraju. Ten wymysł pochodził z nieznanego źródła, ale spodobał się jej agentowi, który podtrzymywał go dla celów reklamowych. Prawda była o wiele mniej romantyczna i intrygująca - jej rodzina od czterech generacji mieszkała w Harlemie.

Gdy przedstawiono jej na przyjęciu młodego przystojnego kongresmana, miała właśnie na sobie piękną, obszytą złotą lamówką, suknię. Przez kilka minut Alister Petrie prawie się nie odzywał, ale wreszcie ośmieliły go jej delikatne drwiny i żarty. Przez cały czas na przyjęciu rozmawiali prawie wyłącznie ze sobą, potem odjechali spod ambasady wynajętą specjalnie dla niej limuzyną, by następnie zakończyć wspólny wieczór w łóżku podmiejskiego motelu.

Dopiero następnego ranka przyznał się, że ma w Nowym Orleanie żonę i dzieci. Namiętność, jaką Yasmine okazała w łóżku, była niczym w porównaniu z siłą jej niepohamowanej wściekłości. Obrzuciła go gradem wyzwisk i obelg oraz zagroziła użyciem przeciwko niemu magii voodoo, od której rzekomo jego męskość mogła stać się całkowicie bezużyteczna.

- Pierdol ich i zapomnij o nich. Zrobisz to, kongresmanie? Zresztą nie masz wyboru, mój drogi. Nie jestem jakąś pierwszą lepszą uliczną kurwą. Jestem Yasmine. Nikt nie może mnie przelecieć i tak po prostu sobie odejść.

W końcu jakoś udało mu się uspokoić ją. Wtedy wyjaśnił „ponury stan swoich spraw”.

- Moja rodzina i rodzina mojej żony zawsze żyły w przyjaźni. Belle i ja wspólnie dorastaliśmy.

- Bardzo mnie to wzrusza.

- Proszę, Yasmine, wysłuchaj mnie. Nie rozumiesz, na jakich zasadach oparta jest nasza wspólnota.

- Rozumiem dostatecznie wiele. Czytuję książki historyczne. Wiem, że bogaci biali mężczyźni poślubiają bogate białe damy, ale przyjemność znajdują w łóżku z czarnymi kochankami.

Występując jej imię, zsunął się na krawędź łóżka. W geście pełnej ponizenia desperacji przegarnął włosy wszystkimi dziesięcioma palcami.

- Przysięgam... Och, Yasmine, ty już mi chyba nigdy nie uwierzysz. - Spojrzał na nią błagalnie. - Nigdy nie kochałem Belle. Ale kiedy umarli moi starzy, jej rodzina wzięła mnie pod swoje skrzydła. Zrobiłem to, czego ode mnie oczekiwano i co było stosowne. Nie byłem złym mężem. Nawet usiłowałem ją pokochać. Bóg wie, że próbowałem... Gniewasz się na mnie i masz do tego słuszne prawo - powiedział wtedy. - Powinienem być wyznać ci, że jestem żonaty, zanim wyszliśmy razem z przyjęcia, zanim przestaliśmy nad sobą panować. Albo może powinienem był po zobaczeniu ciebie odwrócić się i odejść. Bo ledwie cię ujrzałem, wiedziałem już, że... oszołomiłaś mnie.

Był udręczony walką między pożądanym a poczuciem honoru.

- Lecz twemu urokowi nie zdołałem się oprzeć. Po prostu musiałem być z tobą. - Pochylił głowę i gapił się na fragment dywanu między swoimi butami. - Teraz, kiedy już wiesz o mojej rodzinie, masz słuszne prawo mną pogardzać. - Podniósł ku niej zbolale oczy. - Ale nigdy nie zapomnę naszej wspólnie spędzonej nocy. To było najbardziej satysfakcjonujące erotyczne doświadczenie mego życia. Wybacz, lecz za to nie będę przepraszał. - Przełknął ciężko, najwidoczniej pod wpływem silnych emocji. - Mam trzydzieści cztery lata, ale aż do ostatniej nocy nie miałem pojęcia, co czuje zakochany mężczyzna.

W końcu stopniał lód w sercu Yasmine. Uklękła i objęła kochanka. Razem płakali, śmiali się, a potem znowu kochali. Od tamtej pory spotykali się - gdy tylko znaleźli wolną chwilę między obowiązkami - zwykle jedynie na kilka godzin rozkoszy gdzieś w Waszyngtonie, Nowym Jorku czy Nowym Orleanie. Yasmine nie miała poczucia winy z powodu związku z żonatym mężczyzną. Dla niej cudzołóstwo było jedynie słowem, niczym

więcej. Dobre było to, co łączyło ją z Alisterem, a złe - jego małżeństwo.

- Bez ciebie czuję się taka samotna, kotku. Chciałabym być z tobą bez przerwy. Nie mogę się doczekać dnia, kiedy wreszcie nie będziemy musieli się ukrywać - szepnęła tęsknie.

- Mnie również brakuje cierpliwości, ale robię pewne postępy.

- Jakie?

- Niedawno zasugerowałem Belle - bardzo subtelnie, sama rozumiesz - że może nie jest w pełni usatysfakcjonowana naszym małżeństwem. Że może wzięliśmy ślub, zanim miała szansę dobrze siebie poznać. I dalej w podobnym stylu.

- I jaki rezultat?

- Zauważyłem chłód.

Serce Yasmine zaczęło szybciej bić, a pełen nadziei uśmiech pojawił się w kącikach jej ust.

- Ostatnio, już od kilku miesięcy, spieramy ze sobą bardzo rzadko. - Pociągnął Yasmine ku sobie i szeptał gorączkowo w jej włosy: - Dziękuję za to Bogu. Kiedy z nią jestem, myślę wyłącznie o tobie: co czujesz, jak pachniesz, jak smakujesz. Jednak ciebie przy mnie nie ma, i to doprowadza mnie do szaleństwa.

Ich usta zetknęły się, a ciała ogarnęło rozbudzone na nowo pożądanie. Yasmine, muskając wargami jego pierś, brzuch, dotarła do penisa, wzięła go do ust i ruchliwym językiem nadała mu twardość stali. Potem uniosła się nieco i z bezwstydną zmysłowością przesuwała połyskującym końcem po swoich piersiach. Z oblaną rumieńcem twarzą leżał, ściskając w dłoniach prześcieradło. Kiedy w nią w końcu wszedł, byli na wpół oszalali z pożądania. Oboje skończyli w gorączkowym pośpiechu.

Alister wziął prysznic, a w tym czasie Yasmine przeżywała rozstanie leżąc w rozrzuconej pościeli. Lubiała pozostawać wśród prześcieradeł, chłonąc zapach ich wspólnego potu i płci tak długo, jak to tylko było możliwe.

Wreszcie niemal zmusiła się do wstania z łóżka. Zaczęła się ubierać. Zanim tutaj weszła, zrzuciła majteczki i włożyła je do swojej dużej skórzanej torby. Kiedy teraz po nie sięgnęła, jej palce zamknęły się wokół czegoś znajomego.

Wokół rękojeści jej rewolweru.

Alister wyłonił się z łazienki.

- Stój! - Upuścił ręcznik, którym się wycierał, i uniosł obie ręce na znak poddania się.

- Czyż nie prezentuję się dostatecznie satysfakcjonująco?

Śmiejąc się Yasmine wycelowała tam, gdzie łączyły się jego uda.

- Paf, paf!

On również roześmiał się, a potem zaczął zbierać ubranie z mebli i podłogi.

- A właściwie po jakiego diabła nosisz to ze sobą?

- Sama nie wiem. - Zerknął na nią z niedowierzaniem. - To znaczy, myślałam, że go zgubiłam.

- Wolałbym, żeby tak się stało. Nie powinnaś obnosić się z tym.

- Kiedy dorastałam, posiadanie pod ręką czegoś takiego pomagało przeżyć. - Zważyła rewolwer w dłoni. - Myślałam, że w czasie jednej z podróży między Nowym Jorkiem a Nowym Orleanem włożyłam go przez pomyłkę gdzieś do bagażu. Nie martwiłam się specjalnie, bo, jak to zwykle bywa, znalazłby się wcześniej czy później. Nie wiedziałam, że idąc tutaj mam go przez cały czas przy sobie. - Wzruszywszy ramionami, wrzuciła rewolwer do torby. - Cieszę się, że szanowny pan Cassidy nie miał nakazu rewizji.

- Cassidy? Asystent prokuratora okręgowego? Yasmine wskoczyła w sukienkę.

- Och, nie miałam okazji powiedzieć ci o tym wcześniej. Przyszedł do Claire dzisiaj po południu.

- W jakiej sprawie?

- Nigdy byś nie zgadł. W związku ze śmiercią wielbego Jacksona Wilde'a.

Alistar zapiał mankiety koszuli, a potem przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze hotelowej szafy.

- I co z nim?

- Chciał wiedzieć, co Claire robiła tej nocy, kiedy Wilde został zamordowany.

Alistar odwrócił się do niej twarzą.

- Bądź poważna. Roześmiała się.

- Podobnie zareagowała Claire. Nie dość, że ten pomyłony apostoł był za życia dokuczliwy jak kolec w dupie, to jeszcze po śmierci daje się nam we znaki.

- Ale czy był między nimi jakiś związek poza tym powszechnie znanym?

- Wilde miał „czarną listę”, jak to nazwał Cassidy. Listę czasopism, które chciał wyeliminować. Był na niej katalog Francuskiego Jedwabiu. Wiedziałaś o tym?

- Skąd mógłbym wiedzieć?

- W końcu ty i Wilde przyjaźniliście się - zakpiła.

- Owszem, uczestniczyłem w kilku przyjęciach wydanych z okazji jego przybycia do miasta. Belle uważała, że skorzystam na tym jako polityk. Jednak prywatnie znaczył dla mnie tyle co gówno, które w sobie nosił.

- Amen. Zastanawiam się, kto miał przyjemność zamknięcia mu gęby na wieki - powiedziała z łobuzerskim uśmiechem. - Policja czepia się pewnie każdego śladu. Każdy z tej listy miałby powód, aby go zabić, ale ponieważ Francuski Jedwab ma siedzibę tu, w Nowym Orleanie, Cassidy pewnie pomyślał, że być może... W każdym razie -kontynuowała wkładając bransoletki - nie byłoby za różowo, gdyby znaleziono u mnie broń. Nie uważasz? Szczególnie, jeśliby prokurator odkrył, że nie byłam wtedy w Nowym Jorku, jak każdy myśli, tylko z tobą w Nowym Orleanie. Ciekawe, czy w razie czego potwierdziłbyś moje alibi.

- Na ten temat nawet nie żartuj, Yasmine. - Pochwycił ją za ramiona. - Znam Cassidy'ego ze słyszenia: jest ambitny, bystry i zawsze idzie na całego. Wygląda na to, że wiążąc Francuski Jedwab z zabójstwem Wilde'a, szuka po omacku. Nam to może się wydawać głupie, ale wierz mi, on podchodzi do tego na pewno cholernie poważnie.

- Nie mam powodu do niepokoju. Cassidy nic na Claire nie ma. Jej katalog był na tej durnej liście, ale z tego absolutnie nic nie wynika.

- Oczywiście.

- Więc dlaczego się krzywisz?

- Bo nie chciałem, aby węszył wokół ciebie.

- Mnie nie przesłuchiwał.

- Co nie znaczy, że nie będzie. Ja nie mógłbym służyć ci za alibi. Posłuchaj, Yasmine - powiedział z naciskiem - dopóki nie rozwiążę swojego małżeństwa, w odpowiednim czasie i w odpowiedni sposób, nikt, ale to absolutnie nikt nie może się o nas dowiedzieć.

- Wiem - odpowiedziała ponuro.

- Nikomu o nas nie opowiadaj.

Ucieszyła się, że poruszył temat, który żywo ją obchodził.

- Chciałabym powiedzieć Claire. Nawet nie masz pojęcia, jak się czuję, oszukując ją. Zawsze przyjeżdża po mnie na lotnisko, podczas gdy ja już od dwunastu godzin jestem na miejscu. Naprawdę nie mogę jej powiedzieć? Nikomu bardziej nie ufam.

Potrząsał uparcie głową, jeszcze zanim skończyła.

- Nie, Yasmine. Musisz mi to obiecać.

Ze złością strąciła jego dłonie ze swoich ramion. W jej oczach pojawiły się niebezpieczne błyski, i

- Tak bardzo się obawiasz, że 'tajemnica wyjdzie na jaw i twoja Belle dowie się o wszystkim?

- Owszem. Jeśli poznałaby prawdziwy powód, dla którego chcę rozwodu, użyłaby wszelkich sposobów, aby do niego nie dopuścić. A kiedy przekonałaby się, że jestem nieodwołalnie zdecydowany i że to nieuchronne, przedłużałaby całą procedurę w nieskończoność.

Westchnął ciężko i objął Yasmine.

- Czy ty tego nie widzisz? Czy naprawdę chciałabyś dobrowolnie wręczyć Belle broń, by mogła zranić nas jeszcze dotkliwiej, niż robi to teraz? O tobie przede wszystkim myślę. Pragnę oszczędzić ci jakiegoś wstrętnego skandalu.

Nikt nie zrozumiałby, co naprawdę nas łączy. Na wyrozumiałość opinii publicznej nie możemy liczyć.

Skryła twarz w dłoniach.

- Kocham cię, Alister. Ale na samą myśl o tym, że mnie okłamujesz, mogłabym cię zabić.

Musnął wargami jej włosy.

- Być z tobą to moje największe marzenie. Być twoim mężem, mieć dzieci...

Ich długi pocałunek trwał, aż tkliwość rozkwitła namiętnością. Odsunął jej dłoń od swojego rozporoka.

- Już jestem spóźniony.

- Wcale nie jesteś spóźniony, kotku - szepnęła kusząco, rozsuwając zamek błyskawiczny przy jego spodniach.

Jednakże pora, kiedy naprawdę musiał iść, w końcu nadeszła. Na nic zdałyby się zakłęcia, prośby, krzyki czy groźby. Kiedy musiał iść, to musiał iść. Bardzo tego nie lubiła, ale nauczyła się z tym godzić. Starła się tylko sprawić, aby ich pożegnania były możliwie jak najmniej bolesne.

- Kiedy cię zobaczę?

- W tym tygodniu mam kilka spotkań z komitetem przedwyborczym - powiedział, rozglądając się, czy nie zostawił czegoś w pokoju. - Nie zdążymy się obejrzeć, a już będzie listopad. Potem mam zjazd rodzinny w Baton Rouge. To będzie piekło, ale muszę tam pojechać.

- Z Belle i dziećmi?

- Oczywiście. - Sięgnął ustami do jej pochylonej twarzy i jeszcze raz się pocałowali. - Co byś powiedziała o niedzieli? Tutaj. Znajdę jakąś wymówkę. Oni będą zmęczeni po week-

endzie, a ja pewnie zdołam się wyrwać na godzinę albo dwie.

- A więc do niedzieli - zgodziła się, usiłując wyglądać na szczęśliwą. Do niedzieli brakowało pięciu dni.

- Gdyby coś mnie zatrzymało, zadzwonię. - W swojej sypialni w apartamencie Claire miała prywatny telefon; jeśli jej nie było, nikt nie podnosił słuchawki.

W progu odwrócił się jeszcze.

- Potrzebujesz może trochę pieniędzy, Yasmine? Smutny uśmiech zgasł w kącikach jej ust.

- Masz na myśli zapłatę za wyświadczoną usługę? - wyrzuciła z siebie. - A więc na ile oceniłbyś jej wartość?

- Ja tylko chciałbym pomóc.

- Żałuję, że w ogóle powiedziałam ci o swoich kłopotach finansowych.

Przed kilkoma miesiącami wspomniała mu w chwili słabości, że jej wydatki nieco przewyższają dochody. Jednak co miesiąc posuwała się jeszcze odrobinę dalej. Niektórzy wierzyciele zaczęli się odgrażać.

- To nie są zwykłe kłopoty finansowe, Yasmine - odrzekł rozsądnie. - Jesteś w finansowych tarapatkach już od miesiący.

Po wygaśnięciu jej kontraktu na reklamowanie nowej serii kosmetyków firma kosmetyczna zdecydowała się na współpracę z młodą, energiczną blondynką. Yasmine starała się nie okazywać, jak bardzo ta decyzja ją zraniła. Zawsze wiedziała, że kariera dziewczyny z okładki nie trwa długo, jednak kiedy skończył się ostatni większy kontrakt, coraz częściej nachodziła ją depresja. Na szczęście mogła jeszcze liczyć na wiele innych źródeł utrzymania.

Z drugiej strony nie brała pod uwagę faktu, że traci bardzo dochodowe zajęcie. Nie ograniczyła nawet wydatków, by zrekompensować stratę. Na dodatek pewne lokaty nie okazały się tak dochodowe, jak oczekiwała. To wydawało się nieprawdopodobne, ale Yasmine stała na krawędzi bankructwa.

- Ta sytuacja jest tymczasowa, Alister - powiedziała zdecydowanie. - Ja i mój księgowy szukamy najlepszego rozwiązania. Już teraz wszystko zaczyna się odwracać. W każdym razie od ciebie pieniędzy nie wezmę. Czułabym się jak kurwa. Nie proponuj mi więcej.

- A Claire? Ona chętnie by ci pomogła.

- Nie chcę, abyś ty mi pomógł, tym bardziej nie chcę, aby zrobiła to ona. Z własnymi problemami przyzwyczałam się sama sobie radzić.

Wyczuwała, że chce nalegać, i była mu wdzięczna, że się powstrzymał. Zamiast tego nachylił się i dla żartu poklepał ją po pośladku.

- Dumna i seksowna. Nic więc dziwnego, że tak bardzo cię kocham. Wargami musnął jej policzek. - No to do niedzieli.

Yasmine i Claire dotarły do Francuskiego Jedwabiu w tym samym czasie. Yasmine zapłaciła za taksówkę i dogoniła przyjaciółkę przy drzwiach.

- Co robisz tu o tej porze?

Claire otworzyła drzwi, następnie wyłączyła mechanizm alarmu.

- Mogłabym zadać ci to samo pytanie, ale już chyba znam odpowiedź, prawda?

- Nie bądź sarkastyczna - powiedziała Yasmine, kiedy szły w stronę windy. - Zdradź lepiej, gdzie byłaś.

- Spacerowałam. I nie jestem sarkastyczna.

- Wyszłaś tak późno, by samotnie pospacerować? Ktoś mógł na ciebie napaść.

- We francuskiej dzielnicy znam każdą zniszczoną cegłę. Nie boję się.

- A może powinnaś - rzekła Yasmine, wchodząc do wnętrza windy. - Włócząc się nocą po ulicach, sama aż prosisz się o kłopoty. Mogłabyś przynajmniej nosić ze sobą jakąś gwarancję bezpieczeństwa.

- Gwarancję bezpieczeństwa? - Claire zerknęła na jej rękę poklepującą przewieszoną przez ramię torbę. - Pistolet?

Kupiłaś drugi? - Rozmawiały o rewolwerze, wówczas gdy Yasmine nie mogła go znaleźć.

- Nie musiałam. Ten poprzedni jednak nie zginął.

- A szkoda.

Wyszły z windy na drugim piętrze. Claire sprawdziła najpierw, czy Mary Catherine znajduje się bezpiecznie w swoim łóżku. Claire wyszła za ledwie na pół godziny, ale jej matka potrafiła zniknąć w znacznie krótszym czasie.

- Wszystko w porządku? - zapytała Yasmine, kiedy Claire dołączyła do niej w kuchni. - Dziwię się, że zostawiłaś ją samą.

- Musiałam zaczerpnąć odrobinę świeżego powietrza. Musiałam pomyśleć. Miałam nadzieję, że wrócisz wcześniej, ale w końcu... - Wzruszyła ramionami.

Yasmine upuściła jabłko, które wzięła wcześniej z kosza na owoce.

- To już druga z kolei uwaga. Zamiast trafiać we mnie tymi

malutkimi zatrutymi strzałkami lepiej uderz raz, a solidnie. Powiedz, że potępiasz mój romans.

- Potępiam twój romans.

Obie kobiety wymieniły wrogie spojrzenia. Yasmine opadła na jeden z wysokich barowych stołków. Mruknęła: - Do licha. - I zaczęła kaleczyć skórę jabłka ostrymi paznokciami.

Claire podeszła do lodówki i naląła sobie do szklanki soku pomarańczowego, który Harry wycisnęła tego dnia rano.

- Wybacz mi, Yasmine. Nie miałam prawa tak powiedzieć. Kimże ja jestem, by oceniać twoje prywatne życie?

- Moją najlepszą przyjaciółką, oto kim jesteś. To cię upoważnia do wydawania ocen.

- Które powinnam była zachować dla siebie.

- Nasza przyjaźń opiera się na szczerości.

- Czyżby? Też tak zawsze myślałam, ale ostatnio nie byłaś specjalnie otwarta. Nie zdradziłaś nawet jego imienia.

- Zdradziłabym, gdybym mogła.

Claire przypatrywała się przez chwilę napiętym mięśniom twarzy przyjaciółki i jej zaczerwienionym oczom. Usiadła obok na stołku, wyjęła z drżących dłoni Yasmine jabłko i zamknęła je w swoich palcach.

- Jeżeli jestem opryskliwa, to tylko dlatego, że martwię się o ciebie. Martwię się, ponieważ niemalże przez cały czas jesteś przygnębiona. I właśnie dlatego potępiam ten związek. Jesteś nieszczęśliwa, Yasmine. A przecież uważa się, że miłość powinna ludzi uskrzydlać.

- Może powinna. Ale rzeczywistość rzadko zbliża się do ideału. Tym razem życie napisało gorszy scenariusz, niż możesz sobie wyobrazić - powiedziała z niewyraźnym uśmiechem.

- On jest żonaty.

- Bingo.

Tego się Claire obawiała. Jednakże uzyskując potwierdzenie, wcale nie czuła się lepiej.

- Jakoś nie potrafiłam znaleźć innego wytłumaczenia dla zachowywania aż takiej dyskrecji. Przykro mi.

Claire nie miała wątpliwości, że cierpienie Yasmine było szczere i raniło ją głęboko. Tym razem nie chodziło o jedną z kapryśnych, romantycznych przygód, w które bardzo często angażowała się wcześniej. Kiedy się poznały,

Yasmine prowadziła bardzo ożywione życie towarzyskie. Spotykała się z zawodowymi sportowcami, rekinami przemysłu, gwiazdami filmowymi, a nawet członkami zagranicznych rodzin królewskich.

Lecz przed rokiem nagle wszystko się zmieniło, a Yasmine

zaczęła systematycznie wyjeżdżać na dłużej lub krócej do bliżej nie określonych miejsc. Stała się mniej przystępna i bardziej tajemnicza. Potrafiła popadać jednocześnie w stan ekstazy i przygnębienia; jej nastroje zmieniały się szybko i drastycznie. I tak było nadal. Niewątpliwie przyjaciółka Claire naprawdę kochała, a miłość ta paradoksalnie czyniła z niej osobą nieszczęśliwą.

- Spotykasz się z nim w Nowym Orleanie? - zapytała łagodnie.

- On tutaj mieszka - odpowiedziała Yasmine. Claire zdziwiła się.

- Poznałaś go tutaj?

- Nie. Tak naprawdę poznaliśmy się w... taaa, w jednym ze wschodnich stanów. W ubiegłym roku. To sprawa przypadku, że oboje prowadzimy życie w Nowym Orleanie.

- Co za wygodny przypadek. - Claire wyrzucała sobie przykrą myśl, że ten mężczyzna uważał podobnie i skwapliwie wykorzystał związku Yasmine z miastem, w którym na stałe mieszkał.

- Nie bardzo - odpowiedziała Yasmine ponuro. - On paranoicznie boi się, że jego żona odkryje prawdę o nas, zanim się z nią rozwiedzie.

- A zamierza to zrobić? Yasmine energicznie skinęła głową.

- Tak - odpowiedziała ostrożnie. - Taki jest nasz plan. Myślisz, że utrzymywałabym związek z żonatym mężczyzną, gdybym go naprawdę nie kochała? Kiedy to tylko będzie możliwe, on rozwiedzie się z nią i poślubi mnie.

- Yasmine...

- Poślubi mnie, Claire. Wiem to na pewno. Kochamy się.

- Tak, chyba tak - mruknęła Claire bez przekonania. Jeśli on kochają tak bardzo, zastanawiała się, to skąd jest w niej aż tyle smutku? - Czy ma dzieci?

- Dwoje. Dziesięcioletniego chłopca i sześciolletnią dziewczynkę. Uwielbia swoje dzieciaki. Myślałam o nich, Claire. Zastanawiałam się, co dla nich będzie oznaczał rozwód. Och, mój Boże!

Wsparła się łokciami o bar i skryła twarz w dłoniach.

- Kiedy pomyślę o rozbiciu rodziny, robi mi się niedobrze. Ale on nie kocha żony. Nigdy nie kochał. Seks między nimi zawsze był czymś brudnym.

Milczenie Claire zapewne wyrażało sceptycyzm, bo Yasmine podniosła głowę i spojrzała na nią.

- Naprawdę, wierz mi - upierała się. - Sam mi o tym powiedział, ale ja i tak wiedziałam wcześniej. Kiedy po raz pierwszy na niego weszłam, był tak poruszony, że prawie się rozplakał. I powiedział mi, że jego żona wolałaby raczej umrzeć niż pozwolić mu pieścić się ustami tam „w dole”. Ona nie wierzy w coś takiego jak seks bez poczucia winy.

Yasmine nigdy nie była nadmiernie delikatna w rozmowach o seksie. Dawniej często opowiadała Claire o niesamowitych szczegółach swego aktywnego życia miłosnego.

Teraz paznokciem wskazującego palca stuknęła w chłodny marmurowy blat.

- Myślę, że nasz związek jest najlepszą rzeczą, jaka mogła go w życiu spotkać. Byłabym dla niego dobrą żoną.

- Więc dlaczego on nie stawia sprawy jasno? Dlaczego po prostu nie odejdzie od żony? Dlaczego torturuje was oboje?

- Nie może - powiedziała, melancholijnie potrząsając głową. - Rozwód zaciążyłby fatalnie na jego karierze. Jest człowiekiem znanym, silnie związanym ze swoimi teściami i ich przyjaciółmi. Chryste, to dopiero będzie piekło. Póki co, musi wszystko dokładnie przemyśleć i poczekać, aż nadejdzie właściwy moment. Do tej pory powinnam być cierpliwa. Przecież w końcu będziemy razem.

Claire nie podzielała jej optymizmu i jako najbliższa przyjaciółka czuła się w obowiązku odegrać rolę adwokata diabła.

- Yasmine, takie związki rzadko kiedy okazują się szczęśliwe.

- Takie związki? Co ty, do licha, możesz o nas wiedzieć? Wobec narastającego gniewu przyjaciółki Claire postanowiła zachować spokój.

- Chciałam jedynie powiedzieć, że to wszystko jest sprzeczne z pewnymi powszechnie obowiązującymi zasadami. Mężczyźni, którzy zajmują wysoką pozycję w społeczeństwie, nieczęsto opuszczają żony i rodziny dla swoich kochanek. Yasmine -zapytała łagodnie - czy on jest biały?

- A jeśli tak, to jakie to ma znaczenie?

Gwałtowna reakcja przyjaciółki potwierdziła przypuszczenie Claire.

- Tutaj na Południu, w Nowym Orleanie, mężczyźni tradycyjnie...

- Nigdy nie spotkałam osoby mniej uprzedzonej rasowo niż on - wtrąciła Yasmine podniesionym głosem.

Claire z wysiłkiem zdobyła się na uśmiech. - Jestem o tym przekonana, w przeciwnym razie nie po-

kochałabyś go. - Wiedziała, kiedy się wycofać. Nastawienie Yasmine nie sprzyjało uczciwej dyskusji. Była zraniona i, jak każde zranione zwierzę, mogłaby skoczyć do gardła każdemu, kto próbowałby jej pomóc.

- Wybacz mi, że poruszyłam ten temat.

- Nie traktuj mnie jak dziecko, Claire.

- Nie robię tego.

- Do diabła tam, jak nie robisz! - Yasmine poderwała się ze stołka. - Nie wierzysz w ani jedno moje słowo. Myślisz pewnie, że on pieprzy mnie wyłącznie dla przyjemności.

Claire odsunęła stołek i wstała.

- Dobranoc. Idę do łóżka.

- Powiedz lepiej, że uciekasz przed argumentami.

- Zgadza się! - wykrzyknęła. - Nie mam zamiaru kłócić się z tobą, bo żadna z nas w tej dyskusji nie wygra. Kiedy powiem coś nie po twojej myśli, zaraz zaczniesz go bronić. A mnie nie obchodzi, kim jest i czym się zajmuje twój ukochany. Martwię się jedynie o ciebie. Jeśli chcesz żyć tak jak dotychczas, to wyłącznie twoja sprawa. Nie ma to ze mną nic wspólnego, dopóki nie wpływa na twoją pracę.

- Ach tak. A co z twoją zazdrością?

- Z zazdrością?

- Nie odgrywaj przede mną niewiniątka. Nie oszukasz mnie. Ja kocham się do szaleństwa w mężczyźnie, który wobec tego gotowy jest zmienić całe swoje dotychczasowe życie, podczas gdy ty prowadzisz sterylne życie zakonnicy. Claire policzyła w myślach do dziesięciu. Kiedy Yasmine nie umiała poradzić sobie ze sobą, próbowała zwykle przerzucić swoje problemy i gniew na kogoś innego. To była jej szczególna wada, którą Claire w ciągu kilku lat przyjaźni nauczyła się tolerować. Jednakże właściwa diagnoza nie usuwała drażniącego charakteru rozmowy. Choć następnego dnia rano Yasmine będzie się uśmiechała, będzie szczerze przepraszała, prosiła o wybaczenie, nazywała siebie samolubną suką, tej nocy Claire nie miała ochoty na dalszą rozmowę.

- Myśl sobie, co chcesz. Jestem zmęczona. Dobranoc.

- Ten Cassidy... jak mu na imię?

- Nie wiem. - Claire zapaliła światła w hallu, z którego prowadziły drzwi do jej sypialni.

Yasmine nie pojęła znaczenia gestu. Deptała jej po piętach jak nieznośny szczeniak.

- Potraktowałaś go chłodno czy wyniośle? - Byłam po prostu gościnnie.

- Dostrzegłaś, jaki był onieśmielony?

Claire zatrzymała się nagle i odwróciła w stronę Yasmine.

- O czym ty mówisz?

- Nie próbuj się wykręcać. Wątpię, czy pan Cassidy dostał kiedykolwiek podobną szkołę od kobiety.

- Jestem pewna, że w tym sensie nie widział we mnie kobiety. Przyszedł tutaj służbowo.

- I bardzo długo stąd nie wychodził.

- Zadawał mnóstwo pytań.

- Odpowiedział na wszystkie?

Jeszcze raz Claire zmroziła przyjaciółkę wzrokiem.

- Tylko na kilka. Chciał znaleźć związek pomiędzy mną a zabójstwem Jacksona Wilde'a, ale taki związek nie istnieje.

- Uważasz, że był seksowny?

- Rozumiem, że chodzi ci o asystenta prokuratora okręgowego, a nie o karnodzieję.

- Nie wymiguj się, Claire. Odpowiedz na pytanie.

- Nie myślałam wiele o wyglądzie Cassidy'ego.

- A ja owszem. Jest seksowny w pewien mroczny, intensywny sposób. Nie uważasz?

- Nie pamiętam.

- Założę się, że kiedy się pieprzy, ma szeroko otwarte oczy i zaciśnięte zęby. Na samą myśl o tym robi mi się gorąco.

Yasmine starała się ją sprowokować. W obronie przed jej atakiem Claire weszła do swojej sypialni.

- Myślałam, że jesteś zakochana.

- Jestem. Ale na pewno nie jestem ślepa ani martwa. - Przez zamknięte drzwi dodała: - Tak samo jak ty, Claire Laurent. Nawet gdybyś chciała, aby Cassidy czy jakikolwiek inny mężczyzna myślał, że twoje majtki ścinają wszystko w łód.

Słyszając jeszcze odgłosy oddalających się kroków przyjaciółki, Claire chwyciła swoje odbicie w lustrze komody.

Wyglądała na poruszoną, zażenowaną i przestraszoną.

A sprawcą tego był Cassidy.

Rozdział VI

André Philippi skończył jeść obiad i ułożył starannie srebrne sztucce na brzegu talerza. Delikatnie otarł usta sztywną lnianą serwetką, zwinął ją i odłożył na bok. Potem zadzwonił po kelnera, aby ten zabrał tacę. Pieczona kaczka była odrobinę za sucha, a przyprawa w świeżych szparagach na zimno zawierała nieco za dużo estragonu. Należało upomnieć szefa kuchni.

Jako kierownik nocnej zmiany w hotelu „Fairmont” w Nowym Orleanie André Philippi wymagał od personelu maksymalnego wysiłku. Błędów po prostu nie tolerował. Zuchwalstwo albo niedbalstwo stanowiło podstawę do natychmiastowego zwolnienia. Żywił przekonanie, że klientela hotelu powinna być rozpieszczana i traktowana jak goście w najwytworniejszych domach.

W małej łazience, sąsiadującej z jego prywatnym biurem, umył ręce łagodnym francuskim mydłem, wypłukał usta wodą usuwającą przykry zapach i dokładnie osuszył cienkie wąsiki oraz wargi. Przejechał dłońmi po wypomadowanych włosach, które nosił zaczesane do tyłu głównie dlatego, że to pozwalało mu poskromić naturalną tendencję czarnych włosów do kręcenia się i zawsze zachować staranną fryzurę. Przyjrzał się paznokciom. Dzień, w którym miał poddać je pielęgnacji - obcięciu, opiłowaniu i polerowaniu - przypadał jutro. Cotygodniową wizytę u manikiurzystki traktował jak religijny obowiązek.

Mając na uwadze koszty eksploatacji hotelu, z rozmysłem zgasił światło w łazience i wrócił do biura. Komuś o jego pozycji zwykle nie zapewniano osobistego biura, lecz André cieszył się większą estymą niż ktokolwiek inny, nie wyłączając członków zarządu.

I wiedział, jak zachować dyskrecję.

Przez wiele lat pracy zasłużył sobie na względy swoich przełożonych, którzy często prosili go, aby był dyskretny. Jeden z nich miał skłonności do młodych chłopców, inny zażywał heroinę, jednak André wyłącznie dla siebie zachowywał wiedzę o ich słabościach czy występkach. Prywatne biuro było jednym z wyrazów uznania dla André za dar dyskrecji.

Innymi przejawami uznania ze strony pracowników hotelu, a także gości, którzy skorzystali z jego specjalnych usług, były procentujące lokaty w kilku miejskich bankach. Dzięki temu André zaliczał się do ludzi zamożnych, lecz niezwykle rzadko wydawał pieniądze na coś innego niż uzupełnienie garderoby i kwiaty na grób swojej *mamon*. Dwa razy w tygodniu dostarczano na cmentarz pracowicie ułożony piękny bukiet z egzotycznych kwiatów, równie egzotycznych jak ona. Bukiety zawsze były większe i ładniejsze od tych, które jego ojciec posyłał jej, kiedy André był jeszcze małym chłopcem.

Swój niski wzrost nadrabiał oficjalnością. Był pedantyczny, chociaż w żadnym razie próżny. Sprawdził swój wygląd w wysokim lustrze po drugiej stronie drzwi do łazienki. Spodnie nadal miały kanty ostre jak brzytwa, a czerwony goździk w klapie wciąż zachowywał pożądaną świeżość. Kołnierzyk i mankiety śnieżnobiałej koszuli były tak sztywne, że odbiłaby się od nich tenisowa piłka. André zawsze nosił doskonale skrojone ciemne garnitury, nieskazitelnie białe koszule i tradycyjne krawaty. Z pewnością czułby się o wiele wygodniej w lekkich marynarkach i sztylpach, ale takim strojem zwróciłby uwagę gości bardziej na siebie niż na świadczone przez siebie wspaniałe usługi. A to nie byłoby stosowne. Uważał siebie za sługę gości hotelu „Fairmont” i traktował swoją pracę bardzo poważnie.

Rozległo się pukanie do drzwi, a po **chwili** wszedł do środka młody mężczyzna w uniformie pokojowego kelnera.

- Czy mogę już zabrać tacę?

- Tak, właśnie skończyłem. - Krytycznym okiem oszacował wygląd kelnera i jego technikę, kiedy ten zbierał naczynia i ustawiał je na tacy.

- Czy na dzisiaj to będzie już wszystko, panie Philippi?

- Tak, dziękuję.

- No to w porządku.

André zmarszczył brwi słysząc zbyt swobodnie brzmiące słowa pożegnania, ale generalnie ocenił kelnera pozytywnie. Nie było wątpliwości, że gdy wróci do kuchni, będzie żartował z przyjaciółmi z hotelowej obsługi aż do chwili, gdy otrzyma następne polecenie. André nie miał wielu przyjaciół.

Uczęszczał do najlepszych prywatnych szkół, włącznie z Uniwersytetem Loyoli. Ale ponieważ ojciec nigdy się do niego nie przyznał, i *vice versa*, pozostawał zawsze na społecznym marginesie. Nie martwił się tym jednak. Jedynym światem, który dla niego istniał, był hotel. Niewiele obchodziło go, co działo się za jego ścianami. Nie był też ambitny. Nawet w myśl-

lach nie liczył na stanowisko w zarządzie. Mieszkał w ciasnym pokoju niedaleko hotelu, ale nie lubił tam przebywać. Gdyby to było możliwe, ani na chwilę nie opuszczałby hotelu „Fairmont”.

Miał tylko jedną słabostkę. Właśnie oddawał się jej teraz z taką przyjemnością, z jaką smakosz mógłby sączyć swój poobiedni likier. Otworzywszy szufladę w biurku, wpatrywał się w oprawioną, opatrzoną autografem fotografię. Ach, ta Yasmine. Taka śliczna. Taka piękna. „Facetowi dla uciechy” - napisała nad pełnym zakrętasów podpisem. Z pewnością był kimś więcej niż jedynie jej gorącym wielbicielem. Od lat żywił do niej uczucie, które graniczyło z obsesją. Nie chodziło przy tym o seksualne zauroczenie. To byłaby profanacja. Nie, on ją podziwiał, jak entuzjasta sztuki podziwiał niedoścignione dzieło malarza. Czczył i wielbił ją, i pragnął dla niej szczęścia tak samo, jak niegdyś pragnął, aby była szczęśliwa jego piękna *maman*.

W końcu zamknął szufladę, wiedząc, że tej nocy będzie miał jeszcze wiele okazji, by przyjrzeć się zapierającemu dech w piersiach wizerunkowi twarzy, którą i tak bez przerwy oglądał oczami wyobraźni. Jednakże teraz nadeszła pora godzinnej inspekcji pomieszczeń recepcyjnych. Na pierwszy rzut oka wszystko zdawało się bez zarzutu. Na dywanie przed windami spostrzegł niedopałek papierosa, ale pstryknięcie palcami wystarczyło, żeby natychmiast podszedł portier i podniósł go. Z kompozycji kwiatów usunął zwiędłą różę, a moment później zapytał uprzejmie wychodzących gości, czy wszystko odpowiadało ich oczekiwaniom. Jak zwykle usłyszał zapewnienie, że wszystko było doskonałe.

Kiedy przemierzał hall, aż zadrżał na wspomnienie tamtego przerażającego ranka po zamordowaniu Jacksona Wilde'a. Co za okropne wydarzenie miało miejsce w jego hotelu!

A jednak nie żałował, że telewizyjnego kaznodzieję spotkała śmierć. Ten człowiek dbał przede wszystkim o siebie, zapominając o potrzebach innych. Pod maską uśmiechu skrywał złośliwe usposobienie. Śmiał się zbyt głośno, przemawiał zbyt zapalczywie, zbyt serdecznie się witał. Wobec niego i jego rodziny André zachowywał zawodową uprzejmość, ale nie wkładał w to serca, ponieważ do Jacksona Wilde'a czuł wyraźną osobistą niechęć.

Nawet do tej pory zachował urazę. Zamordowanie Wilde'a rzuciło cień na dobre imię hotelu. Żaden hotel nie może gwarantować, że w którymś z pokoiów nie zdarzy się coś takiego, i to bez względu na zastosowane środki bezpieczeństwa. Niemniej jednak lokalni dziennikarze w oburzający sposób sugerowali,

że hotel powinien przyjąć na siebie przynajmniej część odpowiedzialności.

Tym aspektem całej sprawy zajęli się prawnicy. Aktywność André tak daleko nie sięgała. Ale zbierało mu się na mdłości, kiedy przypominał sobie chaotyczne wydarzenia tamtego ranka: zwykle spokojny hall zatłoczony przez policję i reporterów oraz słusznie niezadowolonych gości, których przesłuchiowano jak pospolitych przestępców. A przecież powinno być oczywiste dla stróżów prawa, że ktoś wszedł do środka z ulicy, dotarł windą na szóste piętro i został wpuszczony do pokoju Wilde'a. Po zastrzeleniu go morderca, nie zwracając niczyjej uwagi, wrócił dokładnie tą samą drogą. Czy należało wszystkich gości hotelowych, którzy spędzili tu noc, traktować jak podejrzanych? Czy policja miała prawo podejrzewać każdego? W każdym razie André tak nie myślał. Właśnie dlatego bez skrupułów postanowił chronić tych, którzy według niego prawdopodobnie nie mieli nic wspólnego z zabójstwem Jacksona Wilde'a.

Sam również został poddany rutynowemu przesłuchaniu. Wydawało się, że policja wierzy jego zeznaniom. Natomiast pan Cassidy to zupełnie osobna sprawa. On był dużo bardziej drobiazgowy i drażył o wiele głębiej niż ten niechlujny detektyw o dwu imionach. Cassidy nie oskarżył bezpośrednio André o kłamstwo, ale zdawało się, że podejrzewa go o ukrywanie informacji.

- Niech pan posłucha, panie Philippi - powiedział, pochylając się nad nim jakby w geście mającym wywołać atmosferę wzajemnego zaufania - nie obchodzi mnie, jakie interesy robili tamtej nocy w hotelu handlarze narkotykami. Z pewnością nikt nie zostanie zamieszany w przestępstwo, jeżeli na przykład był w pokoju z prostytutką, która przykuła go kajdankami do łóżka, by zrobić kompromitujące zdjęcia. Nie obchodzi mnie też, kto czyjej żonie dogadzał. Ale za to chciałbym poznać tożsamość każdej osoby, która przekroczyła wtedy te właśnie drzwi. Wiem, że pan dokładnie czuwa nad rejonem głównego hallu. Widuje pan mnóstwo ludzi. Nie możemy nikogo z góry zlekceważyć. Każdy okrucieństwo informacji może okazać się istotny.

- Rozumiem, panie Cassidy - odpowiedział André z kamienną twarzą - ale już wymieniałem panu wszystkich. Nikogo więcej nie widziałem. Poinstruję obsługę, aby udzieliła panu wszelkiej pomocy, jakiej pan zażąda. Poza tym ma pan swobodny dostęp do komputera.

- Obaj wiemy, że znajdzie tam tylko to, co zostało do niego

wprowadzone. Poza tym z usunięciem danych jest jeszcze mniejszy problem niż z ich wprowadzeniem. - Cassidy podniósł głos demonstrując zniecierpliwienie. Zaraz jednak uświadomił to sobie i zmienił taktykę, przybierając ton troskliwego ojca tuż przed wymierzeniem sprawiedliwej kary. - Czemu nie wyjawi mi pan wszystkiego otwarcie, André? Nieudzielenie istotnych informacji to również pewna forma współuczestnictwa w przestępstwie. Za żadne skarby jednak nie chciałbym pana o coś takiego oskarżyć.

Choćby Cassidy zmieniał taktykę jeszcze na kilkadziesiąt sposobów, to i tak nie zdołałby od André niczego wyciągnąć. Fakty nie mające absolutnie nic wspólnego z zamordowaniem wielebnego Jacksona Wilde'a nie powinny Cassidy'ego w ogóle interesować.

Pan Cassidy nie pochodził z Nowego Orleanu. I mylił się sądząc, że prawo jest ponad wszystkim, absolutne i nieprzekraczalne. Najwidoczniej nie nauczył się jeszcze kodeksu honorowego, który rządził tym miastem. Przybysze z zewnątrz mogli tego nie rozumieć, ale z pewnością nie André Philippi.

Kiedy Claire weszła do kuchni, jej matka siedziała samotnie przy stole w kąciku śniadaniowym. Była całkowicie ubrana i miała makijaż, co skłaniało raczej do optymizmu. Zdarzały się bowiem dni, gdy nie opuszczała łóżka, uwięziona tam przez depresję.

- Hmm. Kawa pachnie bardzo smakowicie, mamó - powiedziała Claire, wkładając w uszy kolczyki.

- Dzień dobry, kochanie. Dobrze spałaś?

- Tak.- skłamała Claire. Nalała sobie kawy, dodała śmietanki, poteth odwróciła się przez ramię i uśmiechnęła do matki. Jej uśmiech zgasł momentalnie, kiedy na ekranie przenośnego telewizora zobaczyła znajomą twarz.

Nadawano właśnie poranne wiadomości.

- Ona naprawdę nie powinna tak krzyczeć - zauważyła Mary Catherine. - To takie nieeleganckie. Prawdziwa dama powinna zawsze zwracać uwagę na sposób mówienia.

Każdy z dziennikarzy ciasnym kręgiem otaczających Ariel Wilde pragnął jako pierwszy przekazać jej najświeższe i najbardziej zjadliwe słowa krytyki pod adresem władz miejskich, okręgowych i stanowych, które do tej pory wstrzymywały się z wydaniem zezwolenia na przewiezienie ciała jej męża do Nashville.

Claire ostrożnie zajęła miejsce naprzeciwko matki. Z większą uwagą wpatrywała się w Mary Catherine niż w ekran telewizora.

- Uważam, że pani Wilde ma prawo pogrzebać męża najszybciej, jak to tylko możliwe - powiedziała Mary Catherine - jednakże trudno darzyć sympatią ludzi, którzy są tacy nieprzyjemni.

- Dlaczego mówisz, że oni są nieprzyjemni, mamó?

Mary Catherine zerknęła na córkę z wyraźnym zdziwieniem.

- I ty się pytasz dlaczego? Claire, chyba nie zapomniałaś o tych wszystkich przykrościach, na które naraził cię ten kaznodzieja? O tym, jakie straszne rzeczy wygadywał? Był wstępnym człowiekiem i najwidoczniej jego żona jest taka sama. A więc dzisiaj znowu myśli zupełnie jasno - pomyślała Claire. Takie dni zdarzały się rzadko, ale wtedy Mary Catherine była całkowicie świadoma tego, co się wokół niej dzieje. Kiedy jej oczy patrzyły przytomnie, a głos brzmiał pewnie, aż trudno było uwierzyć, że kiedykolwiek zachowywała się inaczej. Claire, przyglądając się jej teraz, zastanawiała się, co sterowało owymi okresami zdrowia psychicznego i długotrwałymi stanami depresji i choroby. Jak dotąd lekarzom nie udało się postawić właściwej diagnozy.

- W tym, co mówił o tobie, było tyle nienawiści - ciągnęła. -Dlaczego on nie mógł pilnować własnego rtosa i zostawić cię w spokoju?

Claire zaszokowała reakcją matki.

- Teraz już nie muszę się nim przejmować, mamó. Mary Catherine uśmiechnęła się dobrotliwie.

- O tak, wiem. Zginął od trzech kul z pistoletu. - Zmieniając nagle temat, przesunęła talerz z francuskimi bułeczkami w kierunku Claire. - Weź jedną, kochanie. Są wspaniałe.

- Na razie wystarczy mi kawa - powiedziała Claire w zamyśleniu. - Mamó, chciałabym porozmawiać z tobą o czymś bardzo ważnym.

- Bardzo mi się podoba ten mężczyzna od prognozy pogody. Zobacz, zachowuje się w taki swobodny, ujmujący sposób.

- Mamó? - Claire czekała, aż uwaga matki ponownie skoncentruje się na niej. - Pamiętasz, jak któregoś dnia poznałaś pana Cassidy'ego?

- Oczywiście. Zaledwie przed kilkoma minutami pokazali go w wiadomościach. Nie wiedziałam tylko, gdzie mogliśmy się spotkać, skoro on jest taki ważny. Z ramienia prokuratury okręgowej zajmuje się prowadzeniem sprawy Jacksona Wilde'a.

- Właśnie. I ponieważ wilebny Wilde uznawał mnie publicznie za swojego wroga, pan Cassidy chciał się ze mną zobaczyć. Prawdopodobnie jeszcze wróci.

- Wspaniale. On jest bardzo miły.

- Tak, ale... nie zawsze jest miły. W swojej pracy często musi zadawać ludziom mnóstwo pytań. Pytań na temat ich życia, pochodzenia. Musi sięgać do ich przeszłości i próbować wydobyć sprawy, które tamci woleliby zachować w tajemnicy. -Zawiesiła głos, aby pobudzić zainteresowanie matki. - Jeśliby więc pan Cassidy przyszedł do nas ponownie i zaczął cię wypytywać o czasy, kiedy mieszkaliśmy u ciotki Laurel, to co byś mu powiedziała? Mary Catherine była zakłopotana.

- Powiedziałabym chyba, że to był cudowny okres. Claire, westchnąwszy z ulgą, pochwyciła dłoń matki i lekko ją uścisnęła.

- Czyż tak właśnie nie było? Wspaniale nam się mieszkało w domu ciotki Laurel.

- Bardzo mi jej brakuje. W niedzielę po mszy złożymy kwiaty na jej grobie. - Mary Catherine wstała. - Teraz, Claire, będziesz musiała mi wybaczyć. Muszę sporządzić listę zakupów, zanim zjawi się tutaj Harry. Ona jest taka zapominalska, że bez tego zapomniałaby kupić co najmniej połowy potrzebnym nam rzeczy.

Mary Catherine podeszła do kuchennej lady i na kartce papieru zaczęła robić spis towarów, podczas gdy Claire przyglądała się jej z zatroskaną twarzą. Powtórna wizyta Cassidy'ego zdawała się jedynie kwestią czasu. Claire pragnęła tylko, aby nie doszło do niej dzisiaj. Była wprawdzie zadowolona, że matka ma .dobry dzień, ale wolałaby, żeby w tych warunkach Cassidy nie rozmawiał z nią o kaznodziei i jego zamordowaniu.

Cassidy już dosyć długo stał pod prysznicem, a woda nadal nie była zimna, lecz zaledwie letnia. W końcu doszedł do wniosku, że przynajmniej siła strumienia jest zadowalająca. Czuł, jak powoli opuszcza go wewnętrzne napięcie. Ale jednak nie do końca.

Namydlił się, opłukał i wyszedł spod prysznica. Czekająca na niego świeżo zaparzona kawa - intensywny zapach nowoorleańskiej kawy i cykorii rozchodził się z kuchni wielkości pocztowego znaczka. Napełnił filiżankę gorącym, gorzkim napojem, który miał mu dostarczyć porcji ożywczej kofeiny i odrobiny optymizmu. Może właśnie dzisiaj wydarzy się coś istotnego.

Podszedł do frontowych drzwi swojego mieszkania, otworzył je i sięgnął po poranną gazetę. Kobieta mieszkająca po przeciwnej stronie wąskiego korytarza właśnie wrzucała listy do skrzynki pocztowej.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się rozbawiona.

- Dzień dobry, Cassidy.

Przytrzymał owinięty wokół bioder ręcznik.

- Dzień dobry.

- Ostatnio prawie cię nie widuję. Ignorując dwuznaczność tych słów, powiedział:

- Jestem bardzo zajęty.

- Właśnie czytałam. - Skinieniem głowy pokazała na gazetę, którą przytrzymał ramieniem. Stąd przeniosła wzrok na jego owłosiony brzuch, pokryty teraz kropelkami wody. - Czy w ogóle miałeś okazję użyć tej próbki mydła, którą podarowałam ci w ubiegłym tygodniu?

Pracowała w Maison-Blanche, międzynarodowej firmie kosmetycznej, i co jakiś czas zostawiała mu na progu mieszkania jakąś próbkę z kolekcji męskiej. Dzięki temu miał więcej kosmetyków niż jakakolwiek piękność odwiedzająca kluby na Bourbon Street. Prawie ich nie używał. Pozostał wiernym swoim wcześniejszym przyzwyczajeniom, lecz nie chciał zranić sąsiadki. Czując łaskotanie każdego włosa, który studiowała, odrzekł:

- O tak, mydło było wspaniałe.

- Ładnie pachniało?

- Ummm.

Chwilowo wyczerpali temat rozmowy. Wiedział, co kryje się w łagodnym wyrazie jej oczu. Przez chwilę bawił się myślą, żeby wprosić się do jej mieszkania na świeże bułeczki i kilka innych przyjemności, ale odrzucił ten pomysł, zanim się całkowicie wykrystalizował.

- No, muszę się spieszyć. Na razie.

Ledwie zdążył zamknąć drzwi, kiedy ręcznik zsunął mu się z bioder i upadł na podłogę. Jego sąsiadka, Penny albo Patty, albo Peggy, albo jakoś podobnie, była ładna i dostępna. Już wcześniej robiła pierwsze kroki, ale on je ignorował, głównie z braku czasu i ochoty.

Może dzisiaj powinien był skorzystać z jej subtelного zaproszenia. Może gdyby się z nią przespał, zaczęłoby mu sprzyjać szczęście. - Cholera, bardzo w to wątpię - mruknął. Jeśliby to było takie łatwe, już dawno miałby wszystko za sobą. Mimo wszystko kobiety nie stwarzały tylu problemów.

Nogą usunął z drogi wilgotny ręcznik i nagi wszedł do kuchni. Czekając na grzanki z pszennego chleba, małymi łykami wypijał kawę. Potem zabrał się do przeglądania gazety. Zauważył, że historia śmierci Wilde'a spadła na czwartą stronę, ale za to poświęcono jej dość obszerny artykuł, sugerujący, że władze były całkowicie zbite z tropu. Mocno podkreślano brak kompetencji. Ponieważ media nieustannie przekazywały świeże informacje, wydawało się niemożliwe, aby ktokolwiek nie znał faktów, jednak dla tych, którzy jeszcze nie wiedzieli o morderstwie, scenę zbrodni przedstawiono zgodnie z oświadczeniem przygotowanym dla prasy przy udziale Cassidy'ego.

Autor cytował jego wypowiedź o tym, że połączone siły policyjnego wydziału zabójstw i biura prokuratora okręgowego idą tropem kilku dobrze rokujących śladów - co było prawdą - oraz że moment aresztowania sprawcy jest bardzo bliski - co było kłamstwem. Do aresztowania prowadziła z pewnością jeszcze daleka droga.

Z opiekacza wyskoczyły dwa tosty. Posmarował je masłem, posypał cukrem i cynamonem i zabrał się do jedzenia. Przed oczami stanęła mu Claire Laurent. Jej usta z pewnością smakowały jak roztopione masło i cukier zmieszany z cynamonem.

Do licha! Dłońmi chwycił za krawędź stołu i pochylił się do przodu; brodą dotknął piersi. Chociaż brał prysznic zaledwie przed pięcioma minutami, już zaczął się pocić, małe krople staczały się po jego piersi, bokach, plecach i brzuchu. Frustrujące, zdawałoby się, niedorzeczne podniecenie spowiło jego męskość jak obłoczek pary unoszący się nad mokradłem.

Od czasu wizyty we Francuskim Jedwabiu nocami oblewały go fale gorąca. Noc w noc, jak przy malarii, dręczyły go osłabiające dreszcze. Czuł się rozkojarzony, doprowadzony do szaleństwa, dziko podniecony. Był skłonny sądzić, że winne są temu ekscytujące wytwory Francuskiego Jedwabiu. Przecież w końcu każdy normalny facet podnieci się na widok sporej ilości nadzwyczaj skąpo odzianych modelek. Takie było prawo natury. W katalogu Francuskiego Jedwabiu wszystkie ubiory były seksowne. Albo słodko-seksowne, albo chłodno-seksowne, albo też gorąco-seksowne. Ale zawsze seksowne.

Ale przecież oglądał podobne zdjęcia prawie od dziecka i nie pamiętał, aby kiedykolwiek zdarzyło mu się reagować na nie tak silnie. Zatem źródła tej szczególnej reakcji należało dopatrywać się w osobie inspiratorki katalogu. Claire Laurent była równie prowokująca jak dzieła, które projektowała. Pomijając

nawet kontekst prowadzonego przez siebie dochodzenia, i tak nie mógłby przestać o niej myśleć. Już niejedną raz zastanawiał się, czy tamte cholerne banieczki, którymi dmuchnęła wtedy w jego kierunku, nie były w rzeczywistości elementem magicznej praktyki miłosnej voodoo.

- Jak tam ci poszło wczoraj w tym magazynie z bielizną? -zapytał go Crowder podczas rutynowej porannej odprawy.

- Chodzi ci o Francuski Jedwab?

- A widzisz jakąś inną możliwość?

- To całkiem niezły interes. Nawet nie przypuszczałem, że aż tak ekspansywny.

- Nie obchodzi mnie interes. Rozmawiałeś z tą kobietą o nazwisku Laurent?

- Tak. Nawet dosyć długo.

- No i...?

- Twierdzi, że nigdy nie widziała Wilde'a.

- Uwierzyłeś jej?

Cassidy sam do końca nie wiedział, dlaczego odrzekł wymijająco:

- Nie miałem powodu, żeby jej nie wierzyć. - Ponieważ Crowder oczekiwał dłuższej relacji, opowiedział mu także o Mary Catherine Laurent i o Yasmine.

- Wiem, kim ona jest - powiedział Crowder. - Widziałem ją raz w programie Johnny'ego Carsona. Facetom na jej widok pocą się ręce.

- Zgadza się. Natomiast Mary Catherine, to znaczy matka, jest nie w pełni władz umysłowych.

- Nie mów. A czym to się objawia?

Crowder wypytywał o szczegóły. Cassidy ich nie miał. Chciał wiedzieć, że Cassidy'emu kutas twardnieje na każdą myśl o Claire Laurent. Nie było w tym niczego pomyślnego dla asystenta prokuratora okręgowego usiłującego rozwiązać zagadkę morderstwa, kiedy w dodatku w tym rozwiązaniu tkwi klucz do dalszej pomyślnej kariery. Ta sprawa należała do typu tych szeroko znanych, owocodajnych przypadków, o których ambitni młodzi prokuratorzy mogli jedynie pomarzyć. I należała do niego.

Los zesłał mu wyjątkową szansę. Tą sprawą mógł udowodnić Crowderowi, że zasługuje na przejęcie królestwa, gdy prokurator okręgowy odejdzie na emeryturę. Cassidy musiał też przekonać wyborców, że jest właściwym kandydatem na to odpowiedzialne stanowisko. I musiał udowodnić sobie, tak jak to robił przez ostatnie pięć lat, że jest porząd-

nym facetem i znajduje się po właściwej stronie więziennych krat.

Wszystko to byłoby podwójnie trudne do osiągnięcia, gdyby wśród podejrzanych znalazła się osoba, z powodu której dręczyły go tak sensacyjne objawy.

Claire Laurent nie mogłaby z zimną krwią popełnić morderstwa. Zwróć uwagę na sposób, w jaki ona traktuje swoją matkę -przekonywał sam siebie.

Cassidy dobrze wiedział, że podobna logika niewarta była splunięcia. Znał wielokrotnych morderców, którzy potrafili płakać na zawołanie, zwłaszcza w obecności swoich matek.

A więc zapomnij o sentymentach. Spójrz na to z praktycznego punktu widzenia. Zabicie Wilde'a byłoby z jej strony głupotą. Ryzykowałaby więcej, gdyby go zamordowała i została złapana, niż gdyby udało mu się zniszczyć jej przedsiębiorstwo, tak jak planował. Zgadza się? Zgadza się. Ona nie mogłaby tego zrobić.

Jednakże sytuacja we Francuskim Jedwabiu była w jakiś sposób intrygująca. Tylko dlaczego? Po kolei przypominał sobie wszystkie osoby, które tam spotkał: kobietę-dokera -dozorczynię, Claire, Mary Catherine, Yasmine. Już wiedział. Brakowało mężczyzn.

Żadnego mężczyzny. Pracowały tam wyłącznie kobiety. „Harry” to zdrobnienie od kobiecego imienia „Harriet”, imienia gosposi. Czyżby więc Francuski Jedwab był doskonałym przykładem reakcji na tradycyjną dyskryminację płci? A może w stosunkach między Claire i Yasmine było coś więcej niż jedynie przyjaźń i wspólne interesy?

Ta myśl pozostawiła w jego ustach pewien gorzki smak, silniejszy niż posmak kawy i cykorii. Wstał i wylał fusy do zlewu. :

Nie, niemożliwe. Przecież wyczułby to. Obie kobiety rozumiały się bez słów, były dla siebie powiernicami, ale nie kochankami. W każdym razie Claire Laurent nie mogła być zabójczynią.

Z drugiej strony wydawała się być kobietą, która jeśli już zabiła mężczyznę, to nie miałaby przy tym skrupułów, by roztrzaskać jego jądra chociażby dla zabawy.

Zadzwonił telefon.

- Mówi Glenn.

- Dzień dobry.

Detektyw mruknął coś pod nosem, jakby się nie zgadzał.

- Miałem telefon od komisarza. Powiedział, że żona Wilde'a

- ten kalambur ma być rozumiany dosłownie - żąda uwolnienia zwłok. Musimy się zgodzić, Cassidy. Przesunął dłonią po mokrych włosach.

- Do dupy! Zdaje się, że nie mamy wyboru. Ale pozwól mi jeszcze raz spróbować z nią i pasierbem.

- Przecież już mamy ich zeznania. Sam ich wielokrotnie przesłuchiwałem. To będzie wyglądało na umyślne uprzykrzanie im życia.

- Wiem, ale zależy mi na tym. Będę u siebie za pół godziny.

Rozmowa z Ariel Wilde i jej pasierbem nie zaczęła się obiecująco. Kiedy wszedł do biura, oni już tam siedzieli.

Wdowa, ubrana w sukienkę z czarnego jedwabiu, wyglądała na istotę delikatną, udręczoną i bezsprzecznie niewinną.

- Panie Cassidy, za nieco więcej niż godzinę odlatujemy do Nashville. Nie chcielibyśmy spóźnić się na samolot.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział, obchodząc biurko. - Utknąłem na jakiś czas w ulicznym korku. - Jednak państwo na pewno zdążycie na lotnisko, jeśli oczywiście zechcecie skorzystać z policyjnej eskorty.

To chyba do niej trafiło. Poprawiła się w krześle.

- Dziękuję.

- Wiem skądinąd, że kasetę z ciałem wielbego Wilde'a również znajdzie się na pokładzie tego samolotu.

Otarła oczy wyhaftowaną chusteczką.

- Jackson został zamordowany ponad tydzień temu. Pan nie tylko nie znalazł mordercy, ale jeszcze uniemożliwił mi pochowanie sponiewieranego ciała.

Cassidy przyklasnął jej w duchu. Prezentowała się cholernie dobrze. Kolana ukryła skromnie pod sukienką, a jej jasne, proste włosy przytrzymała czarna pluszowa opaska. Młoda kobieta w najmniejszym nawet stopniu nie usiłowała być ponętna, a mimo to promieniowało z niej coś w rodzaju nieuchwytej charyzmy.

Pasierb uspokajająco położył dłoń na jej ramieniu.

- To było dla nas bardzo ciężkie doświadczenie, panie Cassidy. Szczególnie dla Ariel.

- Z pewnością.

- Chcemy zabrać ciało ojca do domu, pogrzebać je, a potem odpocząć. Jednakże planujemy wrócić do Nowego Orleanu, gdy zostanie aresztowany sprawca. Pragnę zapytać go osobiście, dlaczego to zrobił.

- Sam chciałem o to zapytać. - Cassidy otworzył teczkę z

aktami, którą wręczył mu przed wejściem jeden z urzędników. -Dla pewności chciałbym z państwem sprawdzić pewne istotne punkty. - Zaszleścił papierami, aby pytanie nabrało odpowiedniej wagi. - Państwo, to znaczy was troje, nie licząc obstawy, przybyliście do hotelu... o której?

- Za dziesięć piąta - odpowiedziała Ariel niecierpliwie. -Panie Cassidy, powtarzałam to już chyba z tysiąc razy.

- Wiem, że czasami taka powtórka może wydawać się nużąca i niepotrzebna, ale czasami przy tej okazji świadek przypomina sobie o czymś, czego wcześniej nie pamiętał. Proszę więc o wyrozumiałość.

Westchnęła ciężko. - Do hotelu przybyliśmy za dziesięć piąta. Byliśmy wszyscy bardzo głodni. Zjedliśmy posiłek w sali na parterze. Z pewnością obsługa może to potwierdzić.

- Już potwierdziła. Czy wszyscy pozostali przy stole do końca posiłku?

- Chyba tak. Josh, pamiętasz, żeby ktoś odchodził od stołu?

- Nie. Dlaczego to jest ważne, panie Cassidy?

Nadal nie było jasne, w jaki sposób przestępca dostał się do apartamentu Wilde'a. Cassidy pomyślał, że może ktoś z wewnętrznego kręgu miał dostęp do klucza i zaczął się na Wilde'a, czekając, aż ten powróci z obiadu.

- Zdaje się, że to ja pytam.

- Nie pamiętam, aby ktokolwiek odszedł, zanim skończyliśmy - powiedziała Ariel. - Wszyscy wsiedliśmy do windy i wysiedliśmy na naszym piętrze.

- Czy atmosfera była towarzyska?

- Każdy był natchniony Duchem.

- Duchem?

- Duchem Świętym. Tego wieczoru modlitwy były szczególnie podniosłe.

- Rozumiem. - Cassidy przerzucił większą ilość kartek. - A więc, pani Wilde, pani mąż i Josh razem wysiedliście z windy na siódmym piętrze?

- Zgadza się. Jackson zawsze rezerwował piętro wyłącznie dla nas, tak że nasza rodzina mogła cieszyć się absolutnym spokojem.

- Hmm.

- Pocałowałam Jacksona na dobranoc przy windzie, a potem poszłam do apartamentu Josha ćwiczyć pieśni na następny wieczór.

- Czy pani zawsze śpiewa z pełnym żołądkiem, pani Wilde?

- Proszę?

Bawiąc się ołówkiem, Cassidy oparł się wygodniej i uważnie przyglądał dwojgu swoich gości.

- Znałem kilkoro śpiewaków. Nigdy nie słyszałem, aby którekolwiek z nich lubiło śpiewać po jedzeniu. Pełny żołądek naciska na przeponę, nieprawdaż?

- Jaki to ma związek z tym wszystkim?

- Podobno poszła pani do apartamentu Josha, żeby poćwiczyć śpiew.

- Mogę to wyjaśnić - wtrącił się pospiesznie Josh. - Poza audytorium Ariel i ja pracujemy nad rytmem, tempem i podobnymi szczegółami. Ona nie musi używać pełnego głosu, dopóki nie znajdzie się w audytorium, gdzie technicy i tak dobierają odpowiedni poziom nagłośnienia mikrofonu.

- Aha - powiedział Cassidy. - To pewnie dlatego nikt tej nocy nie słyszał pani śpiewu.

- Nikogo poza nami nie było na siódmym piętrze - przypomniała mu słodkim głosem.

- To prawda. Ale pokoje pod i nad apartamentem Josha były zajęte, jednakże ich mieszkańcy nie słyszeli ani śpiewu, ani dźwięków fortepianu.

- Co pan sugeruje, panie Cassidy?

- Że może poszła pani do apartamentu Josha, aby muzykować w nieco odmienny sposób.

Wdowa zerwała się na równe nogi i przeszła go wzrokiem.

- Jak pan śmie?

- Nikt nie może potwierdzić pani wersji.

- Nikt też nie może jej podważyć.

- A ja myślę, że właśnie tak to pani zaplanowała.

- Niech pan myśli, co pan chce.

- Myślę, że aby kontynuować swój związek, poszłicie - no, może jedno z was - do pokoju biednego Jacksona Wilde'a i tam zastrzeliliście go podczas snu. Pozostawiliście go w spokoju do rana, a później odegraliście tę komedię dla prasy i publiczności.

W niebieskich oczach Ariel zapaliły się groźne ogniki.

- Jesteś narzędziem szatana.

- Bardzo możliwe - odparł Cassidy nie zrażony. - W każdej chwili jestem na jego usługi.

- Jest pan gotowy aresztować nas na podstawie własnych wymysłów? - dumnie zapytała Ariel.

- Bez żadnego dowodu? Wie pani równie dobrze jak ja, pani Wilde, że nie mogę narazić urzędu prokuratorskiego na śmieszność.

93

- Właśnie. - Odwróciła się i zniknęła w drzwiach. Josh został, choć był nie mniej poruszony niż ona.

- Niesłusznie nas pan oskarżył, panie Cassidy. Dlaczego, zamiast drażnić moją macochę wstrętnymi zarzutami, nie zajmie się pan szukaniem prawdziwego mordercy?

- Zostawmy to, Josh. - Cassidy celowo przeszedł na familiarny ton. Jeżeli w ogóle miało mu się udać zapanować nad jednym z tych dwojga, to najprędzej nad Joshem. - Wiem, że nieźle sobie na niej używasz. Mógłbym założyć się o ostatniego centa, że... ty załatwiłeś swojego staruszka, aby móc nadal spokojnie to robić.

- Proszę tak nie mówić!

- A więc zacznij gadać, do cholery! - Cassidy uderzył dłońmi w powierzchnię biurka.

Po chwili pełnej napięcia Josh zapytał ponuro:

- Co pan chce wiedzieć?

Cassidy powściągnął gniew, wiedząc intuicyjnie, że z Joshem, by się nie wycofał, należało postępować finezyjnie.

- Spójrz na to z mojej perspektywy, Josh, i sam oceń wnioski. Ariel jest młoda, śliczna, utalentowana i zakochana w młodym, przystojnym, utalentowanym pasierbie, który odwzajemnia jej uczucie. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie pewien kłopot. Ona jest mężatką. Nie chciany mąż to motyw, którego nie wolno mi lekceważyć. Poza tym, prócz twojego ojca, była jedyną osobą, która miała klucz do apartamentu.

- A pokojówki? Hotelowa obsługa? Zawodowi włamywacze nie potrzebują kluczy, by otworzyć każde drzwi.

- Jackson został zamordowany przez kogoś znajomego. Przez kogoś, przy kim nie wstydził się leżeć nago na łóżku.

- Nie przez Ariel.

- A może przez ciebie? Młody mężczyzna zbladł.

- Były między nami poważne różnice, aleja go nie zabiłem.

- Czy wiedział o twoim romansie z jego żoną?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Powracające do pozycji pionowej krzesło niemal wyrzuciło Cassidy'ego w poprzek biurka.

- Nie wciskaj mi gówna, Josh. Wiedział?

Josh najwyraźniej skulił się pod twardym spojrzeniem szarych oczu prokuratora. W końcu jego ramiona drgnęły lekko, a on spojrzał gdzieś w bok.

- Nie. Nie sędzę.

Nareszcie. Nareszcie zdobył potwierdzenie, że ta para two-

rzyła niedozwolony związek. Ukrył starannie radosną reakcję.

- Więc myślisz, że byliście dostatecznie sprytni, aby twój ojciec nie dowiedział się o tym, podczas gdy ja domyśliłem się po trzydziestu sekundach od momentu, kiedy was zobaczyłem?

- Nie w tym rzecz, czy byliśmy dostatecznie sprytni - powiedział Josh. Zaśmiał się bez cienia wesołości. - Chodzi o to, że on był maniakałnym egocentrykiem. Nie przyszłoby mu do głowy, że Ariel woli mnie bardziej niż jego.

Cassidy popatrzył mu w oczy i uwierzył.

- Był prawdziwym sukinsynem, prawda?

- Owszem, był.

- Nienawidziłeś go?

- Czasami.

- Wystarczająco mocno, aby go zabić?

- Czasami. Ale go nie zabiłem. Nie mógłbym. Nie miałbym odwagi.

W to również Cassidy uwierzył. Joshua Wilde otrzymał imię żydowskiego przywódcy ze Starego Testamentu, ale swojego patrona w ogóle nie przypominał. Niewątpliwie Jackson Wilde ze swoim grzmiącym głosem i temperamentem anioła-mściciela był boleśnie rozczarowany synem o tak miękkim głosie i łagodnym usposobieniu. Dzieci potrafią gromadzić w sobie urazę do nieomylnych, przesadnie krytycznych rodziców. Rodzice lepsi od Jacksona Wilde'a ginęli, zamordowani przez zestresowane dzieci. Cassidy jednak nie uważał, aby Josh był w stanie posłać kulę w czaszkę żywego człowieka.

- A ona? - zapytał Cassidy, pokazując brodą w kierunku drzwi. - Dobrze przemyśl odpowiedź, Josh. W każdej chwili możemy natrafić na istotny dowód, na coś, co wcześniej przeoczyliśmy. Jeśli osłaniasz Ariel, dopuszczasz się współdziałania, a kara jest identyczna. - Zabiła go? - Nie.

- A czy mogła zrobić to bez twojej wiedzy? Kochałeś się z nią tamtej nocy?

Patrzył pod nogi, ale odpowiedział bez wahania.

- Tak.

- Nie wyszła z twojego apartamentu nawet na chwilę?

- Nie. Oczywiście, dopóki nie odeszła na dobre. Grubo po północy.

Za późno na morderstwo, którego popełnienie Elvie Dupuis usytuowała między dwunastą a pierwszą w nocy.

- Jesteś pewien?

95

- Jak najbardziej.
- A sam nie podejrzewasz jej o zabójstwo?
- Nie. - Potrząsnął głową tak energicznie, że kilka kosmyków włosów opadło mu na oczy.
- Skąd czerpiesz tę pewność?

Podniósł głowę i po raz pierwszy wytrzymał wzrok Cassi-dy'ego.

- Mój ojciec zapewniał jej sławę. Bez niego jest zerem.

To była ślepa uliczka. Oboje byli wprawdzie winni jak diabli, ale Cassidy nie bardzo wiedział, czy jedynie cudzołóstwa, czy grzechu znacznie cięższego. Z drugiej strony, choćby nawet zabili Wilde'a, to i tak nie miał żadnego dowodu, aby ich zatrzymać.

- Miłej podróży - powiedział przyciszonym głosem. Joshua Wilde zdziwił się.
- To znaczy, że mogę odejść?
- O ile nie zechcesz podpisać pisemnego przyznania się.
- Nie mam do czego się przyznawać. Podobnie Ariel. Przysięgam, panie Cassidy.
- Być może to się jeszcze zmieni - na sali sądowej. Póki co, do widzenia.

Cassidy odprowadził go wzrokiem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie wypuszcza mordercy pomiędzy zwykłych ludzi, chociaż, tłumaczył sobie, oboje poza wyłudzeniem w imię Pana ciężko zarobionych pieniędzy nie stanowili generalnie poważniejszego zagrożenia.

Zniechęcony, czując, że jest na bakier ze światem, podniósł słuchawkę telefonu, zanim jeszcze rozległ się dźwięk pierwszego dzwonka.

- Tu Cassidy. - Dzwonił Crowder. Nie był zadowolony z wyników przesłuchania. - Koniec końców spokojnie sobie spacerują - podsumował Cassidy.

Crowder zaprezentował kilka wybornych komentarzy dotyczących wdowy i zamieszania, jakie wywołała.

- Teraz leci sobie spokojnie do Nashville, pachnie jak róża, wygląda jak błogosławiona męczennica, a nam zostawia do sprzątnięcia śmierdzącą kupę gówna. Cassidy, jesteś tam?

- Co? Ach, tak, wybac. Gówna. Zgadza się.
- Co się z tobą dzieje?

Cassidy właśnie gapił się na wyścielaną teczkę, którą Howard Glenn przyniósł do biura i położył na biurku, uśmiechając się triumfalnie.

- Zadzwoń później. - Cassidy odłożył słuchawkę, zostawiając Crowdera w pół zdania. Podniósł wzrok na Glenna, który stał nad nim, nadal szczerząc zęby.

- Hej, Cassidy! Chyba właśnie czegoś takiego szukaliśmy.

Rozdział VII

- Czy to należało do pani, panno Laurent?

- Gdzie pan to znalazł? - Claire patrzyła na niesympatycznego mężczyznę, który stał przed nią przybrawszy postawę i wejrzenie gladiatora.

- Jeden z moich ludzi znalazł to w pojemniku na śmieci kilka przecznic stąd. Nie przyszło pani do głowy, że przeszukujemy zawartość pojemników na odpadki położonych w pobliżu mieszkania każdego, kto ma związek ze sprawą Wilde'a?

- Ja nie jestem związana z tą sprawą - spokojnie odrzekła Claire.

- To wskazuje na coś innego. - Potrząsnął obciążającą teczką kilka centymetrów przed jej nosem.

Odrącała ją niecierpliwym gestem.

- Odsuń się, Glenn - powiedział nagle Cassidy. Odpychający mężczyzna zmarszczył brwi, ale posłusznie zrobił kilka kroków w tył. Cassidy zwrócił się do Claire. - Szczerze mówiąc, podejrzewałem panią o więcej sprytu. Dlaczego po prostu nie wyrzuciła pani tej teczki razem z bronią do rzeki?

Wcześniej myślała, że przestrzeń w jej apartamencie - który został zaprojektowany z troską o dużą ilość światła i wiele wolnego miejsca - nie wywoła w niej nigdy klaustrofobii. Ale w momencie, kiedy do środka wchodził Cassidy, ściany zdawały się kurczyć. Było jeszcze gorzej w obecności tego detektywa, który wzbudził w niej nie ukrywaną niechęć. Czowała do niego odrazę, mniej z powodu jego niechlujnego wyglądu, a bardziej za złośliwy, podejrzliwy uśmieszek.

Kiedy spostrzegła, co ze sobą przynieśli, jej serce zaczęło bić znacznie szybciej i mocniej, a dłonie powilgotniały.

Czuła się niby złapana w potrzask, przestraszona, ale była zdecydowana nie okazywać tego.

- Śmiało i szczerze niech nam pani o tym opowie. - Detektyw Glenn energicznie umieścił teczkę na barku w kuchni.

Dziesiątki wycinków rozsypały się po błyszczącej powierzchni.

Dać się przyprzeć do muru przez ludzi z władzą było dla Claire czymś nie do zniesienia. Instynkt nakazywał jej walkę.

Tak samo jak wtedy, kiedy miała pięć lat. Ale teraz już nie była dzieckiem. Nie mogła kopać, drapać, wyginać się. Na nic zdałoby się kłamać. Mieli ją i byli tego świadomi. Ona również. Jedyne, co mogła zrobić, to zachować pewność siebie.

- To rzeczywiście należało do mnie - przyznała. - Zważywszy, że wielebny Wilde został zamordowany, pomyślałam, iż byłoby nieroztropnie z mojej strony zatrzymać te wycinki.

- Nieroztropnie? - prychnął Glenn. - Czy to słowo słyszy się jeszcze gdzieś poza murami jakiejś pierdolonej szkółki dla panienek z dobrych domów?

Oczy Claire rozbłysły furia.

Cassidy wkroczył między nią a detektywa.

- Jeśli pozwolisz... - Popchnął Glenna w kierunku drzwi. Po szeptanej, ale burzliwej rozmowie detektyw posłał jej drwiące spojrzenie, a potem hałaśliwie zatrzaskał za sobą drzwi.

- Dziękuję - powiedziała, kiedy Cassidy znowu do niej podszedł. - Chyba nie zniosłabym go ani sekundy dłużej.

Pewnie już nie mógł być bardziej przykry. - Nie zrobiłem tego dla pani, lecz dla siebie. Mam mnóstwo pytań do zadania. Glenn najprawdopodobniej nic by u pani nie uzyskał, więc poprosiłem go, aby pozwolił spróbować mnie.

- O co chciałby pan pytać?

- O co pytać! Mam obciążający dowód przeciwko pani, panno Laurent.

- Zbiór wycinków? - zapytała kpiąco. - Czy pan nie przesadza? Właśnie miałam przygotować sobie kilka kanapek na lunch. Skusi się pan na jedną?

Ani na chwilę nie spuszczać z niej wzroku, Cassidy rozchylił poły marynarki i wsunął ręce do kieszeni. Świdrował ją spojrzeniem, jakby chciał odczytać jej myśli.

- Jest pani twardym typem, prawda? - wycedził przez zaciśnięte zęby. - I kłamcą.

- Nigdy mnie pan nie zapytał, czy mam materiały prasowe na temat Wilde'a.

- Spodziewałem się usłyszeć, że widzi pani to po raz pierwszy. - Pokazał na stos wycinków leżących na barze.

Claire obeszała bar i ruszyła w kierunku lodówki.

- Gdybym zaprzeczyła, szybciej uznałby mnie pan za winną, nieprawdaż? Sałatka z krewetek będzie panu odpowiadała? - No, pewnie.

- Pieczywo z kielkami czy białe?

- Chryste - mruknął, drapiąc się w głowę. - Czy pani nigdy nie skończy z tą gościnnością południowca?

- Dlaczego miałabym skończyć?
- Ponieważ Glenn czeka na dole, aby panią aresztować, a pani spokojnie pyta: „z kielkami czy białe?”
- Nie będę aresztowana, panie Cassidy. Oboje to wiemy. -Wziąwszy z lodówki potrzebne produkty, przygotowywała sandwicze odwrócona do niego plecami. Miała nadzieję, iż nie zauważy, że trzęsą się jej ręce. Teraz, po fakcie, zrozumiała, że usunięcie teczki mogło wyglądać na desperackie posunięcie kogoś o dłoniach splamionych krwią. Postąpiła bardzo nierozsądnie, wrzucając teczkę do pojemnika na śmieci. Nie pozostawiła sobie najmniejszej szansy. Dlaczego nie cisnęła jej do rzeki? Oczywiście dlatego, że następnego dnia po morderstwie wypadki potoczyły się tak szybko, iż nie była w stanie trzeźwo myśleć. Zrobiła błąd, i to, jak się okazało, poważny błąd.
- Przy tym nie doceniła Cassidy'ego i wagi pierwszego przesłuchania. Jego pytania wywołały w niej wtedy niepokój, ale nie były powodem do paniki. Odnalezienie teczki wszystko zmieniło. Teraz był więcej niż ciekaw jej uczuć wobec Wilde'a. W istocie podejrzewał ją, że go zamordowała. Będzie starannie szukał każdego, nawet najmniejszego dowodu przeciwko niej. Ale Claire miała sporo doświadczenia w psuciu szyków przedstawicielom władzy.
- Odwróciła się do niego twarzą.
- Pańskie zarzuty pod moim adresem są zbyt słabe, aby oprzeć na nich nakaz aresztowania, panie Cassidy. Zebrałam kilka artykułów na temat Wilde'a. Można powiedzieć, że to zaledwie pachnący prochem pistolet.
- Pistolet do tej pory zapewne dotarł już do zatoki - powiedział, biorąc oliwkę z talerza, który mu wręczyła. - Uniesiony silnym prądem rzeki.
- Bardzo prawdopodobne. - Ponieważ blat barku był zajęty, skinęła głową w kierunku szklanego stołu w pokoju jadalnym.
- Herbaty czy łagodnego drinka?
- Herbaty.
- Z cukrem?
- Bez.
- Wróciwszy z dwiema szklankami mrożonej herbaty, usiadła naprzeciwko niego. Cassidy podniósł do ust połówkę swojego sandwicza i odgryzł solidny kęs.
- Niektóre z tych wycinków pochodzą sprzed dobrych kilku lat.

- Bo kilkuletnią historię ma moje zainteresowanie.
- Tak bardzo interesuje panią religia?
- Nie, panie Cassidy - odrzekła, uśmiechając się z wysiłkiem. - Od urodzenia jestem katoliczką, choć nigdy nie należałam do zorganizowanego Kościoła. Z całą pewnością nie byłam miłośniczką telewizyjnego apostoła. Wilde zwrócił moją uwagę, ponieważ uważałam go za jednego z najbardziej niebezpiecznych ludzi w Ameryce.
- I z poczucia obywatelskiego obowiązku postanowiła go pani uciszyć?
- Chce pan usłyszeć moje wyjaśnienie czy nie? - warknęła. Gestem poprosił, aby mówiła dalej.
- Jest pan bardzo nieuprzejmy, panie Cassidy.
- Tak, wiem.

Przez kilka sekund patrzyli na siebie w milczeniu. Claire nie zamierzała się poddać, więc w końcu zaczęła mówić.

- Inaczej niż niektórzy inni kaznodzieje występujący w telewizji, Wilde okradał ludzi. Okradał ich nie tylko z pieniędzy, ale ponadto z czegoś o wiele bardziej cennego - ich praw gwarantowanych przez Pierwszą Poprawkę do Konstytucji. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pojawiło się pierwsze wydanie katalogu Francuskiego Jedwabiu, on zaczął swoją walkę przeciwko wszystkiemu, co uważał za pornografię. Od początku przerażała mnie jego misja.

- Ponieważ przeszkadzała pani działalności.
- Nie. Ponieważ nigdy nie chciałam być zmuszona przez kogokolwiek do obrony swojej pracy. Taka możliwość rysowała się całkiem realnie i, jak się okazało, moje przewidywania sprawdziły się. Katalog Francuskiego Jedwabiu nie ma nic wspólnego z żadną odmianą pornografii, a jednak został potraktowany na równi z najbardziej prymitywnymi magazynami. Wielebny Wilde prowadził wojnę przeciwko wolności prasy.
- Nie może pani mieć wyłączności na wolność, panno Laurent. Z wolnością wiąże się ściśle odpowiedzialność.
- Zgadza się. - Odłożyła kanapkę i pochyliła się lekko do przodu. - Myśl o eksploatowaniu mężczyzn, kobiet i dzieci dla zysku przyprawia mnie o mdłości, ale tej zbrodni nie wyeliminuje się przez usunięcie erotyki z muzeów i bibliotek. Właściwa cenzura znajduje się w ludzkiej świadomości, sercu i sumieniu. Jeżeli ktoś nie aprobeuje filmów erotycznych, niech nie idzie do kina, a swoje siedem dolarów przeznaczy na coś innego. Jeśli ma coś przeciwko scenariuszom widowisk telewizyjnych, niech

włączy inny kanał i nie kupuje towarów firmy sponsorującej. Niech jednak pozwoli tym, którzy nie podzielają jego punktu widzenia, oglądać to, na co mają ochotę. Ale na pewno nie jest przywilejem rządu ani określonych komitetów, ani też jakiegoś kaznodziei dyktować, co ludzie - dorośli - powinni, a czego nie powinni oglądać. Kiedy Hitler doszedł do władzy, jedną z pierwszych rzeczy, które zrobił, było wydanie rozkazu spalenia nieodpowiednich jego zdaniem książek.

- A więc wszyscy uprzedzeni do „Buszującego w zbożu” są neonazistami?

- Panie Cassidy, proszę mnie nie obrażać. Chodziło mi o tych, którzy, nie aprobując czegoś, siłą narzucają swoje opinie innym. - Claire poczuła, jak gorący rumieniec zalewa jej policzki. Była tak przywiązana do swoich poglądów, że czasami wypowiadała się równie bezkompromisowo i po dyktatorsku jak Wilde. - Nie przystąpiłam do tej walki chętnie. Mając możliwość wyboru, nigdy nie stałabym się w niej stroną. Zostałam do niej wciągnięta, kiedy Wilde zaczął kierować swoje ataki imiennie pod moim adresem. Postanowiłam ignorować go tak długo, jak to będzie tylko możliwe; odmawiałam przyjęcia wielokrotnie ponawianego zaproszenia do wzięcia udziału w publicznej debacie, ale w końcu pewnie nie miałabym wyjścia.

- I dlatego kolekcjonowała pani te wycinki.

- Właśnie. Zawartość teczki dowodzi jedynie, że starannie śledziłam każdy krok mojego oponenta, aby wiedzieć, czego mogę się po nim spodziewać, gdy nadejdzie chwila rozstrzygnięcia.

- Wobec tego dlaczego nie pokazała mi pani swojej kolekcji podczas naszego pierwszego spotkania?

- Już. Jej wtedy nie miałam.

- Trzeba było o niej wspomnieć.

- Chyba powinnam tak zrobić. Ale pan działał pod presją. Władze miasta oczekiwały szybkiego wskazania podejrzanego. Zwolennicy Wilde'a żądali postawienia sprawcy przed sądem. Nie chciałam być pańskim kozłem ofiarnym nawet tymczasowo. Gdybym została zatrzymana oficjalnie, niedobrze by się to odbiło na moich interesach i rodzinie.

- Nadal to pani grozi.

- Niepotrzebnie traciłby pan czas. Teraz powiedziałam już naprawdę wszystko.

Przyjrzał się jej baczniej.

- Zatem podkreślenie czerwonym tuszem daty przybycia Wilde[^] do Nowego Orleanu należy uważać za zwykły przypadek.

Ponownie wypieki pojawiły się na jej twarzy.

- Przypominam sobie, że to zrobiłam. Mogę wyjaśnić, dlaczego. Po prostu podczas czytania artykułu miałam w ręku pióro z czerwonym atramentem - powiedziała, wzruszając ramionami. - Datę podkreśliłam zupełnie bezwiednie.

Skończył jeść. Otarł usta serwetką i położył ją przy talerzu.

- Pozornie brzmi to wszystko cholernie logicznie. Jak na wyjaśnienie może aż za bardzo. Odnoszę wrażenie, że pani przygotowała się na wypadek, gdyby w jakiś sposób ta teczka do pani wróciła.

- Czy nie miałby pan ochoty łudzić się przy odrobinie gorącej kawy?

Wykrzywił usta w niewyraźnym półuśmiechu.

- Nie, dziękuję. - Claire zebrała talerze ze stołu i zaniósła je do kuchni. - Myślałem, że sprzątaniami zajmie się Harry - powiedział, idąc za nią do miejsca, w którym bar rozdzielał dwa pomieszczenia.

- Zwykle to robi. Dzisiaj zabrała mamę na spacer.

- Bardzo sprytnie.

- O co panu chodzi? Jaki związek z panem mają spacerzy mojej matki?

- Chciałem ją zapytać, gdzie pani była w chwili zamordowania Wilde'a.

Claire drgnęła.

- Nie życzę sobie przesłuchiwania mojej matki, panie Cassidy. Proszę to zrozumieć. Szkoda pańskiego czasu i energii. Mama nie pamięta zdarzeń z ostatniego ranka, tym bardziej nie przypomni sobie, co się wydarzyło przed tygodniem. Prawdopodobnie nie jest w stanie udzielić panu wiarygodnej odpowiedzi, a sytuacja przymusu mogłaby wywołać w niej niepokój, czego wolałabym uniknąć.

- Nie można oczekiwać ode mnie i Glenna, że odejdziemy stąd przyjmując pani gładkie odpowiedzi za mocne alibi.

- Nie macie wyboru - odrzekła, krzywiąc się na wspomnienie nazwiska detektywa. - Musicie uwierzyć mojemu słowu. Tamtej nocy byłam w domu.

- W ogóle pani nie wychodziła?

Twardy ton jego głosu wyraźnie ją zdenerwował. Drżącą ręką odsunęła z czoła kosmyk włosów.

- Nie jestem pewna. Jeżeli wyszłam gdzieś, to jedynie na chwilę. Nie mogę zostawiać matki samej na dłużej, szczególnie nocą. Szczerze mówiąc, nie pamiętam. Data zamordowania Wilde'a nie miała dla mnie żadnego znaczenia.

Przez moment świdrował ją wzrokiem, potem zapytał:

- Gdzie przebywa teraz Yasmine?

- Wróciła wczoraj do Nowego Jorku.

Jak przypuszczała, następnego dnia po ich sprzeczce Yasmine była skruszona i miła. Uściskały się, zrobiły makijaż, a później pracowały ciężko nad dokończeniem projektu następnego wydania katalogu. Kilka razy Yasmine wybiegała do sypialni, aby odebrać telefon. Zanim wróciła do Nowego Jorku, spędziła jeszcze dwie noce poza domem, po których rano wyglądała na przygnębioną i zniechęconą do życia. Ale związek Yasmine z żonatym kochankiem był wyłącznie jej sprawą i ona sama musiała sobie z tym radzić.

Claire miała dosyć własnych problemów. A sprawcą ich wszystkich był mężczyzna, który patrzył na nią teraz w taki sam badawczy sposób, w jaki niegdyś patrzyli członkowie personelu opieki społecznej - jak gdyby była szczególnym obiektem obserwacji, a tamci szukali odchyleń w jej osobowości i zachowaniu.

- Co to jest? - wskazał w kierunku oprawionej kartki papieru, wiszącej w kuchni na ścianie.

- To jest przepis ciotki Laurel na francuski jedwab. - Cassidy przechylił głowę w wyrazie zdziwienia. - Miałam kłopoty z wymyśleniem nazwy dla przedsiębiorstwa - wyjaśniła, uśmiechając się na to wspomnienie. - Yasmine i ja rozprawialiśmy o tym' miesiącami. Nie mogłyśmy zgodzić się na żadną nazwę. Pewnego chłodnego popołudnia nasza mnie ochota na czekoladowy przekładaniec, więc zaczęłam szperać w pudełku z przepisami ciotki Laurel. „Francuki jedwab” - powiedziała pokazując na nazwę wypisaną pajączką kursywą. - To było to. Wiedziałam od razu. Ciotka Laurel była taka zadowolona, kiedy jej powiedziałam, że nazwę swoje przedsięwzięcie tak, jak ona nazwała własny przepis. Czują się, jakby sama była współnikiem. - Claire posmutniała. - Kilka tygodni później biedaczka umarła.

Pochyliwszy się nad ramą, Cassidy odczytał przepis.

- „Stopniowo rozpuszczać cukier w mieszaninie masła i roztopionej czekolady. Dodawać wanilii, powoli wszystko mieszając”. Brzmi bardzo smakowicie.

- Rezultat też jest taki. Deser pyszny i zmysłowy. Chciałabym, aby moja bielizna wywoływała na nagiej skórze podobne odczucia jak ten czekoladowy przekładaniec na podniebieniu. Już sama nazwa zapowiada przyjemność.

Kiedy przestała mówić, uświadomiła sobie nagle, jacy oboje

stali się spokojni, jacy bliscy, jacy milczący. On patrzył na jej usta, potem zajrzał w oczy, a jeśliby jego słuch był tak wyczulony jak wzrok, usłyszałby bicie jej serca.

W końcu odchrząknął, jak gdyby długotrwała cisza zaczęła mu ciążyć.

- To wszystko jest bardzo ciekawe, ale wróćmy do rzeczy. Poza kwestią związaną z tą Pierwszą Poprawką nie istniały żadne inne punkty sporne między panią a wielebnym, zgadza się?

- Tak, to prawda.

- Na pewno?

- Do czego pan zmierza? Czy pańska metoda prowadzenia dochodzenia polega na strzelaniu w ciemno, aż wreszcie pan w coś trafi? Nie jest to specjalnie ekonomiczny sposób wydawania pieniędzy podatników. Zająłby się pan lepiej polowaniem na rzeczywistego mordercę. Wtedy i mój czas...

- Czy pani i Yasmine jesteście kochankami?

Pytanie było równie nieoczekiwane jak spadająca gwiazda, i spadło na nią z nie mniejszym impetem. Wytrzeszczyła na niego zdziwione oczy, otworzyła usta.

- Skąd mogła przyjść panu do głowy podobna myśl?

- A jednak. Więc jesteście? - Kiedy zaczęła się śmiać, jego twarz przybrała wyraz jeszcze bardziej ponury. - Wilde wzbudził w tym kraju mnóstwo niechęci wobec homoseksualistów. Z kolei ci mieliby za co mu odpłacić.

- Rozumiem. Pan się zastanawia, czy on aby nie był moim wrogiem z dwóch powodów? - zapytała rozbawiona. -

Proszę mi wierzyć, ja nie śmieję się z pana, panie Cassidy. Wyobraziłam sobie tylko, jak Yasmine zareagowałaby na pańskie pytanie. Nie czytuje pan brukowców? Nie policzyłby pan kochanków, których miała Yasmine. I wszyscy, co do jednego, byli mężczyznami. Przy tym zawsze starała się podtrzymać swoją reputację *femme fatale*.

- To mogła być tylko poza. - Słyszac to byłaby zdruzgotana. Nawet jeśli mnie przypisał pan skłonności lesbijskie, to i tak nadal nie mogę zrozumieć, na jakiej podstawie podejrzewa pan o nie Yasmine.

- Ponieważ coś w tym interesie jest nie w porządku.

- W tym interesie?

- No, we Francuskim Jedwabiu.

- Co takiego? - zapytała Claire szczerze zaciekawiona.

- Byłem tutaj już dwa razy i nie spostrzegłem żadnego mężczyzny. Znam zdecydowanych na wszystko bandytów, którzy

jednak uciekliby ze strachu przed tą amazonką strzegącą frontowych drzwi. Cała załoga składa się z kobiet. Co pani ma przeciwko mężczyznom?

- Nic.

- Jest pani mężatką?

- Nie.

- Zaręczona? Zawahała się.

- Nie.

Podniósł wskazujący palec.

- Niech pani spróbuje jeszcze raz. Tym razem nie wypadła pani najlepiej.

Claire poczuła, jak rozpała się w niej gniew.

- Nie jest pan za bardzo wścibski, panie Cassidy?

- Po prostu wykonuję swój zawód. Proszę mi opowiedzieć o pani związku z Allenem Davisem.

- Do diabła! Jego też pan nachodził?

- Nie musiałem, ale jeśli pani nie zacznie mówić... W Claire wrzało, ale na razie niestety on był górą.

- To było dawno temu - powiedziała lakonicznie. - Jeszcze zanim powstał Francuski Jedwab. Allen chciał się ze mną ożenić. - Co stanęło na przeszkodzie?

Chciała powiedzieć, że to nie jest jego zakichany interes, lecz niemal w ostatniej chwili rozmyśliła się. Oznaki wrogości z jej strony mogły tylko wszystko pogorszyć. Yasrmine, która przecież miała więcej doświadczenia w obchodzeniu się z mężczyznami, zauważyła, że Cassidy nie zwykł przegrywać z kobietami. I pewnie miała rację.

Poza tym weszli teraz na terytorium dość bezpieczne, pozbawione raczej przykrych niespodzianek.

- Davis oczekiwał ode mnie, że oddam mamę do jakiejś instytucji opiekuńczej - powiedziała spokojnie, opuściwszy oczy. - Nie chciałam o tym słyszeć. On postawił ultimatum, więc zwróciłam mu pierścionek zaręczynowy.

- Zatem nie kochała go pani tak bardzo jak matkę.

- Najwidoczniej nie.

- Czy od tamtej pory był w pani życiu ktoś inny?

- Tego pan nie wie?

- Jeszcze nie. Mogę się dowiedzieć, ale może pani mi powie i sobie zaoszczędzi kłopotów, a mnie pracy.

- Czy moje życie osobiste ma jakiś istotny związek z prowadzonym przez pana dochodzeniem?

- Może. Niech pani zacznie, przekonamy się o tym wspólnie. - Usiadł na stołku za barem i złożył ręce. Demonstrując dezaprobatę wobec tematu, powiedziała w końcu:

- Przeżyłam kilka uczuciowych zawirowań, ale od czasu rozstania z Davisem nigdy nie było to nic poważnego. - Czy moja odpowiedź zadowala pana?

- Na razie. - Odwrócił się i przez kilka chwil bawił się przerzucaniem wycinków leżących na blacie baru. - Gdzie podziwia się pani ojciec, panno Laurent?

Claire przestąpiła z nogi na nogę.

- Powiedziałałam już wcześniej. Umarł krótko po moich narodzinach.

- Nie pamięta go pani?

- Nie. Byłam na to za mała.

- Na co umarł?

- Na atak serca. Tak mi się wydaje.

Obserwując ją uważnie, szedł ze stołka i wolno zbliżył się, tak że dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów, a Claire musiała odchylić do tyłu głowę, by spojrzeć w jego zimne oczy.

- Znowu kłamstwo. Na pani metryce urodzenia w miejscu przeznaczonym na imię ojca znajduje się wielki i gruby znak zapytania.

- Ty sukinsynu! - Odchyliła dłoń, aby wymierzyć mu policzek, ale zdążył pochwycić ją za nadgarstek tuż przed swoją twarzą. Z wściekłości i frustracji napłynęły jej do oczu łzy. - Co cię upoważnia do wkraczania z butami w moje prywatne życie?

- Zwłoki z trzema ranami od pistoletowych kul dają mi do tego wystarczający powód.

Claire wyszarpnęła rękę z uścisku, skrzyżowała ramiona i przycisnęła je do ciała.

- Skoro jest pan taki bardzo sprytny, panie Cassidy, to pewnie pańska obrzydliwa misja zbierania faktów przyniosła nieco więcej informacji na mój temat. Niechże więc pan się nimi ze mną podzieli.

- Państwo Laurentowie, dziadkowie pani, należeli do naj-wyborniejszej śmietanki towarzyskiej pośród nowoorleańskiej socjety - jednym słowem byli starą rodziną z mnóstwem starych pieniędzy. Mieli jedyne dziecko, prawdziwe oczko w głowie, Mary Catherine. Posyłali ją do najlepszych parafialnych szkół i przygotowywali starannie do zajęcia przypisanego jej miejsca w społeczeństwie. Lecz po jednym z owych balów kotylionowych, o których raczyła mi w swoim czasie wspomnieć, uległa uro-

kowi jednego z obecnych tam młodych i bogatych dżentelmenów. Zaszła w ciążę. Kiedy rozpoznała swój odmienny stan, poinformowała o nim swoich rodziców, lecz nie zdradziła nazwiska partnera, który też nigdy nie wziął na siebie ciężaru odpowiedzialności za dziecko. Natomiast jej rodzice uczynili to, co w tej sytuacji uważali za słuszne - wyrzekli się jej i wydziedziczyli. Na szczęście ciotka Laurel, niezamężna siostra jej ojca, przygarnęła dziewczynę do siebie. Skandal obyczajowy odcisnął swoje piętno na rodzinie. W przeciągu dwóch lat zmarli rodzice Mary Catherine, zawstydzeni na śmierć, jak mawiali niektórzy. Jej ojciec w ostatniej woli przekazał swój okazały majątek Kościołowi.

- Który również traktował moją matkę jak wyklętą, chociaż jednocześnie propagował jako cnotę miłosierdzie i zdolność do przebaczenia - dodała Claire.
- Jednakże jej córka z nieprawego łoża zapewne bez przeszkód mogła brać udział w lekcjach katechizmu.
- Nie, panie Cassidy. Zasad wiary nauczyła mnie ciotka Laurel. Jak na starą pannę była niesamowita. Większość ludzi uważała jej życie za bezbarwne. Lecz ona kochała moją matkę i mnie bardzo i bezinteresownie. Podczas złych chwil mamy to właśnie ciotka Laurel uspokajała mnie, gdy była burza, pielęgnowała, kiedy byłam chora, pomagała w chwilach zmartwień i kłopotów, których pełne jest każde dzieciństwo. Prócz niej nie poznałam w życiu więcej osób, które by rzeczywiście żyły po chrześcijańsku. Nie wygłaszała kazań. Ona dawała przykład.
- Czy przedstawiłem historię życia pani matki w miarę dokładnie?
- Bardzo dokładnie. Dokładność to najbardziej charakterystyczna cecha jej kuzyna Charlesa.
- Skąd pani wie, że posiadam informacje właśnie od niego?
- Ponieważ tylko on pozostał z tej gałęzi rodziny Laurentów.
- Jesteście ze sobą w kontakcie? Roześmiała się gorzko.
- Nie, dzięki Bogu. W ogóle. On jest tak samo nieugięty i napuszony jak oni wszyscy. Według tego, co mi opowiedziała ciotka Laurel, wcale się nie dziwię, że wypędzili moją matkę, kiedy ich najbardziej potrzebowała.
- Była jeszcze dzieckiem.
- Miała siedemnaście lat. - Przekrzywiła głowę na bok. - Pan się chyba zapomniał, panie Cassidy. W pańskim głosie wyczuwa się współczucie.

- Chryste, pomyśleć, że to działo się na początku lat sześćdziesiątych.
 - Raczej pod koniec pięćdziesiątych. Eisenhower był prezydentem: Ameryka nie straciła jeszcze swojej niewinności, a przyzwoite panny nie miały miejsc erogennych.
- Cassidy potrząsnął głową z dezaprobatą.
- Ale nawet wtedy nie wyrzekano się córek za błędy młodości.
 - Moi dziadkowie tak postąpili. Więcej już nie odezwali się do matki. Ona dla nich nie istniała, nie istniałam też ja.
 - I nie odkryła pani nigdy, kto jest pani ojcem?
 - Nie.
 - A on nigdy się wobec pani nie ujawnił, nawet w tajemnicy?
 - Nie. Jestem przekonana, że obawiał się konsekwencji. Był przedstawicielem tego samego kręgu społecznego. Widział, co przydarzyło się mojej matce, i sam wolał uniknąć tego samego. Nie mam do niego żalu.
 - Gadanie. - Co proszę?
 - W pewien sposób to zrozumiałe, że starała się pani go wytłumaczyć.
- Claire, czując się jak motyl przypięty do korkowego podłoża, zrobiła pół kroku w tył.
- Czy pan zmierza do jakiejś puenty, panie Cassidy?
 - Zabójca Wilde'a, kimkolwiek był, żywił urazę wobec mężczyzn.
 - Pan to wydedukował? Jakże sprytnie!
 - Spryt nie ma tutaj nic do rzeczy. W tym wypadku miało miejsce coś szczególnego. Do zabicia ofiary jeden ze strażników był najzupełniej zbędny.
 - Mowa o strzale w krocze?
 - Skąd pani wie?
 - Wszystkie gazety podały wieść o tym, że Wilde został postrzelony w jądra. - Ruchem głowy odrzuciła włosy do tyłu i spojrzała mu w twarz wyzywająco. - Ponieważ okoliczności moich narodzin nie były typowe i zatrudniam wiele kobiet, pan dochodzi do błyskotliwej konkluzji, że to ja pociągnęłam za spust broni wymierzonej w Wilde'a.
 - Pani przenikliwość mnie rozbija.
 - A pan niech nie będzie śmieszny - powiedziała, podnosząc głos. - Sama dobrowolnie przyznałam, że czułam odrazę do wszystkiego, co sobą reprezentował ten człowiek. Nie zgadzałam się dosłownie ze wszystkim, co mówił. No i co z tego? Mało jest takich ludzi jak ja?

- To prawda. Ale egzystencja jedynie kilku z nich była zagrożona, w związku z czym pani nazwisko plasuje się wysoko na liście podejrzanych.
 - Traci pan czas przesłuchując mnie.
 - Jestem przeciwnego zdania. Przyłapałem panią na zbyt wielu kłamstwach.
 - Wyjaśniłam sprawę wycinków.
 - Nie o tym mówię.
 - Nie powiedziałam prawdy o ojcu, aby ochronić matkę. Z pewnością pan przyzna, że doznała dość upokorzeń i bez mojego udziału.
 - Również to możemy pominąć.
 - O co więc chodzi? Zaczynam się niecierpliwić. Odwrócił się do niej plecami i pomaszerował w kierunku drzwi. Ciemny garnitur leżał na nim bez zarzutu. Szyta na miarę marynarka delikatnie podkreślała zarys ładnie zbudowanego torsu, a i spodnie w żadnym razie nie były stratą materiału. Atrakcyjny wygląd mężczyzny przyciągnąłby uwagę niejednej kobiety. Claire jednak nie mogła sobie pozwolić na ten luksus. Patrzyła na niego oczami przestraszonego dziecka. Nie potrafiła nie dostrzec w nim przede wszystkim reprezentanta biurokracji, której nauczyła się lękać i nienawidzić już we wczesnych latach życia. Całą swoją antypatię przerzuciła teraz na niego.
- Jak on śmiał sięgać do pełnej bólu matczynej przeszłości? Mary Catherine tyle wycierpiała, że, aby przeżyć, znalazła ucieczkę w świecie marzeń. Jej iluzje były różowe, a zarazem chroniły tak skutecznie jak stalowe kraty. Dzięki nim przez trzy dekady nie, miała do niej dostępu ani rozpacz, ani ludzka pogarda. To nie było w porządku, aby po tylu latach ktoś obcy znowu przyglądał się z bliska jej nieszczęściu.
- Doszedł do drzwi, dłoń położył na klamce. Claire wiedziała, że chodziło mu o poznanie granic jej cierpliwości, ale nie zdołała się powstrzymać. Szyderczym tonem rzuciła:
- Pan blefuje. Natychmiast zawrócił.
 - Powiedziała pani, że nigdy nie widziała bezpośrednio Jacksona Wilde'a. - Zanurzył palce w jej włosach i odchylił głowę do tyłu. Patrząc jej prosto w oczy, mówił pospiesznie i miękko, natarczywie. - Nie była pani przez cały czas w domu tej nocy, kiedy go zamordowano. W lokalnej stacji telewizji kablowej, którą wynajęto do rejestracji nowoorleańskiej kampanii

Wilde'a, otrzymałem taśmy wideo z zapisem. Jedna z nich stanowi dokumentację całości jego ostatniego spotkania. Pod koniec tej całej imprezy na zaproszenie Wilde'a setki osób ze wszystkich rzędów pospieszyło ku podium, by uściskać mu dłoń. Jako jedna z pierwszych dotarła do niego pewna młoda kobieta. Podała mu rękę i rozmawiała z nim twarzą w twarz. - Jeszcze przez chwilę hipnotyzował ją lodowatym spojrzeniem, jakby chciał wyryć w pamięci obraz jej twarzy. Potem zwolnił uścisk i otworzył drzwi. W progu dodał: - To byłaś ty, Claire.

Kiedy zadzwonił telefon, André Philippi podskoczył niby złapany na gorącym uczynku winowajca i gwałtownie zamknął szufladę w swoim biurku. Dzwonek podziałał na niego jak sumienie, uświadamiając mu, że wpatruje się w ukochaną fotografię kosztem czasu przeznaczzonego na pracę.

Podniósł słuchawkę i przybrawszy szorstki, służbowy ton odezwał się: - Czym mogę służyć?

- *Bonsoir*, André.

- *Bonsoir* - odpowiedział już znacznie cieplej. Od razu rozpoznał swego rozmówcę, choć głos po drugiej stronie linii był łagodny i przytłumiony. - Jak się masz?

- Nadal nie mogę się otrząsnąć po tym, co się wydarzyło przed tygodniem.

Wąskie usta André wykrzywiły się w wyrazie sympatii.

- To była rzeczywiście okropna noc.

- Dzwonię, aby jeszcze raz podziękować ci za dyskrecję.

- Zapewniam cię, że podziękowania z twojej strony są całkowicie zbędne. Wobec policji absolutnie nie czuję się zobowiązany. Spędzili moich gości jak bydło i przesłuchiwali ich jak kryminalistów.

- Pamiętałeś o związanych ze mną drobiazgach?

- Nie ma powodu do obaw. Po twoim pobycie tamtej nocy nie pozostał żaden ślad.

- Czy ktoś wypytywał cię o... o to?

- Policja - André odpowiedział z wyraźnym niesmakiem. - Rozmawiałem również z kimś o nazwisku Cassidy.

- Cassidy cię przesłuchiwał?

- Dwa razy. Ale nie martw się. W zasadzie udzielałem jedynie oczywistych odpowiedzi i nie wchodziłem w szczegóły. - Czy padło moje nazwisko?

- Nie! Ja, *naturellement*, nie wymieniłbym go.

- Nie mam co do tego wątpliwości - zapewnił rozmówca. - Chodzi o to, aby... nikt, naprawdę nikt nie dowiedział się, że ja...

- Rozumiem.
- Polegam na twojej dyskrekcji. To dla mnie ogromnie ważne.
- Więszego komplementu nie mógłbym usłyszeć. *Merci*.
- Czy mógłbyś wyświadczyć mi jeszcze jedną przysługę, André?
- Uważałbym to za zaszczyt.
- Czy zawiadomisz mnie, jeśli Cassidy albo ktokolwiek inny zapyta o mnie wprost?
- *Certainement*. Natychmiast. Chociaż, wierz mi, twoje obawy są bezpodstawne.
- Mam nadzieję.

Rozdział VIII

Członkowie Rady Kapłańskiej Jacksona Wilde'a z powagą słuchali Ariel Wilde. Powaga ta miała swoje uzasadnienie. Należało okazać szacunek młodej wdowie, uszanować pamięć zmarłego, którego pogrzebano zaledwie dzień wcześniej. Po cichu obawiano się także, iż bardzo lukratywne przedsięwzięcie może upaść wraz ze zgonem jego twórcy.

Ariel zajmowała honorowe miejsce przy końcu długiego stołu w sali konferencyjnej kompleksu biurowego Rady w Nashville. Ubrana w czern, wyglądała szczupło i mizernie. Zdawała się nieomal niezdolna, by podnieść do kredowobladych ust delikatną porcelanową filiżankę ze słabą ziołową herbatą. Jej zapłakane oczy, dzięki którym z powodzeniem mogłaby uchodzić za świętą patronkę braku nadziei, głęboko zapadły się w oczodoły. Wokół rysowały się fioletowe cienie - oznaki wyczerpania i rozpacz.

Nikt poza Ariel nie wiedział, że owe ś\wiadectwa głębokiego żalu ustępowały pod wpływem mydła i wody.

Odstawiła filiżankę na spodek. Cichy szcęk porcelany był jedynym dźwiękiem, jaki rozległ się w pomieszczeniu. Rozproszone światło, ciemna boazeria i pluszowa wykładzina tworzyły wyciszoną atmosferę podobną do tej, jaka panowała w domu pogrzebowym, gdzie przez dwa dni spoczywało ciało Wilde'a, wystawione na widok publiczny w częściowo przeszklonej trumnie. Siedzący wokół konferencyjnego stołu w napięciu oczekiwali przemówienia wdowy, współczując jej i jednocześnie próbując ukryć swoje osobiste niepokoje.

- Panowie, chciałabym przede wszystkim podziękować wam, każdemu z osobna i wszystkim razem, za wsparcie, jakiego mi udzieliliście podczas tych mrocznych i trudnych dni po śmierci Jacksona. Gdyby mógł teraz ożyć, byłby z was dumny. Trudno mi wyrazić wdzięczność za sposób, w jaki wytrwaliście przy mnie... - Przejęta wzruszeniem, przyłożyła chusteczkę do powiek, pozwalając łzom mówić za siebie. Odzyskawszy po chwili panowanie nad sobą, podjęła na nowo: - Kiedy Jackson był u steru, poświęcaliście wszystkie swoje siły jemu i pracy na

większą chwałę Pana. Jednakże gdy nas opuścił, potrafiliście podtrzymać tę chwalebną tradycję. W jego imieniu kieruję do was słowa uznania.

Każdemu po kolei przesłała subtelny uśmiech i zanim przystąpiła do istoty rzeczy, wypła następną łyk herbaty.

- Niestety nikt z nas nie oczekiwał tragicznego zgonu Jacksona. Nie byliśmy na to przygotowani. Któż mógł bowiem przewidzieć, że za sprawą jakiegoś szaleńca zamilknie głos jednego z najbardziej gorliwych posłańców Najwyższego?

Tu i ówdzie rozległo się przyciszone „amen”.

- Szatan liczy, że ulegniemy, że wycofamy się, aby goić nasze rany. Chce, żebyśmy ugięli się pod ciężarem bólu i rozpacz. Śmierć Jacksona również nam miała zamknąć usta. - Zgodnie z planem zrobiła strategiczną pauzę. - Ale szatan nie docenił nas. My nie damy się zastraszyć ani uciszyć. Misja Jacksona Wilde'a będzie kontynuowana. Kilkunastu mężczyzn w ciemnych ubraniach odetchnęło z ulgą. Napięcie ulotniło się jak para z kipiącego czajnika. Pot zaczął znikać ze zmarszczonych czoł.

Ariel ledwie potrafiła powstrzymać uśmiech zadowolenia. Teraz miała ich wszystkich w garści. Mogli uważać się za przedstawicieli Boga. Niewątpliwie kilku z nich szczerze wierzyło w swoje posłannictwo, ale wśród obecnych byli również tacy, którzy mieli wszelkie słabości zwykłego potomka Adama. Ci myśleli o przyszłości z niepokojem. Spodziewając się oświadczenia o rozwiązaniu Rady, mogli liczyć jedynie na cud. I oto właśnie cud się wydarzył. Oczywiście zawsze znajdzie się przynajmniej jeden sceptyk.

- W jaki sposób, Ariel? - zapytał taki właśnie niewierny Tomasz. - Jak to możliwe, abyśmy kontynuowali dzieło Jacksona bez niego? Kto zastąpi go za pulpitem?

- Ja.

Wszyscy wlepili w nią zdumiony wzrok. To było oczywiste, że nie wierzyli w jej możliwości. Ruchem głowy rozsypała platynowe włosy na ramionach w geście wyrażającym zdecydowanie i pewność siebie.

- Ja... to znaczy my... myśleliśmy o powołaniu kogoś innego na miejsce Jacksona.

- A więc myśleliście niewłaściwie - powiedziała słodko. - Właśnie dlatego zwołałam dzisiejsze spotkanie. Mogę wszystkim szczegółowo przedstawić moje plany bez potrzeby powtarzania się.

Złożyła ręce na krawędzi stołu. Nagły przypływ witalności

stłumił w niej poprzednią słabość. Iskierki życia w jej oczach, jeszcze tak nikłe przed kilkoma minutami, rozpały prawdziwy ogień.

- Nasi zwolennicy będą ciekawi moich uczuć po śmierci Jacksona. Umarł nieoczekiwanie, nagle. Tematu wystarczy na co najmniej dziesięć kazań. Nikt tego lepiej nie przedstawi niż wdowa.

Członkowie zgromadzenia wymienili pełne niedowierzania spojrzenia.

- Brat Williams pisał Jacksonowi wszystkie kazania. Teraz będzie pisał je dla mnie - powiedziała, skinąwszy głową w kierunku mężczyzny siedzącego mniej więcej w połowie długości stołu.

Ten odchrząknął niepewnie, ale nie odezwał się.

- Stopniowo odejmiemy od tematu zamordowania Jacksona i zajmiemy się czymś innym. Najlepiej pornografią, jak dawniej. Ja będę nadal śpiewać, a Josh w dalszym ciągu będzie grał na fortepianie. Od czasu do czasu może wystąpić gościnnie jakiś kaznodzieja, ale pamiętajcie, że ludzie raz w tygodniu oglądali nasz program, by zobaczyć Jacksona i mnie. Zgadza się? On odszedł, lecz ja nie. A jeśli myślicie, że tylko on potrafił swoimi kazaniem wywoływać w wyobraźni przerażający obraz piekła i potępienia, poczekajcie, póki nie usłyszycie mnie.

Raziła ich jej buńczuczna szczerość, ale nikt nie ośmielił się zwrócić jej uwagi. Chciała, aby od tego momentu jej pierwszoplanowa rola nie podlegała dyskusji. Jak wcześniej Jackson, tak teraz ona miała ustanawiać zasady działania.

- Bracie Raye? Stań wyprostowany.

- Słucham, proszę pani.

- Przerwałeś kampanię w Cincinnati. Dlaczego?

- Taa... uznałem... że... że po tym jak Jackson...

- Nigdy więcej nie podejmuj podobnych decyzji bez konsultacji ze mną. Powrócisz do wykonywania przerwanych zadań. Wszystko będzie przebiegało zgodnie z planem.

- Ale minęły dopiero dwa tygodnie, Ariel. Potrzebujesz czasu, aby...

- Zrobisz, jak powiedziałam - podkreśliła lodowato.

Brat Raye ukradkowo rozejrzał się dookoła, desperacko szukając choćby oznaki wsparcia. Nikt nie przyszedł mu z pomocą, a nawet nie spojrzął w jego stronę. Josh przyglądał się swoim ręką, jakby dopiero przed chwilą wyrosły mu z ramion, a on nie mógł się temu nadziwić.

W końcu brat Raye odrzekł:

- Natychmiast podejmę swoje zadanie, Ariel. Jeśli ci na tym tak bardzo zależy...

- Owszem, zależy. Teraz jednak jestem zmęczona, wręcz wyczerpana. - Wstała.

Pozostali poszli za jej przykładem, ale podnosili się wolno i niepewnie jak bokserzy po nokaucie.

- Jedynie Josh może mówić w moim imieniu i *vice versa* - powiedziała, kierując się w stronę drzwi. - Jednakże wolałabym, aby z pytaniami i problemami zwracano się bezpośrednio do mnie. Im szybciej przejmę obowiązki Jacksona, tym lepiej. Jeżeli ta ostatnia kwestia budzi czyjś niepokój...

Otworzyła drzwi. Ruchem głowy dała do zrozumienia, że każdy, kto nie chce zastosować się do ustalonych przez nią prawideł, może swobodnie odejść. Nikt się nie ruszył. Pod ciężarem jej spojrzenia ledwie ważyli się oddychać. W końcu wzięła ich milczenie za zgodę.

Jej pobladła twarz rozkwitła w anielskim uśmiechu.

- Och, taka jestem szczęśliwa, że zdecydowaliście się zostać. Tego właśnie Jackson pragnąłby i oczekiwał od was. Nie muszę dodawać, że taka jest również wola boska.

Posłała wszystkim jeszcze jeden uśmiech, a potem wyciągnęła dłoń do Josha. Podszedł posłusznie i podał jej ramię. Razem wyszli na zewnątrz.

- To było całkiem niezłe przedstawienie - powiedział do niej, kiedy opuszczali budynek głównym wejściem.

- Przedstawienie? - Ariel zajęła miejsce na tylnym siedzeniu limuzyny, która czekała na nich przy krawężniku.

- Jedziemy do domu - polecił Josh kierowcy przed zasunięciem przegrody. Dłuższą chwilę wyglądał przez przyciemnioną szybę, próbując opanować wewnętrzne wzburzenie.

Wreszcie odwrócił się do niej.

- Mogłaś omówić to najpierw ze mną.

- Josh, czyżbyś miał mi coś za złe?

- Przestań bawić się ze mną w ciuciubabkę, Ariel. I nie mrugaj tymi swoimi powiekami jak jakaś cholerna kokietka na wieczornym bankiecie. Przede mną nie musisz odgrywać niewiniątka.

Zacisnęła usta.

- Rozumiem, że wściekasz się na mnie, ponieważ nie skonsultowałam z tobą wcześniej moich planów.

- Przecież ty całkowicie straciłaś poczucie rzeczywistości, Ariel. - Był rzeczywiście oszołomiony, i to było widać. -

Czy

naprawdę sądzisz, że ty i ja zdołamy pokierować tą całą maszyną?

- Wiem, że ja zdołam.

- Ach, rozumiem. Mnie przygarnęłaś do siebie jedynie z dobroci serca.

- Tego nie powiedziałam.

- Czyżby? Mogłoby się wydawać, że swobodnie posługujesz się słowami, ale czy wiesz, co one tak naprawdę znaczą?

To ją zdenerwowało. Brak formalnego wykształcenia zawsze stanowił jej czuły punkt.

- A więc twoim zdaniem nie zdołam utrzymać jedności naszej organizacji?

- Właśnie. Chociaż pewnie jesteś przekonana, że dasz sobie radę. - Przyjrzał się jej badawczo. - Nic nie jest w stanie cię powstrzymać, prawda? Nawet śmierć mojego ojca.

Obróciła głowę, jakby dokuczał jej ból karku.

- Jackson nie żyje i na to już nikt nie znajdzie rady. Pochowaliśmy go.

- Z większą pompą, niż gdyby to była jakaś koronacja.

- Co przyciągnęło uwagę mediów, jak pewnie zauważyłeś.

- Czy to był jedyny powód, dla którego musieliśmy wynająć chór i orkiestrę, nie mówiąc o tych pieprzonych białych gołębiach?

- Przyjechał sam wiceprezydent Stanów Zjednoczonych! - wykrzyknęła. Czy jesteś tak głupi, że nie rozumiesz, ile to znaczy? - Dla niego? Mniej więcej milion głosów.

- A dla nas: półtorej minuty we wszystkich wiadomościach i telewizyjnych serwisach pokazywanych na całym świecie. - Teraz jej gniew rozgorzał na dobre. - Czy naprawdę jesteś takim skończonym głupcem, by sądzić, że zrezygnowałabym z darmowego dostępu do takiej publiczności? Jeśli tak, jesteś durniem. Zamierzam wykorzystać śmierć Jacksona do końca. Czuję się, jakbym otrzymała niezwykle wartościowy prezent, którego nigdy wcześniej nie spodziewałam się dostać. Znowu odwrócił głowę w kierunku okna i mruknął: - Czy aby na pewno?

- Co takiego? Nie odpowiedział.

- Josh!

Ponieważ uparcie milczał, uszczypnęła go silnie w ramię.

- Do diabła! - krzyknął, odwracając się gwałtownie.

- Powtórz, co powiedziałeś.

- Po prostu zastanawiałem się głośno, czy nie życzyłaś mu śmierci.
- Zmroziła go wzrokiem.
- Powoli, mój mały. Ostatnio stajesz się coraz bardziej obłudny.
- Po prostu mam sumienie.
- I jesteś jeszcze bardzo zarozumiała. Myślałeś może, że uwolniłam się od Jacksona po to tylko, żeby być z tobą?
- zapytała pogardliwie.
- Przede wszystkim chciałaś mieć swój własny program w telewizji. - Pochylił się do przodu i szepnął: - Tamtej nocy wyszłaś na jakiś czas z mojego pokoju. W jakim celu? Błysk niepokoju pojawił się w jej oczach.
- Zgodziliśmy się nigdy do tego nie wracać.
- Nie, to ty nalegałaś, abym nigdy o tym nie wspominał.
- Wiedziałaś, co z tego może zrobić policja.
- Oboje to wiemy - powiedział miękko.
- Nie ma o czym mówić - rzuciła zdecydowanie, strzepując wymagowany pyłek z czarnej sukni.
- Też tak z początku myślałem. Teraz już nie jestem taki pewny. Być może rzeczywiście nie ma o czym mówić.
- Powiedziałaś wtedy, że idziesz do swojego pokoju po nuty. - No i co z tego?
- A to, że wbrew temu, co powiedzieliśmy policji, wcale nie ćwiczyliśmy i nie potrzebowaliśmy żadnych nut.
- Chciałam poćwiczyć później.
- Ale wróciłaś z pustymi rękoma.
- Nie mogłam ich znaleźć.
- Nie było cię przez około piętnaście minut.
- Przeszukałam wszystko i starałam się zrobić to delikatnie, bo myślałam, -że Jackson śpi.
- Miałaś wystarczająco dużo czasu, żeby go zabić. Cassidy byłby bardzo zainteresowany tym jednym kwadransem twojego życia. - Nie możesz mu o tym powiedzieć nie ściągając podejrzeń również na siebie.
- Josh, myśląc nad tym intensywnie, kontynuował:
- Oczywiście miałaś motywację. Ojciec nie tylko był tyranem, ale na dodatek zawsze działał nie licząc się z nikim. I to on był na świeczniku, nie ty. Nie satysfakcjonowała cię pozycja w jego cieniu; chciałaś zająć miejsce najbardziej eksponowane -jego miejsce. Pragnęłaś zapanować nad całą organizacją. Ponadto miałaś dość bezustannego wysłuchiwania, że twój głos

jest mierny, że za dużo ważysz, i w ogóle. Więc zabiłaś go, a mną posłużyłaś się jako swoim alibi.

- Posłuchaj mnie, ty gówniana głowo - powiedziała, korzystając ze słownika sprzed wielu lat. - Czasami czułam do niego taką nienawiść, że z łatwością mogłabym go zabić. Ale z drugiej strony był moją szczęśliwą gwiazdą. Gdyby nie Jackson, nadal karmiłabym świnie, siekała mięso, nadstawiała tyłka na podszczypywanie przez śmierdzących gnojem farmerów i żyła z napiwków darowanych w zamian za możliwość zajrzenia w dekolt. Byłabym jedynie siostrą skazańca, a nie jedną z najbardziej znanych kobiet w Ameryce, która otrzymuje od prezydenta kartki i kwiaty. Nie zabiłam go. Ale niech skonam, jeśli zapłacę nad jego grobem i nie wykorzystam wszystkich możliwości, jakie otworzyły się przede mną. Zamierzam zachować wszystko, co mam, i wydrapię oczy każdemu, kto stanie mi na drodze.

Limuzyna skręciła w podjazd wiodący do budynku. Jackson był na tyle mądry, by wiedzieć, że ostentacyjne bogactwo drażni przeciętnych ludzi, dlatego też jego dom sprawiał wrażenie stosownego dla zamożnego profesjonalisty, nie przypominał natomiast pałacu. Josh nie lubił w nim przebywać. Obszerny i wygodny, już od lat pozbawiony był owej subtelnej elegancji, którą niegdyś nadawała mu jego matka. Tak, to był w każdym calu dom Jacksona. Świadczył o tym wygląd wszystkich bez wyjątku pomieszczeń. Josh nienawidził każdej minuty, jaką spędził pod tym dachem.

Jednakże w tej chwili nikogo tak bardzo nie nienawidził jak samego siebie. Chociaż pogardzał Ariel za jej lekceważący stosunek do śmierci ojca, jednocześnie w głębi duszy podziwiał ją. Żałował, że nie potrafi z taką łatwością i brakiem poczucia winy jak ona dojść do siebie. Odstępowała go jej zdolność przystosowania się i prymitywna ambicja, ale zarazem tych cech jej zazdrościł.

- Wiem, że miałaś własne plany dotyczące twojego życia, Josh - mówiła. - Jackson miał je również, choć bynajmniej nie pokrywały się z twoimi. On zdołał oczywiście zrealizować swoje zamiary, a ty do tej pory masz o to do niego pretensje.

- Sama nie wiesz, o czym mówisz - odrzekł. - Było już po wszystkim, kiedy ty pojawiłaś się na horyzoncie.

- Ale słyszałam o tym od ciebie i od Jacksona. Spieraliście się, czy obierzesz karierę pianisty, czy też przyłączysz się do niego.

- Nie potrzebujesz mi przypominać, o co się kłóciliśmy.

- Wiesz co, Josh? Twój tatuś miał rację. Zobacz tylko: nagraliśmy trzy albumy z muzyką gospel i wszystkie okazały się złote. Album na Boże Narodzenie, który nagraliśmy wiosną, z pewnością sprzeda się jeszcze lepiej. Przy tym nie będziemy musieli wydać ani centa na promocję. To kapłańska służba uczyniła z ciebie człowieka bogatego i szeroko znanego, Josh. Nie mógłbyś nawet o tym marzyć, grając całą tę klasyczną sraczkę. Przemyśl to sobie dobrze.

Szofer obszedł samochód i otworzył przed nią drzwiczki.

- W twoim interesie leży pozostanie w kościele Jacksona Wilde'a. Jeśli odejdziesz, mnie to nie sprawi różnicy. - Z jedną nogą na zewnątrz odwróciła się jeszcze, by dodać: - Przystojny pianista nie jest wcale takim rzadkim zjawiskiem. Podobnie ma się rzecz z kochankami.

Cassidy wszedł do hotelu „Fairmont” w prawdziwie podłym nastroju, rozdrażniony i mokry. Musiał zostawić samochód przy sąsiednim budynku, a resztę drogi pokonać pieszo, podczas gdy z nieba lały się strugi wody. W drodze do baru ściągnął płaszcz, otrząsnął go z deszczu, potem przeczesał palcami wilgotne włosy.

Miał szczerze dość deszczu, który zalewał Nowy Orlean od dobrych kilku dni. Równie kiepska pogoda panowała w ubiegłym tygodniu w Nashville, dokąd pojechał na pogrzeb Jacksona Wilde'a.

- Dla mnie kawę, proszę - rzucił w kierunku nadchodzącej właśnie kelnerki.

- Zwykłą czy „Nawlins”? - zapytała z silnym miejscowym akcentem.

- Nowoorleańską. Czarną. - Najchętniej wstrzyknąłby sobie kofeinę dożylnie; ostatnio niewiele sypiał, więc zwiększona dawka byłaby ze wszech miar wskazana. Spojrzał na zegarek. Do przyjścia André Phillipiego pozostało jeszcze dwanaście minut. Ze swojego źródła informacji wiedział, że kierownik nocnej zmiany przyjdzie jak zwykle dokładnie o oznaczonej porze.

Czekając na niego, sączył gorący napar, który przyniosła kelnerka. Wreszcie natrafił na właściwy trop. On, Glenn i pluton policji sprawdzili dotychczas setki różnych możliwości, lecz bezskutecznie. Dopiero teraz miał naprawdę obiecujący ślad.

W każdym razie modlił się, aby tak było. Crowder stawał się coraz bardziej niecierpliwy. Nie chciał zgodzić się na podróż Cassidy'ego do Nashville.

- Skoro nie możesz odnaleźć mordercy na własnym terenie, to nie możesz również się ludzi, że znajdziesz go właśnie tam. Moim zdaniem wyjazd byłby nieuzasadnionym wydatkiem. Niech jedzie ktoś z policji.
- Glenn sam przyznaje, że ciężko mu idzie z ludźmi. Uważa, że ja powinienem jechać. Zgódź się, Tony. Może na coś natrafie.

Przełożony zmiążdżył go wzrokiem.

- Co najwyżej natrafisz na gówno. Czemu nie pójdziesz po prostu do wróżki?
- To również brałem pod uwagę - krzywiąc się odpowiedział.

Tak długo zamęczał Crowdera, aż ten w końcu uległ i udzielił zezwolenia na wyjazd do Nashville.

- Jednak nadal uważam to za bezsensowny pomysł.
- Może rzeczywiście tak jest, ale tymczasem nie mam tutaj wiele do roboty.
- Pamiętaj, że ogranicza nas budżet! - zawołał jeszcze, kiedy Cassidy opuszczał jego biuro.

Niestety Crowder miał rację. Wyprawa okazała się całkowitą stratą czasu. W pogrzebie, który miał atmosferę karnawału, uczestniczył wielotysięczny tłum. Wszyscy - miłośnicy wyjątkowych wydarzeń, żałobnicy, wysłannicy mediów z całego globu - starali się wzajemnie przechytrzyć, by choć na chwilę złowić spojrzeniem fragment trumny spowitej w czerwień, biel oraz błękit narodowej flagi i częściowo tonącej w kwiatach.

Prokuratorska legitymacja pozwoliła Cassidy'emu zająć miejsce blisko wewnętrznego kręgu towarzyszy i zaufanych Wilde'a. Jeżeli pośród nich znajdował się morderca, i tak trudno byłoby go - a może ją - odkryć, ponieważ wszyscy przybrali jednakowy wyraz twarzy wyrażający rozpacz kogoś, komu odebrano ostatnią deskę ratunku. Nikt nie okazywał odrobiny zadowolenia, nikt nie był ani trochę odprężony. Poza tym, jeśliby założyć, że Wilde'a zabił ktoś z jego organizacji, zagadką pozostawał motyw. Ci ludzie mogli liczyć na zyski, dopóki on prowadził swoją kampanię i wygłaszał kazania w telewizji. Jedno i drugie owocowało sutymi ofiarami wyznawców. Jackson Wilde stworzył coś w rodzaju przemysłu, w którym każdy współpracownik, nawet zwykły pomocnik, mógł liczyć na znaczne korzyści. Dochodzenie prowadzone przez Glenna wykazało, że Wilde dobrze wynagradzał za lojalność.

Jak wszędzie, gdzie chodziło o pieniądze i prestiż, pojawiały się w organizacji sporadyczne spory, konflikty osobowości,

zawiści czy wzajemne animozje. W każdym razie jednak, jeżeli zabójca należał do ludzi Wilde'a, to pociągając za spust musiał liczyć się z utratą źródła dochodu. Nie, to nie miało sensu.

W rezultacie jedynymi podejrzanymi godnymi uwagi byli Ariel i Joshua. Cassidy śledził każdy ich ruch.

Opanowanie Josha przypominało chwilami kataleptyczne osłupienie. Bez zmrużenia powiek wpatrywał się w trumnę, ale nie sposób było ocenić, czy jest oszołomiony, obojętny, czy też po prostu znudzony.

W postawie wdowy było tyleż pobożności co wzruszenia. Prosiła o boże błogosławieństwo dla wszystkich, z którymi rozmawiała, i zabiegała o ich modlitwy. Cassidy nazywał ją w myślach motylem ze stalowym odwłokiem. Ta kobieta o wyglądzie anioła była wyrachowana, twarda i zapewne zdolna do popełnienia morderstwa. Problem polegał na tym, że jedyny dowód, jaki mógł przeciwko niej przedstawić, miał charakter dość przypadkowy. Nie mógł jej dowieść romansu z pasierbem, natomiast wszystkie pozory wskazywały na to, że była oddaną, pogrążoną w głębokiej żałobie żoną.

Jednak prawdopodobnie osoba najbardziej podejrzana nie była obecna na pogrzebie. Po ostatnim spotkaniu z Claire Laurent on i detektyw Glenn długo o niej dyskutowali. Zgodzili się tylko co do jednego: Claire Laurent kłamała. Najpierw skłamała, że Jackson Wilde nie stanowił obiektu jej szczególnej uwagi. O czymś przeciwnym świadczyła odnaleziona teczka z wycinkami. Świadczyła o zainteresowaniu, lecz o niczym więcej. Następnie próbowała ukryć przykre fakty ze swojej przeszłości, co z kolei nie dowodziło niczego poza tym, że stale niepokoiła się o matkę. Taśma wideo z obrazem ostatniego występu Wilde'a zaprzeczyła zapewnieniom Claire, że nigdy nie widziała się z nim osobiście i że była w domu tej nocy, kiedy został zamordowany. Cassidy i Glenn wiedzieli, że sąd nie pozwoli oprzeć oskarżenia na tak kruchych podstawach.

Poza tym Glenn sceptycznie odnosił się do tego tropu.

- Jest zasmarkaną, protekcyjną suką, ale to pewnie nie w jej osobie znajdziemy zabójcę. Nadal podejrzewam przede wszystkim żonę i syna. Wiemy, że byli wtedy w hotelu, a o niej tego samego nie możemy powiedzieć. Dzisiaj po południu jednak detektyw zdobył coś, co mogło się okazać brakującym śladem i co mogło zmienić jego zdanie na temat właścicielki Francuskiego Jedwabiu.

- Ten irytujący kurdupel z tego tam hotelu kłamie w żywe oczy - oświadczył Glenn.
- Na to wygląda. Chcesz, żebym zajął się nim?
- Nie krępuj się. Ja za sam wygląd mógłbym zdusić tę małą gnidę własnymi rękoma. Nigdy nie miałem zaufania do facetów z kwiatem w butonierce.

Nie tracąc czasu, Cassidy wszedł do samochodu i pojechał na spotkanie z André Philipim.

Teraz właśnie dostrzegł go, jak zbliżał się energicznym krokiem do stanowiska recepcjonisty. Cassidy zostawił na stole kilka banknotów, przewiesił przez ramię nieprzemakalny płaszcz i zdecydowanym krokiem wyszedł mu naprzeciw.

Na jego widok twarz André wykrzywiła się w wyrazie niechęci.

- O co chodzi, panie Cassidy? Jestem bardzo zajęty.
- Doskonale to rozumiem, lecz ja również.
- Może będzie pan mógł zadzwonić do mnie jutro, albo przynajmniej na jutro wyznaczyć spotkanie.
- Bardzo mi przykro, ale muszę porozmawiać z panem teraz. Przepraszam za kłopot i obiecuję, że jedna minuta pańskiego czasu całkowicie mi wystarczy. Potrzebny mi jedynie magnetofon.
- Magnetofon? - André zerknął na niego podejrzliwie. - Jest u mnie w biurze. Po co panu magnetofon?
- Mógłbym skorzystać?

Cassidy nie czekał na zgodę. Ruszył w kierunku biura, wierząc, że niski mężczyzna podąży za nim, co też ten pospiesznie uczynił. W biurze Cassidy podszedł wprost do magnetofonu, włączył go i wsunął do środka kasetę.

- Zachowuje się pan w najwyższym stopniu niestosownie, panie Cassidy. Jeśli chciałby pan...

André zamilkł, kiedy magnetofon odtworzył dzwonek telefonu. Następnie usłyszał swój głos i początkowe słowa rozmowy: „*Bonsoir, André...*”

Natychmiast rozpoznał, o którą rozmowę chodziło. W jednej chwili krople potu wystąpiły na jego błyszczącym czole, a zaciśnięte usta zwiotczały. Dłońmi przytrzymał się krawędzi biurka i opadł na fotel.

- *Mon Dieu* - szepnął. Z kieszeni spodni wyjął chusteczkę, którą otarł sobie twarz i czoło. - Proszę, panie Cassidy, niech pan to wyłączy.

Cassidy nie posłuchał, zmniejszył tylko siłę głosu. Wprawdzie oczekiwał reakcji, ale nie sądził, że będzie tak silna.

Rzecz

jasna, oznaczało to, że dowie się więcej, niż pierwotnie przypuszczał. Działając pod wpływem pierwszego impulsu, byłby w stanie chwycić mężczyznę za kłapy marynarki i wytrząsnąć z niego potrzebne mu informacje. Nieco wysiłku kosztowało go powzięcie postanowienia o rozegraniu tego na chłodno.

- A teraz spokojnie mi o tym opowiedz, André. Daję ci szansę dobrowolnego złożenia wyjaśnień.

André zwilżył usta i nerwowo ścisnął chusteczkę w dłoni. Wydawało się, że gdyby go właśnie przed chwilą zamknięto w celi śmierci, wyglądałby na mniej przerażonego.

- Czy ona wie, że pan to ma?

Serce Cassidy'ego zabiło mocniej. Jakże niewiele brakowało, żeby poznał tożsamość kobiety, której głos nagrano na taśmę. Philippi sądził, że on wie, kim ona jest. „Nie zepsuj tego!” Wzruszył obojętnie ramionami.

- To właśnie jej głos, prawda?

- O Boże, Boże - jęknął André. - Biedna, biedna Claire.

Claire rozmawiała z Yasmine przez telefon blisko godzinę. Yasmine była przygnębiona i, jak podejrzewała Claire, co najmniej po kilku mocnych drinkach.

- On ciągle się spieszy - jęczała.

Claire samolubnie żałowała, że Yasmine nie utrzymała swojego romansu w tajemnicy; od kiedy przyznała się do posiadania kochanki, większość ich rozmów toczyła się wokół niego i jej fatalnego związku.

- Po prostu dzieli swój czas między ciebie i rodzinę. Nie możesz mieć go wyłącznie dla siebie. To prosta konsekwencja związania się z żonatym mężczyzną. Musisz to zaakceptować albo z nim zerwać.

- Godzę się z tym. Tylko że... z początku miał dla mnie jakby więcej czasu.

- A teraz jest to coś w rodzaju bim-bam-dziękuję-madam.

Claire oczekiwała, że ten żart rozdrażni rozstrojoną przyjaciółkę. Ale przeciwnie - usłyszała jedną z odmian jej gardłowego śmiechu, który przywodził na myśl dźwięki wydawane przez dzikich kuzynów kota.

- Nie bardzo. W miniony weekend naprawdę solidnie się nade mną napracował.

- Więc już zupełnie nie rozumiem, na co ty narzekasz.

W głosie Yasmine pojawiła się płaczliwa nuta. Claire nigdy nie była świadkiem płaczu przyjaciółki, nawet kiedy firma kosmetyczna nie przedłużyła z nią kontraktu i na jej miejsce zaan-

gażowała inną modelkę. Wówczas to zaczęły się jej kłopoty finansowe. Yasmine nie uświadamiała sobie, że Claire o nich wie. Znając usposobienie i dumę Yasmine, nie śmiała otwarcie zaoferować jej pożyczki, licząc, że ta zwróci się do niej, zanim znajdzie się w naprawdę rozpaczliwym położeniu.

- Czasami zastanawiam się, czy on nie jest ze mną wyłącznie z tego powodu - powiedziała Yasmine przyciszonym głosem. - Ty wiesz, co robimy w łóżku.

Claire przezornie zachowała milczenie.

- Ale wiem, że tak nie jest - Yasmine dodała pospiesznie. - Łączy nas znacznie więcej niż jedynie fizyczna więź. Tylko te zasrane okoliczności tak na mnie wpływają.

- Stało się coś?

- W tym tygodniu pojechał w interesach do Waszyngtonu i powiedział mi, że przedłuży podróż o dwa dni, aby spędzić je ze mną w Nowym Jorku. Niestety sprawy się przeciągnęły i w rezultacie dla mnie miał zaledwie dzień. Kiedy zbierał się dzisiaj do odejścia, myślałam, że umrę. Zrobiłam coś, czego nie powinnam była zrobić. Błagałam, aby nie odchodził. Zezłościł się, a ja teraz nawet nie mogę zadzwonić i przeprosić go. Muszę czekać, aż on zadzwoni. Siedząc przy desce do rysowania, Claire wsparła głowę na dłoni i palcami zaczęła rozcierać skronie. Była jednocześnie zatroskana i poirytowana. Nie sądziła, by ów związek przyniósł coś innego niż złamane serce. Yasmine powinna być na tyle mądra, żeby to widzieć. Powinna wyrwać się z tego zgubnego układu i przestać robić z siebie idiotkę. Tylko że ona nie była osobą, która chętnie przyjęłaby tę czy inną nie proszoną radę.

- Przykro mi, Yasmine - powiedziała szczerze. - Wiem, że cierpisz, a wolałabym widzieć cię szczęśliwą. Gdybym tylko mogła coś zrobić...

- Dzięki, ale ty już mi pomagasz. Słuchasz. - Pociągnęła nosem. - No, dosyć tego. Wiesz, skontaktowałam się z Leonem. Ostatecznie umówiliśmy się na zdjęcia w przyszłym tygodniu. Dokładnie sobie to wszystko zapisz.

Claire sięgnęła po notes i ołówek.

- Dyktuj. Och, poczekaj - powiedziała niecierpliwie, słysząc sygnał zgłoszenia na drugiej linii. - Jedną sekundę. - Moment później znowu połączyła się z Yasmine. - Muszę iść. Chodzi o mamę.

Yasmine wiedziała, że lepiej nie przedłużać rozmowy.

- Zadzwonię jutro - powiedziała szybko i odłożyła słuchawkę.

Claire wybiegła z biura. W swoim apartamencie zabawiła nie dłużej niż minutę, a następnie pospieszyła schodami w dół. Mknąc przez mroczny parter, wsunęła ramiona w rękawy czarnego winylowego płaszcza i naciągnęła na głowę kapelusz od kompletu.

Wyłączyła system alarmowy, odciągnęła zasuwę, energicznie pchnęła drzwi... i stanęła twarzą w twarz z Cassidym. Przygarbiony pod strugami deszczu, wyciągał właśnie rękę, by włączyć przyciskiem dzwonek. Na jej widok zdziwił się tak samo, jak ona widząc jego.

- Czego pan chce? - zapytała.

- Porozmawiać.

- Nie teraz. - Włączyła ponownie alarm, zatrzasnęła i zamknęła drzwi na zamek. Chciała ominąć kłopotliwego gościa, ale ten zacisnął dłoń na jej ramieniu tak silnie, że nie mogła się ruszyć. - Proszę mnie puścić! - krzyknęła. - Bardzo mi się spieszy.

- Dokąd?

- Mam pilną sprawę do załatwienia.

- Teraz?

- Teraz.

- Podwiozę panią.

- Nie trzeba!

- Dokąd pani się wybiera?

- Niech pan mi pozwoli odejść, przynajmniej w tej chwili.

- Nie ma mowy. Chyba że usłyszę parę słów wyjaśnienia. Zygzak błyskawicy na ułamek sekundy wydobył z mroku jego twarz zastygłą w wyrazie zdecydowania. Nie wyglądało na to, aby przyjął jej „nie” za odpowiedź, poza tym tracili czas.

- Dobrze, może mnie pan podwieźć.

Jego setłan stał w strefie załadunkowej przy krawężniku. Cassidy umieścił Claire na siedzeniu dla pasażera, obszedł maskę samochodu i usiadł za kierownicą. Kiedy włączył silnik, z jego czoła skapnęła kropla deszczu.

- A więc dokąd jedziemy?

- Do hotelu „Porchartrain”.

Rozdział IX

- Musi pan jechać na St. Charles Avenue - powiedziała.
- Wiem, gdzie to jest - odrzekł. - Po jakie лихо wybiera się pani tam w taką pogodę?
- Proszę, panie Cassidy, niechże się pan pospieszy.

Bez dalszych komentarzy ruszył i skręcił w Conti Street. Francuska dzielnica była spokojna tej nocy. Minęli kilku przechodniów, którzy zmagając się z parasolami, wolno posuwali się wąskimi chodnikami. Rozmazane w deszczu neonowe napisy reklamowały egzotyczne drinki i aperitify, *file gumbo* i *etouffee* z langusty, tancerki w topless i jazz. Przy skrzyżowaniu Cassidy zatrzymał samochód na czerwonym świetle, odwrócił głowę i spojrzał otwarcie na Claire. Spojrzenie to odczuła jak pieszczotliwe dotknięcie palców na policzku i prawie w tym samym momencie wróciło do niej wspomnienie chwili, w której pochwycił ją za włosy. W ogóle nie spodziewała się wtedy, że jej dotknie, a w szczególności - że dotknie jej w taki sposób.

O wiele mniej zaskoczył ją tym, że odezwał się do niej po imieniu oraz że wiedział o jej uczestnictwie w ostatnim wystąpieniu Wilde'a. Od tamtej pory minął prawie tydzień. W Tennessee odbył się pogrzeb Wilde'a. Nikt ani z policji, ani z biura prokuratora okręgowego nie niepokoił Claire, więc miała nadzieję, że Cassidy przestał się nią zajmować. Najwidoczniej myliła się.

Teraz i ona odwróciła głowę. Spokojnie wytrzymała jego badawcze spojrzenie.

- Dziękuję za podwiezienie mnie.
- Niepotrzebnie. Będzie pani musiała zapłacić za kurs.
- Ach, tak. Mężczyźni chyba zawsze żądają od kobiet zapłaty, nieprawda? Nie istnieje coś takiego jak przysługa bez zobowiązań.
- Pani sobie schlebia, panno Laurent.
- Nie sędzę. Czyż mężczyźni nie są ze sobą zgodni, że o drugiej po północy każda kobieta jest piękna?
- Nie ma pani najlepszego zdania o mężczyznach.

- Ten temat, zdaje się, wyczerpaliśmy podczas naszego ostatniego spotkania.
- Niech pani posłucha - powiedział, wyprowadzony z równowagi. - Niczego od pani nie chcę poza szczerymi odpowiedziami na pytania. Mam dosyć tych wszystkich krętactw.
- To nie powinno być zbyt trudne. Co chciałby pan wiedzieć?
- Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego pani kłamała. Albo nie. Będę bardziej dokładny. Twierdziła pani, że nigdy nie zetknęła się z Wilde'em osobiście. Niech mi pani wyjaśni przyczyny tego kłamstwa. Przecież patrzyliście sobie prosto w oczy, wymieniliście uścisk dłoni.
- Chyba powinnam była panu o tym powiedzieć - przyznała ze skruchą. - Ale to było nieistotne. Było nieistotne! - powtórzyła z naciskiem w odpowiedzi na jego surowe spojrzenie. - Pragnęłam zobaczyć swojego przeciwnika z bliska, spotkać się z nim twarzą w twarz. Niczego więcej w tym nie było.
- Mam poważne wątpliwości. Gdyby naprawdę niczego więcej w tym nie było, nie musiałaby pani kłamać.
- Po prostu krępowałam się panu powiedzieć, że chciałam zabawić się kosztem Wilde'a. Ja go znałam, on mnie nie. Myślał, że ma we mnie swoją zwolenniczkę. Ale to była frajda pomyśleć, jak on by się czuł, gdyby wiedział, że w jego własnym stadzie znalazła się ta, co wydaje „sprośności”.
- W porządku. Kupuję to.
- Cieszę się.
- Ale pod warunkiem, że tak samo gładko wytłumaczy się pani z jeszcze jednego kłamstwa.
- Jakiego mianowicie?
- Że tamtej nocy nie była pani w hotelu „Fairmont”.

W pierwszej chwili zamierzała zaprzeczyć, ale jeden rzut oka na twarz Cassidy'ego szybko ją od tego odwiódł.

Asystent prokuratora okręgowego sprawiał wrażenie zbyt pewnego, że złapał już swą ofiarę w potrzask. Żeby się bardziej nie pograżyć, należało raczej milczeć i czekać, aż sam odkryje przed nią karty.

Po zmianie świateł przejechali skrzyżowanie, skręcając w Canal Street. Cassidy oderwał prawą rękę od kierownicy i z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął kasetę magnetofonową, którą następnie wsunął do odtwarzacza.

Claire poczuła, jak serce skacze jej do gardła, kiedy usłyszała swoje własne słowa: „*Bonsoir, André*”. Przez całą drogę wzdłuż kanału patrzyła nieruchomo przed siebie, słuchając nagrania swojej ostatniej rozmowy telefonicznej z André Philippim.

Potem Cassidy wyjął kasetę i z powrotem wsunął ją do kieszeni.

- Nie wiedziałem, że mówi pani po francusku.
- Mówię płynnie.
- To mnie właśnie zmyliło. Nie poznałem pani głosu. Pomógł mi dopiero pani stary kumpel André.
- André nigdy nie zdradziłby przyjaciela.
- I nie zdradził. Myślał tylko, że wiem, z kim rozmawiał.
- Innymi słowy, nabrał go pan. Cassidy potwierdził wzruszeniem ramion.
- Dlaczego założyliście podsłuch w jego telefonie?
- Byłem pewien, że coś ukrywa, i chciałem wiedzieć, co.
- To zbyt błahy powód, by naruszać prawo do prywatności. Czy André wie, że złapał go pan w pułapkę?
- Mówiąc szczerze, nie ja go złapałem. On złapał się sam. Westchnęła głęboko.
- Biedny André.
- Dokładnie to samo powiedział o pani: „Biedna Claire”. Tworzycie całkiem zgrany duet. Dbacie wzajemnie o swoje interesy, zawsze myślcie o sobie. Jakże miło się złożyło, że razem możecie trafić do pudła. Może dałoby się załatwić wam sąsiednie cele.

Spiorunowała go wzrokiem, na co gwałtownie potrząsnął głową.

- Nareszcie; alleluja. Nareszcie zaczęła mnie pani słuchać. A więc dorzucę jeszcze jeden drobiazg: w Luizjanie za zabójstwo drugiego stopnia karze się dożywociem. No i jak teraz czuje się pani w charakterze podejrzanej numer jeden?

Groźby nigdy nie działały na Claire Louise Laurent jako skuteczny środek zastraszenia. Wręcz przeciwnie - wzmagały w niej opór i determinację.

- Niech pan udowodni, że jestem winna morderstwa, panie Cassidy. Niechże pan to udowodni.

Wytrzymała jej spojrzenie niebezpiecznie długo. Odwróciła się dopiero w momencie, kiedy samochód dojeżdżał do hotelu.

- Wsiadę przy krawężniku. Za minutę wracam.
- Nie tak szybko. Wejdziemy do środka razem.
- Nie chodziło mi o mnie. Pan już jest przemoknięty.
- Przecież nie rozpuszczę się.

Włączył światła postojowe i wysiadł z samochodu. Otworzył jej drzwiczki, po czym razem podbiegli do wejścia. Na widok Claire portier sięgnął do daszka swojej czapki.

- Dobry wieczór, panno Laurent.

130

- Witaj, Gregory.

- Strasznie się rozpadało, ale proszę się nie martwić. Kiedy tutaj przyjechała, nie było jeszcze tak źle.

Weszli do wnętrza sławnego hotelu, w którym apartamenty były nazwane na cześć ich znakomitych rezydentów z przeszłości. Wąski hall zdobiły zabytkowe europejskie meble i orientalne kilimy, przypominając o dworskim splendorze oraz gościnności Południa.

Mary Catherine Laurent siedziała przy marmurowej ścianie w wysokim fotelu obitym pasiastą tkaniną przetykaną złotą nitką. Miała na sobie cienką wzorzystą sukienkę, na której tu i ówdzie widniały mokre jeszcze plamy. Od nadmiaru wilgoci rondo jej różowego kapelusza odchyliło się ku dołowi. W śnieżnobiałych rękawiczkach, z dłońmi złożonymi na kolanach, złączonymi nogami i stopami opartymi płasko na podłodze wyglądała jak młoda dziewczyna, którą w drodze na uroczystość bierzmowania zaskoczyła nagła ulewa. Tuż przy niej w zasięgu ręki stała skórzana walizka.

W głębi hallu zza recepcyjnego biurka podniosła się kobieta w okularach i z włosami ostrzyżonymi na pazia.

- Zadzwoiłam do pani, panno Laurent, zaraz jak tylko zobaczyłam pani matkę.

- Bardzo pani dziękuję. - Claire ściągnęła z głowy kapelusz i przykucnęła przed matką. - Cześć, mamó. To ja, Claire.

- On zjawi się lada chwila - powiedziała Mary Catherine piskliwym, nienaturalnym głosem. Jej umysł przeniósł ją w czas i miejsce niedostępne dla nikogo innego poza nią. - Obiecał, że spotka się tutaj ze mną dzisiaj po południu.

Claire zdjęła z głowy matki słomkowy kapelusz i odgarnęła wilgotne kosmyki włosów z jej policzków.

- Może pomyliłaś daty, mamó.

- Nie, nie sędzę. Jestem pewna, że miał przyjechać po mnie dzisiaj. Ja miałam spakować się i tutaj na niego czekać. - Zdezorientowana, uniosła dłoń i przycisnęła ją do piersi. - Nie czuję się dobrze.

Claire zerknęła na Cassidy'ego.

- Mógłby pan przynieść jej szklanek wody?

W ociekającym wodą płaszczu stał nad dwiema kobietami i, najwyraźniej zbity z tropu, wlepił w nie zdziwiony wzrok. Życzenie Claire nieco go otrzeźwiło. Odwrócił się i poprosił recepcjonistkę o szklanek wody.

- Mamó! - Claire delikatnie położyła dłoń na kolanie Mary Catherine. - Coś mi się wydaje, że jednak nie umówiliście się na

dzisiaj. Raczej na jutro. Może pojedziesz ze mną do domu i tam na niego poczekasz, hmm? Zobacz, pan Cassidy przyniósł ci szklanę chłodnej wody.

Umieściła szklanę w dłoni Mary Catherine. Ta przechyliła naczynie do ust i wypła łyk. Potem podniosła głowę i spojrzała na Cassidy'ego.

- To bardzo miło z pańskiej strony, panie Cassidy. Dziękuję.

- Nie ma za co. Zauważyła jego mokry płaszcz.

- Deszcz się rozpadał?

Obejrzał się przez ramię w kierunku wyjścia, gdzie portier z godnym podziwu wyczuciem starał się sprawiać wrażenie, jakby go w ogóle nie było. Woda nadal lała się z nieba strugami. Cassidy odrzekł:

- Tak, nawet dosyć mocno.

- Aż trudno w to uwierzyć. Kiedy tu wchodziłam, było jeszcze tak bardzo gorąco. Może rzeczywiście powinnam wrócić do domu. - Wyciągnęła do niego rękę.

Pomógł jej wstać z fotela, a następnie popatrzył bezradnie na Claire, szukając u niej dalszych wskazówek.

- Jeśli chce pan wracać do siebie - powiedziała - mogę zabrać mamę do domu taksówką.

- Odwiozę was.

Skinęła głową i oddała szklanę z wodą recepcjonistce.

- Będę bardzo wdzięczna. Doceniam też pańską wyrozumiałość.

- To dla mnie żaden kłopot, panno Laurent. Zawsze chętnie pomógłbym pani matce.

Claire otoczyła matkę ramieniem i poprowadziła ją w kierunku drzwi, które portier usłużnie otworzył przed nimi.

- Proszę nie zapomnieć o walizce, panno Laurent - przypomniał.

- Ja ją wezmę - powiedział Cassidy.

Mary Catherine zdawała się w ogóle nie zauważać zygzaków błyskawic i uderzeń piorunów, kiedy we dwie czekały, aż Cassidy umieści walizkę w bagażniku. Wiedząc, że matka zatopiona jest w innym świecie, Claire pomogła jej zająć tylne siedzenie, a sama usiadła obok.

Z powrotem jechali milcząc i tylko raz odezwała się Mary Catherine. Powiedziała:

- Byłam pewna, że mieliśmy spotkać się dzisiaj w hotelu „Ponchartrain”.

Claire lekko pochyliła głowę i silnie zacisnęła powieki, nie

potrafiąc zbagatelizować obecności Cassidy'ego i jego zachłannej ciekawości. Po przybyciu na miejsce odprowadziła Mary Catherine do apartamentu na drugim piętrze, a Cassidy towarzyszył im, niosąc walizkę. W windzie przypadkowo pochwyciła jego wzrok. Szybko odwróciła głowę, nie chcąc przyjąć do wiadomości niemego pytania jego badawczych szarych oczu.

- Zaraz wracam, jeśli zechce pan poczekać - powiedziała przed drzwiami do sypialni Mary Catherine.

- Poczeka.

Pomogła matce rozebrać się i starannie ułożyła zdjęte ubranie w szafie na półce ze starymi rzeczami. Dopilnowała, żeby zażyła lekarstwa, a potem otuliła ją kołdrą.

- Dobranoc, mamó. Śpij dobrze.

- Chyba pomyliłam daty. On przyjedzie po mnie jutro -szepnęła jeszcze. Zasnęła spokojnie, uśmiechając się.

Claire schyliła się i pocałowała chłodny, gładki policzek matki.

- Tak, mamó. Jutro. - Wyłączyła lampkę i wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Była wyczerpana. Czuła ból napiętych mięśni ramion. Nigdy wcześniej odległość między sypialną matki a przestronnym salonem nie wydawała jej się tak wielka. Cekał tam na nią Cassidy, uzbrojony i gotowy do ataku jak oddział szturmowy. Musiała stawić mu czoło. Zebrawszy siły, ruszyła przez hall.

Kiedy weszła do salonu, nie dostrzegła go od razu. Myśl, że może rozmyślił się i poszedł, przyniosła jej chwilę ulgi... i rozczarowanie.

Nie przyznawała się do tego przed sobą ani przed Yasmine, ale Cassidy pociągał ją. Fizycznie, rzecz jasna. Choć było w tym jakby coś więcej... jego nieustępliwość, poświęcenie, determinacja? Pociągały ją te same cechy, które jednocześnie budziły w niej głęboką niechęć. Bała się go, chociaż niezwykle życzliwość i współczucie, jakie zademonstrował wobec jej matki, przemawiały wyraźnie na jego korzyść. Koniec końców jedno wiedziała na pewno: jej własne uczucia w stosunku do Cassidy'ego były ambiwalentne.

Stał w cieniu przy kredensie. Jego kapelusz i płaszcz wisiały na wieszaku w jakiś dziwnie intymny sposób. Kiedy się odwrócił, zobaczyła, że nadal miał mokre włosy i że w dłoniach trzyma dwa kieliszki z brandy. Podszedł i wręczył jej jeden z nich.

- Dziękuję, panie Cassidy.

- To pani alkohol.

- Mimo wszystko dziękuję.

Claire była zadowolona, że nie zapalił lampy. Dostatecznie wiele światła wpadało do środka przez okienne szyby. Od czasu do czasu błyskawica oświetlała skłębione chmury, dzięki czemu niebo wyglądało jak negatyw jakiejś czarno-białej fotografii.

Ruszyła w stronę okna. Do tej pory burza straciła na sile, choć w dalszym ciągu padał ulewny deszcz. Srebrzyste strumyki sunące po szybie tworzyły falujące cienie. Na zewnątrz rzeka była widoczna jedynie jako szeroki ciemny pas, ograniczony z obu stron długą linią świateł. Walcząc z przeciwnym prądem, płynęła po niej z głośnym klekotem silnika pusta barka.

Claire uniosła kieliszek. Pierwszy łyk koniaku sparzył jej gardło. Po drugim rozlała się w niej fala przyjemnego ciepła.

- Czasami, w chwilach takich jak ta, żałuję, że nie palę - stwierdziła.

- Słucham?

Kiedy się do niej zbliżał, słyszała za sobą odgłos jego kroków.

- Czasami żałuję, że nie palę - powtórzyła. - Na przykład teraz.

Odwróciła się, by ze zdziwieniem uświadomić sobie, że stał przy niej bliżej, niż oczekiwała. Wpatrzona w nią oczy miały kolor deszczu uderzającego o szyby. - Dlaczego?

- Chyba zazdroszczę palaczom, że szybko i łatwo mogą się odprężyć. Wystarczy sięgnąć po papierosa. - Opuszkami palców przesunęła po krawędzi kieliszka. - Widziałam kiedyś, jak palacz dmuchnął dymem do kieliszka z brandy, by dopiero potem pociągnąć łyk. - Pokręciła głową. - To ładne, ten sposób, w jaki dym kołysze się wolno wewnątrz kryształu. Pijąc czuje się smak alkoholu i jednocześnie zapach tytoniu. To jest prowokujące, zmysłowe. I pewnie brandy smakuje lepiej. A może papieros. Nie wiem. - Kto tak robił?

- W rzeczywistości nikt. Widziałam to w filmie o sir Richardzie Burtonie. Może był to jego osobliwy zwyczaj, a może taka była moda w dziewiętnastym wieku.

Nie spuszczał z niej niepokojącego wzroku.

- Czemu o tym pomyślałaś, Claire? Nieśmiało wzruszyła ramionami.

- To ta dżdżysta noc. Koniak.

- Albo po prostu próbujesz zbić mnie z tropu.

- Czyż można pana tak łatwo zbić z tropu?

Wahał się odrobinę za długo, zanim wyrzucił z siebie szorstkie „nie”. Potem zdecydowanym ruchem wychylił resztę drinka i zaniósł pusty kieliszek do barku. Gdy wrócił, był już wyłącznie asystentem prokuratora okręgowego na służbie. - Co się wydarzyło dzisiaj w nocy?

- Był pan przy tym. Widział pan.

- I nadal nie wiem, co się stało. Poniosło ją, zgadza się?

- Tak. Poniosło ją.

- Przepraszam, nie chciałem, żeby to zabrzmiało...

- Wiem, że pan nie chciał.

- Jak często... Jak często tak się zachowuje?

- Różnie. Czasami to narasta powoli, a czasami przychodzi nagle, tak że nikt się nie spodziewa. Bywają też dni, gdy doskonale zdaje sobie sprawę, co się wokół niej dzieje. Od czasu do czasu, tak jak pan widział dzisiaj, całkowicie traci kontakt z rzeczywistością.

- Co jest tego przyczyną?

- Nie wiem.

- A co mówią lekarze?

- Że również nie wiedzą. To się zdarza, odkąd sięgam pamięcią, tylko że wraz z upływem lat coraz częściej i intensywniej. Kiedy byłam małą dziewczynką, matka cierpiała jedynie na coś więcej niż napady depresji, podczas których całymi dniami nie ruszała się ze swojego pokoju, płakała i nie chciała nic jeść. Ciotka Laurel i ja opiekowałyśmy się nią. - Może w którymś momencie potrzebowała fachowej pomocy. Claire przeszła go wzrokiem pełnym nienawiści. - To tylko spostrzeżenie, nie krytyka - powiedział.

Przez chwilę przyglądała mu się badawczo. Kiedy doszła do przekonania, że był szczery, odprężyła się.

- Teraz już wiem, że należało zapewnić jej opiekę lekarską. Tak głęboka depresja na pewno nie jest czymś normalnym. Ale byłam dzieckiem, a ciotka Laurel, mimo że miała jak najlepsze intencje, nie umiała poradzić sobie z problemem, jakim jest choroba psychiczna. Nawet nie myślała o tym w ten sposób. Mama była młodą kobietą, dziewczyną jeszcze, która przeżywała zawód miłosny. W pojęciu ciotki Laurel nie była chora, miała po prostu złamane serce. - Złamane serce, które się nie goi. Skinęła głową.

- Pewnego razu mama zrobiła to samo, co dzisiaj. Ubrała się i ze spakowaną walizką wymknęła z domu. Ciotka odchodziła

od zmysłów z niepokojem, dopóki jakiś policjant nie odprowadził mamy do domu. Znał nas, pan rozumie. Mama szła Canal Street, dźwigając walizkę. On podszedł do niej i zaoferował pomoc. Szybko zorientował się, że coś było z nią nie w porządku. Na szczęście odprowadził ją do domu, a nie na posterunek. Dzięki temu uniknęła poniżenia.

- Czy ona wyobraża sobie wtedy, że ucieka z ukochanym?

- Tak. Przypuszczam, że ojciec, zanim ją porzucił, zaproponował jej wspólną ucieczkę. Pewnie w ostatniej chwili stracił odwagę i zostawił ją samą. Mama myśli, że on przyjdzie po nią w umówione miejsce. Dzisiaj w nocy, tak sędzę, pojechała autobusem do linii tramwajowej i resztę drogi, wzdłuż St. Charles Street aż do hotelu „Ponchartrain”, pokonała tramwajem.

- Czy zawsze tam mają się spotkać?

- Nie. Miejsce spotkania zmienia się. Ona nigdy nie ma pewności, kiedy i gdzie powinna czekać na swojego mężczyznę. I zamiast zgodzić się po prostu z faktem obwinia siebie, że źle zrozumiała instrukcje.

Claire odwróciła się od okna i spojrzała na Cassidy'ego.

- Tej nocy, kiedy został zamordowany Jackson Wilde, mama pojechała do hotelu „Fairmont”. André zadzwonił do mnie i powiedział, że moja matka siedzi w hotelowym hallu, czekając na swojego adoratora, więc pojechałam, by ją stamtąd zabrać. Dlatego właśnie tam byłam. Kiedy dowiedziałam się o śmierci Wilde'a, poprosiłam André, żeby nikomu o tym nie wspominał. Zgodził się, ponieważ oba wydarzenia nie miały ze sobą absolutnie nic wspólnego. Jestem pewna, że pan i pańscy koledzy wiele sobie obiecywaliście po tej podsłuchanej rozmowie, ale niestety źle ją zinterpretowaliście.

Ująwszy spód kieliszka w dłoń, podniosła go i opróżniła. Cassidy odebrał go od niej i odniósł do barku.

- Czy nie byłoby wszystkim łatwiej, gdybyś oddała matkę do jakiegoś zakładu? - zapytał.

Przewidywała to pytanie. Słyszała je setki razy. Zawsze udzielała tej samej odpowiedzi.

- Niewątpliwie byłoby łatwiej. Ale czy lepiej?

- Rozumiem, że co do tego twoja decyzja jest ostateczna. Poruszona, zaczęła spacerować przed oknami.

- Odkąd sięgam pamięcią, zawsze pojawiali się ludzie z najrozmaitszych instytucji, którzy próbowali mnie zmusić, abym rozstała się z matką.

- A jeszcze wcześniej próbowali jej ciebie odebrać. Stała w pół kroku i gwałtownie odwróciła się do niego.

- Może chociażby to mógłby pan zostawić w spokoju, panie Cassidy?
- Nie, nie mógłbym. Wykonuję swój zawód.
- I zapomina pan o wszystkim innym?
- Czasami - przyznał. - Ale dlaczego, zamiast karmić mnie tymi sentymentalnymi wspominkami z dzieciństwa, nie porozmawiasz ze mną jak równy z równym i nie opowiesz mi o swoich potyczkach z przedstawicielami władzy?
- Ponieważ zbyt wiele od nich wycierpiałam. Nadal śnią mi się w koszmarach. Śnię, że siłą wyciągają mnie z domu ciotki Laurel, a ja się opieram. Kopię, gryzę, krzyczę. Mama jest przygnębiona i nie wie, co się dzieje.
- Ze sprawozdań pracowników opieki społecznej wynika, że mała Claire Laurent nieźle dała im się we znaki. Potrafie to sobie z łatwością wyobrazić. A co powiesz na temat swojej wspaniałej ciotki? Opisałaś ją jako kochającą, troskliwą opiekunkę.
- Taka była, ale specjaliści - zaakcentowała to słowo tonem pełnym pogardy - uważali inaczej. Była osobą wyjątkową, dlatego podobno nie spełniała ich książkowych kryteriów doskonałego opiekuna. Trzykrotnie powtarzano całą procedurę umieszczenia mnie w domu wychowawczym. Uciekałam z niego tak często, że wreszcie dano mi spokój i pozwolono wrócić do prawdziwego domu. - W zamyśleniu potarła czoło. - Kiedy miałam jedenaście czy dwanaście lat, mama zginęła gdzieś na kilka dni. Kiedy odnalazłyśmy ją w końcu w jakimś tanim, brudnym hoteliku, zdążyła się w to wmieszać policja. Znowu przyszli po mnie ludzie z opieki społecznej. Powiedzieli, że nie wychowuję się w odpowiednim otoczeniu i że potrzebuję stabilizacji oraz fachowego nadzoru. Usłyszeli ode mnie, że ucieknę z każdego miejsca, bez względu na to, gdzie by mnie umieścili, i że nie przestanę uciekać, i że cokolwiek by zrobili, nie zdołają zatrzymać mnie z dala od matki. Chyba mi uwierzyli, bo nie pojawili się więcej. Cała siła dławionego do tej pory resentymetu skierowała się przeciwko Cassidy'emu.
- Gwiżdżę na to, co napisano o mnie w tych cholernych sprawozdaniach. Niech wynosi się do diabła każdy, kto próbuje nas rozdzielić. Należymy do siebie, a ja cieszę się, że mam przywilej troszczenia się o nią. Kiedy zaszła w ciążę, mogła uciec się do bardzo prostego rozwiązania... jakże modnego wówczas wśród ludzi zamożnych. Mogła pojechać gdzieś na rok do Europy i oddać mnie do adopcji. Według słów ciotki Laurel

tego właśnie życzyli sobie moi dziadkowie. Albo mogła skrycie wywołać sztuczne poronienie. To byłoby jeszcze prostsze. Nikt nie dowiedziałby się, nawet jej rodzice. Zamiast tego zdecydowała się urodzić mnie i zatrzymać przy sobie, co dla niej równoznaczne było z utratą majątku i rezygnacją z całego dotychczasowego stylu życia.

- Twoje poczucie odpowiedzialności jest godne podziwu.

- Nie czuję się za nią odpowiedzialna. Ja ją kocham.

- I dlatego właśnie nie zamknęłaś jej gdzieś, skąd nie mogłaby uciec?

- Dokładnie dlatego. Nie ma powodu, by ją zamykać. Ona potrzebuje miłości, cierpliwości i zrozumienia. Poza tym to byłoby okrutne, nieludzkie. Nie chcę traktować jej jak zwierzęcia.

- Wędrując samotnie ulicami, mogła zrobić sobie krzywdę, Claire.

Opadła gwałtownie na wyściełane siedzenie białej sofy.

- Czyż ja o tym nie wiem? Zawsze podejmuję wszelkie środki ostrożności, by nie dopuścić do jej wędrówek.

Podobnie postępuje Yasmine, a także Harry. Ale co do ucieczek, zachowała spryt młodej dziewczyny. Czasami, mimo naszych starań, potrafi przemknąć się obok nas nie zauważona. Dzisiaj w nocy także myślałam, że śpi sobie bezpiecznie.

Na długą chwilę rozmowa zamarła. Odległy grzmot przerwał ciszę, lecz nie zabrzmiał natrętnie. Claire skrzyżowała ręce i podniosła oczy na Cassidy'ego, by przekonać się, że nadal przygląda się jej z tą samą natarczywą uwagą. Jego wzrok niepokoił ją z wielu przyczyn, i pomyślała, czy on tak samo odbiera spokój i ciszę jak ona.

- Dlaczego zawsze mi się wydaje, że patrzy pan na mnie jakby przez szkło powiększające? - zapytała z urazą.

- Czy to zaproszenie do bliższej inspekcji?

- Nie sądzę, abym była warta takiego zainteresowania.

- Jesteś zagadką.

- Moje życie jest otwartą księgą.

- Nie sądzę, Claire. Od ciebie udało mi się wydobyć zaledwie kilka okruchów informacji. Okłamywałaś mnie na każdym kroku.

- Dzisiaj w nocy chciałam pojechać po matkę - powiedziała znużonym głosem. - Po co miałam o tym wspominać?

- Skłamałaś na temat swojego dzieciństwa, każąc mi wierzyć, że było cudowne.

A któż jest całkowicie szczerzy wspominając własne dzieciństwo?

- I skłamałaś mówiąc, że nigdy nie byłaś aresztowana. Zdobyła się na gorzki uśmiech.
 - Jest pan bardzo dokładny, prawda?
 - Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałaś, żebym nigdy nie lekceważył twojej inteligencji. Mnie również nie oceniaj nigdy zbyt nisko. - Ujął palcami jej brodę i pochylił się nad twarzą. - Opowiedz mi o tym, Claire.
 - Jestem pewna, że pan już wie. Znieważyłam policjanta.
 - Odstąpiono od oskarżenia.
 - Miałam wtedy zaledwie czternaście lat.
 - O co chodziło?
 - Nie ma tego w protokołach?
 - Chciałbym usłyszeć twoją wersję. Wzięła głęboki oddech.
 - Moja przyjaciółka ze szkoły zatrzymała się u mnie.
 - Ukrywałaś ją. Ona uciekła.
 - Tak - powiedziała ostro. - Ukrywałam ją. Kiedy przyszedł policjant, aby ją zabrać do domu, dostałam hysterii. Próbował założyć jej kajdanki, ja natomiast robiłam wszystko, żeby mu przeszkodzić.
 - Dlaczego ją ukrywałaś? Nawet kiedy straszono cię więzieniem, nie chciałaś powiedzieć policji, z jakiego powodu twoja przyjaciółka ukrywała się w twoim domu.
 - Przyrzekłam jej, że nie powiem. Ale od tamtej pory minęło wiele lat i... - Zrobiła dłońmi nieokreślony gest, który miał oznaczać, że sprawa przestała być ważna. - Jej ojczym molestował ją seksualnie. Gwałcił ją w najrozmaitszy sposób każdej nocy, kiedy matka była zajęta czymś innym i nie podejrzewała nawet, że coś podobnego mogłoby się w ogóle wydarzyć.
- Mruczając pod nosem przekleństwa, Cassidy przesunął dłonią po swojej twarzy.
- Aż w końcu doszła do wniosku, że dłużej tego nie zniesie. Nie miała do kogo zwrócić się o pomoc. Bała się opowiedzieć o wszystkim zakonnikom albo księdzu, sądząc, że jej nie uwierzą. No i bała się odwetu ze strony ojczyma. Kiedy mnie się zwierzyła, zaproponowałam jej kryjówkę u siebie na tak długo, jak długo będzie pragnęła pozostać w ukryciu. Claire na moment zapatrzyła się w przestrzeń przed sobą, przywołując w pamięci wściekłość, jaka ją ogarnęła wówczas, gdy jej działanie okazało się bezskuteczne.
 - Po dwóch tygodniach od powrotu do domu uciekła ponownie. Zapewne opuściła miasto. Nikt o niej więcej nie słyszał.

- Mogłaś oszczędzić sobie policyjnego protokołu i wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodziło.
- Nic dobrego by z tego nie wynikło - zauważyła pogardliwie. - Jej ojczym był milionerem. Mieszkali w okazałym domu w Garden District. Jeśliby nawet ktoś jej uwierzył, i tak zatuszowano by całą sprawę, a ją odesłano pod opiekuńcze skrzydła ojczyma. Poza tym przecież obiecałam jej milczenie. - Potrząsnęła głową. - Konsekwencje, jakie mnie spotkały, w najmniejszym nawet stopniu nie mogły się równać z tym, przez co ona przeszła, panie Cassidy. - Co możesz powiedzieć o André Philippim? Spojrzała na niego wyzywająco.
- A co chce pan wiedzieć?
- Oboje uczyliście się w Akademii Najświętszego Serca.
- Od klasy siódmej do dwunastej - powiedziała. - Siostra Anne Elizabeth była matką przełożoną. - Podniosła głowę; jej włosy rozsypały się na ramionach. Czy obciąża mnie to, że byliśmy uczniami tej samej klasy?
- Opowiedz mi o nim - odrzekł, ignorując docinek. - To taki zabawny mały człowieczek. Wyraz jej twarzy zmienił się natychmiast, a w głosie pojawiła się twarda nuta.
- Przypuszczam, że tylko ktoś taki jak pan - typ atletycznego macho - mógłby pomyśleć, iż André jest zabawny.
- Nie miałem na myśli niczego złego.
- Czyżby?
- Czy on jest homoseksualistą?
- Czy to istotne?
- Jeszcze nie wiem. Jest?
- Nie, przeciwnie, jak uczeń kocha się w Yasmine.
- Ale z nikim nie jest związany intymnie, ani z mężczyzną, ani z kobietą?
- Nic mi o tym nie wiadomo. Mieszka samotnie.
- Wiem.
- Spodziewam się.
- Mam o nim wszystkie dostępne informacje - powiedział. - Mam dane na temat wszystkich pracowników hotelu „Fairmont”, nawet tych, którzy tamtej nocy nie pełnili służby.
- Więc może i mojej skromnej osobie poświęcił pan nieco miejsca w swoich aktach?
- Nawet sporo.
- To mi pochlebia. Cassidy zmarszczył brwi.

- Nic jednak nie wiem o rodzicach André. Kim oni byli?

- Czy to pytanie ma jakieś racjonalne podstawy?

- Do licha! - powiedział Cassidy. - Nie, nie ma. I czy mogłabyś przestać być taka cholernie oporna?

Po rozważeniu wszystkich za i przeciw Claire uznała, że korzystniej będzie dostarczyć Cassidy'emu informacji na temat André. Gdyby tego nie zrobiła, szukałby ich na własną rękę, a wyglądało na to, że im więcej szukał, tym bardziej niepewna stawała się jej sytuacja.

- W żyłach matki André płynęło nieco murzyńskiej krwi. Była kobietą wyjątkowo piękną, podobną może do Yasmine. Chociaż natura obdarzyła ją niemałą inteligencją, nigdy nie skończyła wyższej uczelni. Zamiast tego rozwijała umiejętności potrzebne w jej profesji. - Która polegała?

- Na dotrzymywaniu towarzystwa mężczyznom. Odpowiednich technik nauczyła się od swojej matki. Zaczęła przyjmować klientów, gdy skończyła piętnaście lat.

- Była prostytutką? To słowo Claire uznała za obraźliwe.

- prostytutki wystają na rogach ulic i nagabują przechodniów. Matka André utrzymywała wielowymiarowe, trwające często wiele lat związki z dżentelmentami, za co ci szczerze ją wynagradzali.

- Czy owi „dżentelmeni” byli biali?

- Przeważnie.

- I jeden z nich został ojcem André?

- Zgadza się. Ojciec André był znanym biznesmenem, który choć nie mógł przyznać się do dziecka, to jednak zawsze czuł się za nie odpowiedzialny.

- Znasz jego nazwisko?

- André nigdy mi go nie zdradził.

- Nie powiedziałaabyś mi, nawet gdybyś je знаła.

- Nie. Nie powiedziałaabym. Cassidy myślał nad tym przez moment.

- André mógł chodzić do najlepszych szkół, ponieważ miał zamożnego ojca.

- Tak, ale jego miejsce zawsze było gdzieś z boku. Inne dzieci ciągle przypominały mu, kim jest jego *mamon*, i szydziły z niego. Mnie również uważano za odmieńca, ponieważ nie miałam normalnej rodziny. Nic więc dziwnego, że między mną i André nawiązała się przyjaźń. Jego matka była mu bardzo oddana i on jej także. Przekazała mu doskonałą wiedzę na temat

potraw, win, nauczyła go etykiety, a także jak się stosownie ubrać i jak odróżnić prawdziwą jakość od tandety, czy to chodziło o biżuterię, bieliznę, czy też o antyczne meble. Zanim jego ojciec podarował jej dom, często zabierała André ze sobą, kiedy szła na spotkania z mężczyznami. Czekał na nią w hallach luksusowych hoteli, dokąd nie wpuszczano kolorowych aż do początku lat sześćdziesiątych. Być może właśnie dlatego zakochał się w hotelach. Uważał je za miejsca wspanialsze i bardziej święte niż katedry, ponieważ nie każdy mógł z nich korzystać. Marzył o kierowaniu jednym z nich. - Nieobecny głos dodał: - Cieszę się, że jego marzenia się spełniły.

- Jego matka nadal ma swoją klientelę? - zapytał Cassidy.

- Nie, panie Cassidy. Odebrała sobie życie. André, wróciwszy pewnego dnia ze szkoły, znalazł ją w wannie z podciętymi żyłami.

- Chryste!

- Jeśli nie jest pan przygotowany na smród, nie powinien pan grzebać w przeszłości.

Gniewnie zmarszczył brwi.

- Myślisz, że mnie to bawi?

- Jeśli nie, to po co uparcie wyszukuje pan najmroczniejsze strony ludzkiego życia?

- To najmniej przyjemny aspekt mojej pracy, Claire, ale przeważnie na tym ona polega.

- Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie - powiedziała niespodziewanie.

- Słucham.

- Czy powinien pan zwracać się do mnie po imieniu? Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. W końcu to on odwrócił się od niej.

- Nie, nie powinienem.

- Więc dlaczego...?

Wolno odwrócił się z powrotem. Teraz jego oczy zdawały się dotykać jej, dotykać jej wszędzie jednocześnie.

- Jesteś kłamczuchą, Claire, ale nie jesteś głupia - powiedział ochryplym głosem. - Wiesz, dlaczego.

Wytrzymała to spojrzenie, aż jakiś ciężar w jej piersiach stał się nie do zniesienia. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby przestała na niego patrzeć, ale na to i tak nie potrafiła się zdobyć. Czowała się z nim związana, jakby połączona niewidocznymi pętami.

Kiedy się w końcu poruszył, drgnęła odruchowo. Lecz on podniósł jedynie dłoń, by rozetrzeć kark, jak gdyby bolały go mięśnie.

- Wróćmy do André. Tamtej nocy zadzwonił i powiedział, że twoja matka jest w jego hotelu. Skinęła głową. Jej serce nadal było przyspieszonym rytmem. Bała się, że nie zdoła wydobyć z siebie głosu.
 - Pojechałaś, aby ją stamtąd zabrać?
 - Tak.
 - Sama?
 - Tak. Moim samochodem.
 - O której to było?
 - Nie jestem pewna.
 - Claire!
 - Nie wiem! - krzyknęła, potrząsając niecierpliwie głową. - To było po występie Wilde'a. Powstrzymał się od wybuchu złości, co, jak dostrzegła, nie przyszło mu łatwo.
 - W takim razie podaj czas przynajmniej w przybliżeniu.
 - Może północ, ale nie później.
 - Jak Mary Catherine zdołała wymknąć się stąd bez twojej wiedzy?
 - Mówiłam już, że potrafi być bardzo pomysłowa. Zeszła po schodach, otworzyła zamki, odciągnęła zasuwę i zanim otworzyła drzwi, wyłączyła alarm.
 - Czy możliwe, aby była aż tak zaradna w czasie jednego ze swoich najgorszych stanów? Postępować tak zadziwiająco precyzyjnie?
- Claire uciekła wzrokiem gdzieś w bok.
- Czasami.
 - W porządku. Więc pojechałaś do hotelu „Fairmont”.
 - Nieprawidłowo zaparkowałam samochód po przeciwnej stronie ulicy. Wiedziałam, że wewnątrz nie zabawię długo, i nie zabawiłam. Poszłam do biura André, on przekazał mi matkę i we dwie opuściłyśmy hotel. Prawdopodobnie nie trwało to dłużej niż trzy minuty.
 - Czy widział cię ktoś jeszcze? Jakiś inny pracownik hotelu?
 - Nie wiem.
- Wsunął ręce do kieszeni i spojrzał w kierunku zalanych deszczem okien. Claire, mimo że czuła się przyparta do muru, zauważyła, że miał bardzo męski profil i równie męską sylwetkę.

- Tamtej nocy widziałas Wilde'a pod Wielką Kopułą. Potem byłaś w hotelu, gdzie znaleziono go zamordowanego. I usiłowałaś zachować to wszystko w sekrecie.

- Ile razy mam wyjaśniać? Chciałam uchronić moją matkę

140

przed plotkami i spekulacjami. Czy to naprawdę tak trudno zrozumieć?

- Przebywałaś wyłącznie na parterze hotelu?

- Tak.

- Nie zapędziłaś się na żadne piętro ani w inny rejon poza hallem i biurem André?

- Nie.

- Nie użyłaś windy?

- Nie.

Odwrócił się i oparł dłońmi na wyściełanym boku sofy po obu stronach jej bioder. Pochyliwszy się nad nią zapytał:

- Wobec tego, do diabła, dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? Dlaczego kłamałaś, skoro wszystko wyglądało tak bardzo niewinnie, jak to przedstawiłaś?

- Bo i tak znalazłam się wśród podejrzanych. Moje nazwisko było na czarnej liście Wilde'a, a wy zdawaliście się uważać to za bardzo istotne. Mieliście teczkę z wycinkami, których w bardzo głupi sposób starałam się pozbyć. Już te dwie rzeczy przemawiały przeciwko mnie. Nie chciałam dodawać do nich następnej.

- Pojechałaś do hotelu „Fairmont” wyłącznie po to, by zabrać stamtąd swoją matkę?

- Podobnie jak dzisiaj.

- A gdy już się tam znalazłaś, czy nie poprosiłaś swego starego kumpla André Philippiego, żeby pomógł ci dostać się do apartamentu Wilde'a?

- Czyż Wilde leżałby nagi w łóżku i spokojnie rozmawiał ze mną, z osobą całkowicie mu obcą?

- Skąd wiesz, że leżał nago?

- Z gazet, które codziennie przez miesiąc powtarzały, że znaleziono go nagiego w łóżku. Poza tym, gdybym nawet była zmuszona zabić Wilde'a, nigdy w życiu nie poprosiłabym nikogo o pomoc.

- Cholera, nie wiem! - wykrzyknął.

Najwyraźniej poruszony, zwiesił głowę. Był tak blisko, że czuła zapach deszczu w jego włosach i na skórze.

Wargami niemal dotykała skroni, na której pulsowała cienka żyłka.

W końcu uniósł głowę i zajrzał badawczo w jej oczy.

- To wszystko tak cholernie dobrze do siebie pasuje. Miałaś motyw. Miałaś sposobność. Miałaś nawet wewnątrz osobę, która mogła ci pomóc to zrobić. Claire, musisz przyznać, że z mojego punktu widzenia trudno byłoby cię uznać za osobę niewinną.

- Skąd więc ta smutna mina? Oto znalazł się wreszcie podejrzany. Przecież to dla pana powinien być powód do zadowolenia. Coś nie tak?

Wolnym, w pełni świadomym ruchem położył dłonie na jej ramionach. Przyciągnął ją do siebie, aż stanęła wyprostowana niebezpiecznie blisko niego.

- Coś nie tak? - powtórzył. - Myślę, że znalazłem zabójcę. -Zatopił palce w jej włosach. - Ale nie chciałem, abyś to była ty.

Naraz jego usta dotknęły jej warg. Zanim Claire otrząsnęła się z pierwszego szoku, uniósł nieco głowę i pogłębił pocałunek. Kiedy jego język rozdzielił jej wargi, wydała z siebie mimowolny jęk. Wściekle podniecony, całował ją jak władca, w sposób opanowany, nie znoszący oporu, choć zrazu była zbyt oszołomiona, by go powstrzymać, a już po kilku sekundach - zbyt zatopiona w pocałunku, by próbować.

Opuścił ręce, objął ją w pasie i przyciągnął mocniej do siebie. Poczowała na sobie jego twardość. Pożądanie rozkwitło w niej jak pąk wiosennego kwiatu.

- O Boże - wymamrotał, skrywając twarz w zagłębieniu jej szyi. Z wprawą rozpiął guziki jej bluzki. Odpiął klamerkę przy biustonoszu, po czym wsunął dłonie w luźne miseczki.

Znowu ją pocałował, tym razem bardziej dziko, bardziej zachłannie. Claire uczepiła się jego koszuli, by nie upaść - nie tylko dlatego, że była wygięta w tył pod niebezpiecznie ostrym kątem, ale także dlatego, że od jego pocałunku i dotknięć kręciło jej się w głowie.

Wnikał językiem w jej usta, jakby w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania, które go dręczyły. Ich ciała były rozpalone, jedno równie gorące jak drugie. Jej piersi pod pieścizną jego dłoni stały się pełne i twarde, a ich czubki sterczące i wrażliwe. Intensywność własnej reakcji przeraziła Claire. Miała wrażenie, że traci nad sobą kontrolę z szybkością żarłocznych płomieni trawiących wiązkę suchego chrustu. Już za chwilę mogła całkowicie przestać nad sobą panować, a tego obawiała się najbardziej. Przez całe jej życie przedstawiciele władzy starali się ją przekonać, co jest dla niej najlepsze. Musiała się bronić.

- Dostyć! - Odwróciła głowę i odtrąciła jego ręce. - To była niezła zagrywka, ale nie uda się panu w ten sposób wydobyć ze mnie przyznania się do winy.

Uwolnił ją natychmiast i cofnął się o krok. Zacisnął pięści. Oddychał ciężko, a kiedy się odezwał, jego głos był zachrypnięty i nierówny.

- Wiesz cholernie dobrze, że nie dlatego cię pocałowałem.

- Czyżby? - zapytała wyzywająco.

Bez słowa obrócił się na pięcie i odszedł. Z wieszaka zdjął swój nieprzemakalny płaszcz, a następnie silnym szarpnięciem otworzył drzwi. Światło z korytarza wyraźnie obrysowało jego sylwetkę.

Przez kilka chwil patrzyli na siebie poprzez mrok, potem on minął drzwi i zatrzasnął je za sobą.

Claire osunęła się na sofę. Ukrywszy twarz w dłoniach, zaczęła pojękiwać z żalu, czując wyrzuty sumienia, za które siostra Anne Elizabeth byłaby z niej dumna. - Mój Boże, nie. Nie.

Chętnie, wręcz ekstatycznie całowała mężczyznę, który mógł - i prawdopodobnie chciał - umieścić ją na resztę życia w więzieniu.

Stała w drzwiach ubrana w luźną bawełnianą koszulkę i wzorzyste getry.

- Cassidy - powiedziała bez śladu zdziwienia. - Drzwi ci się zatrzasnęły? - Zerknęła w kierunku korytarza, który oddzielał ich mieszkania, licząc, że znajdzie tam wyjaśnienie, dlaczego pojawił się u niej w środku nocy.

- Nie. Po prostu zobaczyłem, że u ciebie pali się jeszcze światło - oświadczył, jakby to tłumaczyło wszystko.

- Wejdz. - Patty-Penny-Peggy odsunęła się na bok, by zrobić mu przejście. Na pierwszy rzut oka jej mieszkanie przypominało jego własne, było tylko ładniej urządzone i bardziej przytulne. - Fatalna noc, jeśli chodzi o pogodę - zauważyła wskazując na jego płaszcz.

- Myślę, że najgorsze już minęło.

- Usiądź. Masz ochotę na drinka?

- Nie, dzięki.

- Ach. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Mogłabym poczęstować cię trawką, ale pewnie nie masz ochoty, hmm?

- Nie.

- Może jesteś głodny? Jadłeś obiad?

- Nie pamiętam - przyznał uczciwie. - Chyba nie, ale nie jestem głodny.

- Siadaj, proszę. Nastawię muzykę. Czego lubisz słuchać?

- Nie mam specjalnych upodobań. - Zdjął płaszcz i przerzucił go przez oparcie fotela, ale nie usiadł.

Włączyła odtwarzacz kompaktowy; z głośnika popłynęły dźwięki piosenki Randy Travis.

- Lubisz *country*!

- Może być.

Przez moment przyglądała mu się uważnie. W końcu oparła dłonie na biodrach.

- Posłuchaj, Cassidy, cieszę się, że do mnie zajrzałeś, ale teraz jestem w kropce. Powiedz, o co ci chodzi.
- Potrzebuję kobiety. Przyszedłem popieprzyć.

Kilka razy zamrugła powiekami, najwyraźniej zdziwiona. A potem jej twarz rozpromieniła się w szerokim uśmiechu.

- Trzeba było od razu powiedzieć. - Ochoczo ruszyła w kierunku sypialni.

Cassidy podążył za nią.

Rozdział X

Ariel rozwinęła dużego snickersa i wsunęła go do ust. Jej zęby przecięły czekoladową polewę, zmiażdżyły kilka orzeszków ziemnych i zatopiły się w karmelu i nugacie. Po chwili słodka kombinacja smaków stopiła się w jedno i rozlała na języku.

Opakowania po słodyczach zapełniały mały stolik do kawy, stojący tuż przy otomanie. Kiedy Ariel była dzieckiem, rodzinny budżet nie pozwalał na podobne przyjemności. Cieszyła się, jeśli raz na kilka tygodni dostała cukierka. Przez następne lata robiła wszystko, by wynagrodzić sobie te braki z czasów dzieciństwa, i nigdy nie miała dosyć. Wyciągnęła się na otomanie dla czystej przyjemności usłyszenia, zobaczenia i odczucia, jak delikatny jedwab pizamy ślizga się po jej nogach. W lustrzanej ścianie naprzeciwko widziała odbicie kobiety żyjącej w dostatku, otoczonej miłymi przedmiotami, które należały wyłącznie do niej.

Dom, w którym dorastała, był skanalizowany, ale poza tym nie miał absolutnie żadnych udogodnień. W urządzonych po spartańsku, obszernych pomieszczeniach stały tanie meble. Na samo wspomnienie robiło jej się niedobrze. Nigdy nie zapraszała do siebie przyjaciół, ponieważ wstydziła się swego starego, skrzypiącego, brzydkiego domu rodzinnego. Wstydziła się również za ludzi, którzy w nim mieszkali. Jej brat, typ spod ciemnej gwiazdy, był postrachem wszystkich wokół. Rodzice zawsze wydawali się starzy, chociaż teraz uświadamiała sobie, że to zmęczenie dodawało im lat. Mimo wszystko nie wspominała ich życzliwie. Była zadowolona, że już od dawna spoczywali w grobie.

Tak samo raz na zawsze pragnęła pogrzebać swoje wspomnienia o ubóstwie. Lecz kiedykolwiek zaczynała cieszyć się z obecnego życia, owe wspomnienia budziły się w niej, by ją dręczyć, by przypominać jej, kim była, zanim zdała się na łaskę wielebnego Jacksona Wilde'a.

Tamte dni minęły na zawsze, przysięgała sobie, rozglądając się wokół. Każde wolne miejsce pokoju zapełniały dzieła sztuki.

Większość z nich Jackson otrzymał w podarunku od swoich zwolenników. Często sugerował, że powinni pozbyć się części tego zbioru, lecz Ariel nie chciała się na to zgodzić. Nawet gdyby musiała zainstalować dodatkowe półki czy też przechowywać rzeczy na strychu lub pod łóżkiem, zachowałaby wszystko, co wpadło jej w ręce. Posiadanie było dla niej równoznaczne z poczuciem bezpieczeństwa. A tego, obiecała sobie, nie straci już nigdy. Po raz kolejny zapewniając o tym samą siebie, rozwinęła następnego snickersa i pochłonęła go z hedonistyczną radością.

Kiedy wszedł Josh z filiżanką kawy i poranną gazetą, od razu spostrzegł opakowania po słodyczach.

- Czy to jest twoje śniadanie?

- O czym mówisz?

- Z pewnością nie o płatkach owsianych. - Usiadł w fotelu, filiżankę postawił na poręczu i otworzył gazetę. - To cudowne. Nareszcie zniknęliśmy z pierwszej strony.

Patrząc na niego miała niemal wrażenie, że słodycz w jej żołądku zamienia się w gorycz. Ostatnio Josh stał się prawie tak samo zabawny jak trwający czterdzieści lat pomór. Kochali się co noc. W łóżku Josh niezmiennie wykazywał talent, zapal i wrażliwość artysty. Jego palce przebiegały po jej ciele jak po klawiszach fortepianu, z odpowiednią mocą i z wyczuciem.

Teraz jednak okazało się, że przynajmniej połowa przyjemności sypiania z Joshem wynikała z satysfakcji, jaką było przyprawianie rogów Jacksonowi. Odkąd sekret i poczucie winy przestały przydawać pieprzu ich romansowi, nocne kochanie straciło dla niej swój smak. Nawet po orgazmie pragnęła czegoś więcej.

Mimo wszystko nie umiała znaleźć wytłumaczenia dla swego niepokoju i braku satysfakcji. Kruczata w Cincinnati przebiegała wyjątkowo pomyślnie. Nagrano dwa programy telewizyjne, które były w każdej chwili gotowe do emisji. Podczas nagrywania publiczność szczerze wypełniała audytorium.

Ariel śpiewała. Josh grał na fortepianie. Kilkoro zwolenników ze łzami w oczach zapewniało, jak wiele znaczył w ich życiu Jackson Wilde i jego posłannictwo. Potem na podium weszła Ariel i zaczęła swoje rozdzierające serce kazanie. Wiele dni uczyła się go na pamięć. Każde załamane głosu, każdy gest starannie wyreżyserowała i przećwiczyła przed lustrem. Dobrze wykorzystała ten czas. Zanim skończyła, nie było na sali ani jednej osoby z suchymi oczyma, a tace na ofiary wypełniły się po brzegi zielonymi banknotami.

Ci, którzy kilka tygodni wcześniej wyrażali się sceptycznie

o możliwości poprowadzenia przez nią organizacji pozbawionej surowego kierownictwa Jacksona, teraz obdarzali ją komplementami. Udowodniła im, że się mylili. Miała w sobie tyle samo charyzmy i daru przekonywania co jej zmarły mąż. Ludzie tłumnie gromadzili się, by ją zobaczyć, ceniąc sobie każde jej słowo jak drogocenny klejnot. Świat należał teraz do niej.

Dlaczego więc nie była zadowolona?

Po prostu dlatego, że nie osiągnęła jeszcze wszystkiego. Miała setki tysięcy zwolenników, lecz dlaczego nie miliony? Nagle usiadła.

- Ja tak nie uważam. Josh opuścił nieco gazetę.

- Co proszę?

- Nie uważam, iż to tak cholernie dobrze, że zniknęliśmy z pierwszych stron gazet. - Zsunęła nogi z otomany i zaczęła spacerować po pokoju. Nerwowo poprawiła poduszki, zmieniła ustawienie kryształowych wazonów, poprzesuwała figurki porcelanowych pastuszków.

- Może poprawi ci humor to, że na stronie piętnastej w drugiej kolumnie jest reklama naszego programu.

Odwrocił gazetę tak, żeby mogła zobaczyć. Rysunek zamieszczony pod tytułem przedstawiał ją z mikrofonem przy ustach; po jej policzkach toczyły się łzy. Poniżej wydrukowano datę i godzinę nadania programu.

Ariel krytycznie przestudiowała reklamę.

- „Jacksona Wilde'a godzina modlitwy i dziękczynienia” -przeczytała. - Jackson Wilde nie żyje. Dlaczego nie zmieniliśmy nazwy programu?

- Na jaką?

- Dlaczego nie mogłaby brzmieć „Ariel Wilde godzina modlitwy i dziękczynienia”?

- A czemu nie „Godzina modlitwy i dziękczynienia”?

- Dlatego, że ta byłaby za prosta. Poza tym ludzie chętniej utożsamiają się z jakąś indywidualnością.

- Z tobą, jak się domyślam.

- Dlaczego nie? Teraz właśnie ja najwięcej przemawiam. Josh zerknął na nią ponad krawędzią podniesionej do ust filiżanki. - Nazwij ten cholerny *show*, jak ci się podoba, Ariel. Mnie to obojętne.

- Trudno nie zauważyć.

Odrzucił gazetę i gniewnie poderwał się na nogi.

- Co, do diabła, chciałaś przez to powiedzieć?

- A to, że gdyby nie ja, cały ten interes runąłby w gruzy po śmierci Jacksona. Jesteś facetem bez jaj, który nie zapanowałby nad grupą skautów, a cóż dopiero mówić o kościele takim jak ten. Na szczęście masz mnie. Inaczej skończyłbyś grając smętne kawałki na spotkaniach rekolekcyjnych.

- Robiąc to byłbym bardziej szczęśliwy. Przynajmniej nie czułbym się jak sęp rozszarpujący ludzkie zwłoki.

Uniosła brwi. - Skoro jesteś aż tak bardzo nieszczęśliwy, wiesz, gdzie są drzwi.

Josh wytrzeszczył na nią oczy, lecz, tak jak przewidywała, nie podjął wyzwania. Zasiadł do fortepianu i po kilku akordach wstępu zaczął grać jakiś klasyczny utwór z całą werwą i śmiałością, jakich brakowało mu w trudnych sytuacjach. Kiedy się w końcu uspokoił, podniósł oczy znad klawiatury i powiedział:

- Wiesz, co w tym wszystkim jest naprawdę żalosne? Nawet sobie nie uświadamiasz, jakim jesteś pośmiewiskiem.

- Pośmiewiskiem? - powtórzyła z urazą w głosie. - Dla kogo?

- Dla wszystkich wewnątrz organizacji. Zaślepia cię twoja chorobliwa zarozumiałość. Ludzie śmieją się za twoimi plecami. Jak myślisz, dlaczego dwóch członków Rady już zrezygnowało?

- Bo nie mogli ścierpieć, że kobieta gra pierwsze skrzypce. Uraziłam ich męską dumę. Zresztą gwizdzą na nich. Nie potrzebujemy ich.

- Organizacja, którą rzekomo utrzymujesz w jedności, rozpada się, Ariel. Za bardzo jesteś zapatrzona w siebie, żeby to dostrzec. - Długim i szybkim pasażem zakończył utwór, a potem rozpoczął następny. - Ojciec pewnie siedzi gdzieś tam w niebie i nieźle się z nas śmieje.

- Chyba zwariowałaś.

Uśmiechnął się do niej ze zrozumieniem.

- Ciągłe boisz się go, prawda, Ariel?

- To ty się boisz.

- Owszem, ja się przyznaję - powiedział. - A ty - nie.

- Nie boję się niczego ani nikogo.

- On nadal trzyma cię w garści.

- Jak wszyscy diabli.

- Dlaczego więc jesz jak drwal, a potem chodzisz wszystko

wyrzygać? - zapytał, odgrywając *fortissimo* końcowe akordy kompozycji. Ariel straciła nieco na pewności siebie.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Ależ tak. Wiesz doskonale, o czym mówię. Robisz to od wielu miesięcy. Jak tylko się najesz, zaraz biegniesz do łazienki. Najpierw zapychasz się do oporu słodyczami, potem zmuszasz do rzygania. To jest choroba. Bulimia. Przewróciła oczami.

- Kim ty jesteś, lekarzem? Ja po prostu kontroluję swoją wagę. Kamery telewizyjne dodają człowiekowi co najmniej dziesięć kilogramów. Nie chcę wyglądać jak wieloryb, kiedy schodzę z tych potwornych schodów.

Wyciągnął dłoń, pochwycił jej nadgarstek i wykręcił go tak, że mogła zobaczyć, jak jego długie palce zachodzą na siebie.

- Daj spokój, Ariel. Nie musisz mnie oszukiwać. Opychasz się, a później wywołujesz u siebie wymioty.

Wyszarpnęła rękę.

- A jeśli nawet, to co z tego? Jackson niemal bez przerwy dokuczał mi z powodu mojej wagi. Musiałam jakoś temu zaradzić.

- Pewnie myślisz, że on cię nie przejrzał? - zapytał Josh, uśmiechając się ponuro. - Był mistrzem w polowaniu na ludzkie słabości, żerował na nich. Ustawicznie napomykał, że moja matka jest głupia, aż w końcu sama zaczęła w to wierzyć. Przez ostatnie lata swojego życia bała się sformułować jakąkolwiek opinię, żeby nie narazić się na szyderstwa. Znasz jego numer ze mną. Przy każdej okazji starał się mi wmówić, że nie mam talentu muzycznego, jakiego pragnąłem. Na każdym kroku powtarzał, że nadaję się tylko do grania muzyki gospel, ale i w tym jestem mierny. W twoim wypadku chodziło o wagę. Wiedział, że to jest twoje czułe miejsce, i wiedział, jak cię poniżyć. Działał jak przebiegły szatan, Ariel. Był tak subtelny, że nie dostrzegając, jak tobą manipuluje. W końcu uświadomiłaś sobie, że nawet we własnych oczach znaczysz tyle co kawałek gówna. Powinnaś była ignorować go, kiedy drwił z twojej „tuszy kobiety ciężarnej” i nadmiernego apetytu na słodkie. Zawsze byłaś wystarczająco szczupła. Teraz jesteś na granicy wycieńczenia. Poza tym, jak dopiero co zauważyłaś, on nie żyje. Nie może już cię więcej zadreć.

- Ma ciebie, abyś to robił za niego. Josh pokiwał głową z rezygnacją.

- Źle oceniasz moje intencje, Ariel. Wcale nie próbuję być krytyczny. Po prostu martwię się o twoje zdrowie. Ja...

- Daj spokój, Josh, mam pewien pomysł. - Mocno chwyciła go za rękę, burząc harmonię ostatniego akordu.

Wyszarpnęła dłonie.

- Ty suko! Jeśli kiedykolwiek...

- Och, przestań. Nic się przecież nie stało twoim drogocennym ręką. Posłuchaj, powiedziałaś, że przestaliśmy być tematem na pierwsze strony gazet. Masz rację. Musimy teraz zrobić coś, żeby to zmienić.

Poruszał na próbę palcami.

- Co masz na myśli? - mruknął.

- Od powrotu z Cincinnati zaszyliśmy się tutaj w Nashville z dala od ludzkich oczu i umysłów. Nadeszła pora, żeby znowu było o nas głośno. Sami musimy się postarać, by stworzyć nagłówki w gazetach. Powinno stać się jasne dla gliniarzy w Nowym Orleanie, że pogrążeni w głębokiej żałobie żona i syn nie zapomnieli, iż Jackson Wilde został zamordowany z zimną krwią.

- Jesteś przekonana, że przypominanie im o tym jest takim wspaniałym pomysłem?

- Jackson miał legiony wrogów. - Wsunął palec, przytknęła go sobie do ust. - A w szczególności jednego w Nowym Orleanie.

- Powiedz, o co tu chodzi.

Cassidy był w kiepskim nastroju. Również spotkanie z detektywem Howardem Glennem nie poprawiło mu humoru.

Następnego dnia po tym, jak towarzyszył Claire do hotelu „Ponchartrain”, aby zabrać stamtąd Mary Catherine, zrelacjonował Glennowi wszystko, co się wówczas wydarzyło. Nie wspomniał, rzecz jasna, o pocałunku.

- A więc nie zaprzeczyła, że to jej głos został nagrany na taśmę? - zapytał wtedy Glenn.

- Nie, ponieważ miała istotny powód, aby znaleźć się tamtej nocy w hotelu „Fairmont”.

- Który polegał na sprzątnięciu karnodziei.

- Albo na odebraniu matki, jak twierdzi. - Glenn spojrzał na niego sceptycznie. - Wierz mi, Glenn, one nie mogły wczoraj tego wszystkiego odegrać. Zaburzenia psychiczne Mary Catherine są faktem, a Cl... panna Laurent ochrania ją jak niedźwiedzica swoje małe.

Potem opowiedział o stosunkach łączących Claire z André Philippim.

- Przyjaźnią się od dzieciństwa. Tym można wytłumaczyć,

dlaczego kłamał. Lojalność wobec niej nakazywała mu bronić jej prywatności.

Glenn rozejrzył się w poszukiwaniu czegoś, w czym mógłby zdusić niedopałek papierosa. Cassidy podał mu styropianowy kubek po kawie.

- Do licha - powiedział Glenn, gasząc niedopałek - im głębiej w tym kopie, tym bardziej interesujące to się staje.

- Ale musimy kopać z finezją.

- To znaczy?

- Ja również chciałbym się dokopać do dna. Może w tym coś jest, może nie, w każdym razie niczego nie wydobędziesz od takiej kobiety, jaką jest Claire, smrodząc camelami i przeklinając. Nadal uważam, że najlepiej będzie, jeśli zostawisz ją mnie.

- Co takiego?

- Ona uważa, że jesteś odrażający.

Glenn wygodniej usadowił się na krześle, założył nogę na nogę.

- A jak znajduje ciebie, Cassidy?

- Sugerujesz coś? - rzucił gniewnie, ciskając długopisem w blat biurka.

Glenn podniósł obie ręce w pojednawczym geście.

- Gdzieżbym śmiał. Po prostu nie mogę się powstrzymać, by nie zauważyć, że niezła z niej cizia. A i ty nie jesteś trollem. Wziąwszy to wszystko pod rozwagę...

- Wziąwszy to wszystko pod rozwagę - Cassidy przerwał mu stanowczym głosem - zamierzam doprowadzić do skazania mordercy Jacksona Wilde'a bez względu na to, kim jest.

- Wobec tego nie ma powodu, abyś był taki przewrażliwiony, prawda?

Od tamtej pory ich rozmowy przybrały charakter ściśle służbowy. Cassidy wyrzucał sobie, że dał się złapać Glennowi na przynętę. Przyczyną tego był po prostu fakt, że detektyw trafił w jego czuły punkt, budząc wyrzuty sumienia. W dodatku Glenn zdawał się tego świadomy. Co prawda nie poruszał więcej kwestii wewnętrznego konfliktu interesów, ale Cassidy nie łudził się, że zapomniał o ich rozmowie. Tego ranka Glenn zajął się rozwiązywaniem łamigłówki. Wkroczył do biura Cassidy'ego i na jego biurku rozłożył parę komputerowych wydruków zawierających tysiące nazwisk, z których kilka było zakreślonych czerwonym flamastrem. Cassidy na chybił trafił wycelował palcem w jedno z nich. - Kim jest ten Darby Moss?

- Na pewno nikim, kogo znałeś - powiedział Glenn. - Wieki

temu, kiedy jeszcze nie śnił mi się nawet wydział kryminalny, aresztowałem go za pobicie. Dość dokładnie obił jakąś prostytutkę. Kobieta odchorowała to w szpitalu. Moss wynajął pewnego kurewsko sprytnego adwokata z Dallas - swego rodzinnego miasta - dzięki któremu oskarżenie upadło. Dostałem nieźle po dupie. Kiedy więc nazwisko Mossa pojawiło się na tej liście, postanowiłem odświeżyć dawną znajomość. Pojechałem na weekend do Dallas, gdzie zastałem starego Darby'ego w doskonałej kondycji, i to pod każdym względem. Wystarczy powiedzieć, że jest właścicielem trzech księgarni z wydawnictwami dla dorosłych.

Cassidy zmarszczył brwi.

- Coś takiego.

- No, prawdziwy raj dla miłośników trzepania kapucyna. Skończona perwersja. Oprócz tego sprzedaje masturbatory, nadmuchiwane cipy i wszystkie tego typu gówna. Interesujące, nie? Kiedy wróciłem, zasiadłem do komputera, i co się okazało? Właściciele tych zakreślonych na czerwono nazwisk w taki czy inny sposób zajmują się tym, z czym tak zaciekle walczył Wilde.

- Jaki stąd wniosek? Że płacili mu, a on w zamian przestawał ich kasać?

- Na to wygląda. Ale jest jeszcze coś. - Glenn odszukał na wydruku inne nazwisko, także zakreślone na czerwono. - Tutaj.

- Gloria Jean Reynolds.

Z' zadowoloną miną detektyw wyciągnął z kieszeni mocno przybrudzonej białej koszuli kartkę z notesu i wręczył ją Cassi-dy'emu.

Ten po cichu odczytał z niej imię i nazwisko, potem zerknął pytająco na Glenna, który wzruszył wymownie ramionami. Zadzwoił telefon. Cassidy szybko podniósł słuchawkę.

- Cassidy }

- Panie Cassidy, tu Claire Laurent.

W jednej chwili poczuł skurcz żołądka. Jej miękki, aksamitny głos był ostatnim, jaki spodziewał się usłyszeć. Myślał o niej bez przerwy, ale jego wyobraźni bynajmniej nie pobudzała kwestia udowodnienia jej morderstwa.

Burzliwe chwile z sąsiadką przyniosły mu tylko krótkotrwałą ulgę. Kiedy opuścił jej mieszkanie, nadal nie bardzo wiedział, jakie nosiła imię, co pozostawiło mu pewnego rodzaju niesmak. Wykorzystał ją w najgorszy sposób, w jaki mężczyzna może wykorzystać kobietę. Rozgrzeszała go jedynie świadomość, że ona również otrzymała od niego to, czego pragnęła - i o co się prosiła przy wielu okazjach.

- Witam - powiedział z udawaną swobodą.
- Jak szybko może pan być u mnie? Zdziwił się. Czyżby miała zamiar przyznać się?
- We Francuskim Jedwabiu? A w czym rzecz?
- To się wyjaśni, kiedy pan przyjedzie. Proszę się pospieszyć. Nie czekając na jego dalsze pytania, rozłączyła się. Przez chwilę przyglądał się ciekawie odłożonej słuchawce.
- Kto dzwonił? - zapytał Glenn, zapalając papierosa.
- Claire Laurent.

Detektyw zmrużył oczy i przez chmurę dymu spojrzął na Cassidy'ego.

- Nie zalewasz?
- Nie zalewam. Zobaczymy się później.

Cassidy włożył płaszcz i pospiesznie opuścił biuro. Zdążył dopaść windy, zanim drzwi się zamknęły. Zganił sam siebie za pośpiech, ale zaraz przypomniał sobie ton głosu Claire, który chociaż jak zawsze niski i przyciszony, to jednak tym razem był jakiś inny. Brzmiała w nim irytacja? Strach? Ponaglenie?

Minutę później mknął już samochodem w stronę francuskiej dzielnicy, wprawnie wyprzedzając wolniejsze pojazdy. Zanim jeszcze dojechał do Francuskiego Jedwabiu, już stwierdził, jaki był powód telefonu Claire. Przed budynkiem zgromadziło się co najmniej dwieście osób. Wiele z nich trzymało w rękach transparenty, dzięki którym zorientował się, kto był organizatorem tej pikiety.

- Cholera! - Zaparkował nieprawidłowo, przecisnął się przez wianuszek gapiów, aż w końcu zatrzymał się przed policjantem. - Cassidy, biuro prokuratora okręgowego - powiedział, wyciągając kartę identyfikacyjną. - Dlaczego spokojnie na to patrzycie? - Mają pozwolenie.
- Co za idiota je wydał?
- Sędzia Harris.

Cassidy jęknął w duchu. Harris miał skrajnie konserwatywne poglądy i był zagorzałym fanem Jacksona Wilde'a. W dodatku zaczynał prawdopodobnie zabiegać o wyborców.

Policjant wskazał palcem na tabliczkę trzymaną w górze przez kobietę o wyglądzie typowej babci.

- Czy ten katalog rzeczywiście jest taki podniecający? Może powinienem postarać się o egzemplarz dla mojej staruszki. Moglibyśmy coś z niego wykorzystać, żeby podrajcować nasze życie seksualne. Jak pan uważa?

Cassidy zignorował jego pytanie.

- Jak długo oni tutaj są?

- Chyba z godzinę. Dopóki będzie porządek, niech sobie pikietują. Żeby tylko jeszcze chcieli zaśpiewać jakąś inną pieśń.

Od przybycia Cassidy'ego protestujący już trzy razy odśpiewali chórem „Naprzód, rycerze Chrystusa”. Ich zapał wzmagala z pewnością obecność dziennikarzy i reporterskich kamer. Wszystkie miejscowe stacje telewizyjne przysłały swoich przedstawicieli.

Cassidy przedarł się przez rzędy protestujących współwyznawców Wilde'a, dotarł do bocznych drzwi w budynku Francuskiego Jedwabiu i nacisnął dzwonek.

- Ostrzegałam już wcześniej, żeby nie zbliżać się więcej do tych cholernych drzwi!

- Tu Cassidy z biura prokuratora okręgowego. Panna Laurent mnie wezwała.

Otworzyła mu kobieta, którą widział tu już wcześniej. Miał wrażenie, że stoi przed nim góra mięśni drżących z oburzenia. Spod zmrużonych powiek patrzyły na niego wrogie oczy.

- Wszystko w porządku - zza pleców wytatuowanej amazonki dobiegł głos Claire.

Kobieta ustąpiła mu z drogi.

- Dzięki - powiedział wchodząc.

Mruknęła coś pod nosem i zamknęła za nim drzwi.

Claire wyglądała pięknie, choć inaczej niż zwykle. Zginęła gdzieś jej' chłodna rezerwa. W jej błyszczących oczach koloru whisky widać było irytację, policzki miała zarumienione. Była najwyraźniej zdenerwowana, ale rozwichrzone włosy i mniej staranny niż zwykle strój sprawiły, że wydawała się bardziej seksowna, ekscytująca, bardziej pociągająca niż kiedykolwiek przedtem.

- Niech pan coś zrobi, panie Cassidy - zażądała. - Cokolwiek, byleby tylko sobie stąd poszli.

- Obawiam się, że nie mogę nic zrobić. Mają zezwolenie. Musisz to po prostu przeczekać.

Wyciągnęła ramię w kierunku drzwi.

- Korzystając ze swego prawa, gwałcą moje prawo do prywatności.

- Uspokój się. Jedna demonstracja jeszcze nie zaszkodzi twoim interesom.

- Nie martwię się o swoje interesy - odrzekła gniewnie. - Nie widział pan telewizyjnych kamer? W tej chwili mamy za darmo reklamę. Gorzej wygląda sprawa z Bienville House - powiedziała, wskazując hotel po drugiej stronie ulicy.

- Samochody

z dostawami nie mogą do niego podjechać. Goście narzekają. A dyrektor, z którym przyjaźnię się od lat, dzwonił już dwa razy, słusznie żądając, abym położyła kres temu szaleństwu. Jednak najbardziej niepokoję się o moje pracownice. Kiedy po pierwszej zmianie próbowały udać się do domów, zostały wygwizdane i obrzucone wyzwiskami. To wtedy pana wezwałam. Nie chcę, żeby ludzie, których zatrudniam, narażeni byli na coś takiego.

- Przykro mi, Claire. Zawdzięczasz to Ariel Wilde.

- Ariel Wilde i panu.

- Mnie? - zapytał zdumiony. - Jak możesz mnie o to obwiniać?

- Nigdy wcześniej nikt nie pikietował mojego domu, panie Cassidy.

- Posłuchaj, Claire, mnie to się tak samo nie podoba jak tobie - powiedział, lekko nachylając się nad jej twarzą. - Ariel chce sprawić, żeby ludzie z policji i prokuratury wyglądali na zgraję błaznów. W ten sposób pragnie zwrócić uwagę opinii publicznej, że nie zakończyliśmy dotychczas sprawy o zamordowanie jej męża. W istocie chodzi jej raczej o darmowy dostęp do publiczności i wybrała sobie taki sposób, aby to osiągnąć.

- Niech ma całą tę publiczność, której tak bardzo pragnie. Nie dbam o to. Proszę mnie tylko uwolnić od tych ludzi pod moimi oknami. Nie chcę być zamieszana...

- Ale już tkwisz w tym po uszy.

- Ponieważ za bardzo myślał pan dookoła mnie! - wykrzyknęła Claire.

- Nie, ponieważ od samego początku kłamałaś.

- Jedynie po to, by ochronić siebie, moich przyjaciół i moją rodzinę przed pańskim wścibstwem.

- Ja tylko wykonuję swój zawód.

- Czyżby?

Cóż mógł jej na to odpowiedzieć, skoro faktem było, że jego obowiązki zawodowe nie przewidywały całowania podejrzanych w trakcie przesłuchania? A on to właśnie zrobił, gdy widzieli się ostatnim razem. Miał wrażenie, że ona również sobie o tym przypominała. Pospiesznie cofnęła się o krok.

- Niechże mnie pan uwolni od tych ludzi i zostawi w spokoju.

Zrobiła gest w kierunku drzwi, ale zanim skończyła swoją przemowę, w okno ponad nimi trafiła cegła. Z góry posypało się szkło. Cassidy momentalnie zorientował się, co się dzieje. Porwał Claire w ramiona i uskokczył za stos drewnianych palet,

przyciskając ją do piersi, pochylając się nad nią, chroniąc najlepiej, jak potrafił, przed spadającymi kawałkami szkła. Pracownicy rozpięzły się we wszystkich kierunkach, usiłując uniknąć zranienia, podczas gdy z góry na betonową podłogę padał jeszcze przez jakiś czas szklany deszcz.

Kiedy wreszcie było już po wszystkim, Cassidy rozluźnił uścisk.

- Nic ci się nie stało? - Delikatnie odgarnął włosy z jej twarzy.

- Nie.

- Na pewno?

- Tak. Nic mi nie jest. Czy ktoś został zraniony? Jej pracownicy zaczęły powoli opuszczać kryjówki.

- Wszystko w porządku, panno Laurent. Odwróciwszy się do Cassidy'ego, wydała z siebie mimowolnie cichy okrzyk.

- Ma pan rozciętą twarz. - Dotknęła jego policzka. Kiedy opuściła rękę, palce miała ubrudzone krwią.

Wyciągnął chusteczkę z kieszeni spodni i przyłożył ją do rany. Wokół nich leżały na posadzce drobne jak kurz i połyskujące jak diamenty kawałeczki szkła. Schyliwszy się, podniósł cegłę, która była przyczyną zniszczenia. Ktoś napisał na niej fluoryzującym markerem PLUGAWA CÓRKA SZATANA.

- W porządku - powiedziała cicho Claire, spojrzawszy na napis. - To by było na tyle. - Pomaszerowała w kierunku drzwi; pod jej stopami chrzęściło rozbite szkło.

- Claire, nie!

Zignorowała jego okrzyk. Otworzyła drzwi, wyszła na chodnik i podeszła do jednego z policjantów. Aby zwrócić na siebie jego uwagę, pociągnęła go za rękaw koszuli.

- Sądzę, że waszym zadaniem jest dopilnowanie, aby ta demonstracja miała charakter pokojowy.

- Nie wiem, skąd rzucono tę cegłę. Przykro mi, proszę pani.

- Panu jest przykro, a moje pracownice mogły zostać poważnie zranione.

- Dostali zezwolenie na demonstrację, a nie na bezkarne rzucanie cegłami - powiedział Cassidy.

Policjant rozpoznał go.

- Pan nazywa się Cassidy, prawda?

- Zgadza się. I reprezentuję tutaj oficjalnie prokuratora okręgowego Crowdera. Od tej chwili ich zezwolenie traci swą moc. Zajmijcie się rozproszeniem tłumu. W razie potrzeby wezwijcie posiłki, ale oczyśćcie ten rejon jak najszybciej.

- Sam nie wiem - powiedział policjant niepewnie. Protestujący właśnie modlili się, złożonywszy dłonie. Cassidy był zadowolony. Dopóki ich głowy były pochylone, a oczy zamknięte, nie mogli dostrzec Claire.

- Sędzia Harris...

- Pierdol sędziego Harrisa razem z tym jego zezwoleniem - powiedział Cassidy przyciszonym, szorstkim głosem. - Jeśli to mu się nie spodoba, będzie mógł później zwrócić się do prokuratora po wyjaśnienia. Teraz zabierzcie się do roboty, zanim znów coś się stanie.

W końcu policjant podjął decyzję. Szybko podszedł do mężczyzny, który przewodził głośnej i długiej modlitwie.

- Proszę mi wybaczyć, sir, ale pogwałciliście warunki umowy. Niestety musicie się rozejść.

Mężczyzna, który najwidoczniej lubił słuchać głównie własnego głosu, nie chciał zamilknąć. W „błogosławione imię Chrystusa” zaczął zawzięcie protestować. Wywiązała się łagodna przepychanka.

Cassidy zaklął. - Tego się obawiałem. Wejź do środka, Claire.

- To moja walka. Ja się nią zajmę.

- Zajmiesz się nią? Oszalałaś?

- Oni mają błędne wyobrażenie na mój temat. Jeśli zdołam im wyjaśnić...

- Tłumowi niczego nie można wyjaśnić. - Musiał podnieść głos, aby przekrzyczeć narastającą wrzawę.

- Ona jest tam! - krzyknął ktoś z tłumu.

- To ona!

- Stręczycielka! Nierządnicą!

- Panie i panowie, proszę... - Claire podniosła ręce w geście wyrażającym prośbę o ciszę, ale wzmogło to jedynie siłę zniewag. Operatorzy kamer rzucili się, by zarejestrować na taśmach jej głos i postać.

- Wejź do środka! - Cassidy spróbował pociągnąć ją za ramię, lecz napotkał zdecydowany opór.

- Claire Laurent jest kurwą!

- Francuski Jedwab to plugastwo!

- Precz z pornografią!

Musiał się nachylić, żeby usłyszeć, co mówiła do niego Claire.

- Dlaczego oni nie chcą choć przez chwilę mnie posłuchać?

- Do diabła, nie pora teraz na przemowę.

Tłum zaczął napierać na kordon policjantów, którzy w końcu

bardziej zdecydowanie zabrali się do działania. Czuło się narastającą nienawiść i wściekłość pikietujących. Z twarzami wykrzywionymi złością potrzęsali transparentami jak groźną bronią. Wystarczyłaby jedna iskra, by ogień zniszczył wszelkie granice.

Sytuację zmieniło niespodziewane pojawienie się Mary Catherine Laurent.

W ładnej sukience i czepku wyglądała, jakby za chwilę miała wziąć udział w dworskim pikniku. Wyszła z Francuskiego Jedwabiu, pchając przed sobą wózek na herbatę. Stało na nim kilka rzędów zabytkowych filiżanek napełnionych czymś, co zdawało się różowym ponczem. Nieco z tyłu za nią kroczyła wysoka, szczupła kobieta w białym fartuchu, niosąc przed sobą tacę z ciastkami.

Claire podążyła za oniemiałym spojrzeniem Cassidy'ego.

- Och, mammo, nie! - Próbowała zatrzymać matkę, ale ta przeszła obok niej bez słowa, podążając zdecydowanie w stronę rozkołysanego, wrogiego tłumu.

- Przepraszam, Claire. - Harriett York przystanąła na moment. - Ale tak bardzo chciała to zrobić, że w ogóle nie mogłam jej od tego odwieść. Pomyślałam więc...

- Rozumiem - Claire przerwała jej szybko. Podeszła do Mary Catherine i ujęła ją za łokieć. - Mammo, wróćmy lepiej do domu. To nie jest przyjęcie.

Mary Catherine popatrzyła na córkę z niedowierzaniem.

- Ależ oczywiście, że nie jest, moje drogie dziecko. Nie jestem niemądra. Ci ludzie są tutaj z powodu wielbnego Jacksona Wilde'a, prawda?

- Tak, mammo.

- Wysłuchałam dostatecznie wielu jego kazań, żeby wiedzieć, iż wstydziliby się za takie zachowanie swoich zwolenników. Myślę, że należy im o tym przypomnieć. Wielbny Wilde powiedział o tobie dużo okropnych rzeczy, ale też zawsze nakazywał kochać własnych wrogów. Nigdy nie wybaczyłby przemocy.

Podeszła do przywódcy grupy. Stojący najbliżej niego zamilkli, a po chwili uciszyły się również dalsze szeregi protestujących. Mary Catherine posłała mężczyźnie jeden ze swych najbardziej rozbijających uśmiechów.

- Nie znam nikogo, kto gniewałby się i był niemły przy ciasteczkach i ponczu. Sir?

Wzięła czarękę z wózka i podała mu. Odmowa poczęstunku z rąk kobiety tak życzliwej mogłaby postawić pod znakiem zapytania stosunek kościoła Wilde'a do tych, którzy doń nie nale-

zeli, i mężczyzna najwidoczniej miał tego świadomość. Pamiętał również o reporterskich kamerach, które bez przerwy rejestrowały to osobliwe wydarzenie. Chcąc nie chcąc przyjął z rąk Mary Catherine czarękę z ponczem.

- Dziękuję.

- Na zdrowie. Harry, poczęstuj państwa ciasteczkami, proszę. Kto jeszcze ma ochotę na poncz?

Cassidy obserwował całą scenę, kręcąc głową z niedowierzaniem. Jeden po drugim transparenty zniknęły, a uczestnicy demonstracji zaczęli się rozchodzić.

- Ona z powodzeniem mogłaby reprezentować nas w ONZ-cie.

Claire podeszła do matki.

- Dziękuję ci, mamo. To był wspaniały gest. Jednak teraz byłoby najlepiej, gdybyś poszła z Harry do siebie na górę.

- Cieszę się, że mogłam ci pomóc, kochanie. Oni robili tyle zamieszania.

Claire pocałowała matkę w policzek, potem skinęła na Harry. Jedna z pracownic zajęła się wózkiem na herbatę.

Claire poprosiła kilka innych o pozbieranie pustych filiżanek i sprzątnięcie rozbitego szkła, które spadło na chodnik.

- Kiedy skończycie, wracajcie do pracy - powiedziała do nich. - Może uda się nadrobić stracony czas. Panie Cassidy, pan ciągle krwawi. Proszę pójść ze mną na górę, to opatrzę panu tę ranę na policzku.

Jechali windą, gdy zapytała:

- Boli pana?

- Nie.

- A jeśli by bolało, przyznałby się pan?

- Za nic w świecie. Miałbym stracić w twoich oczach *image* atletycznego macho?

Uśmiechnęła się do niego smętnie. Odwzajemnił uśmiech. Patrzyli sobie w oczy. Wreszcie winda stanęła na drugim piętrze. Kiedy weszli do apartamentu, Mary Catherine grała z Harry w remika.

- Poszli już sobie?

- Tak, mamo.

- Wszystko wróciło do normy - powiedział Cassidy. - Dziękuję za to, co pani zrobiła. Jednakże wolałbym, aby nie narażała się pani niepotrzebnie na niebezpieczeństwo. Policja panowała nad sytuacją.

- Ale czasami jest lepiej, gdy ktoś weźmie sprawę we własne ręce.

- Chodźmy już - powiedziała Claire, kierując go do sypialni. - Krew kapie panu na koszulę.
„Pięćdziesiąt jeden” - zdążył jeszcze usłyszeć triumfalne obwieszczenie Mary Catherine, zanim wszedł za Claire do sypialni. Pomieszczenie było utrzymane w odcieniach bieli i kości słoniowej. Poza masywną komodą pod jedną ze ścian stały tu wyłącznie nowoczesne meble. Przez zaciągnięte żaluzje do środka wpadały promienie słońca, tworząc pasiaste cienie na królewskich rozmiarów łożu. Nie mógł powstrzymać się od myśli, ilu mężczyzn tu z nią spało. Wprawdzie twierdziła, że po zerwaniu zaręczyn miała zaledwie kilka mało znaczących przygód, ale równie dobrze mogło to być jedno z wielu jej kłamstw.

- Tutaj - rzuciła przez ramię pokazując mu drzwi do sąsiadującej z sypialnią łazienki. Z kolei to pomieszczenie wyglądało jak dekoracja do filmu z lat trzydziestych. Ściany były wyłożone lustrami. Wanna, wpuszczona w podłogę, miała około metra głębokości i dwa razy tyle średnicy. Mimo że tak wspaniała, należała do rzeczywistej osoby -rzeczywistej KOBIETY. Z porcelanowego haczyka zwisała halka w kolorze morelowym. Na marmurowej toalecie stała bogata kolekcja buteleczek z perfumami. Puszysta biała kulka bawełny leżała obok otwartej puderniczki. Z satynowego pudełeczka na biżuterię wystawał sznur pereł. Dwa kosmetyczne pędzelki, szminka i para złotych kolczyków również nie były uprzątnięte. We wszystkim rozpoznawał Claire Laurent. Piękną. Elegancką. Zmysłową. Cassidy był zauroczony wyjątkowo kobiecą atmosferą tego miejsca. Jak dziecko w sklepie z zabawkami chciał wszystkiemu się przyjrzeć i wszystkiego dotknąć.

- Myślę, że mam tutaj trochę wody utlenionej. - Dotknęła przycisku w lustrzanej ścianie i mechanizm zadziałał, odsłaniając ukrytą za lustrem apteczkę. - Proszę usiąść. Mógł wybrać między taboret z pluszową poduszką, komodą a bidetem. Taboret nie wyglądał na tyle solidnie, żeby utrzymać jego ciężar. Bidet nie wchodził w grę. Usiadł więc na wierzchu komody. Claire podeszła do niego, trzymając w ręku śnieżnobiałą myjkę, którą zwilżyła pod złotym kranem.

- Zniszczysz to - powiedział, cofając głowę. - Plamy po krwi mogą się już nie zmyć. Dziwnie na niego spojrzała.

- Rzeczy łatwo zastąpić innymi, czego nie można powiedzieć o ludziach.

Skrzywił się, kiedy przyłożyła chłodny, wilgotny materiał do rany na jego policzku.

- Przestań zwracać się do mnie tak oficjalnie. Mów mi po prostu Cassidy.

- A jak masz na imię?

- Robert.

- Całkiem niezłe imię. - Delikatnie przetręła rozcięcie flanelową myjką, następnie wrzuciła ją do zlewu. Z kryształowego pojemnika wyjęła bawełniany wacik i oblała go wodą utlenioną.

- Uwaga, teraz będzie szczypać.

Zacisnął zęby, ale przykrość, która go spotkała, była o wiele mniejsza, niż oczekiwał.

- Imię trochę zbyt celtyckie. Nie chciałem, aby wołano na mnie Bob albo Bobby. Od rozpoczęcia studiów za imię służy mi „Cassidy”.

Odłożyła wacik i z metalowej puszki w apteczce wyjęła opakowanie z jałowymi opatrunkami. Przyglądał się jej dłoniom, kiedy otwierała szczelne opakowanie, ale gdy nakładała opatrunek na ranę, patrzył już wprost na jej twarz. Czuł jej oddech na swojej twarzy. Wyczuł delikatny zapach perfum, który emanował z zagłębienia między pólkami jej piersi

- piersi, których dotykał. Ileż samodyscypliny potrzebował, by nie zajrzeć za bluzkę, nieco rozchyłoną poniżej linii jego oczu.

- W porządku. Nic więcej chyba nie mogę zrobić. - Claire dotknęła jego policzka; opuszki jej palców były chłodne. Odwróciła się, by odłożyć na miejsce przedmioty, które wyjęła z apteczki.

Nie, to było nie do wytrzymania. To było jakieś szaleństwo. Gdyby tego nie wykorzystał, przepierdoliłby, być może, największą szansę, ale, do diabła... Obiema dłońmi pochwycił ją w pasie i obrócił do siebie.

- Claire?

Schowała ręce za plecami, jakby przezornie pragnęła uniknąć położenia mu ich na ramionach.

- Lepiej namocz koszulę w zimnej wodzie, bo inaczej plamy od krwi utrwala się na dobre.

- Claire?

Bezwiednie podniosła wzrok, by napotkać jego spojrzenie.

- Nie chcę o tym rozmawiać - powiedziała tym samym, nieco ochryplym szeptem, który każdej nocy odbijał się echem w jego marzeniach.

- Nie zrozum mnie źle, Claire. Całowanie kobiet podczas przesłuchania nie jest moim typowym sposobem postępowania.

- Nie?

- Nie. Myślę, że dobrze o tym wiesz.

Oczywiście wędrował po niej, podziwiając jej śliczną twarz, wysmukłą szyję, piersi, które go kusily, wąską talię i miękką linię bioder. Instynktownie przesunął otwartą dłoń nieco w dół. Nie była to intymna pieszczota.

Przynajmniej niezupełnie -powierzchnię jego dłoni od nagiej skóry dzieliły chyba ze trzy warstwy materiału. Ale odczuwał silnie jej intymność w zaciszu tego najbardziej osobistego pomieszczenia, które należało do Claire.

Jednocześnie dręczyła go świadomość niestosowności własnego postępowania.

W prowadzonym przez niego dochodzeniu Claire była osobą najbardziej podejrzaną. Jego zawód polegał na ściganiu przestępców i oddawaniu ich w ręce sprawiedliwości. A od tej konkretnej sprawy zależały losy jego kariery. Mógł zostać pierwszoplanowym kandydatem na prokuratora okręgowego albo do końca życia zachować dotychczasową pozycję asystenta. Mógł osiągnąć stanowisko i władzę albo jak wielu jego kolegów nadal zajmować się przede wszystkim próbami przyłapania handlarzy narkotykami na wykroczeniach podatkowych. I albo będzie mógł zacząć wszystko od początku, albo w dalszym ciągu będzie skazany na rozpamiętywanie tamtej koszarnej, jedynej w jego zawodowej karierze poważnej pomyłki.

A czyż teraz nie był o krok od popełnienia następnego fatalnego błędu? Nie mógł sobie na to pozwolić. I ani na chwilę nie wolno mu zapominać o służbowych obowiązkach.

Opuścił ręce. Claire cofnęła się aż do toaletki.

- Myślę, że już nigdy nie powinieneś dotykać mnie w ten sposób. Mógłbyś stracić przez to swoją sprawę. A jeżeli kiedykolwiek zostanę oskarżona, Cassidy, bądź pewien, iż wszyscy dowiedzą się, że byłeś w tej sprawie podwójnie zainteresowany.

- Wszystkiemu zaprzeczę - oświadczył bez wahania. - Nie masz świadków.

- Podobnie jest teraz z zamordowaniem Wilde'a. Ja nie mogę udowodnić, że mnie pocałowałeś, a ty nie możesz udowodnić, że zabiłam Jacksona Wilde'a. Może zatem zgódźmy się na remis i dajmy spokój tej całej sprawie, zanim w moje życie wkradnie się jeszcze większy nieporządek.

Odwróciła się i wyszła z łazienki. Wszedł za nią do sypialni. Prawie dotarła do drzwi, kiedy zapytał:

- Dlaczego wpłaciłaś pewną sumę na rzecz kościoła Wilde'a? Stała w pół kroku. Zwróciła ku niemu nagle pobladłą twarz. Nerwowo zwilżyła usta.

- Skąd o tym wiesz?

Jej zachowanie brutalnie pozbawiło Cassidy'ego resztek optymizmu.

- Znikąd - powiedział cicho. - Ot, szczęśliwy traf.

Claire opadła na brzeg skórzanej kozetki. Po chwili podniosła głowę.

- Bardzo sprytnie.

- Nie próbuj kłamać. Mam dokumentację. Wcześniej czy później pojawiłoby się twoje nazwisko, a wraz z nim - pozostałe dane. Więc powiedz całą prawdę, *okay!* Jaka to była suma i po diabła ją przekazałaś?

- Gdzieś pół roku temu wysłałam Wilde'owi czek na pięćdziesiąt dolarów.

- Dlaczego?

- Obejrzałam jego program. Każda co najmniej pięćdziesiąt-dolarowa ofiara upoważniała do otrzymania trzech książek z modlitwami, inspirującymi historyjkami i tego rodzaju nabożnymi rzeczami. Zapowiedziano, że książki będą miały twarde okładki i złożone liternictwo. Gdyby książki, które zamówiłam, nie spełniały wszystkich wymagań, miałam nadzieję oskarżyć go o oszustwo lub coś w tym rodzaju.

- I jakie były te książki?

- Dokładnie takie, jak zapowiedziano. - Wstała i podeszła do wbudowanej w ścianę biblioteczki. Wróciła z trzema tomami, które wręczyła Cassidy'emu do przejrzania. - Był zbyt przebiegły, aby nie dostarczyć tego, co obiecywał. Przynajmniej jeśli chodzi o coś tak namacalnego jak książki. - Rozłożyła szeroko ręce. - Nic więcej w tym nie ma. Przysięgam. To był test, który on przeszedł pomyślnie. A ja już zdążyłam o tym zapomnieć.

Cassidy nie natrafił na żaden ślad kłamstwa ani w wyrazie jej twarzy, ani w spojrzeniu. Bardzo chciał jej uwierzyć. Ale pozostawała jeszcze jedna kwestia, którą musiała wyjaśnić. Powiedział:

- Gloria Jean Reynolds.

Reakcja Claire - mieszanina zaintrygowania i zdziwienia - była szybka i widoczna.

- Co z nią?

- Ona również przesłała ofiarę. Lecz na sumę znacznie wyższą niż ty. Było tego tysiąc dolarów.

- Co takiego? Yasmine przekazała tysiąc dolarów organizacji Wilde'a? Dlaczego?

- Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć.

Rozdział XI

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi gabinetu, kongresman Alister Petrie odłożył długopis i zmarszczył brwi.

Wcześniej specjalnie prosił, aby mu nie przeszkadzano.

- Bardzo przepraszam, panie Petrie - powiedziała pospiesznie sekretarka, wsunawszy głowę przez drzwi. - Jest tutaj ktoś, kto pragnie się z panem zobaczyć. Wiem, że miałam nikogo nie wpuszczać, ale pomyślałam, iż życzyłby pan sobie, abym w tym wypadku uczyniła wyjątek.

Zwykle była tak zrównowazona i pełna rezerwy, że jej ekscytacja natychmiast zwróciła jego uwagę. Poprzecinana zmarszczkami twarz kobiety zarumieniła się, a w jej bezbarwnych oczach pojawił się niezwykle błysk. Osoba, która składała mu tę nieoczekiwaną popołudniową wizytę, musiała być najwidoczniej cholernie ważna.

Wstał i poprawił krawat.

- Ufam pani dyskrecji, panno Baines. Jeśli jest to osoba, z którą powinienem się spotkać, proszę, niech ją pani wprowadzi.

Alister o mało co nie narobił w spodnie, kiedy w otwartych drzwiach stanęła Yasmine. Z miną winowajcy zerknął w stronę swego biurka, gdzie na honorowym miejscu stała solidna srebrna ramka z fotografią przedstawiającą Belle i dzieci.

Na szczęście panna Baines, która weszła za Yasmine, była zbyt przejęta, by spostrzec jego reakcję. Wprost piała z zachwyty rozprawiając, jak bardzo zdumiała się, kiedy sławna modelka - od lat jej ulubienica - wkroczyła do biura i poprosiła o możliwość widzenia się z kongresmanem Petriem.

Alister, otrząsnąwszy się trochę z chwilowego szoku, wykrzywił twarz w uśmiechu, który w znacznym stopniu dopomógł mu po raz pierwszy zdobyć miejsce w Kongresie.

- To dla mnie prawdziwy honor, panno...

- Po prostu Yasmine, panie kongresmanie. Widzieć pana to również rzadki przywilej.

Jej słowa zabrzmiały jak serdeczne powitanie, lecz Alister z łatwością odczytał zawartą w nich dwuznaczność, tym bar-

dziej że Yasmine wyraźnie zaakcentowała słowa „widzieć” i „rzadki”. Kiedy obszedł biurko i zbliżał się do niej, w jej wspaniałych oczach migotały łobuzerskie iskierki. Miał nadzieję, że panna Baines wytłumaczy sobie chwiejność jego chodu bliską obecnością gwiazdy, a nie kochanki najwidoczniej usposobionej do żartów.

Yasmine miała na sobie białą sukienkę, która ciasno opinała jej ciało, wokół nadgarstków charakterystyczne bransoletki, a w uszach złote kolczyki wielkości piłek do golfa. Cętkowana chusta szerokości obrusu spływała z jednego jej ramienia, sięgając z tyłu i z przodu brzegu sukienki.

Wyglądała fantastycznie i wiedziała o tym. Chłodna i wyniosła jak westalka, stała w miejscu, łaskawie pozwalając mu podejść do siebie, co też uczynił, wyciągnąwszy dłoń niby skruszony grzesznik. Suka.

Uściskał jej rękę. W butach na wysokim obcasie była o kilka centymetrów od niego wyższa. Nie znośli, kiedy choć trochę musiał podnosić głowę, by spojrzeć jej w oczy.

- Czy nie zanadto schlebiam sobie, mając nadzieję, że jest to przyjacielska wizyta?

Roześmiała się.

- W ubiegłym tygodniu wysłuchałam pańskiego przemówienia na jednym z wieców przedwyborczych. Spodobało mi się to, co miał pan do powiedzenia, i postanowiłam wesprzeć finansowo pańską kampanię. Potrzebujemy w Kongresie więcej takich ludzi jak pan.

- Dziękuję. Doprawdy... brakuje mi słów - wyjąkał, rozbijając zęby wyłącznie z uwagi na obecność swej sekretarki, nadal znieruchomiełej w zachwycie.

- Można? - Nie czekając na pozwolenie, Yasmine ruszyła w kierunku skórzanych foteli i sof, które podarowała mu Belle na ostatnie urodziny.

- Ależ oczywiście, Yasmine, usiądź. Panno Baines, jeśli pani pozwoli...

- Naturalnie, już uciekam. Czy podać pani coś do picia?

- Nie, dziękuję - odpowiedziała uśmiechając się ołśniewająco. - Ale może ktoś z mojej eskorty miałby ochotę. - Zdjęła z ramienia torebkę z jaszczurczej skóry i położyła ją sobie na kolanach.

- Z eskorty? - zapytał piskliwie Alister. Chryste, to jakiś koszmar. Ilu ludzi wiedziało, że ona jest tutaj? Czyżby jeszcze na dodatek przemaszerowała ostentacyjnie wzdłuż Pennsylvania Avenue na czele jakiegoś pieprzonego pochodu?

- Nic dziwnego, że pani nie rusza się nigdzie bez ochrony osobistej - szepnęła panna Baines. - Taka znana osoba... Yasmine jedynie uśmiechnęła się łagodnie, pozwalając jej wyciągać własne wnioski. W końcu sekretarka, ani na chwilę nie przestając się uśmiechać, odwróciła się, wyszła z pokoju i starannie zamknęła za sobą drzwi. Dłonie Alistera zacisnęły się w pięści. Zbliżając się do Yasmine, myślał o tym, z jaką ochotą uderzyłby ją wprost w tę nieskazitelnie piękną twarz.

- Do kurwy nędzy, co ty wyrabiasz? - Mówił przyciszonym głosem, ale z wyrazu jego twarzy emanowała skrajna wściekłość.

Do tej pory używał przy niej ryszotkowego języka jedynie żartobliwie w łóżku. Lecz w środowisku, w którym dorastała, zwykle wyrażano się w ten sposób, więc teraz nie zrobiło to na niej specjalnego wrażenia. Poderwała się z fotela, upuszczając przy tym torebkę na podłogę.

- O co chodzi, kotku? - zadrwiła. - Nie cieszysz się, że przyszedłam?

- Gdzie podział się twój zasrany rozsądek? Chcesz mnie zrujnować? Kto cię widział, jak tutaj paradowałaś? Czy prasa nie zwietrzyła już czegoś? - Dłonią przesunął po twarzy. W jego wyobraźni jeden przerażający obraz następował po drugim, jak na pokazie przeźroczy. - Po co tutaj przyszedłeś?

- Poprzeć twoją kampanię przedwyborczą. - Odpięła guziki przy mankietach i, zanim zdążył się zorientować, zsunęła z ramion górę sukienki, którą przytrzymał w talii szeroki pas. Uśmiechała się kusząco, powoli wysuwając ręce z rękawów.

Jego wściekłość w ułamku sekundy zmieniła się w pożądanie. Zatrzymał wzrok na agresywnych, stożkowatych piersiach.

- Tak okropnie za tobą tęskniłam, kotku - jęknęła, wolno unosząc dół sukienki powyżej ud.

Alister śledził ten ruch z szaleńczo bijącym sercem i spoconymi dłońmi. Oddychał ciężko. Czuł w lędźwiach napływającą krew. Jej pończochy były przypięte do podwiązek. Stęknął bezwiednie, kiedy odsłoniła maleńki koronkowy trójkąt, który niedostatecznie zakrywał zwartą gęstwinę czarnych loczków.

- Litości - mruknął. Pot zrosił mu obficie czoło i spływał kroplami po twarzy. - Jeśli teraz ktoś wejdzie...

- Nie ma prawa. Nie przeszedłby przez te drzwi nawet sam prezydent, dopóki tam na zewnątrz są Franz i Hans. Możesz się nie obawiać.

Podczas gdy on stał w miejscu jak skamieniały, wsunęła

kciuk pod elastyczny pas majteczek i zsunęła je z nóg. Po chwili zakreśliła nimi wskazującym palcem.

- Usiądź lepiej, kotku. Wyglądasz cokolwiek blado. Pchnęła go lekko w pierś. Zachwiał się i opadł na skórzaną sofę - prezent od żony. Nie myślał o tym. Nie myślał o niczym innym poza straszliwą żądzą skoncentrowaną w kutasie. Wyciągnął ręce.

- Nie tak szybko. - Stała przed nim z lekko rozchylonymi nogami, dłonie zaciśnięte w pięści wsparła na biodrach.

- Dlaczego nie pojawiłeś się na ostatnim spotkaniu, ty zawszony bękarcie?

- Yasmine, bądź rozsądna - wysapał. - Nie masz pojęcia, jaki jestem zapracowany. Do licha, przecież prowadzę kampanię.

- Ze swoją uśmiechniętą małżonką przy boku?

- A co mam twoim zdaniem zrobić, zostawić ją w domu?

- No, jasne! - syknęła gniewnie.

- Nie sądzisz, że wyglądałoby to nieco podejrzanie, w szczególności dla niej? Pomyśl o tym. - Znowu wyciągnął ręce i tym razem pozwoliła, by zamknęły się na jej pośladkach. - Myślisz, że łatwo mi było znieść rozstanie? Jesteś szalona, ale nie masz pojęcia, jaki mimo wszystko jestem szczęśliwy, widząc cię nareszcie.

- Z początku wcale nie wyglądałeś na zadowolonego - przypomniała mu. - Myślałam, że jeszcze moment, a dostaniesz zawału.

- Byłem zaszokowany, zdumiony. To niebezpieczne jak diabli, ale... Och, znowu mogę poczuć twój zapach. -

Pochylił się do przodu i zanurzył twarz w miejscu, gdzie łączyły się jej uda. Szaleńczo węszył, gryzł i całował ją przez materiał sukienki. - Szkoda, że nie można tego przechowywać w butelkach.

Yasmine ujęła jego głowę w swe długie, szczupłe dłonie.

- Kotku, byłam taka biedna. Nie mogłam jeść. Nie mogłam spać. Przy życiu podtrzymywała mnie jedynie nadzieja, że zadzwonisz.

- Nie mogłem ryzykować. - Uniósł głowę do jej piersi i pochwycił w usta jedną z brodawek.

- O, tak - jęknęła. - Mocno, kochanie, ssij mocno. Trzymając w każdej dłoni jedną pierś, ssał, aż poczuł ból w szczękach. Usadowiła się na nim okrakiem i zaczęła szarpać jego bieliznę; w końcu drżący penis znalazł się w jej palcach. Wsunął pospiesznie ręce pod jej pośladki, złapał za biodra

i pociągnął ku sobie. Wszedł w nią głęboko jednym gwałtownym pchnięciem. Prawie w tej samej chwili poczuł, jak w plecy wbijają mu się jej długie paznokcie. Zdusił w sobie okrzyk rozkoszy i bólu i brutalnie przesunął policzkiem po sterczących brodawkach, raniąc je szczeciniastym zarostem baczków.

Ujeżdżała go w szaleńczym tempie, ściskając i ciągnąc jakby zaciśniętymi, wilgotnymi palcami albo ustami. Przez mgłę namiętności dotarł do niego z sąsiedniego pokoju niewyraźny dzwonek telefonu i stłumiony głos sekretarki: - Biuro kongresmana Petriego. Przykro mi, ale pan Petrie jest w tej chwili bardzo zajęty.

Yasmine ani na chwilę nie przestawała kołysać biodrami to w tył, to w przód. Alister niemalże wybuchnął śmiechem. W tej chwili jestem bardzo zajęty pieprzeniem się z kochanką - pomyślał. Czy to wstrząsnęłoby fundamentami Kapitolu? Czy jego wyborcy byliby zdumieni? Czy jego wrogowie mieliby swój dzień radości?

Skończyła przed nim. Otoczywszy mocno ramionami jego głowę, szeptała mu do ucha miłosny psalm: -

Ochtakochtak-jakdobrzeochkotkuochkochanieochochtaktaak - podczas gdy długa seria spazmów wciągała go w nią coraz głębiej i silniej.

Jego uniesienie było nie tak śpiewne, ale równie burzliwe. Potem przez całe sześć sekund leżała przytulona, z głową złożoną na jego ramieniu.

Kiedy usiadła, jej piersi połyskiwały od potu, a w jej oczach tygrysy nadal płonął ogień. Była tak cholernie cudowna, że zapierało mu dech w piersi... jeśli w ogóle mógł jeszcze oddychać.

- Kocham cię, ty sukinsynu.

Rozejrzał się dookoła. Na widok panującego w biurze nieładu nerwowo skrzywił się i zachichotał.

- I ja ciebie kocham. - Teraz znacznie wyraźniej docierała do niego świadomość, że od całkowitej ruiny dzieli go zaledwie drzwi. Z niepokojem zaczął się zastanawiać, ile czasu spędzili tutaj razem. W każdym razie nie mógł wyprawić Yasmine nie rozpraszając wcześniej jej obaw o przyszłość.

- Musisz mi uwierzyć, że nie dzwonię do ciebie, mając na względzie jedynie twoje dobro. Bez przerwy otaczają mnie ludzie. Samotności zażywam wyłącznie stojąc nad pisuarem w ubikacji. Kiedy jestem tutaj, pracuję dzień i noc. A jeszcze trudniej zobaczyć mi się z tobą w Nowym Orleanie.

Ujęła jego twarz w dłonie i zamknęła mu usta długim wilgotnym pocałunkiem.

- Rozumiem. Naprawdę rozumiem. Tylko bez ciebie czuję się taka samotna. Może choć dzisiejszą noc spędzimy razem? Zawahał się. Kto wie, czy nie byłoby roztropnie ulec jej. Z drugiej jednak strony w Waszyngtonie ryzyko utraty incognito było ogromne.

- Nie mogę w żaden sposób. Wszyscy wiedzą, że odlatuję stąd samolotem dzisiaj o siedemnastej. Muszę zdążyć do Nowego Orleanu na pewną uroczystość, po której wiele sobie obiecuję, jeśli chodzi o wzrost moich funduszy na kampanię.

- Więc polecę z tobą tym samym samolotem. Będziemy mogli spotkać się po tej twojej uroczystości.

Do diabła! Sytuacja stawała się niebezpieczna.

- Nie mogę, Yasmine. Musi upłynąć jeszcze wiele dni, zanim powrócimy do naszych spotkań. Wiesz o tym.

Zdawała się strapiona, zła i podejrzliwa. Przyciągnął ją do siebie i znowu pocałował.

- Chryste, bardzo bym chciał. No, dobrze, zobaczę, co się da zrobić. Może pod koniec tygodnia zajrzę do Nowego Jorku. Daj mi tylko kilka dni na ułożenie moich spraw.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Z powrotem wciągnęła sukienkę na ramiona i poprawiła chustę. Koszula Alistera była beznadziejnie wymięta; miał nadzieję, że ukryje to pod marynarką. Brzuch lepił mu się nieprzyjemnie, ale na to już nie było rady.

Yasmine wyjęła z torebki czek i położyła go na biurku.

- Może tym datkiem nie wpędzę się w kłopoty.

- Co masz na myśli? - Starannie poprawiał krawat.

- Pamiętasz, mówiłam ci kiedyś, że wysłałam Wilde'owi ofiarę pod moim prawdziwym nazwiskiem?

- Tak. No i co z tego? Powiedziałaś, że chcesz spróbować go przekupić.

- Próba nie powiodła się. Straciłam tysiąc dolarów, na utratę których nie mogłam sobie pozwolić. Dostałam z powrotem mój późniejszy list z odręcznym dopiskiem: „Całkiem sympatyczna próba”. Nie wiem, czy napisał to sam Wilde, czy też któryś z jego pacholków, lecz on najwidoczniej nie przyjmował łapówek.

- Albo nie przyjmował łapówek, albo suma była za mała.

- Racja. W każdym razie asystent prokuratora okręgowego Cassidy dowiedział się o tym. Zadzwoił do mnie do Nowego Jorku. Powiedziała mu, że chciałam - choć bez przekonania - przekupić Wilde'a, aby zostawił Claire i mnie w spokoju. Pytał,

czy mam jeszcze ten list, ale ja go od razu wyrzuciłam. Na tym nie koniec. Claire również wysłała pieniądze Wilde'owi. Sama trwała mi dupę, że nic jej nie powiedziałam, więc teraz mogłam odplacić się tym samym. W końcu wyszło na remis.

- No i w czym problem?

- Problem polega na tym, że Cassidy nie bardzo wierzy naszym wyjaśnieniom i dopatruje się w tym czegoś więcej.

- Sądząc po tym, co piszą w prasie, Cassidy nie ma się na czym oprzeć, dlatego szuka po omacku. Nie masz czym się przejmować.

- Nie przejmuję się. - Zerknęła na niego kątem oka i mrugnęła porozumiewawczo. - Poza tym mam przecież znakomite alibi, nieprawdaż?

- Naturalnie. Kiedy zamordowano Wilde'a, ty byłaś w Nowym Jorku.

- Nie, byłam w siódmym niebie z tobą. Zapomniałeś? - Śmiejąc się otworzyła jedną z szuflad biurka i wrzuciła do środka swoje majteczki. - Ten drobiazg będzie ci o mnie przypominał, kongresmanie.

- Niczego nie potrzebuję, aby o tobie pamiętać. - Nie na darmo był politykiem. Wiedział, kiedy dorzucić do ognia i ile. Udając pośpiech, przyciągnął ją do siebie. Objęli się i jeszcze raz pocałowali. W ten sposób łatwiej było mu skryć własne zniecierpliwienie i zignorować desperację Yasmine.

W końcu była gotowa do odejścia. Kiedy położyła rękę na klamce, odwróciła się jeszcze.

- Alister, jeżeli kiedykolwiek odkryłabym, że mnie okłamujesz...

- Okłamywać ciebie? - Wziął jej dłoń i potarł nią o swój rozporek. - W pewnych sprawach mężczyzna nie jest w stanie oszukać kobiety.

Tym razem nie podjęła pieszczoty. Gdy uwolnił jej rękę, ta opadła bezwładnie.

- Po prostu pomyślałam, że powinnam cię ostrzec, kotku. Nie oszalałabym. Postarałabym ci się odplacić.

Tym razem jej kontraltowy ochrypły głos miał brzmienie, które go zaniepokoiło. Zanim otworzyły się drzwi, pamiętając o sekretarce, ponownie rozjaśnił twarz serdecznym uśmiechem. On i Yasmine wymienili uścisk dłoni.

Podziękował jej wylewnie za finansowe wsparcie, jakiego mu udzieliła. Opuściła jego biuro wiodąc za sobą dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn wbitych w tanie czarne garnitury.

- Jestem zachwycona. - Panna Baines musiała natychmiast

podzielić się z nim swymi odczuciami. Przyłożyła dłoń do wątlej piersi. - Czy może pan w to uwierzyć?

- Nie, nie mogę.

- Jest przemiła. Któż by się spodziewał, że osoba tak sławna jak ona okaże się zupełnie normalnym człowiekiem?

- Mhm. No, ale wracajmy do pracy. Proszę nie łączyć do mnie żadnych rozmów, chyba że zadzwoni pani Petrie.

- Och, już zadzwoniła, kiedy rozmawiał pan z Yasmine. Przeraził się.

- Sam zaraz do niej zadzwonię.

- To nie będzie konieczne. Chciała się tylko upewnić, czy odleci pan zgodnie z planem. Powiedziała, że przyjedzie po pana na lotnisko.

- W porządku. - Odwrócił się w kierunku drzwi do swojego pokoju, a po chwili jeszcze raz w stronę sekretarki, jakby nagle o czymś sobie przypomniał. - Czy wspomniała jej pani, że przysłała do mnie Yasmine?

- Nie.

- Dzisiaj wieczorem opowiem jej o tym. - Chichocząc pociągnął za płatek ucha w geście, o którym wiedział, że był chłopcę i zjednujący sympatię. - Kobiety zawsze pragną wyglądać szczupło jak modelki. Właściwie nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego. To takie nieatrakcyjne. Nawiasem mówiąc, Yasmine zostawiła czek na ste dolarów. Liczy się oczywiście każdy cent, ale po co to całe przedstawienie?

Zamknął za sobą drzwi, mając nadzieję, iż zostawia pannę Baines z właściwym odczuciem - że dla niego wizyta Yasmine oznaczała jedynie kaprys gwiazdy.

Ponownie usiadł za biurkiem, otworzył szufladę i wyjął z niej damskie majteczki. Zmiał je w dłoni. Tego było już za wiele. Sytuacja zaczynała mu się wymykać z rąk. Jakby nie miał dość innych zmartwień. Na swoje nieszczęście utknął w gównie po szyję. Jednak musiał rozwiązać ten problem jak najszybciej. Tylko jak?

Yasmine sprawiła mu już więcej kłopotów niż wszystkie pozostałe jego kochanki razem wzięte; aż do tej pory związek z nią wart był tego. Ale czyż teraz naprawdę nie przestraszył się jej zawołanych gróźb? Przecież potrafił przewidzieć, do czego może być zdolna kobieta taka jak ona. Musiał traktować jej ostrzeżenia z pewną dozą powagi. Gdyby tylko chciała, mogłaby uczynić z jego życia piekło. Dzięki kontaktom z mediami i swojej sławie z łatwością zdołałaby zemścić się na nim, grzebiąc jego szanse na powtórny

wybór. Mogła też rozbić mu rodzinę. Do diabła, dlaczego wszystko nie mogło pozostać po staremu?
- Cholera - mruknął, zanurzając palce we włosy. Jak na razie jednak nie widział na to szansy.
Jedynym wyjściem to zerwanie tego związku. Wprawdzie posiadanie jakiejś naprawdę rasowej cipy zaliczał do dużych przyjemności, ale z drugiej strony musiał pamiętać, że w razie ujawnienia tego romansu groziło mu załamanie kariery i dotychczasowego stylu życia. Chowając maleńkie figi do kieszeni marynarki, zdecydował ostatecznie, że przy najbliższej okazji zerwie z Yasmine.

Rozdział XII

Claire nakładała właśnie jeden ze swoich projektów na manekin, kiedy zadzwonił telefon.

- Claire, włącz telewizor na kanał CNN. Szybko. - To była Yasmine.

Przez kilka dni nie rozmawiały ze sobą po kłótni, jaką wywołała Claire, wypominając przyjaciółce, że ta nie powiedziała jej o swojej szczodrej wpłacie na rzecz organizacji Jacksona Wilde'a.

- O co chodzi?

- Sama zaraz zobaczysz. Nie zdziwi mnie, jeśli poczujesz się, jakbyś miała wysrać cegłę. Pospiesz się, bo nie zdążysz. - Odłożyła słuchawkę.

Claire, zaintrygowana, włączyła przenośny odbiornik. Przygotowana już przez Yasmine, nie była zaskoczona widząc na ekranie Ariel Wilde. Prowadzący wywiad zadawał jej właśnie pytania na temat niedawnej demonstracji przed budynkiem Francuskiego Jedwabiu, której, jak przyznała, była główną inspiratorką.

- Nasi przeciwnicy chcieliby wierzyć, że po śmierci Jacksona zrezygnowaliśmy z walki przeciwko pornografii. Z tego miejsca pragnę ich zapewnić, iż tak się nie stało. Nasze zgromadzenie pod moim przewodnictwem zamierza zdwoić swoje wysiłki, by wyeliminować wszelkie formy obsceny.

- Dlaczego zajęła się pani w szczególności katalogiem Francuskiego Jedwabiu? Są przecież publikacje o bardziej wyrazistym charakterze - zapytał reporter.

Ariel uśmiechnęła się słodko.

- Wydawcy magazynów o bardziej wyrazistym charakterze nie ukrywają swych intencji. Nie próbują się maskować. O ile czuję wstręt do ich wytworów, o tyle podziwiam ich za uczciwość. Nie są tak dwulicowi jak panna Laurent, która nie ma nawet dość odwagi, by stanąć ze mną do debaty.

- Jej katalog jest robiony ze smakiem, pani Wilde. Podkreśla wprawdzie zmysłowość, ale bynajmniej nie kojarzy się z lubieżnością.

- Przedstawia mężczyzn i kobiety niemalże w akcie spółkowania. Jakże ja mam to nazwać?

Reporter odchrząknął z zakłopotaniem.

- Zamieszczone tam fotografie zaledwie sugerują...

- A więc przyznaje pan, że te obrazy są sugestywne?

- Tego nie powiedziałem. - Pospiesznie zajrzał do swoich notatek, ale zanim zdążył zadać następne pytanie, Ariel powiedziała:

- Istotne znaczenie ma z pewnością fakt, że firma panny Laurent ma siedzibę w Nowym Orleanie.

Reporter dał się skusić na tę przynętę.

- W jakim sensie istotne? Ariel uśmiechnęła się, że się zastanawia.

- Lepiej nic więcej nie powiem. Mój adwokat radził mi unikać tego tematu. Jednakże nie mogę nie zauważyć, że jeden z głównych celów atakowanych przez mojego męża znajduje się w tym samym mieście, w którym został on zamordowany.

W Claire zawrzała krew. Ze złości zaczęła głośno sapać. Złapała się na tym, że idzie w kierunku telewizora, chociaż nie pamiętała, żeby wstawiała.

- Sugeruje pani, że panna Laurent ma coś wspólnego z zamordowaniem pani męża? - zapytał reporter.

- Interesuje się nią prokuratura okręgowa - odpowiedziała wykrętnie.

- Na jakiej podstawie?

- Nie wiem. Mogę tylko przypuszczać, że jest przesłuchiwana ze względu na swój podejrzany życiorys.

Reporter spojrzął na nią pytająco.

- Claire Laurent - powiedziała - jest pozamałżeńską córką nieźrównoważonej psychicznie kobiety. - Opuściła oczy i przybrała smutny-wyraz twarzy. - Nie miała w dzieciństwie właściwej opieki, nic więc dziwnego, że w życiu, nawet tym zawodowym, kieruje się namiętnościami. Z pewnością ma talent. Ale jak inaczej wytłumaczyć to, że roztrwoniła twórczy dar, produkując obrzydliwą bieliznę i reklamując ją w tak wulgarny sposób? I dlaczego wybrała na partnerkę w interesach kobietę, która przez lata szokowała niemoralnym stylem życia?

- Ma pani na myśli modelkę Yasmine?

- Tak. Owe trzy kobiety - panna Laurent, jej matka i Yasmine - są moralnie podejrzane. Jestem pewna, że prokuraturę nurtuje to samo pytanie, które i ja sobie zadaję: czy wydawanie plugawego magazynu jest ich jedynym wykroczeniem?

Claire wyłączyła telewizor. Miała wrażenie, że jeśli tego nie zrobi, w każdej chwili może eksplodować z wściekłości. Z ust Ariel Wilde sączył się prawdziwy jad. Jak ona śmiała wypowiedzieć te wszystkie słowa w ogólnokrajowym programie? Do tej pory Claire w pewnym sensie ignorowała jej krytyczne uwagi pod adresem Francuskiego Jedwabiu, lecz teraz ataki stały się zbyt osobiste. Ariel zniesławiła Mary Catherine i Yasmine, a ją, Claire, oskarżyła o morderstwo. Jak długo jeszcze można było czekać w milczeniu i nic nie robić? Czyż nie nadeszła wreszcie pora na działanie?

Zacząła spacerować tam i z powrotem, obmyślając najodpowiedniejszą formę reakcji. O złożeniu publicznego oświadczenia myślała ze wstrętem, ale w końcu doszła do wniosku, że to rozwiązanie będzie najskuteczniejsze. Kiedy uspokoiła się na tyle, żeby panować nad głosem, sięgnęła po słuchawkę telefonu.

- Biuro informacyjne.

- Mówi Claire Laurent.

Jej nazwisko pojawiało się ostatnio w wiadomościach na tyle często, że zostało rozpoznane natychmiast. Pracownik lokalnej sieci telewizyjnej, z którą się połączyła, powiedział:

- Tak, słucham. Czym mogę pani służyć?

- Chciałabym zainteresować sobą CNN, a nie bardzo wiem, jak to zrobić.

- Czasami przygotowujemy dla nich materiał. Mógłbym porozumieć się z nimi w pani imieniu.

- W takim razie, jeśli zaciekawi ich moja odpowiedź na to, co mówi o mnie Ariel Wilde, niech zgłosi się do mnie jakiś reporter.

- Rozumiem, proszę pani. Jestem pewien, że ktoś zadzwoni do pani bezzwłocznie.

- Będę czekała.

Odłożyła słuchawkę, czując pewien niesmak. Zawsze uważała prywatność za coś niezwykle cennego. Broniała jej zaciekle głównie ze względu na Mary Catherine, ale również dlatego, że w rozgłosie dostrzegała swego rodzaju negatywny mechanizm. Czuła, że osoby publicznie znane muszą liczyć się z utratą części własnej wolności i godności. Nie rozumiała ludzi zabiegających o popularność. Inaczej niż Yasmine, która znakomicie czuła się w centrum uwagi, wolała pozostawać w cieniu. Z tej przyczyny to właśnie Yasmine kojarzono z Francuskim Jedwabiem.

Teraz jednak Claire została zmuszona do publicznego wystąpienia. Na samą myśl o tym przechodziły ją dreszcze. I bała się. Do czasu pojawienia się reporterskiej ekipy musiała przemyś-

leć słowa, które negując stwierdzenia Ariel Wilde, nie zdradzą jednocześnie zbyt wiele.

Następnego wieczoru leżała w łóżku, oglądając powtórkę swojego wywiadu dla sieci CNN, kiedy zadzwonił telefon. Po długiej chwili wahania niechętnie podniosła słuchawkę, ale nie odezwała się.

- Claire, jesteś tam?

- Cassidy?

- Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Bo za każdym razem, kiedy odbierałam dzisiaj telefon, głos w słuchawce posyłał mnie do wszystkich diabłów.

- To byli ludzie Wilde'a?

- Niewątpliwie. Większość z nich rzucała jakieś wyzwisko i odkładała słuchawkę.

- Ariel pewnie wyskakuje ze skóry. Najpierw zorganizowała demonstrację, która zakończyła się całkowitą klapą.

Udało jej się ściągnąć telewizję, ale Mary Catherine sprawiła, że jej ludzie wyglądali jak stado chuliganów. Teraz z kolei ty usadziłaś ją w miejscu. Przypadkiem widziałem już twój występ w telewizji.

- To nie był żaden występ.

- Tak tylko powiedziałem - stwierdził. - Wyrażałaś się dosyć dobitnie.

- Przemyślałam każde słowo. A jeśli jeszcze raz Ariel Wilde albo ktokolwiek z jej organizacji oczerni moją matkę lub Yasmine, wytoczę proces i zażadam odszkodowania, które zrujnuje finansowo tę sektę.

- Jesteś bardzo pewna siebie.

- Dziękuję.

- Lecz nie zaprzeczyłaś jej insynuacjom, że jesteś w jakiś sposób wplątana w sprawę zamordowania jej męża. -

Zrobił pauzę na odpowiedź, ale Claire uparcie milczała. W końcu powiedział: - Jeżeli chcesz, mogę ci załatwić od ręki zmianę twojego numeru telefonu.

- Nie, dziękuję. W końcu znudzi im się i dadzą mi spokój.

- Dlaczego nie włączysz automatycznej sekretarki?

- Dla zasady. Kiedy jestem tutaj, zawsze osobiście odpowiadam na telefon. Nie zamierzam z ich powodu zmieniać mego sposobu życia. Po dłuższej chwili milczenia zapytał:

- Czy ktoś jeszcze protestował pod twoim domem?

- Nie - odpowiedziała, uśmiechając się po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin. - Myślę, że mama ostatecznie wyleczyła ich z tego.

- Jeśli już mowa o twojej matce, czy teraz Harry opiekuje się nią?
- Tak, nocuje u nas dzisiaj. Dlaczego pytasz?
- Powiem ci, kiedy tam przyjadę. Czekaj na mnie na dole.
- Cassidy, ja już jestem w łóżku. Jestem bardzo zmęczona. Jej słowa trafiły jednak w pustkę. Cisnęła słuchawkę na widełki aparatu. Jeśli chciał się z nią zobaczyć, mogli umówić się na jutro. Powinna dać mu nauczkę i pozwolić, by stał przed wejściem, dzwoniąc do drzwi na próżno. Mimo wszystko wstała z łóżka i pomaszerowała do łazienki. Pozornie nic się tutaj nie zmieniło, ale wiedziała, że ile razy wejdzie do tego pomieszczenia, będzie myśleć o Cassidym, w poplamionej krwią koszuli, rozczochranym, o wyglądzie kpiarza i łobuza. Czują, jak na wspomnienie jego silnych, męskich rąk obejmujących ją w tali budzi się w niej znów ten kobiecy instynkt, którego działanie poznała wówczas. Przestraszył się wyraźnie, gdy uświadomiła mu, że romantyczny flirt z nią mógłby zaszkodzić jego zawodowym interesom. Nie dodała tylko, jak bardzo niszczący byłby taki flirt dla niej. Włożyła dzinsy i bawełnianą bluzkę, nie chcąc, aby pomyślał, że wystroiła się specjalnie dla niego. Na parter zjechała windą. Dźwięk dzwonka rozległ się dokładnie w chwili, kiedy dotarła do drzwi.
- Trafiłeś dokładnie na czas - powiedziała.
- To jedna z moich zalet.
- Jego ubiór również nie był specjalnie wyszukany. Dotychczas nie miała okazji widzieć go w czymś innym poza garniturem. Teraz miał na sobie dzinsy, zwykłą flanelową koszulę, znoszoną kurtkę Levisa i tenisówki.
- Dlaczego chciałeś widzieć się ze mną?
- Wyjdźmy na zewnątrz.
- POCO?
- Na zewnątrz będzie mi się lepiej myślało. - Spojrzała na niego pytająco. - Nie odpowiada mi dzisiaj atmosfera twojego domu - dodał obcesowo.
- Choć w tradycyjnie handlowej dzielnicy tętniło życie, ulica po obu stronach Francuskiego Jedwabiu była ciemna i spokojna.
- Wyglądasz na rozdrażnionego - zauważyła Claire.
- Można tak powiedzieć. - Zatrzymał się i odwrócił do niej twarzą. - Ta sprawa z pieniędzmi...
- Już ją wyjśniłam.
- Tak. Podobnie Yasmine. Ale wasze historyjki nie wydają się wiarygodne.

- To twój problem.
 - Na razie - odpowiedział natychmiast. - Mówiłaś, że o której godzinie pojechałaś do hotelu „Fairmont” po matkę? Claire nie spodziewała się nagłej zmiany tematu. Coś ścisnęło ją za gardło.
 - Mó... mówiłam ci już, iż nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że około północy.
 - Co zatrzymało cię na tak długo?
 - Co proszę?
 - André Philippi twierdzi, że zadzwonił do ciebie o dwudziestej trzeciej. O tej porze jazda samochodem stąd do hotelu nie zajmuje więcej niż pięć minut. Wiem, bo sprawdziłem to przed chwilą. Ty potrzebowałaś prawie godziny więcej, by dostać się tam. Pytam więc: co cię zatrzymało?
 - Cassidy, powiedziałam, że znalazłam się w hotelu około północy. Równie dobrze mogła być wtedy dwudziesta trzecia albo dwudziesta trzecia trzydzieści. Zaznaczyłam wyraźnie, że nie jestem pewna.
 - Kłamiesz! - Uderzył pięścią w swoją dłoń. Claire cofnęła się o krok.
 - Pojechałaś po matkę dopiero około północy, ponieważ wcześniej nie rozmawiałaś bezpośrednio z André. Kiedy zadzwonił do ciebie o dwudziestej trzeciej, mówił do maszyny, nieprawda? Później sama musiałaś do niego zadzwonić. - Szedł obok niej noga przy nodze. - Nie było cię w domu o dwudziestej trzeciej. Powiedziałaś mi dzisiaj, że jeśli jesteś u siebie, zawsze osobiście odbierasz telefony, zgadza się? André zostawił wiadomość na taśmie, więc dowiedziałaś się, gdzie jest Mary Catherine, zaraz jak wróciłaś i stwierdziłaś jej zniknięcie. Serce Claire zaczęło bić mocniej.
 - Mogę to wyjaśnić.
 - Daruj sobie. Mam dość twoich kłamstw. Mam rację, prawda? - Pochwycił jej ramię i przyciągnął ją blisko do siebie. - Prawda?
- Była poruszona kontaktem z jego silnym ciałem, ale jednocześnie oburzona bezwzględnością, z jaką ją potraktował. Wyszarpnęła ramię z uścisku.
- Tak, masz rację - rzuciła. - Mam zwyczaj zaglądania do pokoju mamy, gdy wracam. Tamtej nocy jej łóżko było puste, brakowało walizki, dlatego od razu zorientowałam się, co się stało. Już miałam wyjść, by jej szukać, kiedy zauważyłam światelko przy telefonie. Natychmiast zadzwoniłam do André. Powiedział mi, że spostrzegł mamę w hotelowym hallu, zapro-

wadził ją do swojego biura i poczęstował cherry. Mama była rozkojarzona i zdezorientowana, kiedy do niej dotarłam. Zabrałam ją do domu i położyłam do łóżka. Oto cała prawda.

- Ach, wierzę ci, Claire - odrzekł. - Chcę tylko dowiedzieć się, gdzie, do diabła, byłaś od zakończenia spotkania z Wilde'em do północy. Może dwa razy pojechałaś do hotelu? Pierwszy raz, by zamordować kaznodzieję, drugi - aby odebrać matkę? Nie odezwała się.

- Czemu na przykład nie powiesz, że przez cały ten czas pływałaś po rzece barką? - zapytał, podnosząc głos.

- Byłam na spacerze.

Spodziewał się bardziej wyszukanego kłamstwa. Prostota jej wyjaśnienia rozbroiła go.

- Na spacerze?

- Tak. Na długim spacerze. Sama. Po dzielnicy.

- O tej porze nocy? - zapytał z powątpiewaniem.

- Często to robię. Zapytaj Yasmine. Ona bez przerwy suszy mi głowę z tego powodu.

- Yasmine podtrzymałaby każde twoje kłamstwo.

- To nie kłamstwo. To prawda.

- Dlaczego więc wybrałaś się na spacer właśnie w tamtą noc?

- Byłam rozstrojona.

- Morderstwo z pewnością rozstraja.

Odwróciwszy się na pięcie, ruszyła w stronę Francuskiego Jedwabiu.

- Nie muszę tego wysłuchiwać.

- Pewnie, że musisz. - Błyskawicznie wyciągnął rękę i szarpnięciem za rękaw zmusił ją, by odwróciła się z powrotem. - Kończy się moja królewska cierpliwość, panno Laurent. W tej chwili powinienem zabrać cię tam, gdzie pobraliby od ciebie odciski palców, a potem umieścili za kratkami. Nie będziesz wyglądała tak ponętnie, gdy ubiorą cię w strój koloru zielonkawych rzygowin. A bielizna, którą tam dostaniesz, nie przypomina tej z katalogu Francuskiego Jedwabiu. Ze strachu przeniknął ją zimny dreszcz. Niczego nie bała się tak bardzo jak uwięzienia. Przerazała ją nie klaustrofobia, lecz utrata wolności. Nie była zdolna do tolerowania ustawicznego nadzoru, braku wyboru, pozbawienia prywatności i niezależności. Twarz Cassidy'ego stężała od gniewu. Kosmyk czarnych włosów opadł mu na czoło. Jego przenikliwe oczy żądały wyjaśnień. Po raz pierwszy bała się go naprawdę. W każdej chwili mógł rzeczywiście stracić cierpliwość i urzeczywistnić

swoją groźbę. Musiała zacząć mówić, i to mówić jak najszybciej, ponieważ za nic w świecie nie chciała spędzić nocy, a nawet jednej minuty w więzieniu.

- Przyjechałam z kruczaty do domu i...

- O której godzinie?

Nerwowo przeczesła palcami włosy.

- Przysięgam, że nie pamiętam dokładnie. Chyba krótko po dziesiątej.

- Niech będzie. Impreza skończyła się o dziewiątej trzydzieści. Biorąc pod uwagę chwilowo wzmożony ruch, można założyć, że byłaś tutaj koło dziesiątej.

- Harry została z mamą. Zwolniłam ją, kiedy wróciłam do domu, chociaż później żałowałam tego. Byłam niespokojna, nie mogłam zasnąć. Próbowalam pracować, ale moje myśli krążyły wyłącznie wokół Jacksona Wilde'a.

- Czemu?

- Widziałam go w telewizji, ale to było nic w porównaniu z wrażeniem, jakie odniosłam, widząc go osobiście. Był bardzo dynamicznym mówcą. Emanowała z niego wielka siła, doskonale panował nad publicznością. Chociaż nie zgadzałam się z ani jednym jego słowem, byłam pod wrażeniem jego charyzmy i przekonania, z jakim wygłaszał swoje kazanie. Siedzący wokół mnie ludzie byli pod jego wrażeniem. Aż do tego wieczoru nie traktowałam go poważnie. Zaczęłam się obawiać, że on naprawdę jest w stanie zniszczyć Francuski Jedwab. Kiedy zesłam do podium i spojrzałam mu w oczy, poczułam się jak Dawid patrzący w twarz Goliatowi.

Utkwiła w Cassidym błagalny wzrok.

- Gdybyś wiedział, ile znaczy dla mnie moja firma, zrozumiałbyś, co czułam tamtej nocy. To była panika.

Wszystkiemu, na co pracowałam tak ciężko, zagrażała przemożna siła. Wydawało mi się, że cały mój dorobek idzie na marne. Cassidy powiedział łagodnie:

- Rozumiem to, Claire, lepiej, niż sądzisz. - Potem jego twarz raz jeszcze przybrała surowy wyraz. - Czy czułaś się tak bardzo przerażona, żeby wślizgnąć się do hotelowego apartamentu i zastrzelić go?

Spojrzała w bok.

- Już mówiłam: poszłam na spacer.

- Wymyśl coś lepszego.

- To prawda! Miałam wrażenie, że grunt usuwa mi się spod nóg. Czułam się stłamszona. Nie mogłam jasno myśleć.

Słowa

Wilde'a ciągle dźwięczały mi w uszach. Musiałam wyjść na świeże powietrze. - Nagle jej oczy z powrotem spoczęły na nim. - Poprowadzę cię.

- Dokąd?

- Poprowadzę cię trasą, którą wybrałam tamtej nocy. Pokażę ci dokładnie, którądy szłam. Spróbuję utrzymać to samo tempo co wtedy, dzięki czemu okaże się, dlaczego André nie zastał mnie w domu.

Zmarszczywszy brwi, zastanawiał się przez moment.

- Dobrze. W którą stronę idziemy?

Ujął ją pod łokieć. Zeszli z krawężnika i przecięli ulicę. Większość budynków po tej stronie Conti Street była pusta i pogrążona w ciemności. Ich okna i drzwi zabezpieczono stalową siatką.

- Nie boisz się nocą spacerować tutaj samotnie, Claire?

- Wcale. - Zerknęła w jego stronę. - A ty bałbyś się?

- Jak cholera - mruknął, oglądając się przez ramię. Roześmiała się i pokierowała nim obok zdradliwej pochyłości w starym chodniku.

- Widzę, że całkiem dobrze znasz topografię terenu.

- Bardzo dobrze. Dorastałam bawiąc się na tych chodnikach. - Pokazując na zakład cukierniczy z różowymi markizami powiedziała: - Tutaj robią wyborne praliny. Czasami trafiała się nam, dzieciom, nie lada gratka i dostawaliśmy te, które połamały się i nie nadawały do sprzedaży. Za rogiem skręcimy w prawo.

W milczeniu przeszli wzdłuż szarego budynku, w którym mieściła się niegdyś siedziba Stanowego Sądu

Najwyższego. Skręcili w Royal Street i przystanęli przed sklepem z antykami.

- Tamtej nocy również zatrzymałam się tutaj, aby obejrzyć wystawę. Zwróciłam uwagę na broszkę z diamentami i szmaragdami... O, leży tam, w trzecim rzędzie, druga od lewej. Widzisz?

- Mhm. Śliczna.

- Też tak uważam. Zamierzałam wrócić i przyjrzeć się jej dokładnie, ale dotychczas nie miałam okazji.

Zanim ruszyli dalej, jeszcze przez kilka chwil przyglądała się biżuterii i oksydowanym srebrnym sztućcom.

Po przeciwnej stronie ulicy z miejscowego komisariatu wyszło dwóch policjantów. Skinęli uprzejmie głowami.

Jeden z nich powiedział coś do Claire po francusku. Jego towarzysz pozdrowił ją zwykłym: - Dobry wieczór, panno Laurent. - Ten

pierwszy zrobił zdziwioną minę, jakby rozpoznał Cassidy'ego, lecz nic nie powiedział.

W oknie sławnej restauracji Brennana Claire zaczęła studiować jadłospis. Miała świadomość, że Cassidy przygląda się jej uważnie.

- Nie jesteś żonaty, prawda, Cassidy?

- Czy to po mnie widać?

- Nie. Tylko że większości żon nie odpowiadałyby twoje godziny pracy. - W duchu była zadowolona, że do swoich grzechów nie musiała zaliczyć całowania żonatego mężczyzny.

- Byłem żonaty - powiedział. - Ale był to związek bez przyszłości.

- Pozostał żal? Wzruszył ramionami.

- W każdym razie nie do niej. Rozstanie wyszło na dobre nam obojgu. Dla mnie pewnie najbardziej liczyła się moja kariera, praca. Podobnie jest chyba w twoim przypadku. - Zamilkł, dając jej okazję do komentarza.

Ona jednak postawiła następne pytanie:

- Macie dzieci?

- Nie. Nigdy jakoś do tego nie dojrzelśmy. I to także wyszło nam na dobre. Nie chciałbym fundować moim dzieciakom rozwodu. - Zatrzymał się przed sklepem, którego okna zabezpieczone były przed włamaniem. - Sklep z bronią. Wcałe dogodnie położony.

- Nic lepszego nie przychodzi ci do głowy, Cassidy?

- Po namyśle dochodzę do wniosku, że jesteś za sprytna, by kupić broń tak blisko domu i w okolicy, gdzie jesteś bardzo dobrze znana.

Przyjrzała mu się przenikliwym wzrokiem.

- Sprawdziłeś, prawda?

- Mhm.

Kilka kroków dalej znajdował się sklep z kolczykami.

- Yasmine należy do najlepszych klientek tego sklepu - powiedziała, gdy ze zgrozą przyglądał się nieprzebranej ilości ozdób. W tej ekskluzywnej dzielnicy handlowej większość sklepów była już zamknięta. Cisza zdawała się otaczać ich ze wszystkich stron. Od Bourbon Street dzielił ich jeden budynek, lecz równie dobrze mogło to być sto mil. Od czasu do czasu kilka słodkich dźwięków jazzowej trąbki przecinało parne powietrze, by po chwili odpłynąć gdzieś w dal niby dusze potępieńców w poszukiwaniu spokoju.

Przez misternie wykonane stalowe bramy można było dostrzec wewnętrzne podwórza, gdzie szemrała woda w omszałych fontannach, migotały gazowe lampy i gdzie mury ze starych, tu i ówdzie popękanych cegieł skrywały swoje tajemnice.

Minęli kosz na śmieci, do którego bury kot zakradł się na kolację. Dwie pary, ubrane w długie, luźne bluzy, szły ulicą chwiejnym krokiem, śmiejąc się i głośno rozmawiając. Starszy mężczyzna z wystrzępioną brodą, w ciężkim, nieodpowiednim na tę porę roku płaszczu, nonszalancko ulżył sobie pod płotem otaczającym park. Dwoje starszych, eleganckich ludzi ukloniło się mówiąc: „Dobry wieczór”. Młody mężczyzna w obcisłych, czarnych dżinsach, czarnym swetrze i z mocnym makijażem na twarzy przesłał Cassidy'emu pocałunek, ściągawszy błyszczące szkarłatem usta.

W St. Peter Street skręcili przed Royal Cafe. Claire wyciągnęła rękę w kierunku podwójnego balkonu na pierwszym piętrze budynku.

- Myślę, że nie ma piękniejszego w całej dzielnicy.

Plac Jacksona zamykano na noc, ale pobliskie sklepy i bistra nadal były otwarte.

- Chętnie wypiłabym filiżankę cappuccino - powiedziała, kiedy zatrzymali się przed małym, intymnym barem. Dwa stoliki pod gołym niebem zajmowali zakochani, którzy, obojętni na to, co się wokół nich działo, zajęci byli wyłącznie sobą. - Czuję też smakowity zapach pączków...

Ruchem głowy pokazała na Cafe du Monde. Czekać na przejście stanęli przy krawężniku o kilka kroków od miejsca, gdzie samotny saksofonista grał dla pieniędzy, które przechodnie wrzucali wprost do leżącego na chodniku kapelusza. Woźnica konnego powozu i uliczny artysta malarz wdali się w przyjacielski spór na temat rozgrywek futbolu amerykańskiego.

- Zgadzasz się z artystą - oświadczyła Claire. - Święci muszą wzmocnić linię obrony, jeśli marzy im się wejście do finału.

- Rozumiesz, o czym mówią ci faceci? - zapytał Cassidy.

- A ty nie? - Ospała klacz, zaprzężona do powozu, miała na łbie ogromny, miękki kapelusz z rondem otoczonym wiankiem sztucznych kwiatów pelargonii. Claire, schodząc z chodnika, pogładziła jej pysk.

- A ja ani słowa. Prawie przez rok, od kiedy tutaj mieszkam, miałem wrażenie, że żyję w obcym kraju. Musiało upłynąć nieco czasu, zanim przyzwyczałem się do miejscowego akcentu, ale czasami mam z tym pewne kłopoty.

- Ale mnie rozumiesz bez żadnych trudności.

- Zrozumieć ciebie, Claire, to dla mnie największa trudność. Skierowała się do stolika na tarasie Cafe du Monde. Cassidy

po dżentelmeńsku podsunął jej chromowane krzesło. Podszedł kelner w długim białym fartuchu; rozłożył ręce w geście powitania.

- Panno Laurent, *bonsoir*. Jak miło widzieć panią znowu.

- *Merci* - powiedziała, kiedy pochylił się i pocałował jej dłoń. - Claude, przynieś nam, proszę, kilka pączków i dwie kawy *au lait*.

- Jedną chwileczkę - powiedział i energicznie ruszył w kierunku kuchni.

- Jak się domyślam, przychodzisz tutaj często - zauważył Cassidy.

- Pełno tu zawsze turystów, ale mama bardzo lubi to miejsce, więc przyprowadzam ją tu przynajmniej raz w tygodniu na kawę i pączki.

Claude zrealizował zamówienie. Zapach drożdży i aromat kawy odprężyły Claire. Spałaszowała pierwszego pączka, bez żenady zlizując z palców sproszkowany cukier. Na widok cukrowej otoczki wokół ust Cassidy'ego roześmiała się i podała mu ze stołu papierową serwetkę.

Zjedli po trzy pączki, a potem siedzieli w milczeniu, pijąc małymi łykami gorącą kawę zmieszaną z mlekiem. W takich chwilach Claire zawsze na nowo odkrywała i chłonęła nieodparty urok Nowego Orleanu. Jednak Cassidy zbyt szybko wrócił do tematu.

- Tamtej nocy - zaczął - ile czasu tutaj spędziłaś?

- Około pół godziny. Uniósł brwi.

- Tak djugo?

- Pamiętaj- że to jest Vieux Carre. Podobnie jak Europejczycy, którzy niegdyś się tutaj osiedlili, możemy spędzać przy posiłkach długie godziny. Nie spieszmy się. Kiedy przetniesz Canal Street, powinieneś pozbyć się amerykańskiej skłonności do pośpiechu i zacząć cieszyć się życiem. Wtedy oparłam się pokusie zjedzenia jeszcze jednej porcji pączków, ale wypłam dwie filiżanki kawy *au lait*. Na każdą poświęciłam co najmniej dziesięć minut. Na jej prośbę Claude zamienił ich puste filiżanki na pełne. Obserwując obłoczek pary unoszący się znad filiżanki, powiedziała:

- Tamtej nocy mój umysł zaprzętało bardzo wiele spraw. Ale nie myślałam wyłącznie o kaznodziei.

- A o czym jeszcze?

- O mamie. Martwiłam się, kto zaopiekuje się nią, gdyby mnie coś się przydarzyło. Na przykład, gdybym poszła do więzienia. - Odważnie spojrzała mu w oczy. - Myślałam też o nowym katalogu. Zawsze pragnę, by następny był lepszy od poprzedniego. I boję się, że wyczerpią mi się pomysły.

- Taka obawa jest czymś powszechnym wśród twórców.

- Zdaje się. Martwiłam się również o Yasmine.

- Dlaczego?

- To sprawa osobista. - Wyraz jej twarzy prowokował go do nalegania, żeby zdradziła sekret przyjaciółki, ale w końcu się powstrzymał.

- Wygląda na to, że byłaś na zwykłym spacerze. - Oparł się wygodnie i wyciągnął swoje długie nogi. Stare dzinsy leżały na nim dobrze, ciasno opasując uda i lekkim wybrzuszeniem otaczając jego męskość.

Claire starała się skoncentrować na tym, co mówił.

- Przypuszczam, że gdybym zapytał, Claude przysięgłby na święty grób swojej matki, iż spędziłaś tutaj co najmniej pół godziny. - Sądziś, że kłamię, Cassidy?

- Nie - powiedział. - Myślę, że zabrałaś mnie dzisiaj na przechadzkę, abym zobaczył, jak bardzo jesteś w swojej społeczności znana i szanowana i z czym będę musiał się liczyć, jeśli cię oskarżę. Żyjesz w przyjaznych stosunkach nawet z miejscowymi glinami. Dobry obrońca mógłby przebierać w świadkach, którzy są do ciebie pozytywnie nastawieni. A ci, jeśli by nawet nie mogli przysiąc, że tamtej nocy spacerowałaś po dzielnicy, nie mogliby też przysiąc, że nie spacerowałaś.

- Gdybyś ty był moim obrońcą, czy właśnie tak byś postąpił?

- Dokładnie. Jeżeli oskarżyciel nie dysponowałby niepodważalnym, namacalnym dowodem, sprawiłbym, że wyglądałabyś na świętą.

- Jak widzę, znasz te wszystkie sztuczki. Ściągnął usta, spochmurniał.

- Wszystkie.

Cassidy reprezentował sobą znacznie więcej, niż mogło się z pozoru wydawać - zdecydowała Claire. Gazety zajmowały się nim jedynie jako przedstawicielem urzędu prokuratorskiego, a nie jako człowiekiem przeżywającym swoje własne problemy i rozterki. Chciała poznać jego wnętrze, odkryć, dlaczego od czasu do czasu na jego twarzy pojawia się wyraz smutku. Lecz miała swoje własne problemy.

- Nadal wierzysz, że to ja popełniłam to morderstwo, prawda?

Westchnąwszy odwrócił głowę. Przez chwilę zdawał się przypatrywać pomnikowi Andrew Jacksona stojącemu na środku placu po przeciwnej stronie ulicy. Potem oparł się łokciami na małym okrągłym stoliku.

- Moim zdaniem planowałaś to morderstwo od dawna - od czasu, kiedy przeczytałaś w gazecie, że wielbny Wilde przybywa ze swoją krucjatą do Nowego Orleanu. Kupiłaś, pożyczyłaś albo ukradłaś rewolwer. Udałaś się na spotkanie i stanęłaś twarzą w twarz z mężczyzną, którego zamierzałaś zabić. Do tej pory poznałem cię dostatecznie dobrze, aby wiedzieć, że wystarczyłoby ci na to odwagi. Mogło ci się wydawać, że to zaszczyt zabić mężczyznę. Coś podobnego pewnie czuli twoi przodkowie, gdy zgodnie z kodeksem honorowym spotykali się za miastem i pojedynkowali na śmierć i życie. W każdym razie wróciłaś do domu i zwolniłaś Harry. To ryzyko nie opłaciło się, ale wtedy sądziłaś, że Harry w razie czego potwierdzi, iż wróciłaś do domu przed dziesiątą. Pojechałaś do hotelu „Fairmont” i dzięki pomocy André zdołałaś dostać się do apartamentu Wilde'a. Zastrzełaś go, prawdopodobnie podczas snu, a potem wróciłaś do siebie. Ale los spletał ci figła: zniknęła Mary Catherine. Jak na ironię musiałaś pojechać po nią z powrotem do tego samego hotelu. Założę się, że nie było ci specjalnie miło wracać na miejsce zbrodni zaraz po jej popełnieniu.

- To wszystko w ogóle się nie wydarzyło. Nie dostrzegasz, ile luk jest w twojej teorii.

- O, tak. Jest dziurawa jak sito. Właśnie dlatego nie siedzisz jeszcze w więzieniu.

Claire potrzebowała dłuższej chwili, by otrząsnąć się po tej uwadze. Zapytała:

- Jak twoim zdaniem dostałam się do jego apartamentu?

- W prosty sposób. André dał ci klucz. Podczas gdy Wilde był w restauracji, ty weszłaś do środka. Prawdopodobnie schowałaś się w szafie. On przyszedł, wziął prysznic i położył się do łóżka. Poczekałaś, aż zaśnie, a potem go załatwiłaś.

Potrząsnęła głową.

- Ten scenariusz ma pewien słaby punkt, Cassidy. Ja nigdy nie wplętałabym przyjaciela w morderstwo.

- Mogłaś wykorzystać go bez jego wiedzy.

- Podkradając klucz w recepcji?

- Nie, zapoznając się z rozkładem hotelu. Na siódmym piętrze jest kilka zakamarków. Może ukryłaś się za rogiem.

Kiedy

pokojówka weszła do apartamentu, by zmienić pościel, ty wślizgnęłaś się za nią przez otwarte drzwi.

- Bardzo to twórcze. Przyjrzał się badawczo jej twarzy.

- Właśnie, Claire, twórcze. Charakterystycznie. Upiła łyk zimnej kawy. Drżały jej ręce.

- Skąd wiedziałam, że Wilde przyjdzie do apartamentu sam? A może w razie konieczności zamierzałam zabić również panią Wilde?

- Z rozwiązaniem tej zagadki również miałem kłopot. Dopóki Josh i Ariel Wilde nie powiedzieli mi, że „ćwiczyli” każdej nocy. André mógł powiedzieć ci o ich zwyczajach. Założyłaś, że Jackson sam pójdzie do łóżka.

- Wilde'owi nie podobała się moja działalność, więc wyklinał mnie z za swojego pulpitu. Mnie nie podobały się jego kazania, więc go zabiłam. W rezultacie z tego, co mówisz, wynika, że jestem mniej tolerancyjna i bardziej radykalna niż Jackson Wilde. Stawiasz mnie w jednym szeregu z szaleńcami, którzy dzwonią i grożą mi śmiercią.

Cassidy zareagował, jakby ktoś ukłuł go szpilką.

- Miałaś telefony z pogrozkami? Nie mówiłaś mi o tym. Nie zamierzała mu powiedzieć i żałowała, że nie ugryzła się w język.

- Telefonicznych gróźb nie należy traktować poważnie. Wyglądało na to, że jest przeciwnego zdania. Rozejrzał się dookoła, jak gdyby podejrzewając, iż zamachowiec może kryć się gdzieś w mroku.

- Jesteśmy tutaj co najmniej od pół godziny - powiedział wstając. - Chodźmy. - Przytrzymał jej krzesło, a potem ruszył szybkim krokiem wzdłuż chodnika, lecz zatrzymał się, gdy uświadomił sobie, że nie ma przy nim Claire. - O co chodzi? -zawołał przez ramię.

- Przed powrotem do domu zrobiłam jeszcze jeden przystanek. Tam - powiedziała, ruchem głowy wskazując w kierunku rzeki.

Podszedł do niej.

- Dobrze, prowadź.

Przecieli mały placyk poświęcony pamięci poległych żołnierzy i weszli na wyłożony płytami fragment brzegu zwany Księżycową Promenadą. Poniżej między kamieniami chlupotały cicho fale, choć na rzece nie było żadnego ruchu. Światła z przeciwległego brzegu odbijały się w wodzie, która pachniała - i nie było to nieprzyjemne - morzem, ropą i szlamem. Claire

lubiła ten zapach, niesiony wilgotną bryzą, łagodną i delikatną jak wszystko, co dobre na Południu. Księżycowa Promenada jak magnes przyciągała turystów z aparatami fotograficznymi i kamerami. Była ulubionym miejscem żebraków, prostytutek, pijaków i zakochanych. Tej nocy jednak niewielu przechodniów tutaj zawitało. Kiedy mijali parę objętą na parkowej ławce, twarz Cassidy'ego przybrała wyraz rozdrażnienia.

- Mogłabyś w końcu przestać mnie dręczyć i przyznać się.

- Nawet jeśli tego nie zrobiłam?

- Do licha, nie. Takich chętnych mamy dosyć. Już do tej pory czterech szaleńców przyznało się do zamordowania Wilde'a. - Dziwi mnie twoje lekceważące nastawienie.

- Dla tych facetów przyznawanie się do różnych przestępstw to chroniczna choroba. Sprawdziliśmy ich rutynowo, ale żaden z nich tamtej nocy nie przebywał nawet w pobliżu hotelu „Fairmont”. - Przystanęli jakby na mocy milczącego porozumienia i zapatrzyli się na przeciwległy brzeg. Po chwili odwrócił się do niej. Nie poprzedzając tego żadnym wstępem, powiedział:

- W sądzie pracuje pewna stenotypistka. Przedwczoraj zaprosiła mnie do siebie do domu na spaghetti i seks.

Zerknął na nią znacząco, oczekując reakcji. W końcu odezwała się:

- Z pewnością nie owijała słów w bawełnę.

- Co do seksu propozycja była dostatecznie sugestywna.

- Rozumiem. Skorzystałeś?

- Tak.

- O, i jakie wrażenia?

- Kapitalne. - Wszystko nurzało się w czerwonym sosie z małży.

Zrazu zdziwiła się. Dopiero moment później dotarło do niej, że próbował żartować. Chciała się roześmiać, lecz uświadomiła sobie, że nie potrafi zachować obojętności wobec faktu, że on przespał się z inną kobietą.

- Spaghetti było prawdziwą sensacją kulinarną - powiedział.

- Natomiast seks był zaledwie taki sobie.

- Jakże bardzo musiałeś być rozczarowany - wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

Wzruszył ramionami.

- A kilka dni wcześniej przespałem się z moją sąsiadką. To był zew zmysłów. Nie jestem nawet pewny, jak ona ma na imię. Claire nie wytrzymała.

- Usiłujesz zrobić na mnie wrażenie swoimi wyczynami seksualnymi? Nie jestem księdzem. Nie oczekiwałam spowiedzi.

- Pomyślałem, że może chciałabyś wiedzieć...

- Nie chcę. Niby po co?

Niemal brutalnie przyciągnął ją do siebie, jej głowę przytrzymał między swoimi dłońmi.

- Bo oboje tkwimy w tym gównie po uszy, i wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Potem pocałował ją.

Rozdział XIII

Całowanie Claire było czymś znacznie przyjemniejszym niż pieprzenie tuzina innych kobiet. Jej usta były ciepłe, słodkie i świeże, i pragnął pieścić je językiem choćby przez tysiąc lat. Ale to było niemożliwe, więc uwolnił ją i cofnął się o krok.

Oddychała nieco szybciej, a wargi miała wilgotne i rozchylone, lecz poza tym na jej twarzy nie zaznaczyła się żadna reakcja. Była mistrzynią w ukrywaniu emocji. Bez wątpienia umiejętność tę rozwinęła, bo zmuszona była szybko dorosnąć. Musiała radzić sobie z problemami dorosłych i podejmować dojrzałe decyzje w wieku, w którym większość dziewcząt bawi się jeszcze lalkami i wydaje przyjęcia dla pluszowych niedźwiadków.

Ale przecież, do diabła, liczył na reakcję silniejszą niż tylko to chłodne spojrzenie. Prowokował ją opowiadając o dwóch kochankach, potem ją pocałował. Dlaczego nie wyzwała go, nie uderzyła w twarz, nie chciała wydrapać mu oczu?

Przespał się ze stenotypistką z tego samego powodu, dla którego zapukał do drzwi swojej sąsiadki - by uwolnić się od erotycznego napięcia związanego z Claire. Obie próby wyzwolenia się były nieudane. Chociaż stenotypistką niemal rozpaczliwie pragnęła oddać mu całą siebie, w jej nagości nie odnalazł części tego seksu, jaki miała w jego wyobraźni Claire, rozebrana i uległa. W łóżku stenotypistki zaprezentował się nie najgorzej, ale wyłącznie od strony czysto fizycznej. Myślami był nieobecny.

Teraz Claire rozzłościła go swoim chłodem. Przez ostatnich kilka dni męczył się okropnie. Przez cały czas roztaczał wokół siebie aurę przygnębienia.

- Czy właśnie w tym miejscu pozbyłaś się rewolweru?

- Co takiego?

Ponieważ nie rozmawiali przez dłuższą chwilę, nagłe pytanie zaskoczyło ją.

- Przecież mówię wyraźnie. Czy nie przyjechałaś tutaj bezpośrednio z hotelu i nie wrzuciłaś rewolweru do rzeki?

- Nigdy nie miałam rewolweru.

- Nie odpowiedziałaś mi na pytanie, Claire - powiedział

podniesionym głosem. - Masz mnóstwo przyjaciół, którzy mogli postarać się o rewolwer dla ciebie.

- Żaden tego nie zrobił. Nie wiedziałabym nawet, jak się strzela.

- Przestrzelenie facetowi jaj z bliskiej odległości nie wymaga szczególnych umiejętności.

Złożyła ręce na piersi i skuliła ramiona.

- Zimno mi. Możemy już iść?

Był w najwyższym stopniu wyczerpany sytuacją i jej zachowaniem, mimo to zdjął kurtkę i okrył nią jej ramiona.

- Załóżmy, że jednak byłaś tutaj, Claire. Co robiłaś?

- Siedziałam na jednej z tych ławek i patrzyłam na rzekę.

- Siedziałas na ławce i patrzyłaś na rzekę.

- Właśnie.

Oddałby wszystko, co posiadał, a nawet to, co miał nadzieję zdobyć, żeby poznać prawdę ukrytą w spojrzeniu jej spokojnych bursztynowych oczu. Cóż, kiedy nie poznał prawdy. I dopóki nie pozna, będzie igrał z ogniem za każdym razem, gdy znajdzie się w pobliżu Claire.

- Tak, lepiej wracajmy.

Drogę powrotną do Francuskiego Jedwabiu pokonali w milczeniu. Tuż przed drzwiami Cassidy odwrócił ją do siebie.

- Claire, nalegam, abys zwróciła się do adwokata.

- Jak bliski jesteś aresztowania mnie?

- Bardzo bliski. W twojej historyjce roi się od zbiegów okoliczności. Jeśli po prostu nie kłamiesz, to również nie mówisz prawdy. Być może starasz się kogoś osłonić. Nie wiem. W każdym razie nie jesteś wobec mnie szczerą.

Liczysz na jakąś szansę, ale gdy chodzi o morderstwo, reguły gry są bardzo surowe. Dopóki ta sprawa nie zostanie rozwiązana, nie przestanę drażnić. Wcześniej czy później znajdę element, który pomoże mi złożyć wszystko w całość. - Zrobił przerwę, dając jej szansę odparcia zarzutów. Ku jego rozczarowaniu nie odezwała się. - Zaangażuj prawnika, Claire. Przez moment patrzyła gdzieś w przestrzeń, potem podniosła na niego wzrok.

- Nie, nie zrobię tego. Mam prawnika, który czuwa nad moimi kontraktami, i księgowego, który załatwia sprawy podatkowe. Obu zatrudniłam z konieczności, lecz nie zamierzam zrezygnować z zajmowania się czymś, co w moim pojęciu dotyczy wyłącznie mnie. - Wzięła głęboki oddech. - Nie powierzę mojego życia obcemu człowiekowi. W ocenie tego, co jest dla mnie dobre, a co złe, bardziej ufam własnemu instynktowi

niż komuś obcemu. Kiedy byłam dzieckiem, pracownicy opieki społecznej i sędziowie, ci wszyscy tak zwani eksperci, próbowali wmówić mi, że najlepszą dla mnie rzeczą będzie życie z dala od ludzi, których kocham. Albo strasznie się mylili, albo byli kłamcami bez sumienia. Tak więc nie mam zaufania do systemu, w którym przyszło mi żyć, Cassidy. - Ściągnęła z ramion kurtkę i cisnęła nią w jego kierunku. - Dziękuję za radę, ale niepotrzebny mi prawnik.

- Rób, jak uważasz - powiedział niecierpliwie. - Chociaż sędzę, że popełniasz błąd.

- Przynajmniej będzie to mój błąd.

- I nie opuszczaj miasta.

- Pojutrze wyjeżdżam do Missisipi.

To spadło na niego jak grom z jasnego nieba.

- Po jakie licho?

- Tam właśnie wykonamy zdjęcia do następnego katalogu.

- Odwołaj to. Albo przełoż.

- W żadnym wypadku. Termin został ustalony już przed kilkoma tygodniami. Została wynajęta cała ekipa. Yasmine nie może anulować tych wszystkich ustaleń. Poza tym musimy zrobić zdjęcia, zanim nastanie jesień i póki jeszcze na drzewach są zielone liście. Przecież nie przedstawimy wiosennej kolekcji na jesiennym tle.

- Interesujące, ale nasz system prawny nie przewiduje szczególnej regulacji dla fotograficznych sesji.

- A ja nie uzgadniam swoich interesów z wymogami naszego systemu prawnego. Twój wybór jest ograniczony, Cassidy. Albo szybko mnie aresztujesz, albo pozwolisz mi wyjechać.

Miał związane ręce. Wiedziała o tym tak samo dobrze jak on. Bez dowodu, na którym mógłby w przyszłości oprzeć oskarżenie, nie mógł jej aresztować; podobnie nie mógł aresztować Ariel i Josha.

Instynktownie wyczuła jego dylemat. Uśmiechnęła się.

- Dobranoc, Cassidy.

- Cholera! Bawi cię to, prawda? - Błyskawicznym wyrzutem ręki pochwycił ją za twarz. Jego palce wbiły się w jej policzki. - Posłuchaj - powiedział, nachylając się nad nią - do tej pory starałem się wątpliwości rozstrzygać na twoją korzyść. Koniec z tym, rozumiesz? - Nachylił się jeszcze bardziej, a jego głos zamienił się w złowrogi pomruk. - Pewnie, że chcę cię przelecieć, ale nie bierz sobie tego zanadto do głowy. Bo przede wszystkim chcę oskarżyć i doprowadzić do skazania mordercę Jacksona Wilde'a. Nie zrób błędu zapominając o tym, Claire. Być może

dla ciebie to tylko gra, ale ja od tej chwili nie będę grał czysto.

Gwałtownym szarpnięciem wyswobodziła głowę z uścisku i odepchnęła go.

- Dziękuję panu za pączki i kawę *au lait*, panie Cassidy. To pan powinien być moim gościem.

Weszła do budynku i zatrzasnęła drzwi tuż przed jego nosem. Zaklął paskudnie, słysząc szcęk zamka.

Ariel, zniecierpliwiona, rzuciła na podłogę ilustrowany magazyn. Zrobiło się późno, a ona była zaniepokojona. Jej człowiek w Nowym Orleanie obiecał, że zadzwoni do niej bez względu na porę. Lecz teraz było już dobrze po północy.

Na dole Josh grał na fortepianie. Zajmował się tym bez przerwy od kilku godzin. Ciągle tylko te obrzydliwe utwory klasyczne. W żadnym z nich nie potrafiła wychwycić melodii. Każdy brzmiał tak samo jak inne. Nie było do nich słów, jaki więc mogły zawierać sens? Nie rozumiała ludzi, którzy poświęcali się muzyce klasycznej. A jednak Josh, grając na fortepianie tę muzykę, zapominał o wszystkim - o jedzeniu, spaniu, nawet o seksie.

Nie, nie odczuwała braku seksu. Obecnie była skoncentrowana na bardziej istotnych sprawach. Zainspirowana przez nią demonstracja zakończyła się fiaskiem. Pragnęła, by jej ludzie wyglądali jak krzyżowcy wypełniający bożą misję. Zamiast tego tamta obłąkana stara baba z Francuskiego Jedwabiu sprawiła, że wyglądali raczej na bandę bezdusznych, żalonych głupców. Na szczęście doniesienia dziennikarzy o wydarzeniu były bardzo powierzchowne. W końcu Ariel nie pozwoliłaby zrobić z siebie pośmiewiska!

Aby przywrócić sobie wiarygodność, wykorzystała wywiad dla CNN, który, w jej krytycznej ocenie, wypadł wyjątkowo pomyślnie. Nie posuwając się do jawnego zniesławienia, dała do zrozumienia, że Claire Laurent jest osobą tchórzliwą, która odmówiła stanięcia do publicznej debaty, że jest pierwszą podejrzaną w sprawie o morderstwo i że ona oraz wszyscy mający związek z Francuskim Jedwabiem są pozbawionymi morale szumowinami. Dobrze, że w Nowym Orleanie znalazł się oddany wyznawca, który wiedział o pozamałżeńskim pochodzeniu Claire Laurent. Ariel planowała eksploatację tego tematu: z braku moralności rodzi się brak moralności.

Lecz Claire Laurent pojawiła się dzisiaj w programie CNN. Wyglądała po królewsku jak Księżniczka Gracja w pełni blasku,

mówiła z miódopłynną melodyjnością, która zdawała się ocza-rowywać prowadzącego wywiad - i prawdopodobnie większość oglądającej publiczności. Wypowiadała się jasno i bezpośrednio, nie popadając przy tym w napastliwość. Oceniała Ariel jako osobę karmiącą się iluzjami, lecz jednocześnie nie pozostawiła wątpliwości, że skorzysta z dostępnych środków prawnych, jeśli nie zostawi się jej w spokoju.

W sumie już dwa razy udało się jej przedstawić organizację Jacksona Wilde'a jako gromadę fanatycznych idiotów. Ariel po prostu nie życzyła sobie dłużej tego znosić. Ale nawet ktoś tak opanowany i zimnokrwisty jak Claire Laurent musiał mieć swoje sekrety. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć jej konsekwentne trzymanie się podejrzanie dobrych manier?

Idąc tym tropem, Ariel wynajęła pewnego człowieka, by miał oko na jej przeciwniczkę i składał codzienne sprawozdania. Kiedy zadzwonił telefon, niemalże rzuciła się w jego kierunku. Jak się okazało, była to rozmowa, na którą czekała.

- Trafiliśmy w dziesiątkę za pierwszym podejściem - powiedział rechocząc mężczyzna po drugiej stronie linii. - Mimo że tak bardzo wypierała się w telewizji, w dalszym ciągu pozostaje główną podejrzaną. Dzisiaj w nocy Cassidy odwiedził ją ponownie.

Ariel oparła się wygodnie plecami o stos poduszek.

- Naprawdę? Jak długo ją przesłuchiwał?

- Poszli na długi spacer po francuskiej dzielnicy.

Im dłużej słuchała relacji o ostatnim spotkaniu Claire Laurent z przystojnym, młodym, seksownym prokuratorem, tym szybciej pracowały jej szare komórki. Tak bardzo była pochłonięta analizowaniem pierwszej informacji, że niemal przegapiła najbardziej sensacyjną wiadomość.

- Co proszę? - zapytała. - Nie przesłyszałam się? Co oni zrobili? ^

- To prawda, pani Wilde. Dobrze pani usłyszała. Pocałowali się.

Już do końca całego sprawozdania słuchała bardzo uważnie. Potem powiedziała:

- Dziękuję ci, bracie. Liczę na dalsze szczegółowe relacje o rozwoju wypadków. Chcę wiedzieć wszystko. Pamiętaj, jesteś moim okiem i uchem. - Po chwili zastanowienia dodała: -Niech Bóg cię błogosławi, a ja będę się za ciebie modliła.

Josh wszedł do pokoju w momencie, gdy odkładała słuchawkę.

- Któż to dzwoni o tej porze? - Ściągnął przez głowę bawełnianą koszulkę i zaczął zdejmować resztę rzeczy.

- Ten facet z Nowego Orleanu, który zorganizował pikietę przed Francuskim Jedwabiem.
- Co za blamaż - mruknął pod nosem. Zdejmując tenisówki, zakołysał się najpierw na jednej nodze, później na drugiej.

Ariel nie знаła słowa „blamaż”, ale nie spodobało się jej jego brzmienie i poczuła się osobiście dotknięta.

- Przecież nie mogliśmy przewidzieć, że zwariowana mamuśka wpadnie na pomysł uspokojenia wrogiego tłumu.

Wślizgując się obok niej do łóżka, Josh zachichotał.

- Liczyłaś na prawdziwe fajerwerki, a skończyło się na ponczu i ciasteczkach.
- To wcale nie jest zabawne - powiedziała. Uwolniła się od jego ręki, którą objął ją w pasie, odrzuciła pościel, wstała i zapaliła papierosa. Rozerwała paczkę z ciastkami „Ding Dongs”; jedno z nich wsunęła do ust.
- Chciałabym, żebyśmy wreszcie jutro wyruszyli w naszą trasę - oświadczyła niewyraźnie, przeżuając duży kęs „diabelskiej słodyczy”. - Odwiedzimy kilka miast i odbędziemy tylko po jednym spotkaniu w każdym. - Jej umysł pracował teraz na najwyższych obrotach. - Nadamy im specjalny charakter. Nazwiemy je nadzwyczajnymi spotkaniami modlitewnymi w intencji pochwylenia i skazania mordercy Jacksona.

Stęknąwszy Josh położył dłoń na czole i zamknął oczy.

- Ariel, takie posunięcia trzeba starannie zaplanować. Musisz najpierw wynająć odpowiednie...
- Nie dbam o to! - wykrzyknęła. - Czemu nie mielibyśmy występować na stadionach? Chcę mieć jak największą publiczność, sprawną obsługę prasową i chcę, byś ty - powiedziała, mierząc w niego wskazującym palcem - wyglądał na pogrążonego w głębokim smutku.
- Będę musiał pożyczyć od ciebie cienie do powiek.
- Idź do diabła!

Wróciła do łóżka, lecz przedtem zażyła jeszcze dwie tabletki na zmniejszenie ilości kalorii w organizmie.

- Nie teraz - burknęła, gdy Josh przekreślił się do niej i położył dłoń na jej piersi. - Zbyt wiele muszę przemyśleć.
- I bardzo dobrze - odrzekł. - Jesteś tak chuda, że kiedy się kochamy, grzechoczą twoje kości.
- Odpierdol się.
- To właśnie chciałem zrobić, tylko... - Śmiejąc się skrył twarz w poduszce.

Była za bardzo podekscytowana, by zasnąć. Na dodatek zawsze pochłaniała takie ilości kofeiny i cukru, że rzadko

sypiała dłużej niż trzy, cztery godziny na dobę. Cienie pod jej oczami nie miały nic wspólnego z zabiegami kosmetycznymi.

W myślach robiła przegląd wszystkiego, co wiedziała o Claire Laurent. Kobieta z klasą - przyznała przed sobą niechętnie. Wysoka. W naturalny sposób ujmująca. Znakomicie ubrana. Klasyczne rysy. Należała do tego rodzaju kobiet, do którego Ariel aspirowała, choć w głębi duszy wiedziała, że bezskutecznie. Nawet gdyby zaczęła się starać od dziś do sądnego dnia, i tak nigdy nie osiągnie owej chłodnej elegancji. Człowiek rodzi się z tym albo nie.

Claire Laurent odbyła długi spacer po francuskiej dzielnicy z asystentem prokuratora okręgowego Cassidym, który na Ariel zwykł patrzeć podejrzliwie i ze źle ukrywaną drwiną. Zdawał się wiedzieć, że bez względu na to, jak często i starannie się myła, nigdy nie czuła się całkowicie czysta. Pocałował Claire Laurent! Wstyd, wstyd. Bogactwo możliwości wykorzystania tego rarytasu przyprawiało Ariel o zawrót głowy, niemalże rekompensując jej przykre uczucie zawiści.

Ta wyniosła suka wykiwała prokuratorka. To było jasne jak słońce. Czy on myśli, że ktoś tak pyszałkowaty jak Claire nie jest zdolny do popełnienia morderstwa? „Przemyśl pan to jeszcze raz, panie Cassidy”.

Jakkolwiek by na to spojrzeć, nie wywiązywał się dobrze ze swoich obowiązków. Jutro rano - nawet jeszcze przed zwołaniem konferencji prasowej, na której dziennikarze dowiedzą się o nowym cyklu programów pod tytułem „Ariel Wilde godzina modlitwy i dziękczynienia” - miała do odbycia bardzo istotną rozmowę telefoniczną.

Cassidy'ego ostrzeżono, że Tony Crowder wścieka się od rana, więc wcale się nie zdziwił, kiedy został wezwany do natychmiastowego stawienia się przed jego oblicze.

- Czekaj na ciebie, Cassidy - poinformowała go sekretarka, uśmiechając się współczująco. - Po prostu wejdź.

Wszedł, przybrałszy beztroski wyraz twarzy.

- Dzień dobry, Tony. Zdaje się, że chciałeś widzieć się ze mną? - Crowder utkwiał w nim zza biurka ciężkie spojrzenie. Cassidy usiadł i założył nogę na nogę. - Dobrze, że mnie wezwałeś. Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

- Odbieram ci sprawę o zabójstwo Jacksona Wilde'a.

- Co? - Stopa Cassidy'ego opadła na podłogę z takim impetem, że aż zagrzechotała filiżanka na biurku jego szefa.

- Dobrze mnie słyszałeś. Masz to z głowy. Twoje obowiązki przekazuję Nance'owi.
- Nie możesz.
- Już to zrobiłem. A przynajmniej zrobię, zaraz jak tylko skończymy.
- Do diabła! - Cassidy poderwał się z krzesła. - Dlaczego tak postanowiłeś?
- Powiem ci, dlaczego - zagrzmiał Crowder. - Dostaje mi się za ciebie po dupie od wszystkich. Od burmistrza, sędziów, szczególnie od tego twardogłowego Harrisa, i kongresmanów. Nawet zdziwaczały gubernator wtrącił swoje trzy grosze. Sram i rzygam tym, co ma związek z Jacksonem Wilde'em. A twoje działania nie rokują szybkiego zakończenia sprawy, której ja mam serdecznie dosyć.

- Staram się.

- Kręcąc się wokół Claire Laurent.

Cassidy przypadkowo dostrzegł dziwny błysk w oczach przełożonego. Zaniepokoił się nieco.

- Między innymi.

- A tak dokładnie: czego oczekujesz od Claire Laurent?

- Odniosłem wrażenie, że coś kryje się za tym pytaniem. Ani na chwilę nie odrywając wzroku od Cassidy'ego, Crowder podniósł filiżankę i siorbnął z niej.

- Dzisiaj rano zadzwoniła do mnie Ariel Wilde.

- W porządku, rozumiem - powiedział Cassidy, odetchnąwszy z ulgą. - Na pewno przypomniała ci, że jeszcze nie aresztowaliśmy mordercy jej męża, a ty poczułeś się w obowiązku popędzić mi kota. Czy o to właśnie chodzi?

- Częściowo. Jest coś jeszcze.

- Mianowicie?

- Czy nie zabrałeś właścicielki Francuskiego Jedwabiu na romantyczny spacer przy świetle księżyca?

Chociaż serce podeszło mu do gardła, Cassidy zdołał zachować obojętny wyraz twarzy..

- Pojechałem do Francuskiego Jedwabiu, by skonfrontować Claire Laurent z informacjami, jakie otrzymałem z innego źródła. - Opowiedział o telefonach i niezgodnościach w czasie. - Panna Laurent twierdziła, że przez ten czas była na spacerze, pragnąc ochłonać po spotkaniu twarzą w twarz z Wilde'em w trakcie jego ostatniego wystąpienia. Zasugerowała, abyśmy powtórzyli jej trasę.

- Z przystankiem w Cafe du Monde?

- Tak.

- I ze spacerem wzdłuż Księżycowej Promenady?
 - Tak.
 - Tam, gdzie prawdopodobnie pozbyła się broni.
 - Napomknąłem o tym - powiedział Cassidy defensywnym tonem.
 - I co ona na to?
 - Utrzymuje, że nigdy nie miała w ręku broni i że nie wiedziałyby nawet, jak się nią posłużyć.
 - Nie trzeba być specjalnie dobrym strzelcem, by przestrzelić facetowi jaja z tak bliskiej odległości.
 - O tym również wspomniałem - powiedział Cassidy ze śmiechem.
 - Myślisz, że to jest zabawne?
 - Nie. Śmieję się, ponieważ pomyślałem sobie, że jesteśmy bardzo do siebie podobni.
 - Ach, tak? Ja nigdy nie romansowałem z jakąkolwiek podejrzaną.
- Cassidy skierował wyzywający wzrok na Crowdera.
- Ja również nie.
 - Szpieg Ariel odniósł inne wrażenie.
 - Szpieg? O czym ty, do diabła, mówisz?
 - Nasza droga pani Wilde kazała jednemu ze swoich pacholków mieć oko na Claire Laurent i donosić o wszystkim, co mogłoby się wydawać obciążające lub podejrzaną. Jak do tej pory panna Laurent zrobiła jedną jedyną podejrzaną rzecz: poszła na randkę.
 - To nie była randka!
 - ...z mężczyzną, który prawdopodobnie musiałby stanąć naprzeciwko niej jako oskarżyciel w procesie. Lecz ja wykluczam to prawdopodobieństwo odbierając ci sprawę.
 - Nie możesz mi jej zabrać! - wykrzyknął. - Przecież już wyjaśniłem, jak doszło do tego spaceru.
 - Przestań bawić się grą słów. Człowiek Ariel Wilde złożył bardzo dokładną relację. Opowiedział jej o każdym waszym ruchu, a ona z kolei przekazała wszystkie szczegóły mnie. Okryłeś Claire Laurent swoją kurtką, objąłeś ją i wreszcie pocałowałeś. Zgadza się? Cassidy skinął głową.
 - Według sprawozdania tego szpiega bynajmniej nie był to niewinny całus.
 - Nie - mruknął Cassidy ponuro. - Nie był.
 - Do licha! - Crowder wstał i uderzył pięścią w biurko. - Co ty sobie myślisz?

Cassidy spojrział w bok.

- Gównu. - Po długiej chwili milczenia podniósł głowę. - Wiem, jak to mogło wyglądać dla kogoś, kto nie znał całego kontekstu. Jednak ja ją przesłuchiwałem, Tony.

- I wymieniałeś z nią ślinę! - ryknął Crowder.

Znacznie bardziej łagodnym, rozsądnym tonem Cassidy powiedział:

- Szukałem luk w jej linii obrony, próbowałem odszukać w jej zeznaniach brakujących elementów.

- Jesteś pewny, że istnieją jakieś brakujące elementy?

- Jak najbardziej. Nie wiem, czy ona kłamie, bo chce osłonić siebie czy może kogoś innego, w każdym razie jestem przekonany, że nie mówi całej prawdy. Niestety nie mogę jej aresztować, opierając się tylko na własnych przeczuciach.

- Niestety? - Prokurator okręgowy studiował jego twarz przenikliwym wzrokiem. - Chcesz mi wmówić, że nie uważasz tej kobiety za atrakcyjną?

- Nie. - Cassidy spojrział mu prosto w oczy. - Przeciwnie, sądzę, że jest w najwyższym stopniu atrakcyjna.

Crowder opadł z powrotem na krzesło i przesunął dłonią po swoich mocno przerzedzonych włosach.

- Powinienem być zostać dentystą, jak mi radziła moja dobra matka. - Mrukliwie dodał: - Przynajmniej nie próbowałeś mnie okłamywać. Wiedziałbym, gdybyś próbował. Już rozniosły się pogłoski.

- Jakie pogłoski?

- Że bardzo pociąga cię panna Laurent. Glenn poskarżył się komisarzowi, a ten przyszedł z tym do mnie.

- Chryste! - wykrzyknął ze złością. - Glenn nie miał prawa...

- Cholera, właśnie, że miał. To również jego sprawa, nie zapominaj o tym. On nie chce, aby mu wszystko przepierdolił prokurator, który zamiast głowy nosi na karku walentynkę. - Rozłożył ręce. - Naprawdę nie chcę ci tego robić, chłopcze, ale nie mam wyboru. Muszę odebrać ci tę sprawę.

- Nie, Tony. - Cassidy podniósł się z krzesła i pochylił nad biurkiem Crowdera. - Muszę ją zatrzymać. Postawię zabójcę przed sądem i doprowadzę do jego skazania. Od tego zależy moja kariera. Nie wolno mi pogrzebać takiej szansy. Za nic w świecie.

- Nawet dla kobiety, która cię pociąga?

- Dla niej w szczególności. Crowder zastanawiał się przez chwilę.

- Twoje słowa brzmią dość przekonująco.

- Jestem szczery. - Cassidy zaczął rozważać, czy poruszyć temat, który jego zdaniem nigdy nie nadawał się do dyskusji. Jednakże ostatniej nocy oświadczył Claire, że za wszelką cenę będzie dążył do zwycięstwa. Crowder również powinien być o tym przekonany. - Pewnie nieraz zachodziłeś w głowę, Tony, dlaczego zrezygnowałem z pracy w izbie adwokackiej i zatrudniłem się u ciebie.

- Owszem, byłem ciekaw, co cię skłoniło do porzucenia lukratywnej praktyki w zamian za pensję, którą u nas otrzymujesz. Lecz po przyjrzeniu się twoim sukcesom i porażkom doszedłem do wniosku, że warto mieć takiego współpracownika, i nie chciałem wgłębiać się w szczegóły twojego życiorysu. Dlaczego teraz zacząłeś o tym mówić?

Spacerując tam i z powrotem po gabinecie Crowdera, Cassidy rozpoczął swoją opowieść.

- Jak raczyłeś zauważyć, miałem dochodową praktykę. Udało mi się wygrać dość imponującą ilość spraw albo uwalniając moich klientów od zarzutów, albo namawiając ich do przyznania się do drobnych przestępstw w zamian za gwarancję, że nie będą oskarżeni o znacznie poważniejsze. Ja natomiast byłem cholernie z tego zadowolony i bardzo pewny siebie.

- Znam ten typ.

Cassidy skwitował uwagę Crowdera ponurym skinieniem głowy.

- Pewnego dnia zgłosił się do mnie szczególny klient z listą poręczycieli długą jak moja ręka. Został skazany za napaść, ale odsiedział zaledwie drobną część swojego wyroku, po czym zwolniono go warunkowo. Po kilku tygodniach na wolności zadzwonił do mnie. Powiedział, że bardzo mu mnie polecano i że słyszał, iż nie obawiam się żadnej sprawy. A ponieważ znowu popadł w tarapaty, liczy, że ja go z nich wyciągnę. - Przerwał na chwilę, zamknął oczy i dodał: - Najgorsze, Tony, było to, że ja co do tego miałem niemal pewność. Wziąłem jego sprawę. Tym razem oskarżono go o czynną napaść na kobietę, chociaż tej udało się uciec, zanim zdążył ją zgwałcić.

Stanął przy oknie i wyjrzał przez szybę.

- Była śliczna, miała wspaniałą figurę, niewiele więcej niż dwadzieścia lat - powiedział cicho. - Mój klient napadł na nią, gdy wychodziła o zmr.oku z biura. Co do jego zamiarów nie mogło być wątpliwości - złapano go zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej, kiedy jeszcze nie zdążył podciągnąć i zapiąć spodni. Prokurator nie chciał pójść na żaden układ. Chciał widzieć gościa z powrotem za kratkami. Doszło do rozprawy.

Ja mogłem polegać już tylko na swoim talencie do tworzenia przedstawień, a do tamtej pory zdążyłem nauczyć się robić to prawie z naukową precyzją - oświadczył, silnie zaciskając dłonie w pięści. - Postarałem się jak nigdy wcześniej. Pod koniec przesłuchania ława przysięgłych była przekonana, że dziewczyna jest kurwą, która nosi minispódniczki, by kusić swoich współpracowników. Pamiętam, myślałem wtedy, że na całe szczęście ze swoim obfitym biustem doskonale pasuje do mojej koncepcji. Musiałem jedynie zrobić wszystko, by uwaga przysięgłych skoncentrowała się na jej piersiach. Niech to szlag trafi! - Przetarł oczy, pragnąc stępić wyrazistość obrazu, który wiernie przechowywała jego pamięć - obrazu szlochającej, bezbronnej młodej kobiety, znieważonej przez niego na sali sądowej. - Zniszczyłem ją, zrujnowałem jej reputację. Sprawilem, że wyglądała na taką, która uwielbia, kiedy facetom staje na jej widok, tylko że akurat jednego z nich sprowokowała za bardzo i w rezultacie dostała więcej, niż oczekiwała.

Opuścił ręce i patrzył niewidzącymi oczyma przez okienne żaluzje.

- To była błyskotliwie zaaranżowana obrona. Przez cały czas karmiłem media brudnymi szczegółami. Gdyby przysięgli orzekli winę, zawsze mogłem odwrócić kota ogonem i powiedzieć, że mój klient zyskał po prostu przychylność prasy. Lecz przysięgli nie orzekli winy. - W tonie jego głosu czuło się zażenowanie, które ogarniało go zawsze, gdy o tym myślał. - Dali się nabrać na moje przedstawienie. Wypuścili sukinsyna.

- Zrobiłeś dobrze to, za co ci zapłacono - zauważył Tony Crowder.

- Kiepskie wytłumaczenie.

- Co najmniej połowa ludzi ze środowiska poklepałaby cię po plecach i pozazdrościła sukcesu.

- Sukcesu? Ordynarną manipulację ławą przysięgłych i nadużycie funkcji obrońcy nazywasz sukcesem?

- A więc dlatego znalazłeś się za burtą - powiedział Tony. - Kiedy to było, pięć lat temu czy może więcej? Przestań się truć, Cassidy. Rozgrzesz się z tego jednego błędu.

- Mógłbym, gdyby na tym sprawa się zakończyła. Crowder, przygotowany na najgorsze, opadł na oparcie fotela.

- Dwa tygodnie po zakończeniu procesu mój klient porwał ze szkolnego podwórka jedenastoletnią dziewczynkę, zawiózł ją w ustronne miejsce w miejskim parku, zgwałcił na wiele możliwych sposobów i wreszcie udusił gimnastycznym podkoszul-

kiem. A mówię tylko o przestępstwach, które prawo potrafi nazwać. Na określenie pozostałych... brakuje słów.

- Potem zamknąłeś swoje biuro.

Cassidy odwrócił się od okna i stanął twarzą do przelożonego.

- Zamknąłem biuro, zakończyłem ten rozdział mojego życia, uwolniłem żonę z piętna małżeństwa ze mną i wyjechałem z miasta. Wtedy właśnie przyjechałem tutaj.

- Gdzie okazałeś się bardzo pracowity i staranny. Byłeś naszym prawdziwym atutem.

Cassidy wzruszył ramionami, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdoła zapomnieć o swojej winie. Czy kiedykolwiek przekona się, że odpokutował za śmierć tamtej dziewczynki? Czy kiedykolwiek będzie zdolny, by spojrzeć w twarze jej rodziców i powiedzieć: „W końcu wyrównałem rachunki”? Nigdy. Ale nie przestanie próbować.

- Nie chcę już więcej zapomnieć o swoich obowiązkach, Tony. Nigdy nie pozwolę, by psychopata, gwałciciel albo morderca mógł swobodnie grasować pośród normalnych ludzi, których większość i tak nie bardzo nam ufa.

- Ale od czasu do czasu udaje nam się złapać jakiegoś przestępcę.

W spojrzeniu Cassidy'ego było tyle perswazji, na ile tylko było go stać.

' - Nie pograżę cię, Tony, ponieważ nie mogę pograżyć siebie. Przysięgam: dostarczę ci mordercę Wilde'a bez względu na to, kim się okaże.

Crowder przygryzł wewnętrzną stronę policzka.

- Dobrze, dam ci jeszcze kilka tygodni czasu - powiedział niecierpliwie. - Pamiętaj tylko, że nad twoją głową zawisł topór, który w każdej chwili może uderzyć.

- Rozumiem. - Skoro decyzja została podjęta, Cassidy nie widział potrzeby w przedłużaniu spotkania w gabinecie szefa. Poza tym, gdyby zaczął wyrażać wdzięczność, obaj pewnie poczuliby się nieswojo.

Ruszył w kierunku drzwi, ale Crowder zatrzymał go.

- Cassidy, muszę jeszcze o coś zapytać. Kiedy już odnajdziesz ten brakujący element, który bezsprzecznie łączy Claire Laurent z morderstwem, czy będzie dla ciebie problemem wystąpić w roli oskarżyciela, jeśli w razie skazania groziłoby jej dożywotnie więzienie?

Zastanowił się, choć znał już odpowiedź.

- Absolutnie nie. Zrobiłbym to bez żadnych skrupułów.

Wychodząc z biura, jeszcze raz zobowiązał się dotrzymać obietnicy złożonej Claire, Tony'emu i sobie samemu. W żadnych okolicznościach nie pozwoli na mieszanie interesów osobistych z obowiązkami zawodowymi.

Opuścił siedzibę prokuratora okręgowego, przeciął ulicę i wszedł do budynku policji. Glenn siedział za rozklekotanym, odrapanym biurkiem, przytrzymując ramieniem przy głowie słuchawkę telefoniczną. Cassidy podszedł do krawędzi biurka i utkwiał w Glennie świdrujący wzrok.

- Porozmawiamy później - powiedział Glenn do mikrofonu i odłożył słuchawkę.

Cassidy powiedział:

- Kiedy następnym razem będziesz miał mi coś do zarzucenia, nie chodź z tym nigdzie. Wal bezpośrednio do mnie. Zyskasz sobie moją wdzięczność.

- Myślałem, że mój zwierzchnik...

- Źle myślałeś - przerwał mu opryskliwie. - Ja całkowicie panuję nad swoimi emocjami, swoim kutasem i nad całą tą sytuacją. I wkurwiło mnie to, że chciałeś związać mi ręce. Nie rób tego więcej. Jeśli masz do mnie jakiegokolwiek zastrzeżenia, wyłuszczone je teraz.

Glenn przesunął papierosa z jednego kącika ust do drugiego, badawczo przyjrzał się partnerowi.

- Nie, nie mam żadnych zastrzeżeń.

- W porządku. - Cassidy zerknął na zegarek. - Mamy prawie południe. Po lunchu zobaczymy się w moim biurze.

Omówimy kierunki naszych działań na najbliższą przyszłość.

Rozdział XIV

Kiedy państwo młodzi wyszli na zewnątrz z mrocznej katedry Świętego Ludwika, przywitało ich głośnie bicie dzwonów; zostali obsypani przez najbliższych gradem ryżu i życzeń. Panna młoda przystanąła, by pocałować na pożegnanie szlochającą matkę. Uśmiechnięty szeroko pan młody, najwidoczniej przewidując długą rundę pożegnań, niecierpliwie porwał swą świeżo zaślubioną małżonkę w ramiona i zaniósł do długiej białej limuzyny.

Za płotem ze stalowych prętów, który otaczał Jackson Square, wprost naprzeciwko wejścia do katedry stała Yasmine. Przyglądała się romantycznej scenie z mieszanymi uczuciami tęsknoty i cynizmu. Tego samego dnia rano przeczytała w kronice towarzyskiej lokalnej gazety, że kongresman Petrie z małżonką późnym popołudniem ma wziąć udział w uroczystości ślubnej. Yasmine, która przyleciała do Nowego Orleanu wczoraj, przyszła pod katedrę pieszo z Francuskiego Jedwabiu i stanęła za ogrodzeniem w nadziei, że uda jej się zobaczyć swego niesłownego kochanka.

Chociaż wiedział o jej pobycie w Nowym Orleanie, nie skontaktował się z nią. A tak bardzo liczyła, że przed wyjazdem do Missisipi spędzą razem wieczór oddając się miłości. Bez rezultatu czuwała pr.zy telefonie całą wczorajszą noc i dzisiaj od rana.

- Pewnie za bardzo był zajęty przygotowaniem do uroczystości - mruknęła do siebie ze złością, przypatrując się ciżbie gości przeciskających się przez wysokie, wąskie drzwi katedry.

Lecz kiedy go dostrzegła, jej złość natychmiast gdzieś się ulotniła, a serce wezbrało miłością i tęsknotą. Był ucieleśnieniem amerykańskiego snu: przystojny, czarujący mężczyzna sukcesu... z kochającą żoną przy boku dla ozdoby. Dotychczas widywała Belle Petrie jedynie na fotografiach. Zona Alistera była szczupłą blondynką o bladej cerze arystokratki. W żadnym razie nie była kobietą szarą i bez wyrazu, jak wcześniej ją sobie wyobrażała.

Na widok Belle i Alistera razem Yasmine poczuła, jak z za-

zdrości krew uderza jej do głowy, pulsuje w mózgu, rozpiera czaszkę naciskając na oczy i błonę bębenkową. Kiedy Alister przesuwiał się pośród tłumu, potrząsał dłońmi, uśmiechał się, wcale nie wyglądał na człowieka nieszczęśliwego, jakim rzekomo - zgodnie z tym, co o sobie mówił - był. Przeciwnie, wydawał się zadowolony, radosny, jak przystało na człowieka, który owinął sobie świat wokół małego palca. Również Belle nie sprawiała wrażenia osoby, której brakuje czegokolwiek, w szczególności małżeńskiego szczęścia.

Yasmine z wielkim trudem panowała nad sobą. W pierwszym odruchu chciała ruszyć przez bramę i zaatakować brutalnie mężczyznę, który uczynił z niej kobietę tak zazdrosną i zdesperowaną, że posunęła się do szpiegowania. Jakież to byłoby szok dla tych wszystkich odświętnie ubranych gości weselnych, gdyby wobec nich oświadczyła, że Alister Petrie - najlepszy z nich - jest kłamliwym cudzołożnikiem. Mogłaby uraczyć ich niesamowitą opowieścią o tym, co on potrafi robić w łóżku!

Wywołując jednak scenę, wyszłaby na zazdrosną idiotkę, a tego przecież nie chciała. Zachowała jeszcze resztki dumy, choć widok upokorzonego Alistera mógłby jej sprawić wiele satysfakcji.

Kiedy ją dostrzegł, na jego twarzy pojawił się komiczny wyraz osłupienia. Natychmiast przestał się uśmiechać i ze zdziwienia otworzył usta. To ją nieco rozbroiło.

Yasmine przeszła wzdłuż ogrodzenia, patrząc wprost w jego przestraszone oczy. Kiedy minęła bramę, wyglądał, jakby miał za chwilę eksplodować. Czuła perwersyjną przyjemność zbliżając się coraz bardziej do niego. Widziała, jak językiem nerwowo zwilża wargi i jak krople potu pojawiają się na jego czole. W ostatniej chwili skrzyła w bok, niemal ocierając się o niego.

Poszła w kierunku Chartres Street. Chociaż miała ochotę sprawdzić, jakie wrażenie wywarła na Alisterze, nie odwróciła się ani razu.

Do Francuskiego Jedwabiu wróciła akurat, gdy Claire i Mary Catherine jadły obiad. Claire usprawiedliwiła się przed nią:

- Przed jutrzejszym wyjazdem jest jeszcze tyle do zrobienia, że chciałam mieć obiad z głowy wcześniej.
- Nie ma sprawy. Nie jestem głodna. - Yasmine zatrzymała się dopiero przed drzwiami swojej sypialni, które zatrzasnęła za sobą na tyle głośno, by zniechęcić Claire do wizyty.

Długo powstrzymywane łzy napłynęły jej do oczu. Przez następne półtorej godziny przechodziła na przemian od skrajnej wściekłości do czarnej rozpacz. W jednej minucie wyobrażała

sobie, jak zabija Alistera powoli i boleśnie na oczach jego żony, w następnej - że kocha się z nim i nic poza tym nie jest ważne.

Wyczerpana sprzecznymi emocjami leżała na łóżku, kiedy rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

- W tej chwili nie mam ochoty na rozmowę, Claire! - zawołała.
- Nie przeszkadzałabym ci, gdyby nie to, że nadeszła przesyłka dla ciebie.
- Co? - Uniosła się i usiadła. - Przesyłka?
- Tak.

Podeszła boso do drzwi i uchyliła je nieco; Claire podała jej długie, wąskie i płaskie pudełko. Ignorując wyraz współczucia na twarzy przyjaciółki, wzięła pudełko, podziękowała i z powrotem zamknęła drzwi. Wewnątrz pudełka znalazła różę ułożoną na miękkim, pofałdowanym zielonym papierze. Słodycz gestu przeszła jej duszę niby cierń. Szlochając wróciła do łóżka i opadła na poduszki.

Kilka minut później otrzeźwił ją sygnał telefonu. Przetoczyła się do nocnego stolika, podniosła słuchawkę.

- Właśnie ją otrzymałam - powiedziała, wiedząc od razu, do kogo mówi.
- Kochanie!

Słyszając jego głos, znów zalała się łzami.

- Myślałam, że będziesz na mnie wściekły za to, że cię szpiegowałam - powiedziała.
- Z początku byłem wściekły - przyznał.
- Wyglądałeś, jakbyś połknął piłeczkę do golfa, kiedy mnie dostrzegłeś.
- Gdyby panna młoda pochwyliła mnie przy wszystkich za moje klejnoty, nie byłbym aż tak zdziwiony. - Oboje roześmieli się cicho, po czym powiedział: - Nie mogę mieć do ciebie pretensji, Yasmine. Byłem świnią. Cały mój czas i energię pochłonęła całkowicie kampania wyborcza. Jestem cholernie zajęty. Wszyscy ciągle czegoś ode mnie chcą. Zaniechałem cię. Co prawda z konieczności, ale... W każdym razie muszę powiedzieć, że jest mi bardzo przykro. Nie miej mi tego za złe. Bądź cierpliwa, a kiedy skończy się wreszcie ten młyn, wszystko się odmieni. Zobaczysz.

- Ty i Belle wyglądaliście na taką szczęśliwą parę, Alister -zauważyła, owijając przewód telefoniczny wokół palca. Słowa Alistera brzmiały szczerze, lecz ciągle nie potrafiła zapomnieć wrażenia, jakie zrobił na niej widok ich dwojga stojących pod rękę przed kościołem.

- Przypuszczam, że ona jest szczęśliwa - powiedział. - Nie ma w sobie tych namiętności, które ja mam. Które MY mamy. Odkąd przestałem kochać się z nią, nie zauważyłem, żeby jej tego brakowało. Ma popularnego męża, śliczne dzieci, czyli wszystko, czego pragnęła. Ona zupełnie nie wie, czym jest prawdziwa namiętność. Mój Boże - jęknął. - W żaden sposób nie można was porównać.

- Nie, nie można. Ona ma ciebie, a ja nie.

- Mieszkam z nią - powiedział z naciskiem. - Ale moje serce jest przy tobie. Nie o niej myślę w każdej minucie, godzinie, każdego dnia. W tej chwili chcę być z tobą.

- Spotkajmy się - zaproponowała z entuzjazmem.

- To niemożliwe. Ugrzęźliśmy w tym weselnym gównie na całą resztę wieczoru. Po oficjalnym przyjęciu odbywa się teraz bardziej intymne party, a potem jeszcze mamy spotkać się w naprawdę ścisłym gronie. Muszę wtopić się w to środowisko. Są tutaj wpływowi ludzie, którzy w sumie reprezentują trzy czwarte kapitału Luizjany. Wymknąłem się tylko na chwileczkę, żeby przesłać ci różę i zadzwonić.

- Wyjeżdżam jutro, Alister - powiedziała, starając się, by jej głos nie zabrzmiał płaczliwie. - Cały najbliższy tydzień spędzę w Missisipi.

Po krótkiej chwili milczenia odrzekł:

- Czwartek wieczór. Będiesz mogła wrócić do Nowego Orleanu?

- Tak. Stąd do Rosehorn jedzie się zaledwie dwie godziny.

- W takim razie do czwartku!

Po uzgodnieniu planu Yasmine westchnęła: - Już nie mogę się doczekać.

- Ja także, ale teraz muszę iść. Belle zaraz zacznie mnie szukać. To miała być krótka rozmowa o interesach.

- Kocham cię, Alister.

- O, oto i ona. Daje mi znaki, żebym wrócił do towarzystwa. Do zobaczenia w czwartek.

Rozłączył się bez słowa pożegnania. Yasmine, zdeprymowana, odłożyła słuchawkę. Przez długą chwilę siedziała na brzegu łóżka, patrząc pusto przed siebie, znieruchomiała w rozpacz. Nigdy dotychczas nie czuła się bardziej przygnębiona. Nawet róża przestała ją cieszyć; zresztą już zaczęła więdnąć.

W końcu zebrała w sobie tyle siły, żeby wstać i podejść do lustra. Nawet płacz nie naruszył doskonałości jej twarzy. Przyjrzała się dokładnie swojemu odbiciu.

- Dlaczego, do licha, godzisz się na to wszystko, ty głupia suko? - powiedziała sama db siebie.

To nie było w porządku. Alister bawił się na przyjęciu, uśmiechał, pił szampana, tańczył, był wśród ludzi, którzy widzieli w nim cholernie wspaniałego faceta. A ona: Yasmine, bogini pokazów mody i okładek magazynów, szlochała w samotności.

Mężczyźni to bękarci. Wszyscy. Poczynając od jej nikczemnego ojca, który odszedł od matki, kiedy Yasmine nie wyrosła jeszcze z pieluch, a kończąc na jej obecnym kochanku, wszyscy byli kłamliwymi sukinsynami, którzy nie musieli płacić swoich rachunków. Rzadko który dostawał to, na co zasłużył.

Oczywiście zdarzają się wyjątki. Od wielkiego dzwonu spotyka kogoś sprawiedliwa kara. Tak stało się z Jacksonem Wilde'em.

Claire zmywała właśnie naczynia po obiedzie, kiedy usłyszała krzyk Mary Catherine. Wrzuciła zmywak do zlewu i wybiegła z kuchni. Mary Catherine siedziała w salonie na fotelu, czytając wieczorne wydanie „Times Picayune”.

Była przerażająco blada i trzęsły jej się ręce.

- Mamo! - zawołała Claire. - Co się stało? - Podbiegła i chwyciła gazetę, która wyslizgnęła się z bezwładnych palców matki. - Mój Boże - szepnęła, przeczytawszy zaledwie kilka pierwszych linijek artykułu z pierwszej strony. Opadła na poręcz fotela matki.

- Czy pan Cassidy rzeczywiście uważa, że ty zabiłaś wielebnego Wilde'a, Claire?

- On tylko wykonuje swoje obowiązki, mamó.

- Pocałował cię?

- Co to ma do rzeczy? - ostro zapytała Claire. - W gazecie napisano, że pocałował.

Mary Catherine skryła twarz w dłoniach.

- To wszystko moja wina. Cierpisz za moje grzechy. Gdybym nie zgrzeszyła...

- Mamo, przestań! - Claire chwyciła ją za ręce. - Byłaś wtedy młoda. Zakochałaś się i postępowałaś, jak ci serce nakazywało. Nie byłaś grzesznicą. To przeciwko tobie zgrzeszono.

- Ale tu napisano, że aby wyjść z kłopotów, próbujesz uwieść prokuratora. I że postępujesz w ten sposób, ponieważ tak zostałaś wychowana. Och, Claire, jakże mi przykro. Nigdy nie chciałam, żeby ktoś osądzał cię za to, co ja zrobiłam.

- To - powiedziała Claire, uderzając dłonią w gazetę - jest

dziełem wstrętnej, złośliwej, zajadłej kobiety. Ariel Wilde usiłuje rzucić na mnie podejrzenie, ponieważ pragnie odwrócić uwagę od siebie. Nie zna ani ciebie, ani mnie. Cóż nas obchodzi, co ona o nas myśli?

- Ale inni ludzie... pan Cassidy... - Najej twarzy odmalowała się udreka. Zmienionym, spokojnym głosem szepnęła:

- Byłam tam na czas. Zabrałam ze sobą moje rzeczy. Jestem pewna, że dzisiaj mieliśmy się spotkać. Ale nie przyjechał po mnie i...

- Posłuchaj, mamó. - Claire przykucnęła przed fotelem. - Mam wspaniały pomysł. Może pojechałabyś jutro z nami do Missisipi?

- Do Missisipi?

- Tak. Na wakacje. Nie miałabyś ochoty wyjechać na kilka dni?

Mary Catherine najwyraźniej zaczęła się odpręzać. Claire postanowiła nalegać.

- Dla towarzystwa zabralibyśmy również Harry. Proszę, zgódź się. Chcę mieć ciebie przy sobie.

Mary Catherine skromnie położyła dłoń na piersi.

- Cóż, jeżeli naprawdę zależy ci...

- Ależ oczywiście, mamó. - Claire podniosła się i pomogła wstać matce. Ukradkiem zabrała gazetę z pola widzenia.

- Teraz zastanów się, co chciałabyś ze sobą wziąć. Zadzwoń do Harry i powiem, żeby przysłała przenocować u nas.

Wyruszamy jutro z samego rana. Wynajęłam mikrobus, więc miejsca będzie dosyć. Gdzieś po drodze zatrzymamy się na śniadanie. Och, to będzie cudowna wyprawa! Od tak dawna nie wyjeżdżałyśmy nigdzie razem.

Mary Catherine ruszyła w kierunku swojego pokoju.

- Wezmę tę nową wieczorową suknię.

- Koniecznie. Wyglądasz w niej pięknie.

Kiedy Mary Catherine zniknęła w sypialni, Claire znowu sięgnęła po gazetę. Uważnie przeczytała cały artykuł. Był pełen bzdur, ale skutecznie podsuwał czytelnikom myśl, że Claire Laurent bez skrupułów używa swoich wdzięków, by uniknąć kary za morderstwo.

Przez jakiś czas bezskutecznie próbowała skontaktować się telefonicznie z Cassidym. Ochłonawszy nieco, doszła jednak do wniosku, że lepiej będzie z nim nie rozmawiać. On z pewnością także nie ucieszył się z rozgłosu, a wspólne działanie w tej sytuacji mogłoby dostarczyć Ariel kolejnych pretekstów do rozsiewania plotek o ich niemoralnym i w najwyższym stopniu niestosownym związku.

Z kolei zadzwoniła do Harriet York. Poinformowała ją o zmianie planów, potem połączyła się z właścicielami Rosesharon, aby się upewnić, czy znajdzie się u nich dodatkowa sypialnia do wynajęcia. Harry zjawiła się dosyć szybko i natychmiast poszła pomóc Mary Catherine w pakowaniu, a Claire zeszła do pracowni. Stąd wykreśliła numer biura swojego prawnika w Nowym Jorku. Akurat wybierał się na obiad, ale cierpliwie wysłuchał co ważniejszych fragmentów artykułu.

- Ostrzegałam ją, żeby mnie więcej nie oczerniała - powiedziała, skończywszy czytanie. - Prowokuje mnie do wniesienia pozwu.

- I to mnie właśnie martwi - odrzekł prawnik. - Najwyraźniej zmierza do konfrontacji z tobą i próbuje pozyskać sobie opinię publiczną. Ma niewiele do stracenia. Natomiast ty, jak przypuszczam, o rozgłosie myślisz ze wstrętem. Chyba że chcesz, aby twoje prywatne życie stało się znane jeszcze powszechniej.

- Nie chcę.

- W takim razie radzę ci zignorować ją.

- Cholera! - mruknęła. - Wiem, że masz rację, ale nie znoszę się wycofywać. Cóż warte jest ultimatum, którego się nie egzekwuje?

- Ustawicznie jakieś znane osobistości straszą wydawców procesem za publikowanie półprawd o nich. A jednak do rozpraw dochodzi rzadko. W takich sprawach trudno o wygraną, za to można sobie narobić nowych wrogów. Jeśli nie jesteś gotowa do publicznego prania swoich brudów, masz związane ręce.

- Przecież nie mogę pozwolić, żeby mówiła o mnie i o mojej rodzinie, co się jej tylko podoba.

- Jeżeli zaczniesz pouczać, co można, a czego nie można powiedzieć prasie, będziesz musiała liczyć się z ripostą. Ariel Wilde mogłaby wtedy oświadczyć, że prawo do swobody wypowiedzi interpretujesz tak, jak ci wygodnie. Claire westchnęła.

- Nigdy nie patrzyłam na to z tego punktu widzenia.

- Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby na tym właśnie zależało jej najbardziej.

Dyskutowali kilka minut, w końcu Claire powiedziała:

- Widzę, że rzeczywiście pozostaje mi jedynie nadal ją ignorować.

- Taka jest moja rada. W gruncie rzeczy Ariel nie może ci poważnie zaszkodzić.

- Nie o siebie się martwię. Mało mnie obchodzi, co Ariel

Wilde, czy ktokolwiek inny, mówi na mój temat. Idzie o mamę. Wychodzę z siebie, kiedy ktoś próbuje ją oczerniać. Poza nią i Yasmine nie mam nikogo bliskiego. Stanowimy małą wspólnotę Osób, które nie mogą żyć bez siebie, a w każdym razie muszą trzymać się razem.

- Dobrze o tym wiem. Dlatego tak bardzo trapi mnie jeszcze inna sprawa.

- Jaka sprawa? - zapytała.

I wtedy przekazał jej naprawdę niepomysłne wieści.

Obie panie Monteith mogłyby uchodzić niemalże za jedną i tę samą osobę. Włosy Grace miały nieco głębszy odcień burgunda niż włosy Agnes, ale poza tym niewiele różniło od siebie te dwie korpulentne damy. Były szwagierkami, jak wyjaśniły Claire, gdy ta wpisywała się do księgi meldunkowej.

- Nasi mężowie byli braćmi - powiedziała Agnes. - Pogrzebałyśmy ich w odstępie miesiąca.

- Zamiast kłócić się, co której przypadnie z przedmiotów należących do tego domu, zdecydowałyśmy się połączyć nasze zasoby - wtrąciła Grace.

- Każda z nas uwielbia gotować. Należało jedynie zrobić z naszego hobby dochodowy interes.

- Więc sprzedałyśmy trochę ziemi, a za gotówkę wynajęłyśmy dekoratora z wyobraźnią, by przebudował dom od piwnic aż po dach.

- Jak widzę, wywiązał się ze swojego zadania wspaniale - powiedziała Claire, rozglądając się po przestronnym foyer. Po odnowieniu dom uzyskał przedwojenny splendor.

- O, tak - powiedziała Agnes, znizywszy głos do scenicznego szeptu. - Chociaż był bardziej kapryśny niż większość kobiet, które znam.

- Agnes! - Grace skarciła szwagierkę, tłumiąc chichot dłonią pokrytą żyłkami i starczymi plamami. Wzięła od Claire kartę kredytową. - Pokoje już zostały przygotowane. Sok, zimne napoje, owoce i ciastka zawsze można znaleźć w kuchni, jeśli komuś zdarzy się opuścić regularny posiłek. Śniadanie podajemy między ósmą a dziewiątą trzydzieści. Zawsze jednak można liczyć na świeżą kawę. W porze lunchu oferujemy zimny bufet. Bar otwieramy ,o piątej. Do obiadu podaje się wino, natomiast za pozostałe trunki obowiązuje osobna opłata. Każdy obsługuje się sam, a sprawdzanie rachunków pozostawiamy roztropności naszych gości. Jedynym oficjalnym posiłkiem jest obiad o siódmej trzydzieści.

Claire niemal od pierwszego wejrzenia polubiła gospodynie i miała nadzieję, że nikt z zespołu nie wykorzysta ich gościnności i naiwności.

- Spróbujemy dostosować się do waszego rozkładu - powiedziała. - Jednakże proszę z góry o wyrozumiałość, gdy któregoś razu coś było nie tak.

- Ależ oczywiście, kochanie. Jesteście naszymi pierwszymi „pracującymi” gośćmi. Bardzo cieszyliśmy się na wasz przyjazd - podkreśliła wylewnie Agnes.

- I uwielbiamy wasz katalog - powiedziała Grace. - Zawsze kłócimy się, która pierwsza ma go przejrzeć.

- Miło mi to słyszeć. Po tym, co zobaczyłam do tej pory, sądzę, że wasz dom będzie wspaniałym tłem dla naszych fotografii.

Claire była pod wrażeniem uroku okolicy. Chociaż sezon wegetacji minął, trawa i kwiaty w ogrodzie otaczającym budynek nadal były świeże i soczyste. W cieniu rozłożystych drzew stały komplety białych ogrodowych mebli.

Sam dom przypominał z zewnątrz weselny tort. Cegły były pomalowane farbą w jasnym, śmietankoworóżowym kolorze, natomiast sześć żłobionych, korynckich kolumn oraz pozostałe ozdoby pokryto bielą. Dookoła ciągnęła się szeroka weranda, której sufitem był balkon na pierwszym piętrze. Claire pochwaliła w myślach wybór Yasmine.

- Chciałybyśmy jak najbardziej umilić wam pobyt tutaj - oświadczyła Grace. - W końcu przybywacie do naszego domu i, jako gościom, przysługują wam wszelkie prawa.

Hałas na zewnątrz skierował ich uwagę na frontowe drzwi. Po chwili otworzyły się gwałtownie i pojawił się w nich niski, muskularny, mężczyzna w białym lnianym garniturze i żółtej koszulce polo.

- Claire! - zawołał z entuzjazmem. - To fantastycznie, że jesteś. Kochanie! - Pocałował ją w oba policzki, a następnie zbliżył do jej twarzy światłomierz, który nosił jak medalion na piersi, i odczytał wskazanie. - Jakże będzie słodko!

Wprost nie mogę się doczekać, kiedy zaczniemy. Mam nadzieję, że wcześniej nie wyparuję od tego cholernego upału. Jak wy, tubylcy, to wytrzymujecie? Ale dom jest fantastyczny. Wprawdzie Yasmine wspominała mi o tym, ale sama znasz jej skłonność do przesady.

Leon należał do najbardziej wziętych fotografów mody w Nowym Jorku. Jedynie jego autentyczny talent mógł usprawiedliwić taki sposób bycia. Jeśli nie wściekał się i nie grymasił, potrafił być całkiem zabawny.

Leon jeszcze nie skończył swojej kwestii.

- Za takie schody każdy artysta dałby się powiesić. Już widzę na nich jedną z naszych dziewcząt. Rozmarzoną, jakby omdlałą. - Przyjął odpowiednią pozę. - Rozumiesz: oczy lekko zmrużone. Zrobiłbym ujęcie z góry. Najlepiej po południu, kiedy do środka wpadają promienie słońca. - Tak, tak - powiedział, klaszcząc w dłonie. - Długie włosy, kilka mokrych kosmyków przyklejonych do policzków... O Boże, aż mnie ciarki przechodzą na samą myśl.

Wkrótce foyer wypełniło się pozostałymi członkami zespołu, którzy po kolei opadali na krzesła jak zmęczeni bitwą żołnierze.

- Chryste, ale gorąco - jęknęła jedna z modelek, odgarniając z karku gęstwinę blond włosów.

Tym razem Yasmine zaangażowała do prezentowania modeli cztery kobiety i dwóch mężczyzn. Wszyscy stanowili zgraną, wesołą grupę. Felicia, Dana, Liz i Alison były młode, a zarazem dojrzałe, doświadczone i przede wszystkim piękne. Zwykle zamyślony Kurt miał ciemną cerę i wspaniałe, sięgające ramion, czarne włosy. Mógł równie dobrze uchodzić za ugrzecznionego Europejczyka, jak i za nieobliczalnego, niebezpiecznego typu. Drugi mężczyzna, Paul, był blondynem o jasnoniebieskich oczach; występował najczęściej w „rolu” chłopaka z sąsiedztwa lub zamożnego pedantycznego młodzieńca.

Garderobiana, z wyglądu podobna do wiedźmy, w świecie mody była powszechnie znana po prostu jako Rue. Ludzi spoza branży przerażała nie tylko ordynarnymi rysami twarzy, ale również barwą głosu przypominającą zgrzyt zardzewiałej betoniarki. Niezwykle rzadko widywało się ją bez papierosa w ustach, którego dym wyciskał wszystkim wokół łzy z oczu.

Charakterystyczną zajmowała się spokojna Azjatka o skórze jasnej, gładkiej jak porcelana i sarnich oczach. Fryzjerka, paradoksalnie, była nieomal łysa. Miała włosy przystrzyżone krótko przy skórze. Za to w uszach nosiła fantazyjne, długie do ramion kolczyki.

Asystent Leona, pulchny i różowy jak niemowlę, rzadko się odzywał, pozostając zazwyczaj w cieniu swego mistrza. - Teraz może każdy pójdzie do siebie - powiedziała Claire. - Rozpakujcie się. Za jakiś kwadrans chciałabym spotkać się z Yasmine i Leonem. Przejrzymy harmonogram.

Panie Monteith wezwały dwóch służących do pomocy przy bagażach. Zanim wszyscy się rozeszli, Claire zawołała ponad wrzawą:

- Wszystkich prezenterów namawiam do pierwszej przy-

miarki jeszcze przed obiadem. Rue do każdego ubrania przyczepiła już kartkę z odpowiednim imieniem. Prezenterzy dobrali się parami. Claire nie wiedziała, kto z kim sypia, i nie chciała wiedzieć. Zbyt wiele plotek mogłoby zaburzyć przyjazną atmosferę sesji. Jeśli między nimi rozgrywały się jakieś minidramaty, wolała trzymać się od tego z daleka.

Mary Catherine dzieliła pokój z Harry, Leon ze swoim asystentem, a Claire z Yasmine. Rue, fryzjerka i charakteryzatorka zdecydowały się zamieszkać w Winnebago. Inaczej zabrakłoby pokoju dla matki Claire i Harry. Na szczęście Claire mogła skoncentrować się na pracy. Nie musiała się teraz obawiać, że Cassidy będzie przesłuchiwał jej matkę. Głównie to miała na względzie, namawiając ją do wyjazdu z Nowego Orleanu.

Rozdział XV

Claire wstała wcześniej, wypila kawę, a potem zwołała naradę, by omówić kolejność działań na bieżący dzień.

- Co sądzisz o wykorzystaniu tej starej toaletki z naszej sypialni do zdjęć we wnętrzach? - zapytała przyjaciółkę.

Yasmine zareagowała entuzjastycznie.

- Zrobimy ujęcie z tyłu. Modelka będzie patrzyła w lustro, w którym odbije się sylwetka faceta stojącego na balkonie i zagląającego przez szybę. Zaciągniemy zasłony tak, żeby było widać jedynie mężczyznę.

- To byłaby znakomita okazja do pokazania tego biustonosza bez ramiączek, który zaprojektowałam, Claire - powiedziała ochryplym głosem Rue.

- Leon?

- Fantastyczny pomysł. Ale poczekajmy na jakiś pochmurny dzień. Póki co wolałbym wykorzystać dobrą pogodę na zdjęcia w plenerze.

Pogoda sprzyjała życzeniom Leona. Poranna sesja przebiegała pomyślnie. Do południa zakończyli trzy ujęcia.

- Spotykamy się znowu po lunchu - zarządziła Claire, kiedy całą grupą zbliżali się do frontowych schodów prowadzących w miły cień werandy, gdzie czekała Agnes Monteith z bezprzewodowym telefonem w ręku.

- Telefon do pani, panno Laurent. Niejaki Cassidy. Powiedziałam mu, że podajemy lunch, ale on nalegał...

- W porządku. - Zmarszczywszy brwi, Claire wzięła od niej aparat, ale odezwała się dopiero wtedy, gdy wszyscy oddalili się poza zasięg jej głosu. - Cassidy?

- Cześć! Co tam ciekawego w Missisipi?

- Gorąco.

- Chyba nie bardziej niż tutaj.

- Być może.

- Nie udawaj niewiniątka. Nieźle mi się dostało od Crow-dera.

- Za tę gazetową historię?

- Czytałaś?

- Owszem, przed wyjazdem z Nowego Orleanu. Według Ariel Wilde jestem zwykłą kurewką, prawda?
 - Tyle hałasu o jeden mały pocałunek. W żadnym razie nie był to Jeden mały pocałunek". Claire powstrzymała się od powiedzenia tego głośno.
 - Powinieneś był pomyśleć o konsekwencjach, zanim mnie pocałowałeś.
 - Pomyślałem. Ale wtedy wszystkie te konsekwencje zdawały się niewiele znaczyć.
- Bez tchu, czując ogarniające ją ciepło, osunęła się na najbliższy wiklinowy fotel. Z całego serca pragnęła wymyślić słowa, którymi mogłaby wypełnić krępującą ciszę.
- Cassidy powiedział:
- Ariel zadzwoniła do Crowdera, jeszcze zanim zwróciła się do prasy. Najwidoczniej kazała cię śledzić.
 - Do diabła z nią! Dlaczego ona po prostu nie zostawi nas w spokoju? Dlaczego ty nie dajesz nam spokoju?
 - Wierz mi, ostatnie dni i dla mnie nie były sielanką.
 - Nie przypuszczam, aby Crowder był z ciebie zadowolony -zauważyła.
 - Chciał mi odebrać sprawę.
 - Ale ty nie chciałeś jej oddać, prawda?
 - Nie chciałem.
 - Czy Crowder zareagował publicznie na ten artykuł?
 - Zaprzeczył wszystkiemu.
 - Jak on mógł? - wykrztusiła.
 - Nasze słowo przeciwko ich słowu. Komu uwierzy szary człowiek: religijnemu fanatykowi czy prokuratorowi okręgowemu?
 - Crowder zdecydował się kłamać, żeby cię osłonić?
 - Nie mnie. Ón osłania urząd. Jest przede wszystkim politykiem. Gorliwie wspiera system, któremu ty równie gorliwie się przeciwstawiasz. Claire próbowała to wszystko pojąć, kiedy przerażająca myśl przyszła jej do głowy.
 - Żeby na nowo wkraść się w łaski Crowdera, prawie jesteś zmuszony mnie oskarżyć. W ten sposób mógłbyś dowieść opinii publicznej, że jesteś bezstronny i nieczuły na moje wdzięki.
 - Do licha, nie - powiedział z naciskiem. - Nic z tych rzeczy. - Czyżby?
 - W porządku, do pewnego stopnia masz rację. Ale to nie ma nic wspólnego z polityką i Crowderem. Jediną osobą, której muszę coś udowodnić, jestem ja sam. Prosiłem o tę

sprawę. Ba, wręcz zażądałem jej. No i teraz jestem odpowiedzialny za oddanie mordercy Jacksona Wilde'a w ręce sprawiedliwości. - Znacznie ciszej dodał: - Bez względu na to, kim jest. Dlatego właśnie...

- Co?

- Dlatego właśnie dzisiaj rano postarałem się o nakaz przeszukania Francuskiego Jedwabiu.

Usłyszawszy jego oświadczenie, poczuła silny skurcz żołądka. Nie mogła znieść myśli, że jej osobiste rzeczy będzie przeglądał ktoś obcy.

- Nie możesz mi tego zrobić, Cassidy!

- Przykro mi, Claire, ale mogę, nawet muszę. Zaraz tam jade.

Nie mówiąc nic więcej, rozłączył się.

Usiłując zachować na twarzy uśmiech i przyjmując nonszalancką postawę, Claire dołączyła do zespołu, ale najwyraźniej nikogo nie zdołała zwieść.

Mary Catherine odciągnęła ją na stronę.

- Wszystko w porządku, kochanie? Wyglądasz na zmartwioną.

Claire czule uścisnęła jej dłoń.

- Nic mi nie jest, mamó.

- Dzwonił pan Cassidy, prawda? Pewnie znowu wypytywał cię o wielbego Wilde'a?

- Nie. Nic podobnego. Dobrze się bawiłaś? Co ty i Harry robiłyście dzisiaj rano?

Mary Catherine z zaangażowaniem zaczęła relacjonować swe przedpołudniowe przeżycia. Claire z trudem koncentrowała się na słowach matki. Wprawdzie wtrącała uwagi we właściwych miejscach, ale myślami była przy policyjnym przeszukaniu we Francuskim Jedwabiu. Bóg jeden wie, co pomyśla sobie jej pracownice. Później będzie musiała zadzwonić i zapewnić je, że nie ma czym się niepokoić.

Po południu normalnie wypełniała swoje obowiązki, lecz w myślach ustawicznie pojawiał się obraz obcych ludzi w mundurach, szperających w szufladach biurek i przerzucających w szafach rzeczy, nawet te najbardziej osobiste.

Nie wybaczy tego Cassidy'emu nigdy.

- Kochanie, nie wiesz, gdzie podziały się moje złote spinki? Alister Petrie wyszedł z garderoby w rozpiętej koszuli.

Już za

pół godziny on i Belle mieli zjawić się na uroczystym obiedzie. Zaczęło się robić niebezpiecznie późno. Alister, wróciwszy do

domu po wiecu przedwyborczym, gdzie wygłosił przemówienie, miał zaledwie tyle czasu, żeby szybko wziąć prysznic i przebrać się. Potem znowu musiał się zaprezentować grupie potencjalnych sponsorów i wyborców.

- Są tutaj na mojej toalecie.

Belle siedziała na wyścielanym taborecie przed lustrem, rozczesując przystrzyżone na pazia blond włosy.

- Czy udało ci się zobaczyć mnie w telewizji? - zapytał, zapinając guziki koszuli.

- Nie, kochanie. Byłam zajęta przygotowaniami na dzisiejszy wieczór. Jestem pewna, że wypadłeś znakomicie.

Wyciągnął rękę po spinki.

- Dwie stacje telewizyjne... - Wycofał dłoń tak szybko, jakby go nagle ukąsiła kobra.

Jego spinki leżały na damskich majteczkach, które natychmiast rozpoznał. Zrobiło mu się niedobrze. Bał się, że zaraz zwymiotuje na słóiczki z kremami i buteleczki perfum.

Jego oczy napotkały w lustrze wzrok Belle: bez zmrużenia powiek skończyła wpinać w uszy diamentowe kolczyki.

- Znalazłam to w kieszeni marynarki, którą oddałam do czyszczenia. Jako twoja ŻONA mam niewinny zwyczaj sprawdzania w takich wypadkach twoich kieszeni. Powinieneś być wiedzieć o tym i zachować większą ostrożność.

- Belle, ja...

- Co, Alister? - Obróciła się na taborecie i przyglądała mu się ze słodkim, nieszczerym wyrazem twarzy. - Czyżbyś zaczął nosić damską bieliznę? - Uniosła do góry mały trójkąt materiału zawieszony na elastycznej tasiemce. - Jak nazywa się takie upodobanie?

Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, poczuł, jak ogarnia go złość. Inni mężczyźni również mieli romanse, a nie tłumaczyli się z nich. Dlaczego on musiał zawsze odgrywać rolę skruszonego grzesznika?

- Daruj sobie ten protekcjonalny ton, Belle.

- Więc sam widzisz - powiedziała upuszczając majteczki na toaletkę - że pozostaje mi wyciągnąć jedyny realny wniosek: utrzymujesz z kimś pozamałżeński związek.

Wstała i odsunęła go na bok. Ten wyniosły gest najbardziej podziałał mu na nerwy. Wystudiowaną pozą, starannie dobranymi słowami potrafiła sprawić, że czuł się jak głupiec, jak istota podła i nikczemna.

Ale, na Boga, przecież był członkiem Kongresu Stanów Zjednoczonych. Nikt, nawet jego żona, nie będzie go poniżać. Nigdy

nie przyzna się do posiadania kochanki, a tym bardziej nie będzie prosił o wybaczenie.

Belle zdjęła z wieszaka szyfonową suknię i pochyliła się wciągając ją od dołu przez szczupłe, chłopięce biodra.

- Pomóż mi się zapiąć - powiedziała, wsunawszy ręce w przyozdobione cekinami rękawy.

Kiedy poradził sobie z suwakiem jej sukienki, odwróciła się do niego.

- Nie jestem tak głupia, aby sądzić, że jesteś mi wierny. Oczywiście miałeś inne kobiety. Teraz masz jakąś, a co do przyszłości również nie mam złudzeń. Zresztą nie w tym problem.

- Po co więc zaczynasz? - zapytał zdecydowanym tonem. Gdyby wtedy pozbył się gdzieś owego „prezentu” od Yasmine, nie doszłoby do tej niesmacznej sceny. Nie dość, że przez cały dzień nie miał ani chwili spokoju, to jeszcze teraz we własnym domu wdepnął w gówno.

- Poruszyłam ten temat, żeby uświadomić ci, jak bardzo jesteś głupi.

Alister prawie zaniemówił ze złości. W końcu wyrzucił z siebie:

- Jeszcze jedna cholerna minuta i... Nie pozwolę... Podniosła obie dłonie.

- Daj spokój. Nie unosi się. Nie możesz sobie na to pozwolić. Lepiej posłuchaj, co ci mam do powiedzenia. -

Zmrużyła oczy. - Jeżeli ja odkryłam, że łamiesz małżeńską przysięgę, inni odkryją to także. Okazałeś się niewiarygodnie głupi i alarmująco beztroski. Wcześniej czy później przez swoją głupotę stracisz wszystko. Podczas kampanii całkiem nieźle radziłeś sobie z elektoratem. Udało ci się przedstawić siebie jako silną, zdecydowaną osobowość. - Odetchnęła głęboko. - A nie zastanawiałeś się choć przez chwilę, jak potraktowałiby cię na przykład zwolennicy Wilde'a dowiedziawszy się, że jesteś cudzołożnikiem? Nawet po swojej śmierci Jackson Wilde nie przestał się liczyć w całej tej rozgrywce. Nadal możemy wykorzystywać jego wpływy. Wiele zyskałeś na krytyce lokalnych władz, którym dotychczas nie udało się wykryć jego zabójcy. To pójdzie na marne, jeśli wyda się, że jesteś chrześcijaninem jedynie na pokaz. Chcesz pozbawić się tysięcy głosów w zamian za kilka godzin... - Palcem wskazała figi leżące na toaletce.

- Pieprzenia. Tak to się nazywa, Belle. - Z satysfakcją obserwował, jak z twarzy żony odpływa krew. - Gdybyś nie była taka drętwa w łóżku, nigdy nie.. .

- Przestań! - wykrzyknęła. - Przestań obwiniać mnie. To

twój błąd, Alister, a ja nie zamierzam ponosić jego konsekwencji. Bardzo mi odpowiada rola pani Petrie, żony kongresmana. Pragnę odgrywać ją nadal. Lecz jeśli zostaniesz przyłapany, zdemaskowany jako kłamliwy, oszukujący mąż, nie oczekuj, że zaświadczę, jaki z ciebie jest cudowny, kochający ojciec i mążzonek. W żadnym razie nie chcę wyjść na idiotkę. Ponadto -ciągnęła, zniżywszy głos - wiesz, co się stanie, gdy przestanę wspierać finansowo twoją kampanię. - Alister w jednej chwili zbladł. Belle uśmiechnęła się. - Nikt nie wie - jak dotychczas -że gdyby nie spadek, który otrzymałam, nigdy nie zasiadłbyś w Kongresie. Bez mojej pomocy nie powtórzysz sukcesu. Pomyśl o tym. Kiedy następnym razem przyjdzie ci ochota „popieprzyć”, jak to czarująco raczyłeś określić, przypomnij sobie najpierw o swoich małżeńskich obowiązkach. - Doskonale wypielegnowanym paznokciem dotknęła przodu jego wykrochmalonej koszuli. - Dobrze ci radzę, Alister: nie próbuj mnie unieszczęśliwić. Zakończ ten romans. Bezzwłocznie. - Uniosła się na palcach i pocałowała go lekko w usta. - Lepiej pospiesz się z ubieraniem, bo się spóźnimy. Przed wyjściem musisz jeszcze kilka minut poświęcić dzieciom. - Przy drzwiach sypialni przystanąła. Skinęła głową w kierunku toaletki. - Bądź tak dobry i zrób z tym coś.

Alister wprost dusił się w środku z wściekłości, lecz nic nie mógł na to poradzić. Pozornie stanowili oboje wzór małżeństwa. Dopóki sprawy układały się po myśli Belle, w ich wspólnym życiu panowała względna harmonia. Ale nie miał złudzeń. Belle wyglądała na istotę kruchą i delikatną jak wyhodowana w szklarni orchidea, gdy jednak coś stawało jej na drodze, potrafiła być bezwzględna jak nietoperz wampir.

Była zbyt dumna, by czerpać radość z dobrego, zdrowego seksu. Lubiła wszystko, co schludne, porządne, poukładane, zorganizowane, dobrze zaplanowane i pod kontrolą. To nie fakt posiadania przez męża kochanki wyprowadził ją z równowagi. W rzeczywistości prawdopodobnie odpowiadało jej, że nie jest zbyt często niepokoiona. Złościło ją raczej, że nie potrafił lepiej ukryć swego romansu. Nie chciała stać się uczestniczką publicznego przedstawienia.

Podszedł do toaletki i wziął maleńkie figi. Zbyt wiele razy romans z Yasmine pozbawiał go zdrowego rozsądku. Aż wzdrygnął się na myśl, że jakiś wścibiński reporter mógłby zwierzyć jego związek ze sławną czarną modelką. Ale w końcu co miał robić, zgadzać się wyłącznie na sterylny, nudny seks w małżeńskim łóżku? Czy zapaść się pod ziemię do czasu zakończenia

wyborów? Podczas politycznej kampanii nie można zmniejszyć aktywności. Aby zdobyć głosy wyborców, trzeba ustawicznie się pokazywać, trzeba zwracać na siebie uwagę jak płonąca w mroku pochodnia.

Oba te interesy kłóciły się ze sobą. Z czegoś należało zrezygnować. Nie mógł mieć wszystkiego.

Wziął w palce figi. Myślami wrócił do tamtego szalonego popołudnia w swoim waszyngtońskim biurze i powoli jego usta wykrzywiły się w uśmiechu. Zachichotał.

- No, jeszcze nie jest powiedziane...

Atmosfera restauracji była tak ponura jak nastrój Cassi-dy'ego. Detektyw Glenn zasugerował, żeby tutaj przyszedli. Mroczne, przygnębiające miejsce doskonale do niego pasowało. Cassidy wolałby znajdować się gdziekolwiek, byle nie tutaj, i rozmawiać na każdy temat, byle nie na ten, który zajmował ich podczas jedzenia nijakich w smaku hamburgerów, tłustych frytek i wilgotnych pasztecików popijanych niezliczoną ilością filiżanek oleistej kawy.

- Właśnie się zastanawiałem - powiedział Glenn, zapalając następnego papierosa - czy przypadkiem któraś z tych dobrze ubranych kobiet nie miała czegoś wspólnego z Wilde'em. Mam na myśli związek romantycznej natury. Przyszło ci może coś takiego do głowy?

- Nie - odrzekł Cassidy, którego uraziło określenie Claire mianem „dobrze ubranej kobiety”. - Dlaczego o tym mówisz?

- Ta cała Yasmine ma gorący temperament. Trudno byłoby zliczyć jej kochanków. A z kim spotyka się teraz? Od ponad roku nie słyhać o jej nowych romansach. Dziwne, nie?

- Podejrzewasz, że spotykała się z wielebnym kaznodzieją? Glenn wzruszył ramionami.

- Może pieniądze, które mu przesłała, były zapłatą nieco odmiennego rodzaju, niż początkowo przypuszczaliśmy.

- Masz w sobie za dużo nikotyny - stwierdził cierpko Cassidy, dłonią rozpędzając dym przed swoją twarzą.

- Po tym, co znaleźliśmy dzisiaj, gotowy jestem uwierzyć we wszystko na jej temat. - Gwizdnał. - Nieziemskie gówno.

Cassidy nie skomentował uwagi Glenna. W milczeniu bawił się wyszczerbionym pojemnikiem na serwetki.

- A wychodzi na to, że i szanowna panna Laurent również nie pachnie różami, nie sądzisz?

- Owszem - odpowiedział spokojnie. - Nie pachnie. Jednak wszystko, co wiemy, nadal niczego nie dowodzi.

- Nie, ale jesteśmy coraz bliżej. - Detektyw siorbnął z filiżanki. - Co myśli Crowder? Powiedziałeś mu, prawda?
- Tak. Złożyłem mu raport.
- I?
- Kazał nam pochwycić piłkę i wyrywać z nią do przodu -mruknął Cassidy niechętnie.
- Więc...
- Więc?
- Więc zamierzasz tkwić w miejscu, jakbyś stracił najbliższego przyjaciela, czy podnieść głowę, wziąć się, kutasie, w garść i ruszyć dupę, nie oglądając się za siebie?

Rozdział XVI

Nad Rosesharon zawisły deszczowe chmury. Parne powietrze popsuło humory większości członków zespołu. Czworo prezenterów odpoczywało w swoich klimatyzowanych pokojach. Ponieważ pogoda była zbyt niestabilna na pracę pod gołym niebem, przystąpiono do realizacji zdjęć wewnątrz budynku, wykorzystując w charakterze rekwizytu starą toaletkę stojącą w sypialni Claire i Yasmine.

Zgodnie z sugestią Rue biustonosz bez ramiączek prezentowała Dana. Do tego założyła przypominające szorty satynowe majteczki, pończochy sięgające ud i satynowe pantofelki na wysokich obcasach. Claire zapytała gospodynię, gdzie w najbliższym miasteczku można wypożyczyć ślubną suknię.

- A po co? - wykrzyknęły unisono. - Mamy jedną na strychu.

Siostrzenica ich mężów kilka miesięcy wcześniej wyszła za mąż, a Rosesharon posłużyło jej za miejsce uroczystości weselnej. Wyjeżdżając nie zabrała ze sobą sukni. Panie Monteith zapewniły Claire, że siostrzenica będzie zadowolona widząc swoją suknię w katalogu Francuskiego Jedwabiu. Szczęśliwie sukienka była śnieżnobiała, więc dobrze komponowała się z kolorem kości słoniowej prezentowanej bielizny. Rue, prasując zagniecenia, mruczała co pewien czas: - Właśnie o taką chodziło. Tylko muszę ją jeszcze bardziej spryskać.

Suknię ślubną powieszono na wieszaku przy toaletce, sugerując, że Dana jest panną młodą przygotowującą się do ceremonii. Stary mebel ustawiono w ten sposób, że lustro z dwoma skrzydłami odbijało otwarte drzwi na balkon.

- Chciałabym, żeby Dana upięła włosy - powiedziała Yasmine. - W ten sposób pełniej pokażemy konstrukcję biustonosza.

Charakteryzatorka nie skończyła jeszcze pracy przy Danie, więc Yasmine poprosiła Claire, aby ta usiadła na taborecie. Należało ustawić światła i znaleźć najlepsze miejsce dla aparatu fotograficznego.

Claire usiadła i zerknęła w lustro.

- Nie wyglądam na pannę młodą - powiedziała, krytycznie przyglądając się swemu odbiciu. W ciągu dnia jej bawełniane ubranie straciło fason, a pot zniszczył staranny makijaż. - Raczej na narzeczoną Frankensteina.

- Odgarnij włosy z karku - poleciała jej Yasmine.

- Chętnie. - Zebrała włosy w obie dłonie i przytrzymała je na czubku głowy.

Kątem oka dostrzegła ruch przy drzwiach na balkon. Cas-sidy rozsunał przejryste zasłony i wszedł do wnętrza pokoju. Zatrzymał się w pół kroku. Ich oczy spotkały się w lustrze.

- Doskonale, Claire! - zawołała Yasmine. - Doskonale. Dokładnie o taki wyraz twarzy mi chodzi! Widziałaś to, Dano? Nieco zdziwienia, oczekiwania, trochę niepokoju. - Kiedy odwróciła się i zobaczyła, że Claire po prostu zareagowała na widok Cassidy'ego, jej entuzjazm natychmiast zgasł. - Co pan tutaj robi? - zapytała najwyraźniej niezadowolona. Odwróciła się do przyjaciółki. - Zaprosiłaś go?

- Nie - odrzekła Claire, nie odrywając oczu od asystenta prokuratora okręgowego.

Leon wręczył reflektor swojemu pomocnikowi, zbliżył się do Cassidy'ego i położył mu rękę na ramieniu.

- Kim pan jest?

- To glina z Nowego Orleanu - odpowiedziała Yasmine. Cassidy uśmiechnął się uprzejmie i delikatnie, ale stanowczo

uwolnił ramię z uścisku Leona.

- Nie jestem gliną. Claire wstała.

- Do roboty! Zróbmy w końcu to ujęcie. Wszyscy gotowi? Dana zajęła miejsce przed toaletką. Rue zaczęła kręcić się w

pobliżu. Yasmine cofnęła się do Leona, by omówić warianty ujęcia.

Claire, usiłując ukryć gniew, odciągnęła Cassidy'ego w kąt pokoju.

- Co sobie obiecujesz po wizycie tutaj?

- Nie wiedziałem, że kiedy przejdę przez te... no... zasłony, znajdę się w centrum uwagi. - Na moment rozproszyła go Dana, która wyglądała olśniewająco i smakowicie seksownie w złocistym świetle reflektorów.

- Nasze sesje fotograficzne w żadnym wypadku nie są dostępne dla ludzi z zewnątrz - powiedziała Claire oficjalnym tonem, zauważywszy, w którą stronę skierował wzrok. - Nie mają wstępu rodzice, przyjaciele, a nawet mężowie.

Wprowa-

dziliśmy takie restrykcje, aby ochronić prywatność modelek i twórczą inspirację pozostałych członków zespołu.

- Przykro mi, ale tym razem będziesz musiała zrobić wyjątek.

- A jeśli nie?

- Dostanę zezwolenie sądu.

- Kolejne przeszukanie? Mogę uprzedzić ekipę, czego ma się spodziewać?

Zmarszczył brwi i odpowiedział jej spojrzeniem człowieka zmęczonego.

- Skąd się dowiedziałeś, gdzie nas szukać? - zapytała w rozdrażnieniu.

- Mam do swojej dyspozycji cały pluton funkcjonariuszy. Zlokalizowanie was zajęło ledwie chwilę.

- Jestem zdziwiona, że dostałeś się do środka. Sądziłam, że dom jest otwarty wyłącznie dla gości.

- Mam zaszczyt zaliczać się do nich.

- Co takiego? - wykrzyknęła. Po chwili, uświadomiwszy sobie, że ściąga na siebie uwagę innych, ściszyła głos. -

Nikogo oprócz nas miało tutaj nie być. Zastrzegłam to, kiedy zgłaszałam rezerwację.

- Starsze panie miały jednak dodatkowy wolny pokój. Moje listy uwierzytelniające przekonały je, żeby mi go udostępnić.

- Nie chcę cię tutaj, Cassidy.

- Wcale się nie dziwię. W dodatku nie przybywam z dobrymi wiadomościami.

- Jak zawsze. Więc? O co chodzi? Załatwmy to od razu. Obejrzał się przez ramię. Wszyscy za jego plecami byli bardzo

zajęci - albo przynajmniej udawali. Podobnie jak Claire musiał czuć się skrepowany ich obecnością. Pociągnął ją za sobą na korytarz. . .

Patrząc w dół na wzorzysty chodnik wyszeptał jej imię, potem podniósł głowę i spojrzał na nią.

- Wiedziałaś, że ona praktykuje magię voodoo?

- Kto, Yasmine? - Skinął głową, na co Claire nieznacznie poruszyła ramionami na znak potwierdzenia. - Mnóstwo ludzi w Nowym Orleanie ma z tym co najmniej przelotny kontakt. Poza tym spędziła tam tyle czasu, że mogła w którymś momencie bliżej zainteresować się magią. Nauczyła się kilku zaklęć, zdobyła świece reprezentujące...

- Jej pokój we Francuskim Jedwabiu pełen jest rozmaitego gówna w ten czy inny sposób związanego z czarną magią.

- To nic nie znaczy. Odkąd ją znam, przeszła prawie przez

wszystkie religie, od judaizmu poczynając, na buddyzmie kończąc. Ona czasami nosi chrześcijański krzyż, a razem z nim egipski ankh. Do tych symboli nie przywiązuje większej wagi.

- Nie mówię o świecidełkach i karnawałowych błyskotkach, Claire. Chodzi o pewien rekwizyt charakterystyczny dla czarnej magii voodoo, o woskową figurkę wyobrażającą Jacksona Wilde'a.

- Ależ to nie ma sensu! - wykrzyknęła zduszonym głosem. - Jeżeli policja nie znalazła niczego więcej, nie będziesz mógł skonstruować rozsądnego oskarżenia posługując się niedorzeczną lalką.

- Nie, nie znaleźli niczego, ani w apartamencie, ani w biurze, co by mogło bezpośrednio wskazywać na twój związek z zabójstwem Wilde'a.

Powoli, tak aby ukryć ulgę, wypuściła długo wstrzymywane powietrze.

- Chciałam powiedzieć ci, że niczego nie znajdą, ale pewnie nie uwierzyłybyś mi.

- Poczekaj.

- Ach, więc jest coś jeszcze - powiedziała. - Jakaś zła wiadomość.

Przez chwilę mierzył ją przenikliwym wzrokiem.

- W hotelowym pokoju Jacksona Wilde'a zebrano pewną ilość włókien tego samego rodzaju jak te, z których jest zrobiona wykładzina w twoim samochodzie. Ekspertyza brzmi jednoznacznie. Okłamywałaś mnie, Claire. Do diabła z tobą, ty tam byłaś!

Josh zapukał do drzwi łazienki.

- Ariel, nic ci nie jest? - Odgłos bezskutecznie wywoływanych wymiotów przywiódł go z sąsiedniego pokoju hotelu w Tulsa. - Ariel! - zawołał, szarpiąc za klamkę. - Otwórz drzwi.

Usłyszał hałas lejącej się silnym strumieniem wody. Kilka sekund później drzwi się otworzyły i stanęła w nich Ariel.

- Bóg jeden wie, jak bardzo brakuje mi odrobiny prywatności. Byłabym wdzięczna, gdybym mogła cieszyć się spokojem chociaż w łazience.

Mimo że w ciągu kilku ostatnich tygodni obserwował jej pogarszający się stan, był zaszokowany jej wyglądem.

Wokół oczu Ariel utworzyły się ciemne sińce, które nie miały nic wspólnego z makijażem. Zapadnięte policzki nadawały jej twarzy wygląd trupa. Kiedy odwróciła się do niego tyłem, zauważył, że jej łopatki wyraźnie sterczą pod materiałem sukienki.

- Zmuszasz się do wymiotów. - Podeszedł za nią do szafy, w której zaczęła przerzucać ubrania, najwidoczniej próbując wybrać strój na wywiad do gazety i występ w telewizyjnych wiadomościach.

- Poza bólem głowy nic mi nie dolega. Gdybyś przestał mnie pouczać, na pewno cierpiałabym o wiele mniej.

- Na twoje dolegliwości najlepiej pomogłyby regularne posiłki.

- Wczoraj wieczorem sama zjadłam prawie całą świnie.

- A potem poszłaś wszystko zwrócić.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie, potem zdjęła z wieszaka jedną z sukienek i rzuciła ją na łóżko.

- Ariel, zjedz coś - poprosił. - Musisz o siebie zadbać. Czeką cię pracowity dzień.

- Przestań mnie dręczyć. - Powinnaś zjeść.

- Zjadłam już!

Machnęła ręką w kierunku tacy. Podeszedł do stolika. Z tacy zniknęła jedynie kawa.

- Kawa to nie posiłek.

- Chciałabym przebrać się teraz - powiedziała niecierpliwie. - Jak zauważyłeś, czekają mnie pracowite dni.

- Odwołaj wszystko.

Wytrzeszczyła oczy, jakby nagle dostrzegłaby jego głowie rogi.

- Co takiego?

- Odwołaj wszystko i na resztę dnia połóż się do łóżka.

- Oszalałeś? Nie mogę tego zrobić.

- Raczej nie chcesz.

- W porządku: nie chcę. Chcę za to, by audytorium wypełniło się dzisiaj do ostatniego miejsca, by ludzie tłoczyli się przed wejściem, pragnąc wziąć udział we wspólnej modlitwie. Josh zaklął pod nosem.

- Ariel, to jest szaleństwo. Podróżujemy już od dziesięciu dni. Bez przerwy niemal udzielasz wywiadów, po których prowadzisz modlitewne spotkania trwające godzinami. W nocy przemierzamy się do kolejnego miasta, by wszystko powtórzyć od początku. Na dłuższą metę nie dasz rady. - Ta podróż przynosi rezultaty.

- Wyczerpuje nas fizycznie.

- Jeżeli nie możesz znieść gorąca...

- Nie widzę żadnego związku między bałaganem w Nowym Orleanie a tym, co robimy. Wcale ci nie zależy, żeby przez te

głupie spotkania modlitewne zmobilizować policję do działania. Odbywasz je przede wszystkim dla siebie. Nie prowadzimy żadnej świętej misji. Działasz, ponieważ chcesz podbudować swoje ego, Ariel.

- No i co z tego? - wykrzyknęła. - Czyżbyś uważał się za pokrzywdzonego? Dotychczas nie zauważyłam, abyś cierpiał, kiedy kamery koncentrują się na tobie. Czy ze swoim miernym talentem miałbyś kiedykolwiek tak ogromną publiczność, gdyby nie ja i moja pomysłowość? Hmm? Odpowiedz.

- Mam coś więcej niż „mierny talent”. Prychnęła pogardliwie.

- Czyżby? Jackson sądził inaczej. Było mi cię zawsze żal, kiedy rozwodził się nad twoim brakiem wszelkich talentów. Teraz zaczynam wierzyć, że miał rację.

- O czym ty mówisz? Odwróciła się.

- Spóźnimy się.

- O czym ty mówisz? - zawołał.

Jej twarz wykrzywiła się w zjadliwym uśmiechu.

- A o tym, że twój ojczulek odczuwał zażenowanie mając cię przy sobie na scenie. Trudno mi zliczyć, ile to razy mówił mi, iż pozwala ci występować z nami tylko dlatego, że jesteś jego synem. Cóż mógł innego zrobić: wyrzucić cię i wynająć kogoś z prawdziwą iskrą bożą i charyzmą? Ciągłe mi powtarzał, że w jego oczach jesteś zerem. Wiedział, że nie masz głowy do interesów, nie jesteś bynajmniej porywającym mówcą i nie masz zdolności przywódczych. Był zadowolony, że nauczyłeś się przynajmniej grać te kilka utworów, dzięki czemu nie musiałeś się martwić, za co będziesz żył.

Zanim zdążył sobie uświadomić, co robi, jego palce jakby same zamknęły się wokół jej cienkiej szyi.

- Ty kłamliwa suko! - Potrząsnął nią mocno, naciskając kciukami w okolicach krtani.

Wbiła paznokcie w jego dłonie, lecz długie, silne palce nie zwolniły uścisku.

- Ojciec dobrze wiedział, że mam talent, i to go przerażało. Bał się, że jeśli pójde swoją własną drogą, przerosnę go, stanę się sławniejszy niż on.

- Pu... puść mnie - wykrztusiła.

Nagle otrzeźwiał. Ujrzał wychodzące wprost z orbit oczy własnej macochy. Uwolnił ją tak gwałtownie, że zatoczyła się, z trudem unikając upadku. Dysząc i kaszląc zerknęła na niego podejrzliwie.

- Oszalałeś.

Josh oddychał tak samo ciężko jak ona. Nie spodziewał się po sobie tak gwałtownej reakcji. Przestraszył się.

- To jego sprawka - wyszeptał. - Panuje nad nami nawet zza grobu. Przeklęty bękart.

Pochwycił głowę Ariel i przyciągnął do lustra.

- Spójrz! Spójrz na siebie. Wyglądasz jak upiór. Przez niego, a ty mu na to pozwalasz. On jest jedyną przyczyną, dla której głodzisz się na śmierć. No, powiedz teraz: kto z nas dwojga jest szalony?

Po lunchu ekipa przeniosła się na werandę położoną na tyłach budynku. W garażu pań Monteith ktoś znalazł zabytkową maszynkę do kręcenia lodów; mimo że urządzenie nie mogło już spełniać swojej pierwotnej funkcji, wszyscy uznali, iż będzie znakomitym rekwizytem.

Liz siedziała na niskim stołeczku w batystowej koszuli nocnej z długim rzędem małych guzików, biegnącym od obniżonej górnej linii karczka do szerokiej falbany przy dolnej krawędzi koszuli. Między odsłoniętymi udami trzymała maszynkę do kręcenia lodów. Zgodnie z zamysłem Claire chodziło o wrażenie, że Liz kręci korbę urządzenia, podczas gdy w tle Kurt wypoczywa na białym hamaku.

- Jest w tym dostateczna dawka erotyzmu - stwierdziła Yasmine.

- Ale Liz jest zbyt poważna - zgłosiła zastrzeżenie Claire.

- To wygląda nijako - jęknął w rozdrażnieniu Leon, kręcąc obiektywem aparatu fotograficznego. - Brakuje odrobiny ognia.

- Brakuje jedynie tego właśnie pieprzonego drobiazgu. - Rue odkaslnęła i zapaliła papierosa. - Chryste, przecież tutaj nie daje się żyć. Jak ludzie to wytrzymują? Czy kiedykolwiek widział ktoś w okolicy jesienne liście?

- Może Liz powinna być nieco spocona? - zasugerowała nieśmiało charakteryzatorka.

- Spryskam ją wodą - zaproponowała fryzjerka.

- Dobrze, zrób to.

- Na litość boską, szybciej! Jeszcze chwila, a się roztopię - powiedział Leon.

- Poczulbyś się lepiej, gdybyś ściągnął tę swoją okropną koszulę - poradziła mu Yasmine.

Leon nosił jaskraworóżową jedwabną koszulę z długimi rękawami.

- Kiedy ona jest w jednym z moich ulubionych kolorów.
 - Ktoś obrzydliwy wygląda w nim jeszcze gorzej.
 - Ty suko! Nie znasz się na modzie, jeśli...
 - Przestańcie - powiedziała Claire zmęczonym głosem. -Zróbmy w końcu to zdjęcie.
 - Chyba ślady od hamaka do końca życia nie zejda mi z tyłka - poskarżył się Kurt, wierząc się niecierpliwie.
- Ustalono kilka minut wcześniej, że mężczyzna pojawi się na zdjęciu jako niewyraźna sylwetka spoczywająca w hamaku. Był nagi, tylko biodra miał okryte chwilowo ręcznikiem.
- Bądź dla nas wyrozumiały, Kurt.
- Zwilżone włosy Liz spływały teraz poskręcanyimi kosmykami na kark i ramiona.
- Znacznie lepiej - stwierdziła Claire, odwróciwszy się do fryzjerki. - Dziękuję.
- Charakteryzatorka skropiła wodą twarz i odkryte części ciała modelki.
- Hmm - westchnęła Liz. - Cudownie.
 - Tak, tak, teraz jest w porządku! - krzyknął Leon. - Fantastycznie. O, tak. Nareszcie to czuję.
 - Pokaż nam jeszcze fragment piersi, Liz - powiedziała Yasmine.
- Modelka pochyliła się nad korbą urządzenia.
- Och! Doskonale! - zawył z zachwytu Leon.
 - Poczekaj - rozkazała Claire. - Widać brodawki. - Chłodna woda sprawiła, że brodawki modelki sterczały wyraźnie pod materiałem koszuli.
 - No i co z tego? - Leon, zdenerwowany kolejną przeszkodą, opuścił teatralnym gestem aparat.
 - Nie chcę, żeby sterczały - powiedziała Claire. - Niech powrócą do normalnego stanu. Pod biustonoszem nie powinny być stwardniałe.
 - Ale wcześniej nie miałaś nic przeciwko sterczącym brodawkom - oświadczyła Yasmine.
 - Ona ma rację - powiedział Leon. - Wiem, bo przecież sam robiłem zdjęcia.
 - Pod nieprzejrzystym materiałem wystające brodawki sprawiają dobre wrażenie - wyjaśniła spokojnie. - Ale tak wyglądają po prostu wulgarnie.
 - Tam masz nagiego mężczyznę! - zaprotestował Leon głosem, którego natężenie mogło stanowić zagrożenie dla rodzinnych kryształów właścicielek Rosesharon.

- Ale on jest tylko złudzeniem. Jego widok zaledwie coś sugeruje. . . . , ,

- Na rany Chrystusa - mruknął Leon. - Od kiedy jesteś taka świętoszkowata?

- To wpływ Jacksona Wilde'a - zażartowała Yasmine. Claire odwróciła się do niej jak smagnięta biczem.

- Co ty wygadujesz, Yasmine? Gust Wilde'a nigdy nie był dla mnie miernikiem tego, co jest, a co nie jest w dobrym tonie. Z całą pewnością nie pełnił roli mojego sumienia. Wiesz o tym dobrze.

- Wiem tylko, że bardzo zmieniłaś się od czasu jego śmierci. Odpreż się. On już nie wyceluje w ciebie palcem. Bezmyślne uwagi przyjaciółki rozwścieczyły Claire, zwłaszcza że świadkiem całej sceny był Cassidy. W drodze nadzwyczajnego wyjątku pozwoliła mu przyglądać się ich pracy, w nadziei, że odsłaniając przed nim tę stronę swego życia, powstrzyma go przed badaniem innych. Jego obecność tutaj nie wydawała się kogokolwiek krępować poza nią samą.

Wyczuwała, że Cassidy pilnie nadstawia uszu na słowa Yasmine, ale kiedy na niego spojrzała, nie zauważyła żadnej zmiany w wyrazie jego twarzy, niczego, co zdradzałoby jego myśli.

Zadziornie powiedziała:

- Do ciebie należy robienie zdjęć, Leon, więc bierz się do roboty.

Skończyli po trzydziestu minutach. Wkrótce potem grupa zaczęła się rozpraszać. Claire szepnęła do ucha Yasmine:

- Chciałabym zobaczyć się z tobą zaraz w naszym pokoju. Pięć minut później Yasmine otworzyła drzwi sypialni i weszła

do środka.

- Wiem, że jesteś na mnie wkurzona.

Claire czekała na nią, siedząc na jednym z bliźniaczych łóżek, wsparta plecami o stos puchowych poduszek powleczonych w śnieżnobiałe, sterylnie czyste poszewki. Opuściła notatnik na kolana i zdjęła okulary.

- W tych okolicznościach, Yasmine, myślę, że twoje uwagi na temat śmierci Jacksona Wilde'a były niestosowne i nie na miejscu. Yasmine uniosła jedną z pięknie zarysowanych brwi.

- A kto by się nim przejmował? Wszystkich głównie obchodzi, co ja o nim powiedziałam.

- Być może wszystkich, z wyjątkiem Cassidy'ego. - Claire odrzuciła notatnik i przesunęła się bliżej krawędzi łóżka.

-Wolałabym, żebyś nie wyrażała się tak beztrósco o zabójstwie

Wilde'a ani nie okazywała zadowolenia z tego powodu, że nie może już nas więcej atakować.

- Nie myślisz chyba poważnie, że jedna żartobliwa uwaga wpłynie na opinię Cassidy'ego o twojej winie lub niewinności?

Claire nie odpowiedziała. Po dłuższej chwili milczenia podniosła głowę i powiedziała ponuro:

- Właściwie jestem na ciebie zła z innego powodu. Następnie opowiedziała przyjaciółce o rozmowie ze swoim prawnikiem na dzień przed wyjazdem do Missisipi. Ledwie wymieniła jego nazwisko, oczy Yasmine rozbłysły gniewem.

- Co za przewrotny sukinsyn. Kazałam mu nic ci nie mówić.

- A więc to prawda? Prosiłaś go, aby mnie przekonał, żeby zamienić nasz kapitał na zbywalne udziały. Następnie mogłabyś spieniężyć swoją część.

- Dokładnie tak. Muszę wycofać mój kapitał. Nie ma na to innego sposobu.

- Nie ma innego sposobu? - wykrzyknęła Claire. - Powinnaś była przyjść do mnie.

- Z kapeluszem w rękę, oświadczając, że zbankrutowałam?

- Do licha, Yasmine, wiem już od kilku miesięcy, że zbankrutowałam.

- No to pięknie. - Była modelka usiadła na krawędzi sąsiedniego łóżka. Spod zmrużonych powiek patrzyła wrogo na przyjaciółkę.

Claire złagodniała.

- Nie ma się czego wstydzić. Coś takiego może przytrafić się każdemu. Chętnie pożyczę ci trochę pieniędzy, dopóki sprawy nie przybiorą korzystniejszego obrotu.

- Jesteś ostatnią osobą, do której zwróciłabym się z prośbą o pieniądze.

- Dlaczego?

- Ponieważ i tak przede wszystkim ciebie obciąża ten interes. Nie próbuj zgłaszać zastrzeżeń. Wiem, co mówię, Claire. Stworzyłaś go od podstaw i nadałaś mu obecny kształt. Wykonujesz przy tym lwią część pracy. Jesteś jego mózgiem.

- A ty jesteś sławną pięknością. Bez twojego poparcia moja mała firma pozostałaby nadal mała.

Yasmine wzruszyła ramionami, jakby w ten sposób chciała pomniejszyć swoje zasługi.

- Jeszcze rok temu tonęłam w forsie. Pewnie sądziłam, że tak będzie wiecznie. Nie umiałam jej dobrze ulokować. Powierzałam pieniądze „finansowemu doradcom”, którzy pozbawili mnie co najmniej połowy kapitału.

- Sama również dużo straciłaś, na przykład ten tysiąc dolarów, który przekazałaś kaznodziei.

Yasmine podniosła ręce w geście kapitulacji.

- Moja wina. W każdym razie teraz jestem kompletnie splukana. Dlatego liczyłam na sprzedaż moich udziałów we Francuskim Jedwabiu.

Claire potrząsnęła głową.

- To niemożliwe. Publiczna sprzedaż nie wchodzi w rachubę. Jeśli będziesz nalegała, odkupię je od ciebie.

- I zobowiążesz mnie w stosunku do siebie?

- Nie patrzę na to od tej strony. Chcę jedynie być bezpieczna. Wiesz, jaka jestem zaborcza, jeśli chodzi o moje interesy. - Wiem, wiem - powiedziała Yasmine w rozdrażnieniu. - Myślisz może, że było mi lekko, kiedy stanęłam przed tym brzuchatym prawnikiem? Nigdy nie doszłoby do tego, gdybym okropnie nie potrzebowała gotówki. Sprzedałam już ostatnie moje futro i całą lepszą biżuterię. Nie mam teraz nic więcej poza udziałami we Francuskim Jedwabiu. - Więc posłuż się nimi jako zabezpieczeniem pożyczki ode mnie.

- Powiedziałam: nie.

- Nie rozumiem... Yasmine zeskoczyła z łóżka.

- Nie dręcz mnie, Claire. Nie pożyczę od ciebie żadnych pieniędzy, ale jednak sprzedam ci te cholerne udziały. Zgoda? Na razie dajmy sobie z tym spokój. Ja otrzymam trochę gotówki, a firma będzie bezpieczna. Alleluja i amen! Nie chcę już więcej o tym słyszeć, ponieważ aktualnie mam jeszcze większe zmartwienie.

- To nie powód, żebyś robiła mi na przekór i knuła coś za moimi plecami. Wszyscy mamy jakieś problemy. - Uderzyła dłonią w pierś. - Ja zostałam oskarżona o morderstwo.

- Przez Cassidy'ego? - prychnęła Yasmine. - On nic na ciebie nie ma.

- Włókna znalezione w hotelowym pokoju Wilde'a są takie same jak te, z których jest zrobiona wykładzina w moim samochodzie.

Yasmine zdziwiła się.

- Skąd o tym wiesz?

- Cassidy mi powiedział.

- A on skąd wie?

- Policja przeszukała Francuski Jedwab.

- Co takiego?

- Tak. Znalaziono w twoim pokoju przedmioty związane z magią voodoo, w tym lalkę przypominającą Wilde'a.
 - Przecież to żart!
 - To samo powiedziałam Cassidy'emu, ale nie wykazał się poczuciem humoru.
 - Rzeczywiście, przez całe popołudnie nie zauważyłam, żeby choć raz się uśmiechnął.
 - Jest przekonany, że byłam w apartamencie Wilde'a i że to ja go zabiłam. Te włókna rzekomo mają na to wskazywać.
 - Ile samochodów z podobną wykładziną jeździ po Nowym Orleanie? Dziesiątki, setki?
 - Pewnie Cassidy też o tym pomyślał i chyba dlatego jeszcze mnie dzisiaj nie aresztował - stwierdziła Claire. - Powiedział, że dobry adwokat zdobyłby dane liczbowe o produkcji Chryslera i na tej podstawie wyliczył ilość potencjalnych morderców.
 - Nonsens. Nigdy niczego się nie bałaś. Przynajmniej od kiedy cię znam.
 - Teraz się boję.
 - Cassidy'ego?
 - Jego też. On jest częścią tego wszystkiego. Ale najbardziej przeraża mnie utrata kontroli nad sytuacją. To najgorsze uczucie ze wszystkich możliwych - że nie panujesz nad własnym losem.
 - Odpręż się, Claire. Cassidy nie zamierza wsadzić cię do ' pudła.
 - Ależ przeciwnie - zaśmiała się ponuro. - Jeżeli zdobędzie przekonanie, że ma dowody zdolne przekonać ławę przysięgłych o mojej winie, natychmiast mnie aresztuje.
 - Zanim cię przeleci czy dopiero później?
- Claire popatrzyła na przyjaciółkę w osłupieniu. Yasmine wzruszyła ramionami.
- Ten facet pragnie cię aż do bólu. W każdej chwili jest gotowy rzucić się na ciebie.
 - I poinformować mnie o moich prawach.
 - Ajajaj - powiedziała Yasmine, potrząsając głową. - W żadnym wypadku. On po prostu chce dostać się między twoje uda. - Nie czekając, aż Claire wda się w kłótnię, dodała: -Pierwszego mężczyznę miałam, gdy ledwie skończyłam trzynaście lat. Wierz mi, wyczuwam te rzeczy szóstym zmysłem. Wiem, kiedy mężczyzna tego pragnie i kiedy kobieta pragnie mu to dać. Tak właśnie jest z wami. On wchodzi do pokoju, a ty wprost promieniejesz... i *vice versa*; atmosfera wokół was robi się gęsta od erotyzmu.

- Cassidy nie odpuści sobie sprawy Wilde'a. Został do niej wyznaczony, ponieważ jest dobry. Jeśli mu się powiedzie, zostanie głównym kandydatem na urząd prokuratora okręgowego. Nie promieniuje pożądaniami, jak ci się wydaje, lecz wrogością. Denerwuję go, ponieważ nie ułatwiam mu pracy. Wystarczy, że znajdzie cokolwiek, co potwierdzi moją obecność w apartamencie Jacksona Wilde'a, a wtedy zrobi dosłownie wszystko, aby udowodnić mi winę.

- Ale ty nie jesteś winna, prawda?

Przez kilka chwil mierzyły się wzrokiem. Claire miała wrażenie, że z każdym uderzeniem pulsująca krew rozsadza jej głowę. W końcu powiedziała:

- Wypiszę ci czek na jedną czwartą twoich udziałów. Tym samym zyskasz trochę gotówki i jednocześnie pozostaniesz współudziałowcem we Francuskim Jedwabiu. W każdej chwili będziesz mogła odkupić je za cenę, jaką ja zapłacę.

- Dzięki - powiedziała Yasmine śmiertelnie poważnie.

- Najlepiej podziękujesz nie wchodząc mi w drogę.

Zginęło jego wieczne pióro. Zakładając przed obiadem marynarkę, Cassidy spostrzegł, że zginęło pozłacane, grawerowane pióro, które dostał w prezencie od rodziców z okazji ukończenia wyższej uczelni.

Przeszukał dokładnie górną szufladę komody stojącej w jego sypialni, mając nadzieję, że może zapodziało się gdzieś między zwitkami drobnych banknotów i innymi drobiazgami, kiedy je usuwał z kieszeni, ale nie znalazł go tam. Z takim samym skutkiem przeszukał kurtkę i drugą marynarkę. Był pewien, że w żadnym wypadku nie zostawił gdzieś pióra przez roztargnienie. Zawsze pamiętał, aby schować je z powrotem do kieszeni, ilekroć z niego korzystał.

Po kolei odtwarzał w myślach każdy swój krok. Z powodu upału zdjął przed południem marynarkę i powiesił ją na wieszaku w foyer, a po lunchu poszedł na przechadzkę wokół Rosesharon.

Czyżby ktoś ukradł mu pióro? Jakoś nie mógł sobie wyobrazić, żeby któryś z mieszkańców pensjonatu przeglądał mu kieszenie w poszukiwaniu czegoś cennego. Nie podejrzewał także nikogo z personelu. Panie Monteith zapewne nie tolerowałyby skłonności do kradzieży u swoich pracowników, którzy poza tym zdawali się szczerze troszczyć o wygodę i zadowolenie gości.

Pióro nie przedstawiało znaczniejszej wartości, ale głęboko

żałował straty z powodów sentymentalnych. Kiedy schodził na obiad, był zdenerwowany i przygnębiony.

Przy minibarze gawędziły dwie modelki. Rozdzielił je, by nalać sobie szklaneczkę chivas z lodem.

- Nie zapomnij dopisać sobie tego do rachunku - powiedziała śliczna brunetka.

- Nie zapomnę.

- Jesteś gliną uczciwym czy niegodziwym? - zapytała tonem kpiny długonoga blondynka.

- Nie jestem gliną. - Uśmiechnął się ujmująco.

- Hmm - zamruczała sceptycznie, stukając paznokciem w jeden z górnych siekaczy. Następnie przesunęła palcem po swych błyszczących, wydatnych wargach. - W każdym razie nie wyglądasz na świętego.

Podniósł szklanę. - Pewnie masz rację.

Ku ich rozczarowaniu przeprosił i ruszył w kierunku Yas-mine, która stała przy oknie i wyglądała na zewnątrz.

- Miłe miejsce.

Spojrzała na niego oczami tygrysy. Odczytał w nich niechęć.

- Jeżeli przed sądem wygłasza pan podobne frazesy, jak to się dzieje, że zawsze wygrywa pan wszystkie sprawy, panie Cassidy? - Ja jedynie próbuję nawiązać sympatyczną konwersację.

- Szkoda fatygi. Pociągnął łyk szkockiej.

- Czy wrogość, jaką wyczuwam, jest zamierzona?

- Nie lubię gliniarzy.

Zacisnął zęby, po czym powtórzył:

- Nie! Jestem gliną.

- Ale kimś w tym rodzaju.

Była kobietą niezwykle piękną. Próżno by szukać usterki w jej twarzy czy figurze. Już samo szukanie byłoby czystą przyjemnością. Lecz nie lubił jej. Wyczuwał w niej arogancję odporną na groźby i pochlebstwa, cechę, której nie cierpiał u świadków przesłuchiwanym na rozprawie. Postanowił zmienić język.

- Coś cię ugryzło w siedzenie?

- Ty przede wszystkim. Dlaczego nie odczepisz się od Claire?

- Ponieważ, być może, zabiła człowieka.

- No tak, racja. A ja jestem jednym z siedmiu krasnoludków.

- Nie myślisz, że ona to zrobiła?

Yasmine cmoknęła kilka razy pogardliwie.

- Ty również zaliczasz się do grona podejrzanych. Podobnie jak ona miałaś motyw. Może wcale nie jestem tutaj, by obserwować Claire, ale by obserwować ciebie.

Uśmiechnęła się szeroko. Położyła dłoń na biodrze, wyprężyła pierś, podniosła dumnie głowę.

- Stoję przed tobą, kotku. Możesz mi się przyglądać do woli. Bylebyś tylko to wytrzymał. Zachichotał.

- Różnisz się od Claire. Ona chce, żebym nosił klapki na oczach.

- Patrz sobie, patrz, bylebyś tylko przestał węszyć wokół Claire. Działasz jej na nerwy.

- Powiedziała ci?

- Nie musiała. Znam ją. Poza swoją matką najbardziej kocha Francuski Jedwab. Jest perfekcjonistką. Ta sesja fotograficzna i bez twojej obecności byłaby dla niej dostatecznie wyczerpująca. Claire nigdy nie traci panowania nad sobą, ale teraz gotuje się w niej i dopóki... - zamilkła.

Uniósł brwi.

- Dopóki co?

- Mniejsza z tym.

- O czym rozmawialiście dzisiaj po południu podczas waszej konferencji na szczycie? Czy przypadkiem nie o twojej uwadze pod adresem Jacksona Wilde'a?

- Bardzo chciałbyś wiedzieć?

- Owszem, chciałbym.

- Pocałuj się w dupę, Cassidy. Zasalutował.

- Powiedziane od serca, jak sądzę.

- Z całą pewnością, kotku. W tej chwili cała zafajdana męska populacja znajduje się u mnie na czarnej liście.

- A czymże to naraziliśmy się?

- Samym istnieniem - powiedziała, po czym opróżniła kieliszek.

- Obiad! - Grace Monteith wyszła z kuchni i uruchomiła mały gong przy drzwiach.

Cassidy zajął miejsce naprzeciwko Claire. Chociaż modelki były młode i piękne, nie wytrzymały porównania z Claire Laurent. Różniła się od nich, jak gronowy *kool-aid* różnił się od szlachetnego burgunda, którym Agnes Monteith napelniła mu kieliszek.

Jedząc pieczeń z jarzynami, zastanawiał się, kto spośród

współbiedniaków wziął jego pióro. Był przekonany, że zostało ukradzione, i to najprawdopodobniej z czystej złośliwości. Ani Rue, ani fryzjerka, ani też charakteryzatorka nie wyglądały na dostatecznie przebiegłe, by zwędzić jakieś grawerowane wieczne pióro. Modelki, prezenterzy? Wszyscy po południu byli zajęci. Nie wydawało się możliwe, aby ktoś z nich miał czas na przeszukiwanie jego kieszeni.

Cassidy mógł obserwować wszystkich, nie ściągając na siebie uwagi, ponieważ przy stole dominował Leon, podczas gdy jego asystent skromnie i w ciszy jadł tuż obok niego.

- Szalenie mi się podoba ta huśtawka za domem - powiedział Leon, smarując masłem drożdżową bułkę. - Musimy jakoś ją wykorzystać.

- Co powiecie o getrach? - zasugerowała Claire.

- Świetna myśl - zapiał z zachwytu Leon. - Huśtawka to jest to. Nie da się na niej siedzieć inaczej niż w rozkroku.

- Zachichotał, potem spoważniał, żując pracowicie. - Chciałbym też pokazać coś z jedwabiu na kontrastującym tle jakiejś porowatej, zardzewiałej powierzchni. Czy widział ktoś podwórzowy prysznic?

- Został zainstalowany, aby po pracy przy bawełnie można było umyć się przed wejściem do domu - wtrąciła Grace, rozstawiając talerzyki na deser.

- Pomyślałam o prysznicu - oświadczyła Yasmine. - Ale moje plany co do niego są na razie tajemnicą.

- Muszę zapalić - powiedziała Rue, odsuwając swoje krzesło. - A wy, dziewczęta, przestańcie się opychać ciężko-strawnym żarciem, bo jutro będą wam sterczały brzuchy.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

- Jutro zaczynamy bardzo wcześnie - powiedział Leon. - Chciałbym, aby modelka, która będzie prezentowała tę przejrzystą koszulę nocną...

- Felicia - podpowiedziała mu Yasmine.

- Felicia, kochanie, jutro idziesz na pierwszy ogień.

- Gówno - mruknęła w karmelowy krem modelka.

- Poranne promienie słońca przeświecą cienki materiał. - Leon podniósł ręce, złączył końce kciuków przed oczami i patrzył niby przez obiektyw. - Może szczęśliwie zastaniemy naturalną rosę. Jeśli nie, nasza droga gospodyni z pewnością pozwoli nam skorzystać z ogrodowego spryskiwacza. - Kiedy Agnes napełniała mu filiżankę kawą, pochwycił jej wolną dłoń i lekko musnął wargami. - W każdym razie trawa będzie mokra i roziskrzona. Brzeg koszuli ma być

zmoczony i dotykać ziemi. Nie miałbym nic przeciwko pokazaniu odsłoniętej piersi.

- Kurt mógłby odpoczywać w tle - zaproponowała Yasmine.

- To mi się podoba - zapiszczał Leon. - Nie gol się rano, Kurt. Uwielbiam fotografie, które sugerują sceny odpoczynku po nocnych zmaganiach. Och, moja droga Agnes, twoje policzki wprost płoną. Wybacz mi moją otwartość. Czy myślisz, że jestem nieprzyzwoity?

Cassidy skrzywił się z niesmakiem. Przypadkowo zerknął na Claire. Najwyraźniej powstrzymywała wybuch śmiechu. Wymienili spojrzenia. Ta chwila między nimi, nawet wśród tak wielu ludzi, była intymna.

W jednej sekundzie stłumił w sobie wzbierającą tkliwość. Gdyby nie była jego główną podejrzaną, zrobiłby wszystko, żeby zaciągnąć ją do łóżka. Co do tego nie miał wątpliwości. Nie miał ich Crowder i prawdopodobnie ona również. Do diabła, przecież powiedział jej o tym wprost.

Nigdy więcej prywatnych chwil - skarcił się surowo. Żadnych intymnych spojrzeń przy stole.

Panie Monteith zachęciły swoich gości, by przeszli z kawą do jednego z dwóch saloników bądź na werandę, gdzie po zachodzie słońca panował przyjemny chłód.

Cassidy poszedł za Claire, która przystanęła przy schodach z Mary Catherine i jej opiekunką.

- Zanim zaśniesz, przyjdę pocałować cię na dobranoc - obiecała matce.

- Dobranoc, panie Cassidy.

- Dobranoc, panno Laurent, dobranoc, panno York. Uśmiechnąwszy się słodko, Mary Catherine ruszyła na górę. Cassidy przytrzymał frontowe drzwi, po czym oboje z Claire podeszli do balustrady. Usiadła na niej i pociągnęła z filiżanki łyk aromatycznej kawy.

- I co o nas sądzisz?

- Tworzycie całkiem interesującą grupę.

- Wyrażasz się jak dyplomata.

Zaczął się zastanawiać, czy powinien poinformować ją, że jeden spośród jej współpracowników jest złodziejem, ale w końcu porzucił tę myśl. Wystarczy, że już nieoficjalnie oskarżył Claire o morderstwo.

- O czym rozmyślasz, Cassidy? - zapytała cicho.

- Myślę o tym, co powiedział mi wczoraj Glenn. -Zauważył, że usłyszawszy nazwisko detektywa wzruszyła

ramionami, ale ciągnął dalej. - Przyszło mu do głowy, że może Yasmine była kochanką Jacksona Wilde'a.

- Co takiego? - Jej filiżanka zagrzechotała na spodku. - Twój kumpel traci kontakt z rzeczywistością, Cassidy. Ty również, jeżeli myślisz podobnie.

- Nie jest to aż tak niewiarygodne. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Gdybyś się nad tym zastanowił choć przez chwilę, nie wypowiedziałbyś głośno tej bzdury. Przysłuchaj się własnym słowom. Miała rację. Cała ta teoria była pozbawiona sensu. Chociaż właściwie, chcąc być lojalny wobec Glenna, musiał pójść tym śladem. Poza tym nigdy się nie wie, dokąd może zaprowadzić ślepa uliczka.

- Yasmine generalnie ma mężczyzn w „głębokim poważaniu”. Sama mi to powiedziała.

- Więc dlaczego sądzisz, że Jackson Wilde był jej kochankiem? - zapytała. - Ona uważała go za swojego wroga tak samo jak ja. - Pozornie. - Twoim zdaniem utrzymywali swój związek w tajemnicy?

- Całkiem możliwe.

- Nie bądź śmieszny. W dniu śmierci Wilde'a Yasmine była w Nowym Jorku.

- Jesteś pewna?

- Następnego ranka pojechałam po nią na lotnisko.

- Może odegrała przed tobą przedstawienie.

- Szukasz po omacku, Cassidy.

- Czy ona ma kochanka?

- Nie rozumiem, co...

- Ma?

- Tak - rzuciła gniewnie.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem.

- Nie czaruj!

- Przysięgam, że nie wiem.

Przyjrzał się jej badawczo i wreszcie zdecydował, że powiedziała prawdę.

- Jaki jest powód, że nawet przed tobą utrzymała to w tajemnicy? Czy ten mężczyzna jest żonaty?

- Wiem tylko, że jest mu bardzo oddana - powiedziała wymijająco. - Tym samym twoja wymyślna teoria upada. Ona i Jackson Wilde nigdy się nie spotkali.

- O tym również jesteś przekonana?
- Absolutnie. Wiedziałabym.
- W porządku. Przyjmijmy, że masz przyjaciółkę, która potrafi dochować tajemnicy i która, tak jak ty, nie kłamie.
- Przysunął się do niej bliżej. - Więc może ty miałaś jakiś bliższy związek z kaznodzieją? - Jej twarz stężała w gniewie. Chciała się podnieść, ale położył ręce na jej ramionach i pchnął ją z powrotem na balustradę. - Publicznie nagłośniona potyczka mogła służyć wam obojgu za dobrą zasłonę dymną.
- Któż to wymyślił, ty czy detektyw Glenn? Zignorował jej pytanie.
- Powiedzmy, że pozwoliłaś mu wystąpić przeciwko tobie, dzięki czemu mógł stać się sławnym, powszechnie znanym kaznodzieją.
- W zamian za bezpłatną reklamę Francuskiego Jedwabiu, tak przypuszczam.
- Dokładnie tak. Przyznałaś sama, że jego kazania korzystnie oddziaływały na twoje interesy.
- Dlaczego więc zabiłam go i tym samym pozbawiłam się takiego dobrodziejstwa?
- Może odkryłaś, że nie byłaś jedyną kobietą, z którą prowadził wspólną grę. Może miał do swojej dyspozycji cały ich legion.
- Zwariowałaś.
- A może wasz związek nie był satysfakcjonujący. Czy nie oddawałaś mu się, ponieważ cię szantażował? Czy wasze spotkanie w Nowym Orleanie nie było formą „zapłaty”? Wtedy właśnie mogłaś zdecydować się położyć temu kres. - Udało się jej wstać, lecz kiedy próbowała go ominąć, zastąpił jej drogę. -Kiedy poznałaś Jacksona Wilde'a? Odrzuciła do tyłu głowę, spojrzała mu w oczy.
- Już ci mówiłam. Bezpośrednio spotkałam się z nim jedynie raz po jego kazaniu pod Wielką Kopułą.
- Kłamiesz. Kiedy wówczas do niego podeszłaś, pewnie szepnął ci do ucha numer swojego hotelowego apartamentu.
- Pochwycił jej ramię w mocny uścisk. - Miałaś bogatą kolekcję wycinków prasowych od wielu lat dokumentujących każdy jego krok. Nawet kiedy pierdnął, ty musiałaś o tym wiedzieć. To obsesja.
- Wytłumaczyłam się z tych wycinków.
- Nie najlepiej.
- Z pewnością nie byłam jego kochanką.
- Teraz z nikim nie sypiasz.

- Skąd wiesz?

Jej pytanie zawisło między nimi jak odgłos skrzyżowanych mieczy. W końcu powiedziała:

- Proszę mi wybaczyć, panie Cassidy. Ominęła go i wyszła przez oszklone drzwi.

Rozdział XVII

Ariel zemdląca podczas wieczoru modlitwy, który odbywał się na miejskiej arenie w Kansas.

Aż do tej chwili tłumnie przybyła publiczność trwała w zaurczeniu. Bohaterka wieczoru, ubrana w biel i oświetlona punktowym reflektorem tak, że jej włosy wyglądały jak połyskująca aureola, z dłońmi uniesionymi w błagalnym geście ku niebu, mogła uchodzić za wcielenie porzuconego anioła, który prosi, by go zabrać do domu.

W pewnym momencie, kiedy podniosła głos w gorliwym błaganiu, jej ciało zadrżało; chwilę później leżała skulona na scenie. W pierwszej chwili Josh pomyślał, że tym razem po prostu za bardzo wczuła się w rolę. W duchu pogratulował jej dramatycznego instynktu. Tłum jęknął niby jednym głosem, gdy drobna sylwetka zniknęła pod obszernym białym materiałem jak pod parasolem opadającego spadochronu.

Minęło jednak kilka długich sekund, a ona nadal leżała bez ruchu. Josh wstał, potknął się o taboret i ruszył w jej kierunku. Przyklęknął nad nią. Kilka razy zawołał ją po imieniu. Spróbował unieść macochę do pozycji siedzącej, ale bez skutku. Leżała w jego ramionach bezwładna jak szmaciana lalka, jej głowa opadła na jedną stronę. To nie było przedstawienie.

- Straciła przytomność! Niech ktoś zadzwoni po pogotowie! Natychmiast trzeba wezwać karetkę. Ariel! Ariel! -
Kilkakrotnie uderzył ją delikatnie w oba policzki. Nie zareagowała. Pochwycił ją za niebywale szczupły nadgarstek. Wyczuł niewyraźny puls. - Odsuńcie się - poleciał najbliższym stojącym. - Blokujecie dostęp powietrza.

Wszyscy na arenie wstali. Był taki zgiełk, że Josh nie mógł zebrać myśli. Niektórzy modlili się, inni szlochali, a jeszcze inni zamarli w odrętwieniu. Poprosił jednego z organizatorów, aby wezwał tłum do rozejścia się.

- Widowisko skończone.

Natomiast nie umiał przywrócić Ariel przytomności. Nie odzyskała jej aż do przybycia sanitariuszy, którzy bez zwłoki przystąpili do elementarnych badań.

- Co się stało? - wymamrotała, rozglądając się dookoła.

- Zemdląłeś - wyjaśnił Josh. - Teraz pojedziesz karetką do szpitala. Wszystko będzie dobrze.

- Karetką? - Zaczęła się słabo bronić, kiedy sanitariusze przypinali ją pasami do wózka. W drodze do karetki zapewniała, że nic jej nie jest i że wcale nie potrzebuje jechać do szpitala.

- Czy potrafi pan wyjaśnić przyczynę tego, co się stało? - jeden z sanitariuszy zapytał Josha, który uparł się, że również pojedzie karetką. - Czy ona przypadkiem nie choruje na cukrzycę?

- Nie sędzę. Myślę, że jest wyczerpana i wycieńczona. Zwraca wszystko, co zje.

Ten sam sanitariusz zmierzył Ariel ciśnienie i przekazał wynik drogą radiową lekarzowi dyżurującemu w szpitalu Świętego Łukasza. Lekarz wydał doraźne zalecenia, ale kiedy dojechali na miejsce, Ariel nadal wyglądała na bliską śmierci. Nie odzyskała naturalnej barwy skóry, jej usta były kredowobiałe, a policzki i oczy głęboko zapadnięte. Natychmiast zawieziono ją na oddział intensywnej terapii, gdzie Josha już nie wpuszczono.

Lecz nie dane mu było odpocząć. Nagraną na taśmę wideo scenę upadku Ariel odtwarzano w czołówkach wszystkich programów informacyjnych. Przed szpitalem pojawił się tłum reporterów, fotografów i sympatyków. Dla zapewnienia normalnego funkcjonowania szpitala wezwano oddział policji. Josh, nienawykły do publicznych występów, wygłosił przed kamerami wstępne oświadczenie.

- Pani Wilde, nie szczędząc sił, walczyła nieugięcie o to, by pociągnięto do odpowiedzialności mordercę mojego ojca. Ta walka ją wyczerpała. Jednakże opinia lekarzy na temat jej zdrowia napawa optymizmem. Jeśli dowiem się czegoś więcej, natychmiast podzielę się tym z wami. Proszę, módlcie się za nią.

Popijając kawę z automatu i czekając na kolejne informacje, Josh badał stan swoich uczuć. Jeszcze przed kilkoma dniami był tak wściekły na Ariel, że gotów był ją zamordować. Teraz obawiał się o jej życie. Co się stanie, jeśli nie będzie zdolna do dalszego kierowania organizacją? Co będzie, jeśli twór jego ojca rozsypie się? Co on sam pocznie ze sobą przez resztę swojego życia?

Może mógłby dostać zajęcie w jakimś zespole przygrywającym do tańca. Mógłby też objeżdżać z występami miejscowości wypoczynkowe. Przygnębiony ponurą perspektywą, przeczesał włosy palcami i zwiesił głowę nad kolanami w modlitewnej postawie.

- Chryste!

Nie cierpiał całego tego cyrku, jakim była działalność organizacji, ale dzięki temu miał zapewnioną szeroką publiczność. Potrzebował tego jak codziennego chleba. Co do tego Ariel miała całkowitą rację. Pogardzał hipokryzją całego tego przedsięwzięcia, lecz z drugiej strony korzystał z możliwości niemal codziennych występów. Niewielu muzyków cieszyło się luksusem stałego zajęcia. Jego publiczność była lojalna i szczodra. Granie dla niej, słuchanie jej aplauzu przynosiło mu satysfakcję, jakiej nie znalazłby gdzie indziej. I choć zdawał sobie sprawę z pozorności swoich osiągnięć, owa aprobaty stanowiła sens jego życia. Bez niej nie mógłby żyć.

- Panie Wilde?

- Tak? - Stała przed nim młoda, atrakcyjna lekarka, która wyglądała bardziej na przedszkolankę niż na pełniącą odpowiedzialną funkcję pracownicę oddziału pierwszej pomocy w dużym miejskim szpitalu.

- Jakie wieści? Czy ona wyjdzie z tego?

- Pani Wilde cierpi na chorobę zwaną bulimia. Na szczęście mamy do czynienia z początkowym stadium. Wygląda na to, że chora cieszyła się całkiem dobrym zdrowiem, zanim zaczął się cykl posiłek-wymioty. Właściwa opieka i stosowna dieta pozwolą przywrócić normalne zaburzone funkcjonowanie organizmu. Nie sądzę, aby skutki obecnego stanu w sposób trwały odbiły się na zdrowiu jej czy dziecka.

Josh zamrugał powiekami.

- O jakim dziecku pani mówi?

- Tak - powiedziała lekarka z uśmiechem. - Pańska macocha jest w ciąży.

Claire Louise Laurent nigdy wcześniej nie doświadczyła uczucia zazdrości. W dzieciństwie nie miała być o co ani o kogo zazdrosna. Nikt nie rywalizował z nią o miłość i względy matki.

Dziwnym zrzędzeniem losu lata dzieciństwa nie pozostawiły na jej osobowości poważniejszej skazy. Zawsze patrzyła na siebie raczej trzeźwo i było jej ze sobą po prostu dobrze. Nie zdarzało jej się marzyć, aby być kimś innym, niż była. Nie czerpała satysfakcji z porównywania swego wyglądu, stanu posiadania czy zdolności z innymi. Sama wyznaczała sobie cele i sama była sobie sędzią.

Kiedy więc uczucie zazdrości pojawiło się i otoczyło ją jak mgła, była zaszokowana i zawstydzona, zwłaszcza że powodem jej zazdrości była Yasmine.

- Absolutna doskonałość. - Leon wypowiedział te słowa z takim szacunkiem, jakby przez wizjer swojego aparatu zobaczył boży cud. - Jesteś najwspanialsza, kochanie. Jak zawsze. Nigdy nie będzie drugiej Yasmine.

- Masz szczęście, kotku - powiedziała do niego przez ramię, kołysząc jednocześnie biodrami. Deszczowe chmury, które jeszcze poprzedniego dnia wisiały nad Rosesharon, odpłynęły na zachód i podczas gdy na horyzoncie widać było zygzaki błyskawic, uroczą posiadłość tonęła w blasku słońca. Pogoda sprzyjała, więc wszyscy wyszli na zewnątrz i zebrali się wokół podwórzowego prysznicu. Temperatura przekraczała znacznie trzydzieści stopni, a powietrze było wilgotne i duszne. Claire chciałaby widzieć przyczynę swego złego humoru w bezlitosnym upale, lecz w głębi duszy wiedziała, że w istocie tkwiła ona w czymś innym. Yasmine nie zdradziła swojego pomysłu, aż wszystko było gotowe do wykonania zdjęć.

- Chcę wystąpić w tym - oświadczyła wtedy, pokazując prostą bawełnianą piżamę.

- Zastanawiałam się, gdzie to zginęło - zauważyła Claire.

- Na wszelki wypadek schowałam ją dla siebie. - Komplet złożony z krótkich białych spodni i białej góry nie należał do strojów, które Yasmine zwykle wybierała. Wolała prezentować bardziej eleganckie ubiory.

- ' Nie sądzisz, że jak dla ciebie jest za skromna?

- Poczekaj, aż zobaczysz, w jaki sposób ją wykorzystam -mruknęła Yasmine, uśmiechając się figlarnie.

- Zatem w jaki?

- Spotkajmy się przy podwórzowym prysznicu, to wam pokażę. ,

A więc na^stym polegał jej sekret - pomyślała ponuro Claire, patrząc, jak Leon pracowicie, zdjęcie za zdjęciem, uwiecznia rozmaite pozy Yasmine.

Modelka zrzuciła górę od piżamy, a nogawki spodenek podwinęła wysoko, tak że ciasno otaczały jej uda przy samym kroczu. Z początku stanęła pod sitkiem prysznicu, plecami do obiektywu aparatu fotograficznego. Odkręciła kurek. Woda trysnęła na gęstwinę jej czarnych włosów i ramiona, którymi poruszała z wdziękiem primabaleriny, olśniewając jedną pozą za drugą. Woda spływała połyskującymi strużkami po jej gładkich plecach. Wkrótce spodenki były przesiąknięte wilgocią; przywarły do jędrnych pośladków, wyraźnie zaznaczając ich krągły zmysłowy kształt. Yasmine całkowicie panowała nad

swoim ciałem, posługując się nim precyzyjnie jak sprawną maszyną.

Claire chciała zaprotestować, jak poprzedniego dnia, przeciwko nadmiernie jawnemu erotyzmowi obrazu, lecz nie zrobiła tego, powodowana motywem artystycznej natury. W istocie Yasmine wyglądała jak dzieło sztuki. Takiej doskonałości sylwetki w żaden sposób nie można było łączyć z wulgarnością. Owszem, obraz, który wykreowała, był przesycony erotyzmem, ale nie miał nic wspólnego z pornografią. Był afirmacją ludzkiej zmysłowości, nie propagandą moralnego upadku.

Obraz stworzony przez Yasmine miał pobudzić skryte marzenia kobiet, że w tej właśnie pizamie i one mogą wyglądać równie wyjątkowo. Dzięki temu znacznie zwiększała się sprzedaż. Bez wątpienia Claire, tak jak reszta zespołu, odniosłaby się z entuzjazmem do kreacji przyjaciółki, gdyby nie hamowała jej obecność Cassidy'ego, który wpatrywał się w Yasmine z miną oszalałego na punkcie seksu niedorostka.

Claire była rozgorączkowana, wściekła, zdenerwowana, roz-kojarzona i zazdrosna wyłącznie z jego powodu. To on był przyczyną kipiącego w niej żywiołowego oburzenia.

Czuła, że powinna kazać mu stąd odejść. Jednak na pewno chciałby dowiedzieć się, dlaczego. Gdyby wyjaśniła, że przeszkadza wszystkim, pozostali mogliby zaprzeczyć, a to byłoby równoznaczne ze stwierdzeniem, że przeszkadza jedynie jej.

Zawsze podziwiała urodę przyjaciółki i nigdy nie była o nią zazdrosna. Podobało jej się, że Yasmine tak starannie pielęgnuje wizerunek kobiety naturalnej, spontanicznej i pełnej dzikiego seksu. W każdym razie nie wywoływało to w niej zawiści. Teraz również Yasmine była tylko sobą. Pozując przed obiektywem, czuła się we własnym żywiole. Nie prowokowała Cassi-dy'ego rozmyślnie.

- Podoba ci się, Claire? - zawołała przez ramię.

- Tak - odpowiedziała bez cienia emocji w głosie. - Odnosi się przyjemne wrażenie.

Yasmine opuściła ręce i odwróciła się. Nie pomyślała nawet o zasłonięciu piersi.

- Przyjemne wrażenie? Tu nie chodzi o wywołanie przyjemnego wrażenia.

- O co więc chodzi?

- Do diabła, to ma przykuwać uwagę i podniecać. Chodzi o to, żeby sprzedać te cholerne pizamy, które, szczerze mówiąc, są największym buble w twojej karierze projektantki. Nie

mają stylu, klasy, niczego. Próbuje coś z tym zrobić, abyś nie straciła dobrej marki.

Słowa Yasmine tchnęły taką niechęcią, że nawet Leon zaniemówił. Zapadła pełna napięcia cisza. Milczała również Rue, która znana była z sarkastycznych powiedzonek rzucanych w najmniej stosownych momentach. Spokojnie paliła papierosa, podczas gdy reszta czym prędzej szukała sobie jakiegoś zajęcia, byle tylko uniknąć niebezpieczeństwa opowiedzenia się po czyjejs stronie. Niejednokrotnie bywali świadkami spięć między Claire i Yasmine, lecz nigdy sytuacja nie wydawała się tak poważna jak teraz.

Claire z trudem stłumiła wybuch. Odwróciła się do Leona i zapytała spokojnie:

- Masz już wszystkie potrzebne ujęcia?

- Tak myślę. Chyba że ty uważasz inaczej. - Był wyjątkowo jak na siebie unижony, jakby się obawiał, że może wywołać eksplozję.

- Ufam twojemu osądowi, Leonie.

- W takim razie ja skończyłem.

- W porządku. Dziękuję wszystkim. Tyle na dzisiaj. Spotkamy się przy obiedzie.

Odwróciła się do nich plecami i ruszyła w kierunku domu. Szła szybkim krokiem, pragnąc jedynie znaleźć się w chłodnym zaciszu sypialni, gdzie mogła w samotności rozważyć stan swoich uczuć. Doszła prawie do werandy, kiedy dogonił ją Cassidy.

- Dlaczego tak się zachowałeś? - Wyglądał na nie mniej podnieconego i rozdrażnionego od niej. Pot posklejał mu włosy wokół twarzy.

- Nie mam nastroju na kolejne przesłuchanie, Cassidy.

- Odpowiedz. Dlaczego pozwoliłaś, żeby obraziła cię wobec wszystkich? Dlaczego nie zareagowałaś?

- Yasmine wcale mnie nie obraziła. Raczej sama siebie pograżyła. A teraz zejdz mi z drogi. - Udało się jej pokonać kilka stopni, po czym ponownie wyrósł przed nią Cassidy.

- Wczoraj nie podobały ci się sterczące brodawki, a dzisiaj Yasmine sprawiała wrażenie tak obnażonej, jakby rzeczywiście była całkiem naga. Nie rozumiem.

- Nikt tego od ciebie nie wymaga.

- Dlaczego jeden sposób pozwania odpowiada ci, a inny nie?

- Ponieważ istnieje subtelna różnica między zmysłowością a jawnym bodźcem seksualnym. Zależy mi na fotografiach, które ekscytują, ale nie są przy tym agresywne.

- Wiesz przecież z doświadczenia, że to zależy przede wszystkim od subiektywnej oceny.
 - Słusznie. Lecz właśnie ja jestem tu pierwszym sędzią i mam wyborny gust - oświadczyła chełpliwie.
 - Podobał ci się występ Yasmine?
 - Powiedziałam już, że tak. Musiałeś słyszeć.
 - Twoje słowa nie zabrzmiały szczerze. Wszyscy to wyczuli, a zwłaszcza ona.
 - Mój zawód nie polega na niszczeniu osobowości modelki.
 - Nie. Twój zawód polega na sprzedawaniu towarów, a te zdjęcia pomogą ci sprzedać pizamy.
- Zdmuchnęła sobie z czoła kosmyk włosów.
- Jaki stąd wniosek?
 - Nagle zaniepokoiła cię zmysłowość Yasmine. Dlaczego?
 - Uważasz, że ona jest zmysłowa? Zresztą niepotrzebnie pytam, kiedy i tak odpowiedź dostatecznie wyraźnie malowała się na twojej twarzy. Byłeś zauroczony.
- Potraktował ją dziwnym, nieco kpiącym spojrzeniem, które zdenerwowało ją jeszcze bardziej.
- Nie zważałem specjalnie na moje reakcje - powiedział spokojnym, przyciszonym głosem. - W przeciwieństwie do ciebie. Claire, pojąwszy, że powiedziała zbyt wiele, odwróciła głowę.
 - Czy to wszystko, Cassidy?
 - Nie całkiem. Powiedz, czy w twoich stosunkach z Yasmine jest coś, co pozwalałoby jej obrażać ciebie w podobny sposób, to znaczy bezkarnie. Inny na twoim miejscu odwzajemniłby się w dwójnasób.
 - Yasmine skacze ludziom do gardła tylko wtedy, kiedy nie umie poradzić sobie sama ze sobą. Ja to rozumiem.
 - Wczoraj zaatakowała cię również. Co się za tym kryje? Dlaczego ona nie może poradzić sobie sama ze sobą?
 - Nie twój zakichany interes.
- Szybkim ruchem po raz kolejny zagroził jej drogę. Kipiąc ze złości, utkwiała w nim ciężkie spojrzenie.
- Dobrze. Tyle chyba mogę ci powiedzieć. Yasmine dzisiaj w nocy wybiera się do Nowego Orleanu na spotkanie z kochankiem. Pożyczyła ode mnie samochód. Planuje wrócić jutro rano.
 - I w czym problem?
 - Myślę, że mogli się pokłócić podczas ostatniej randki. Cassidy zapatrzył się na moment w jakiś punkt za jej plecami. - Weźmie twój samochód?
 - Mhm.

- Zawsze jeździ twoim samochodem?

- Tracisz klasę, Cassidy. Twoje intencje są zbyt jasne. Chcesz się dowiedzieć, czy Yasmine dysponowała moim samochodem w dzień śmierci Wilde'a. Zapomniałeś, że była wtedy w Nowym Jorku.

Spojrzał na nią.

- Na szczęście ty o tym pamiętasz. Już zaczynałem podejrzewać, że wyleciało ci z głowy, iż twój samochód jest ogniwem łączącym cię ze sprawą zamordowania Wilde'a.

- Pozornie.

- Tylko chwilowo. Wcześniej czy później jakiś ślad potwierdzi twoją winę.

Wzruszyła ramionami.

- Wybacz, chcę wejść do środka. - Przeszła przez frontowe drzwi bez przeszkód, ale dogonił ją w foyer. Przykrył jej dłoń, kiedy kładła ją na balustradzie.

- Claire, dlaczego tak postępujesz? Dlaczego pokazujesz mi plecy i odchodzisz, kiedy stawiam ci zarzuty? Dlaczego nie próbujesz ich odeprzeć?

- Bo nie muszę. Dopóki nie udowodni mi się winy, jestem niewinna. Z twojej strony nie muszę niczego się obawiać.

- Czyżby? - Pochylił się nieco; cedził słowa przez zaciśnięte zęby. - Nie możesz nadal po prostu odchodzić. Nie przyjechałem za tobą do Missisipi dla kaprysu.

- Po co więc tutaj przyjechałeś? Dlaczego nie dajesz mi spokoju i przeszkadzasz w pracy? Żeby wygadywać brednie na temat mojego nie istniejącego romansu z Jacksonem Wilde'em? Żeby skłócić mnie z Yasmine? Dziel i rządź? Na tym polega twoja strategia?

- Nie. Przyjechałem, ponieważ nie miałem wyboru. Ten ostatni dowód*iprzeciwno tobie, w przeciwieństwie do poprzednich, nie ma charakteru poszlaki. Mając włókna z wykładziny, dysponujemy czymś namacalnym. Na razie jednak powstrzymuję się przed oficjalnym aresztowaniem ciebie.

- Dlaczego?

- Po pierwsze dlatego, że z powodu braku innych, bardziej przekonujących dowodów mógłbym wyjść na idiotę w oczach członków ławy przysięgłych.

- A po drugie?

Wahadło wewnątrz wiekowego zegara kołysało się do tyłu i do przodu, ociążale odmierzając sekundy. Stali patrząc na siebie. W końcu Cassidy odpowiedział: - Ponieważ staram się rozstrzygać wątpliwości na twoją

korzystać. Ale Glenn i wszyscy ludzie u władzy palą się do zamknięcia tej sprawy.

- W odpowiedzi na wezwania rozhisteryzowanej kobiety.

- Która okazała się w ciąży.

Claire na moment wstrzymała oddech.

- W ciąży?

- Ariel Wilde upadła wczoraj podczas modłów na miejskiej arenie w Kansas. Prawie wszystkie stacje telewizyjne pokazały tę chwilę w dziennikach. - W pokojach gościnnych pensjonatu nie było telewizorów. Podczas pobytu tutaj wiadomości docierały do Cassidy'ego z opóźnieniem. W zasadzie czerpał je z lokalnej gazety, która jednak zawierała niewiele informacji z kraju i ze świata.

Nie mogła uwierzyć.

- Ona jest w ciąży?

- Zgadza się - powiedział lakonicznie. - To praktycznie eliminuje ją z grona podejrzanych.

- Niekoniecznie.

- Według ciebie. Może nawet według mnie. Ale zgodnie z typowym sposobem myślenia już jest niewinna bez potrzeby dalszych dochodzeń. Jak myślisz, po czyjej stronie będzie opinia publiczna? Po stronie kobiety, która uosabia macierzyństwo i dobroć, czy po stronie tej, która publikuje obrzydliwe obrazki?

- To wcale nie musi być dziecko Jacksona - powiedziała głosem walczącego o życie topielca. - Bardziej prawdopodobne jest ojcostwo Josha.

- Ja to wiem. I wiesz to ty. Ale nie wie tego zwykły, szary obywatel naszego wspaniałego kraju, który na ekranie swojego panasonica widzi świętą, szlochającą wdowę w ciąży, a nie cudzołżnicę zdradzającą męża z własnym pasierbem czy też zimnokrwistego mordercę. Przygotuj się, Claire. Ariel wyeksploatuje ten dar losu do granic możliwości. Zdążyłaś już dwa razy doświadczyć, jak potrafi manipulować mediami. Proces o zniesławienie nie powstrzyma jej. Słowami nakreśli obraz jakiegoś potwora bez czci i wiary, który odebrał życie jej mężowi i sprawia, że tragedia dotyka nie tylko ją, ale i jej nie narodzone jeszcze dziecko. Fundamenty zostały położone. Jak myślisz, czyją twarz przybierze ów potwór w wyobraźni większości ludzi? - Pochylił się nad nią. - Czy zaczynają już do ciebie docierać złowróżbne skutki faktu, że ona jest w ciąży?

Nie tylko zaczynały docierać. Zagnieździły się już w tym zakątku jej serca, gdzie skrywała swe najgłębsze obawy.

Jed-

nakże byłoby głupotą pozwolić Cassidy'emu dostrzec, że jest przerażona.

- Czego ty w końcu ode mnie oczekujesz?

- Przyznania się.

- Też coś.

- Więc, do diabła, nie pozwalaj sobie oskarżać. Zaczynaj się bronić. Tup. Krzycz. Okładaj mnie pięściami. Wściekaj się, złość. Nie przybieraj maski obojętności; nie wyglądasz przez to na bardziej niewinną. Nie możesz dłużej stosować strusiej taktyki chowania głowy w piasek. Na miłość boską, broń się!

- Nie zamierzam zniżyć się do takiego poziomu. Mam swoją godność.

- Godność! - zawołał. - Rysy jego twarzy wykrzywiły się w złości. - Więzienie pozbawi cię godności. Podobnie proces o morderstwo. - Na twarzy poczuła jego gorący oddech. - Opamiętaj się. Powiedz, że moje podejrzenia są mylne. Podważ wymowę faktów.

- Dopóki nie jestem oskarżona, nie muszę się bronić. Procedura karna...

- Pieprzyć procedurę! Przekonaj mnie!

- Panie Cassidy? - Usłyszeli drżący głos Mary Catherine, która moment wcześniej wyszła z pokoju stołowego. - Dlaczego krzyczy pan na moją córkę? Chyba nie zamierza pan jej zabrać, prawda?

- Ależ, mam, oczywiście, że nie! - wykrzyknęła Claire.

- Boja nie mogłabym panu na to pozwolić.

Claire podeszła pospiesznie do matki i otoczyła ją ramieniem.

- Pan Cassidy i ja właśnie... dyskutujemy nad czymś.

- Mhm.

Gdzie się podziała Harry? - zastanowiła się Claire. Dlaczego nie towarzyszy jej matce?

- Wszystko w porządku, mam. Wierz mi. Dobrze się czujesz?

Mary Catherine uśmiechnęła się niepewnie.

- Dzisiaj na obiad podają siekaną wieprzowinę. Czy to nie brzmi smakowicie? Musiałam pójść i dopilnować, żeby w porcji przeznaczonej dla ciotki Laurel nie znalazły się kawałki tłuszczu. Wiesz przecież, że ona może jeść tylko chudą wieprzowinę. Biedaczka zbyt często cierpi na niestrawność. Och, panie Cassidy, nie powinnam poruszać tego tematu. Przepraszam. Cassidy odchrząknął.

- Nie ma za co.

- Ciotka Laurel chciałaby zdobyć kilka sadzonek krzewów różanych, które rosną tutaj w ogrodzie. Pragnie posadzić je u siebie na podwórzu. Znakomity pomysł, nie uważasz, Claire?

- Tak, mamo, znakomity.

Mary Catherine podeszła do wieszaka, na którym wisiała sportowa marynarka Cassidy'ego. Wyjęła jakiś przedmiot z kieszeni swojej sukni i wsunęła go do zewnętrznej kieszeni marynarki. Kontynuowała konwersację, jakby zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że zachowuje się cokolwiek dziwnie.

- Claire, kochanie, twoja twarz spąsowiała.

- Na dworze jest tak bardzo gorąco.

- Jesteś spocona? To damie nie przystoi. Może powinnaś wziąć kąpiel i przebrać się przed obiadem.

- Właśnie w tym celu idę na górę.

- Pracujesz o wiele za ciężko. Rozmawiałam o tym z ciotką Laurel dzisiaj przy herbacie. Za mało troszczysz się o siebie.

Pogładziła pieszczotliwie policzek córki, po czym ruszyła schodami na górę. Moment później zniknęła z pola widzenia. Kiedy dobiegł do nich odgłos zamykanych drzwi od sypialni, Cassidy sięgnął do kieszeni swojej marynarki.

- Niech mnie diabli porwą!

- Co to jest? - W jego rękę zobaczyła wieczne pióro w złocistym kolorze. - Należy do ciebie?

Uśmiechając się smutno powiedział:

- Tego dnia, kiedy tutaj przyjechałem, zostawiłem na chwilę marynarkę na tym wieszaku. Gdy ją ponownie zakładałem, stwierdziłem, że zginęło pióro. Podejrzywałem kradzież, chociaż nie mogłem pojąć, kto by się mógł skusić na to pióro. Obiektywnie nie przedstawia większej wartości, ale dla mnie jest bardzo cenne, ponieważ to prezent od moich staruszków. Oboje już nie żyją. Claire skryła twarz w dłoniach. Odwróciła się i oparła czołem o jedno z wysokich okien, które sąsiadowały z frontowymi drzwiami. Cassidy przysunął się do niej blisko.

- Głowa do góry, Claire. Nie stało się nic złego. Jego głos był łagodny, miły, niemal serdeczny. Kiedy położył dłonie na jej ramionach i odwrócił ją do siebie twarzą, poczuła ogromną pokusę, by złożyć głowę na jego piersi. Jakaż to byłaby ulga uwolnić się w końcu od ciężaru i powiedzieć mu wszystko.

- Och, Cassidy, wolałabym...

- Co? - zachęcił ją delikatnie.

Wolno pokręciła głową. Oczywiście nie mogła ujawnić tego, co rzeczywiście miała mu do powiedzenia.

- Wolałabym, żeby nie było tak gorąco. Żeby spadł deszcz. Chciałabym już wrócić do domu, posprzątać w biurze i w mieszkaniu. Jestem pewna, że policja zostawiła tam straszliwy bałagan. - Przygryzła dolną wargę, by powstrzymać łzy. - Wolałabym w ogóle nie wiedzieć, że istniał ktoś taki jak Jackson Wilde. Wolałabym, żebyś wcześniej powiedział mi o twoim wiecznym piórze. Mogłabym wyjaśnić zagadkę jego zniknięcia o wiele wcześniej.

- Mam je z powrotem, i tylko to jest teraz ważne. Nie ma sprawy.

Lecz ona czuła, że musi wytłumaczyć zachowanie matki.

- Czasami mama bierze jakąś rzecz, nie zdając sobie przy tym sprawy, że robi coś złego. Ona po prostu coś „pożycza”. Zawsze odkłada na miejsce wszystko, co zdarza się jej wziąć. To jest naprawdę nieszkodliwe i niewinne.

- Uspokój się, Claire. - Przesunął palcami po jej włosach, wargami musnął jej usta. - Wierzę ci.

Kiedy jednak nachylił się do głębszego pocałunku, odepchnęła go zdecydowanie.

- Nieprawda, Cassidy. Ty w ogóle mi nie wierzysz.

Rozdział 259

Yasmine wyjechała przed obiadem. Puste miejsce przy stole wzbudziło ciekawość, którą Claire zaspokoila nie wdając się w szczegóły.

- Yasmine umówiła się na spotkanie w Nowym Orleanie. Jutro rano będzie z powrotem.

Leona rozpierała energia. Satysfakcja z udanego dnia pracy oraz kilka kieliszków wybornego wina pobudziły jego entuzjazm. W trakcie posiłku nieustrudzenie raczył swą zauroczoną publiczność skandalicznymi historyjkami z życia mniej lub bardziej sławnych postaci artystycznego światka Manhattanu.

- Oczywiście to nie to samo co za starych dobrych czasów, kiedy Studio 54 przeżywało swoje najlepsze dni - zauważył tęsknym tonem. - Wiedza o AIDS i narkotykach przeszkadza teraz ludziom w autentycznej zabawie.

Natychmiast po obiedzie Claire wstała od stołu. Nie nęciła jej dziś perspektywa rozrywek towarzyskich, których możliwe scenariusze znała już z doświadczenia. Oświadczyła, że jest zmęczona, i w towarzystwie matki oraz Harry poszła na górę do ich sypialni. Mary Catherine ani słowem nie wspomniała o wiecznym piórze Cassidy'ego; nic nie wskazywało też, że pamięta, jak je zabrała. Gdy w końcu jej organizm poddał się działaniu pigułek nasennych, Claire wróciła do siebie.

Przygotowując się gorączkowo do wyjazdu, Yasmine zamieniła pokój w istne pobojuwisko. Claire przez pół godziny zbierała porzrzucone części garderoby i przywracała porządek na toalecie. Przez następny kwadrans sprzątała w łazience. Potem wzięła chłodny prysznic, próbując się odprężyć i nie myśleć o ciąży Ariel Wilde oraz o wszystkim, co się z tym wiązało.

Po kąpieli wytarła się starannie, osuszyła talkiem, a następnie włożyła sięgającą ud jedwabną koszulę w kolorze starych kosztownych pereł. Włosy związała w węzeł na czubku głowy, przytrzymała go spinką, potem ułożyła na wezglowiu stos poduszek i oparła się na nim wygodnie. Zamierzała włączyć lampkę nocną, ale mrok działał tak kojąco. Nie miała ochoty zajmować się planami na następny dzień. Bardzo potrzebowała snu.

Lecz niespokojne myśli dręczyły ją jak nieznośne, krnąbrne dzieci. Sen nie nadchodził, a łóżko, w którym spędziła dotąd kilka spokojnych nocy, przeistoczyło się w koję pełną nierówności i kantów. Poduszka grzała nieznośnie. Claire obracała ją parę razy, coraz bardziej zniecierpliwiona bezsennością. Z dołu dobiegały odgłosy wesołej zabawy. Pragnęła, żeby wreszcie wszyscy zamilkli i poszli spać.

Jednak prawdziwą przyczyną jej rozdrażnienia był nie twarde materac, rozgrzana poduszka czy hałas. Czuła, że prawdziwe źródło tego stanu ukryte jest głęboko w niej samej. Nie leżało w jej naturze irytować się z powodu przyjaciół, współpracowników czy otoczenia. Nie znała siebie takiej.

Mimo wszystko jednak obawiała się zbyt dociekliwie szukać wyjaśnienia. Intuicja podpowiadała jej, że jeśli nawet znajdzie prawdziwą przyczynę, i tak się do tego przed sobą nie przyzna. Wolała uniknąć konfrontacji z czymś, co doprowadzało ją niemal do szaleństwa. Miała nadzieję, że wszystko jakoś samo się ułoży.

Usłyszała odgłos przypominający szuranie mebli po drewnianej podłodze. W rzeczywistości było to dalekie uderzenie pioruna. Nad Rosesharon powoli nadciągała burza. Światło błyskawic raz za razem przenikało cienkie zasłony przy drzwiach balkonu. Może nareszcie chmury przyniosą chłodny deszcz.

Wraz z narastającą burzą rósł niepokój Claire.

Cassidy również zrezygnował z towarzystwa i wyszedł na przechadzkę po okolicy. Wkrótce jednak zmusiły go do odwrotu tnące bezlitośnie komary i parne, duszne powietrze.

Bez słowa pożegnania przeszedł przez gwarny salonik i wkroczył po schodach na górę. Chwilę przystanął pod drzwiami sypialni Claire, które sąsiadowały z jego drzwiami, ale ze środka nie dobiegł do niego żaden hałas. W szparze nad progiem nie było widać światła, więc pomyślał, że Claire zgodnie ze swoją zapowiedzią położyła się wcześniej do łóżka.

We własnym pokoju rozebrał się do naga. Niech to diabli, nawet wewnątrz budynku oddychało się z trudem. Przez moment zastanawiał się, czy nie zejść do barku po piwo, ale w końcu zdecydował, że tego nie zrobi. Mógłby natknąć się na Agnes lub Grace, które z pasją wciągały swoich gości w długie rozmowy. Wprawdzie doceniał w pełni gościnność południowców, lecz akurat teraz nie miał ochoty na beztruską pogawędkę.

Dzisiaj nie byłby dobrym towarzyszem dla nikogo z wyjątkiem samego siebie, a i siebie ledwie tolerował. Wziąwszy chłodny prysznic, położył się na łóżku i zapalił papierosa. Co prawda rzucił palenie przed dwoma laty, jednak teraz był naprawdę poruszony. Poza tym musiał zająć czymś ręce. Po głowie krążyły mu wciąż te same uporczywe myśli.

Claire miała motyw. Claire miała okazję. Claire nie miała żelaznego alibi. Jedyne ją mógł postawić przed sądem, a kogoś przed sądem postawić musiał. Więcej, ze względów zawodowych i osobistych musiał doprowadzić do skazania kogoś.

Ale nie chciał, aby Claire okazała się zabójcą.

Niech to licho porwie! Znalazł się w potrzasku. Gdyby potrafił pójść za głosem sumienia, gdyby umiał zachować się zgodnie z zasadami etyki zawodowej, wtedy zdystansowałby się wobec tej sprawy. Crowder wyznaczył mu już ostateczny termin wskazania podejrzanego. Dni upływały szybko. Jeśli tym razem się pomyli, nie naprawi błędu już chyba do końca życia.

A może przed upływem wyznaczonego terminu poprosić Crowdera o wyłączenie go ze sprawy? Crowder, wiedząc o jego osobistym zaangażowaniu, zapewne przyjąłby tę prośbę z ulgą. W rezultacie ich wzajemne stosunki mogłyby pozostać nienaruszone. Crowder po prostu przekazałby sprawę komuś innemu.

Nie, to nie było dobre rozwiązanie. Ten inny mógłby okazać się złośliwym, agresywnym typem, który założyłby Claire kajdanki zaraz po jej powrocie do Nowego Orleanu. Zdjęto by jej odciski palców. Sfotografowano. Zamknięto w celi. Na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze.

Z drugiej strony nie mógłby żyć z myślą, że puścił wolno kobietę winną morderstwa, ponieważ jej pożądał. Tylko że to nie było takie proste. Nie było proste od samego początku. Od czasu, kiedy po raz pierwszy ujrzał Claire Laurent, nic nie było ani łatwe, ani rutynowe.

To było jakieś zauroczenie. Atmosfera Francuskiego Jedwabiu intrygowała go i zwodziła. Nie chodziło o sam budynek ani o francuską dzielnicę. Odkąd mieszkał w Nowym Orleanie, bywał w niej wielokrotnie i zawsze uważał ją za pełną czaru. Lecz nigdy przedtem nie miał wrażenia, że wchodząc tu, znajduje się w świecie, w którym życie toczy się powoli, a wszystko jest inne, niż się wydaje.

Jednak nie miejsce go hipnotyzowało, to obecność Claire. Otaczała ją jakaś mistyczna aura, której coraz bardziej ulegał. Ta nieuchwytna siła była niebezpiecznie romantyczna, kusząca i zgubna. Zdawało mu się, że porusza się jak gdyby w niewi-

działnej sieci; im bardziej starał się z niej wydobyć, tym bardziej się wikłał. Nawet teraz, zamiast szukać elementów ostatecznie pogrążających Claire, starał się wymyślić coś, co uchroniłoby ją przed aresztowaniem.

Oszalałeś - pomyślał, kręcąc głową nad swoim karygodnym postępowaniem. Ale czyż było coś złego w rozważaniu różnych możliwości? Raczej przeciwnie, o ile, oczywiście, chciał uważać siebie za człowieka rozsądnego i odpowiedzialnego.

Kogo więc jeszcze powinien podejrzewać?

Ariel Wilde? Co prawda była w ciąży, ale mogła zabić swojego męża co najmniej z kilku różnych powodów.

Niemniej jednak trudno byłoby doprowadzić do jej skazania i stać się bohaterem. W każdym razie mógł podać w wątpliwość powszechne przekonanie co do pochodzenia jej dziecka. Jednakże dobry adwokat natychmiast zakwestionowałby tę linię oskarżenia i na tyle to by się zdało. Wszystko wzięłoby w łeb. Sąd nigdy nie dowiedziałby się o związku Ariel z pasierbem, a Cas-sidy spotkałby się z pogardą za oczernianie kobiety w błogosławionym stanie. Joshua Wilde? Instynkt podpowiadał Cassidy'emu, że ów młody człowiek nie miałby dość sprytu, żeby zabić muchę, a cóż dopiero apodyktycznego ojca. Z drugiej jednak strony starczyło mu wigoru, aby zakreślić się wokół własnej macochy.

Problem z oskarżeniem Ariel i Josha polegał na tym, że przeciwko obojgu nie przemawiał żaden namacalny dowód. Wszystko sprowadzało się do poszlak i domysłów. Gdyby przysięgli zasugerowali się instrukcjami sędziego, Ariel i Josh zostaliby uwolnieni. Asystent prokuratora okręgowego Cassidy straciłby dobre imię, wiarygodność, a co gorsza, rzeczywistemu mordercy, - bez względu na to, kim był - pozwoliliby normalnie żyć. "

Ta perspektywa była nie do przyjęcia. Jego główne zadanie polegało na niedopuszczeniu do takiej sytuacji. Koniec końców został przecież wyznaczony do znalezienia zabójcy i postawienia go przed sądem.

Albo też jej.

Na myśl o Claire przekleństwa same cisnęły mu się na usta. Zgasił niedopałek papierosa i natychmiast zapalił następnego. W wyobraźni powrócił do popołudniowej rozmowy z nią. Pamiętał dokładnie, jak wyglądała. Była ponętnie rozczochrana, a jej skóra błyszczała od potu. Pod wpływem wilgoci włosy poskręcały się wokół twarzy w czarujące loczki. Sprawiała wrażenie podnieconej i jednocześnie zakłopotanej. Ale

kiedy jej o tym powiedział, okazała się zbyt dumna, by przyznać się do owych zwykłych ludzkich słabości: zazdrości i pożądania.

W podłym nastroju Cassidy stoczył się z łóżka. Wciągnął dzinsy, energicznie otworzył drzwi i wyszedł na balkon. Powietrze było jeszcze cięższe niż poprzednio. Nie wyczuwało się najmniejszego nawet podmuchu bryzy. Zerknął w kierunku balkonowych drzwi do pokoju Claire. Wewnątrz panowała ciemność. Claire najwidoczniej spała. Przeniósł wzrok na niebo. Nisko nad Rosesharon przepływały czarne chmury. Zdawało mu się, że w powietrzu wyczuwa już delikatny zapach deszczu, choć nie spadła jeszcze ani jedna kropla. Atmosfera była naładowana elektrycznością, jak gdyby coś nieuchronnego właśnie miało się wydarzyć.

Ledwie zdążył o tym pomyśleć, gdy ogromna błyskawica rozdarła niebo nad czubkami znieruchomiłych drzew. Claire gwałtownie usiadła. Wstrzymała oddech w oczekiwaniu na uderzenie pioruna. Po chwili rozległ się huk, od którego zadrżały szyby w oknach. Balkonowe drzwi nie wytrzymały naporu silnego wiatru. Otworzyły się, uderzając o wewnętrzną ścianę. Cienkie zasłony zatrzepotały niby nagle postawione żagle.

Claire ześlizgnęła się z łóżka i pokonała przestrzeń pokoju. Okoliczne drzewa rozkołysały się bezładnie w podmuchach wiatru, który zdawał się wiać we wszystkich kierunkach jednocześnie. Kolejna błyskawica oświetliła na moment balkon.

Wtedy właśnie dostrzegła Cassidy'ego. Stał przy balustradzie, palił papierosa i patrzył wprost na nią. Chciała wycofać się do sypialni i zamknąć drzwi, ale nie mogła się poruszyć. Jego intensywny wzrok sparaliżował ją. Bez słowa odepchnął się od barierki i ruszył w kierunku Claire powolnym, miarowym krokiem drapieżnika.

Jej serce zaczęło uderzać szalonym rytmem, myśli zawirowały niczym porwane silnym wiatrem. Wypowiedziała pierwsze obojętne słowa, jakie przyszły jej do głowy.

- Nie wiedziałam, że palisz.

Cassidy, nadal milcząc, zbliżał się do niej w ten sam stanowczy, niebezpieczny sposób, aż wreszcie stanął przed nią nie dalej jak na wyciągnięcie ramion. Miała wrażenie, że pchają ku niemu jakaś nadnaturalna, magnetyczna siła.

Z trudem wykrztusiła:

- Myślę, że nareszcie nadciąga prawdziwa burza.

Cisnął niedopałkiem papierosa w przestrzeń ponad balus-

tradą i wraz z gwałtownym uderzeniem pioruna porwał Claire w ramiona. Przywarł do jej ust w namiętym pocałunku. Sięgnął do spinki w jej włosach, odpiął ją, pozwalając, by rude loki opadły na ramiona. Pospiesznie zanurzył w nich palce. Szarpnął głową Claire tak, że jej wargi musiały ulec natarczywości jego warg. Przez skórę, przez włosy pokrywające klatkę piersiową emanowało od niego wewnętrznym ciepłem. Swoim pożądaniem zaraził Claire. Nagle zdała sobie sprawę, w czym tkwiło źródło jej dotychczasowego niezadowolenia i niepokoju.

Chwyła go za ramiona i wyprężonym ciałem przylgnęła mocno do niego. Jęknął cicho. Ustami powędrował wzdłuż jej szyi. Claire zamknęła oczy, odrzuciła do tyłu głowę i tak zastygła chłonąc rozkoszne wrażenia.

Położył dłonie nieco powyżej jej pośladków i jeszcze silniej przyciągnął ją do siebie. Swą stwardniałą męskość przycisnął tam, gdzie łączyły się jej uda. Zsunąwszy ramiączko jej koszuli, obnażył krągłą, doskonałą w kształcie pierś. Otoczył wargami brodawkę i zwilżył ją wilgotnym językiem. Pocałunkiem stłumił zduszone okrzyki wydobywające się z lekko rozchylonych ust Claire.

Burza rozszalała się na dobre. Porywisty wiatr wył między drzewami. Raz po raz pojawiały się błyskawice i uderzały pioruny. Woda lała się z nieba strumieniami. A oni, spleceni w namiętym uścisku, zupełnie nie zwracali uwagi na to, co się wokół nich dzieje.

Nieco otrzeźwił ich dopiero odgłos prowadzonej rozmowy.

Dwie modelki, pragnąc odetchnąć nareszcie świeżym powietrzem, zamiast przejść do swoich sypialni wewnętrznym korytarzem, wybrały drogę przez balkon. Claire odepchnęła od siebie Cassidy'ego i spojrzała w kierunku rogu, zza którego w każdej chwili mogły się wyłonić.

Cassidy pochwycił ją za rękę i pociągnął za sobą do jej pokoju. Zamknął drzwi dokładnie w chwili, kiedy modelki mijały narożnik; zaraz też przystanąły, by przyjrzeć się burzy.

Oboje zaplątali się w zasłonę. Oparł Claire plecami o szybę. Jej ewentualne protesty powstrzymał pocałunkiem. Językiem wdarł się głęboko w jej usta, sięgając jednocześnie dłońmi pod krótką koszulkę. Na pośladkach poczuła ich siłę i ciepło, kiedy podniósł jedną z jej nóg i oparł na swoim biodrze. Nadgarstkiem zaczął delikatnie przesuwając po włosach jej łona.

Na zewnątrz któraś z modelek powiedziała:

- Prawdziwy potop. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby aż tak się błyskało.

- Szz! Obudzisz Claire.

Claire była całkowicie rozbudzona. Każdą cząstką ciała reagowała na dotknięcia Cassidy'ego. Rozchylił wargi jej płci i palcem wniknął do środka. Delikatnym ruchem wsuwał i wysuwał go z powrotem. W pewnym momencie przestał ją zachłannie całować i, nie przerywając pieszczoty, utkwił w jej oczach zimny, ale pożądlivy wzrok.

- Najwyższy czas, żebyśmy również położyły się do łóżka.

- O której jutro zaczynasz?

- O ósmej trzydzieści.

- Ojej! Uważaj, tu jest ślisko. O mało co nie upadłam.

- Rue zesrałaby się ze złości, gdyby jutro zobaczyła cię w plastrach.

Wysunął palec z wilgotnej szczeliny i odnalazł napiętą, twardą cząstkę - centrum kobiecej namiętności. Delikatnie zaczął ją pieścić. Claire zamrugła powiekami, starając się nie zamykać oczu. Cassidy'ego widziała jakby przez mgłę. Dostrzegła, że włosy opadły mu na czoło, że na jego twarzy maluje się wyraz skupienia i determinacji i że jego oczy błyszczą gorączkowo.

Ogarnęła ją fala uniesienia. Pragnęła oprzeć się jej, lecz ona rozlewała się w niej jak silny narkotyk.

Głosy modelek ucichły i słyszeli teraz jedynie odgłosy burzy i własnych przyspieszonych oddechów. Cassidy przeniósł Claire do łóżka. Ściągnął z niej koszulkę. Przesuwał dłońmi po nabrzmiałych piersiach. Opuszkami palców lekko dotykał naprężonych, stwardniałych brodawek. Nachylił się i całował je gorliwie, a zarazem czule. Pojękując, Claire zanurzyła dłonie w jego włosach. Czuła, że powinna go powstrzymać, ale wiedziała, iż z takim samym skutkiem mogłaby próbować powstrzymać szalejącą za oknem burzę.

Całował jej brzuch. Mruknęła niespokojnie:

- Cassidy?

- Szz. - Dmuchał leciutko w kędzierzawy trójkąt.

- Cassidy?

Ignorując jej wahanie, uniósł ją za biodra i głową zniknął między rozchylonymi udami. Językiem wdarł się w słodką, wilgotną szczelinę. Przesuwał nim leniwie, wniknął głęboko do środka, całował z przejęciem nabrzmiałe, różowe płatki, jakby spijał nektar z soczystego owocu. Koniuszkiem języka pobudzał jej maleńki kobiecy członek.

Rozkosz narastała w niej z prędkością huraganu.

- Proszę - wydyszała.

Klęknął pomiędzy jej nogami, a potem wszedł w nią jednym, gwałtownym uderzeniem. Na karku poczuła jego przyspieszony, gorący oddech. Poruszał się nad nią i w niej, aż w końcu wszystko, poza nim, przestało dla niej istnieć.

Skóra na jego plecach była wilgotna od potu. Pod jej rękoma prężyły się twarde mięśnie. Wsunęła dłonie pod dzinsy, zacisnęła palce na jego napiętych pośladkach i przyciągnęła go mocno do siebie. Zamruczał z rozkoszy. Pocałowali się. Usta Cassidy'ego miały piżmowy, zakazany smak. Polizała je najpierw delikatnie, po chwili chciwie, zachłannie. Sięgnął do jej piersi. Pochwycił sterczący sutek między kciuk i palec wskazujący. Claire wyprężyła się. Oddychała chrapliwie. Tamto pierwsze uniesienie było jedynie zwiastunem tych fajerwerków, które teraz wystrzeliły w jej wnętrzu. Morze płomieni rozlało się, docierając do najodleglejszych zakątków jej ciała. Zdawało się jej, że minęła wieczność, zanim opuścił ją ostatni spazm rozkoszy.

Cassidy skończył moment później. Szeptał jej do ucha czułe słowa. Obejmował kurczowo, kiedy poczuła głęboko w sobie wypływającą z niego ciepłą wilgoć. Potem wsparł głowę na jej piersi i tak zastygli odpoczywając. Po dłuższej chwili usiadł, zdjął spodnie i wyciągnął się wygodnie obok niej na plecach. Przytuliła się do jego nagiego ciała.

Powoli wracała do przytomności. Nadal padało, a odległy grzmot przypominał jej o nocy, kiedy Cassidy pocałował ją po raz pierwszy, o nocy, kiedy oboje pojechali do hotelu „Pon-chartrain” po Mary Catherine.

Zadrżała. Nie chciała o tym myśleć. Nie chciała pamiętać o tym, kim byli, ani o tym, że w dramacie rzeczywistego życia stali po przeciwnych stronach.

Poczuł jej drżenie. Delikatnie pocałował ją w skroń.

- Coś się stało?

- Nie, nic.

- Chyba jednak coś się stało.

Westchnęła. Niewyraźny uśmiech zabłąkał się w kącikach jej ust.

- Nigdy dotąd nie kochałam się aż tak nieprzyzwoicie. Zachichotał.

- Jeżeli tylko to...

- Cassidy?

- Hmm?

266

- Co wydarzy się jutro?

Przetoczył ją na plecy i nachyliwszy się położył palec na jej ustach.

- Jeśli mamy o tym rozmawiać, ja odchodzę. Czy tego chcesz? - Zamknął jej wargi długim, wilgotnym, intymnym pocałunkiem. Wsunął rękę między jej uda.

Westchnęła.

- Nie. Nie odchodź.

Rozdział XIX

André Philippi wprost wychodził z siebie z podniecenia. Yasmine znowu zawitała do jego hotelu. Yasmine! Najznakomitsza postać na tym świecie.

Właśnie odbywał rutynowy obchód po głównym hallu, kiedy dostrzegł, jak wchodziła przez frontowe drzwi. Mimo że było już po zachodzie słońca, nosiła przyciemnione okulary. Gdyby nie znał tak doskonale jej twarzy, pewnie nawet nie zwróciłby na nią uwagi. Przecież codziennie spędzał więcej czasu przyglądając się jej wizerunkowi na fotografii niż patrząc na swoje odbicie w lustrze. Stąd prawdopodobnie znał jej twarz lepiej od swojej własnej. Yasmine ruszyła zdecydowanym krokiem w kierunku otwartej windy. André dogonił ją i wszedł za nią do środka, zanim zamknęły się rozsuwane automatycznie drzwi.

- Yasmine! Witaj.

- Cześć, André. - Uśmiechnęła się, zdjęła okulary i wrzuciła je do dużej torby. - Jak się masz? Wieki całe upłynęły od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

Poznali się przed kilkoma laty przy okazji uroczystego przyjęcia z obiadem, którego gospodynią była Claire. To właśnie ona ich sobie wtedy przedstawiła. Od tamtej pory spotykali się wielokrotnie, i za każdym razem mógł sobie pochlebiać, że Yasmine traktuje go jak przyjaciela.

- Całkiem dobrze. A ty?

- Nie mogę narzekać. - Uśmiech nieco przygasł na jej twarzy, jak gdyby nie mówiła zupełnie szczerze.

- Przyjechałaś pracować nad katalogiem?

- Zdjęcia do wiosennego wydania robimy w Missisipi. Właśnie wyrwałam się stamtąd na jeden wieczór.

André nigdy nie wypytywał gości, dlaczego przebywają w jego hotelu. I tym razem nie zamierzał złamać swojej żelaznej zasady, że gościom należy zapewnić absolutną prywatność.

- Co słyszeć u Claire?

- Mówiąc otwarcie, była w fatalnym nastroju, kiedy ją dzisiaj opuszczałam.

- Do licha! Czyżby Mary Catherine...

- Nie, to nie miało nic wspólnego z jej matką.

Czekał cierpliwie, mając nadzieję, że sama, bez pytania, opowie coś więcej na temat zmartwień ich wspólnej przyjaciółki.

Yasmine wynagrodziła jego dyskrecję.

- Myślę, że uległa stresom związanym z pracą. Znasz Claire, ona zawsze dąży do perfekcji. Nic więc dziwnego, że czasami ją poniesie. Kipi wprost ze złości i sprawia, że wszyscy wokół niej czują się jak śmierdzące kawałki gówna. Podejrzewając konflikt między obiema kobietami, które lubił i podziwiał tak bardzo, odrzekł dyplomatycznie:

- Wierzę, że wasz katalog wart będzie włożonego weń wysiłku.

- O, tak. Ja również. - W tonie jej głosu wyraźnie wyczuwało się brak entuzjazmu.

- Twórcza praca chyba zawsze wywołuje jakieś konflikty. A wy na dodatek pracujecie w zespole.

- Tym razem jest gorzej niż zwykle.

- Dlaczego?

- Cassidy.

- Chodzi ci o to, że on tam jest?

- Właśnie. Przyjechał do Rosesharon śladem Claire i praktycznie podczas zdjęć ciągle tkwi gdzieś w pobliżu.

Nerwowo zwilżył wargi.

- Po jakie лихо tropi ją w ten sposób?

Winda zatrzymała się. André wysiadł razem z Yasmine. Oboje ruszyli wzdłuż hotelowego korytarza.

- Najwidoczniej nadal podejrzewa ją o zamordowanie Wilde'a.

- Ależ to absurd! - wyjąkał. - Coś strasznego. I to wszystko moja wina. - Krople potu wystąpiły mu na czoło. Otarł je nieskazitelnie czystą chusteczką, którą wyjął z kieszeni na piersi. - Gdybym nie dał się nabrać na jego sztuczkę i nie zidentyfikował głosu Claire z tej taśmy...

- Daj spokój! - Yasmine w geście współczucia położyła mu rękę na ramieniu. - Claire powiedziała mi, jaki byłeś przygnębiony, kiedy to się zdarzyło. Cassidy jest przebiegłym typem. W ten czy inny sposób i tak odkryłby, że Claire była tutaj tamtej nocy, gdy zastrzelono kaznodzieję. Nie ujawniłeś niczego, o czym nie dowiedziałyby się wcześniej czy później.

Zniżyła głos do szeptu.

- Moim zdaniem Cassidy'emu bardziej zależy na udowodnieniu niewinności Claire niż na udowodnieniu jej winy.
 - Bo, oczywiście, ona jest niewinna - dodał pospiesznie. - Claire przyjechała tutaj po to, by odebrać Mary Catherine. Po nic więcej. Gotowy jestem potwierdzić to przed sądem. Zrobiłbym wszystko, żeby ochronić przyjaciela.
 - Twoi przyjaciele oczekują tego od ciebie.
- Jej słowa zabrzmiały tajemniczo i jakby niepewnie. Chciał jeszcze raz potwierdzić swoje przekonanie o niewinności Claire, ale Yasmine najwyraźniej pragnęła już się pożegnać.
- Może niedługo zawitam tu na trochę dłużej, André. Podała mu dłoń, którą nachyliwszy się pocałował.
 - *Au revoir*, Yasmine. Twoja uroda jak źródło światła opromienia wszystko, co cię otacza.
- Posłała mu uśmiech, z którego słynęła.
- Ty mały szubrawcze! Jesteś poetą!
 - Przyznaję - potwierdził nieśmiało. Nie mogła wiedzieć, ile godzin spędził komponując ody na cześć jej urody i wdzięków.
- Przesunęła dłonią po jego policzku.
- Jesteś również prawdziwym dżentelmenem, André. Dlaczego wszyscy mężczyźni nie są tak delikatni, uprzejmi i lojalni jak ty? - Odwróciła się i odeszła.
- Nie poszedł za nią. To byłoby nie na miejscu. Jednak nie poruszył się, dopóki nie weszła do jednego z apartamentów. Nie zazdrościł mężczyźnie, który czekał na nią po drugiej stronie drzwi. Jego miłość do Yasmine nie miała podtekstu erotycznego; jej źródło tkwiło w jego duszy, z dala od poziomu zmysłów. Pragnął z całego serca, by Yasmine doświadczała w pełni miłości i szczęścia.
- Powrócił do windy niemalże w stanie euforycznego upojenia. Yasmine czule dotknęła jego policzka. Rękę miała gładką i chłodną, jak *maman*, gdy obdarzała go w dzieciństwie pieszczotą. Również w jej oczach było coś, co przypominało mu matkę - znajoma gorycz, którą zapamiętał aż nadto dobrze. Lecz tę myśl czym prędzej posłał w zapomnienie, nie pozwalając jej zagłuszyć radosnego nastroju chwili.
- Ty ciągnący kutasa bękarcie! Ty dupolizie! - Yasmine obrzuciła Alistera Petriego całą litanią obscenicznych wyzwisk.
 - Czarujący język, Yasmine.
 - Zamknij tę swoją kłamliwą mordę, synu pierdolonej suki. Furia promieniowała z niej jak ciepło z rozgrzanego do czerwoności żarnika.

- Przyznaj się, nigdy nawet nie zamierzałeś opuścić żony?
 - Yasmine, ja...
 - Odpowiedz.
 - W okresie kampanii wyborczej to byłoby polityczne samobójstwo. Co jednak nie oznacza...
 - Cholerny kłamco! Ty oślizły, śmierdzący kawałku szczurzego gówna! Mogłabym cię zabić.
 - Na miłość boską. - Przeczesał palcami włosy, nadal zmierzwiłone po ich wspólnych wyczynach w łóżku, które były równie dzikie jak obecna kłótnia. Jeszcze przed momentem przewracali się z jednego końca materaca na drugi i zmagali ze sobą, wierzgali i przywierali do siebie, jakby to była zażarta walka, a nie akt miłosny. - Jesteś przewrażliwiona - powiedział łagodnym tonem, próbując w ten sposób powstrzymać nowy gwałtowny wybuch jej złości. - Rozstaniemy się tylko na pewien czas. Byłoby najlepiej...
 - Najlepiej dla ciebie.
 - Najlepiej dla nas obojga, gdybyśmy zrobili sobie przerwę co najmniej do zakończenia wyborów. Przecież nie zrywam naszego związku na zawsze. Chryste, nie myślisz chyba, że tego pragnę, prawda? Jesteś całym moim życiem.
 - Gadanie.
 - Przysięgam ci, że kiedy tylko skończą się wybory...
 - Co wtedy? Zaproponujesz mi kilka nędznych godzin pieprzenia raz w tygodniu albo coś w tym rodzaju? Na jak długo? Na resztę życia? A niech cię, kongresmanie! Nie wykręcisz się wciskając mi to gówno.
 - Wiem, że moja propozycja nie uszczęśliwia cię. Gdyby było inaczej, czułbym się zrozpaczony. - Rozłożył ręce w błagalnym geście. - Oczekuję od ciebie jedynie odrobiny zrozumienia. W tej chwili codziennie przeżywam koszmar. Jestem pod nieustanną presją.
 - Kotku, ty zupełnie nie masz pojęcia, co to znaczy być pod presją. Kiedy z tobą skończę, twoja koścista dupa będzie warta co najwyżej tyle, ile mieszczące się w niej gówno. Tak czy inaczej już nigdy nie pozbędziesz się mnie. Zabawa skończona, kotku. Teraz musisz za wszystko zapłacić.
- Ruszyła w kierunku drzwi. Pobiegł za nią.
- Poczekaj, Yasmine! Pozwól mi wszystko wyjaśnić. Nie rozumiesz racjonalnie. - Szarpnął ją za ramię i odwrócił twarzą do siebie. - Proszę. - Głos mu się załamał, przeszedł niemal w szloch. - Proszę.

Stała nieruchomo, lecz jej oczy nadal ciskały błyskawice. Alister przełknął ciężko i zamrugał powiekami. Wyglądał jak zdesperowany człowiek na moment przed egzekucją.

- Yasmine, kochanie - zaczął niepewnie - musisz mi okazać trochę wyrozumiałości. Obiecuj, że nie nadasz tej sprawie rozgłosu.

Te słowa zraniły ją boleśnie.

- Gówno cię obchodzi, co ja czuję, prawda? Myślisz tylko o sobie i o swojej zaszrannej kampanii!

- Nie o to mi chodziło. Ja...

Z barbarzyńskim wrzaskiem rzuciła się na niego. Paznokciami rozdrapała mu policzek tworząc cztery podłużne rany. Drugą ręką wyrwała z jego głowy kilka kosmyków włosów.

Przez moment był zbyt zaskoczony, aby się poruszyć, potem krzyknął podnosząc jednocześnie dłoń do policzka.

- Jesteś szalona! - zawołał, patrząc na swą ociekającą krwią rękę. - Całkowicie ci odpierdoliło.

Yasmine pozwoliła sobie przez kilka sekund rozkoszować się widokiem jego zdziwienia i męczarni, po czym wybiegła z pokoju. W drodze do windy minęła mężczyznę i kobietę. Oboje wytrzeszczyli na nią oczy i rozstąpili się na boki. Dopiero teraz dotarło do niej, że z oczu spływają jej łzy i że ma rozpiętą bluzkę.

Jadąc windą na parter poprawiła ubranie, włożyła też z powrotem okulary przeciwsłoneczne. Przez główny hall przeszła z opuszczoną głową. Kątem oka dostrzegła André, ale udała, że go nie widzi. Wyprowadziła z hotelowego garażu samochód pożyczony od Claire i pomknęła nim wzdłuż Canal Street.

Wieczór był pogodny i ciepły. We francuskiej dzielnicy tłumy turystów spacerowały po wąskich chodnikach.

Yasmine miała kłopoty ze znalezieniem miejsca do parkowania, więc w końcu zostawiła samochód wbrew przepisom tuż za zakrętem. Resztę drogi, kilkaset metrów, musiała pokonać pieszo. Skręciwszy w Rue Dumaine, rozejrzała się dookoła i stwierdziwszy, że nikt nie zwraca na nią uwagi, weszła do niepozornego sklepiku. Kilkoro klientów uważnie przeglądało półki z ziołami, szukając odpowiednich specyfików.

- Chciałabym widzieć się z kapłanką - powiedziała cicho Yasmine do palącej skrzyżowania sprzedawczynie.

Podstarzała hipiska zniknęła, a kiedy pojawiła się znowu, skinęła na Yasmine, żeby ta za nią poszła.

Pomieszczenie przeznaczone do obrzędów było oddzielone od sklepu zrudziałą i zakurzoną pluszową kotarą. Na ścianach

wisały afrykańskie maski oraz metalowe rzeźby zwane *veve*. W kącie stał drewniany krzyż, lecz nie był to tradycyjny krucyfiks. Po pionowej belce wspinał się wyrzeźbiony Damballa, wąż, najpotężniejszy z duchów. W klatce ustawionej w przeciwległym kącie spoczywał żywy pyton symbolizujący Damballę; zwierzęcia używano do obrzędów voodoo, które odbywały się na mokradłach poza miastem. Na samym ołtarzu znajdowały się figurki chrześcijańskich świętych, fotografie ludzi, którzy pragnęli wsparcia ze strony duchów, zapalone świece, tłące się kadzidło i *ju-ju* - kości oraz czaszki zwierząt.

Kapłanka siedziała na królewskim tronie w pobliżu ołtarza. Była potężną kobietą z ogromnym biustem opadającym na otłuszczony wystający brzuch. Na głowie miała turban, a wokół grubej, krótkiej szyi kilkanaście złotych łańcuchów. Jej ręce przypominały wielkością baseballowe rękawice. Na każdym palcu połyskiwało kilka pierścionków. Na widok Yasmine podniosła jedną ze swych dłoni giganta i gestem nakazała jej, aby się zbliżyła. Kapłanka była Haitanką o skórze czarnej jak heban. Jej okrągła twarz lśniła od potu. Kiedy znajdowała się w stanie transu, obserwowała swoich klientów spod ciężkich, przymrużonych powiek oczami błyszczącymi jak maleńkie onyksy.

Yasmine traktowała ją z szacunkiem większym niż pobożny katolik swojego kardynała.

- Potrzebuję pomocy.

Gęsty dym kadzidła odurzał. Czuła się oszołomiona, jak zresztą zawsze, gdy przebywała w tych zaświatach czarnej magii. Mroczne siły zdawały się emanować z kapłanki, z rekwizytów i pogrążonych w ciemnościach kątów.

Jednostajnym, monotonnym głosem opowiedziała kapłance o swoim kochanku.

- Okłamywał mnie wiele razy. Jest złym człowiekiem. Musi zostać ukarany.

Kapłanka po chwili namysłu skinęła głową.

- Masz coś, co należało do niego?

- Tak.

Nie wiadomo skąd pojawiła się nagle asystentka, która podsunęła Yasmine porcelanową misę. Modelka usunęła zza paznokci drobiny zakrzepłej krwi i ostrożnie umieściła je w miseczce. Dodała do nich kosmyki włosów Alistera, których dotąd nie wypuściła z dłoni.

Potem przeniosła wzrok na kapłankę. Migotliwe światło świec złowieszczo odbijało się w onyksowych oczach.

Wydatne

wargi poruszyły się bezgłośnie, ale Yasmine domyśliła się treści przekleństwa.

- Chcę, żeby cierpiał straszliwe męki.

Belle Petrie czekała na męża w foyer ich luksusowego domu położonego nad brzegiem jeziora Ponchartrain. Dzieci już wcześniej zjadły ostatni posiłek i poszły do łóżek. Gosposia, jeszcze przed swoim odejściem na noc do domu, nakryła stół do kolacji najlepszą porcelaną, a do wazonu włożyła bukiet świeżych kwiatów.

Belle włożyła na tę okazję luźną piżamę z jedwabiu. Materiał zaszeleścił lekko, gdy ruszyła do drzwi, by przywitać Alistera.

- Mój Boże! Ona ci to zrobiła? - Badała wzrokiem zadrapania na jego policzku. Nie było nawet nuty współczucia w jej głosie, lecz jedynie zdziwienie.

- Jesteś usatysfakcjonowana, Belle? Te zadrapania dowodzą, że dotrzymałem obietnicy.

- Powiedziałaś jej, że wszystko między wami skończone? Ostrzegłeś, żeby na zawsze przestała nas niepokoić?

- Tak. A potem ona rzuciła się na mnie niby rozwścieczona pantera.

- Idź na górę i przemyj to wodą utlenioną. Tymczasem ja przygotuję kolację.

- Nie jestem głodny.

- Ależ jesteś, kochanie - rzekła, uśmiechając się sztucznie. - Pospiesz się. Nie chcę długo na ciebie czekać.

Alister natychmiast rozpoznał intencje żony. Poddawała go sprawdzianowi na posłuszeństwo. W swój subtelny sposób ustanawiała zasady, na których była zdecydowana z nim zostać, wspierać finansowo kampanię i nie ujawniać jego niewierności. Od tej pory ona była autorem, reżyserem i producentem całego przedstawienia. Jeśli chciał w nim uczestniczyć, musiał zaakceptować swoją rolę i starać się dobrze ją odgrywać.

Nie miał wyboru. Nie pozostało mu nic innego, tylko przyjąć jej warunki, jakiegokolwiek by one były. Oczywiście, podporządkuje się. Przynajmniej na razie. To zapewni mu spokój aż do zakończenia wyborów. Potem, jeżeli tylko zechce, odnowi związek z Yasmine albo znajdzie sobie inną kochankę. To, że raz został przyłapany, nie oznaczało wcale, iż resztę życia spędzi przy boku Belle jako jej wykastrowany piesek pokojowy. Jednakże póki co należało zachowywać pozory.

- Za minutę jestem na dole.

Stojąc w łazience przed lustrem, przyjrzał się dokładnie

swojej twarzy. Rany nadal krwawiły. Do licha, trudno będzie wiarygodnie wytłumaczyć się z nich przed komitetem wyborczym, a cóż dopiero mówić o prasie i wyborcach. Może złożyć wszystko na połamane przez wiatr gałęzie?

Albo na dzikiego, nowego kota? Tylko kto w to uwierzy?

Chociaż z drugiej strony chyba nikt nie ośmieliłby się zarzucić mu kłamstwa. Takie oskarżenie trzeba udowodnić. Po co więc się martwić? W rezultacie wszyscy przyjmą jego słowa, ponieważ nie będą mieli wyboru.

Ani trochę nie obawiał się, że Yasmine mogłaby wydać go na pożarcie sforze żądnych sensacji dziennikarzy.

Owszem, doświadczył chwili grozy, gdy spojrzała na niego tym swoim wzrokiem mrozącym krew w żyłach. Nie wątpił jednak, że kiedy ochłonie, przestanie myśleć o zemście. Przecież kochała go. Jej miłość do tej pory była przekleństwem, lecz teraz może okazać się dobrodziejstwem. Na pewno nadal marzy, by pewnego dnia zostać panią kongresmanową Petrie, a to prawdopodobnie powstrzymają przed próbą zniszczenia go jako polityka.

Poza tym była zbyt dumna, żeby przyznać się do porażki. Ujawniając ich romans, straciłaby dobre imię. Musiała dbać o własną karierę, stan swoich interesów i spokój wierzycieli. W żadnym razie nie mogło jej zależeć na skandalu. A jeśli pragnienie rewanżu przeważy w niej nad zdrowym rozsądkiem? Co się stanie, jeśli Yasmine przestanie być dyskretna?

Alister lekceważąco wzruszył ramionami. Jak to, co się stanie? Rozgłos bardziej zaszkodziłby jej niż jemu. Wcale nie musiałby wiele robić. Wystarczyłoby zdecydowanie zaprzeczać wszelkim twierdzeniom Yasmine. Komu wierzono by bardziej? Zbankrutowanej, moralnie zdeprawowanej, rozhisteryzowanej kobiecie czy wpływowemu, zrównoważonemu dżentelmenowi z Południa, który na dodatek prowadzi szczęśliwe życie rodzinne?

Rozwiązawszy w ten sposób najważniejszy jeszcze przed chwilą problem, zszedł na dół niemal w beztraskim nastroju. Belle pocałowała go lekko.

- Teraz mamy już to wszystko za sobą - powiedziała. Podała mu kieliszek doskonale schłodzonego białego wina. - Opowiedz, jak ci minął dzień. - Zasiedli do sałatki z krabów, pokrojonego w plastry kantalupa, marynowanych pomidorów wielkości czereśni, i malinowych sorbetów.

Przeszli do kawy, kiedy coś uderzyło o szybę w oknie. Szkło zadrżało głośno.

- Do diabła, co to było? - Alister obejrzał się gwałtownie.

Beile poderwała się z krzesła, które runęło do tyłu. Szyba była zbryzgana krwią.

Belle, czując zbliżające się torsje, zakryła dłonią usta.

- Chryste - wyjąkał Alister. - Zostań tutaj.

- Alister...

- Zostań tutaj. Nie ruszaj się!

Nigdy nie był specjalnie odważny, więc nie tyle brawura, co złość skłoniła go do wyjścia przez frontowe drzwi na starannie przystrzyżony trawnik. Z oddali usłyszał jeszcze pisk opon, ale było już za późno i za ciemno, by dostrzec markę samochodu czy odczytać numer rejestracyjny.

Z duszą na ramieniu, ostrożnie podszedł pod zaplamione okno, które z bliska wyglądało jeszcze bardziej realnie, bardziej niesamowicie. Poczł zapach krwi.

Pochylił się nad klombem z kwiatami, stracił równowagę, upadł między krzewy rosnące przy samym murze i wylądował na martwym kurczaku z rozciętą gardzielią. Rana była świeża i szeroka, pióra - wilgotne i połyskujące od ciemnej krwi.

Kongresman Petrie krzyknął.

Nieporadnie wstał, przedarł się przez krzewy i potykając się pokonał schody. Kiedy nareszcie znalazł się wewnątrz budynku, zatrzasnął drzwi, zaciągnął zasuwę, po czym gorączkowo, pospiesznie włączył system alarmowy.

Belle, która zdążyła tymczasem otrząsnąć się z początkowego szoku, zażądała wyjaśnień.

- Kto ośmielił się zażartować w ten niesmaczny sposób? Czy wiesz, jak trudno będzie dokładnie usunąć to paskudztwo? Miał ochotę potrząsnąć nią tak, żeby zadzwoniły jej doskonale równe, białe zęby.

- Naprawdę nie rozumiesz, co to oznacza? Ona chce mojej śmierci. ,

- Kto?

- Ona.

- Twoja była kochanka? Skinął głową.

- Rzu... rzuciła na mnie klątwę - wyjąkał.

- Na miłość boską, Alister, weź się w garść. Przestań wygadywać bzdury. Trzeba po prostu zawiadomić policję. -

Belle ruszyła w kierunku telefonu.

- Nie! - Czym prędzej podbiegł i wyszarpnął przewód telefoniczny z wtyczki w ścianie. - Nie.

- Alister, nie zachowujesz się rozsądnie. Co cię aż tak przestraszyło?

Wydobył z siebie jedno, jedyne słowo: - Voodoo.

Rozdział XX

Yasmine wróciła do Rosesharon kilka minut przed szóstą. Energicznie otworzyła drzwi do sypialni i weszła do środka, by po chwili stanąć jak wryta. Widok Claire przytulonej na łóżku do Cassidy'ego całkowicie ją zaskoczył.

- Cholera!

Głośny okrzyk wyrwał Claire z głębokiego snu. Usiadła, odsunęła z oczu włosy i sięgnęła po brzeg prześcieradła, aby okryć piersi.

Cassidy przekręcił się na plecy.

- Co się stało? - Oniemiałe spojrzenie Claire skierowało jego wzrok ku Yasmine, która po kilku sekundach krępującej ciszy odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Niedobrze z nią. - Claire założyła przez głowę koszulkę.

- Co masz na myśli? Dlaczego z nią niedobrze? Która godzina?

- Yasmine ma jakiś kłopot.

- Claire?

Włożyła szlafrok. Zamierzała wstać, kiedy położył rękę na jej ramieniu. Spojrzała na nią spod przymkniętych powiek. Zrozumiała od razu, co oznaczało to spojrzenie.

- Nie mogę - szepnęła z uczuciem. - Yasmine mnie potrzebuje.

- A ja potrzebuję ciebie.

- Miałaś mnie - przypomniała mu, uśmiechając się wstydliwie.

- Ale jeszcze nie tak blisko, jak bym chciał.

Rozdarta między lojalnością a pożądaniem, zerknęła w kierunku drzwi.

- Muszę z nią porozmawiać, Cassidy.

- Dobrze - mruknął. - Ale pamiętaj, zostawiasz tutaj zrozpaczonego straceńca. - Prowokująco pocałował wewnętrzną stronę jej dłoni. - Szybko wracaj.

- Postaram się. Obiecuję.

Hall był pogrążony w szarofioletowym świetle poranka. Nie

chcąc nikogo obudzić, ostrożnie przeszła do schodów i na palcach zbiegła pospiesznie na dół. Znalazła przyjaciółkę przy barku w pokoju jadalnym. Yasmine trzymała w ręku karafkę.

- Chcesz drinka?

- Yasmine, co się stało?

- Skąd ta troska? Sądząc po twoim wyglądzie, dzisiejszej nocy nieźle zabawiałaś się w swoim łóżeczku. Już ten detektyw dokładnie ci wypieścił, no nie? Hmm, hmm. Wyobrażam sobie.

- On nie jest detektywem, a ty nie jesteś wobec mnie w porządku. Dlaczego miałoby ci przeszkadzać, że ja śpiam z Cassidym?

- Racja. Nic mnie to nie obchodzi. Nie obchodzi mnie, kto cię pieprzy. - Yasmine starała się stłumić w sobie złość, ale bez powodzenia. Gwałtownie postawiła szklanę z wódką na blacie barku. Z wysiłkiem wykrzywiła usta w uśmiechu. - Claire Louise Laurent. Zawsze tak samo zrównoważona i na miejscu.

- Opuściwszy głowę, skryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. Claire otoczyła ją ramieniem i podprowadziła do jednego z barowych stołków.

- Co złego spotkało cię, Yasmine? - zapytała, gładząc przyjaciółkę po plecach. - Jesteś tak bardzo niesympatyczna, że na pewno wydarzyło się coś strasznego.

- Ten skurwysyn rzucił mnie.

Tego właśnie Claire obawiała się już od dawna. To, co wydawało się nieuchronne, w końcu nastąpiło.

- Okłamywał mnie od samego początku - powiedziała połykając łzy. - Wcale nie zamierzał odejść od żony. Wcale nie miał zamiaru ożenić się ze mną. Byłam taka głupia, Claire. Tak cholernie głupia. Zrobiłam z siebie kompletną idiotkę.

- Miłość wypacza nasz osąd. Sprawia, że robimy rzeczy, o których wiemy, iż są złe. A jednak ta wiedza nas nie powstrzymuje. Yasmine usiadła. Wytarła nos brzegiem bluzki.

- Zanim mi powiedział, jeszcze kochał się ze mną. Wyobrażasz sobie podobną bezczelność? Wprost rzucił się na mnie. Powiedział, że jestem piękna, że dni spędzone beze mnie są dla niego prawdziwym piekłem. Potem kochaliśmy się jak króliki: ostro i szybko. - Dwie bliźniacze łzy spłynęły po jej policzkach.

- Kocham go, Claire.

- Wiem. Przykro mi.

- Patrząc w przeszłość, nie mogę uwierzyć, że w ogóle dałam

się nabrać na jego kłamstwa. Właściwie nawet w wyobraźni nie bardzo widzę go w Waszyngtonie parującego ze mną przy boku.

- W Waszyngtonie? Yasmine parsknęła śmiechem.

- Chyba straci przez to jeden głos, ale co tam, do diabła. Teraz mogę ci już powiedzieć. Moim tajemniczym kochankiem był kongresman Alister Petrie.

- Alister Petrie - powtórzyła Claire wolno.

- Znasz go?

- Nie. Nigdy go nie widziałam. Ale znam jego żonę, Belle. Zaprojektowałam dla niej kilka rzeczy, kiedy miała wyjść za mąż. Poleciała mnie jedna z jej przyjaciółek.

- Jaka ona jest?

- Och, Yasmine, zapomnij...

- Na miłość boską, Claire, nie bądź zasadnicza. Powiedz: jaka ona jest?

- Blondynka. Ładna. Szczo...

- Nie o to mi chodzi. Wiem, jak ona wygląda.

- Zetknęłaś się z nią?

- Widziałam ją. Claire ściągnęła brwi.

- Tak, śledziłam ich kilka razy - Yasmine przyznała niecierpliwie. - Robiłam wszystko, czego nie powinna robić miła, uległa kochanka. Stawiałam żądania. Błagałam. Wściekałam się. Wydzwaniałam do ich domu, po to tylko, żeby usłyszeć jego głos. Od czasu, kiedy zaczął ubiegać się o ponowny wybór, miał dla mnie coraz mniej czasu. Im mniej czasu spędzaliśmy ze sobą, tym bardziej go zadreślałam. Pewnie nie mógł tego ścierpieć. Próbowałam też pomóc przypadkowi, żeby nas przyłapano. Być może Belle odkryła prawdę. Kto wie? Teraz już nie uwierzyłabym ani jednemu słowu tego kłamliwego kutasa.

- Chyba rozumiem, dlaczego byłaś dla niego atrakcyjna. Tak bardzo różnisz się od niej.

- Pod jakim względem?

- Pod każdym. Ona pochodzi z arystokracji i każdemu daje to odczuć. Jest chłodna i wyniosła. Zarozumiała. Zaborcza. I, jak mi się wydaje, pozbawiona uczuć.

- Może przynajmniej raz nie skłamał - mruknęła Yasmine.

- Pewnie za wcześnie o tym mówić - powiedziała z wahaniem Claire. - I chyba mi nie uwierzysz, ale to prawda. - Pochwyciła dłonie Yasmine i mocno je ścisnęła. - Nie tworzyliście dobrego związku, bo gdyby było inaczej, nie cierpiałabyś tak

280

bardzo przez cały czas. Bez tego faceta będzie ci się żyło znacznie lepiej.

Potrząsnęła głową.

- Mylisz się, Claire. Całe moje życie wali się w gruzy.

- To nieprawda, Yasmine!

- Najwidoczniej zapomniałaś o mojej katastrofie finansowej. Pieniądze, które mi dałaś w zamian za udziały, zaledwie w niewielkim stopniu zaspokoją wierzycieli.

- Wszystko się zmieni. To tylko kwestia czasu. Jesteś piękna, utalentowana. Tysiące kobiet chciałoby znaleźć się na twoim miejscu. Akurat w tej chwili masz złamane serce, ale i ono wkrótce się zablźni.

Yasmine nienawistnie zmrużyła oczy.

- Mam złamane serce, lecz nie zamierzam cierpieć sama. - Wyswobodziła rękę z uścisku przyjaciółki, sięgnęła do swojej torby i wyciągnęła z niej mały przedmiot, na widok którego Claire cofnęła się bezwiednie o pół kroku.

- Mój Boże, Yasmine, co chcesz z tym zrobić?

Yasmine z dumą podniosła woskową lalkę - groteskową podobiznę Alistera Petriego.

- Spójrz, te włosy należały rzeczywiście do Alistera, dzięki czemu magia zadziała silniej. Wiesz oczywiście - powiedziała pokazując na nieproporcjonalnie duży penis z czerwonego filcu, sterczący z krocza figurki - co symbolizuje ten drobiazg,

Claire była przerażona.

- Nie traktujesz chyba tego poważnie, prawda? Przecież nie możesz na serio wierzyć w klątwy i czarną magię?

Yasmine spojrzała na nią ze złością.

- Dlaczego nie? Ty na przykład wierzysz w niepokalane poczęcie.

Claire nie zamierzała wdawać się w religijną dysputę, zwłaszcza że Yasmine znajdowała się w stanie emocjonalnego rozchwiania. W milczeniu obserwowała, jak położyła figurkę na blacie barku i spod bluzki wyciągnęła zawieszoną na łańcuszku małą kulkę, w której wnętrzu znajdowało się coś, czego Claire nie potrafiła zidentyfikować, ale co pachniało ziołami.

- Nosząc to blisko ciała - oświadczyła Yasmine groźnym tonem - mogę panować nad jego myślami. Już nigdy nie usunie mnie ze swojej pamięci. Nie dam mu spokoju ani w dzień, ani w nocy. Doprowadzę go do szaleństwa.

- Yasmine, przerażasz mnie. Roześmiała się głucho.

- Nie masz nawet pojęcia, jak on będzie się bał, zanim z nim skończę.
- Co rozumiesz przez słowo „skończę”? Yasmine, co ty chcesz zrobić?
Zignorowała pytanie, powiedziała:
- Patrz, Claire. Obserwuj uważnie. Ucz się. Może kiedyś i tobie to się przyda. - Odgięła do tyłu kołnierzyk bluzki, odsłaniając rząd długich igieł. Wyciągnęła jedną z nich, ogrzała ją w płomieniu zapalniczki, a następnie wbiła w odrażający, czerwony penis lalki. - Dzień dobry, Alister _T szepnęła. - Dobrze spałeś? Nawet nie myśl o miłości ze swoją nudną, drętą żoną. W tej chwili nawet moje wdzięki nie przywróciłyby ci mocy, ty obwisły kutasie. - Zapaliła następną zapalniczkę, podgrzała drugą igłę i dźgnęła nią w tors figurki.
Claire nie wytrzymała.
- Przestań! To nie ma sensu. Praktykowanie voodoo jest niebezpieczne i głupie. Nie chcę, aby moja najlepsza przyjaciółka wierzyła w podobne bzdury. Słyszysz mnie?!
Yasmine zamrugnęła, jakby Claire wyrwała ją z transu.
- Oczywiście, że cię słyszę. - Uśmiechnęła się szeroko. - Nie myślałaś chyba, że biorę to na poważnie?
- Ja... - Claire zaczęła niepewnie. Modelka roześmiała się.
- Przynajmniej raz udało mi się ciebie nabrać. Gdybyś widziała teraz swoją minę. - Wsunęła amulet do stanika, a lalkę wrzuciła z powrotem do torby.
- Nie pozwól, aby Cassidy to zobaczył - powiedziała Claire. - Pamiętasz, jak interesował się figurką przedstawiającą Wilde'a.
- Daj spokój. Odpręż się. Na podobnej zasadzie ludzie pozwalają Cygankom odczytać swój los z dłoni. Nikt właściwie w to nie wierzy, ale dobrze się przy tym bawi.
Claire nie czuła się przekonana, co wyraźnie zdradzał wyraz jej twarzy. Yasmine posłała jej zmęczone spojrzenie.
- Ten cały magiczny hokus-pokus jest niczym więcej jak jedynie zabawą. Jednak z przyjemnością wyobrażam sobie, że mogę rzeczywiście dokuczyć Alisterowi. Dlaczego tylko ja miałabym się męczyć? Czuję się znacznie lepiej wiedząc, że ten podły bękart również może trochę pocierpieć. - Wypiła ze szklanki łyk wódki. - Zmieńmy temat. Lepiej opowiedz mi, w jaki sposób Cassidy znalazł drogę pod twoje majtki.

Claire wróciła po cichu do sypialni. Cassidy czekał na nią. Z dłońmi splecionymi pod głową leżał na łóżku i gapił się na skrzydła wentylatora wirujące wolno tuż pod sufitem. Miał ujmujący profil - silny, męski, doskonale zarysowany. Uwielbiała kształt jego ust, ust, które teraz, kiedy patrzyła na nie pamiętając ich smak i dotyk, zdawały się emanować jakąś magnetyczną siłą. Zamykając za sobą drzwi, usiłowała rozproszyć erotyczne wspomnienia. Odwrócił się do niej twarzą. - Czołem.

- Cześć.

- Wszystko w porządku?

- Teraz tak. Była okropnie przybita.

- Z jakiego powodu?

- Nie twoja sprawa.

Przekręcił się na bok i wsparł na łokciu.

- Schowaj swoje żądętko, Claire. Zadałem pytanie z czystej uprzejmości.

Usiadła na brzegu łóżka.

- Rzucił ją kochanek, ale nie pytaj mnie, kim on jest, ponieważ nie mogę tego wyjawić.

- Nie zamierzałem pytać.

- Więc... dobrze. W takim razie nie ma problemu.

- Czyżby? Z tonu twojego głosu wynika coś przeciwnego. Wyraźnie zeszywniała.

- Powinieneś już wrócić do swojego pokoju. Yasmine chciałaby wziąć prysznic i położyć się na kilka godzin.

- To nie ma nic wspólnego z Yasmine.

- W porządku, nie ma. - Claire poderwała się na nogi. Wyrzuciła dłoń w kierunku drzwi na balkon. - Czyżbyś nie zauważył, Cassidy, że wstało słońce? Jest już rano.

- I co z tego? Chyba nie zamierzasz przeobrazić się w dynię?

- Nie. Ale ty zapewne przeobrazisz się w asystenta prokuratora okręgowego, który z ochotą zamknąłby mnie za morderstwo. - Popełniłaś morderstwo?

- Nie muszę na to odpowiadać.

- Wolę, żebyś nie odpowiadała, niżbyś miała kłamać.

- Odejdź.

Odrzucił prześcieradło i zerwał się z łóżka. Natychmiast obudziły się w niej wspomnienia zmysłowych doznań z ostatniej nocy. Przywitała je niechętnie, ale już tam były i musiała znaleźć dla nich miejsce. Widząc go nagiego, zapragnęła znowu

278

przytulić się do niego, poczuć jego silne uda na swoich udach, pieszczotę jego rąk na swoim ciele.

Obserwowała, jak wciąga stare, wyblakłe dżinsy. Nie zapiął ich. Opinały jego sylwetkę tak ściśle, że nie istniało żadne ryzyko, aby opadły.

- Dlaczego zamiast powiedzieć wprost, o co w tym wszystkim chodzi, raczysz mnie opowieściami na temat Yasmine i jej tajemniczego kochanka?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Akurat. - Wymierzył wskazującym palcem w czubek jej nosa. - Przestań chować się za tę zasłonę z pogardy typową dla pańienek z prywatnych szkół. Doskonale wiem, że to tylko przedstawienie, które odgrywasz, kiedy ci wygodnie i kiedy chcesz uniknąć konfrontacji. Poznałem, jaka jesteś naprawdę. Tam. - Pokazał na łóżko i zmiętą pościel.

- Dlatego więc poszedłeś ze mną do łóżka: żeby mnie lepiej poznać?

- Tak. Pod każdym względem.

- Ileż w tym romantyzmu. Gdybyś jednak zechciał zdradzić mi prawdziwy powód...

Chwycił jej rękę i przysunął ją do otwartego rozporoka.

- Odrzuć ten nonsens, pocałuj mnie, a za kilka sekund odświeży ci się pamięć.

Gwałtownym szarpnięciem wyswobodziła dłoń.

- Nie wątpię, że będziesz zapewniał, iż chciałeś tylko kochać się ze mną.

- Owszem. Takie było generalne założenie.

- Nie wierzę ci, Cassidy. Przez cały czas zarzucałeś mi kłamstwo. Myślę, że teraz ty kłamiesz.

Parsknął śmiechem i potrząsnął z niedowierzaniem głową.

- Co takiego? Co wydarzyło się w ciągu pół godziny, kiedy nie było cię tutaj?

- Odzyskałam rozsądek - mruknęła, uciekając wzrokiem gdzieś w bok.

Zacisnął palce na jej podbródku i zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

- Mogłabyś wyrażać się jaśniej?

- Dobrze, powiem otwarcie - oświadczyła, odsuwając jego rękę. - Yasmine powiedziała coś, co otworzyło mi oczy.

- O czym?

- O nieuczciwych zagrywkach.

- Nie rozumiem.

Pytanie Yasmine o to, w jaki sposób Cassidy znalazł się w jej

łóżku, sprowadziło ją z nieba na ziemię, zniszczyło czar, któremu ulegają osoby zakochane. Uświadomiło jej twarde realia rzeczywistości. Rozmyślnie wrogo, choć głosem nieco drżącym, zapytała:

- Dlaczego przespałeś się ze mną?

- Powód jest chyba oczywisty, Claire.

- Na pewno chciałbyś, żebym tak myślała.

- Pragnęliśmy się wzajemnie - powiedział.

- Ale do ciebie należała inicjatywa.

- Nie opierałaś się.

- Tym razem nie przyszedłeś do mnie wymachując swoją legitymacją czy też teczką pełną oficjalnych dokumentów; nie używałeś gróźb. Byłeś na to za sprytny, ponieważ wiesz, jak działa na mnie siła płynąca z posiadania władzy.

Przyszedłeś jako mężczyzna. Wykorzystałeś fakt, że odczuwałam zazdrość. Tak - powiedziała, przecinając rękoma powietrze - byłam zazdrosna o Yasmine. Wykorzystałeś to i erotyczny nastrój, jaki wytworzył się podczas naszej sesji.

- Na moment zamilkła, odetchnęła, po czym podjęła na nowo: - Yasmine skarżyła się, że była głupia. Staralam się ją pocieszyć, twierdząc, że od czasu do czasu każdy z nas popełnia błędy, i to zazwyczaj z powodu naszego libido.

Właśnie wtedy przyszło mi do głowy, jaką straszliwą idiotką jestem. Zaciągnąłeś mnie do łóżka, mając nadzieję, że do rana skończą się twoje kłopoty ze znalezieniem mordercy. Być może według ciebie miałam załamać się gdzieś przed świtem, a przyznać - o poranku.

- Na miłość boską! - wykrzyknął, straciwszy cierpliwość. Wszystkimi dzisiejszoma palcami przeczesał włosy, następnie oparł ręce na biodrach. - A kiedy dokładnie miałabyś się przyznać? Podczas gry wstępnej? Albo może oczekiwałem, że podczas szczytowania zaczniesz krzyczeć: „Jestem winna”? Nie, nie, poczekaj, już wiem. Liczyłem na to, że wyśpiewasz wszystko przez sen, kiedy wreszcie padniesz z wyczerpania. Zgadza się?

- Nie widzę w tym nic zabawnego.

- Racja, bo też i nie ma w tym nic zabawnego! - zawołał.

- Chcąc pochwycić mordercę, wcale nie musisz być aż tak podstępny. Dlaczego mnie po prostu nie aresztowałeś?

- A nie przyszło ci do głowy, wobec jakiego konfliktu interesów mnie to stawia? Od wielu tygodni zmagam się z tym. Ostatniej nocy jednak pragnąłem przede wszystkim kochać się z tobą.

- Kłamca.

Drgnął i długim krokiem ruszył w jej kierunku.

- Jeżeli uważasz, że jedynym powodem, dla którego poszedłem z tobą do łóżka, była sprawa Wilde'a, to znaczy, iż zapominasz szybciej, niż dochodzisz do orgazmu.

Jej dłoń opadła na jego pokryty jednodniowym zarostem policzek, wydając głośne klaśnięcie.

- Zejdź mi z oczu.

Chwycił ją za nadgarstek i gwałtownym szarpnięciem przyciągnął do siebie. Przez moment myślała, że Cassidy odpłaci jej tym samym, ale on tylko wycedził:

- Z przyjemnością, panno Laurent. - Przed drzwiami odwrócił się. - Wiesz, co cię zdenerwowało, Claire? Jesteś wściekła na siebie, ponieważ pokazałaś mi swoje prawdziwe oblicze. Jesteś wściekła, ponieważ zrzuciłaś maskę. Ponieważ podobało ci się wszystko, co robiliśmy razem przez całą noc. Wszystko: od pierwszego pocałunku do ostatniego westchnienia. I jeśli jedno z nas tu oszukuje, to nie ja, lecz ty - samą siebie.

- Co pragniesz usłyszeć? - wykrzyknęła. - Że jesteś wspaniałym kochankiem? Czy twoje męskie ego domaga się należnych wyrazów uznania? W porządku, nie ma sprawy. Było cudownie. Wiesz doskonale, gdzie odpowiednio przycisnąć, kiedy być agresywnym, a kiedy biernym.

- Dzięki.

- To nie komplement. Osiągnięcie tak wspaniałej techniki zapewne wymagało od ciebie wielu lat praktyki. Ile kobiet podejrzanych o popełnienie przestępstwa zaciągnęłaś do łóżka, hmm? Czy to jest twój sposób na sukces? Najpierw je przeleciałaś, a dopiero później ewentualnie posyłałaś do więzienia albo też nie?

- Posłuchaj - powiedział przez zaciśnięte zęby - nigdy nie musiałem zniżać się do tego poziomu.

- Ach, nie?

- Nie. Nigdy nie musiałem uciekać się do podstępów. I bez tego jestem dobry w tym, co robię.

- W takim razie, jeżeli jesteś pan tak cholernie dobry, panie Cassidy, to zajmij się pan swoimi sprawami i idź do diabła z mojej sypialni!

Rozdział XXI

- Wyglądasz fantastycznie. - Joshua Wilde wszedł do szpitalnego pokoju Ariel, pchając przed sobą fotel na kółkach. Personel poinformował go, że jego macocha czeka na odprowadzenie przed budynek, gdzie zebrał się tłum dziennikarzy pragnących dowiedzieć się czegoś więcej na temat ostatniego epizodu z jej dramatycznego życia. -

Rydwan czeka na panią, *madame*.

Ariel zamknęła walizkę.

- Czy muszę z niego skorzystać?

- Wymaga tego szpitalna procedura. W dodatku siedząc w nim łatwiej wywołasz biblijne skojarzenia.

Spojrzała na niego z dezaprobatą.

Josh zachował całkowity spokój. Tego ranka wyglądał wyjątkowo atrakcyjnie i świeżo. Jak zazwyczaj ubrany był elegancko i miał zadbane, gładko uczesane błyszczące włosy. Lecz w każdym jego ruchu zaznaczała się nietypowa dla niego sprężystość. Kilka dni spokoju wyraźnie go odmłodziło.

Ariel, nadal ubrana w żałobną czerń, jak na kogoś zwolnionego właśnie ze szpitala wyglądała uderzająco korzystnie. Umyła, następnie wysuszyła swoje platynowe włosy i zrobiła sobie staranny makijaż. Celowo nie ukryła cieni wokół oczu, pragnąc, by natrętnie przypominały jej zwolennikom, ile wyczerpujących chwil przeżyła ostatnio.

Nie ucieszyło jej specjalnie pojawienie się Josha i była zdecydowana nie podzielać jego pogodnego nastroju.

- Stało się coś, że tak szczerzysz zęby?

- Nie - odrzekł. - Po prostu jestem ogólnie zadowolony.

- Na pewno podczas mojej nieobecności cały czas grałeś na fortepianie.

- Praktycznie na okrągło. - Z koszyka na owoce wyjął banana, obrał go, po czym odgryzł duży kawałek. - A przy tym nie zagrałem ani jednego kawałka gospel.

- Tylko te klasyczne nudy - mruknęła, przeglądając się jeszcze raz w lusterku. - Nawet się cieszę, że mnie tam nie było i nie musiałam tego wysłuchiwać.

- Całkiem dobrze mi wychodziło, jeśli mogę tak powiedzieć o sobie.

Zamknęła puderniczkę jednym ruchem nadgarstka.

- Powinieneś zachowywać formę, bo już za kilka dni przestaniesz grać dla przyjemności. Z powrotem wrócisz do gospel.

Josh w jednej chwili przestał się uśmiechać. Rzucił skórki od banana na tacę.

- Co masz na myśli mówiąc: „za kilka dni”? Lekarze zalecili ci co najmniej miesięczny wypoczynek.

- Mało mnie obchodzą ich zalecenia. Pod koniec przyszłego tygodnia zamierzam odbyć normalne spotkanie modlitewne. Już rozkręciliśmy tę całą maszynę, a potem masz. - Klepnęła się w brzuch, jak gdyby chciała ukarać dziecko, które nosiła w sobie. - Powinniśmy wrócić na trasę. Im szybciej, tym lepiej. Nie spocznę, dopóki Cassidy czy ktokolwiek inny odpowiedzialny teraz za dochodzenie nie postawi kogoś przed sądem za zamordowanie Jacksona. Lecz to będzie dopiero początek. Planuję pojawiać się na rozprawie każdego dnia. Ten proces będzie gorącym tematem przez wiele miesięcy. I ja tam będę. Od początku do końca. W pierwszym rzędzie. Doskonale widoczna. Jako tragiczna postać. Muszę sobie zdobyć jak najszerszą publiczność. Gotowy?

Wykładając swoje plany sprawdzała w łazience, szafie i szufladach biurka, czy nie zapomniała czegoś spakować. Teraz odwróciła się do Josha, który stojąc bez ruchu przysłuchiwał się jej przemowie.

- Powiem otwarcie - odezwał się w końcu. - Już dostałaś za swoje, a jeszcze niczego się nie nauczyłaś.

- Będę jadła, naprawdę. Możesz przestać zrzedzić.

- Bulimia to zaledwie połowa problemu, Ariel. Wkrótce znowu upadłabyś gdzieś na scenie. Czy na tym polega twój plan?

- Nie, to nie wchodzi w rachubę - powiedziała słodkim głosem. - Nie chcę trafić z powrotem do szpitala, ale nie zamierzam wycofać się z aktywnego życia tylko dlatego, że odrobinę przesadziłam i doprowadziłam się do stanu omdlenia.

- Co z dzieckiem?

- To znaczy?

- Jest moje?

- Nie - odpowiedziała gniewnie. - Twojego zmarłego ojca. On mi to zrobił.

- Jesteś pewna?

289

- O, tak. Ty zawsze używasz gumki. On nie używał. Sukinsyn.
- Nie chciałaś dziecka?
- Do diabła, jasne, że nie. Jeszcze nie zwariowałam. Musiałabym zrezygnować ze wszystkiego, na co tak ciężko pracowałam.
- Ale ojciec pragnął dziecka.
- A jakże - rzuciła zjadliwie. - Znałeś go, znałeś jego potworne ego. Chciał mieć przy sobie małego Jacksona Wilde'a Juniora. - Spojrzała na Josha z pogardą. - Pierwszy syn bardzo go rozczarował.
- Josh opuścił wzrok na swoje długie, szczupłe dłonie pianisty; nie istniały słowa, którymi mógłby podważyć tę zniechęconą przez siebie prawdę.
- Bez przerwy zadreślał mnie gadaniem o dziecku - ciągnęła Ariel. - Mówił, że jego przyjście na świat korzystnie wpłynęłoby na nasz wizerunek w oczach opinii publicznej i wzmocniłoby organizację, że stalibyśmy się bardziej popularni niż rodzina prezydenta. I w końcu, jak zawsze, do tego sukinsyna należało ostatnie słowo. Założę się, że teraz nieźle się ze mnie nabija. - Tupnęła nogą w podłogę, jakby zwracała się do swojego męża w piekle. - Nienawidzę cię, ty sukinsynu!
- Kiedy odkryłaś, że jesteś w ciąży?
- Szarpnęła głową, rozsypując włosy na ramionach, i popatrzyła na zmarkotniałego Josha.
- Dopiero tutaj, w szpitalu.
- Więc wcześniej nie wiedziałaś? Potrząsnęła głową, podejrzliwie zmrużyła oczy.
- Do czego zmierzasz?
- Czy przypuszczałaś chociaż, że jesteś w ciąży, zanim ojciec... zmarł?
- Odwróciła się do niego plecami i sięgnęła po torebkę.
- Co za różnica? Zapłodnił mnie. Gdyby teraz żył, miałabym kłopot z dzieckiem. Na szczęście już nie jest w stanie powstrzymać mnie przed pozbyciem się tego kłopotu.
- Pochwyił ją za ramiona i niemal brutalnie obrócił nią o sto osiemdziesiąt stopni.
- Chcesz pozbyć się dziecka? Odepchnęła go od siebie.
- Nie bądź naiwny, Josh. Jesteś w błędzie, jeżeli myślisz, że poświęcę swoją karierę telewizyjnego kaznodziei dla brudnych pieluch i kaszek. Nie chcę dziecka. Nigdy nie chciałam. -

Uśmiechnęła się. - Ten jeden argument Jackson, zdaje się, przeoczył.

- A pomyślałaś, jak bardzo stałabyś się niepopularna wśród swoich zwolenników, gdyby wydało się, że usunęłaś ciążę?

- Masz mnie za idiotkę? - warknęła. - Wszyscy, którzy w ubiegłym tygodniu oglądali telewizję, wiedzą, że przewróciłam się z wyczerpania. Wkrótce rozejdzie się wieść, iż mimo mojego stanu zdecydowana jestem wypełnić misję Jacksona i zdemaskować jego wrogów. Nie spocznę, dopóki nie zobaczę jego zabójcy złapanego i ukaranego. Póki co, wykorzystam ciążę dla swoich celów. Będę wylewała łzy za każdym razem, kiedy przyjdzie mi mówić o tym, jak bardzo Jackson byłby wstrząśnięty, gdyby wiedział, że pozostawił żywą drobinę w moim łonie. Sam mówiłeś przed chwilą o biblijnych skojarzeniach -dodała, śmiejąc się ochryple. - Jak to ci się podoba? Nawiążę do historii Abrahama i Sary, których pobożność Bóg wynagrodził dzieckiem. A potem, za kilka tygodni, spadnie na mnie kolejny cios: poronię. Wyobraź sobie poruszenie opinii publicznej. Będą o mnie mówić: „Utraciwszy męża, utraciłszy dziecko, odważnie, z determinacją kontynuuje krucjatę”. - Zerknęła na Josha i roześmiała się ponownie. - Hej, co z tobą, Josh? Wyglądasz, jakbyś właśnie połknął chrabąszcza.

- Od twojego gadania robi mi się niedobrze.

- Nie opowiadaj tylko, że przejąłeś się losem dziecięcia. Chyba nie z jego powodu byłeś ostatnio tak rozradowany. Czyżbyś wyobrażał sobie, że zostaniesz tatusiem dla swego przyrodniego brata? - Poklepała go po policzku. - Byłbyś całkiem miły, gdybyś nie był aż tak głupi.

Odsunął się.

- Nie jestem nawet w przybliżeniu tak głupi, jak myślisz, Ariel. - Gniewnym ruchem głowy pokazał na wózek.

-Gotowa?

- Oczywiście. Ale pójde na własnych nogach. - Sięgnęła po walizkę.

- Nie powinnaś tego dźwigać.

- Dlaczego nie? Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie ostatecznie pozbędę się więzów łączących mnie z Jacksonem. -Dźwignąwszy ciężką walizkę, ruszyła w kierunku drzwi.

- Otwarte. - Cassidy podniósł wzrok znad sterty papierów na biurku.

Wszedł detektyw Howard Glenn i nonszalancko opadł na krzesło.

- Witaj znowu w pracy. Dawno się nie widzieliśmy.
 - Zaledwie kilka dni.
 - Jak ci poszło?
 - Dokładnie tak, jak można było przypuszczać. Panna Laurent twierdzi, że jej samochód jest jednym z co najmniej kilkuset identycznych pojazdów jeżdżących po ulicach Nowego Orleanu. Z kolei Yasmine podobno tylko przelotnie interesuje się magią voodoo. W przeszłości przejawiała upodobanie do kilku religii, ale żadnej nie traktowała poważnie. Przy okazji dowiedziałem się czegoś nowego. Yasmine od dłuższego czasu ma jakiegoś kochanka, więc chyba nie żyła z Wilde'em. Obecnie jej romans zbliża się do finału. Może będziesz chciał, żeby twój człowiek bliżej się temu przyjrzał.
 - Owszem, byłoby wskazane. W tym czasie ja również nie próżnowałem.
 - Masz coś ciekawego?
- Glenn wyciągnął notes z kieszeni tweedowej marynarki.
- Jak do tej pory - a jeszcze nie przejrzałem wszystkiego - wyłowilem dziesięć podejrzanych przypadków finansowania działalności Wilde'a. Chodzi o znaczne sumy.
 - Jak znaczne?
 - Od pięciu do dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. - Zamilkł w oczekiwaniu na reakcję Cassidy'ego.
 - Słucham cię uważnie.
 - W trzech przypadkach na dziesięć ofiarodawcy są właścicielami kin. W dwóch posiadają i prowadzą magazyny z wydawnictwami, w dwóch salony masażu i w dwóch kawiarnie z kelnerkami w strojach topless. - Posłał Cassidy'emu porozumiewawczy uśmiech. Twarz Cassidy'ego nie zmieniła wyrazu.
 - Na razie wymieniłeś tylko pięć przypadków. Wspomniałeś o dziesięciu.
 - Jest jeszcze pewna gwiazda filmowa, powszechnie uważana za największy talent w kategorii porno. Cassidy podniósł się zza biurka i wolnym krokiem podszedł do okna.
 - Niech zgadnę. Kiedy owi „ofiarodawcy” okazali swoją szczodrość, Wilde zostawiał ich w spokoju, wprost zapominał o ich istnieniu.
 - Nie byłem w stanie tego sprawdzić - powiedział Glenn -choć od razu pomyślałem sobie podobnie.
 - Może Wilde podniósł cenę, za którą udzielał rozgrzeszenia, a ktoś nie okazał zrozumienia.

- Może.

Cassidy odwrócił się.

- Czy któryś z tych ludzi znajdował się chociażby w pobliżu Nowego Orleanu tej nocy, kiedy dokonano morderstwa?

- Trudno stwierdzić - powiedział detektyw, skubiąc w zamyśleniu płatek ucha. - Praktycznie każdego z nich dzieli od naszego miasta szmat drogi.

- Do tego miasta dociera pierwszorzędna autostrada. To miasto posiada lotnisko i dworzec autobusowy.

- Nie musisz być przykry, Cassidy.

- Wybacz, ale jestem w fatalnym nastroju.

- Masz powody - odparł Glenn, wzruszając ramionami. - Jedyne gwiazda porno przyznaje się, że w ogóle odwiedziła Nowy Orlean.

- Kiedy?

- Dawno temu. W czasie, który nas interesuje, przebywała w Rzymie.

- We Włoszech?

- Nie znam innego.

- Sprawdziłeś jej alibi?

- Pewien włoski reżyser zapewnił, że od kwietnia mieszkała z nim w jego willi.

Cassidy'ego zaczęło ogarniać poczucie klęski.

- Sugeruję, żebyś nadal szedł tym tropem, Glenn. Powiedz swoim ludziom, żeby starannie przeglądali tamte listy; jeśli trzeba, nawet wielokrotnie. Sprawdzaj dokładnie każdego, kto nie mieści się w typie zaczytanego w Biblii, zagorzałego zwolennika.

- Zgoda. - Detektyw wstał. - Ale to pochłonie mnóstwo czasu.

Marszcząc brwi, Cassidy zapytał:

- Sprawdziłeś korporacje, które wspierały Wilde'a?

- Tak, kilka. Nic ciekawego.

- Jednak również im musisz przyjrzeć się dokładnie. W szczególności interesuje nas, kto kryje się za daną firmą. Najłatwiej zachować anonimowość prowadząc interesy w formie spółki. Zacznij od korporacji mających ściśle powiązania z Południem, zwłaszcza z Nowym Orleanem, potem zacznij rozpracowywać następne.

Detektyw skinął głową, a następnie, człapiąc, opuścił biuro. Cassidy chętnie kopnąłby go w tyłek, żeby przekonać się, czy Glenn potrafi poruszać się odrobinę szybciej. Jednakże w obecnej sytuacji nie mógł sobie na to pozwolić. Nie miał zbyt wielu

294

sprzymierzeńców. Rywalizacja w urzędzie miała swoje prawa. Nikt nie szukał przyjaciela w przegrywającym. Ilekroć przystawał przy automacie z kawą, jego współpracownicy natychmiast się rozpraszali.

Po powrocie do Nowego Orleanu oświadczył Crowderowi, że wyprawa do Missisipi nie przyniosła żadnych rezultatów. Prokurator źle zniósł tę wiadomość. Stwierdził, że kończy się jego cierpliwość.

- Zostało ci bardzo niewiele czasu - powiedział. - Albo do końca tego tygodnia dostarczysz mi coś konkretnego, albo odbiorę ci sprawę.

- Każdy, kto znajdzie się na moim miejscu, natknie się na te same problemy, Tony. Nikomu też nie wróżę dobrej współpracy z Glennem. Ja przyzwyczaiałem się do niego.

Crowder patrzył na niego z kamienną twarzą. Cassidy westchnął.

- W tej chwili nie dysponujemy innym namacalnym dowodem poza kilkoma włóknami z wykładziny, które mogły pochodzić z każdego spośród dziesięciu tysięcy samochodów zarejestrowanych w tym okręgu.

- Jeden z nich należy do Claire Laurent, która miała zarówno okazję, jak i motyw.

- Nie jestem w stanie dowieść, że przebywała w apartamencie Wilde'a w momencie dokonania zabójstwa.

- Możesz spróbować.

- Do diabła, w żaden sposób - powiedział Cassidy, potrząsając uparcie głową. - Nie zamierzam skierować sprawy do sądu, dopóki nie zabezpieczę swojej dupy.

Crowder spojrział na niego groźnie.

- Udowodnij przynajmniej, że osłaniasz swoją oraz moją dupę, a nie dupę Claire Laurent.

Cassidy poczuł się dostatecznie rozwścieczony, żeby uderzyć Crowdera pięścią w twarz. Jednakże, zamiast to uczynić, zerwał się z krzesła i bez słowa wypadł z jego gabinetu. Od tamtej pory, to znaczy od dwóch dni, nie widzieli się. A czas nieubłaganie upływał.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że Crowder miał rację. Rzeczywiście chciał ochronić Claire. Wprawdzie w obecnej chwili chętnie zadusiłby ją własnymi rękoma, ale uwięzić jej nie chciał. Jeśli jednak była winna, nie będzie miał wyboru. Będzie musiał posłać ją do więzienia na resztę jej życia, przy czym w wypadku skazania nie istniała możliwość odroczenia kary, jej zawieszenia czy skrócenia. Boże! Oparł się łokciami o biurko i

skrył twarz w dłoniach. Znieruchomiałego w tej pozycji zastał go moment później Joshua Wilde.

Na odgłos delikatnego pukania do uchylonych drzwi jego biura Cassidy podniósł głowę. Josh z niepewną miną stał w progu.

- Sekretarka pozwoliła mi wejść.

- Czego chcesz? - burknął Cassidy.

- Czy nadal prowadzi pan sprawę o zabójstwo mojego ojca?

- Tak napisano w dzisiejszym wydaniu „Times Picayune”. Wejdz. Ale ostrzegam: jestem w kurewskim nastroju, więc jeżeli przyszedłeś truć mi bez specjalnego powodu, wyświadczyć mi tę przysługę i odejdz.

- Nie przyszedłem truć panu bez powodu.

- Siadaj.

Młody mężczyzna usiadł na krześle po przeciwnej stronie biurka. Cassidy skinął głową w kierunku wejścia do budynku.

- Dlaczego nie udzielasz wsparcia tym tam na dole?

Od powrotu z Rosesharon Cassidy za każdym razem chcąc wejść do budynku musiał przedzierać się wzdłuż rzędu transparentów z napisami zarzucającymi mu brak kompetencji. Bez przerwy przed wejściem paradował wrogi tłum ludzi śpiewających pieśni oraz potrząsających wyzywająco transparentami, ilekroć znalazł się w zasięgu ich wzroku.

- To najnowszy genialny pomysł mojej macochy - powiedział Josh, mając na myśli dobrze zorganizowaną demonstrację przed budynkiem.

- Myślałem, że dopiero co wyszła ze szpitala.

- Zgadza się. Ale już stanęła pewnie na nogach. Zamierza nie dać panu ani minuty spokoju, dopóki nie znajdzie pan mordercy.

- Nie ona jedna - mruknął do siebie Cassidy. - Dlaczego nie poradziłeś jej, żeby skończyła z tą absurdalną demonstracją, która faktycznie niczemu nie służy.

- Pokazują Ariel w wiadomościach o szóstej. Na tym najbardziej jej zależy.

- Po co kusić los? Lada chwila może stać się coś złego. Różne podłe kreatury mają oko na ten budynek. Niechby komuś niewinnemu stała się krzywda. Na pewno Ariel nie zależy, by nastawić do siebie wrogo opinię publiczną.

- Przeciwnie. Ona uważa, że znalazła sposób na zdobycie jej przychylności.

- Czyżby zapomniała, jak skończyła się demonstracja przed Francuskim Jedwabiem?

- Klasa, z jaką Claire Laurent opanowała wtedy sytuację, doprowadziła Ariel do szaleństwa. - Rozbawienie Josha przeszło w namysł. - Swoją drogą bardzo interesująca z niej kobieta. Większość ludzi na jej miejscu skorzystałaby z niewybrednych i dużo prostszych środków obrony. Naprawdę, ma klasę. Podziwiam jej temperament.

O, tak - pomyślał bez entuzjazmu Cassidy. Musisz podziwiać jej temperament.

- Wracając do Ariel - powiedział Josh - muszę przyznać, że nie słucha moich rad. Właściwie nie słucha niczyich rad. Jeżeli już raz coś postanowi, jest uparta, nieustępliwa i nie do powstrzymania.

- Rozmawiamy o twojej macosze czy o generale Pattonie?

- Niech mi pan wierzy, Cassidy, nikt nie zna jej lepiej ode mnie. Ona nie jest normalna. Zwłaszcza po... po śmierci ojca zmieniła się nie do poznania.

Spłoszone spojrzenie Josha obudziło w Cassidym cień nadziei. Niezawodny instynkt podpowiadał mu, że oto, być może, zbliża się jakaś przełomowa chwila. Jednak stłumił w sobie chęć, by dać się ponieść uczuciom. Udał, że to, co dotychczas usłyszał, nie zrobiło na nim specjalnego wrażenia. Ruchem ręki zachęcił Josha do dalszych zwierzeń.

- Pewnie słyszał pan, że Ariel jest w ciąży.

- Czy powinienem gratulować?

- Pyta pan, czy ja jestem ojcem? - Josh pokręcił głową. - Ona mówi, że nie. Właśnie dlatego tutaj jestem. - Naraz wstał i zaczął spacerować tam i z powrotem wzdłuż biurka.

- Odpręż się. Wyrzuć w końcu z siebie, co cię gryzie. - Cassidy nadał swojemu głosowi ciepłe brzmienie, pragnąc wywołać atmosferę wzajemnego zaufania i dodać synowi zmarłego kaznodziei odwagi.

- Okłamałem pana - wykrztusił Josh. - Tamtej nocy Ariel i ja nie byliśmy razem przez cały czas. Prawda jest taka, że ona... wyszła z mojego apartamentu i poszła do swojego.

- Kiedy?

- Wcześniej. Około północy.

- Na jak długo?

- Na piętnaście, może dwadzieścia minut.

- Rozmawiała z twoim ojcem?

- Nie wiem. Przysięgam Bogu.

- Daj spokój Panu Bogu. Mnie przysięgnij. Josh zwilżył wargi.

- Przysięgam panu, że nie wiem.

- W porządku. Jedź dalej.

- Powiedziała, że idzie poszukać nut. Według jej słów ojciec spał. Następnego dnia rano kazała mi nie wspominać o tym kwadransie panu ani policji.

Cassidy poczuł, jak serce zaczęło mu walić w piersi, ale wiedział, że nie powinien opierać swoich nadziei na zeznaniu mężczyzny, który już raz przyznał się do istotnego kłamstwa. Zeznanie było tylko zeznaniem. Należało je jeszcze podtrzymać przed sądem. W dodatku nadal nie pojawił się żaden poważny dowód przeciwko wdowie.

Jednak może tyle wystarczy, żeby nadać dochodzeniu nowy kierunek i odsunąć niebezpieczeństwo od Claire. Po dniach posuchy to wydawało się szczodrym plonem.

- Dlaczego zgodziłeś się kłamać, Josh? - zapytał.

- Wtedy sądziłem w dobrej wierze, że to nie ma żadnego znaczenia. Ariel dostała histerii, kiedy odkryła martwe ciało. Było tam tyle krwi... W moim przekonaniu nie miała nic wspólnego z morderstwem.

- A teraz co myślisz?

Josh zatrzymał się przy krawędzi biurka. Spojrzał Cassidy'emu w oczy.

- Teraz myślę inaczej.

Cassidy bał się poruszyć, bał się przełknąć, bał się nawet mrugnąć, żeby chwila, w której uczestniczył, nie okazała się nagle złudzeniem, tworem jego wyobraźni.

- Co cię do tego skłoniło?

Josh przez moment zmagał się z samym sobą. A przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Wytarł spocone dłonie o nogawki spodni.

- Wbrew swoim zapewnieniom Ariel wcale nie jest szczęśliwa z powodu ciąży. Przeciwnie, wścieka się. Zamierza ogłosić w stosownym momencie, że poroniła, i za jednym zamachem osiągnąć dwa cele: pozbyć się dziecka oraz zdobyć więcej sympatyków.

Cassidy był wstrząśnięty.

- Potworne.

- Nie zna pan jeszcze połowy wszystkiego, panie Cassidy. Ariel pragnie zobaczyć się w roli supergwiazdy, osoby, której wpływy obejmują miliony ludzi. Pewnie chciałby pan wiedzieć o jej planach co do „Godziny modlitwy i dziękczynienia”. Bardzo dziwne rzeczy. Na początek chce z kazalnicy uczynić forum dla polityków dzielających jej punkt widzenia odnośnie do bieżących wydarzeń. Już zdążyła rozesłać zaproszenia do

kilku kandydatów w najbliższych wyborach. Jest ambitna i sprytna, zdecydowana nie pozwolić niczemu ani nikomu stanąć na swojej drodze. Straciła wszelkie hamulce, straciła kontakt z rzeczywistością.

- Wróćmy do morderstwa.

Josh ponownie usiadł na krześle, wsunął dłonie między kolana; mówiąc patrzył na nie.

- Mój ojciec był tyranem. Wobec wszystkich odgrywał rolę Boga, a zwłaszcza wobec mnie i Ariel. Szydził z jej skłonności do tycia, aż w końcu zachorowała na bulimię.

- Prasa coś o tym wspominała, mam na myśli bulimię, ale lekarze ze szpitala w Kansas oficjalnie nie potwierdzili pogłosek.

- To prawda. Natomiast jeśli chodzi o dziecko, widzi w nim jedynie wynik jednego z okrutnych żartów ojca.

Mogłoby się wydawać, że ciągle jest pod jego władzą. Myślę, że wiedziała o ciąży na długo przed swym upadkiem, że była wściekła na ojca, bo on za wszelką cenę pragnął dziecka, a ona otwarcie tego pragnienia nie podzielała, że czuła ogromną presję. I myślę, że zabiła go.

Cassidy zdecydował się podjąć chwilowo roli adwokata „diabła”, wytykając Joshowi wszystkie słabe punkty jego zeznania w taki sam sposób, w jaki zrobiłby to dobry adwokat na rozprawie.

- To wszystko nadal jest mało uchwytnie, Josh. Może słyszałeś, żeby Ariel i twój ojciec kłócili się na temat ciąży?

- Nie. O jej ciąży dowiedziałem się dopiero w szpitalu.

- Czy słyszałeś, żeby kiedykolwiek groziła twojemu ojcu śmiercią?

- Nie. Ojciec nie zniósłby tego rodzaju rozmowy.

- Czy twoja macocha posiada broń?

- Nie. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Ale jej brat siedzi w więzieniu.

Cassidy odkrył to podczas wstępnego śledztwa.

- Wiem, że Ariel nie utrzymuje kontaktu z bratem od wielu lat. Nie wymienili ze sobą nawet jednej kartki pocztowej.

Wątpię, aby w ogóle miał możliwość wystarać się dla niej o broń.

Josh wzruszył ramionami.

- Tylko tak głośno pomyślałem. Równie dobrze mogłaby przechowywać broń gdzieś w ukryciu.

- Być może - mruknął Cassidy wymijająco.

- Niech pan pomyśli o tamtych ranach postrzałowych.

Kobieta zachodzi w ciążę. Jest wściekła, bo mężczyzna obarczył ją nie chcianym dzieckiem. Dlatego strzela mu w jądra. Czy to nie trzyma się kupy? Cassidy przymknął jedno oko, jakby oceniał przydatność tej hipotezy.

- Już ci mówiłem, Josh, na razie tylko teoretycznie.

- Myślałem, że będzie pan nieco bardziej podekscytowany.

- Czy Ariel wychodząc od ciebie miała na nogach buty?

- Buty? Nie. Raczej nie. Kochaliśmy się, więc je zdjęła. Nie przypominam sobie, by włożyła je z powrotem.

Dlaczego pan pyta?

- Próbujemy ustalić, skąd w sypialni twojego ojca wzięły się pewne włókna z wykładziny samochodowej. - Zamilkł na moment. - Przebywając tutaj, chyba korzystaliście z jakiegoś samochodu?

- Tak. Właściwie tylko ja korzystałem. Lubię mieć własny środek lokomocji.

- Jeździłeś po Nowym Orleanie?

- Bardzo dużo. Każdego dnia. Wynająłem kabriolet i jeździłem z opuszczonym dachem.

Ta informacja była łatwa do sprawdzenia.

- Czy Ariel towarzyszyła ci kiedykolwiek podczas tych przejażdżek?

- Jeden raz. Może dwa. Czemu...?

- Nadal z nią sypiasz?

- Nie. Już od kilku tygodni.

- Co się stało?

Josh uciekł wzrokiem w bok.

- Nie wiem. Tak ją pochłonęło pełnienie funkcji przywódcy naszej organizacji, że zdawała się nie mieć na to czasu. Albo była zmęczona, albo rozdrażniona. Często wymiotowała i denerwowało ją, że ciągle jej w związku z tym dokuczałem. A teraz, kiedy wiem o dziecku...

- Co?

- Czułbym się nieswojo... W końcu, być może, ona nosi w sobie mojego przyrodniego brata.

Cassidy pochylił się do przodu.

- Nie dostrzegasz w tym pewnej ironii, Josh? Pieprzyłeś żonę swojego ojca, kiedy on żył, i to było w porządku, a teraz, gdy już go nie ma, nagle stałeś się przeczulony na punkcie przyzwoitości.

Josh spuścił głowę. - Taka właśnie jest prawda.

- W porządku. - Cassidy wyprostował się. - Więc założmy na jakiś czas następujący przebieg wypadków: Ariel zostawia cię samego, idzie do swojego apartamentu, zabija twojego ojca z pistoletu, który nie wiadomo jak znalazł się w jej posiadaniu i którego potem nie znaleziono, a następnie wraca do ciebie na drugą rundę w łóżku, słusznie przypuszczając, że posłużysz jej za alibi.

- Dokładnie tak to teraz widzę. Cassidy cmoknął z wrażenia.

- Mam poważny kłopot ze zrozumieniem motywu, dla którego mówisz mi o tym.

- Skłamałem i sumienie nie dawało mi spokoju.

- Sumienie? - powtórzył Cassidy sceptycznie. Josh po raz drugi przełknął zniechęcenie.

- Być może jestem cudzołożnikiem. Przyznaję: przyprawiałem rogi własnemu ojcu. Ale na pewno nie chcę odpowiadać za morderstwo wraz z Ariel. - Przygryzł dolną wargę. - Niech będzie. Chodzi o coś więcej niż tylko o sumienie, panie Cassidy. Chyba pan mi nie uwierzy, ale ja się jej boję.

Cassidy prychnął.

- To prawda. Wcześniej wiedziałem, że jest ambitna i sprytna. Teraz stała się bezlitosna. Podła. Jeżeli coś postanowi, nie patrzy na nic. Usuwa każdego, kto się jej sprzeciwi, nawet gdy chodzi o drobiazgi. Bez zastanowienia. Nie ma mowy o dyskusji. Po prostu wyrzuca i tyle! - wykrzyknął, uderzywszy pięścią w dłoń. - Ktoś taki jest skończony. - Popatrzył na swoje drżące dłonie. - Jakbym miał klapki na oczach. Chyba byłem za bardzo skoncentrowany na ojcu i dlatego nie widziałem, jaka naprawdę jest Ariel. A ona jest w stanie zrobić dokładnie wszystko, by tylko zadbać o swoje interesy. Uważam, że jest nieźrównoważona. Niebezpiecznie nieźrównoważona.

Cassidy patrzył na niego długo i z namysłem, po czym wstał, sygnalizując koniec rozmowy.

- Dziękuję, Josh. - Wyciągnął prawą rękę. Młody mężczyzna potrząsnął nią. Wyglądał na zdziwionego.

- To wszystko? Myślałem, że zasypie mnie pan tysiącem pytań.

- Przyjdzie na to czas później. Na razie zamierzam sam wziąć się do roboty. Ty, póki co, zachowuj się normalnie. Zajmuj się swoimi sprawami jak zwykle. Nie mów ani nie rób niczego, co pozwoliłoby twojej macosze domyślić się, że byłeś u mnie. Niech myśli, że już dawno wyeliminowałem ją z grona

podejrzanych. - Cassidy przybrał poważny wyraz twarzy. - Wiem, że nie będzie ci łatwo.

- Owszem, nie będzie. Od lat wspieraliśmy się z Ariel w trudnych chwilach. Razem łatwiej było nam znosić despotyzm ojca. Choć po jego śmierci już nie potrzebowaliśmy siebie, by, jak wcześniej, dokonywać aktu zemsty. Przyciągała nas do siebie jedynie nienawiść w stosunku do niego. Sądzę, że psychiczne problemy Ariel mają swe źródło w dzieciństwie, które przeżyła w prawdziwym ubóstwie. Wściekam się na nią, ale przede wszystkim boję się jej. Mimo wszystko - dodał ze smutkiem kręcąc głową - nie mógłbym darować jej morderstwa.

- Josh, ze względu na twój długotrwały związek z Ariel muszę cię o coś zapytać: czy byłbyś w stanie zeznawać przeciwko niej w sądzie?

Bez chwili zastanowienia Josh odpowiedział: - Tak.

Ledwie Josh opuścił jego biuro, Cassidy włożył marynarkę i poprawił krawat. Windą wjechał na wyższe piętro, po czym zdecydowanym krokiem ruszył do gabinetu swego przełożonego. Zignorował ostrzeżenie sekretarki, że Crowder jest bardzo zajęty i zakazał sobie przeszkadzać. Wtargnął do środka ze śmiałością, jakiej ostatnio dotkliwie mu brakowało.

- Zanim zaczniesz wydzierać się na mnie, posłuchaj. Myślę, że wiem, kto zabił Jacksona Wilde'a.

Crowder upuścił na biurko wieczne pióro;

- Kto mianowicie?

- Jego syn.

Rozdział XXII

Cassidy prawie dosłownie powtórzył swoją rozmowę z Joshem Wilde'em. Crowder słuchał go bębniąc nerwowo palcami w biurko. Kiedy relacja dobiegła końca, powiedział:

- Jestem w kropce. Twoim zdaniem zabił syn, a on z kolei twierdzi, że wdowa.
- W grę wchodzi urażona ambicja. Jako tchórz, w ten właśnie sposób Josh próbuje wyrównać rachunki.
- Skąd więc wzięło się w nim tyle odwagi, żeby zamordować własnego ojca?
- Został ofiarą w najbardziej sprzyjających dla siebie warunkach. Stary Wilde był nagi, bezbronny, leżał w łóżku, w dodatku prawdopodobnie pogrążony we śnie. Josh dobrze znał nawyki ojca. Wiedział, kiedy zaatakować. Co zresztą dotyczy w równym stopniu Ariel - dodał Cassidy po chwili namysłu. - W każdym razie Josh przestrelił ojcu jądra, aby nas zmylić; abysmy sądzili, że zabiła go kobieta. Nawet wspomniał coś na ten temat podczas dzisiejszej rozmowy.
- W jakim celu Josh mógłby pragnąć jego śmierci? Chodziło o zazdrość?
- Być może. Jeżeli ojcem dziecka jest stary, jak utrzymuje. Chociaż sądzę, że miał znacznie silniejszą motywację.
- Silniejszą niż zazdrość? Pieniądze?
- Pośrednio. Bez wątplenia Josh pragnął zająć miejsce swojego staruszka. Wyobraził sobie, że jest oczywistym kandydatem na pierwsze stanowisko w organizacji. Takie aspiracje nie dziwią u młodego człowieka, który żył w gigantycznym cieniu swojego ojca.
- Jednakże to Ariel przejęła kontrolę.
- Obiema rękami. Josh nadal pozostaje w cieniu. Ale jeśli by nawet abstrahować od tej całej sekty, jest jeszcze element osobistej natury.
- Mianowicie?
- Josh wyznał mi, że Jackson Wilde był tyranem dręczącym ich oboje. Całe dotychczasowe dorosłe życie młody Wilde służył Jacksonowi za kogoś w rodzaju chłopca do bicia. W końcu tego

nie wytrzymał, więc z determinacją zebrał się na odwagę i załatwił tatusia, ale, jak się okazało, tylko po to, by dostać kopa od swojej macochy i zarazem kochanki. Klasyczny przykład frustracji.

- Zamienił jednego despotę na drugiego.

- Właśnie. Żeby uwolnić się od nowego jarzma, stwarza pozory, iż Ariel jest sprawczynią morderstwa. Albo też...

-Naraz przyszła mu do głowy jeszcze inna możliwość. - Albo też razem zdecydowali o pozbyciu się Jacksona. A dopiero potem, z przyczyn, o których już wcześniej wspomniałem, Josh przeobraził się w judasza.

- To również brzmi całkiem prawdopodobnie. Rozmawiałeś o tym z Glennem?

- Nie zdążyłem. Ale Glenn i tak cały czas jest przeświadczony o winie co najmniej jednego z tych dwojga. Zamierza przyjrzeć się im niby przez mikroskop, aż w końcu pozna ich od podszewki. Uważam, że powinniśmy śledzić każdy krok naszej pary.

- Komisarz dostanie sraczki, kiedy poprosisz go o więcej ludzi.

- Dałeś mi czas do końca tygodnia, Tony. Graj uczciwie. Po prostu pomóż. Spotkaj się z komisarzem osobiście. Cassidy wrócił do siebie zupełnie odmieniony. Po raz pierwszy od wielu dni adrenalina zaczęła krążyć w jego żyłach. Nareszcie miał konkretny cel, nowy obiekt ataku. Był zdecydowany nie spocząć, dopóki nie wyczerpie wszystkich możliwości lub samego siebie.

Na początek musiał przeprowadzić szereg rozmów telefonicznych. Pierwszemu rozmówcy Cassidy nie musiał się przedstawiać. Zapytał po prostu:

- W dalszym ciągu karmisz informacjami tego reportera z telewizji?

Prokuratura korzystała z usług tych samych informatorów co media. Posługiwano się nimi, aby przekazać opinii publicznej wiadomości zawierające celowo spreparowane półprawdy czy insynuacje.

- Odbyłem długą, niemal intymną rozmowę z młodym Wil-de'em. Opuścił moje biuro podenerwowany i przygnębiony. Tyle na razie wystarczy - powiedział Cassidy.

Następnie polecił jednemu z urzędników sprawdzić wszystkie wypożyczalnie samochodów w mieście.

- Musisz znaleźć tę, w której wypożyczył samochód Joshua Wilde. Chcę znać markę i model pojazdu, liczbę przejechanych

wówczas kilometrów oraz stan, w jakim się znajdował w chwili zwrotu. Jeśli będzie to chrysler z niebieską wykładziną, natychmiast przekazemy go do zbadania w policyjnym laboratorium. Dziękuję. - Może chłopcom z laboratorium uda się wykryć choć drobinę wyschniętej krwi Jacksona Wilde'a i -bingo! - odnajdzie się wreszcie rzeczywisty podejrzany.

- Trudno sobie wyobrazić łatwiejszą robotę - oświadczył Cassidy kapitanowi policji dowodzącemu grupą inwigilacyjną, o którą wystarał się Crowder u komisarza. - Joshua i Ariel są bardziej widoczni niż męskie dziwki na Bourbon Street. Niemożliwe, abyście stracili ich z oczu.

Wydawszy wszystkie stosowne dyspozycje, Cassidy rozparł się w obrotowym krześle i optymistycznie westchnął. Coś w końcu musiało wypłynąć na powierzchnię. Jakiś wcześniej pominięty lub przeoczony dowód pozwoli wymierzyć oskarżycielski palec nie w Claire, lecz w Josha albo Ariel.

Od powrotu z Rosesharon starał się nie myśleć o Claire, ale na próżno. Ciągle wracał do niej w pamięci - do jej ciała, pieśzcot, do jej gniewnych zarzutów.

Zarzuciła mu kłamstwo i manipulację. Może dawniej korzystał z tych środków. Jako obrońca stosował wszelkie konieczne sposoby, by obalić oskarżenie. Używał teatralnych chwytów, wywoływał łzy, śmiech, pogardę, byle tylko odsunąć od swych klientów groźbę skazania.

Jeśli w ogóle dręczyło go sumienie, potrafił usprawiedliwić swoje postępowanie. Obrona kryminalistów była przecież jego głównym obowiązkiem. Ktoś musiał bronić ich interesów przed sądem i ławą przysięgłych, dlaczego więc nie on? Przecież tylko wykonywał swój zawód - tłumaczył sobie.

A przy tym doskonale wiedział, dlaczego się usprawiedliwia. Można było bronić oskarżonego posługując się godziwymi, moralnie nienagannymi środkami bez potrzeby odwoływania się do trików, których często używał wyłącznie na pokaz.

Spójrzcie na mnie, na Roberta Cassidy'ego, na genialnego chłopaka, który wbrew temu, co sądzicie, wcale nie uczęszczał do ekskluzywnych szkół z Uniwersytetem Harvarda włącznie. Czyż nie zaprezentował się wspaniale jak na kogoś pochodzącego z prowincjonalnego rejonu Kentucky?

Wygrana, a nie sprawiedliwość, była jego ostatecznym celem... aż do tamtej sprawy, którą także wygrał, tylko że stawka okazała się zbyt wysoka. Kiedy Claire zarzuciła mu posługiwanie się kłamstwem i manipulacją, nie wiedziała, jak bliska była prawdy, choć odnosiło się to do przeszłości. Teraz

był zupełnie innym człowiekiem. Oddawał przestępców w ręce sprawiedliwości, sprawiał, że trafiali tam, gdzie nie mogli już więcej szkodzić niewinnym ludziom.

Sprawa, którą obecnie prowadził, nie była żadnym wyjątkiem. Zdobędzie się na odpowiedni dystans, żeby zobaczyć, jak dokonuje się sprawiedliwość, bez względu na to, kogo grupa zwykłych obywateli uzna za winnego zamordowania Jacksona Wilde'a.

Niech Bóg ma go w swojej opiece, jeżeli tą osobą miałyby okazać się Claire Laurent.

Ale tak się nie stanie - przekonywał siebie uparcie. Była niewinna. Kobieta, która potrafiła kochać z takim zapałem, poświęceniem i oddaniem, nie byłaby w stanie zabić z zimną krwią. Sięgnął nie tylko jej ust, dotarł nie tylko do jej piersi i ud, i brzucha, ale także w głąb jej duszy. Gdyby tam była trucizna, musiałyby o tym wiedzieć.

Nie, bynajmniej nie kwestia jej winy lub niewinności zaważyła, że poszedł z nią do łóżka. To było nieuchronne jak wschód i zachód słońca. W chwili, gdy zobaczyli się po raz pierwszy, los ich dwojga został przypieczętowany.

Kiedy tylko sprawa wyjaśni się ostatecznie, natychmiast pojedzie do Claire prosić ją pokornie o wybaczenie za to, że przez niego doświadczyła tylu przykrych chwil. Mimo wszystko nie mogłaby go szanować, gdyby nie traktował swojej funkcji oskarżyciela publicznego poważnie. Wyjaśnił sobie wszystkie nieporozumienia i będą się znowu kochali.

Ta myśl poruszyła go wewnątrz, przywracając poczucie rzeczywistości. Prawdopodobnie Claire wróciła już z Missisipi. Ogarnęła go pokusa, żeby do niej zadzwonić. Zerknął na telefon. Jednak nie. Pewnie jeszcze była na niego zła. Kilka dni spokoju pozwoli jej nieco ochłonać.

Tymczasem należało prowadzić staranne dochodzenie, szukając brakującego elementu, który potwierdzi winę kogoś innego i oczyści Claire.

Bo ona była niewinna.

Claire na widok stosu korespondencji na swoim biurku zmarszczyła brwi. Musiała zapłacić rachunki, uporządkować zamówienia i otworzyć kilka groźnie wyglądających kopert od nieznanых nadawców. Swój brak zapału do papierkowej pracy wytłumaczyła sobie przeżyciami ostatnich dni. W Rosesharon pracowała bardzo ciężko, zgodnie z napiętym harmonogramem sesji i na dodatek w potwornym upale. Przed powrotem do

normalnego rytmu zajęć potrzebowała co najmniej kilku dni zasłużonego odpoczynku. Jednakże zaraz przyszło jej do głowy, że kilkudniowy odpoczynek najprawdopodobniej nie przyniesie rozwiązania problemów, które ją dręczyły.

Porzuciła na razie tę przygnębiającą myśl i z powrotem skierowała uwagę na biurko. Obok poczty leżało ostatnie wydanie lokalnego dziennika. Według anonimowego, lecz wiarygodnego źródła asystent prokuratora okręgowego Cassidy postanowił skoncentrować się w śledztwie na wdowie po zamordowanym kaznodziei oraz na jego synu. Nazwisko prokuratora, wydrukowane grubszą czcionką, przykuło jej wzrok. Patrzyła na nie, aż straciła poczucie czasu. Zapewne długo jeszcze stałaby bez ruchu i wspominała, gdyby w drzwiach nie pojawiła się jej matka z tacą w rękach.

- Claire Louise, masz ochotę na gorącą herbatę? Ostatnio wyglądasz na bardzo zmęczoną, więc pomyślałam, że może to pomogłoby ci nieco się ożywić.

- Dziękuję, mam. Wspaniale, że o mnie pomyślałaś. Ale musisz mi towarzyszyć.

- Po cichu liczyłam, że mnie zaprosisz.

Claire uśmiechnęła się i, wzięwszy ze sobą gazety, ruszyła w kierunku sofy i dwóch foteli, gdzie pierwszy raz przyjmowała Cassidy'ego. Zdawało się, że wszystko, cokolwiek mówi czy robi, przypomina jej o nim. Oburzała ją ta niepożądana moc, która¹ zapanowała nad jej umysłem. Nie zadzwonił ani nie podjął żadnej próby zobaczenia się z nią od tamtego ranka, kiedy bez słowa pożegnania opuścił Rosesharon. Sama nie wiedziała, czy przyjąć to z ulgą, mieć złamane serce, czy też być obrażoną.

Wraz z myślami o Cassidym budziły się wspomnienia związanych z nim doznań; jedne były przyjemne, wręcz błogie, inne - przygnębiające. Czasami uśmiechała się do siebie nieśmiało, by za chwilę niemal wybuchnąć płaczem. Od czasu, gdy pracownicy opieki społecznej wywlekali ją przemocą z domu ciotki Laurel, nikt nie wywoływał w niej tak silnych uczuć.

Mary Catherine postawiła srebrną tacę na niskim stoliku. Podaa Claire lnianą, ręcznie haftowaną serwetę, po czym z porcelanowego czajniczka nalaa do filiżanek aromatycznej herbaty.

Gawędziły o błahych sprawach, sączyły herbatę i przegryzały kruche ciasteczka, które Mary Catherine i Harry upiekły tego ranka. Claire doszła do wniosku, że wyprawa do Missisipi dobrze zrobiła matce. Na policzkach Mary Catherine pojawił

się zdrowy rumieniec, dzięki czemu wyglądała co najmniej o kilka lat młodziej. Jej oczy były żywe i roziskrzone. Zdawała się dużo lepiej orientować, co się wokół niej dzieje. Claire nie dostrzegła żadnych anomalii w jej zachowaniu od czasu pamiętnej historii z wiecznym piórem Cassidy'ego. Jak gdyby czytając w myślach córki, powiedziała:

- Rozumiem, że przeglądałaś już dzisiejszą prasę. Napisali tam, iż pan Cassidy podejrzewa o zabicie Jacksona Wilde'a wdowę albo jego syna. Czyż to nie absurdalne?

- Absurdalne?

- Oni tego nie zrobili. Jestem przekonana, że pan Cassidy też tak myśli.

- Dlaczego uważasz, że oni tego nie zrobili, mamó? Mary Catherine, zamiast odpowiedzieć, spytała:

- A dlaczego ci ludzie znowu protestują przed frontem naszego budynku?

Zwolennicy Wilde'a czuwali pod siedzibą Francuskiego Jedwabiu, odkąd wróciły do miasta.

- Mogliby już sobie pójść - powiedziała rozdrażniona. - Uwielbiam chodzić z Harry na rynek, ale konieczność przedzierania się przez tłum pozbawia mnie całej przyjemności.

W jej pojęciu był to poważniejszy powód do zmartwień niż oskarżanie córki o zamordowanie człowieka. Jednakże Claire bardziej zaniepokoiły wcześniejsze stwierdzenia matki.

- Ta demonstracja jest chwilową niedogodnością, mamó. Kiedy w końcu aresztują kogoś za zabicie wielebnego Wilde'a, przestaną nas niepokoić.

- Czy on kiedykolwiek jeszcze do nas przyjdzie?

- Kto, mamó? - Przez krótką, przerażającą chwilę myślała, że pytanie matki dotyczy Jacksona Wilde'a.

- Pan Cassidy. Odetchnęła z ulgą.

- Nie wiem. Dlaczego pytasz?

Nagle w oczach Mary Catherine pojawiły się łzy. Zaczęła jej drżeć dolna warga.

- A taką miałam nadzieję, że kiedy się zakochasz, twój wybranek nie rozczaruje cię, tak jak mój mnie rozczarował.

Z kieszeni spódnicy wyjęła chusteczkę z monogramem, pachnącą różanymi perfumami, które przechowywała w szufladach ze swoimi rzeczami.

Wycierała oczy, kiedy Claire pochwyciła ją za rękę.

- Nie płacz, mamó. Pan Cassidy i ja nigdy nie... to znaczy... nic poważnego nas nie łączy.

- Och - powiedziała zawiedzionym tonem. - Jaka szkoda. Bardzo go lubię. Jest niezwykle przystojnym młodym mężczyzną, a przy tym wie, jak należy traktować damę.

Owszem, pomyślała Claire, jest niezwykle przystojny. W wyobraźni wywołała żywy obraz jego twarzy ściągniętej namiętnością, ust pieszczących zmysłowo jej piersi, nagiej klatki piersiowej, ciepłej i pokrytej kędzierzawymi włosami. Bez wątplenia wiedział, jak należy traktować damę, zwłaszcza w łóżku. Dostarczał tyle samo przyjemności, ile otrzymywał, a może nawet więcej. Aż trudno uwierzyć, żeby taka perfekcja w miłości była od początku do końca spontaniczna.

Nie chciała o tym myśleć. Zanadto cierpiała. Była beznadziejnie zakochana w Cassidym, z naciskiem na słowo: „beznadziejnie”. Nie mogli mieć przed sobą żadnej wspólnej przyszłości. Nawet gdyby nie byli przeciwnikami w toczącym się śledztwie, i tak ucieleśniałby w jej oczach system, którego bała się i który ją oburzał. O ile kochała Cassidy'ego mężczyznę, o tyle nie wierzyła, iż kiedykolwiek zdoła całkowicie zaufać Cas-sidy'emu w roli prokuratora.

Dla Claire był to konflikt rozdzierający jej serce. Kiedy o nim myślała, paraliżowała ją rozpacz, więc trzymała tę sekretną miłość zamkniętą głęboko w sercu i udawała, że jej tam nie ma.

Przesunęła filiżankę w stronę tacy.

- ' Dolej mi jeszcze trochę herbaty, mamó. Nikt nie parzy jej tak dobrze jak ty. - Claire zmieniła temat rozmowy na bardziej błahy.

Pół godziny później, po wyjściu matki, znowu została sama. Wróciła do gazet.

Joshua.Wilde stanowczo zaprzeczał, jakoby miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią swojego ojca. Z kolei Ariel zarzucała Cassidy'emu nieporadność. Sugerowała, że zostali wciągnięci do sprawy, ponieważ prokurator chce tę nieporadność ukryć, a zarazem osłonić kogoś dużo bardziej podejrzanego. Stanowczo odmawiała odpowiedzi na pytanie, kim jest ów podejrzany, nawet gdy zapytano ją wprost o Claire Laurent. Jej rezerwa jedynie wzmocniła siłę insynuacji.

Claire naturalnie z ulgą przyjęła wiadomość, że straciła pozycję lidera wśród podejrzanych, lecz nie mogła sobie pozwolić na radość. Chwilowo znalazła się w oku cyklonu, więc musiała przeżyć jeszcze drugą, prawdopodobnie gwałtowniejszą część burzy. Jeśli Josh Wilde poczuje się zagrożony, Bóg jeden wie, co przyjdzie mu do głowy powiedzieć, by odsunąć od siebie

niebezpieczeństwo. A wtedy zamiast jednego wroga będzie miała dwóch.

Z rozmyślań wyrwał ją dzwonek telefonu. Nie spieszyła się z podniesieniem słuchawki. Podniosła ją dopiero po trzecim dzwonku. - Halo?

- Claire, to ty?

- André? *Bonsoir*. Jakże miło znowu cię słyszeć. Co u ciebie?

- W porządku, w porządku, wszystko w porządku. Chociaż, szczerze mówiąc... - Zamilkł na chwilę. - Okropnie martwię się

o Yasmine.

Claire całkowicie podzielała jego zatroskanie. Przyjaciółka od dnia zerwania z kochankiem zachowywała się dziwnie. Może to nie rzucało się w oczy, ale coś było nie tak. Z pozoru nic się nie zmieniło. Podczas normalnych godzin pracy w Rosesharon żartowała z obsługą, darła koty z Leonem i ze zwykłą u siebie energią i wyobraźnią współtworzyła każde kolejne zdjęcie do katalogu. Jednakże jej entuzjazm i wybuchy śmiechu wydawały się fałszywe.

Claire oczekiwała, że po skończonej sesji w Missisipi Yasmine będzie towarzyszyła innym w drodze powrotnej do Nowego Jorku, gdzie miano wykonać resztę zdjęć w atelier. Wbrew przypuszczeniom Yasmine wróciła z nią do Nowego Orleanu. Ledwie przekroczyła próg Francuskiego Jedwabiu, przestała zachowywać pozory, stała się nadąsana

310

samotności leczyć złamane serce. Lecz może ta terapia nie była najwłaściwsza, może należało interweniować.

- Kiedy widziałeś ją ostatnio? - zapytała André.

- W ubiegłym tygodniu, kiedy przebywałyście w Missisipi. Przyjechała do naszego hotelu, została w nim gdzieś około godziny, po czym odjechała. Claire, wiesz dobrze, że nigdy nie zdradzam sekretów, ale ponieważ jesteście ze sobą bardzo blisko...

- Nie kwestionuję twojej lojalności, André. Doceniam dyskrecję. Z jednego i z drugiego korzystałam już wielokrotnie. Bądź pewien, że mogę ci odpłacić przede wszystkim tym samym.

- Nie zadzwoniłbym, gdybym myślał inaczej.

- Coś cię do tego skłoniło. Wyczuwam niepokój w twoim głosie. Domyślam się, że rozmawiałeś wtedy z Yasmine, prawda?

Potwierdził. Powtórzył rozmowę z tamtego popołudnia i opisał swoje wrażenie na widok Yasmine opuszczającej hotel.

- Nigdy jej takiej nie widziałem. Była bardzo przybita. Jak ona czuje się teraz?

Claire, mając na względzie prawo Yasmine do prywatności, powiedziała:

- Wydarzyło się wtedy coś, co zupełnie wyprowadziło ją z równowagi. Opowiedziała mi o wszystkim następnego dnia rano. Myślę, że poczuła się lepiej, kiedy wyrzuciła to z siebie.

- Wróciła do Nowego Jorku?

- Nie, została. Prawdopodobnie dlatego, że tutaj jest spokojniej; życie toczy się jakby wolniej. Myślę, że przed powrotem do domu chce uporządkować swoje sprawy, dojść ze sobą do ładu.

W tym mieście mieszka Alister Petrie - pomyślała Claire, przypomniawszy sobie o jego zdjęciu z pierwszej strony porannej gazety. Jednakże nie zdradziła nazwiska kongresmana wobec André. Jeśli André je znał, i tak nie wymieniłby go w trakcie rozmowy, zachowując charakterystyczną dla siebie dyskrecję. Zatem nie uczyniła tego również. Nie chciała narażać przyjaciela na ryzyko kompromitacji.

- Jak myślisz, doszła już do siebie po tych... nieprzyjemnościach? - zapytał.

To było trudne pytanie. Chociaż mieszkały pod jednym dachem, Claire dzielił od Yasmine większy dystans niż wtedy, kiedy Yasmine była w Nowym Jorku i kilka razy w tygodniu łączyła się z nią telefonicznie na dłuższą pogawędkę. Odpowiedziała wymijająco:

- Nie wydaje się, aby było z nią gorzej.

- W takim razie mogę odetchnąć z ulgą - powiedział. Roześmiał się nieśmiało. - Chyba nie jest dla ciebie tajemnicą, że Yasmine cieszy się u mnie najwyższymi względami.

- Nie, nie jest. - Uśmiechnęła się, by za moment znowu zmarszczyć brwi. - Może za długo pozwoliłam jej dryfować. Chyba po raz drugi będę musiała porozmawiać z nią jak kobieta z kobietą.

- Daj mi znać, proszę, jeśli byłbym w czymś pomocny.

- Dobrze.

- Claire, czy ty... czy ty nie gniewasz się na mnie? Ta sprawa z Cassidym...

- Zapomnij o tym, André. Proszę. Zostałeś bez skrupułów nabrany. Ja również - dodała ciszej. - Przestań się gryźć. Zapewniła go, że postępek Cassidy'ego nie wpłynął na ich wieloletnią przyjaźń. Umówiła się z nim na obiad, pożegnała i odłożyła słuchawkę tylko po to, by zaraz sięgnąć po nią ponownie. Cassidy podszedł do tajnego agenta policji, którego wyznaczono do śledzenia młodego Wilde'a. Jako nieznajomy poprosił „nieznajomego” o ogień.

- Nie wiedziałem, że palisz - powiedział szeptem policjant. Wyciągnął z kieszeni zapalniczkę. Małeńki płomyk wystrzelił z niej jak z miniaturowego miotacza ognia.

- Rzuciłem kilka lat temu - odrzekł Cassidy, krztusząc się dymem.

- I zacząłeś znowu?

- Posłuchaj: prosiłem cię tylko o ogień, w porządku? O co jeszcze mógłbym cię zapytać... może czy dajesz dupy? Szczupły czarny policjant uśmiechnął się. Jego długie włosy były splecione w warkocz i na końcu przytrzymane ściągniętą mocno gumką.

- Jestem drogi. Stać cię na mnie? Cassidy porzucił uprzejmość.

- Pierdolę cię.

- Mmmm, na samą myśl robi mi się gorąco.

Młody policjant najwidoczniej zabawiał się jego kosztem. Facet był wysoki, szczupły, przystojny, więc często pełnił służbę w tym rejonie francuskiej dzielnicy, przyzwyczajając otoczenie do swojego wyglądu. Z wystudiowaną nonszalancją stał oparty o uliczną lampę gazową na St. Peter Street. Przez mikrofon ukryty pod klapą błyszczącej marynarki przekazał do stanowi-

ska kontroli informację, że odprowadził Josha do restauracji. Cassidy, zbyt podekscytowany, żeby wysiedzieć w swoim biurze albo mieszkaniu, postanowił osobiście wziąć udział w akcji.

- Jak długo już tam siedzi?

Policjant zerknął na tarczę swego podrobionego rolexa.

- Trzydzieści dwie minuty.

- Je obiad?

- Na to wygląda.

- Ile czasu potrzebuje samotny człowiek na zjedzenie obiadu?

Utrzymując się w roli, policjant otaksował Cassidy'ego niby męska prostytutka przyszłego klienta. Z charakterystycznym, śpiewnym akcentem powiedział:

- Człowieku, za mocno ściskasz dupę. Jeżeli chcesz mieć choć trochę przyjemności, musisz się odprężyć.

Cassidy zmiażdżył go spojrzeniem. Właśnie zamierzał odejść, kiedy na końcu alejki prowadzącej do drzwi restauracji ukazał się Josh. Cassidy czym prędzej odwrócił się plecami i udawał, że chce kupić bawełnianą koszulkę wiszącą na drzwiach do sklepu z pamiątkami. Obejrząwszy się przez ramię, dostrzegł ściągniętą gniewem twarz Josha.

- Nie ma co - szepnął policjant. - Nasz gość jest nieźle pod-kurwiony.

Cassidy myślał przy tym, co działo się za jego plecami, ale jeszcze raz udał zainteresowanego bawełnianą koszulką z prostackim w treści, błyszczącym napisem. Zbliżył się sprzedawca, uśmiechnięty Azjata. Zbył go krótkim: - Dziękuję, ja tylko oglądam.

- Powinienem być się domyślić - mruknął tajniak - że jedynie jakaś cizia może doprowadzić faceta do takiego stanu.

- Cizia? - Cassidy zerknął w kierunku restauracji, po czym prawie natychmiast szarpnął głową z powrotem. - Do kurwy nędzy! - zawołał z łagodną, ale wyraźną emfazą.

- Co proszę? - zapytał uśmiechnięty Azjata. Policjant roześmiał się cicho.

Kobieta, która wyszła wraz z Joshem z restauracji, nie rozglądała się. Powiedziała coś do niego, a następnie odwróciła się i zaczęła iść chodnikiem. Josh sprawiał wrażenie, jakby chciał pobiec za nią, ale najwidoczniej zdołał się ostatecznie opanować. Jego długie, palce pianisty zacisnęły się w pięści. Z miną obrażonego proroka wykonał wreszcie w tył zwrot i odmaszerował w przeciwnym kierunku.

Cassidy wrzucił niedopałek papierosa do kratki ściekowej, a potem utkwiał ciężki wzrok w policjancie.

- Czy przypadkiem nie wspomniałeś, że on był sam?

- Człowieku, psujesz mi reputację. - Uśmiechnął się i położył dłonie na ramionach Cassidy'ego. Z rozmarzonymi oczami, z kuszącym uśmiechem zagruchał: - Przyszedł tutaj sam. Na pewno spotkał się z tą laleczką w środku.

- Idź za nim. - Cassidy pokazał podbródkiem na Josha, który właśnie dochodził do skrzyżowania z Royal Street.

- Ty zajmiesz się damą?

- To nie jest dama - powiedział Cassidy, schodząc z krawężnika. - To jest Claire Laurent.

Rozdział XXIII

Claire stanęła jak wryta, kiedy minąwszy narożnik budynku, ujrzała Cassidy'ego stojącego przed drzwiami do Francuskiego Jedwabiu. Nie widzieli się od momentu, gdy wybiegł urażony z jej sypialni w Rosesharon. Teraz, choć serce biło jej mocniej i szybciej niż zwykle, starała się nie okazać żadnych emocji, zachować pozorną obojętność.

- Cześć, Cassidy.

- Claire. - Skinął głową. - Miły wieczór, prawda? - Pocił się. I jego spokój wydawał się pozorny.

- Jak na tę porę roku jest nadzwyczaj ciepło. Jesień jeszcze nie zawitała do Nowego Orleanu.

Roztarł kroplę potu, która znalazła drogę między jego gęstymi brwiami i toczyła się w kierunku oka.

- Cholerna racja. Powietrze jest tak gorące i wilgotne jak tania kurwa w sobotnią noc.

Claire nasrożyła się.

- Nie jestem zachwycona pańskim grubiańskim porównaniem, panie Cassidy.

- Och, a więc znowu jesteśmy na stopie oficjalnej. Zapraǳnęła zgasić przymilny uśmiech, który przed chwilą zapalił się na jego twarzy. Powiedziała oschle:

- Idę do domu.

Demonstrancrsmaszerowali tam i z powrotem przed frontem budynku. Monotonnie śpiewali swój hymn „Naprzód, rycerze Chrystusa”. Claire miała nadzieję, że w końcu zmęczą się albo chociaż dostaną pęcherzy na stopach.

Nie zauważona wślizgnęła się do środka bocznymi drzwiami. Zanim zdążyła je zamknąć, Cassidy wszedł za nią.

- Czego chcesz? - zapytała opryskliwie. - Zdaje się, że wyczerpaliśmy temat pogody.

- Właśnie przechodziłem - odrzekł swobodnie - więc pomyślałem sobie, że nie od rzeczy będzie zajrzeć do ciebie.

Jego pierś unosiła się i opadała w przyspieszonym rytmie. Zauważyła to. Jeszcze nie wyrównał oddechu. Koszula pod marynarką była wilgotna od potu.

- W pełni doceniam ten przyjacielski gest - powiedziała. - A teraz, skoro to sobie wyjaśniliśmy...
 - Może dałabyś się zaprosić gdzieś na kolację?
 - Nie, dziękuję. Jadłam wcześniej z mamą.
 - Aha, więc dzisiaj już jadłaś kolację?
 - Zgadza się.
 - A później wyszłaś sobie na wieczorną przechadzkę?
 - Wiele godzin pracowałam przy biurku. Chciałam rozprostować nogi.
 - Miałaś jakiś określony cel?
 - Nie. Po prostu spacerowałam. - Wyciągnęła rękę w kierunku drzwi. - Wybacz, Cassidy, ale powinnam iść na górę zobaczyć, co z mamą. Musiałam zostawić ją samą na ca...
- Cassidy chwycił ją za ramiona i przyparł do ściany.
- Zostawiłaś ją samą, ponieważ poszłaś do „Gumbo Shop” na randkę z Joshem Wilde'em.
- Powoli zaczęło do niej docierać, że dała się złapać w potrzask, ale nadal była przede wszystkim zdziwiona. Szukała gorączkowo jakiegoś logicznego wytłumaczenia, lecz na próżno. Wreszcie, zamiast się bronić, postanowiła sama zaatakować. - Śledziłeś mnie? Te historyjki w gazetach miały uspić moją czujność?
- Ty nie jesteś śledzona. Obserwujemy Josha. Wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy okazało się, że poszedł na spotkanie z tobą.
 - Jeżeli więc wiedziałeś, gdzie byłam i z kim, po co bawisz się w chowanego, Cassidy?
 - Pobiegłem inną drogą. Chciałem przekonać się, czy będziesz ze mną szczerą. Jednak kłamałaś... jak zwykle.
 - Ponieważ wiedziałam, że nawet nie będziesz próbował mnie zrozumieć.
 - Powinnaś wiedzieć, że nie przełknę więcej ani jednego twojego kłamstwa. - Nachylił się i ściszył głos. - Ale nigdy nie zaryzykowałaś, Claire. Nie dałaś mi szansy. Postaraj się chociaż raz. Kiedy poznałaś młodego Wilde'a?
 - Dzisiaj.
 - I ja mam w to uwierzyć?
 - Przysięgam! Z trudem udało mi się ustalić jego adres w Nowym Orleanie. Wykonałam mnóstwo telefonów. Poprosiłam go, żeby spotkał się ze mną, a on się zgodził.
 - Dlaczego?
 - Prawdopodobnie był ciekawy spotkania ze skandalizującą właścicielką Francuskiego Jedwabiu.

Cassidy pokręcił głową.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego tobie zależało na tym spotkaniu. Co wy we dwójkę mogliście mieć do omówienia?

- Zaoferowałam mu pieniądze.

- Pieniądze? - zapytał zdumiony.

- Tak. W zamian za jego wpływ na Ariel. Prosiłam go, aby przekonał macochę, że nie powinna kierować zarzutów pod adresem moim i mojej matki. Żeby odwiódł ją od tych bezsensownych demonstracji i w ogóle wszystkich wrogich kroków. Powiedziałam mu, że pragnę żyć i pracować w spokoju i nieważna jest dla mnie suma, jaką przyjdzie mi za to zapłacić. - Próbowałaś go przekupić?

- Za blisko stoisz - mruknęła. - Nie mam czym oddychać. Cassidy zamrugał, a jego wzrok, dotąd utkwiony badawczo w jej oczach, powędrował w dół. Dłonie miał tak silnie zaciśnięte na jej ramionach, że zbieleły mu kostki. Opuścił ręce wzdłuż boków.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

- Nie dziękuj. Jeszcze nie dostałaś rozgrzeszenia. Kontynuuj.

- Niewiele mam do dodania. Wiem, że Jackson brał pieniądze od niektórych wydawców w zamian za nietykalność, za coś w rodzaju immunitetu. Prawdopodobnie Ariel i Josh również.

- Skąd się o tym dowiedziałaś?

- Tylko to ma sens, sam musisz przyznać. Są publikacje, które powinny znaleźć się na czarnej liście Wilde'a, a jednak tam się nie znalazły. Co powiesz o „Lickety Split” albo o „Hot Pants”? Dlaczego katalog reklamujący bieliznę stał się dla Jacksona Wilde'a celem ataków, a te dwa magazyny pornograficzne nie? Ponieważ ktoś postarał się, aby kaznodzieja zostawił je w spokoju. - Zerknęła na Cassidy'ego. - Sądząc po twojej minie, chyba już wcześniej o tym pomyślałaś.

- Owszem, moi ludzie pracują nad tym. Co miał do powiedzenia Josh?

- Nie potwierdził, że jego ojciec przyjmował łapówki, ale też nie zaprzeczył.

- Dlaczego dopiero teraz zdecydowałaś się na rozwiązanie problemu za pomocą pieniędzy? Mogłaś przecież zapłacić Jacksonowi, powiedzmy, rok temu i oszczędzić sobie tych wszystkich kłopotów. A może próbowałaś?

- Nie. Z wyjątkiem drobnej ofiary, o której wiesz.

- Czemu więc teraz, Claire?

- Bo mam tego dosyć! - wykrzyknęła. - A ty na moim miejscu nie miałbyś? Sądząc z napisów na transparentach

można by pomyśleć, że jestem jakąś współczesną Jezabel. Moja matka to czyta i Bóg jeden wie, co przeżywa. Ludzie, którzy tu demonstrują, niepokoją moje pracownice i blokują drogę. Mamy kłopoty z odbiorem dostaw i wysyłką towarów. Jedna z firm transportowych już zagroziła, że podniesie ceny usług, ponieważ kierowcy nie chcą tutaj przyjeżdżać. Na kilka miesięcy przed swoją śmiercią Jackson Wilde dał mi się porządnie we znaki. Dzisiaj, kiedy nie żyje już od kilku dobrych tygodni, mam wrażenie, że nic się nie zmieniło. Jego upiorne widmo jest ciągle obecne w moim życiu. Chcę, żeby w końcu raz na zawsze przestał mnie dręczyć.

Natychmiast uświadomiła sobie, jak niefortunnie dobrała słowa. Szybko zerknęła na Cassidy'ego, który przyglądał się jej badawczo.

- Ponieważ zamordowanie go jednak nie do końca załatwiło problem.

- Tego nie powiedziałam.

- Czyżbym szukał w niewłaściwym kierunku, Claire? Może to ty i Josh jesteście poplecznikami, a nie on i jego macocha? - Nie bądź śmieszny. Nigdy wcześniej nie widziałam się z Joshem Wilde'em. Pierwszy raz dzisiaj.

- Kłamiesz, Claire.

- Nie kłamię!

Cassidy zaśmiał się ponuro. Odszedł kilka kroków, odwrócił głowę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w stos równo ułożonych drewnianych palet, by następnie znowu utkwic wzrok w Claire.

- Okaż mi nieco zaufania. Teraz znam cię znacznie lepiej niż dawniej.

Na oboje spłynęło wspomnienie pełnej napiętości nocy podczas burzy w Rosesharon. Tę chwilę przerwała Claire.

- Nie kłamię. Spotkałam się dzisiaj wieczorem z młodym Wilde'em i zaoferowałam mu czek w zamian za spokój.

- Być może. Ale powiedz wreszcie, co przede mną ukrywasz?

- Nic.

- Claire!

- Nic!

Cassidy zaklął pod nosem.

- W porządku, dam się nabrać. Jak Josh zareagował?

- Rozzłościł się.

- Odrzucił twoją ofertę? - zapytał z niedowierzaniem.

- Kategoriecznie. Powiedział, że nie jest szantażystą. - Podniosła głowę. - Wierzę mu.

- Fatalnie, bo ja jednak nie kupię tego gówna, które próbujesz mi wcisnąć. Zaoferowałaś Joshowi łapówkę, a on jej nie przyjął. I ja mam w to uwierzyć?

- To twoja sprawa.

- Zastanów się, Claire. Uważam, że ukrywasz prawdziwy powód, dla którego umówiłaś się na spotkanie z Joshem.

- A twoim zdaniem jaki był prawdziwy powód?

- Nie wiem, ale nie mogę pogodzić się z myślą, że zaproponowałaś komuś łapówkę. Po pierwsze, jesteś zbyt dumna. Po drugie, nie przejmujesz się tym, co inni o tobie sądzą. Po trzecie, sama mówiłaś, że Wilde podkreca ci koniunkturę. Wreszcie jeszcze trudniej mi uwierzyć, że Josh nie dał się przekupić. Z jakiegokolwiek strony by na to spojrzeć, wygląda to podejrzanie jak wszyscy diabli.

- Nigdy nie dajesz za wygraną?

- Nigdy. Nie mogę. Płacę mi, żebym się nie poddawał.

- Ale chyba będziesz musiał. Ktoś cię zastąpi. Wpływowi ludzie żądają twojej głowy. Nawet twój mentor, Anthony Crowder, nie zdoła cię obronić.

- Do czego zmierzasz? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

- Próbujesz stworzyć coś z niczego. Jesteś teraz równie daleki od zakończenia tej sprawy jak dzień po morderstwie.

- Skąd ta pewność?

- Pewna jestem przynajmniej jednego. Jacksona Wilde'a nie zamordował jego syn.

- W razie czego mam zawsze ciebie w rezerwie, nieprawdaż, Claire?

Szarpnął klamkę, otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz bez słowa pożegnania.

- Na miłość boską, niech pan idzie i zostawi mnie w spokoju.

- Otwórz.

Drzwi hotelowego pokoju zamknęły się na chwilę, szcęknął opadający łańcuch, po czym w progu pojawił się Josh.

- Późno już - mruknął.

Cassidy wszedł wolnym krokiem do środka i rozejrzył się dookoła. Łóżko nadal było zasłane.

- Nie poszedłeś jeszcze spać. Coś mi się wydaje, że nie będziesz spał dzisiaj dobrze. Ja nie będę na pewno.

Josh opadł bezwładnie na jeden z dwóch foteli. Ruchem dłoni zachęcił prokuratora do zajęcia miejsca w drugim, bliźniaczym.

- Jest pan łajdakiem, panie Cassidy. Udałem się do pana z

własnej, nieprzymuszonej woli; z duszą na ramieniu. Powiedziałem panu wszystko, co błędnie uznałem za ważną, ale poufną informację. Następnego dnia dowiaduję się, że zrobiono z tego wiadomość na pierwszej stronie gazet. Ariel dostała małego rozumu i już ze mną nie rozmawia. Od tamtej pory historia „Judasza Iskarioty z Nashville” stanowi temat przewodni „Godziny modlitwy i dziękczynienia”. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby na serio oczekiwała, że pójdę się powiesić.

- Ale kiedy cię wyrzuciła, zapewne czułeś się, jakbyś dostał pięścią między oczy.

Zachichotał.

- Wręcz przeciwnie. Nie wiem, czy kiedykolwiek spotkało mnie w życiu coś lepszego. Pan mi nie uwierzy, lecz naprawdę, przysięgam, mam wrażenie, że nigdy nie byłem bardziej wolny.

- Zabawne. Nie wyglądasz na faceta, który chwycił szczęście za nogi - zauważył Cassidy. - Wyglądasz, jakbyś dopiero co wynurzył się z beczki pełnej gówna.

- Mogę panu za to podziękować. W ostatnich wydaniach gazet niedwuznacznie daje się do zrozumienia, że mogę stać się ponownie podejrzanym.

- Według definicji, Josh, podejrzanym jest ten, kto zachowuje się podejrzanie.

Josh z miną niewiniątka wzruszył ramionami. "

- Co na przykład robi?

- Na przykład próbuje rzucić podejrzenia na swoją macochę kochankę.

- Nie miałem złych intencji.

- Ruszyło cię sumienie? - zapytał Cassidy złośliwie.

- Mówiłem już. Nie chciałem pograć się wraz z nią.

- W porządku. Wyjaśnij mi teraz, czemu spotkałeś się dzisiaj wieczorem z Claire Laurent.

Zmrużył oczy.

- Skąd pan się dowiedział? Byłem śledzony?

- Osobiście widziałem, jak wychodziłeś z restauracji „Gumbo Shop”.

- Akurat przechodził pan przypadkiem, jak się domyślam? -zakpił.

- Odpowiedz na pytanie.

- Nie ja byłem inicjatorem tego spotkania. Ona zadzwoniła do mnie.

- Ty i właścicielka Francuskiego Jedwabiu nie bardzo do siebie pasujecie.

Josh wstał z fotela i zaczął niespokojnie spacerować tam i z powrotem wzdłuż pokoju. Ruchy miał nieskoordynowane. - O mało co nie upuściłem słuchawki, kiedy przedstawiła się przez telefon.

- Nigdy wcześniej jej nie spotkałeś?

- Do licha, nie. Wszystkiego mógłbym się spodziewać, ale nie tego, że zadzwoni do mnie i zapyta, czy nie miałbym ochoty na drinka w jej towarzystwie.

Albo kłamał, jak Claire, albo przynajmniej nie mówił prawdy. Należało to jakoś sprawdzić.

- Kobieta ma wygląd pierwsza klasa.

- Nie przeczę - odrzekł ostrożnie Josh.

- Wydawałeś się w kiepskim nastroju, gdy wychodziłeś z restauracji.

- Byłem w kiepskim nastroju.

- Przestańmy w końcu tańczyć wokół tego. Powiedz, czego od ciebie chciała, Josh.

- To nie miało nic wspólnego z zamordowaniem mojego ojca.

- Pozwól, że sam rozstrzygnę.

Najwyraźniej zmagał się ze sobą, zanim zaczął mówić.

- Chciała podarować mi czek na dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, a my w rewanżu mielibyśmy odwołać naszą sforę. Cassidy gwizdnął.

- Nadzwyczaj korzystna cena za zakończenie demonstracji.

- Chodziło o wszystko razem. O pikietowanie, o pogróżki telefoniczne, o wypowiedzi Ariel dla prasy i tak dalej.

Panna Laurent chce położyć temu kres. Nie mogę powiedzieć, że jej nie rozumiem.

- I co w końcu jej powiedziałaś?

- Żeby odpieprzyła się ode mnie. Ona oczywiście nie wie, że nie mam na Ariel najmniejszego wpływu. Odkąd ojciec nie żyje, moja macocha bardziej niż mnie potrzebuje świateł reflektorów i kamer telewizyjnych. Nie mógłbym założyć jej kagańca, nawet gdybym się bardzo starał.

- Odrzuciłeś propozycję Claire?

- Przedarłem czek na pół i symbolicznie cisnąłem go jej w twarz. Oświadczyłem, że nigdy nie miałem nic wspólnego z podejrzanymi operacjami organizacji. Że nie miałem i że nie będę miał. Gram - grałem - po prostu na fortepianie. Niczego więcej nigdy nie pragnąłem. Nie nadaję się do uprawiania polityki. Nie próbowałem zjednywać wrogów mojego ojca. Pod tym względem, zresztą prawie pod każdym względem, dosko-

nale radził sobie beze mnie. Jeżeli przyjmował łapówki, jego sprawa. Ja nie chcę być w to wmieszany.

- Straciłeś pracę. Przecież mogłeś powiedzieć jej, co pragnęła usłyszeć, wziąć czek i w drodze do banku skwitować wszystko śmiechem.

Josh spojrział na niego wrogo, wręcz nienawistnie.

- Jest pan zepsuty do szpiku kości. Niech pan stąd wyjdzie, Cassidy.

- Nie tak szybko. Siedziałeś tam ponad pół godziny. Musieliście jeszcze o czymś rozmawiać.

- Były długie chwile krępującej ciszy.

- Daj spokój!

- Mówię najzupełniej poważnie. Kiedy już przeszła do rzeczy, reszta była jedynie kwestią kilku minut. Rozdarty czek schowała do portfela, a na stole położyła pieniądze za nasze drinki. Gdy oboje wyszliśmy z restauracji, pożegnała się. To wszystko.

- Przystanąłeś na chodniku, jakbyś wahał się, czy nie pójść za nią.

Odgarnął z czoła kosmyk włosów.

- Nie przypominam sobie.

- Za to ja pamiętam doskonale. - Cassidy pochylił się do przodu. - Może pomyślałeś, żeby jednak wziąć te pieniądze?

- Nie. Nie jestem mordercą i nie jestem złodziejem. Cassidy miał ochotę pochwycić go za kołnierz koszuli i mocno potrząsnąć.

- Jest coś, czego mi nie powiedziałeś, Josh. Mam dosyć cackania się z tobą. Co ukrywasz?

Rozdział XXIV

- Ona...

- Co? - nalegał Cassidy.

- Nie wiem. - Twarz Josha wykrzywiła się w grymasie frustracji. - Jeżeli patrzyłem za nią, to nie tylko dlatego, że mnie zdenerwowała, ale również dlatego, że byłem zaintrygowany.

- Czym?

- Jej zachowaniem. Jakaś aura, którą wokół siebie roztaczała. Pan rozumie?

- Nie, nie rozumiem. Zechciej mi wytłumaczyć.

- Nie bardzo wiem, czy potrafię.

- Spróbuj.

- Miałem wrażenie, że przenika mnie wzrokiem na wskroś - wykrzyknął - a jednocześnie ja patrzę na nią niby przez zasłonę. Używaliśmy tego samego języka, ale słowa mówiły co innego niż jej oczy. Nigdy nie zetknąłem się z czymś tak dziwnym.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

W rzeczywistości wiedział dokładnie, o czym mówił Josh. Z wyjątkiem tych chwil, kiedy Claire wyrażała swoje namiętności swobodnie i otwarcie, sam, ilekroć z nią był, czuł się całkowicie zdemaskowany, w pewnym sensie nawet bezbronny. Jej zaś najbardziej wewnętrzna istota pozostawała zawsze ukryta.

- Wiedziałem, że nie zechce mi pan uwierzyć - wymamrotał Josh. - Dlatego z własnej woli nie chciałem zaczynać.

Mając nadzieję, że wyciągnie więcej informacji z zakłopotanego mężczyzny, Cassidy skłamał:

- Myślę, że naopowiadałeś mi masę bzdur, żebym zboczył z właściwej drogi.

Josh zaklął i uczynił gest, jak gdyby próbował znaleźć właściwe słowa dla wyrażenia swoich myśli.

- Nigdy wcześniej nie widziałem tej kobiety twarzą w twarz, ale wydawało mi się, że ją znam. Albo, co bliższe prawdy, że ona mnie zna. Zresztą sam już nie wiem. Do ojca ciągle przychodzili jacyś ludzie. Być może natknąłem się na nią kiedyś i jej obraz przechowała moja podświadomość. - Zatrzymał się nagle i gwałtownie odwrócił do Cassidy'ego. - Właśnie przyszło mi

coś do głowy. Może Claire Laurent zastosowała tę samą taktykę w stosunku do mojego ojca i załatwiła go, kiedy odmówił przyjęcia od niej łapówki. Pomyślał pan o tym?

Cassidy nie odpowiedział. Wstał i ruszył w kierunku drzwi, przy których przystanął. Groźnym tonem oświadczył:

- Josh, jeżeli dowiem się, że mnie oszukałeś, wrócę i uszkodzę cię cieleśnie. Potem przeciągnę ci dolną wargę przez głowę, naciągnę wzdłuż pleców, aż w końcu wsadzę ci ją w dupę. - Wycelował w niego wskazującym palcem. - Teraz zapytam jeszcze raz: czy kiedykolwiek poza dzisiejszym wieczorem widziałeś się z Claire Laurent?

Josh przełknął ciężko.

- Nie. Przysięgam. Na grób mojej matki.

Cassidy zostawił Claire w fatalnym nastroju. Zamknęła za nim drzwi, a potem długo jeszcze stała przy wejściu do Francuskiego Jedwabiu wsparta głową o chłodny metal. Liczyła, że jej spotkanie z Joshem odbędzie się w absolutnej tajemnicy. Od teraz musiała być podwójnie ostrożna. Drugi raz nie popełni tego samego błędu. Nie wolno było lekceważyć możliwości Cassidy'ego. Miał nad nią znaczną przewagę. Prawdopodobnie wyznaczył kogoś, by ją śledził przez całą dobę.

Ta myśl wytrącała ją z równowagi z wielu różnych powodów. Po pierwsze, zadawano gwałt jej prawu do prywatności. Po drugie, nie licząc nowych elementów śledztwa, ona i wszyscy w jakiś sposób związani z Francuskim Jedwabiem nadal byli podejrzani. Najbardziej przykre było to, że mężczyzna, z którym przeżyła intymne chwile pełne czułości i uniesień, niszczył teraz wszystko, bez pardonowo korzystając ze swojej władzy.

To tak jakby ktoś niewrażliwy i beztroski wdeptał w błoto kwiaty wypielegnowane na grządce. Kwiaty nadal pozostają kwiatami, ale ich piękno bezpowrotnie traci swój blask.

Przygnębiona ponurymi myślami, minęła frontowe drzwi i poszła w kierunku windy towarowej. Stała na miejscu akurat w momencie, kiedy winda dojeżdżała na parter, a za stalową kratą ukazała się Yasmine.

- Cześć - powiedziała do niej sztucznie pogodnym tonem. Niestety widok przyjaciółki nie poprawił jej humoru. - Znowu wychodzisz?

- Tak. Na chwilę.

- Mogłabym dotrzymać ci towarzystwa? Zapowiada się przyjemny wieczór. Poproszę Harry, żeby posiedziała z mamą.

324

Ale Yasmine już kręciła głową.

- Przykro mi, Claire, mam inne plany.

Claire dzielnie usiłowała zatrzymać uśmiech w kącikach ust.

- Miło widzieć cię znowu w ruchu. Już zaczynałam się o ciebie martwić.

- Niepotrzebnie. W końcu na wszystko znajdzie się jakaś rada.

- Wiedziałam, że jakoś to będzie. Jeżeli masz ochotę, weź mój samochód.

- Nie, dziękuję. Wezmę taksówkę.

Claire nie zapytała, dokąd idzie ani jakie są jej plany. Strój Yasmine nie dawał żadnej wskazówki. Modelka miała na sobie klasyczną, prostą w kroju jedwabną sukienkę. Materiał w kolorze melona nadawał jej cerze i hebanowym włosom szczególny odcień. W uszach kołysały się duże złote dyski, a wokół szczupłych nadgarstków połyskiwały bransoletki. Wyglądała wyjątkowo pięknie i Claire powiedziała jej to.

- Dziękuję. Zależało mi, żeby dzisiaj ładnie wyglądać.

- Zawsze wyglądasz ładnie, nawet kiedy przeżywasz trudne dni. - Działając pod wpływem impulsu, Claire objęła ją. Yasmine odwzajemniła uścisk.

- Dziękuję ci za wszystko.

- Nie dziękuj. Wiem, przez co przeszedłaś.

- Ale pozostałaś moją przyjaciółką, choć każdy inny na twoim miejscu położyłby na mnie krzyżyk.

- To nie ja. Bądź pewna. - Jeszcze raz przyciągnęła ją mocno do siebie. - Uważaj na siebie.

- Przecież mnie znasz, kotku. - Kiedy się rozłączyły, Yasmine mrugnęła i klasnęła językiem. - Yasmine zawsze górą.

Claire roześmiała się. Jej przyjaciółka zachowywała się jak za swoich najlepszych dni. Czyżby Alister Petrie wezwał ją do pojednania? Czy dlatego specjalnie zadbała o ładny wygląd?

- Czy powinnam się martwić, gdy nie będziesz długo wracała?

- Nie. Nie czekaj na mnie. Trzymaj się, na razie. Wychodząc włączę alarm.

- Dziękuję. Cześć.

Od drzwi Yasmine pomachała jeszcze beztrąsko ręką. Nawet z tej odległości Claire słyszała brzęk bransoletek.

Na górze zajrzała do pokoju matki. Mary Catherine spała spokojnie. Zamykała drzwi od jej sypialni, kiedy poczuła zapach dymu.

Podczas renowacji budynku kazała zainstalować najnowo-

czesniejszy system zraszający oraz detektory dymu. Chciała zadbać o bezpieczeństwo ludzi, zdawała sobie poza tym sprawę, że w razie pożaru straty w towarach byłyby znacznie kosztowniejsze niż montaż urządzeń zabezpieczających. Jednakże wszystkie te środki bezpieczeństwa nie uwolniły jej od paranoicznych wręcz obaw związanych z ogniem.

Smużka nikłego zapachu zaprowadziła ją do sypialni Yasmine. Ostatnio nie bywała tu, ale dawniej, przed zerwaniem z Alisterem, Yasmine rzadko zamykała drzwi na klucz. Claire nie wahała się otworzyć je teraz i sprawdzić, co jest źródłem dymu.

Ledwie przekroczyła próg, stanęła zaszokowana. Zakrywszy bezwiednie dłonią usta i nos, ruszyła ostrożnie w kierunku prowizorycznego ołtarza zrobionego ze zwykłego stolika nocnego.

Wzdłuż brzegów ołtarza stały skwierczące i dymiące świece. Środek zasypany był ziołami skropionymi aromatycznymi olejkami. To właśnie one wydzielały część rytualnych zapachów wypełniających pokój. Ale tylko część.

W centrum ołtarza stała chropowata gliniana misa napełniona czymś, co wyglądało na wnętrzności jakiegoś małego zwierzęcia. W swoim czasie poszczególne organy zapewne były do rozróżnienia, teraz jednak stanowiły jednolitą krwawą miazgę. Jej woń wywołała w Claire gwałtowny skurcz żołądka.

Odsączona krew tworzyła na powierzchni stolika jakieś symboliczne wzory. Podobizna Alistera Petriego - kukielka, którą Yasmine pokazała jej po ostatnim spotkaniu z kongres-manem - była pozbawiona głowy i wykastrowana. Z okaleczonego korpusu sterczała gruba igła.

- Mój Boże - jęknęła odwracając wzrok od przerażającego widoku. - O Boże, Yasmine. Nie!

Rozgorączkowana, zadzwoniła po Harry. Gdy tylko się pojawiła, Claire natychmiast wsiadła do samochodu i pomknęła w kierunku ekskluzywnego rejonu nad jeziorem Ponchar-train, gdzie w swoim domu mieszkał z żoną i dziećmi kongres-man Alister Petrie.

Miała nadzieję, że nie będzie za późno.

- Mam poczekać? - Taksówkarz odwrócił się i wbił wzrok w zachwycającą pasażerkę.

- Nie, dziękuję. - Yasmine podała mu dwudziestodolarowy banknot. - Reszty nie trzeba.

- Dziękuję pani, dziękuję. Ten, tego, no., czyja przypadkiem pani nie znam? To znaczy - czy powinienem panią znać? Jest pani sławna?

- Jestem modelką. Pewnie widział pan moje zdjęcia w magazynach.

Uderzył się otwartą dłonią w czoło.

- Jezu Chryste! Nawet pomyślałem sobie, że to będzie pani. - Uśmiechnął się odsłaniając krzywe, pokryte nikotynowym nalotem zęby. - Kto by pomyślał, że trafi pani akurat do mojej gabloty? Jediną znakomitością, którą do tej pory wiozłem, była ta gotująca dama z telewizji. Julia jakaś tam. No nie, aż trudno uwierzyć. Z przyjemnością wrócę po panią, kiedy będzie trzeba. Dam pani moją kartę. Proszę po prostu zadzwonić. Zjawię się w jednej chwili. Yasmine potrząsnęła głową i wysiadła.

- Bardzo dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Do widzenia. Włączył bieg, zsalutował, po czym odjechał. Patrzyła za nim myśląc o tym, że podarowała mu szczególne wspomnienie. Będzie opowiadał o niej miesiącami, może nawet latami, będzie opowiadał każdemu, kogo spotka, że wioził Yasmine tamtej nocy, kiedy to stała się naprawdę sławna.

- Powodzenia, kotku - szepnęła.

Powoli odwróciła się w stronę okazałego domu po drugiej stronie ulicy. Świetnie nadawałby się na widokówkę.

Nawet hiszpański mech porastający gałęzie okolicznych dębów sprawiał wrażenie doskonałej dekoracji.

Na oknach pogrążonego w mroku pokoju jadalnego nie było śladów krwi. Zmyto ją zaraz po wykonaniu jej zlecenia „dostarczenia” martwego kurczęcia. Następnego dnia przejechała obok samochodem, ale nie dostrzegła najmniejszego śladu przerażenia, któremu dzięki jej kłatwie miał ulec ten zarozumiały, zadowolony z siebie sukinsyn.

Tak czy inaczej dopiero teraz miał się dowiedzieć, co to znaczy prawdziwe przerażenie.

Przechodząc na przeciwległy chodnik, sięgnęła do swojej dużej skórzanej torby i wyjęła z niej rewolwer. Choć czekając dzisiaj na zapadnięcie zmroku robiła to przynajmniej sto razy, jeszcze raz sprawdziła zawartość bębena.

Nie brakowało ani jednego naboju.

Krótką alejkę biegnącą przez środek pedantycznie wypielegnowanego trawnika pokonała długim i pewnym krokiem. Tak właśnie chodziła prezentując przez lata stroje w domach mody na całym świecie. W Nowym Jorku, Paryżu, Mediolanie. Jej sposób poruszania się i styl były nie do powtórzenia. Wiele modelek próbowało, ale żadnej nie udało się połączyć zmysło-

wego kołysania ramion i bioder z elegancją oraz wdziękiem w tak harmonijny sposób.

U podnóża schodów zawahała się na ułamek sekundy, po czym już zdecydowanie podeszła do podwójnych frontowych drzwi i dzwonka.

- Tato, w sobotę mam mecz piłki nożnej. Może tym razem mógłbyś przyjść popatrzeć. Stoję na bramce.

Alistér Petrie sięgnął nad kuchennym stołem i zmierzwił chłopcu czuprynę.

- Postaram się. Niestety więcej obiecać nie mogę. Ale będę się starał.

- O rany, ale byłoby wspaniale - rozpromienił się malec.

Incydent z martwym kurczakiem odebrał Alistérowi co najmniej dziesięć lat życia. Teraz rozpoczął się dla niego całkowicie nowy rozdział. Żył w nieustannym strachu, wychodząc z domu jedynie wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne, przy tym zawsze z osobistą ochroną, którą Belle uparła się wynająć.

Podczas przemówień do wyborców drżały mu kolana, ponieważ obawiał się zamachu. A nocą, w snach, widział, jak pocisk pistoletowy trafia go w czoło i rozrywa czaszkę niby dojrzały arbuz. Za każdym razem do końca był świadkiem własnej egzekucji. Budził się roztrzęsiony i bliski płaczu.

Przez cały czas czuwała przy nim Belle, pocieszając go. Przytulała się do niego i zapewniała, że nie powinien przejmować się tym barbarzyńskim wyczynem, którym jego kochanka dała upust swojej wściekłości, i że nie należało spodziewać się niczego innego.

Jednakże od czasu do czasu potrafiła jak skorpion wbić mu ostry kolec. „Zbierasz, coś posiał, Alistér” - mawiała. „Kto mieczem wojuje, od miecza ginie”. „Dręczy cię twój grzech”. Znała całą litanię powiedzonek - większość o biblijnym rodowodzie.

A wszystkie szarpały jego wnętrzości jak haczyki na ryby. Jeszcze sporo wody upłynie w Missisipi, zanim zdobędzie się na odwagę, żeby znaleźć sobie kogoś na boku. Tym razem dostał solidną nauczkę. Kiedy w przyszłości poczuje przemożny samczy zew, nie zrobi kroku, dopóki się nie upewni, że cizia nie ma nic wspólnego z magią voodoo. Być może nie istnieje nic bardziej niewinnego, ale z drugiej strony coś takiego jest w stanie rozmiękczyć człowiekowi mózg do konsystencji rzadkiego gówna.

Stopniowo, kiedy zaczęło wyglądać na to, że historia z kur-

czakiem była odosobnionym incydentem i jedynym wyrazem przemożnego pragnienia zemsty ze strony Yasmine, przyszło odprężenie. Alister powrócił do niezwykle aktywnego, absorbującego trybu życia. Przestał też korzystać z ochrony osobistej. Trwalszym efektem tej sytuacji okazało się szczęście rodzinne. Obecnie przebywał w domu tak często, jak to było tylko możliwe. Każdego wieczoru całował dzieci na dobranoc, a i w ciągu dnia znajdował czas, żeby zamienić z nimi kilka zdań.

Belle uczestniczyła w kampanii z większym zapałem niż poprzednio. Rozstawali się bardzo rzadko. Trzymała go w surowych ryzach, przeciwko czemu na razie nie protestował, ponieważ dotrzymywała obietnicy wspierania jego akcji wyborczej ze swoich prywatnych środków oraz zasobów rodzinnych.

Jednakże od tamtej fatalnej nocy nie zasiadali do posiłków w pokoju jadalnym.

Dzisiaj państwo Petrie zebrali się wokół stołu, który wstawiono do przytulnego kącika sąsiadującego z kuchnią. Sam Rockwell nie namalowałby bardziej urzekającej sceny obrazującej harmonię życia rodzinnego. Na deser podano świeżutką szarlotkę. W pomieszczeniu unosił się jeszcze zapach cynamonu i smażonych migdałów. Mogliby uchodzić za wzór amerykańskiej rodziny, chociaż oczywiście nie wobec ubranej w przepisowy fartuszek służącej, która na niemy sygnał Belle zaczęła zbierać ze stołu naczynia, by przenieść je do zmywarki.

- Tatusiu?

- Słucham cię, serduszko. - Skierował wzrok na córkę.

- Namalowałam cię dzisiaj w szkole.

- Doprawdy?

- Mhm. Jak przemawiasz na tle amerykańskiej flagi.

- Nie może być - powiedział wylewnie. - Pokażesz mi?

- Mamusiu, Czy mogę odejść od stołu? Muszę iść do mojego pokoju.

Belle uśmiechnęła się pobłażliwie.

- Oczywiście, kochanie.

Dziewczynka ześlizgnęła się z krzesła i wybiegła przez wahadłowe drzwi. Niemal w tym samym momencie rozległ się dzwonek do frontowych drzwi.

- Już mam! - Echo przeniosło wysoki dziecięcy głosik. Z oddali usłyszeli odgłos szybkich kroków dziecka.

Zadzwoił telefon. Służąca podniosła słuchawkę aparatu zainstalowanego w kuchni.

- Rezydencja państwa Petrie. Drzwi wejściowe skrzypnęły.

- Nie - powiedziała służąca do słuchawki. - Nie ma tutaj nikogo o tym imieniu.

- Kto to był? - zapytała Belle chwilę później.

- Pomyłka. Jakaś rozhisteryzowana kobieta szuka kogoś o imieniu Yasmine.

Alister zbladł, poderwał się na nogi.

- Yasmine?

Żona spojrzała na niego. Sparaliżowała ich ta sama myśl.

- Czy...? - zaczęła Belle.

- Tak. - Alister wypadł do kuchni.

- Co się stało, mamó?

- Nic, synu.

- Dziwnie wyglądasz.

- Pani Petrie? Coś nie w porządku? - wtrąciła się służąca.

- Nie bądź głupia - warknęła Belle. - Co może być nie w porządku?

I wtedy w hallu padł strzał.

- Nie, proszę się nie rozłączać! - krzyknęła Claire do słuchawki automatu telefonicznego. Usłyszawszy ciągły sygnał, uderzyła nią w metalową skrzynkę. - Powiedziałam, żeby się nie rozłączać!

Kiedy beznadziejnie zablądziła w obcej sobie okolicy, zatrzymała się w końcu przy budce, by zadzwonić do kongres-mana Petriego. Wykręcając nerwowo numer znaleziony w książce telefonicznej, nie wiedziała jeszcze dokładnie, co powie. Dodzwoniła się za pierwszym razem, ale gosposia, która odebrała telefon, najwidoczniej uznała go za pomyłkowy.

Wrzuciła następną monetę i ponownie wykręciła numer. Linia była zajęta.

- Kończcie, proszę. Proszę. - Spróbowowała znowu. Tym razem usłyszała właściwy sygnał, ale po drugiej stronie nikt nie reagował. Pomyślała, że w pośpiechu musiała się pomylić, więc powtórzyła cały proces od początku. Z takim samym rezultatem. Chwilę później otrzeźwił ją narastający dźwięk syren. Ze strachu serce podeszło jej do gardła.

- Och, nie. Proszę. Boże, nie.

Lecz jej prośby nie zostały wysłuchane. Ulicą przejechały dwa błyskające światłami pojazdy. Rzuciła słuchawkę, pobiegła do samochodu i pomknęła za nimi. Dojechawszy na miejsce, wyskoczyła zza kierownicy. Chwyliła za ramię jakiegoś ubranego w pizamę mężczyznę.

- Do kogo należy ten dom?

- Do kongresmana Petriego.

Policjanci przemierzali już trawnik, a sanitariusze z noszami biegli w kierunku otwartych drzwi. Odsunęła na bok mężczyznę, który udzielił jej informacji, i ruszyła w górę trawiastego wzniesienia. Jeden z policjantów próbował ją zatrzymać, ale zignorowała jego wezwanie.

- Potrzebuje mnie moja przyjaciółka.

Kiedy dotarła do grupy ludzi tłoczących się przy wejściu, brakowało jej tchu. W środku wrzeszczało histerycznie dziecko. Za nią wykrzykiwali polecenia policjanci.

Jej najgorsze obawy potwierdził widok płachty przykrywającej na progu jakiś podłużny kształt. Przybyła za późno! Yas-mine go zabiła!

Nagle jej oczy napotkały wzrok Alistera Petriego. Odetchnęła z ulgą, prawie się roześmiała. Kongresman wydawał się oszołomiony, ale zdrowy i cały.

Po chwili zauważyła, że był opryskany krwią, krwią, która wypływała spod plastikowej płachty, tworząc kałużę u jego stóp.

Jeszcze raz popatrzyła na ciało i dostrzegła coś, co przeoczyła poprzednio - spod płachty wystawała ręka, pięknie ukształtowana, długa i szczupła, koloru kawy *au lait*.

Wokół nadgarstka połyskiwały jasne złote bransoletki.

Rozdział XXV

Claire stanęła w pół kroku, oślepiąca błyskami fleszów. Odruchowo zasłoniła oczy. Miała ochotę uciec, ale nie było dokąd. Za nią cisnęli się pasażerowie samolotu, blokując drogę ucieczki, a przed nią zgromadziła się spora grupa dziennikarzy i fotografów.

Już w Nowym Jorku musiała znosić dokuczliwe zainteresowanie mediów jej własną osobą. Ze względu na więzy łączące ją z Yasmine była na to przygotowana i przeszła przez wszystko z podniesioną głową. Lecz miała nadzieję, że kiedy wróci do Nowego Orleanu, samobójstwo przyjaciółki stanie się tematem minionym. Nie spodziewała się, że już na lotnisku będzie musiała stawić czoło takim tłumom reporterów.

- Panno Laurent, co pani sądzi o udziale Yasmine...

- Czy potwierdzą się zarzuty...

- Co pani wie...

- Proszę - powiedziała, próbując przesunąć się do przodu.

Ale oni stali przed nią niby zwarty szereg żołnierzy uzbrojonych w kamery, aparaty fotograficzne i mikrofony. Nie cofnęli się ani o centymetr. I zapewne nie zamierzali tego zrobić, dopóki nie wydobędą przynajmniej jej oświadczenia.

- Moja przyjaciółka była najwidoczniej bardzo nieszczęśliwa. - Claire mówiła, starając się trzymać twarz odwróconą od rażących w oczy światła. - Po jej stracie odczuwam ogromny ból. Jednakże wszystko, co jej zawdzięczam osobiście i co zawdzięcza jej przemysł związany z modą, pozwoli zachować ją w żywej pamięci przez wiele, wiele nadchodzących lat. Proszę mi wybaczyć.

Ze stoickim spokojem przeszła przez hall portu lotniczego, odmawiając odpowiedzi na kolejne pytania. Wreszcie dzięki pomocy funkcjonariuszy z ochrony lotniska dotarła do taksówki. Jednak przed Francuskim Jedwabiem powitali ją nie tylko dziennikarze, ale również oddani zwolennicy Jacksona Wilde'a, którzy kontynuowali pikietę. Pospiesznie zapłaciła taksówkarzowi i wbiegła do budynku.

Ku jej zadowoleniu wszystkie pracownice, choć w posepnych

nastrojach, normalnie wykonywały swoje obowiązki. Kilka z nich złożyło jej kondolencje, które z wdzięcznością przyjęła. W windzie umalowała usta i przybrała w miarę beztroski wyraz twarzy. Nie chciała, aby Mary Catherine nadal przeżywała samobójstwo Yasmine równie dotkliwie jak dotychczas. Dzień po pogrzebie, odprowadzana w towarzystwie Harry na samolot do Nowego Orleanu, była zagubiona i zdezorientowana. Claire obawiała się o równowagę psychiczną matki, z niepokojem myślała o rozstaniu, ale czuła, że Mary Catherine lepiej zniesie pobyt w swojskim otoczeniu niż w Nowym Jorku, gdzie Claire i tak nie mogłaby poświęcić jej wiele czasu i uwagi.

Zmusiła się do uśmiechu, otworzyła drzwi apartamentu i weszła do środka.

- Mamo, wróciłam! - Zajrzała do salonu.

W rogu sofy siedziała Mary Catherine, w drżących dłoniach trzymała chusteczkę, szlochała. Harry stała przy oknie, jej twarz stężała w surowym wyrazie dezaprobaty.

Zorientowawszy się w sytuacji, Claire przeniosła wzrok na Cassidy'ego, który siedział obok jej matki.

- Do licha, możesz mi wyjaśnić, co tutaj robisz?

- Powiedziałam, że to nie jest dobry pomysł, ale ten pan bardzo nalegał...

- Dziękuję, Harry. Dobrze wiem, do czego jest zdolny pan Cassidy.

Rzuciła na niego mordercze spojrzenie, po czym szybko podeszła i przyklękła u stóp matki.

- Mamo, wróciłam. Nie cieszysz się?

- Claire Louise?

- Słucham, mamo?

- Czy oni przyszli po ciebie?

- Nie, nikt po mnie nie przyszedł.

- Nie chcę, żeby zabrali ciebie za to, co ja zrobiłam.

- Nie mogą mnie zabrać. Nigdzie się nie wybieram. Wróciłam do domu. Jesteśmy razem.

- Tak bardzo starałam się być lepsza - powiedziała Mary Catherine, zacinając się. - Naprawdę, wierz mi. Możesz zapytać ciotki Laurel. Tylko że... - Palcami zaczęła masować skroń. - Czasami wpadam w okropną rozpacz, kiedy pomyślę o moim grzechu. Mama i tata tak bardzo gniewali się na mnie, kiedy im powiedziałam o dziecku.

Claire przytuliła się do matki.

- Nie martw się, mamo. Jestem przy tobie. Zawsze będę się o ciebie troszczyła. - Trzymała ją w objęciach, aż ta uspokoiła się

i przestała szlochać. Wtedy odsunęła się od niej i uśmiechnęła, patrząc na jej wilgotną od łez twarz. - Na pewno nie zgadniesz, co miałabym ochotę zjeść na kolację. Gumbo. Ale takie, które tylko ty potrafisz zrobić. Jeśli mogłabym cię prosić, mamoo...

- Moja zasmażka nie jest taka dobra jak zasmażka ciotki Laurel - powiedziała skromnie Mary Catherine. - Jeśli jednak naprawdę masz ochotę...

- Tak, proszę. Harry ci pomoże. - Pomogła matce wstać. Mary Catherine odwróciła się, podała Cassidy'emu rękę.

- Muszę teraz iść, panie Cassidy, ale bardzo panu dziękuję za wizytę. Któregoś popołudnia niech pan zabierze ze sobą rodziców. Zapraszam ich na kieliszeczek cherry.

Skinął głową. Harry wzięła ją pod ramię i odprowadziła do kuchni.

- Jeszcze nie skończyłem jej przesłuchiwać. Claire gwałtownie odwróciła się do niego twarzą.

- Do diabła, właśnie, że skończyłeś! Jak śmiałeś zakraść się tutaj i niepokoić ją, kiedy mnie nie było? Czego od niej chciałeś? - Miałem do niej kilka pytań istotnych dla śledztwa.

- Do diabła tam z twoimi istotnymi pytaniami!

- Jako pełnomocnik prokuratora okręgowego mam prawo...

- Prawo? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Naszą rodzinę dotknęło nieszczęście, czyżbyś zapomniał?

- Przykro mi z powodu Yasmine.

- No, pewnie. Masz o jednego podejrzanego mniej, prawda?

- Jesteś niesprawiedliwa. Nie chciałem sprawić przykrości twojej matce.

- Skończyło się na chęciach. Jeżeli jeszcze raz przyjdiesz ją terroryzować, zabiję cię. Ona nie zna odpowiedzi na twoje cholerne pytania.

- Ale ty je znasz - powiedział. - Właśnie dlatego pojedziesz teraz ze mną.

- Po co?

- Powiem ci, kiedy znajdziemy się na miejscu. - Zacisnął palce na jej ramieniu.

- Chcesz mnie aresztować? Co zrobiłeś, żeby skłonić moją matkę do mówienia?

- Pożegnaj się z nimi, Claire, i chodź dobrowolnie - powiedział spokojnie, ale zdecydowanie. - Kolejna scena jeszcze bardziej wyprowadzi z równowagi Mary Catherine. W tym momencie nienawidziła go.

- Ty sukinsynu!

- Weź torebkę... pożegnaj się.

W tej potyczce to on był bezspornym zwycięzcą. Ze względu na matkę nie mogła nawet podnieść rękawicy. Wiedział o tym i bez skrępulów to wykorzystywał. Patrzyła na niego z odrazą. W końcu zawołała:

- Harry, muszę pojechać do miasta! Jakiś czas mnie nie będzie. Na razie, mamo.

Kiedy wyszli na zewnątrz, pośród demonstrantów i reporterów zawrzało. Skierowano do Claire co najmniej dziesięć pytań naraz.

- Panna Laurent nie ma państwu nic do powiedzenia - Cas-sidy zwięźle odpowiedział reporterom.

- Cassidy, co pan sądzi...

- Żadnych komentarzy.

- Czy znalazł pan mordercę?

- Żadnych komentarzy. - Nie zwracając uwagi na mikrofony wyciągnięte w jego stronę, przeprowadził Claire przez tłum. Czowała się zdradzona, wyczerpana i oszołomiona. Nie stawiała oporu. Szła posłuszenie. Przynajmniej Cassidy był wrogiem, którego znała.

Dzięki długiemu krokowi Cassidy'ego szybko wysforowali się do przodu, pozostawiając za sobą cizbę i dwóch policjantów, którzy przyszli im z pomocą.

- Zabiorę ją swoim samochodem - powiedział policjantom z wozu patrolowego.

- Tak jest, proszę pana.

- Dziękuję za współpracę.

- Tak jest, proszę pana.

- Spróbujcie rozproszyć tłum i uważnie obserwujcie to miejsce.

- Tak jest, proszę pana.

Zaprowadził Claire do nieprzepisowo zaparkowanego samochodu. Otworzył przed nią drzwi. Zbyt zmęczona, żeby się z nim teraz spierać, opadła na siedzenie.

- Jak ci się udało utrzymać telewizję z daleka od pogrzebu? -zapytał, kiedy już z pełną szybkością mknęli w kierunku centrum miasta.

- Zastosowałam pewien wybieg. Karawan z fałszywą trumną zawiódł dziennikarską sforę do New Jersey. Zanim podstęp się wydał, było już po wszystkim. - Dotknęła złotej bransoletki, którą nosiła wokół nadgarstka, a która należała do ulubionej biżuterii Yasmine. Wiedziała, że przyjaciółka życzyłaby sobie, aby dla siebie zachowała ten drobiazg. - Nie ścierpiałabym, gdyby z jej pogrzebu urządzono

widowisko karnawałowe z udziałem obcych, wścibskich ludzi.

Minął już ponad tydzień od dnia, gdy pojechała do domu Alistera Petriego i zobaczyła na progu drzwi wejściowych martwe ciało Yasmine, która kilka minut wcześniej strzeliła sobie w tył głowy na oczach malutkiej córki gospodarzy. Śmierć Yasmine była niepodważalnym faktem, ale zdarzały się jednak chwile, w których Claire niemalże o tym zapominała. A potem świadomość rzeczywistości spadała na nią jak lawina kamieni.

Nie miała czasu, aby pograżać się w bólu. Od dnia tragedii była zajęta ponurą działalnością - wypełniała formularze, wydawała dyspozycje, porządkowała sprawy przyjaciółki, odpowiadała na pytania, na które nie było odpowiedzi. No, bo jak wyjaśnić fakt, że kobieta, która z pozoru ma wszystko, kończy ze sobą w tak groteskowy, a zarazem romantyczny sposób?

Claire zachowała sekrety Yasmine w tajemnicy. Nie mogłaby zdradzić zwierzeń przyjaciółki nawet teraz, kiedy nie miało to już większego znaczenia. Wspólnym przyjaciółom, zaszokowanym wiadomością, mówiła po prostu, że ostatnio Yasmine była w najwyższym stopniu nieszczęśliwa. Nie ujawniała szczegółów jej fatalnego romansu ani tych związanych z trudnościami finansowymi.

Poza kilkoma dalekimi kuzynami, mieszkającymi na Wschodnim Wybrzeżu, Yasmine nie miała już żadnych krewnych, więc organizacją pogrzebu musiała zająć się Claire. Yasmine nie pozostawiła testamentu, dlatego Claire zdała się na swój instynkt i poleciła poddać ciało kremacji. Msza żałobna była cicha i skromna, przeznaczona jedynie dla kilkorga zaproszonych gości. Prochy - wszystko, co pozostało z pięknej, utalentowanej, pełnej wigoru modelki, która miała niespożyty zapal do życia, dopóki nie pokochała niewłaściwego mężczyzny - zostały zapieczętowane w urnie i zamurowane w jednej z nisz mauzoleum.

Przypomniawszy sobie o kongresmanie, Claire odwróciła się do Cassidy'ego.

- A co z tamtą małą dziewczynką? Wróciła do równowagi?
- Z tego, co czytałem, musi jeszcze minąć trochę czasu. Podobno dręczą ją koszmary. Jest pod opieką psychologa.
- Nie mogę pojąć, jak Yasmine mogła zrobić coś tak okropnego na oczach dziecka.
- To właśnie Petrie był tym kochankiem, który ją odtrącił, prawda?

- Zgadłeś?
- Nie. Dowiedziałem się dzięki temu, że przeszukano jej pokój, gdzie trzymała te swoje rekwizyty do czarnej magii.
- Mhm.
- Dowiedziałem się również, że i ty pojawiłaś się na scenie.
- Znalazłam ołtarz w jej pokoju. Domyśliłam się, że zamierza ukarać kongresmana w jakiś radykalny sposób. Pojechałam za nią, ale przybyłam za późno.
- Doktor Dupuis powiedziała mi, że uparłaś się towarzyszyć ciału w drodze do kostnicy.
- Yasmine była moją przyjaciółką.
- Należą ci się wyrazy uznania za poświęcenie.
- Nie potrzebuję twoich pochwał.
- Za wszelką cenę chcesz mnie do siebie zrazić, co?
- Sądzę, że już w dniu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, było przesądzone, iż nie możemy zostać przyjaciółmi.
- Ich oczy na krótko się spotkały. Po chwili Claire powiedziała: -Cała ta sprawa na pewno nie pozostanie bez echa w kampanii wyborczej kongresmana Petriego. Jak on się tłumaczy? - Nie czytałaś?
- Nie. Świadomie unikałam czytania czegokolwiek na temat jej samobójstwa i motywów, które ją do tego skłoniły. I tak byłam dostatecznie rozstrojona. - W takim razie nie polecam ci żadnego z ostatnich wydań gazet. Każda przedstawia jakąś inną teorię. - Tego się właśnie obawiałam. Powiedz mi przynajmniej, czego mam się spodziewać.
- Na przykład, że Yasmine działała pod wpływem narkotyków.
- Coś takiego, przewidywałam.
- Że miała do Petriego uzasadnioną urazę.
- Była apolityczna.
- Że była jego wzgardzoną kochanką.
- Czemu, jestem pewna, zaprzeczył.
- W rzeczywistości niewiele powiedział. Schował się za spódnicę swojej żony i jej pozostawił składanie oświadczeń. Sprytna taktyka. Pod publiczność, jak to mówią. Jeżeli żona zdecydowanie stoi przy jego boku, nikt nie będzie skłonny podejrzewać go o nieformalny związek z inną kobietą, zgadza się?
- Zgadza się. Więc w końcu okaże się, że Yasmine była po prostu nienormalna.
- Właśnie. - Cassidy skręcił na parking przed siedzibą prokuratora okręgowego.

- Po co mnie tutaj przywiozłeś? - zapytała Claire oburzonym głosem. - Jestem zmęczona po podróży. Brudna. Nie będę w stanie odpowiadać na żadne pytania. I jestem wściekła na ciebie za dręczenie mojej matki. Poza tym myślałam, że do tej pory już odebrano ci sprawę. Crowder nie zastąpił cię kimś innym?

- Nie, ponieważ ostatnio wyszły na jaw istotne fakty.

- Moje gratulacje. Ale cóż owe istotne fakty mogą mieć wspólnego ze mną?

Odwrócił się do niej.

- Przeprowadziliśmy rutynowe badania balistyczne pocisku, od którego zginęła Yasmine. Miał takie same mikroślady jak tamte, od których zginął Wilde. Wszystkie zostały wystrzelone z jednego rewolweru, z rewolweru Yasmine.

Rozdział XXVI

André Philippi starannie wyczyścił paznokcie szczoteczką i płynnym mydłem. Tego dnia już po raz piąty powtarzał tę samą czynność. Kiedy wreszcie czystość rąk usatysfakcjonowała go -nie na długo - splukał je gorącą wodą, a potem wytarł do sucha puszystym białym ręcznikiem dostarczonym prosto z hotelowej pralni.

Sprawdził swój wygląd w lustrze. Jego ubranie było nieskazitelne - żadnej plamki ani zagniecenia. W butonierce tkwił świeży różowy goździk. Fryzura była wzorem doskonałości. Wyglądał wspaniale; jak wypolerowany samochód w salonie wystawowym.

A jednak czuł się nieszczęśliwy, był przygnębiony i wystraszony.

Zgasił światło i wyszedł z łazienki. Udał się do biura. Panował tu, według niego, karygodny bałagan, choć opinii tej nie potwierdziłby nawet wymagający pedant. Na biurku leżały stosy korespondencji, którymi należało się zająć, a do tego wykazy czasu pracy personelu, listy zamówień i zapytania ofertowe klientów. Zwykle z przyjemnością wykonywał pracę papierkową i nigdy nie dopuszczał do jej spiętrzenia. Jednak od chwili, gdy dotarła do niego druzgocąca wiadomość o samobójstwie Yasmine[^] nie potrafił pracować tak jak dawniej. Wypełnienie obowiązku było dla niego świętością i dlatego ta zmiana wydawała mu się nieomal świętokradztwem.

Kiedy Claire zawiadomiła go telefonicznie o śmierci Yas-mine, zrazu oskarżył ją o kłamstwo. Fakt, że cudowna istota, która odebrała sobie życie w tak odrażający, można by rzec, niestosowny sposób, był zbyt przerażający, aby weń uwierzyć, i zbyt bolesny, by go rozpamiętywać. Przywoływał wspomnienie dnia, kiedy wrócił ze szkoły do domu i w wannie pełnej letniej wody zmieszanej z krwią znalazł swoją piękną *mamon* nagą i martwą.

Obie kobiety, które kochał i wielbił ponad wszystko, dobrowolnie wybrały śmierć. I nie tylko odeszły do świata, w którym jego nie było, ale nawet nie pomyślały, żeby się z nim pożeg-

nać. Żal ścisnął mu pierś z taką siłą, że przy każdym oddechu czuł rozdzierający ból w okolicy serca. Nie chciał wziąć udziału w mszy żałobnej zorganizowanej przez Claire. Stojąc nad grobem *maman* poprzysiągł, że nigdy nie zgodzi się na ostateczność śmierci, dopóki sam nie umrze.

Cierpiał, lecz jako pocieszenie przychodziły mu do głowy jedynie frazesy: „Niezwyczajna uroda może być przekleństwem dla tego, kto ją posiada. Drogo płaci się za sławę i powodzenie”.

Przypominał sobie także słowa jednego z przyjaciół matki po jej tragicznej śmierci. „Niektóre anioły - stwierdził - są tak piękne, że Bóg pragnie jak najszybciej mieć je przy sobie. Ich przeznaczeniem, już przed narodzeniem się, jest krótkie życie. Pragnąc śmierci, wychodzą jej niecierpliwie naprzeciw, by bez skazy starości powrócić do królestwa”. Zgodnie z nowoorleańską tradycją odejście jego matki do lepszego świata uczczono przemarszem po ulicach francuskiej dzielnicy przy muzyce jazz-bandu.

Nie wierzył w podobne nonsensy, gdy jako nastolatek usiłował powstrzymać się od szlochów nad ciałem matki. Nie wierzył w nie również teraz. Ale czuł się o wiele lepiej wypowiadając szeptem słowa modlitwy. Każdego dnia chodził do kościoła na mszę i żarliwie modlił się za duszę Yasmine.

Jak gdyby nie wystarczyło, że jej śmierć była tak tragiczna, dodatkowo wyprowadzał go z równowagi sposób, w jaki wydarzenie komentowała prasa. Zarzuty kierowane pod adresem nieszczęsnej kobiety wydawały się w najwyższym stopniu krzywdzące, zwłaszcza że nie mogła już bronić się osobiście. Spojrzał na zmiętą w złości gazetę, którą po przeczytaniu kilku obraźliwych linijek cisnął do kosza na śmieci. Bzdury. Kłamstwa. Wzięte z powietrza insynuacje. Ale wierzył w nie asystent prokuratora okręgowego Cassidy.

Zadzwoił dzisiaj rano. Po przeczytaniu w gazecie wstępu do artykułu André wcale się nie zdziwił słysząc w słuchawce jego głos. Co więcej, czekał nawet na ten telefon, by móc wreszcie dać wyraz swej pogardzie dla sposobu, w jaki była traktowana Yasmine.

- Ta kobieta nie żyje, panie Cassidy - powiedział cierpko. - Jak sęp krąży pan nad zwłokami. To, jak żeruje pan na jej bezbronności, jest wulgarne, odrażające i ohydne.
- Przestań pieprzyć, André. Sam przyznaję, że staram się wejść w dupę moim mocodawcom. Niestety podatnicy, łącznie z tobą, płacą mi za to. Teraz zadam ci jedno pytanie, a ty powiesz mi prawdę, bo w przeciwnym razie pofatyguję się tam do ciebie

i oderwę kwiatek od łodyżki, przy czym nie mówię bynajmniej o goździku w butonierce twojej marynarki. Czy w nocy, kiedy został zamordowany Jackson Wilde, Yasmine była w hotelu „Fairmont”?

- Pański język jest obraźliwy. Z całym szacunkiem chciałbym pana uprzedzić...

- Była w tym pierdolonym hotelu czy nie? - wykrzyknął Cas-sidy.

André opanował wybuch wściekłości, przesunął spoconą dłoń po włosach i powiedział:

- Przeglądał pan nasze dokumenty. Czy jej nazwisko było pośród nazwisk gości?

- Nie o to cię pytałem, André.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Posłuchaj. - Cassidy zmienił taktykę, przybierając bardziej ugodowy, grzeczniejszy ton. - Wiem, że przyjaźniłeś się z Yasmine. Przykro mi z powodu jej śmierci. Sam znałem ją bardzo krótko, ale i tyle wystarczyło, żebym zaczął szczerze podziwiać jej talent. Była wspaniała. Patrzenie na nią było niby religijne doświadczenie. Ziemia stała się mniej piękna, gdy ona odeszła. Rozumiem, co czujesz. Jej śmierć była tragiczna i przedwczesna i można jedynie spekulować, dlaczego zdecydowała się tak zakończyć swoje życie. Z pewnością przeglądałeś gazety - kontynuował - więc wiesz, że niektóre z tych domysłów daleko odbiegają od rzeczywistości. Yasmine nie narkotyzowała się. Nie była też wojującą działaczką społeczną. W ogóle nie pasowała do żadnego obrazu nakreślonego przez dziennikarzy. Zatem gdybyś mi zaufał, skończyłyby się bzdurne rozważania w prasie. Pomyśl również, co to będzie oznaczało dla Claire.

- Niech pan nie rozgrywa jednych z moich przyjaciół przeciwko drugim, panie Cassidy.

- Nawet nie próbuję. Lecz jeśli Yasmine zabiła Wilde'a, to nie zrobiła tego Claire. Nie chcesz jej oczyścić?

- Nie, jeżeli tym samym skieruję oskarżenia pod adresem drugiej przyjaciółki, która jest tak samo niewinna i która nie może bronić się sama.

- O jej winie lub niewinności rozstrzygnie dochodzenie -powiedział na to Cassidy, zniecierpliwiony. - Ja chcę po prostu wiedzieć, czy tamtej nocy Yasmine była w hotelu.

- Pańskie motywy są samolubne, panie Cassidy. Najwidoczniej nic pan nie ma przeciwko Yasmine. I jeżeli to zależy ode mnie, nic pan nie będzie miał. Już raz zostałem oszukany. Jeden raz za dużo. Nie dam się nabrać ponownie. Do widzenia.

- Mogę wezwać cię na oficjalne przesłuchanie.
- Pańska sprawa. Moje odpowiedzi na pańskie pytania pozostaną takie same.

Na tym skończyli. André niemalże oczekiwał natychmiastowego przybycia posłańca ze stosownym wezwaniem. Jednakże nic ze strony Cassidy'ego nie mogło go już chyba wyprowadzić z równowagi. Nawet użycie brutalnej siły. Przypuszczenie, że Yasmine zabiła Wilde'a, było absurdalne. Pozbawione podstaw i mylne. Idąc do łazienki po raz kolejny umyć ręce, pomyślał, że w istocie było to niemożliwe.

- To niemożliwe.

Claire usiłowała stawiać opór, ale Cassidy wciągnął ją dosłownie przez boczne drzwi do siedziby prokuratora okręgowego. Przed głównym wejściem do budynku czuwali z modlitwą na ustach zwolennicy Jacksona Wilde'a. Bez wątpienia do Ariel Wilde dotarła pogłoska, że samobójstwo Yasmine oraz zabójstwo Jacksona Wilde'a łączy pewien istotny fakt - użycie tego samego rewolweru. Nie tracąc czasu, wprowadziła swoich zwolenników w stan duchowego szaleństwa. Cassidy podzielił się w gronie swoich współpracowników spostrzeżeniem, że osoba tego typu co Ariel Wilde byłaby niezwykle cenna dla Pentagonu. Udowodniła, iż jest mistrzynią strategii. Wie, jak rozpocząć pospiesznie zorganizowany, lecz zarazem skuteczny atak. Zdobyła także całkowitą lojalność zwolenników wielbiących ją nieomal na równi z Chrystusem. Zdaniem Cassidy'ego telewizyjne apostołowanie jest niezwykle ciekawym zjawiskiem, gdyż czyni z kaznodziejów znakomitości większe od prawdziwego bóstwa.

- Sugerujesz, że Yasmine zamordowała Jacksona Wilde'a? -zapytała Claire, gdy Cassidy wprowadził ją do windy i wybrał odpowiedni przycisk.

- Posłuchaj - stwierdził lapidarnie - dopóki nie przestudiowałem wyników badań balistycznych, również w to nie wierzyłem.

- Zaistniała pomyłka. Ktoś musiał się strasznie pomylić.

- Sprawdziłem wszystko dokładnie po kilka razy. Wyniki są niepodważalne. Tamte pociski wystrzelono z jednej i tej samej broni. Do licha, dlaczego nie powiedziałaś mi, że Yasmine posiadała broń? Gdybyś to zrobiła, twoja przyjaciółka, być może, żyłaby jeszcze.

Claire oparła się o ściankę windy, jakby chciała znaleźć się jak najdalej od niego.

- Jesteś nikczemny, Cassidy.

Drzwi windy rozsunęły się.

- Najpierw ty - powiedział fałszywie uprzejmie. - Tędy. Uporządkujemy cały ten bałagan raz na zawsze.

Gdy weszli do jego biura, zatrzasnął drzwi, ściągnął płaszcz i wskazał jej krzesło.

- Rozgość się. Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie dotrzemy do sedna.

- Pytałeś moją matkę, czy Yasmine mogła zabić wielbego Wilde'a. Dlatego właśnie była rozstrojona.

- Zapytałem ją, czy wiedziała, że Yasmine posiadała broń. Zapytałem, czy Yasmine kiedykolwiek mówiła o zabiciu Wilde'a. Zadawałem tego typu pytania. Wierz mi, byłem delikatny.

Claire patrzyła z wyrzutem.

- Wykonywałem jedynie swoje obowiązki.

- O, tak, swoje cholerne obowiązki - powtórzyła z przekąsem. Szarpnęła dłonią włosy z tyłu głowy. Nawet ten odruchowy gest zdawał się ją męczyć. Pod oczami miała intensywne cienie i wyglądała na bardzo zmęczoną. - Mogę przynajmniej do niej zadzwonić?

Wskazał telefon, potem uchylił drzwi i poprosił sekretarkę o dwie kawy.

Claire skończyła rozmowę, zanim urzędniczka wniosła parujący napój w styropianowych kubeczkach.

- Gumbo stoi w garnku na ogniu. Grają w remika. Mama wygrywa;

Jej uśmiech mógłby być uśmiechem Madonny patrzącej na twarz swego śpiącego dziecka. Miała piękne usta, kiedy uśmiechała się w ten sposób. Cassidy starał się nie myśleć, jak smakuja.

- Kawy?

- Nie, dziękuję.

- Napij się. Kawa dobrze ci zrobi.

Przysunęła do siebie kubeczek, ale nie podniosła go. Poprawiła się na krześle, założyła nogę na nogę, złożyła ręce, potem podniosła na niego wzrok.

- Zatem słucham. Pytaj, prokuratorze.

- Nie rób tego, Claire.

- Czego mam nie robić?

- Nie utrudniaj. I bez tego moja praca jest wystarczająco trudna.

- Mam wrażenie, że im jest trudniejsza, tym większą masz przyjemność.

Nachylił się nad nią.

- Sądzisz, że jest mi łatwo zadawać pytania na temat Yasmine, kiedy wiem, jak blisko ze sobą byliście, kiedy wiem, jak przygnębiona musisz być po jej samobójstwie?

- Ale to cię nie powstrzymuje, prawda? Potrzebujesz zabójcy, żeby nakarmić lwy.

Uderzył dłonią w biurko.

- Cholerna racja. I chcę, aby to był ktoś, ktokolwiek, byle nie ty!

Nastąpiła długa chwila pełnej napięcia ciszy. Jego oczy wyrażały znacznie więcej, niż wolno mu było powiedzieć.

Pojęła to.

- Yasmine nie mogłaby zabić Jacksona Wilde - powiedziała z łagodną emfazą w głosie. - Na pewno sam nie bardzo wierzysz, że ona go zabiła.

- Dlaczego miałbym nie wierzyć?

- Nawet go osobiście nie znała. Jaki mogłaby mieć motyw?

- Taki sam jak ty. Chciała go uciszyć. Jego działalność zagrażała jej dochodom, a miała na pieńku z wierzycielami.

- Prawdą jest, że Yasmine miała trudności finansowe, ale Wilde nigdy nie był zagrożeniem dla Francuskiego

Jedwabiu. Obie żartowałyśmy, że, zamiast przeciwstawiać się jego atakom, korzystniej będzie nawet je podsycać.

Nasz interes rozkwitał dzięki publiczności, którą nam napędzał. W każdym jednak razie problem, czy miała motyw, czy nie, jest czysto akademicki. Tamtej nocy Yasmine przebywała w Nowym Jorku.

- Nieprawda.

- Następnego ranka odebrałam ją z lotniska.

- Sprawdziłem wykazy pasażerów. Kilka dobrych tygodni temu. Nie przyleciała wtedy rannym samolotem, lecz poprzedniego wieczoru, więcej niż dwanaście godzin wcześniej.

Claire popatrzyła na niego w zdumieniu.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Nie istniał żaden powód, dla którego miałbym zdradzić sekret Yasmine. Przypuszczałem, że przyleciała wcześniej, żeby spotkać się ze swoim kochankiem, a nie chciała, byś ty się dowiedziała, ponieważ z dezaprobatą odnosiłaś się do tego związku. To była sprawa pomiędzy wami dwiema. Dopiero teraz jej kłamstwo zyskało nowe znaczenie.

Usiadł na brzegu biurka. - Claire, czy wiedziałaś, że tamtej nocy Yasmine przebywała w Nowym Orleanie?

- Nie. - Pożyczyła od ciebie samochód?

- Nie. Spotkałyśmy się dopiero następnego dnia rano.

- Wiedziałaś, że nosi przy sobie broń? Zawahała się. Westchnęła.
 - Tak. Wiedziałam, że posiada broń. Prosiłam kilkakrotnie, żeby pozbyła się jej.
 - Czemu mnie o tym nie poinformowałaś?
 - Bo... Yasmine powiedziała, że gdzieś się jej zawieruszyła.
 - Zgubiła ją?
 - Na pewien czas, ale potem znowu ją odnalazła.
 - Chcesz mi wmówić, że broń rozplynęła się w powietrzu, a następnie ni stąd, ni zowąd zmateriałizowała?
- Claire skinęła głową.
- Przed odlotem musiała zawsze schować rewolwer w bagażu, żeby nie został skonfiskowany przez ochronę lotniska. Myślała, że zapodział się gdzieś w walizce.
 - I wtedy również mi nie powiedziałaś?
 - Ciągle coś ludziom ginie - odrzekła poirytowana.
 - Rozmawiamy o śmiertelnej broni, Claire. Pytam jeszcze raz. Dlaczego nie wspomniałaś mi o rewolwerze Yasmine?
 - Ponieważ nie sądziłam, że to takie ważne.
 - Kłamiesz!
 - W porządku! - krzyknęła. - Bałam się, że skojarzysz ten cholerny rewolwer ze śmiercią Wilde'a.
 - I miałbym rację.
 - Yasmine nie zabiła Jacksona Wilde'a.
 - Ale ktoś zrobił to używając jej rewolweru.
 - Nie Yasmine.
 - Kto poza nią miał do niego dostęp?
 - Nic mi o kimś takim nie wiadomo.
 - Ty miałaś do niego dostęp.
 - Nigdy nie strzelałam z rewolweru. Nie wiedziałabym nawet, jak to się robi. Już ci mówiłam dziesiątki razy.
 - Równie dobrze możesz kłamać.
 - Nie kłamię.
 - Co Yasmine mówiła na temat okoliczności jego zaginięcia?
 - Nic. Nie wiedziała, ani kiedy, ani gdzie zginął.

- Ile czasu upłynęło, zanim się znalazł?
- Dwa albo trzy tygodnie. Nie jestem pewna.
- W jaki sposób się odnalazł?
- Podobno znalazła go po prostu w swojej torbie.
- Claire...
- Nie wiem!
- Cassidy? - Do pokoju zajrzał jakiś mężczyzna. Zerknął

zakłopotany na Claire, a następnie przeniósł wzrok na Cassidy'ego. - Crowder chce cię widzieć.

- Wpadnę do niego później. Mężczyzna przestąpił z nogi na nogę.

- Wybacz, ale Crowder życzy sobie widzieć cię teraz. Powiedział, że dostanę po dupie, jeżeli cię nie przyprowadzę.

Ktoś z nim jest i ty najwidoczniej jesteś potrzebny.

Rozdział XXVII

Mrucząc pod nosem przekleństwa, Cassidy sięgnął po płaszcz.

- Jeśli Yasmine była tamtej nocy w pokoju Wilde'a, to właśnie ona pozostawiła na dywanie włókna z twojego samochodu.

- Powtarzam po raz setny: tamtej nocy nie widziałam się z Yasmine. - Claire siedziała z pochyloną głową i opuszczonymi oczami, lecz mówiła głosem pewnym, stanowczym. - Następnego dnia rano pojechałam po nią na lotnisko. Jeżeli wcześniej przyleciała do Nowego Orleanu, zatrzymała to przede mną w sekrecie. W żadnym razie nie miała dostępu do mojego samochodu.

- Postaram się, żeby spotkanie z Crowderem zajęło mi jak najmniej czasu. Zostań tutaj i czekaj na mnie.

W drodze do windy natknął się na Glenna.

- Cześć, Cassidy. Liczyłem, że zastanę cię u siebie.

- Masz coś?

- Owszem, przy sprawdzaniu list osób wspierających finansowo Wilde'a pojawiło się parę dość interesujących drobiazgów.

- Dzięki. - Cassidy odebrał od Glenna kilka kartek papieru, złożył je na pół i wsunął do kieszeni na piersi. - Przejrzę to w miarę możliwości szybko. Teraz muszę stawić się w biurze Crowdera.

Kiedy wyszedł z windy na właściwym piętrze, nie zatrzymał się, aż stanął przy biurku przełożonego.

- Na litość boską, Tony, co jest tak cholernie ważne, że nie mogło poczekać? Przesłuchiwałem Claire Laurent. Osłaniała Yasmine, ale im więcej z niej wyciągałem, tym bardziej stawało się dla mnie jasne, że Yasmine zabiła Wilde'a.

- Właśnie o tym chcieliśmy z tobą porozmawiać.

Cassidy powiódł spojrzeniem za wzrokiem Crowdera. Po drugiej stronie pokoju w wygodnym, skórzanym fotelu siedział z wyrazem samozadowolenia na twarzy Alister Petrie.

Cassidy nigdy nie lubił Petriego ani jako człowieka, ani jako polityka. Uważał imponujące polityczne koneksje za jego

jedyne kwalifikacje do zasiadania w Kongresie. Rodzinne korzenie Petriego głęboko wrosły w podmokłą ziemię delty Missisipi, ale nie tak głęboko jak rodzinne korzenie jego żony. Cassidy uważał go za nadętego palanta, który swoją karierę zawdzięcza nie własnym zasługom, lecz odpowiednim zasobom gotówki. Ponieważ był przeczulony na punkcie etyki zawodowej, pogardał nim, czego specjalnie nie krył.

- Witam, kongresmanie.

- Dzień dobry - odparł chłodno.

- Siadaj, Cassidy - powiedział obcesowo Crowder, pokazując na krzesło.

Instynkty Cassidy'ego roziskrzyły się jak odkryte przewody elektryczne. Na coś się zanosilo. Czuł intuicyjnie, że było to coś, co prawdopodobnie nie przypadnie mu do gustu. Tony Crowder hipnotyzował go ciężkim spojrzeniem. Zły znak.

- Pan Petrie najlepiej sam wyjaśni, dlaczego poprosił o to spotkanie. - Crowder odkaszlnął, zasłoniwszy usta dłonią.

- A ty słuchaj uważnie. Zaraz zrozumiesz, dlaczego cię wezwałem i skąd się wziął ten pośpiech. Panie kongresmanie? Petrie zaczął mówić.

- Byłem oszołomiony tym, co przeczytałem dzisiaj w porannej gazecie, panie Cassidy.

- To był rzeczywiście dość oszałamiający materiał. Gdyby technik nie przyłożył się tak starannie do tej sprawy, mógłby nie zauważyć podobieństwa między wynikami badań balistycznych nad pociskiem, od którego zginęła Yasmine, i nad tymi, które trafiły Jacksona Wilde'a. Przez długość pocisków biegnie głęboka rysa, godna zapamiętania, jak stwierdził. Porównał. I bingo. Pociski wystrzelono z tej samej broni. Dla pewności dokonał jeszcze próbnych strzałów. Nie ma mowy o pomyłce. - A jednak zaszła pomyłka.

- W żadnym wypadku.

- Niemniej jednak zaprzestanie pan badania domniemanego związku między samobójstwem Yasmine a zamordowaniem Jacksona Wilde'a. Zaprzestanie pan bezzwłocznie.

Polecenie zostało wydane z tak jawną arogancją, że Cassidy miał zrazu ochotę roześmiać się. Zerknął na Crowdera, ale nie znalazł na jego twarzy nawet cienia uśmiechu.

- Do diabła, o co tutaj chodzi? - Z powrotem przeniósł wzrok na Petriego. - Urwał się pan z choinki, że ośmiela się pan wydawać mi tego typu polecenia?

- Yasmine nie zabiła Jacksona Wilde'a.

- Skąd pan to może wiedzieć?

- Nie zabiła go, ponieważ krytycznej nocy przebywała ze mną.

W pokoju zapadła cisza. Cassidy jeszcze raz odwrócił się do Crowdera, spojrzeniem żądając wyjaśnień. Prokurator, najwyraźniej zakłopotany, odchrząknął. Mógłby być ojcem Petriego, a płaszczył się przed nim niby przed jakimś pierdolonym księciem. W oczach Cassidy'ego Crowder wyraźnie tracił autorytet.

- Kongresman Petrie przyszedł do mnie dzisiaj rano i dobrowolnie ujawnił, że miał... to znaczy... on i ta Yasmine pozostawali w związku.

- Co za odwaga - powiedział sarkastycznie Cassidy. - Wiem wszystko o jego romansie.

- Od panny Laurent, jak się domyślam - powiedział Crowder.

- Zgadza się.

- Więc sam możesz ocenić, ile kłopotów może sprawić panu Petriemu i jego rodzinie długotrwałe i szczegółowe dochodzenie.

- Powinien był pomyśleć o tym, zanim się zdecydował na skok w bok.

Petrie najeżył się.

- Całe to zamieszanie byłoby zwykłą stratą czasu, panie Cassidy, ponieważ, jak już oświadczyłem, ja zapewniam Yasmine alibi.

Cassidy spojrzał na niego z pogardą.

- I bierze pan odpowiedzialność za jej samobójstwo, prawda, Petrie? Obryzgała panu ściany własnym mózgiem, bo jest pan kłamliwym oszustem. Co się stało, że powiedział jej pan: żegnaj? Znalazł pan sobie kogoś innego na jej miejsce? A może strach pana obleciał przed nadchodzącymi wyborami? Przestraszył się pan, że biali wyborcy nie spojrzą łaskawym okiem na pańską czarną kochankę?

- Cassidy! - Tony Crowder uderzył pięścią w biurko. Cassidy zerwał się z krzesła. Jego gniew skierował się przeciwko Crowderowi.

- Od początku śledztwa po raz pierwszy natrafiliśmy na jakiś namacalny dowód. Czy rzeczywiście oczekujesz ode mnie, że zapomnę o tym, ponieważ kobieta zamieszana w morderstwo była kochanką naszego sławnego kongresmana?

Poprzednia nonszalancja Petriego zniknęła. Czerwony z oburzenia, również poderwał się na nogi.

- Yasmine nie była moją kochanką. Czwała w stosunku do

mnie nadnaturalny pociąg, zresztą bez wzajemności. Można by to nazwać fatalnym zauroczeniem.

- Jest pan kłamcą. Dopóki nie okazał się pan facetem bez jaj, wasz romans był wzajemny.

- Była bardzo niezrównoważoną młodą kobietą.

- Bzdury.

- Miała skłonności do zażywania narkotyków.

- Zgodnie z protokołem autopsji działała co najwyżej pod wpływem zwykłej aspiryny.

- Najwidoczniej nie odpowiadało Yasmine, że moja pozycja...

- Och, założę się, że za to panu odpowiadała większość pozycji. Jaką lubi pan najbardziej? Na czy pod?

- Cassidy, nie życzę sobie! - ryknął Crowder, wstając z krzesła. - Nie życzę sobie, żeby kongresman Petrie był obrażany w moim biurze, gdy przyszedł tutaj z własnej woli, wykazując dużą dozę odwagi cywilnej.

- Do kurwy nędzy, nie mogę w to uwierzyć, Tony! - wykrzyknął Cassidy. - Chcesz położyć na tym krzyżyk, udawać, że nie istnieją wyniki badań balistycznych?

- Wiesz równie dobrze jak ja, że te badania niczego nie przesądzają. Poza tym wysłuchaj kongresmana do końca. Jego słowa brzmią przekonująco.

W Cassidym zawrzało.

- Tony, dlaczego...?

- Przekonał mnie, że Yasmine nie miała powodu, aby zamordować Wilde'a.

Cassidy wbił w kongresmana przenikliwe, nieustępliwe spojrzenie.

- Scena należy do pana. Niech pan to dobrze rozegra. Petrie szarpnął nerwowo za brzeg marynarki.

- Yasmine uważała Jacksona Wilde'a za błazna - powiedział. - Chociaż twierdził, że katalog Francuskiego Jedwabiu zawiera pornografię, ona nie traktowała tego poważnie. To wszystko. Kpiła ze mnie, że kiedy tu był, sypałem przed nim kwiaty.

- O, tak, jest pan przecież specjalistą w lizaniu dupy.

- Cassidy, zamknij się!

Cassidy zignorował przełożonego i jeszcze mocniej zaatakował.

- Mogłoby się wydawać, że na podium Wilde'a czuł się pan jak u siebie w domu. Jest pan taką samą żalosną, zasraną kreaturą, jaką był on. Takim samym napuszonym, samolubnym oportunistą, którego jedyny talent polega na nabieraniu ludzi.

Twarz Petriego stała się jeszcze bardziej czerwona, ale jego głos nadal pozostawał spokojny.

- Może mnie pan obrażać do woli. To nie zmieni wymowy faktów. W czasie, kiedy zastrzelono Wilde'a, Yasmine przebywała ze mną.

- Gdzie?

- W „Doubletree”.

- Całą noc spędził pan w „Doubletree” i nie wzbudziło to podejrzeń pani Petrie?

- Często zostaję w mieście, gdy zamierzam pracować do późna, a wcześniej rano następnego dnia mam umówione spotkanie.

- Tę wersję niech pan zachowa dla żony.

- Rozmawiam z panem otwarcie! - zawołał Petrie ze złością. - Przyznałem się, że byłem z Yasmine w „Doubletree”.

- Sprawdzę.

- Nie wątpię.

- Jak wyjaśni pan, że Wilde zginął od strzału z jej rewolweru, jeśli nie ona pociągnęła za spust?

- Może mógłbym rzucić nieco światła na ten problem.

- Niech pan spróbuje.

W reakcji na ten sarkastyczny ton Petrie zwrócił się do Crowdera.

- Byłem przy Yasmine w momencie, kiedy odnalazła swój rewolwer.

- Odnalazła?

- Tak. Był na dnie torby, którą wtedy miała ze sobą. Powiedziała, że nie mogła go znaleźć. Myślała, że zawieruszył się gdzieś w trakcie jej podróży między Nowym Jorkiem a Nowym Orleanem. .

Cassidy zaklął w duchu. To doskonale pasowało do opowieści Claire. Czyżby znowu musiał wrócić do punktu wyjścia? Jednakże nie zmienił wojowniczego nastawienia.

- Sugerowałbym, żeby zaczął pan przesłuchiwać osoby, które miały dostęp do torby Yasmine - powiedział Petrie. - I żeby przestał pan już się interesować, co ona robiła tamtej nocy.

- Co leżałoby przede wszystkim w pańskim interesie, nieprawdaż?

Nie zrażony uwagą Cassidy'ego, sięgnął po swoją skórzaną teczkę.

- Do pana należy ściganie i oskarżanie, panie Cassidy. - Uśmiechnął się sztucznie. - Ja jedynie staram się zaoszczędzić panu czasu, wysiłku i publicznej kompromitacji. Nie musiałem

tutaj przychodzić i nie musiałem mówić o nocy spędzonej z Yasmine. Zrobiłem to w poczuciu odpowiedzialności. Teraz pieniądze podatników nie zostaną stracone na następną bezsensowną pogoń.

- Nie chroni pan nikogo prócz siebie - powiedział drwiącym tonem Cassidy. - Tylko dlatego przyznał się pan wobec nas, że byliście kochankami, ponieważ boi się pan, aby nie dowiedzieli się o tym pańscy wyborcy.

Petrie ponownie posłał mu przelotny uśmiech.

- Niech pan lepiej skorzysta z rady pańskiego przełożonego. Pańskie aspiracje zawodowe zostały dostrzeżone i stosownie odnotowane, panie Cassidy. Jeśli jednak naprawdę chce pan zasiąść w tamtym fotelu - ruchem głowy pokazał w stronę biurka Crowdera - powinien pan nauczyć się reguł gry.

Cassidy przechylił głowę na jedną stronę.

- Niezłe przemówienie. Szkoda tylko, że wcześniej wyreżyserowane. Napisała je pańska małżonka?

Arogancja kongresmana prysnęła jak bańka mydlana. Petrie wybełkotał:

- Oczekuję, iż w najbliższym wydaniu wieczornym „Times Picayune” przeczytam, że technik, który przeprowadzał badania balistyczne, pomylił się, że asystent prokuratora okręgowego Cassidy odwołuje swoje zarzuty pod adresem Yasmine i że postanowiono zmienić kierunek śledztwa. Niech jej samobójstwo pozostanie niewytłumaczalnym czynem niezrównoważonej kobiety, która z powodów znanych jedynie sobie zdecydowała się położyć kres swojemu życiu na schodach mojego domu.

- Zmył już pan z tapety ślady jej mózgu?

- Cassidy!

- Albo może zmienił już pan tapetę?

- Cassidy!

Kolejny raz reprimendy Crowdera zostały zignorowane.

- Łatwo pan sobie z tym poradził, Petrie? Wystarczyło dodać do wody nieco proszku, prawda? Potem szuru-buru i po kłopotach? Czy tyle właśnie znaczyło dla pana jej życie?

Używając słów jak pocisków, Cassidy miał nadzieję zburzyć obronną fasadę wizerunku publicznego, za którą ukrył się Petrie. Pragnął zderzyć z niego maskę, stanąć naprzeciwko człowieka z krwi i kości, człowieka wściekłego, przestraszonego, wytraconego z równowagi. I w końcu osiągnął zamierzony cel.

- Yasmine nie była warta piekła, przez które musiałem

przejsć. - Petrie zdobył się na sztuczny uśmiech. - Była po prostu kurwą, najbardziej gorącą kurwą z tych, które miałem. Jakże mi przykro, że obrał pan sobie za cel nie Yasmine, ale jej zimną przyjaciółkę, Claire Laurent. Cassidy rzucił się na niego, pchnął go na fotel, przedramieniem przydusił mu gardło, a kolaniem wymierzył w krocze.

- Jeśli Yasmine była kurwą, to jak określić ciebie, ty sukinsynu?

Wzmocnił ucisk na tchawicę, kolaniem silniej przycisnął wrażliwe jądra. Petrie wydał z siebie piskliwy okrzyk bólu. Cassidy rozkoszował się przerażeniem, jakie dostrzegł w jego oczach.

Lecz satysfakcja Cassidy'ego nie trwała długo. Crowder był od niego prawie trzydzieści lat starszy, ale co najmniej dwadzieścia kilogramów cięższy i silny jak byk. Jednym gwałtownym szarpnięciem oderwał go od Petriego, który charcząc skulił się i wybełkotał:

- On zu... zupełnie oszalał.

- Bardzo przepraszam za porywczość mojego zastępcy - powiedział Crowder, powstrzymując jedną rękę napór Cassidy'ego.

Petrie poprawił marynarkę, przygładził włosy.

- Zamierzam wystąpić do sądu z oskarżeniem o czynne znieważenie. Mój adwokat zawiadomi was...

- W żadnym wypadku - przerwał mu Crowder. - Chyba że chce pan ujawnienia tematu naszej rozmowy. Jak na razie jej charakter jest poufny. Jeżeli wytoczy pan sprawę przed sądem, wtedy straci ten charakter.

Petrie nadął się jak północnoazjatycka żmija. Jednak pogróżka Crowdera najwidoczniej dotarła do jego świadomości. Nie powiedziawszy już ani jednego słowa, sztywnym krokiem opuścił biuro.

Przez dłuższą chwilę w biurze Crowdera panowała cisza, obaj mężczyźni zastygli bez ruchu. W końcu Cassidy odepchnął ze złością ręce przełożonego.

- Wiem, co sobie myślisz - powiedział Crowder.

- Możesz mieć o tym ledwie niewyraźne pojęcie - odrzekł Cassidy. Nadal był wściekły na mężczyznę, którego zawsze podziwiał i szanował. Czuł się jak rozczarowane dziecko, które w swoim bohaterze dostrzegło słabość. - Dlaczego to zrobiłeś, Tony?

Crowder wrócił za biurko i ciężko usiadł.

- Miałem wobec Petriego dług wdzięczności. Popierał mnie podczas ostatnich wyborów. Jest oślizłym, zarozumiałym,

pewnym siebie dupkiem. Ale niestety ma za sobą polityczne przebicie i pieniądze. Wybiorą go znowu. Ja w przyszłym roku odchodzę na emeryturę. Nie chcę przez ostatni rok funkcjonować ze stopą Petriego na gardle. Pragnę odejść spokojnie, nie unurzany w politycznym szambie.

Zerknął na Cassidy'ego wzrokiem proszącym o zrozumienie. Cassidy milcząc podszedł do okna. Widział stąd, jak Petrie, otoczony gromadką reporterów z kamerami i mikrofonami, składa oświadczenie. Nie słyszał, co mówi kongresman, ale było oczywiste, że każde jego kłamstwo zostanie odpowiednio zaprezentowane w wiadomościach o piątej. Najsmutniejsze było to, że łatwowierna publiczność zawsze jest skłonna wierzyć szczeremu uśmiechowi i ujmującej twarzy.

- Być może dawniej, kiedy byłem zawzięty, piękny i młody jak ty, przybiłbym mu jaja zardzewiałym gwoździem do podłogi - ciągnął Crowder. - Powiedziałbym, że w śledztwie kryminalnym nie ma miejsca na rozgrywanie własnych interesów. Że wzajemne drapanie się po plecach kończy się przed tymi drzwiami. - Pokazał palcem na drzwi swojego biura. - Nie ma wątpliwości, że gdybym w tej sprawie stał na solidnym gruncie, posłałbym go do wszystkich diabłów. Ale w obecnej sytuacji słuszność jest po jego stronie, Cassidy. Jeśli przyszedł tu z własnej woli i przyznał się do posiadania kochanki, musimy mu wierzyć, gdy twierdzi, że była z nim tamtej nocy.

- Kurwa mać - mruknął Cassidy pod nosem. Odwrócił się od okna. - Myślę czasami, że to wszystko widziałem w koszmarze: zwłoki Wilde'a, trzy paskudne rany postrzałowe, krew. Wielebny Wilde został zamordowany, prawda? - Zgadza się, został.

- Więc, do cholery, ktoś go zabił.

- Ale nie Yasmine. Już zdażyłem wysłać policjantkę do „Doubletree”, żeby sprawdzić historyjkę Petriego. Jeszcze przed twoim przyjściem dostałem tę wiadomość: Petrie nocował tam wtedy. Pamiętają go co najmniej cztery osoby z personelu.

- Dobrze, dobrze. A co z Yasmine?

- Jej nikt nie widział. Ale ponieważ mieli schadzkę, mogła się o to specjalnie postarać. Poza tym można wejść do hotelu bocznymi drzwiami i dostać się do windy bez potrzeby przechodzenia przez hall.

Cassidy wsunął ręce do kieszeni.

- Zatem wracamy do punktu wyjścia.

- Niezupełnie - powiedział cicho Crowder.

- Co masz na myśli?

- Bardzo prostą rzecz, Cassidy. Prostą od samego początku. Kiedy my tu rozmawiamy, morderca siedzi w twoim biurze. - Claire tego nie zrobiła.

Crowder zaczął stukać wskazującym palcem w powierzchnię biurka.

- Miała taki sam motyw jak Yasmine, tylko znacznie silniejszy. Miała okazję, ponieważ, jak obaj wiemy, nie potrafi przekonująco wyjaśnić, co robiła w czasie popełnienia morderstwa. Do tego dysponujemy taśmą z nagraniem jej rozmowy, w której prosi przyjaciela o dyskrecję. A włókna znalezione na miejscu zbrodni pasują do wykładziny w jej samochodzie. Miała dostęp do rewolweru Yasmine i sposobność odłożenia go na miejsce. Mój Boże, człowieku, potrzebujesz czegoś więcej? - Ona tego nie zrobiła - powtórzył zdecydowanie Cassidy.

- Jesteś przekonany o jej niewinności?

- Tak.

- Na tyle, żeby zaryzykować własną karierę? Do biura zajrzała sekretarka Crowdera.

- Bardzo przepraszam, ale ta pani nalegała...

Z progu odsunęła ją Ariel Wilde. Była ubrana w biały kostium przypominający szatę ceremonialną, którą nosiła podczas występu telewizyjnego.

- O, jakże miło, że nas pani odwiedziła - powiedział uszczypliwie Cassidy. - Niechże mi będzie wolno przedstawić: prokurator okręgowy Crowder. Panie prokuratorze, pani Wilde.

Spoczęło na nim zimne spojrzenie błękitnych oczu.

- Odpowie pan przed sądem bożym. Ze śmierci mojego męża uczynił pan farsę.

Cassidy uniósł brwi.

- Farsę? Chciała pani powiedzieć: „farsę”? A co pani uczyniła ze swojego małżeństwa romansując z własnym pasierbem?

- Nie mam już pasierba. Pod pańskim wpływem stał się judaszem. Jego również Bóg ukarze.

- W jaki sposób Bóg karze kłamców? Okłamała mnie pani, nieprawdaż? Nocą, kiedy został zamordowany pani mąż, około północy opuściła pani Josha i udała się do swojego apartamentu.

- Cassidy, do czego zmierzasz?

- Odkryłem kilka dni temu, że Josh podczas pobytu w Nowym Orleanie wynajął chryslera z opuszczanym dachem. Przypadkowo ten samochód jest bardzo podobny do pojazdu Claire Laurent i ma taki sam rodzaj wykładziny.

- Jestem tutaj, by oświadczyć... Cassidy nie pozwolił jej skończyć.
- Jechała pani wynajętym samochodem Josha. Mogła pani przenieść włókna z wykładziny samochodu do sypialni męża, gdy poszła pani do niego, by go zabić.
- Mogłam przenieść je w każdym czasie! - krzyknęła. - Zamiast szukać mordercy mojego męża torturuje pan mnie i moje nie narodzone dziecko.

Jak gdyby na ukryty sygnał przez otwarte drzwi wtargnęło do środka dwóch reporterów w towarzystwie operatora kamery wideo. Ariel wsparła ręce na biodrach.

- Jeśli stracę dziecko, wina spadnie na pańską głowę, panie Cassidy. Z tego, co przeczytałam w gazetach, wynika, że śmierć mojego męża ma coś wspólnego z tym plugawym katalogiem i kurwą, która w nim pozowała.
- Yasmine nie była kurwą.

To spokojne oświadczenie pochodziło od Claire, która nieoczekiwanie stanęła w drzwiach. Temperament Cassidy'ego znowu dał o sobie znać.

- Powiedziałem przecież, żebyś się nie ruszała z miejsca! -krzyknął.
- Nierządnicza! - zawołała Ariel, wycelowawszy w Claire wskazującym palcem.
- Niech wszyscy natychmiast wyjdą z mojego ł>iura! - ryknął Crowder. - Kto wpuścił tu dziennikarzy?

Ariel wbiła wzrok w Claire. Zmrużyła oczy w dwie złośliwe szparki.

- Nareszcie spotkałyśmy się twarzą w twarz.
- Nigdy za tym nie tęskniłam.
- Zapłata za grzech jest śmierć - syknęła Ariel.
- Istotnie - odrzekła Claire. - Właśnie dlatego twój mąż musiał umrzeć. - Odwróciła się i spojrzała Cassidy'emu prosto w oczy. - I właśnie dlatego musiałam go zabić.

Rozdział XXVIII

Od tej chwili wszystko zaczęło następować tak szybko, że Claire nie była w stanie odtworzyć potem dokładnego przebiegu wydarzeń.

Ariel osunęła się na kolana, skierowała złożone dłonie ku niebu i zaczęła głośno dziękować Bogu za podniesienie potężnego miecza sprawiedliwości.

Crowder krzyknął, by służba bezpieczeństwa opróżniła jego biuro.

Reporterzy wymierzili mikrofonami w kierunku Claire i zaczęli wyrzucać z siebie pytania.

Operator kamery wszedł w ubłoconych trampkach na skórzany fotel, licząc, że stąd będzie miał znacznie lepsze ujęcie całej sceny.

Za plecami Claire sekretarka zawołała: „Och, mój Boże!” Do biura zaczął napływać tłum zwolenników Ariel.

Kiedy później Claire przypominała sobie pierwsze burzliwe momenty, które nastąpiły po jej oświadczeniu, wspomnienia składały się z zamazanych obrazów, jak gdyby obserwowała wszystko przez zaparowaną szybę w oknie. Coś jednakże przechowała w pamięci ze szczególną wyrazistością - sposób, w jaki Cassidy na nią spojrział. Jego twarz jak zwierciadło odbiła całą gamę emocji. Niedowierzanie. Wyrzuty sumienia. Poczucie winy.

Oszłomienie. Rozczarowanie. Ból. A jednak ów kalejdoskop przeżyć pozostał bez wpływu na zdecydowane, twarde spojrzenie jego błyszczących oczu.

Ariel skończyła modlitwę, podniosła się z klęczek i oskarżycielsko wskazała palcem na Claire.

- Ona zamordowała mojego męża, jednego z najwybitniejszych przywódców duchowych naszego stulecia!

Operator kamery z wielkim trudem starał się to wszystko zarejestrować. Reporterzy nadal zarzucali Claire pytaniami. Coraz liczniejszy tłum napierał od zewnątrz. Jej nazwisko powtarzano z rosnącą nienawiścią, słychać było szmer oburzenia. Zgromadzenie zaczęło przypominać linczującą tłuszcę.

- Wszystko przez nią! - usłyszała wołanie jakiegoś mężczyzny.
- Niech ona i Francuski Jedwab zginą w ogniu piekielnym! Okrzyki stały się głośniejsze, epitety - bardziej dosadne. Crowder polecił reporterom opuścić pomieszczenie i usunął operatora kamery z jego stanowiska. Kamera runęła na podłogę, a jej posiadacz podniesionym głosem zaczął oskarżać Crowdera o naruszenie jego praw wynikających z Pierwszej Poprawki do Konstytucji.

Ponieważ kamera przestała działać, ale nie została przy tym zniszczona, Crowder zignorował go i skierował uwagę na Ariel.

- Proszę natychmiast zabrać stąd swoją gromadę!

- Zemsta należy do mnie, powiedział Pan - zawołała, wznosząc ku niebu fanatycznie roziskrzone oczy.

Cassidy, najwyraźniej zelektryzowany postępowaniem tłumu i jego rosnącą wrogością, ruszył w kierunku Claire.

- Jeszcze chwila, a rozerwą ją na strzępy! - krzyknął do Crowdera. - Zabieram ją stąd.

- Dokąd? Cassidy!

Po chwili Claire straciła z oczu Crowdera, ponieważ Cassidy objął ją ramieniem, obrócił i podjął trud przedzierania się przez gęstniejący tłum.

- Zróbcie przejście! Zabierzcie tych ludzi! ' Sekretarki i urzędnicy zareagowali na autorytatywny ton głosu Cassidy'ego i zaczęli grzecznie wzywać ludzi do rozejścia się. Nikt ich nie słuchał. Moment później na scenie pojawili się wreszcie umundurowani funkcjonariusze ochrony. Natychmiast wmieszali się w tłum, rzucając rozkazy oraz grożąc aresztowaniem najbardziej opornych.

Claire i Cassidy posuwali się w stronę klatki schodowej. Kiedy dotarli do odpowiednio oznaczonych drzwi, drogę zagroził im krępy mężczyzna ubrany w bawełnianą koszulkę z napisem BÓG JEST MIŁOŚCIĄ.

- Spłoniesz w piekle za to, co zrobiłaś, siostró - powiedział szyderczo do Claire.

- Zejdź z drogi albo dane ci będzie ujrzeć piekło znacznie szybciej niż jej - warknął Cassidy.

Mężczyzna burknął coś pod nosem, wyciągnął rękę i szarpnął Claire za włosy, wyrwijąc z głowy kilka kosmyków. Claire krzyknęła z bólu. Instynktownie osłoniła dłońmi głowę.

Cassidy również działał instynktownie. Wymierzył agresorowi potężny cios w żołądek, a kiedy tamten zgiął się wpół,

poprawił ciosem w podbródek, odrzucając mężczyznę na ścianę.

Dookoła podniosły się krzyki. W przeciągu kilku sekund wybuchła panika. Cassidy szarpnął za drzwi i wypchnął przez nie Claire, tak że potykając się wypadła na podest.

Chwycił za kołnierz funkcjonariusza ochrony i jak tarczą zablokował nim wyjście.

- Daj mi tyle czasu, żebym zdążył wyprowadzić ją na zewnątrz budynku. Nie pozwól nikomu przejść przez te drzwi. Strażnik, nie rozumiejąc do końca, o co chodzi, automatycznie skinął głową.

Cassidy ujął Claire za rękę i pociągnął za sobą schodami na dół.

- Wszystko w porządku?

Claire zdała sobie sprawę, że jest zbyt przestraszona, aby wydobyć z siebie głos. Skinęła głową, jak przed chwilą zdumiony strażnik, ale Cassidy nawet się nie odwrócił.

Ledwie znaleźli się na zewnątrz, Cassidy pociągnął ją za sobą na tyły budynku, gdzie zostawił na parkingu swój samochód.

- Gówno! - Zatrzymał się tak gwałtownie, że Claire zazgrzytały zęby. - Kluczyki od samochodu zostawiłem na biurku.

Nie zastanawiał się długo. Pobiegł czym prędzej na pobliską parcelę, by po kilkunastu sekundach wrócić z cegłą w rękę. - Odwróć głowę.

Rozbił szybę, sięgnął między rozbite szkło i otworzył drzwi, potem wepchnął Claire do środka i zatrasnął je, zanim zdążyła wygodnie usiąść. Sam pospiesznie zajął miejsce za kierownicą.

- Jak zamierzasz go uruchomić?

- Sposobem złodziei.

Po minucie kluczyli już w labiryncie jednokierunkowych uliczek otaczających kompleks budynków, które stanowiły siedzibę władz miejskich. Cassidy pochwyił słuchawkę telefonu komórkowego i rzucił ją na kolana Claire.

- Zadzwoń do Francuskiego Jedwabiu. Powiedz, żeby wszyscy opuścili budynek i trzymali się od niego z daleka.

- Przecież tamci nie ośmielą się...

- A jednak sama widziałaś, że wrócili. Bóg jeden wie, co tym maniakom przyjdzie do głowy, kiedy usłyszą, że się przyznałaś. Claire obawiała się o budynek, o jego kosztowne wyposażenie, ale przede wszystkim o bezpieczeństwo pracownic. - Moja matka. Muszę zabrać ją w bezpieczne miejsce.

- Właśnie myślę - powiedział przez zaciśnięte zęby, przejeżdżając na żółtym świetle przez skrzyżowanie.

Claire połączyła się z sekretarką.

- W sprawie Wilde'a zaistniały nowe okoliczności. -Zerknęła w stronę Cassidy'ego. Na krótko odwzajemnił jej spojrzenie. - Nie byłoby bezpiecznie pozostawać dzisiaj we Francuskim Jedwabiu. Wyślij wszystkich do domu. Tak, natychmiast. Powiedz im, żeby nie wracały do pracy, dopóki nie otrzymają zawiadomienia, ale zapewnij, że za ten czas otrzymają pełne wynagrodzenie. Zabezpiecz budynek. Szybko. Teraz połącz mnie, proszę, z apartamentem. Czekaając na połączenie, powiedziała do Cassidy'ego: - Musisz zawieźć mnie do domu.

- Nie mogę, Claire. Ariel dysponuje bardziej efektywnym systemem komunikacyjnym niż jakakolwiek służba publiczna. Ale masz rację, jeżeli przyjdzie im do głowy przypuścić szturm na budynek, Mary Catherine nie będzie bezpieczna. Ta myśl wprawiła Claire w panikę.

- Musisz zawieźć mnie do niej teraz.

- Nie mogę.

- Na litość boską...

- Czy Harry mogłaby zabrać ją do siebie?

- Muszę...

- Nie kłóć się ze mną, do cholery! Czy Harry może ją zabrać do siebie?

Claire była skłonna wdać się z nim w sprzeczkę, ale ostatecznie uznała jego racje. Do mikrofonu powiedziała lapidarnie:

- Halo, Harry, to ja. Słuchaj uważnie. - Wydawszy dyspozycje dodała: - Wiem, że wiele od ciebie wymagam, ale chcę być pewna, iż mama znajdzie się pod troskliwą opieką w bezpiecznym miejscu. Postaraj się zaoszczędzić jej niepokoju. Nie, jestem pewna, że świetnie sobie z tym poradzisz. Ale czas nagli. Zabierz ją bezzwłocznie. Tak, będę ostrożna. Później zadzwonię i dam znać, gdzie jestem.

Odłożyła słuchawkę, wyprostowała się i zapatrzyła przed siebie. Cassidy lawirował w ruchu ulicznym, wybierając ulice na chybił trafił. Prowadził dobrze, ale przede wszystkim szybko.

- Nie powinieneś odwieźć mnie na posterunek policji?

- Później. Muszę mieć pewność, że nie dostaniesz się w łapy jakiegoś szaleńca, który wyznaje zasadę „oko za oko”.

- Wobec tego dokąd jedziemy? - Jestem otwarty na sugestie.

- Więc jeszcze nie znasz miejsca przeznaczenia?

- Odrzuciłem co najmniej tuzin różnych możliwości. Nie

mogę zabrać cię do Francuskiego Jedwabiu, natomiast kiedy odkryją, że ciebie tam nie ma, będą cię szukać u mnie.

- Mamy do dyspozycji setki hoteli i moteli.
- Będą sprawdzać książki meldunkowe.
- Nawet poza miastem? Pokręcił przecząco głową.
- Samochód z rozbitą szybą byłby bardzo łatwy do zauważenia.
- Odwieź mnie z powrotem. Gwizdnął.
- Nieprawdopodobne. Lecz nie zrobię tego, nawet jeśli jesteś zdecydowana na śmierć.
- Przyznałam się do morderstwa, Cassidy. Do zbrodni. Będą mnie szukać wszyscy policjanci w tym stanie. Nie chcę pogorszyć swojej sytuacji przez ucieczkę.
- Nie jesteś uciekinierem, dopóki znajdujesz się pod moją opieką. Przy najbliższej okazji zadzwonię do Crowdera. Kiedy sprawa się wyjaśni, odstawię cię do aresztu. Mam nadzieję, że uda nam się uniknąć wścibskich nosów dziennikarzy. Jednak póki co muszę się upewnić, iż nic ci nie grozi ze strony jakiegoś sukinsyna z Biblią w jednym ręku i obrzynem w drugim.

Nie dramatyzował nadmiernie. Dotknęła bolesnego miejsca na głowie i zadrżała na wspomnienie nienawiści, jaką ujrzała w oczach tamtego mężczyzny.

- Masz jakiś pomysł? - zapytał. - Niestety nie posiadam jachtu, łodzi ani...
- Dom ciotki Laurent - powiedziała nagle Claire. - Od lat stoi zamknięty. Mało kto wie, że wciąż należy do mnie.
- Masz przy sobie klucz?
- Nie, ale wiem, gdzie jest ukryty.

Znalazła klucz pod kamieniem przy trzecim krzewie kamelii licząc od lewej strony werandy. To samo miejsce służyło za kryjówkę, odkąd Claire sięgała pamięcią. Cassidy obawiał się zaparkować samochód przed frontowymi drzwiami, więc pozostawił go w bocznej alejce.

Przekroczenie progu domu było jak przejście przez zasłonę czasu. Chociaż w powietrzu unosił się intensywny zapach wilgoci, charakterystyczny dla każdej opuszczonej ludzkiej siedziby, zmysł powonienia Claire został podrażniony przez serię przyjemnych wspomnień: różanych perfum ciotki Laurel, kulek zapachowych zrobionych z wysuszonych skórek pomarańczowych, zakurzonych koronek, herbaty jaśminowej i świeczek na Boże Narodzenie.

Widok korytarza przeniósł ją w czasy dzieciństwa. Niektóre wspomnienia z tamtego okresu były wyblakłe jak zasłony w oknach po obu stronach frontowych drzwi, inne - wyraźne i żywe jak kolory w prawdziwym perskim chodniku. Niektóre były złote jak promienie słońca, które rzucały na ścianę cętko-wane cienie. Inne były tak ponure jak zegar dziadka, który przestał tykać i stał w kącie, wysoki i cichy. Cassidy zatrzasnął drzwi i z powrotem zamknął je na klucz, następnie wyjrzał przez okno, by sprawdzić, czy nikt nie podąża ich śladem albo czy nie wzbudzili ciekawości jakichś wścibskich sąsiadów. Odwróciwszy się do wewnątrz zbadał wzrokiem otoczenie. Claire pilnie śledziła jego reakcje, uświadamiając sobie, że pragnęłaby, aby podzielał jej uczucia wobec tego domu. - Kiedy byłaś tutaj po raz ostatni? - zapytał. - Wczoraj. - Na widok jego zdumionej twarzy uśmiechnęła się. - Przynajmniej tak mi się wydaje. - To wygląda na domek babuni.

- Miałaś babcię, Cassidy?

- Tylko jedną. Ze strony mojej matki.

- Miałaś ciotki, wujków i mnóstwo kuzynów?

- W pełnym asortymencie.

- Hmm. Mnie zawsze bardzo ich brakowało. - Uśmiechnęła się smutno. - Chodź za mną - poprosiła. - Pokażę ci podwórze, moje ulubione miejsce. Później zabiorę cię na górę.

- Jest tutaj telefon?

- Został rozłączony, kiedy się wyprowadziłam.

- Będę musiał skorzystać z telefonu w samochodzie.

- W tej chwili? - zapytała rozczerowana.

- Nie w tej chwili, ale wkrótce.

- Rozumiem.

Przeszli przez pokój jadalny, minęli osobliwą kuchnię i weszli do pomieszczenia nazwanego przez Claire „pokojem słonecznym”, skąd okna wychodziły na trzy strony i gdzie stały wiklinowe meble, przybrane poduszkami w poszewkach z kwiecistego perkalu. Claire otworzyła francuskie drzwi, pchnęła je i wyszła na podwórze wyłożone wiekowymi cegłami. - Za tamtymi podwójnymi drzwiami znajduje się salon - powiedziała pokazując ręką. - Nad nim, na pierwszym piętrze, była moja sypialnia. Od czasu do czasu latem, kiedy moskity nie dokuczały tak bardzo, mama i ciotka Laurel pozwalały mi wynieść siennik na tamten balkon. Uwielbiałam zasypiać przy dźwiękach wody tryskającej z fontanny. A rano budził mnie zapach świeżej kawy i kapryfolium.

Gąszcz glicynii i zwinny, płochliwy kameleon pozostały jedynymi żywymi istotami na podwórzu. Fundamenty fontanny były popękane i rozkruszone, misa wokół nagiego cherubina -wypełniona stojącą wodą deszczową i opadłymi liśćmi.

- Dawniej wszędzie wisały paprocie. Sadziłyśmy je w glinianych donicach. Każdej wiosny siałyśmy kwiaty, które kwitły później nawet do grudnia. Prawie w każdy ciepły wieczór jadłyśmy kolację na zewnątrz. Zanim poszłam do szkoły, mama siadywała w tym fotelu i opowiadała mi bajki - powiedziała gładząc zardzewiałe oparcie. - Kiedy na to patrzę, ogarnia mnie smutek. To tak, jakby przyglądać się zwłokom kogoś, kogo się kochało. - Jeszcze raz ogarnęła smutnym spojrzeniem podwórze, a potem weszła z powrotem do budynku. W kuchni sprawdziła zawartość jednej z metalowych puszek. - Zaparzę herbatę. Napijesz się?

Nie czekając na odpowiedź, włączyła kuchenkę i postawiła na niej napełniony wodą czajnik. Sięgała do szafki po porcelanowe filiżanki, kiedy Cassidy chwycił ją za dłonie i odwrócił twarzą do siebie.

Nadejście tej chwili było nieuniknione. Domyślała się, że Cassidy sam w końcu zapytałby o to, co starała się zachować dla siebie jak najdłużej.

- Claire - zapytał łagodnym tonem - dlaczego zabiłaś Jacksona Wilde'a? - Utkwił w jej oczach intensywny wzrok. Nadszedł czas.

- Jackson Wilde był moim ojcem.

Rozdział XXIX

Wiosna 1958.

Panował prawdziwy upał, chociaż maj trwał zaledwie kilka dni. Kwiaty rozkwitły w takiej obfitości, że powietrze było przesiąknięte intensywnym słodkawym zapachem. Świeże liście drzew i krzewów przybrały odcień głębokiej, soczystej zieleni. Witalność wiosny udzieliła się trójce młodych dziewcząt, przepelniając je żądzą życia, której nie mogły zaspokoić lekcje literatury angielskiej, geometrii, francuskiego czy chemii.

Tego dnia dziewczęta wybrały się na wagary do francuskiej dzielnicy, by tu szukać przyjemności zakazanych dla dobrze wychowanych panien. Objadły się hot-dogami kupionymi w prowizorycznym stoisku i dały sobie powróżyć z ręki Cygance z papugą na ramieniu.

Alice, ośmielona przez Lisbet, zajrzała do jednego z salonów ze strip-teasem, których wiele było na Bourbon Street. Chwilę wcześniej prowadzący interes otworzył dla żartu drzwi akurat, gdy przechodziła obok. Piszcząc wróciła do miejsca, gdzie czekały na nią przyjaciółki.

- Co widziałaś?

- To było niesmaczne - pisnęła Alice.

- Była naga?

- Jeśli nie liczyć frędzli. Wirowała piersiami.

- Kłamczucha - powiedziała Lisbet.

- Przysięgam.

- Tego nie da się zrobić. To jest anatomicznie niewykonalne.

- Właśnie, że wykonalne, jeśli ma się takie małe jak twoje - dogryzła jej Alice.

Wmieszła się Mary Catherine. Często odgrywała rolę rozjemcy. Nie znosiła kłótni, a już szczególnie między własnymi przyjaciółkami.

- Nie miała na sobie nic więcej?

- Absolutnie. Chociaż nie. Miała maleńki błyszczący trójką-cik na tym, co to wiecie.

- Na cipce? - Zaszokowane dziewczęta wytrzeszczyły oczy na Lisbet. - No co? Mój brat tak to nazywa.

Brat Lisbet był słuchaczem drugiego roku college'u w Tulane i wzbudzał emocje koleżanek swojej młodszej siostry.

- Alice prychnęła pogardliwie.

- Owszem, on mógł coś takiego powiedzieć. Jest grubiański, nieokrzesany i towarzysko nie do przyjęcia.

- A ty kochasz się w nim na zabój - zadrwiła Mary Catherine.

- Nieprawda.

- Ależ prawda, nie wypieraj się.

- To i tak nie ma znaczenia - powiedziała Lisbet, puszczając zakładki swojej szkolnej sukienki w szaro-niebieską kratę. - On lubi Betsy Bouvier. Opowiedział mi, jak podczas ostatniej randki włożył jej rękę pod spódnicę. - Zerknęła przez ramię na Alice. - Nie przejmuj się, Alice!

- Och!

- Czy „pizda” znaczy tyle samo co „cipa”? - zapytała Mary Catherine, przyspieszając kroku, by dogonić koleżanki.

- Szesz! - Przyjaciółki upomniały ją wzrokiem. - Mój Boże, Mary Catherine, czy ty naprawdę niczego nie wiesz?

- Czego chcecie? Ja nie mam brata. Czy tego słowa używa się na oznaczenie tej samej rzeczy?

- Tak.

- Ale - dodała Alice - jeżeli kiedykolwiek jakiś mężczyzna wypowie je w twojej obecności, powinnaś uderzyć go w twarz.

- Albo kopnąć mocno kolaniem w „orzechy”.

- A więc to brzydki wyraz?

- Chyba najbrzydszy - odrzekła Lisbet, dramatycznie przewracając oczami.

- Wczoraj powiedziałaś, że najbrzydszym wyrazem jest „pierdolić”.

Dziewczęta wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i pokręciły głowami nad ignorancją koleżanki.

- Jest beznadziejna.

Zatrzymały się przy wystawie sklepu z upominkami. Udając, że oglądają maski karnawałowe, studiowały uważnie sztuczny fallus umieszczony w zwykłym kubku do kawy.

- Myślicie, że one rzeczywiście są takie duże, kiedy... no, wiecie... kiedy to się robi? - zapytała szeptem Alice.

Lisbet odpowiedziała tonem znawczyni: - Ależ znacznie większe niż ten. - Skąd wiesz?

- Słyszałam.

- Od kogo?

- Nie mogę sobie przypomnieć, ale ta dziewczyna mówiła mi, że to jest ogromne, i boli jak wszyscy diabli, gdy wdziera się do środka.

Mary Catherine otworzyła usta ze zdumienia.

- Znasz kogoś, kto rzeczywiście to robił?

Lisbet, przyparta do muru, nie potrafiła podać żadnego nazwiska, więc prawdziwość jej słów była wątpliwa.

- Nie mogę się doczekać, kiedy sama to przeżyję - wyznała Alice, gdy po odejściu od sklepu szły dalej.

- Mimo że to bardzo boli? - Mary Catherine pomyślała, że wszystko to jest przerażające, a także niestosowne dla prawdziwej damy.

- Boli tylko za pierwszym razem, gąsko. Kiedy już stracisz wianek, wszystko jest w porządku.

- Co to jest wianek?

Dwie pozostałe siedemnastolatki wybuchnęły śmiechem, zataczając się pod ścianę jazzowej kafejki.

Rozmowy dziewcząt nieuchronnie krążyły wokół spraw seksu. Zakonnice pouczyły je, że rozważanie tych problemów należy do najcięższych grzechów, więc Mary Catherine i jej dwie najbliższe przyjaciółki zapamiętały go popelniały. Spekulowały na temat wszystkiego, poczynając od zagadnienia, czy zakonnice golą sobie łona tak samo jak głowy, na szczegółach męskiej anatomii kończąc.

W tajemnicy postarały się o książki Jamesa Jonesa, Jamesa Yoyce'a, Jamesa Baldwina - Lisbet zauważyła, że coś musiało być w imieniu tych mężczyzn, co wyczulało ich na erotyzm - i uważnie przestudiowały opisy aktu płciowego, dla wygody podkreślone już przez poprzednich czytelników. Lecz czasem nawet i te fragmenty wydawały się dziewczętom zanadto eufemistyczne i zawoalowane.

Mary Catherine miała wrażenie, że im więcej dowiaduje się o seksie, tym więcej pozostaje do odkrycia. Każdy okruch zdobytej wiedzy przelewała na papier, dając w ten sposób ujście frustracji. Każdego dnia po wieczornej modlitwie powierzała wszystko oprawionemu w skórę i zamykanemu na małą kłódkę pamiętnikowi. Tego wieczoru zamierzała wypełnić kilka stron nowym słownictwem i spostrzeżeniami.

Dziewczęta krążyły po dzielnicy. Były uderzająco piękne, a ich młode, ale dojrzałe już ciała wyglądały dziwnie w bezbarwnych szkolnych uniformach. Kształtne łydki miały jakby stworzone do pantofelków na wysokich obcasach i jedwabnych pończoch, a nie do ciężkich butów i grubych skarpet.

Doszły do placu Jacksona i przystanąły, by poplirtować z domorosłym artystą o rudej koziej bródce, który cierpliwie czekał na turystów. Wśród porozkładanych rysunków najlepszym jego dziełem był wykonany kolorowymi kredkami portret Marilyn Monroe.

- Na pewno namalował jeszcze jeden portret, na którym dla odmiany przedstawił ją nagą - powiedziała Lisbet z przekonaniem. - Trzyma go u siebie gdzieś na zaszczurzonym strychu i wieczorami branzluje się patrząc na obraz.

- Jak myślicie, czy kiedykolwiek jakiś mężczyzna będzie się branzlował na widok mojej podobizny? - zapytała tęsknym głosem Alice.

- Dobrze zrobisz, jeśli w tym tygodniu pójdziesz do spowiedzi na dwie raty - powiedziała Lisbet. - Nic, tylko seks ci w głowie.

- Ja? Przecież to ty jesteś chodzącą encyklopedią seksu. Albo przynajmniej za taką się uważasz.

- Po prostu wiem i widziałam nieco więcej od ciebie dzięki mojemu bratu...

- Znowu tutaj jest.

Słowa Mary Catherine zatrzymały obie pozostałe dziewczęta w pół kroku. Powiodły oczami w ślad za jej zachwyconym spojrzeniem w kierunku pomnika Andrew Jacksona, a właściwie -w kierunku młodego mężczyzny, który wygłaszał właśnie porywające kazanie do kilku przechodniów, jednego zatopionego w ekstazie narkomana i gromady gołębi.

- Pan jest zmęczony grzechami swoich dzieci - mówił, uderzając otwartą dłoń w zniszczoną Biblię. - Spogląda z góry na ziemię i widzi kłamstwo, hazard, pijaństwo, niewierność, cudzołóstwo...

- To słowo również znaczy tyle co „pierdolić” - Lisbet szeptem poinformowała Mary Catherine.

Mary Catherine wzruszyła niecierpliwie ramionami. Młody kaznodzieja pociągał ją nie tyle tym, co mówił, ile pasją, z jaką to robił.

- Zbliża się dzień sądu, panie i panowie. Bóg nie zamierza dłużej znosić naszych grzechów. - Z kieszeni na piersi wyciągnął chusteczkę i otarł czoło zroszone potem pod grzywką ciemnoblonde włosów. - Modłę się za grzeszników, by opamiętali się i by Bóg ich oszczędził. - Zaciśnął zęby, zamknął powieki i zwrócił twarz ku niebu. - Panie Boże, otwórz im oczy. Słodki Jezu, zlituj się nad ich słabościami. Daj im siłę do walki z szatanem i plugawymi nawykami.

Dziewczęta minęły bramę na placu Jacksona i podeszły bliżej.

- Całkiem interesujący facecik - powiedziała Lisbet.

- Tak myślisz? - zapytała Alice.

- Mhm.

Lisbet odwróciła się do Mary Catherine, która nadal wpatrywała się, zauroczona, w kaznodzieję.

- Zdaje się, że Mary Catherine jest w nim zabujana. Nie sądzisz, Alice?

Twarz Mary Catherine oblała się rumieńcem.

- Pierwszy raz widziałam go w sobotę przed tygodniem, kiedy tata zabrał mnie do Caf  du Monde na śniadanie. Stał w tym samym miejscu. Zebrał się wtedy spory tłum ludzi, a on kładł na nich dłonie.

- Na czym dokładnie? - zapytała Alice, przysuwając się do Mary Catherine.

- Na głowach, głupia - odrzekła pogardliwie Lisbet. - To były przecież ich głowy, no nie?

- Tak - wtrąciła się Mary Catherine. - Jeśli ktoś pragnie być ocalony, dzięki dotykowi jego rąk otrzymuje Ducha Świętego.

- A więc pozwólmy się ocalić - zasugerowała podekscytowana Lisbet.

- Już jesteśmy ocalone. - Po chwili z mniejszym przekonaniem Alice zapytała: - Jesteśmy, prawda?

- No, pewnie. Zostałyśmy ochrzczone. Co niedziela chodzimy na mszę. Ale on tego nie wie. - Lisbet odwróciła się do Mary Catherine. - Chodź, damy się ocalić.

- Chodźmy - zawtórowała Alice. - Zobaczymy. No, dalej!

- Nie!

- Tchórzysz?

Kaznodzieja zapraszał wszystkich, którzy znaleźli się w zasięgu jego głosu, do podejścia i podania mu ręki. Równie dobrze można przyjąć Pana Jezusa dzięki dotykowi dłoni - wyjaśnił słuchaczom.

- Drodzy bracia i siostry, chyba nie chcecie iść do piekła?

- Przecież nie chcesz iść do piekła, Mary Catherine - powiedziała poważnie Alice. - Dalej, on patrzy wprost na ciebie.

- Nieprawda, patrzy na nas wszystkie.

- Patrzy wyłącznie na ciebie. Być może dostrzegł w tobie prawdziwą grzesznicę. Pozwól się ocalić. - Lisbet mocno pchnęła przyjaciółkę do przodu. Mary Catherine opierała się, ale głos młodego kaznodziei w jakiś dziwny sposób - w sposób, którego nie umiałaby wytłuma-

czyć ani zrozumieć - przyciągał ją, kusił. Przed kilkoma laty w miejscowej parafii pracował młody przystojny wikary. Ona oraz jej dwie przyjaciółki kochały się w nim z grzeszną pasją. Chodziły niemal na każdą mszę, którą odprawiał. A jednak tamten ksiądz wywierał na Mary Catherine dużo mniejsze wrażenie niż ten skromnie ubrany, lecz pełen energii uliczny kaznodzieja.

W końcu, ośmielona przez przyjaciółki, ruszyła do przodu, w jego kierunku. Zatrzymała się kilka kroków przed nim, a wtedy on sam podszedł i wyciągnął rękę.

- Witaj, siostrze.

- Witaj.

- Pragniesz, by Chrystus wstąpił do twojego serca?

- Ja... Myślę, że tak. Tak, pragnę.

- Alleluja! Przyjmij moją dłoń.

Zawahała się. Jego dłoń była doskonale uformowana, silna, podana wewnętrzną stroną do góry. Położyła na niej swoją. Zdawało się jej, że słyszy za plecami, jak przyjaciółki wzdychają z niedowierzaniem nad jej odwagą.

- Klękaj, siostrze. - Posłuchała. Poczwała pod kolanami twardość chodnikowej płyty, ale kiedy położył ręce na jej głowie i zaczął prosić Boga o łaskę i błogosławieństwo dla niej, przestała czuć cokolwiek poza ciepłem emanującym z jego palców. Po dłuższej modlitwie chwycił ją za łokieć i pomógł jej wstać. - Powiem słowami Chrystusa: „Idź i nie grzesz więcej”.

Następnie ze zniszczonej walizki, która leżała otwarta u jego stóp, wyjął drewnianą tacę i podniósł ją wymownym gestem. Mary Catherine zdziwiła się.

- Och! - Przez moment była zbyt zakłopotana, by jasno myśleć, potem pospiesznie otworzyła torebkę, niezgrabnie wyszukała wewnątrz pięciodolarowy banknot i rzuciła go na tacę.

- Dziękuję, siostrze. Bóg z pewnością wynagrodzi cię za twoją szczodrość.

Szybko schował tacę z banknotem i Biblię do walizki, zamknął ją, podniósł i rażnym krokiem odszedł.

- Halo, poczekaj! - Mary Catherine sama nie mogła uwierzyć we własną śmiałość, ale perspektywa, że on tak nieodwołalnie odejdzie z jej życia, wydawała się jej nie do pomyślenia.

- Jak się nazywasz?

- Wielebny Jack Collins. Ale wszyscy nazywają mnie Wild Jack.

Wychowywał się w dotkniętym biedą prowincjonalnym miasteczku w stanie Missisipi. Niemal jedyną racją istnienia tej niewielkiej osady była przebiegająca przez nią linia kolejowa. Tutaj miał swoją siedzibę zarząd odcinka i tutaj działała brygada remontowa. Mężczyźni, którzy tu mieszkali, byli w przeważającej części kawalerami.

Jego matka wieczorami dostarczała im rozrywki.

Będąc jedyną kurwą w mieście, prowadziła kwitnący interes. Poczęła i urodziła małego Jacka, nie mając pojęcia, który z jej licznych klientów jest jego ojcem.

Jack chodził do szkoły jedynie dlatego, że jego matka miała dosyć wizyt policjanta, który odwiedzał ją za każdym razem, kiedy nie odwiozła syna do szkoły. Z kolei ona robiła chłopcu piekło nalegając, żeby chodził do szkoły, a nie na wagary. Z czystej przekory nie uczył się prawie wcale. Był urodzonym przywódcą. Ponieważ nie bał się niczego i nikogo, ponieważ nie drżał mu głos, gdy dostawał burę od nauczycieli, którym patrzył w oczy z jawną pogardą, szybko zdobył respekt i podziw kolegów. Potrafił to wykorzystać. Miał więcej władzy niż wszyscy jego nauczyciele razem wzięci.

W trzynastym roku życia nazwał matkę tłustą, cuchnącą kurwą o jeden raz za dużo. Zemściła się. Poprosiła jednego ze swych stałych klientów, by nauczył chłopaka szacunku dla matki. Następnego dnia zbudził się na platformie stojącego pod semaforem pociągu towarowego. Przytrzymując dłonią połamane żebra zeskoczył na ziemię. Nigdy nie wrócił do domu i nigdy więcej już matki nie widział. Miał nadzieję, że umarła i smaży się w piekle.

Przez kilka lat pracował dorywczo w różnych miejscowościach na Południowym Wybrzeżu, aż zarobił wystarczająco dużo pieniędzy, żeby móc się upić i przestać pracować. Postanowił rozpocząć nowe życie. Ruszył w drogę.

Pewnego wieczoru pociąg, którym jechał, zatrzymał się gdzieś w Arkansas. Wsiadł, bo zaintrygował go wielki namiot rozstawiony na placu w pobliżu torów. Ku jego rozczarowaniu okazało się, że wewnątrz miały odbywać się spotkania rekolekcyjne. Następny pociąg miał przybyć dopiero nad ranem, a właśnie nadciągała ulewa. Pomyślał sobie, że pod namiotem znajdzie przynajmniej schronienie, więc wraz z mieszkańcami miasteczka poszedł na rekolekcje.

Z pogardą patrzył na tych, którzy z nadzieją przysłuchiwali się kazaniu. Kaznodzieja potępiał wybór ziemskiego, doczes-

nego bogactwa zamiast wiecznej szczęśliwości. Co za głupota - pomyślał.

Zmienił zdanie, kiedy zobaczył wypełnioną po brzegi tacę na ofiary. Udając, że wrzuca pieniądze, ukradł dziesięciodolarowy banknot. Ale na kaznodzieję prowadzącego spotkanie spojrzął z uznaniem.

Tamtego wieczoru w Arkansas podjął życiową decyzję. Za ukradzione pieniądze kupił Biblię. Rozpoczął lekturę. Wziął udział jeszcze w kilku spotkaniach rekolekcyjnych. Słuchał i uczył się. Naśladował kaznodziejską retorykę i gesty. Gdy poczuł się przygotowany, stanął na rogu ulicy pewnego obskurnego miasteczka w Alabamie i wygłosił swoje pierwsze kazanie. Zebrał wtedy w sumie jednego dolara i trzydzieści siedem centów.

Na początek.

- Dzień dobry. Zapewne mnie nie pamiętasz.

Mary Catherine zaczęła go nieśmiało przy budynku protestanckiego zboru. Właśnie przed chwilą skończył kazanie i zdecydowanym, szybkim krokiem przemierzał plac. Po kilku dniach obserwacji zauważyła, że zawsze poruszał się tak, jak gdyby dokądś się spieszył.

Uśmiechnął się.

- Ależ pamiętam.

- Pobłogosławiłeś mnie przed kilkoma dniami.

- I od tamtej pory wracałaś tu dwa razy. Bez przyjaciółek. Starła się zginać w tłumie, nie chcąc sprawiać wrażenia zbyt

śmiałej. Jack zdawał się jej nie dostrzegać. Było inaczej. To jej schlebiało. Zaczerwieniła się.

- Nie chciałamby przeszkadzać.

- Nie przeszkadzasz, siostrze. Co cię niepokoi?

- Powiedziałaś, że Pan potrzebuje pomocy w wykonaniu swego dzieła.

- Tak. Zatem?

- Przyniosłam to. - Wsunęła mu w dłoń dziesięć dolarów. Opuścił głowę, popatrzył na banknot, po czym spojrzął jej w oczy i powiedział z emfazą: - Niech Bóg cię błogosławi, siostrze.

- Czy to coś pomoże?

- Bardziej, niż sądzisz, siostrze. - Odchrząknął. - Jestem głodny jak wilk. Zjesz ze mną hamburgera?

Wszystkie jej dotychczasowe randki odbywały się przez telefon. Nigdy nie wychodziła z domu bez pozwolenia rodziców.

Ileż uroku było w złamaniu tych reguł i umówieniu się bez proszenia o zgodę, bez niczyjej akceptacji i wiedzy, nawet najbliższych przyjaciółek!

- Z przyjemnością. Pochwycił jej dłoń.

- Jeśli mamy zostać przyjaciółmi, muszę poznać twoje imię.

Po zakończeniu roku szkolnego Mary Catherine łatwiej było wymykać się na spotkania z Jackiem Collinsem. Po codziennym kazaniu razem chodzili na tanią zupę, za którą zwykle płaciła Mary Catherine. Nie miała nic przeciwko temu. Młody mężczyzna był najbardziej fascynującą osobą, jaką kiedykolwiek dotąd poznała. Ludzie spontanicznie lgnęli do niego - od podstarzałych dam poczynając, na robotnikach sprzątających ulice kończąc.

Jack raczył ją mnóstwem historyjek ze swojej siedmioletniej kaznodziejskiej praktyki. Podróżując z miasta do miasta, głosząc słowo boże, przeżył więcej przygód, niż Mary Catherine mogłaby sobie wyobrazić.

- Potrzebuję kogoś, kto potrafi ładnie śpiewać - powiedział pewnego wieczoru. - Może ty masz talent muzyczny, Mary Catherine?

- Niestety nie - odrzekła ze smutkiem.

Jakże byłoby cudownie móc dołączyć do Jacka i podróżować razem z nim! Jego kazania nie przypominały tych, do których przywykła na cotygodniowych mszach. Chociaż istota Chrystusowego odkupienia była zarówno tu, jak i tam akcentowana w podobny sposób, to jednak miała wątpliwości, czy jej rodzice zaakceptowałyby sposób bycia Jacka lub też fanatyczną doktrynę, którą głosił. Dlatego właśnie spotkania z nim pozostawały tajemnicą, powierzaną jedynie kartkom pamiętnika.

Lato stawało się coraz bardziej gorące, a zarazem rosła temperatura ich wzajemnych stosunków. Pewnego popołudnia Jack zaproponował, aby kupili chińskie potrawy i zjedli je u niego. Mary Catherine walczyła ze skrupułami: odwiedziny bez przyzwoitki u młodego mężczyzny stanowiły pierwszy krok do zepsucia moralnego i niesławy. Lecz kiedy spojrzała na jego urażoną jej wahaniem twarz, przyjęła propozycję i zapłaciła za jedzenie.

Wygląd starego, zapluskwionego budynku, w którym mieszkał, pobudził jej wrażliwość. Nawet kolorowi pracownicy, zatrudnieni przy pracach polowych u jej rodziców, mieszkali w znacznie lepszych warunkach.

Odstęczający charakter tego

miejsca był najlepszym dowodem na to, w jakiej biedzie żył Jack i jak bardzo był oddany swej życiowej misji. Zrozumiała też, jak bardzo jej wychowanie nastawione było na dobra doczesne. Ze wstydu i żalu zaczęła płakać. Kiedy wyjaśniła mu powód płaczu, wziął ją w ramiona.

- Już dobrze, moja mała. Nie płacz. Chrystus również był biedakiem.

Rozpłakała się jeszcze bardziej. Przytulił ją do siebie mocniej. Po chwili jego dłonie delikatnie gładziły jej plecy, a usta rozpoczęły wędrówkę po jej włosach. Jednocześnie szeptał, jak bardzo jej potrzebuje, jaka jest słodka, jak szczerze postąpiła ofiarowując pieniądze na wsparcie jego działalności.

Wreszcie wargami dotarł do jej warg. Kiedy ją pocałował, wydała z siebie cichy jęk. Nie był to jej pierwszy pocałunek, ale po raz pierwszy ktoś pocałował ją w otwarte usta i po raz pierwszy poczuła w nich gorliwie ruchliwy język mężczyzny.

Zażenowana i przestraszona, wyswobodziła się z jego objęć i podbiegła do drzwi. Dogonił ją, ponownie porwał w ramiona, a potem powiodł rękami po jej włosach.

- Coś takiego jeszcze nigdy mi się nie przydarzyło - powiedział ochryplym głosem. - Gdy cię pocałowałem, poczułem, że Duch Święty zstępuje między nas. Czy nie miałaś podobnego odczucia?

Wprawdzie czuła w sobie jakieś ekscytujące poruszenie, ale nie potrafiła stwierdzić, czy był to Duch Święty.

- Muszę iść do domu, Jack. Moi rodzice zaczną się martwić. Przez następnych kilka dni wypełniała pamiętnik szeregiem

dręczących ją pytań, na które nie umiała znaleźć odpowiedzi. Z oczywistych względów nie mogła szukać pomocy u rodziców. Wyczuwała intuicyjnie, że wystarczyłoby im jedno spojrzenie na ubóstwo Jacka, na jego wyświechtane ubranie, postrzępione mankiety koszuli i przybrudzoną koloratkę, by uznać go za „białego śmiecia”.

Powierzenie sekretu przyjaciółkom stawiałoby je w trudnej sytuacji. Nie mogła też ryzykować, że o wszystkim dowiedzą się ich rodzice, którzy z kolei mogliby poinformować jej rodziców. Zastanawiała się, czy nie zaufać ciotce Laurel - osobie serdecznej i tolerancyjnej - lecz w końcu i tę możliwość odrzuciła. Ciotka również mogłaby poczuć się w obowiązku zawiadomienia rodziców o sekretnej miłości swojej bratanicy.

Po raz pierwszy w życiu stanęła wobec problemu, który ją przerastał. Nie była już dzieckiem. Jack rozmawiał z nią jak z człowiekiem dorosłym. Traktował ją, jak traktuje się kobietę.

A jednak perspektywa dorosłości przerażała ją. Od zakonnice w szkole dowiedziała się wszystkiego o seksie: całowanie prowadzi do pettingu, petting prowadzi do seksu, seks jest grzechem.

Biła się z myślami. Jack powiedział przecież, że kiedy się całowali, czuł działanie Ducha Świętego. Skoro zakonnice, które wyrzekły się rozkoszy cielesnych, nigdy tego nie doświadczyły, skąd mogły wiedzieć, jak to jest?

Być może ekstaza, rozgorączkowanie i pożądanie w ogóle nie są reakcjami zmysłowymi, lecz duchowymi. Kiedy język Jacka zetknął się z jej językiem, ogarnął ją stan uniesienia. Czy coś innego może dostarczyć człowiekowi jeszcze więcej duchowych przeżyć?

Parę dni po ich pierwszym pocałunku czekała na niego w jego mieszkaniu. Na porysowanym stole o nierównych nogach przygotowała kolację. Na talerzyku ustawiła świeczkę. Jej nikłe światło wraz z bukietem stokrotek pomogło ukryć odrażający charakter pokoju.

Kiedy przyszedł Jack, poczuła się zażenowana. Powiedziała:

- Witaj. Chciałam zrobić ci niespodziankę.

- I udało ci się.

- Przyniosłam krewetki i... bochenek francuskiego chleba. I to. - Upuściła dwudziestodolarowy banknot na blat stołu.

Spojrzał w dół, ale nie wziął dwudziestodolarówki. Uniósł dłoń do czoła i zamknął oczy. Pochylił głowę jakby w modlitwie. W pokoju zapanowała cisza.

- Jack? - Głos jej drżał. - O co chodzi? Podniósł głowę. W jego oczach błyszczały łzy.

- Myślałem, że pogniewałaś się na mnie, wiesz, za co.

- Nie. - Szybko obeszła stół. - Byłam po prostu pod wrażeniem, gdy mnie pocałowałeś. To wszystko.

Przytulił ją do siebie.

- Dziękuję ci, Boże. Słodki Jezu, dziękuję. - Zaczął gładzić jej włosy. - Myślałem, że cię straciłem, Mary Catherine.

W moim nędznym życiu nie zasłużyłem sobie na kogoś tak słodkiego jak ty, ale modliłem się bez przerwy, żeby Bóg przysłał cię do mnie z powrotem. Pomódlmy się razem.

Uklęknął pociągając ją za sobą. Klęczeli na wytartym brudnym linoleum, patrzyli sobie w oczy, a Jack podjął modlitwę, w której wychwalał jej urodę i niewinność. Z jego ust płynęły słowa przesyczone żarliwym uczuciem, więc zanim jeszcze powiedział „amen”, patrzyła na niego w zauroczeniu i z miłością.

- Jack, nie miałam pojęcia, że czujesz do mnie coś tak głębokiego.

Patrzył na nią, jak gdyby miał przed sobą zjawę.

- Jeśli z tymi włosami na tle światła świeczki nie wyglądasz jak anioł, niech Bóg sprawi, że oślepnę.

Bóg pozostał bierny, więc podniósł rękę i delikatnie dotknął jej włosów. Gładząc je nachylił się i pocałował ją. Mary Catherine była rozczarowana, iż nie był to francuski pocałunek, lecz kiedy przycisnął rozwarte wargi do jej szyi, westchnęła ze zdziwienia i zadowolenia.

Nie zdążyła do końca uświadomić sobie, co się dzieje, kiedy muskał już jej piersi przez cienką bawełnianą sukienkę i rozpiął maleńkie guziki.

- Jack?

- Racja. Powinniśmy iść do łóżka. Bóg nie życzyłby sobie, żebyśmy kochali się na podłodze.

Przeniósł ją do łóżka. Nie dając jej okazji do protestów, całował ją w usta i rozpiął sukienkę. Pod spodem miała wysokie majteczki i sztywny gorset, ale wprawnie uwolnił ją z niego. Dłonią wodził po jej nagim ciele w sposób niezwykle zmysłowy. Pieszczota wydawała się jej cudowna i przerażająco grzeszna. Lecz Jack był kaznodzieją, więc czy mogło być w tym coś złego? Przecież nie nakłaniał do grzechu. Przeciwnie, odwoził ludzi od niego.

Kiedy zdjął z niej resztę ubrania, mruknął coś o urodzie i doskonałości Ewy.

- Bóg stworzył ją dla Adama, aby służyła mu pomocą, była partnerką w miłości. Teraz ciebie przeznaczył dla mnie. Biblijne odniesienie uciszyło skrupuły Mary Catherine. Ale gdy Jack rozebrał się i poczuła napór jego twardej męskości, spojrzała na niego z obawą.

- Chcesz zabrać mi wianek, prawda? Roześmiał się.

- Mam nadzieję. Chyba jesteś dziewicą, czyż nie?

- Ależ oczywiście, Jack. Jestem. - Jej słowa przeszły w okrzyk bólu.

Lisbet miała rację. Bolało jak diabli. Ale drugi raz było już znacznie przyjemniej.

Pewnego październikowego wieczoru Mary Catherine poinformowała Jacka Collinsa, że najprawdopodobniej zostanie ojcem. Czekala na niego pod arkadami Cabildo, jednego ze stałych miejsc ich spotkań. Tego dnia wcześniej zakończył

kazanie, ponieważ siąpiący od rana deszcz zamienił się w oberwanie chmury.

Pod jednym parasolem przebiegli do domu, w którym mieszkał. Kiedy znaleźli się w jsgo pokoju, zdjęli wilgotne ubrania i wskoczyli pod zszarzałe prześcieradła, szepnęła:

- Jack, będę miała dziecko.

Jego wargi przestały wędrować po jej karku. Podniósł głowę.

- Co takiego?

- Nie słuchałeś mnie?

Nerwowo przygryzła dolną wargę. Od kilku tygodni liczyła się z najgorszą możliwością. Przestała mieć wątpliwości, gdy po raz drugi bez normalnych objawów minął okres miesiączki i zaczęły jej dokuczać nudności.

Żyła w ciągłej niepewności, że rodzice odkryją zmianę w jej figurze. Nie powiedziała o tym nikomu. Ponieważ od kilku miesięcy częściej spotykała się z Jackiem niż z przyjaciółkami, nie mogła teraz pójść do nich z tak poważnym problemem. Poza tym dziewczęta, które wpadały w tego rodzaju kłopoty, spotykały się z pogardą ze strony wszystkich, nawet najlepszych przyjaciółek. Jeśliby nawet Alice i Lisbet zdecydowały się pozostać jej przyjaciółkami, ich rodzice nigdy by na to nie pozwolili.

Wyspowiadała się poza własną parafią. Kiedy szeptała do anonimowego człowieka, ukrytego za zasłoną, przyznając się do rozkoszy dzielonych z Jackiem, drżał jej głos, a policzki płonęły. Wyznać to samo przed kimś znanym było dla niej nie do pomyślenia. Musiała sama cierpieć w poczuciu winy.

Teraz leżała nieruchomo, porażona reakcją Jacka.

Podniósł się i stanął przy łóżku. Patrzył na nią, ale milczał. Zdawało się, że zwykła pewność siebie go opuściła.

- Gniewasz się? - zapytała cicho.

- Ech, nie - odrzekł, a potem dodał już bardziej zdecydowanie: - Nie. - Usiadł i pochwycił jej chłodne, powilgotniałe ręce. - Myślałaś, że mógłbym się na ciebie pogniewać?

Uradowana jego odpowiedzią, z trudem wydobyła z siebie głos. Gorące, słone łzy stoczyły się po jej policzkach.

- Och, Jack. Nie wiedziałam, co mam myśleć. Nie wiedziałam, co robić.

- Powiedziałaś już swojej rodzinie? - Potrząsnęła głową. - Dobrze. Bardzo dobrze. Dziecko jest nasze. Nie chciałbym, aby ktokolwiek zepsuł naszą radość. Na wszystko przyjdzie pora.

- Och, Jack, tak bardzo cię kocham. - Otoczyła ramionami jego szyję, twarz pokryła pocałunkami.

Po dłuższej chwili odsunął ją delikatnie.

- Wiesz, co to oznacza, prawda?

- Co?

- Musimy wziąć ślub.

Oczy rozbłyły jej szczerą radością.

- Miałam nadzieję, że to powiesz. Och, Jack, Jack, jakże jestem szczęśliwa.

Kochali się, a później leżeli w pościeli planując wspólną przyszłość.

- Powiniennem wyjechać z Nowego Orleanu na kilka miesięcy, Mary Catherine. Z twojego powodu już od dawna odkładałem wyjazd. - Poglądził jej brzuch. Teraz spodziewamy się dziecka, więc muszę naprawdę poważnie pomyśleć o swojej przyszłości w służbie Pana.

Opowiedział jej o planach ożywienia dotychczasowej działalności.

- Może uda mi się znaleźć kogoś, kto będzie grał na fortepianie i śpiewał hymny. Czasami kaznodzieje mają ludzi, którzy dla nich pracują. Owi pomocnicy udają się pierwsi do danego miasta i wszystko organizują. Na przykład gromadzą wokół siebie wyznawców. Kaznodzieja przybywa na miejsce, gdy czeka już na niego tłum podekscytowanych zwolenników. Tego właśnie pragnę. Nie zamierzam dalej za kilka centów wygłaszać kazań na rogach ulic. Może pewnego dnia dostanę się do radia. A potem do telewizji. To dopiero byłoby coś, nie sądzisz? Mary Catherine była pod wrażeniem ewangelicznego zapału, który rozpałił się w jego oczach.

- Zrobię wszystko, żeby ci pomóc, Jack. Wiesz o tym.

- Na razie jeszcze tak bardzo nie potrzebuję twojej pomocy... Nie przejmuj się.

Usiadła i podniosła głowę.

- Co teraz zamierzasz? Opowiedz mi o wszystkim.

- Nie bardzo wiem, jak zdobyć pieniądze. Będę miał dwa dodatkowe żołądki do nakarmienia... Chyba powinienem zawiesić na jakiś czas moją misję. Przynajmniej dopóki nie znajdę jakiejś stałej pracy.

- Nie! Nie chcę o tym słyszeć. Za wszelką cenę musisz nadal prowadzić swoją działalność.

- Nie widzę sposobu...

- Zostaw to mnie. Mam trochę pieniędzy.

Wyglądając, jakby miał się za chwilę rozplakać, objął ją i przycisnął mocno do piersi.

- Nie zasłużyłem na ciebie. Jesteś święta. Spójrz na to ponure miejsce. W następnym mieście muszę wystarać się o

jakieś porządne lokum. - Rozejrzył się dookoła z niesmakiem. - Ten pokój jest dobry dla mnie. Jan Chrzyciel żywił się szarańczą i mieszkał na pustyni. Ale ja nie mogę wymagać od swojej żony tego rodzaju poświęcenia.

Dzień później przyniosła mu dwadzieścia studolarówek.

- Podjęłam je z własnego rachunku w banku. Oszczędzałam z prezentów na urodziny i Boże Narodzenie. Przez lata uzbierało się tego trochę.

- Nie mogę tego od ciebie przyjąć, Mary Catherine. Ofiarowujesz zbyt wiele.

- Ależ możesz. Musisz - powiedziała wsuwając mu banknoty do ręki. - Przecież będę twoją żoną. Co należy do mnie, należy też do ciebie. Daję to nam. Naszemu dziecku. Na rzecz bożej służby.

Zaplanowali ucieczkę za trzy dni.

- Dlaczego nie jutro? Dlaczego trzeba tak długo czekać?

- Muszę załatwić przedtem sporo spraw - wyjaśnił. - Nie można zawrzeć małżeństwa bez wcześniejszego zadbania o mnóstwo bezsensownych formalności.

- Szkoda - westchnęła rozczarowana. - Nie wiedziałam. W każdym razie tobie pozostawiam to wszystko.

Pocałowali się na pożegnanie. Mary Catherine wróciła do domu, zamknęła się w swoim pokoju i zapisała kilka kartek w pamiętniku. Później, nie mogąc zasnąć z powodu podniecenia i lekkiej niestrawności wywołanej jej odmiennym stanem, podeszła do szafy i zaczęła się zastanawiać, co założyć na spotkanie z narzeczoną.

Rozdział XXX

- Oczywiście nie zastała go w umówionym miejscu.

Na ścianach kuchni ciotki Laurel kładły się długie cienie. Cassidy i Claire siedzieli naprzeciwko siebie przy okrągłym stole, nad zimną już pomarańczową herbatą.

Claire była zatopiona we wspomnieniach. W jej głosie pobrzmiwała nuta melancholii.

- Zrazu mama pomyślała, że przez nadmierną ekscytację pomyliła się co do daty i miejsca ich *rendez-vous*.

Odwiedziła mieszkanie Collinsa, ale tam nie pozostał po nim najmniejszy nawet ślad. U dozorczy nie było dla niej żadnej wiadomości. Ani słowa o tym, dokąd skierował go Bóg - dodała sarkastycznie. - Po upływie tygodnia mama zdała sobie sprawę, że została opuszczona i okradziona. - Spojrzała na Cassidy'ego. - Dolać ci herbaty?

- Nie, dziękuję - odpowiedział tonem zdradzającym zniecierpliwienie.

Claire wróciła do swego opowiadania.

- Jack Collins znakomicie odegrał swoją rolę. Kiedy mama powiedziała mu o ciąży, mógł przecież po prostu uciec. Ale na to był za sprytny. Niewątpliwie odkrył, że jej rodzice byli ustosunkowani. Przede wszystkim mógł się obawiać, że mama naśle na niego szeryfa. Wolał zaproponować małżeństwo. Przedstawił wszystko w bardz© romantycznym świetle. Mieli uciec i wspólnie prowadzić bożą misję. Zważ, że mama była głęboko wierzącą chrześcijanką i wierzyła w odkupienie grzechów. A przy tym była nieprawdopodobnie naiwna. - Wyraz jej twarzy pozostał spokojny i opanowany. - Aż do dnia, w którym zginął - w którym go zabiłam - Jack Collins zapewne śmiał się z niej w duchu i gratulował sobie, że okazał się nadzwyczaj sprytnym facetem. Jeśli, oczywiście, w ogóle o niej pamiętał. Bóg jeden wie, ile innych młodych dziewcząt zostawił z panięskimi dziećmi podczas pierwszych lat swojej kaznodziejskiej kariery.

Cassidy odsunął na bok filiżankę i oparł się łokciami o stół.

- Skąd dowiedziałaś się o tym wszystkim, Claire?

- Z pamiętników mamy. Znalazłam w nich systematyczny

zapis wydarzeń od tamtej soboty, kiedy jej ojciec zabrał ją do Cafe du Monde na śniadanie i kiedy zobaczyła Collinsa wygłaszającego na placu kazanie. Odkryłam je po śmierci ciotki Laurel, która prowadziła zapiski, kiedy mama już tego robić nie mogła.

- A więc ona wiedziała, kto był twoim ojcem? Claire skinęła głową.

- Tak. Ale wyłącznie ciotka Laurel. Kiedy mama uświadomiła sobie, że została porzucona, powiedziała o ciąży rodzicom.

- Czy podjęli jakąkolwiek próbę odnalezienia Jacka Collinsa?

- Nie. Musisz wiedzieć, że ona nigdy nie ujawniła nazwiska swego kochanka. Pozwoliła im wierzyć, że należał do elitarnego kręgu ich znajomych. Jediną osobą, która знаła prawdę, była ciotka Laurel. Jej mama powierzyła wszystko. Kiedy po latach Jack Collins wypłynął jako telewizyjny kaznodzieja Jackson Wilde - bez wątplenia zmienił nazwisko, ponieważ miał bardzo wiele do ukrycia - ciotka Laurel zaczęła prowadzić kronikę jego drogi do sławy. Podejrzewam, że matkę Josha zdobył w taki sam sposób jak moją. Tamta pochodziła z rodziny protestanckiej, dla której był łatwiejszy do zaakceptowania niż dla rodziny tradycyjnie katolickiej. Laurentowie byli również nieco mniej majątni. Collins natrafił na atrakcyjną okazję i wykorzystał ją. W swoich zapiskach ciotka Laurel wyraziła przypuszczenie, że użył pieniędzy teściów do rozszerzenia zakresu swojej działalności na radio i telewizję.

- Zatem Josh...

- Jest moim przyrodnim bratem - wtrąciła, uśmiechając się łagodnie.

- Dlatego umówiłaś się z nim na spotkanie?

- Chciałam sprawdzić, czy przypomina naszego ojca, czy też jest człowiekiem uczciwym. W trakcie naszego krótkiego spotkania odniosłam wrażenie, że jest w zasadzie osobą godną szacunku, choć brakuje mu zdecydowania.

- Niezupełnie zasługuje na szacunek. Sypiał z żoną własnego ojca.

Nie przyjęła tej łagodnej krytyki i natychmiast podjęła obronę swego przyrodniego brata.

- Josh był jedną z ofiar emocjonalnego okrucieństwa Jacksona Wilde'a. Romans z Ariel trzeba traktować jako rodzaj zemsty na ojcu.

- Twoja zemsta polegała na zabiciu go.

- Dzięki czemu świat ma mi wiele do zawdzięczenia. Ariel

udaje pogrążoną w smutku wdowę, ale śmierć Wilde'a przyniosła jej to, czego pragnęła - sławę, która wcześniej była jego udziałem. Josh został uwolniony od swego oprawcy.

- Nie przesadzasz odrobinę? Wilde nie zakuł Josha w kajdany.

- W sferze uczuć - tak. Josh pragnął zostać artystą. Jackson miał w stosunku do niego inne plany. Zależało mu na muzyku służącym wyłącznie jego przedsięwzięciu, więc wyśmiewał ambicje Josha, szydził z jego aspiracji, lekceważył talent, aż w końcu Josh utracił całą pewność siebie.

- Josh ci o tym powiedział?

- Powiedział mi, że od czasu, kiedy Ariel usunęła go z organizacji, myśli o podjęciu na nowo studiów nad muzyką klasyczną - swoją pierwszą i największą pasją. Resztę dopowiedziałam sobie sama.

- Czy twoja matka skojarzyła Jacksona Wilde'a z Jackiem Collinsem?

- Nie, nigdy. Dzięki Bogu. Jego wygląd musiał zmienić się dość istotnie przez ostatnich trzydzieści lat. Wiesz przecież, że ona nie potrafi na długo zachować jasności umysłu, więc jeśli nawet ma przeblyski świadomości, nie rejestruje wydarzeń w pamięci.

Cassidy zmarszczył brwi, spojrzał sceptycznie.

- Claire, ostrzegam cię na serio, żebyś bez obecności adwokata nie mówiła nic więcej.

- Rezygnuję z prawa do adwokata. Publicznie przyznałam się do winy, czego świadkiem był spory tłum ludzi. Nie zamierzam niczego odwoływać. Odpowiem na wszystkie twoje pytania. Chociaż - dodała - zapewne odgadłeś odpowiedzi na większość z nich.

- Co masz na myśli?

- Odgadłeś, w jaki sposób dostałam się do pokoju Jacksona Wilde'a. Pamiętasz nasz spacer po francuskiej dzielnicy, kiedy pokazywałam ci trasę, którą szłam w dzień morderstwa?

- Zamierzasz powiedzieć, że było to bezsensowne ćwiczenie?

- Naprawdę poszałam wtedy na spacer, ale kiedy było już po wszystkim. Dopiero po powrocie do Francuskiego Jedwabiu stwierdziłam, że mama wyszła.

- Co za niesamowity zbieg okoliczności, iż wybrała się akurat do hotelu „Fairmont”.

- Zgadza się.

- Jak na nią była to bardzo długa przechadzka.

- Może część trasy pokonała autobusem.

Cassidy tym razem zrezygnował z komentarza.

- Mów dalej - powiedział. - Interesuje mnie, jak dostałaś się do apartamentu Wilde'a. Pomógł André?
 - Nie - odrzekła potrząsając zdecydowanie głową. - On jest całkowicie niewinny. Co do tego nigdy nie skłamałam. Nikt nie wiedział, co zamierzałam zrobić.
 - Yasmine?
 - Ona również nie. Zrobiłam to sama. Nigdy nie naraziłabym bliskiej osoby.
 - Bardzo chciałbym w to wierzyć. Ale z zimną krwią zamordowałaś człowieka.
 - Chcesz wysłuchać, co mam do powiedzenia, czy nie? Cassidy poderwał się z krzesła.
 - Co ty sobie myślisz, do cholery? Jasne, że nie! - wykrzyknął. - Jeśli masz odrobinę oleju w głowie, zadzwoń po adwokata, który będzie uparcie powtarzał, że nigdy nie powiedziałaś: „Zabiłam z bożym błogosławieństwem”.
- Claire obserwowała, jak wprawnymi ruchami palców rozluźnia węzeł krawata. Miała świadomość, że już nigdy nie poczuje ich dotyku na swojej skórze. Wspomnienia wywoływały w niej niemal fizyczny ból. Jednak, zamiast poddawać się dręczącej tęsknocie, skierowała cały gniew przeciwko Cassidy'emu, pragnąc widzieć w nim teraz jedynie wroga.
- Kiedy byliśmy w Café du Monde - powiedziała - wyraziłeś przypuszczenie, że zabójca czekał na Wilde'a w jego apartamencie. Miałaś rację.
 - Nie mów mi tego, Claire. Zignorowała jego radę.
 - Najpierw schowałam się w sąsiednim korytarzu. Gdy pokojówka weszła do środka, zakradłam się do apartamentu Wilde'a i schowałam w garderobie. Nadszedł po niespełna godzinie.
 - Sam?
 - Tak, bez Ariel. Przez jakiś czas oglądał telewizję. Wziął prysznic, a potem położył się do łóżka. Strzeliłam do niego trzy razy.
 - Rozmawiałaś z nim?
 - Nie. Wprawdzie miałam ochotę zbudzić go. Chciałam zobaczyć w jego oczach strach. Pragnęłam, by wiedział, że czeka go śmierć z ręki jego własnego dziecka. Pragnęłam rzucić mu w twarz imię mamy, by zobaczyć, jak zareaguje, czy w ogóle zareaguje, czy poczuje się odpowiedzialny. Lecz był z niego postawny mężczyzna. Bałam się, że go obudzę. Mógłby

mnie obezwładnić i odebrać broń. Długo stałam przy jego łóżku. Przyglądałam mu się, czując coraz większą nienawiść, nienawiść za krzywdzenie ludzi, którzy go kochali. Mamy, Josha, Ariel. Zrobiłam to za nas wszystkich. Spał spokojnie, leżąc w luksusowym apartamencie wynajętym za pieniądze ludzi, którzy nie mogli sobie pozwolić, by go wspierać, a jednak robili to, ponieważ mu wierzyli. Na nocnym stoliku leżała Biblia, a na niej zegarek na rękę marki „Rolex”. Symboliczny układ, od którego zrobiło mi się niedobrze. Mój ojciec ciągnął zyski z tego, za co w przeciągu wielu stuleci umierali męczennicy, za co nadal umierają. Cassidy wrócił na swoje miejsce po przeciwnej stronie stołu.

- Strzeliłaś do niego trzy razy. Dlaczego, Claire? Dlaczego trzy razy?

- Najpierw strzeliłam mu w głowę, ponieważ świadomie i dla swoich własnych celów przeinaczał idee chrześcijaństwa. Potem - w serce, by odpokutował za wszystko, co zniszczył. W męskość za to, że bez skrupułów uwiódł, a potem porzucił niewinną młodą kobietę, która była warta prawdziwego uczucia.

- Rozwaliłaś go, Claire.

- Owszem. - Przełknęła ciężko. - To nie było miłe uczucie. Nie przypuszczałam... Przeraził mnie widok krwi. Gdy zobaczyłam, ile jej było, po prostu uciekłam.

- W jaki sposób wydostałaś się z hotelu?

- W taki sam, w jaki do niego weszłam. Na piętrze nikt mnie nie widział, ponieważ Wilde'owie wynajęli tam wszystkie apartamenty. Windą zjechałam na dół i wyszłam na zewnątrz od strony University Street. - Zwilżyła wargi, zerknęła na niego nerwowo. - Ażeby ukryć tożsamość, na wypadek gdybym pozostawiła ślady-ubrałam się jak mama.

- Co zrobiłaś?

- Założyłam jedną z jej sukienek, kapelusz i niosłam jej walizkę.

- Bardzo sprytnie. Jeśliby później pytano świadków, kogo widzieli tamtej nocy w hotelu, opisaliby Mary Catherine, o której wiadomo, że zachowuje się dziwnie. Personel hotelu przyzwyczyił się do niej, ubranej w ten sposób i dźwigającej walizkę.

- Właśnie tak. Tylko nie wzięłam pod uwagę, że mama naprawdę tam się wybierze.

- Bez swojej walizki i kapelusza?

Przez moment najwyraźniej zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Przeciwnie, miała ten sam kapelusz i tę samą walizkę co zawsze.
 - Przed chwilą stwierdziłaś, że ty korzystałaś z tych przedmiotów.
 - Bo korzystałam. Zanim wyszłam na spacer, wróciłam do domu i przebrałam się. Mama wymknęła się później.
 - Nie jestem pewien, jak to się ma czasowo do chwili śmierci Wilde'a - powiedział Cassidy, zmarszczywszy brwi. - Gdybym był twoim obrońcą, wykorzystałbym owe niezgodności, by zasiać wątpliwości w głowach przysięgłych.
 - Ława przysięgłych nie będzie potrzebna, ponieważ rozprawa się nie odbędzie. Przyznałam się, więc końcem tej całej sprawy będzie wyrok skazujący.
 - Odnoszę wrażenie, jakbyś za tym tęskniła - rzucił ze złością. - Tak ci się spieszy, żeby dać się zamknąć do więzienia na resztę swojego życia? Na resztę mojego życia?
- Spojrzała w bok.
- Po prostu chcę mieć to już za sobą. Klnąc soczyście, przeczesał palcami włosy.
 - Dlaczego nie pozbyłaś się broni, Claire? Dlaczego podczas spaceru nie wyrzuciłaś jej do rzeki?
 - Teraz żałuję, ale wtedy nie przypuszczałam, że ten rewolwer kiedykolwiek trafi do policyjnego laboratorium.
 - Znalaziono na nim wyłącznie odciski palców Yasmine.
 - Włożyłam rękawiczki mamy.
 - Które można by zbadać na obecność drobin prochu.
 - Zniszczyłam je, a później kupiłam nowe. Niczego nie znajdziesz.
 - Ależ z ciebie spryciara, kto by pomyślał?
 - Z początku chciałam wszystko ukryć! - krzyknęła. - Ale ty byłeś cholernie uparty.

Zignorował to i zapytał:

- Kiedy podkradłaś rewolwer z torby Yasmine?
- Na tydzień przed jego użyciem. Yasmine była roztargniona, często nie dbała o swoje rzeczy. Wiedziałam, że kiedy wyjdzie na jaw brak rewolweru, nie przejmie się tym. Odłożyłam go na miejsce kilka dni po tym, jak mnie wypytywałeś o broń. Zgodnie z moim przypuszczeniem Yasmine pomyślała, że rewolwer najzwyczajniej w świecie zawieruszył się.
- To nie pasuje do ciebie, Claire. Używając rewolweru Yasmine, wplątałaś ją w morderstwo.
- Nawet nie pomyślałam, że z tego rewolweru padnie kiedy-

kolwiek następny strzał. Nie mogłam przewidzieć, że przy jego pomocy Yasmine pozbawi się życia. W jej oczach pojawiły się łzy. Odkąd rano wróciła z Nowego Jorku, wydarzenia następowały tak szybko, że do tej pory nie miała okazji rozpaczać po stracie najbliższej przyjaciółki.

- Nie mogę sobie wybaczyć, że nie pozbyłam się tego. Yasmine była bardziej emocjonalnie rozstrojona, niż przypuszczałam. Nie dostrzegłam tego w porę. Za bardzo byłam zajęta, zatopiona w sobie, zaangażowana w... -

Nagle zamilkła, zerknęła na Cassidy'ego, po chwili opuściła oczy. - Za bardzo pochłaniała mnie sprawa zamordowania Wilde'a, żeby usłyszeć jej bezgłośnie wołanie o pomoc. Utraciłam ją.

Cassidy przez moment nic nie mówił, potem zapytał:

- Co czułaś, kiedy w Wielkiej Kopule spotkałaś się z Wil-de'em twarzą w twarz?

- Ciekawe - odrzekła łagodnym tonem - nie czułam niepokonanej nienawiści, czego się spodziewałam. Sądząc, że jestem nową współwyznawczynią, położył obie dłonie na mojej głowie. Nie czułam żadnych kosmicznych prądów, żadnego mistycznego wpływu. Kiedy zajrzałam mu głęboko w oczy, spodziewałam się przeżyć jakiś metafizyczny wstrząs wynikający z naszego pokrewieństwa, z czegoś tkwiącego głęboko we mnie. Jednakże okazało się, że patrzę w oczy całkowicie obcemu człowiekowi. Nie chciałam uznać w nim mojego ojca tak samo, jak on nie chciał przyznać się do mnie przed ponad trzydziestu laty. - Uniosła nieco głowę. - Jestem zadowolona, że nigdy mnie nie poznał. Spowodował chorobę umysłową mojej matki, dostarczył jej wielu cierpień. Nie zasłużył sobie na przywilej poznania mnie.

- Brawo', Glaire. - Przez dłuższą chwilę patrzył na nią z podziwem. Podniósł nawet rękę w kierunku jej policzka, ale ostatecznie opuścił ją. W końcu wyprostował się, wstał z krzesła. - Muszę pójść do samochodu i zadzwonić do Crowdera. Nie zdziwiłbym się, gdyby do tej pory dostał zawału. Czy w tym domu znajdzie się coś do zjedzenia?

- Nie jestem głodna.

- Jednakże powinnaś coś zjeść. Wzruszyła obojętnie ramionami.

- Za rogiem znajduje się bistro. Pan Thibodeaux robi dobre sandwicze ze smażonymi ostrygami.

- To brzmi zachęcająco. Chodźmy.

- Ja zostaję.

- W żadnym wypadku. Poza tym obiecałaś Harry, że zadzwonisz.

Claire nie miała siły na kłótnię. Czując się, jakby dźwigała w piersi stukilowy kamień, ruszyła do drzwi.

- Chcę skontaktować się z asystentem prokuratora okręgowego Cassidym.

- Wykręcił pan zły numer. Tutaj mieści się wydział policji kryminalnej.

- Wiem, ale biuro prokuratora okręgowego jest o tej porze zamknięte.

- Zgadza się. Więc niechże pan zadzwoni tam jutro.

- Chwileczkę! Proszę nie odkładać słuchawki.

André Philippi kipiał ze złości. Wreszcie zdobył się na telefon do Cassidy'ego, a tu jak na złość w zamiarze przeszkodziła mu zbyt późna pora dnia i na dodatek ten beztroski i niekompetentny dyżurny policjant.

- Koniecznie muszę porozumieć się z panem Cassidym. Na pewno istnieje jakiś sposób, żeby skontaktować się z nim w nagłym wypadku.

- Nie wiem.

- Więc niech pan zapyta swojego przełożonego.

- Czy chce pan złożyć doniesienie o przestępstwie?

- Chcę porozmawiać z panem Cassidym! - André zapiszczał falsetem. Czując, że ogarnia go histeria i że słyhać ją w głosie, nakazał sobie spokój. - Chodzi mi o sprawę Wilde'a.

- O sprawę Wilde'a?

- Tak. Jeśli odmówi mi pan pomocy, stanie pan na drodze sprawiedliwości. - Kiedyś przeczytał podobne wyrażenie w gazecie. Teraz była okazja, żeby je użyć. W każdym razie uzyskał pożądany efekt.

- Proszę poczekać.

Czekając, jeszcze raz rzucił okiem na pierwszą stronę wieczornego wydania gazety. Zgodnie z ostatnimi wiadomościami Yasmine została uwolniona od wszelkich zarzutów w związku z zamordowaniem Wilde'a. Lecz pod jej zamazaną, czarno-białą fotografią zamieszczono informację sugerującą, że brała udział w podejrzanym działaniu i dostała pomieszczenia zmysłów. André poczuł się niemal, jakby został spoliczkowany. Yasmine, podobnie jak jego *maman*, nie została doceniona i nie miała obrońcy. Nie mógł tego dłużej tolerować.

Czary goryczy dopełnił drugi nagłówek z pierwszej strony, obwieszczający, że Claire Laurent przyznała się do zabicia

Wilde'a. Z pewnością doniesienie nie było ścisłe. Dlaczego, na miłość boską, Claire miałyby przyznawać się do morderstwa? To musiała być bzdura, nieporozumienie. Więcej - to musiała być nieprawda. Jego próby skontaktowania się z nią spęły na niczym. We Francuskim Jedwabiu nikt nie podnosił słuchawki telefonu. Cały świat zdawał się chaosem, w którym jedynie André pozostał przy zdrowych zmysłach pośród tego niebywałego szaleństwa. Aby naprawić wszystkie te ciężkie błędy, nie miał innego wyjścia - musiał dotrzeć do Cassidy'ego.

- Halo, jest tam pan jeszcze?

- Jestem - odrzekł pośpiesznie André. - Może mi pan podać prywatny numer telefonu pana Cassidy'ego?

- Niestety nie. Bardzo mi przykro. Powiedziano mi, że wyjechał i będzie nieosiągalny aż do jutra rana, kiedy to prawdopodobnie złoży stosowne oświadczenie.

- Nie jestem z prasy.

- No, pewnie. Jeżeli tak pan mówi.

- Przysięgam.

- Może pan mówić, co się panu podoba. Podam panu imię, nazwisko i numer telefonu detektywa, który współpracuje z Cassidym: Howard Glenn.

André pamiętał niechlujnego brutala, który wtargnął do jego hotelu rano po zamordowaniu Wilde'a.

- Będę rozmawiał jedynie z panem Cassidym.

- Pańska wola.

Policjant rozłączył się, pozostawiając André w stanie wzburzenia. Siedział teraz jak na rozżarzonych węglach. Nie potrafił skoncentrować się na pracy. Po raz pierwszy, odkąd zajmował stanowisko kierownika nocnej zmiany, zaniedbywał swoje obowiązki i ugości. Dlaczego milczał telefon we Francuskim Jedwabiu? Gdzie była Claire? Gdzie podział się Cassidy?

Czy, kiedy wreszcie nawiąże z nim kontakt, zdobędzie się na powiedzenie mu wszystkiego, co powinien wyznać?

Rozdział XXXI

Z samochodu Cassidy'ego Claire zadzwoniła do matki. Przynajmniej na razie Mary Catherine była bezpieczna. Cassidy nie zdołał się połączyć z Crowderem, co doprowadziło go do pasji.

- Zadzwoń do detektywa, z którym współpracujesz - zasugerowała Claire, wysłuchawszy całej litanii przekleństw.
- Nie. Wiem, czego zażądałby ode mnie Glenn.
- Żebyś zawiózł mnie w kajdankach do aresztu?
- Coś w tym rodzaju. - Potrząsnął głową. - Najpierw muszę porozmawiać z Crowderem. Dopóki tego nie zrobię, nie wracam z tobą.

W ten sposób zyskała jedną noc zwłoki. Wrócili do domu ciotki Laurel. Po zjedzeniu kolacji - posiłku zakupionego w bistro pana Thibodeaux - Claire obwieściła, że jest wyczerpana, i poszła do swojej łazienki na piętrze. Rozebrała się. Rzeczy włożyła do szafy, gdzie nadal wisiało kilka staromodnych ubrań. Nad wiekową umywalką opłukała zimną wodą ramiona i szyję.

Łazienka w ogóle nie zmieniła się od czasu, gdy opuściła dom ciotki Laurel. W nowym apartamencie zaprojektowała nowoczesną łazienkę, lecz nadal lubiła wiktoriańskie osobliwości tego pomieszczenia z wanną na zakrzywionych nóżkach, umywalką na podwyższeniu i wyłożoną płytami podłogą. Sięgnęła do szafki po ręcznik i szlafrok. Osuszyła ociekającą wodą twarz. Kiedy się wyprostowała, w owalnym lustrze nad zlewem zobaczyła odbicie Cassidy'ego. Stał milczący w progu i przyglądał się jej.

W sypialni za nim światło lampki było przyćmione i połowa jego twarzy ginęła w cieniu. Podkreśliło to drapieżny wyraz jego twarzy. Był nagi do pasa, a opuszczone szelki tworzyły przy biodrach dwie pętle. Przedramieniem opierał się o framugę. Druga jego ręka opadała swobodnie wzdłuż boku.

Jedynie w satynowym biustonoszu i majteczkach, Claire poczuła się bardziej naga, niż gdyby nie miała na sobie nic. Oparła się pierwszemu impulsowi, by natychmiast okryć się

ręcznikami. Zresztą miała wątpliwości, czy byłaby w stanie się poruszyć. Wzrok Cassidy'ego zahipnotyzował ją. Zbliżył się do niej. Obserwowali się w lustrze spojrzzeniami pełnymi pożądania. Podniósł dłonie, przesunął nimi po jej włosach.

- Chciałbym kochać się z tobą.

- Nie możesz. Nie powinienes. - Odsunął włosy z jej karku i na ramieniu złożył delikatny pocałunek. - Przestań, Cassidy - mruknęła. - Przestań.

- Claire - szepnął w jej włosy - zakochałem się w tobie.

- Nie wolno ci tego mówić.

- Chcę ciebie. Teraz, natychmiast.

- Przestań, proszę. Będziesz żałował - powiedziała z uczuciem. - Zdążyłam cię poznać. Jeżeli to zrobisz, znienawidzisz się na całe życie.

- Nie znienawidzę.

- Tak, tak, znienawidzisz.

- Szs.

Rozpiął jej biustonosz. Jęknęła, kiedy dłońmi wślizgnął się pod obszyte koronką miseczki. Ujął jej piersi, delikatnie zgniótł. Potem opuszkami palców zaczął pieścić brodawki, aż stały się twarde i sterczące. Ustami wędrował po karku. - Cassidy, przestań. Nie chcę, by przeze mnie została ci skaza na sumieniu. To nie jest właściwe. Wiesz o tym. Daj spokój. Nawet w jej uszach własne prośby brzmiały nieszczerze i mało stanowczo, a kiedy jego ręka zapuściła się w dół jej brzucha i następnie pod majteczki, przestała w ogóle protestować. Mogła go okłamywać, lecz nie kłamało jej ciało. Wewnątrz była gorąca i wilgotna. Ściągnął z niej majteczki. Rozpiął spodnie i zbliżył się do niej tak, że poczuła silny napór jego męskości. Gdy wdarł się głęboko w jedwabistą, rozpaloną miękkość, prawie jednocześnie westchnęli z rozkoszy. Claire, trzymając się porcelanowej umywalki, mogła wychodzić naprzeciw jego wolnym, głębokim uderzeniom. Cassidy przytrzymał mocno jej pośladki, pozbawiając swobody ruchów. Jednakże tam w środku obejmowała go jak zaciśniętą pięścią. Skrzywił się w wyrazie ekstazy i przytulił twarz do jej szyi.

- Uhhh - stęknął. - Nigdy nie jestem w tobie dość głęboko. Odrzuciła do tyłu głowę.

- Cassidy.

Położył palec na jej rozchylonych ustach, potem przykrył je dłonią. Pocałowała wewnętrzną stronę jego ręki, przesunęła

językiem między palcami, wbiła zęby w mięsistą podstawę kciuka. Poruszenia Cassidy'ego stawały się coraz szybsze, bardziej gorliwe, zwierzęco zaborcze. Również namiętność Claire rozpalala się. Nie potrafiła powstrzymać krzyku, gdy przesunął dłoń z jej brzucha do miejsca między udami i zaczął pieścić wrażliwy, napięty kobiecy członek. Strumień elektryczności przeniknął jej ciało, promieniując przez uda, brzuch, docierając do piersi i koncentrując się w ich nabrzmiąłych czubkach.

Cassidy otoczył ją w pasie ramionami, pochylił się nad nią, aż oparła się na umywalce, a on przywarł do jej pleców. Poczula całkowite oddanie. Szlochając zatopiła się w wybuchu miłości i spełnienia. Kiedy wypełniła ją gorąca struga jego wilgoci, odwróciła się i opadła na jego usta w żarliwym pocałunku.

- Wcale nie musiałeś mówić, że mnie kochasz - szepnęła, przebierając palcami w jego włosach. Były zaniedbane i wymagały przystrzyżenia. - I tak uległabym twoim wdziękom -zażartowała.

- Powiedziałem prawdę. - Ułożył się wygodniej pod prześcieradłem. - Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. A może stało się to, kiedy dmuchnęłaś na mnie bańkami mydlanymi. Ileż w tym było sugestii i erotyzmu!

- Nie chciałam wywoływać w tobie tego rodzaju odczuć.

- Nie? Wywoływałaś je już. choćby samym milczeniem. -Powiódł palcami po jej ustach, uśmiechnął się w rozmarzeniu. -Ilekoć Crowder zarzucał mi, że w śledztwie dopuszczam do głosu uczucia, zaprzeczałem. Ale on miał rację. - Zamknął na chwilę oczy. - Pragnąłem, żeby ktoś inny okazał się mordercą, nie ty.

Złożyła głowę na jego piersi.

- Proszę, nie mówmy o tym. Mówmy o czymś, o czym rozmawiają przeciętni kochankowie.

- Nie jesteśmy przeciętni, Claire.

- Więc poudawajmy chociaż przez godzinę. Wyobraźmy sobie, że spotkaliśmy się w normalnych warunkach. -

Podparła się na łokciu i spojrzała na niego z góry. - Powiedz mi, co cię tak bardzo boli.

- Co masz na myśli?

- Nie doceniasz mojej inteligencji, Cassidy. W przeszłości przeżyłeś coś bardzo bolesnego. Dostrzegam symptomy.

Co cię zraniło? Co sprawiło, że tak bardzo i za wszelką cenę chcesz dopiąć swego? Twoja była żona? Rozwód?

- Nie. Rozstaliśmy się za obopólną zgodą. Nie kochałem jej. - Pociągnął lekko kosmyk jej włosów. - A przynajmniej nie kochałem jej tak bardzo, jak kocham ciebie.

- Zmieniasz temat.

- Próbuję.

- Nie uda ci się. Jestem tak samo uparta jak ty. Westchnął z rezygnacją.

- To nie nadaje się na rozmowę łóżkową, Claire.

- Lecz chciałabym wiedzieć.

- Dlaczego?

- Ponieważ zostało nam bardzo niewiele czasu! - krzyknęła niecierpliwie. Łagodniejszym tonem dodała: - Jesteś moim ostatnim kochankiem, Cassidy. Chcę dowiedzieć się o tobie jak najwięcej. To dla mnie bardzo ważne.

Długo patrzyli sobie w oczy, zanim powiedział:

- Jeszcze pożałujesz, że nalegałaś.

Potrząsnęła głową. Po krótkim wahaniu nawiązał do bolesnej historii, którą niedawno opowiedział Tony'emu Crowderowi.

Claire słuchała go z uwagą. Nie przerywała mu. Kończąc, powiedział:

- Wiesz, gdzie znaleźli tego łajdaka? W knajpie na piwie ze swoimi koleżkami. Zostawił jedenastoletnią dziewczynkę w wyschniętym korycie strumienia. Zgwałconą i zamordowaną. A on sam najzwyczajniej w świecie zabawiał się z kumplami. Nie obawiał się aresztowania. Ja nauczyłem go tej arogancji.

- Uwolniło go dwunastu członków rady przysięgłych. Nie jesteś odpowiedzialny.

- Odegrałem w tym swoją rolę - odrzekł ponuro.

- Byłeś zobowiązany wobec klienta.

- Próbowałem już usprawiedliwiać się na każdy z tysiąca różnych sposobów. Lecz nie ma usprawiedliwienia, Claire. Gdyby nie ja, nie chodziłby po ulicach. Tamta mała dziewczynka cierpiała i oddała życie na ołtarzu mojej próżności i ambicji. Współczuła mu z całego serca. Wszystko wskazywało na to, że poczucia winy nie pozbędzie się już nigdy.

- Dostałeś twardą szkołę, Cassidy. Ale nauka nie została zmarnowana. Jesteś znakomitym prokuratorem.

Odetchnął głęboko.

- Mam nadzieję, że w tej roli zdołam odpokutować za wszystko.

- Przykro mi - powiedziała szczerze.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Przykro ci?

- Przykro mi, że coś takiego cię spotkało.

- Myślałem, że będzie ci to obojętne.

- Byłoby, gdybyś nie przejmował się tak bardzo. Skłoniła głowę. Pocałowała jego pierś, a potem, muskając skórę ruchliwym językiem, rozpoczęła ustami wędrówkę w dół. Zabawiła nieco przy jedwabście miękkich włosów wokół pępka, by po chwili zanurzyć się w ciemnej, zwartej gęstwinie otaczającej jego płeć.

Kiedy wargami pochwyciła nabrzmiały trzon, wyszeptał jej imię i ujął jej głowę między swoje dłonie. Zwilżyła delikatnie jedwabistą główkę członka, językiem przesunęła wzdłuż gładkiej powierzchni. Nie istniało dla niej żadne tabu. Gorliwie całowała, smakowała, drażniła wrażliwy penis.

Niecierpliwym ruchem przyciągnął ją do siebie, usadowił nad biodrami i wszedł w nią tuż przed swym oszalamiającym orgazmem. Wsparłszy głowę na jej piersiach wciągnął do ust twardą brodawkę. Claire kołysała się nad nim w coraz szybszym tempie, czując w sobie nadal pełną erekcję jego członka. W myślach powtarzała to, czego nie mogła powiedzieć głośno: „Cassidy, moja miłości... moja miłości... moja miłości”.

Rozdział XXXII

Kiedy Claire obudziła się, stwierdziła, że jest sama. Pospiesznie ubrała się i zeszła na dół. W hallu czekała na nią para policjantów - mężczyzna i kobieta. Zobaczywszy ich, stanęła w pół kroku, palcami przeczesła zmierzwione włosy.

- Dzień dobry.

- Pan Cassidy musiał pilnie wyjechać - powiedziała policjantka. - Polecono nam odwiedzić panią.

- Ach, tak. - Poczuli się zawiedziona sposobem, w jaki Cassidy załatwił tę sprawę. Dlaczego wcześniej nie zdobył się na ostatnią intymną rozmowę?

- Pojedziemy zaraz, jak tylko będzie pani gotowa - oświadczyła taktownie kobieta.

Claire zamknęła dom ciotki Laurel, zatrzymując jednocześnie w sobie wspomnienie miłosnej nocy z Cassidym i chroniąc bogactwo przeżyć, które wiązały się z tym miejscem. Z bólem serca, najprawdopodobniej ostatni raz, przeszła przez werandę, jednakże zdecydowała nie poddawać się rozpacz. To była zaledwie pierwsza z ofiar, które w przyszłości będzie musiała ponieść.

- Chciałabym wziąć prysznic, jeżeli to możliwe. Nie byłam jeszcze w domu od wczoraj, kiedy wróciłam z Nowego Jorku.

Para funkcjonariuszy zgodziła się zajechać do Francuskiego Jedwabiu. Kiedy zatrzymali się na parkingu, Claire przeraziła się widokiem kilku patroli policji rozstawionych wokół budynku.

- Co oni tutaj robią? - W pierwszym momencie zaniepokoiła się o matkę, choć Mary Catherine znalazła przecież bezpieczne schronienie u Harry.

- Ich zadaniem jest powstrzymać Ariel Wilde przed realizacją jakiegoś nowego pomysłu.

- Och! Dziękuję.

Jej opiekunowie pojechali z nią windą na drugie piętro. Wskazała im miejsca do siedzenia, a sama poszła wziąć kąpiel i przebrać się. W jej sytuacji wszelka próżność zdawała się nie na miejscu, pragnęła jednak wyglądać jak najkorzystniej. Zro-

biła sobie staranny makijaż i ułożyła włosy. Założyła prosty i elegancki czarny kostium złożony z krótkiej, obcisłej spódniczki i żakietu z białym szalowym kołnierzem. W klapę wpięła broszkę ze sztucznych diamentów - prezent od ciotki Laurel. Na prawą rękę wsunęła bransoletkę, która była własnością Yasmine. Do torebki włożyła chusteczkę ręcznie wyhaftowaną przez Mary Catherine.

Wyposażona w drobiazgi noszące piętno osób, które ją kochały, wyszła z sypialni i pewnym głosem obwieściła:
-Jestem gotowa.

Jej pewność siebie ulotniła się, gdy z okien po raz ostatni zerknęła na rzekę. Dosłownie wszystko w tym mieszkaniu wskazywało na godziny ciężkiej pracy, które poświęciła budowaniu dobrze prosperującego przedsiębiorstwa. Poradziła sobie bardzo dobrze jak na córkę emocjonalnie chwiejnej matki, bez ojca i bez żadnych udogodnień z wyjątkiem maszyny do szycia i bogactwa własnej wyobraźni.

Kiedy przechodziła przez pomieszczenia magazynowe, z jej oczu popłynęły łzy. Co czeka Francuski Jedwab bez niej i bez Yasmine? Ostatnie zamówienia będą zrealizowane, rachunki zapłacone. Ale nie będzie już nowych kontraktów. Nie wyjdzie nowy katalog. Francuski Jedwab przestanie istnieć.

Co za ironia losu - Jackson Wilde osiągnął wreszcie swój cel.

Claire skarciła się w duchu. Przecież zrobiła, co było konieczne. Znała konsekwencje swojej decyzji i zaakceptowała je.

Siedziba prokuratora okręgowego była nadal obleżona przez współwyznawców Wilde'a. Śpiewając hymn „Naprzód, rycerze Chrystusa", demonstranci nieśli transparenty z napisami grożącymi Claire ogniem piekielnym i wiecznym potępieniem. Pod uzbrojoną eskortą przeprowadzono ją do budynku.

- Myślałam, że zabierzecie mnie bezpośrednio do biura szeryfa - zauważyła wchodząc do windy.

- Pan Cassidy polecił nam dostarczyć panią tutaj - poinformował ją policjant.

- Czy wie pan, dlaczego?

- Nie, psze pani.

Zaprowadzono ją bezpośrednio do biura Crowdera. Po wydarzeniach poprzedniego dnia nie pozostały żadne widoczne ślady. Sekretarki siedziały przy swoich biurkach, wykonując rutynową pracę. Osobista sekretarka Crowdera stała. Otworzyła przed Claire drzwi i natychmiast je za nią zamknęła, pozostawiając ją sam na sam z prokuratorem okręgowym.

Siedział za swoim potężnym czarnym biurkiem. Na jego

twarży malował się wyraz powagi, oczy zdradzały rozdrażnienie. Szorstko powiedział:

- Dzień dobry, panno Laurent.

- Dzień dobry.

- Podać pani kawę?

- Nie, dziękuję.

- Proszę usiąść. - Kiedy usiadła na wskazanym przez niego krześle, powiedział: - Chciałbym przeprosić za to, co się wydarzyło w tym biurze wczoraj po południu.

- Przynajmniej częściowo odpowiedzialność spada na mnie.

- Ale pani bezpieczeństwo było zagrożone. To niewybaczalne. Dzisiaj rano wzmocniliśmy ochronę.

- Zauważyłam. Chcę panu również podziękować za rozstawienie posterunków policyjnych przy Francuskim Jedwabiu. Chociaż moje przedsięwzięcie nie ma już przyszłości, nie chciałabym, aby zostało zniszczone przez wandali.

- To był pomysł Cassidy'ego.

- Rozumiem - powiedziała cicho. - Muszę pamiętać, żeby mu podziękować.

- Powinien zjawić się tutaj za kilka minut. Nasze spotkanie to jego inicjatywa. Zadzwoił dzisiaj do mnie, zanim jeszcze wstałem z łóżka. Nie podał nawet powodu tego spotkania. -Energicznie położył dłonie na krawędzi biurka i nachylił się w jej kierunku. - Panno Laurent, czy pani zabiła Jacksona Wilde'a? '

- Tak.

- Do tego celu użyła pani rewolweru przyjaciółki?

- Tak.

- Od kiedy Cassidy o tym wie?

Drzwi za nią otworzyły się nagle. Odwróciła się. Do biura wszedł pewnym, długim krokiem Cassidy. Włosy miał umyte i starannie uczesane. Na twarzy ani śladu zarostu. Na jego garniturze próżno by szukać zagniecenia - od dopasowanej kamizelki poczynając, a na spodniach, których nogawki sięgały do właściwego miejsca butów, kończąc. - Witaj, Tony. Claire zdziwiła się. Takiego Cassidy'ego nie знаła. To nie był ten sam Cassidy, z którym kochała się z tkliwością i werwą, który szeptał jej do ucha słowa przesycone napiętnością, podczas gdy jego ciało poruszało się w niej, który stopił się z nią psychicznie i zmysłowo jak nikt dotąd. Ten Cassidy był dla niej kimś obcym. - Witaj, Claire.

Jednak głos był dokładnie ten sam. Jego sylwetka i rysy twarzy były jej drogie; kochała go. Zmylił ją dobrze skrojony garnitur. Ten biurowy uniform sprawił, że Cassidy stał się jej przeciwnikiem z chwilą, gdy minął drzwi biura. - Witaj - odpowiedziała lekko ochryłym głosem.

- Czy mógłbym dostać filiżankę kawy, zanim zaczniemy?
- Zapomnij o kawie - odrzekł gniewnie Crowder. - O co chodzi? Czy ze względów kurtuazyjnych nie powinniśmy zaprosić Glenna?
- Jest zajęty czymś innym. Później do tego wrócę. - Cassidy nie tracił czasu, od razu przeszedł do rzeczy. - Przyznania się Claire nie należy traktować poważnie. Nie ona zabiła Jacksona Wilde'a.
- Na miłość boską! - wybuchnął Crowder. - Zanim cię tutaj przywiało, siedziała u mnie jakieś trzydzieści sekund i nie dalej jak przed chwilą potwierdziła, że go zabiła.
- Kłamie. - Cassidy zerknął na Claire, uśmiechnął się lekko. - Ma to we krwi.
- Wydaje się panować nad swoimi zmysłami. Dlaczego miałyby przyznawać się do morderstwa, którego nie popełniła? - Crowder chciał wiedzieć.
- Aby uchronić przed skazaniem kogoś innego.
- Nieprawda! - krzyknęła Claire.
- Ona mówi, że to nieprawda - zawtórował Crowder.
- Okaż trochę cierpliwości, Tony - powiedział Cassidy. - Daj mi pięć minut.
- Zaczynam odliczać.
- Wczoraj Claire odtworzyła dla mnie przebieg wypadków.
- Bez obecności adwokata? Chryste! - Crowder na moment skrył twarz w dłoniach.
- Po prostu zamknij się i słuchaj - powiedział niecierpliwie Cassidy. - Claire zrezygnowała ze swojego prawa do wezwania adwokata, ale to nie ma znaczenia. Nie zabiła Wilde'a. Nawet tam nie była.
- Masz na myśli miejsce zbrodni?
- Dokładnie. - Wyłowił coś z kieszeni na piersi i podał to Claire. - Przeczytaj ten podkreślony fragment.
- Co to jest? - zapytał Crowder.
- Nasza wersja wydarzeń przekazana prasie rano po morderstwie.

Claire przebiegła wzrokiem podkreślone zdania. - Nie rozumiem.

- Relacja jest nieścista - rzekł Cassidy. - Wymyśliłem spe-

cialnie pewien fakt, żeby wyeliminować szaleńców i chronicznych przyznawaczy, którzy niezmiennie pojawiają się po każdym sensacyjnym morderstwie.

Serce mocniej zabiło w piersi Claire. Gorączkowo starała się zdecydować, które szczegóły stanowiły pułapkę. Cassidy pochylił się nad nią i zniżył głos.

- Wczoraj w nocy powtórzyłaś to niemal dosłownie, Claire. Poznałaś fakty z gazety, a nie z autopsji.

- Byłam tam. Ja go zabiłam.

- Wobec tego wskaż niezgodność.

- Ja...

- Nie potrafisz, prawda?

- Nie potrafię, zgoda. Po prostu nie pamiętam wszystkich szczegółów.

- Wczoraj je pamiętałaś.

- Wprawiasz mnie w zakłopotanie.

- I mnie wprawiasz w zakłopotanie, Cassidy - powiedział Crowder. - Jeżeli ona mówi, że to zrobiła, zrobiła to.

- Zależy ci tylko na zakończeniu tej sprawy! - wykrzyknął Cassidy.

- A tobie na tym, żeby nadal sypiać z panną Laurent.

- Do diabła z tobą, Tony!

- Więc zaprzecz temu!

- Nie mogę. I nawet nie chcę. Mniej ważne jest, czy z nią sypiam; o wiele ważniejsze - czy pragniesz skazania kobiety na dożywocie za coś, czego nie zrobiła. To na jakiś czas uciszyło Crowdera, chociaż najwyraźniej gniew go jeszcze nie opuścił. Cassidy przyklęknął przed Claire i chwycił ją za rękę.

- Claire, powiedziałaś wczoraj, że stojąc przy łóżku Wilde'a dostrzegłaś zegarek marki „Rolex”, który leżał na nocnym stoliku, a ściślej - na Biblii.

- Poczekaj! To nie był rolex. To był jakiś drogi zegarek, lecz niekoniecznie rolex. Nigdy nie przykładalam nadmiernej wagi do marek, więc kiedy powiedziałam „Rolex”, miałam na myśli pojęcie gatunkowe. Zapewne zasugerowałam się relacją prasową i dlatego utkwiała mi w pamięci nazwa marki.

- Zatem teraz twierdzisz, że na Biblii nie leżał rolex? - W każdym razie leżał tam zegarek.

Powoli twarz Cassidy'ego rozjaśniła się uśmiechem.

- W porządku, to był rolex. Lecz nie było Biblii. Claire cicho westchnęła. Crowder odchrząknął.

Cassidy przysunął się do niej bliżej.

- Claire, ty nie zabiłaś Jacksona Wilde'a, prawda? Przed wczorajszym dniem miałaś przecież mnóstwo okazji, żeby się przyznać.

- Ale nigdy temu nie zaprzeczyłam. Przypomnij sobie. Ciągłe mnie oskarżałeś, a ja ani razu nie zaprzeczyłam.

- Zasadniczo tak. Odnoszę jednak wrażenie, że przyznałaś się, aby ochronić kogoś innego.

- Nie - powiedziała, potrząsając głową. - Ja go zabiłam.

- Zaufaj mi. Choć ten jedyny raz, do jasnej cholery, zaufaj mi i powiedz prawdę.

Usiłowała myśleć o szczerości w jego głosie, o jego błagalnym spojrzeniu, lecz to, co sobą reprezentował, przysłaniało wszystko inne. Przypominał jej o pracownikach opieki społecznej, którzy też twierdzili, że chcą jedynie dobra dla małej Claire Louise. Mówili o zaufaniu nawet wtedy, kiedy zapłakaną wywlekali z domu ciotki Laurel.

- Claire, kochasz mnie?

Łzy popłynęły z jej oczu, potoczyły się po policzkach, ale mimo wszystko milczała, nie chcąc wpaść w sidła prawdy.

- Nie możesz kochać mnie nie mając do mnie zaufania. Wiesz, wczoraj miałaś rację. Nie mógłbym kochać się z tobą wiedząc, że zabiłaś człowieka. Jestem przekonany, że nie zrobiłaś tego. Przysięgam, że jeśli powiesz prawdę, wszystko skończy się dobrze.

Słowa więzły jej w gardle. Jednak bała się. Powierzając mu prawdę, powierzy mu swoje życie. A co ważniejsze, powierzy mu życie osoby, którą kochała nie mniej niż jego. Zresztą oboje byli ważniejsi niż jakaś tam prawda, czyż nie? Ludzie są warci więcej od idei.

- Claire! - Ścisnął jej palce, aż poczuła ból. - Zaufaj mi - szepnął. - Zaufaj. Czy zabiłaś Jacksona Wilde'a?

Stała nad krawędzią przepaści, a on nalegał, by skoczyła w nieznane. Jeżeli go kochała, musiała uwierzyć, że jej lądowanie będzie łagodne i bezpieczne.

A patrząc na niego, nie miała wątpliwości, że go kocha.

- Nie, Cassidy - powiedziała. - Nie zabiłam.

Odetchnął z ulgą. Przez długą chwilę milczał pozostając bez ruchu. W końcu Crowder zapytał:

- Dlaczego przyznała się pani do zbrodni, której pani nie popełniła, panno Laurent?

Cassidy podniósł głowę.

- Starła się ochronić swoją matkę.
 - Nie! - Pełen niedowierzania wzrok Claire podążył za nim, gdy wstawał. - Powiedziałaś...
 - Wszystko będzie dobrze, Claire - powiedział, dotykając jej policzka. - Ale muszę powtórzyć Tony'emu wszystko, co powiedziałaś mi wczoraj.
- Zawahała się, potem skinęła głową. Cassidy odwrócił się do Crowdera i bez wstępów oświadczył:
- Jackson Wilde był ojcem Claire.
- Crowder słuchał w skupieniu, podczas gdy Cassidy relacjonował mu historię uwiedzenia i porzucenia Mary Catherine przez ulicznego kaznodzieję Jacka Collinsa.
- W miarę postępów w śledztwie Claire zaczęła nabierać przekonania, że Mary Catherine rozpoznała Wilde'a i postanowiła go zabić. Jej podejrzania wzmocniły się, kiedy wyszło na jaw, że narzędziem zbrodni był rewolwer Yasmine. Mary Catherine miała do niego dostęp. A w dodatku często „pożyczała” sobie cudze rzeczy, które następnie odkładała na miejsce. Opowiedział Crowderowi o incydencie z wiecznym piórem.
- Wczoraj Claire przestraszyła się, że przypomnę sobie o tym i złożę wszystko do kupy, tak jak ona to zrobiła, więc czym prędzej przyznała się, by mnie zmylić.
- Crowder westchnął głęboko i wyprostował się w krześle. Zmarszczywszy czoło, niemal z przerażeniem spojrzął na Claire.
- Czy potwierdza pani przypuszczenie Cassidy'ego? Zerknęła na Cassidy'ego, który energicznie skinął głową. Tym razem o wiele łatwiej było mu zaufać. Sięgnęła po jego dłoń.
 - Tak, panie prokuratorze. - Krótco po śmierci Wilde'a Yasmine wspomniała mi, że w jakiś tajemniczy sposób jej rewolwer odnalazł się. Wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że mama mogła go wziąć, użyć i odłożyć na miejsce. Tamtej nocy była w hotelu „Fairmont”, a potem okazała więcej niż przelotne zainteresowanie kaznodzieją i sprawą jego zamordowania.
 - Lecz nie powiedziała pani o tym Cassidy'emu.
 - Nie. Ale za każdym razem, kiedy Ariel wspominała o mojej matce, wpadałam w panikę. Obawiałam się, że ktoś, w szczególności pan Cassidy, odkryje prawdę, że wyda się, iż Jackson Wilde był ukochanym mamy. Myślałam o podjęciu działań prawnych, by uciszyć panią Wilde, jednak idąc za radą mojego adwokata, zrezygnowałam z wniesienia powództwa. Nie chcia-

łam wzbudzać nadmierne zainteresowania dziennikarzy i opinii publicznej. Byłam zdecydowana osłaniać moją matkę bez względu na konsekwencje. Ona nie zagraża reszcie społeczeństwa, a dokonanie przez nią aktu zemsty całkowicie rozumiem i usprawiedliwiam.

- Założyła pani, że Cassidy podda się, potem zamknie śledztwo, a cała ta sprawa pozostanie nie rozwiązana.

- Taką miałam nadzieję.

- Co by się stało, gdybyśmy oskarżyli kogoś innego?

- To nie stałoby się nigdy. Nie mieliście żadnego dowodu.

- Jak widzę, przemyślała pani wszystko - powiedział, patrząc na nią z podziwem.

- Wszystko z wyjątkiem jednego. Nie przypuszczałam, że z broni Yasmine padnie kolejny strzał. - Opuściła wzrok, lekko dotknęła bransoletki. - Kiedy Cassidy powiedział mi, że z tej samej broni zginął Wilde, przyznałam się, żeby podejrzenie nie padło na mamę.

Rzuciła Crowderowi badawcze spojrzenie.

- Nie można jej uważać za poczytalną. Ona nie jest nawet w stanie uświadomić sobie, że zrobiła coś złego. Postąpiła jak dziecko, które zabiło skorpiona, bo ukłuł je sprawiając ogromny ból. Ona teraz nawet nie pamięta...

- Claire, nie musisz się wcale martwić o Mary Catherine - powiedział Cassidy. - Nie ona zabiła Wilde'a.

- Skąd wiesz? - spytał Crowder.

- Wiem. Zabił go kongresman Alister Petrie.

Rozdział XXXIII

- To staje się absurdalne.

Belle Petrie właśnie zaścielała łóżko. Odwróciła się i posłała mężowi pytające spojrzenie.

- Co staje się absurdalne, kochanie?

Alistera ogarnęła niemal przemożna ochota nasikania na dywan, wyrzucenia z etażerki wszystkich kryształów na podłogę albo też zaciśnięcia palców wokół szyi Belle i wyduszenia z niej życia. Zaprażył natychmiast zrobić coś, co zniszczyłoby zimną pogardę, z jaką go traktowała.

- Zaczyna mnie męczyć sypianie w pokoju gościnnym, Belle - powiedział na próbę. - Jak długo jeszcze mam być skazany na małżeńską Syberię? Chyba już odpokutowałem za wszystko, więc kiedy wreszcie pozwolisz mi spać w moim własnym łóżku?

- Mów ciszej. Dzieci cię usłyszą.

Podszedł do niej, gwałtownym ruchem wyrwał jej z rąk dekoracyjną poduszkę i pochwycił ją mocno za ramiona.

- Przepraszałem już z tysiąc razy. Czego więcej oczekujesz?

- Racz odsunąć się ode mnie. - Te słowa były bezbarwne i ostre jak sople lodu. Arktycznie chłodny wyraz jej oczu miał opanować napad złego humoru Alistera. Posłusznie uwolnił ją i cofnął się.

- Przykro mi Belle. Ostatni miesiąc był dla mnie koszmarem na jawie. Upiornym koszmarem.

- Oczywiście. Wyobrażam sobie, że zastrzelenie się twojej kochanki na oczach naszego dziecka jednak mogło wyrzucić na tobie wrażenie.

- Chryste! Nie ustąpisz mi nawet na krok, prawda? Ustawicznie przeproszał za swój romans i jego okropny epilog. Jak do tej pory przeprosiny były bezskuteczne. Małżeńska harmonia, odbudowana, gdy zerwał z Yasmine, po jej sensacyjnym samobójstwie znowu stała się przeszłością. Kiedy zaś okazało się, że z jej rewolweru zastrzelono Wilde'a, Petrie wpadł w panikę i zdał się na litość Belle, prosząc ją o pomoc.

- Zrobiłem wszystko, co mi kazałaś, Belle - powiedział teraz.

Przyznałem się do romansu przed Crowderem i tym typkiem Cassidym. - Oczy Alistera rozblęły się gniewem. - Już ja się postaram, żeby nigdy nie został prokuratorem okręgowym. Plugawy sukinsyn. Gdybyś tylko słyszała, w jaki sposób ze mną rozmawiał. A w dodatku rzucił się na mnie! Belle nie okazała mi współczucia.

- W porządku, sam jestem sobie winien. Ale musieliśmy powstrzymać śledztwo Cassidy'ego, zanim mój romans z Yasmine stałby się sprawą publiczną. W tym celu odwołałem się do względów, które mam u Crowdera. Nie było mi miło obnażać się przed nimi, ale zrobiłem to, ponieważ taka była twoja rada. Crowder polecił Cassidy'emu zmienić natychmiast kierunek śledztwa. Za dzień lub dwa nikt już nie będzie pamiętał samobójstwa Yasmine, ponieważ uwaga wszystkich będzie skierowana na przyznanie się do zabójstwa przez tę lalę, Claire Laurent. Czy teraz możemy porzucić ten temat raz na zawsze? Czy mogę wrócić dzisiaj do mojego łóżka?

- Nie powiedziałaś mi nigdy, że ona była czarna.

- Kto?

- Że twoja kochanka była czarna. - Palce Belle zacisnęły się w pięści. Jej nozdrza poruszały się, wyrażając niesmak.

- Poniżyłeś nas oboje znajdując przyjemność poza tym łóżkiem. Kiedy pomyślę, że ojciec moich dzieci sypiał z...

Całowałaś ją? O Boże! - Wierzchem dłoni otarła usta. - Na samą myśl robi mi się niedobrze. Nie mogę na ciebie patrzeć. Właśnie dlatego nie chcę cię w moim łóżku.

Alistar nie lubił być łajany jak dwunastolatek przyłapany na samogwałcie. Dostatecznie ponizenia spotkało go wczoraj w biurze prokuratora okręgowego.

- Gdybyś miała chociaż połowę miłosnych umiejętności Yasmine, nie szukałbym kochanki. Ani czarnej, ani białej, ani w innym kolorze.

Belle przeszła go wzrokiem. Nie podniosła głosu, ale jej łagodny sposób mówienia był bardziej zjadliwy od krzyku.

- Uważaj, Alistar. Popełniłeś całą serię monumentalnych głupstw. Sam wiesz, że prawdopodobnie ugrzązłbyś w błocie tak głęboko, że już byś się nie wygrzebał. Tylko mnie zawdzięczasz, że wyszedłeś z tego wszystkiego bez szwanku. - Odwróciła się, by wyjąć coś z szuflady nocnej szafki. - Jestem ciekawa twoich kolejnych przestępstw, które jeszcze nie wyszły na światło dzienne. - Pomachała małym przedmiotem. - Chyba domyślasz się, że wiem o twojej rozmowie z wielbnym Wilde'em w dniu jego śmierci. Wbrew pozorom nie byliście na przyjacielskiej

stopie, kiedy tamtego wieczoru wszedłeś do niego na podium. -Podniosła przedmiot i przyglądając mu się w zamyśleniu ciągnęła: - Skoro ja odkryłam, że masz kochankę, być może wielebny odkrył to również. Nie okazałeś się dostatecznie sprytny, żeby wynająć kogoś dyskretnego do wykonania brudnej roboty za ciebie. Zapewne byłeś na tyle głupi, żeby wziąć sprawy we własne ręce, spróbować rozwiązać problem samodzielnie, bez pomocy, której, jak oboje wiemy, zawsze potrzebujesz.

Alister obserwował, jak Belle odkłada do szuflady reklamowy kartonik z zapalnikami, na którym był umieszczony firmowy znak hotelu „Fairmont”.

- Chciałabym się mylić, ale podejrzewam, że chętnie przyznałeś się do romansu z Yasmine jedynie po to, by ukryć o wiele straszniejszy czyn. Zatem przyjmij do wiadomości moje ostrzeżenie. Mam dość ukrywania twoich błędów, Alister. Jeżeli Cassidy zapyta mnie o tamtą noc, będę zmuszona powiedzieć mu, że dzwoniłam do twojego pokoju w „Doubletree” kilka razy i nikt nie podniósł słuchawki. Dla własnego dobra i dobra moich dzieci być może pokażę mu te zapalniki. - Wymierzyła w niego palcem. - Ostrzegam cię uczciwie. Jeśli jeszcze choć raz zrobisz głupstwo, rozwiodę się z tobą, pozbawię cię godności i majątku. Kiedy już moja rodzina i ja skończymy z tobą, będziesz miał szczęście, gdy trafi ci się posada czyściciela dołów kloacalnych. Obecnie przechodzisz okres próbny, kochanie - powiedziała z przesłodzonym sarkazmem w głosie. - Na zewnątrz będziesz wzorowym przykładem człowieka uczciwego, sprawiedliwego, jednym słowem - ideałem przeciętnego Amerykanina. Będiesz oddanym małżonkiem, pełnym poświęcenia ojcem, niezawodną ostoją cnót i prawości. Po jakimś czasie może odzyskasz swoje miejsce w moim łóżku. Dopóki nie uznam, że na to zasłużyłeś, wstrzymaj się z prośbami. Na razie nie mogę znieść myśli, że mnie dotykasz. Czy wyrażam się jasno?

- Całkowicie - odrzekł nonszalancko. - Nie doszukałem się żadnej dwuznaczności.

Wyszedł z pokoju, zatrząskując za sobą drzwi. Któż tęskniłby za sterylnym łóżkiem - zapytał siebie, wróciwszy do pokoju gościnnego, by skończyć się ubierać. Belle była tak sucha i sztywna, że zamiast niej z równą przyjemnością mógłby pieprzyć kolbę kukurydzy.

Z upodobaniem rozbudzał w sobie gniew. Dzięki temu tłumił obawy, które zdradziecko gromadziły się w odległych zakątkach jego świadomości czekając na okazję, aby w którymś momencie wypłynąć na wierzch i zapanować nad nim.

Ani przez chwilę nie wątpił w realność pogroźek Belle. Nie kwestionował tego, że zdolna byłaby go zrujnować, gdyby tylko zechciała.

Odpowiadała jej rola żony kongresmana. Budowała jej prestiż. Lecz, do diabła, czyż ze swoją fortuną nie mogła według własnego życzenia kupić sobie gubernatora albo sędziego? Ależ tak. Innymi słowy, Alistera Petriego mógł zastąpić ktoś inny. Co się stanie, jeżeli Cassidy nie nabierze się na jego historyjkę? Co się stanie, jeżeli zechce przesłuchać Belle?

Na myśl o takiej możliwości ugięły się pod nim kolana. Pokuśtykał do łóżka, usiadł na jego krawędzi i skrył twarz w dłoniach. Belle trzymała go krótko przy karku i dobrze o tym wiedziała. Suka.

Co mógł na to poradzić?

Na razie nic. Należało czekać. Belle była po jego stronie, ale na jak długo? Zapewne dopóki jego pozycja nie zostanie zagrożona. Niech Bóg broni, żeby ta chwila kiedykolwiek nadeszła.

Cała nadzieja w tym, że przyznanie się Claire Laurent do morderstwa zostanie uznane za wiarygodne.

Szokujące oświadczenie Cassidy'ego poderwało Crowdera na nogi.

- Człowieku, nie odpierdoliło ci przypadkiem? Proszę mi wybaczyć, panno Laurent.

Claire nie zwróciła uwagi na jego wulgarny język. Przeżywała szok połączony z głęboką ulgą. Więc jej matka nie zrobiła nic złego! Ale czy to możliwe, by Alister Petrie...?

- Wiem, że to brzmi jak oświadczenie szaleńca - powiedział Cassidy - ale kiedy opowiem ci o wszystkich faktach, sam nabierzesz przekonania o winie kongresmana.

- Już raz z nim zadarłeś - rzekł Crowder. - Pozwól, że udzielę ci rady - nie zadzieraj z nim więcej. Facet może cię zniszczyć.

- Prowadzisz sprawę za mnie, Tony?

- Jego siłą są pieniądze, duże pieniądze. Cassidy uniósł obie dłonie.

- Pieniądze należą do jego żony. Korzystał z nich, żeby zapłacić Wilde'owi.

Crowder poprawił się w krześle.

- Zapłacić Wilde'owi? Czyżby Wilde go szantażował?

- Zerknij na to. - Cassidy podał Crowderowi listę wspierających Wilde'a finansowo. - Glenn wręczył mi to wczoraj, zanim

jeszcze rozpętało się tu piekło. Przyjrzałem się temu dopiero dzisiaj rano i zrozumiałem, że moje przypuszczenia potwierdzają się.

- Co chcesz tym dowieść? - zapytał Crowder, potrząsając kartkami papieru.

- Posłuchaj mnie uważnie, Tony. Glenn wyłowił szczególnie szczodrych „ofiarodawców”. Wśród nich są osoby prywatne i spółki. W kilku przypadkach udało się potwierdzić, że pieniędzmi tymi płacono za milczenie.

- Joshua powiedział mi, że jego ojciec przyjmował łapówki w zamian za „rozgrzeszenie” - wtrąciła Claire.

- Mnie powiedział to samo - dodał Cassidy. - Spójrz, Block Bag i Box Company należą do rodziny żony naszego kongresmana. Zaraz po ślubie został prezydentem korporacji, dzięki czemu bez kiwnięcia palcem w bucie otrzymuje co miesiąc niezwykle przyzwoitą sumkę. Prócz tego ma dostęp do ksiąg handlowych i prawo do podpisywania czeków. - Pokazał palcem na komputerowe wydruki. - Po jakiego diabła Block Bag i Box Company miałyby przekazywać ponad sto tysięcy dolarów na rzecz jakiegoś tam telewizyjnego kaznodziei? Zaczęło się od czeku na pięć tysięcy dolarów, datowanego prawie rok temu. Na kolejnych czekach suma ustawicznie wzrastała.

- Przecież nie tylko on miał dostęp do ksiąg.

- Zawsze mógł powiedzieć, że te wpłaty należy traktować jako konieczne ze względów podatkowych. Kto sprzeciwił się zięciowi właścicieli?

Crowder przygryzł dolną wargę.

- Czym Wilde go szantażował? O ile wiem, włązili sobie wzajemnie w tyłki.

- Pozornie. Korzystali na tym obaj. W każdym razie uważam, że Wilde wiedział o romansie Alistera Petriego z Yas-mine i zagroził ujawnieniem tego romansu.

Claire powiedziała:

- Yasmine wspominała kilkakrotnie, że Petrie w istocie nie znosił Jacksona Wilde'a. Chodziło mu jedynie o zdobycie większej ilości głosów.

- Petrie miał dostęp do broni Yasmine, Tony. Bez problemu pożyczyl sobie, a następnie zwrócił rewolwer podczas kolejnych randek.

- W jaki sposób dostał się do apartamentu Wilde'a?

- Przypuszczalnie Wilde oczekiwał wizyty Petriego. Być może chodziło o kolejną „ofiara” - powiedział Cassidy zjadli-

wie. - Nie miał żadnych zahamowań przed przyjęciem Petriego w swoim pokoju mimo późnej pory.

- Nagi? - zapytała Claire.
- Znalazłem w prasie wzmiankę, że tamtego popołudnia obaj panowie ćwiczyli wspólnie w lokalnym klubie rekreacyjnym. Wilde zapewne nie był skrepowany własną nagością. - Cassidy odwrócił się do Crowdera. - Wczoraj podszedłem do tego okna
- powiedział, wskazując palcem. - Przyglądałem się, jak Petrie wychodził z budynku. Wraz ze swoją świtą wsiadł do białego mikrobusu z niebieskim wnętrzem. To był chrysler, Tony.

Umysł Claire pracował szybciej niż umysł Crowdera.

- Wykładzina w tym mikrobusie jest podobna albo nawet taka sama jak w moim samochodzie.
- Najprawdopodobniej. Petrie korzystał z tego mikrobusu w dzień śmierci Wilde'a. On przeniósł włókna wykładziny do hotelowej sypialni. W najbliższym czasie sprawdzimy to dokładnie.

Crowder zaczął uderzać opuszkami palców o blat biurka.

- Jest tego trochę, ale wciąż za mało. Masz coś więcej?
- Przebiegłość kongresmana. Urządził wszystko tak, aby wyglądało, że to kobieta zastrzeliła Wilde'a.
- Ta sztuczka mu się udała. Już pierwszego dnia poszedłeś niewłaściwym tropem.
- Zgadza się - przyznał ponuro Cassidy. - Petrie prawdopodobnie założył, że Ariel stanie się naszą główną podejrzaną. Zdążył zorientować się, że małżeństwo Wilde'ów dalekie było od ideału. Być może wiedział o romansie Ariel i Josha. - Dlaczego przyszedł wczoraj do nas?
- Zadbał o swoją dupę. Nasze dochodzenie doprowadziłoby w końcu do ujawnienia bliskiego związku jego z Yasmine. Przyznał się do jednego grzechu, by ukryć inny.
- Ale on ma alibi. Widziano go tamtej nocy w „Doubletree”
- przypomniał mu Crowder.
- Był tam. Wpisał się do książki meldunkowej. Lecz większą część nocy spędził w hotelu „Fairmont”.

Crowder uparcie potrząsnął głową.

- To są ciągle jedynie poszlaki, Cassidy. Obrońca - a stać go na wynajęcie najlepszego - zrobi z ciebie pośmiewisko, jeśli nie udowodnisz, że Petrie rzeczywiście przebywał w tym hotelu. - Mogę to udowodnić.
- Możesz?
- Mam naocznego świadka. Crowder uniósł brwi.

- Kogo?
- André Philipiego.
- André? - Claire otworzyła usta ze zdumienia. Cassidy skinął głową.
- Kilkakrotnie w ciągu ostatniej nocy próbował skontaktować się ze mną. Kiedy mu się nie udało, ustąpił i zgłosił się do Glenna, który od tamtej pory nie stracił go z pola widzenia. Skoro tylko otrzymałem wiadomość dzisiaj rano, dołączyłem do nich. André zawsze kierował się pewną żelazną zasadą. Bezwzględnie chronił prywatność swoich gości. To była sprawa jego honoru. Pamiętasz, Tony, jak krył tajemnicę Claire, dopóki sami go na tym nie przyłapaliśmy? Także sekret kon-gresmana zachował dla siebie. Aż do dzisiaj.
- Co skłoniło go do tego odstępstwa?
- Zdaje się, że Yasmine była drugą pasją André.
- To prawda - powiedziała Claire. Opowiedziała mężczyznom o matce André i podobieństwach między tymi dwiema kobietami. - André dorastał, boleśnie odczuwając dystans między matką a ojcem, chociaż ten ostatni wspierał ją finansowo. - Kilka dni przed samobójstwem Yasmine zadzwonił do mnie. Okropnie niepokoił się o nią. Zapewne przeczuwał coś złego pamiętając o tragedii własnej matki.
- Cassidy wdał się w bliższe wyjaśnienia.
- Wiedział, że Yasmine zabiła się z powodu Petriego. A ponieważ Petrie pozwolił swobodnie krążyć złośliwym i nieprawdopodobnym kłamstwom na jej temat, André przestał czuć się w stosunku do niego zobowiązany. Przysięga na grób swojej matki, że Petrie i Yasmine spędzili noc w jego hotelu, a ściślej - czas między dwudziestą trzecią i siódmą następnego dnia. Nieco później Ariel odkryła ciało męża. André osobiście sprowadził dla Yasmine taksówkę, którą pojechała na lotnisko, by spotkać się z Claire. Założę się, że nikt w „Doubletree” nie potwierdzi pod przysięgą, iż widział tam Petriego między jedenastą w nocy a siódmą rano.
- Dlaczego przysięgli mieliby uwierzyć temu, jak mu tam, André?
- Uwierzą mu - z przekonaniem powiedział Cassidy. - Uwierzą też Belle.
- Jego żonie?! - wykrzyknął Crowder.
- Tak. Nie zdziwiłbym się, gdyby już sama odkryła mordercę. Do tej pory robiła dobrą minę do złej gry, ale nie myślę, żeby zdecydowała się iść na całość.
- Też tak uważam - odezwała się Claire. - Ponad rok temu

zetknęłam się z nią osobiście. Wywarła na mnie wrażenie kobiety, która dba o własną skórę. Crowder przygryzł dolną wargę.

- Petrie może odbić piłeczkę i oświadczyć, że Yasmine zabiła Wilde'a: miała motyw, do niej należał rewolwer. Równie dobrze może nawet oskarżyć pannę Laurent.

- Może - odrzekł Cassidy, uśmiechając się szeroko. - Jednakże spędził noc z kochanką w hotelu „Fairmont”. Tutaj go mamy. Jest przynajmniej winny ukrywania istotnej informacji w sprawie o morderstwo.

Cassidy pochylił się nad biurkiem Crowdera.

- Chcę dostać tego sukinsyna, Tony. Chcę przeprowadzić dokładne, ale potajemne śledztwo. Nasz ptaszek pewnie zachodzi w głowę, dlaczego Claire na siebie wzięła winę, i prawdopodobnie dojdzie albo już doszedł do słusznego wniosku, że zrobiła to, by osłonić Yasmine lub Mary Catherine. W każdym razie myśli, że morderstwo ma z głowy. A jednak nie ma.

Tony Crowder przez dłuższą chwilę przyglądał się Cassi-dy'emu, zerknął na Claire, a następnie wrócił wzrokiem do swojego zastępcy.

- Postępuj ostrożnie i zachowuj absolutną dyskrecję, ale złap sukinsyna.

Ariel odpowiedziała na pukanie Cassidy'ego z uprzejmością grzechotnika gotowego zaatakować. Zamierzała powiedzieć coś, lecz gdy zobaczyła, kto jeszcze stoi w drzwiach, słowa zgasły na jej ustach.

- Myślałam, że do tej pory już wsadzono ją za kratki.

- Poprosiłam pana Cassidy'ego, żeby zaaranżował to spotkanie - powiedziała Claire. - Możemy wejść?

Promieniując wrogością, wdowa odeszła na bok i wpuściła ich do hotelowego pokoju. Przed niespełną godziną zadzwonił Cassidy i nie wdając się w żadne wyjaśnienia poinformował, że pragnie zobaczyć się z nią i Joshem na osobności.

Josh, który do tej pory siedział z nieszczęśliwą miną na sofie, na widok gości wstał. Jego wzrok zdradzał jednocześnie zaciekawienie i niepokój.

- Słucham. - Ariel skrzyżowała ręce na piersiach. - Dzisiaj po południu jestem bardzo zajęta.

- Chodzi o kolejne demonstracje? - uprzejmym tonem zapytał Cassidy.

- Jak dotąd odnoszą skutek, nieprawdaż? Na przykład skłoniły ją do przyznania się.

- Nie zabiłam pani męża.
- Co takiego?! - Ariel odwróciła się w stronę Cassidy'ego. -Pan z nią sypia, zgadza się? Dlatego pewnie ona nadal przebywa na wolności. Niech no tylko dowie się o tym prasa. Nie będzie pan...
- Pani Wilde! - Claire nie podniosła głosu, ale stanowcza nuta w nim zawarta zmusiła Ariel do zamilknięcia. - Przyznałam się, ponieważ w ten sposób pragnęłam uchronić przed podejrzeniami moją matkę. Sądziłam, że ona zabiła pani męża.
- Dlaczego miałybyś tak myśleć? Twoja matka jest postrzelona.
Claire opanowała się z wysiłkiem.
- Moja matka boryka się z problemami emocjonalnymi, to prawda. Zrodziły się one przed ponad trzydziestu laty, kiedy mama zakochała się w młodym ulicznym kaznodziei, Jacku Collinsie, który ją uwiódł, okradł z pieniędzy i porzucił w ciąży z jego dzieckiem. Jack Collins to późniejszy Jackson Wilde. Ja jestem jego dzieckiem.
Ariel wybuchnęła ochryłym śmiechem.
- Co też, do diabła, próbujesz sugerować? Czy...
- Zamknij się, Ariel. - Ta nieoczekiwana reprimenda pochodziła od Josha, który wbił zdumiony wzrok w Claire.
- Miałem przeczucie, że jest coś... Kiedy cię zobaczyłem... Jesteś moją przyrodnią siostrą.
- Tak. Witaj, Josh. - Claire, uśmiechając się, wyciągnęła rękę. Nie zmieniając wyrazu twarzy, podał jej swoją. - Mam nadzieję, że wybaczysz mi, iż wystawiłam cię na próbę, oferując łapówkę. Nie rozczarowałeś mnie odmową.
- To wszystko jest bardzo wzruszające - zadrwiła Ariel -lecz daleko mi do uwierzenia w tę bzdurę.
- Jedno na pewno jest prawdą - powiedział Josh. - Ojciec, zanim ożenił się z moją matką, był znany jako Jack Collins. Kiedyś podsłuchałem, jak dziadek użył tego imienia i nazwiska w stosunku do niego, czym okropnie ojca rozwścieczył.
Claire lekko uściśnęła dłoń Josha, uwolniła ją, po czym odwróciła się do Ariel.
- Nie zamierzam ujawniać związku łączącego mnie z Jacksonem Wilde'em. Byłabym bardziej zawstydzona niż dumna, gdyby to wyszło na jaw, a poza tym nie chciałabym zwracać uwagi na moją matkę.
- Więc co tutaj robisz?
- Przyszłam zasugerować, żeby zapomniała pani o istnieniu Francuskiego Jedwabiu.

- A jeśli nie posłucham?

- Wtedy pokażę światu prawdziwego Jacksona Wilde'a: uwodziciela młodych dziewcząt, cudzołożnika, złodzieja, oszusta i kłamcę. Tym samym skończy się twoja kariera.

Ariel zamrugała powiekami. Przestraszyła się najwyraźniej, ale jeszcze nie była gotowa dać za wygraną.

- Nie możesz tego udowodnić.

- A ty nie możesz temu wiarygodnie zaprzeczyć. Ludzie zawsze wierzą w najgorsze. Znakomicie wykorzystywałeś tę ludzką słabość atakując mnie w środkach masowego przekazu.

Ariel otworzyła usta, ale nie wydobyła z siebie głosu.

- Mam nadzieję, że moje argumenty brzmią przekonująco - powiedziała Claire. - Będzie najkorzystniej, jeśli obie zgodnie ukęcimy łeb całej sprawie. Nie chcę niczego ze spuścizny po twoim mężu. Nawet znienawidzonego przeze mnie nazwiska. Jeżeli nie będziesz mi przeszkadzała w prowadzeniu moich interesów, ciemna strona życia Jacksona Wilde'a pozostanie tajemnicą. Jeżeli jednak nie zaprzestasz prowadzić krucjaty przeciwko mnie i mojej firmie, będę zmuszona zmienić moje obecne stanowisko. - Claire uśmiechnęła się. - Lecz wierzę, że do tego nie dojdzie. - Przeniosła wzrok na Josha. - Na razie żegnaj. Wkrótce skontaktuję się z tobą. - Odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi.

Cassidy został w tyle; by wygłosić kilka^dań na pożegnanie:

- W dalszym ciągu prowadzę śledztwo w sprawie zamordowania męża, droga pani Wilde. Natrafiłem na nowy ślad, który z pewnością zaprowadzi mnie do zabójcy. Morderca stanie przed sądem i zostanie skazany. Póki co skorzystaj z mojej rady i trzymaj się ode mnie z daleka. Lepiej zabierz swój tyłek z powrotem do Nashville i skoncentruj się na ratowaniu zagubionych dusz.

- Chciałabym pomóc Joshowi w muzycznej karierze. Znam mnóstwo ludzi w Nowym Jorku. Kilku z nich ma liczne koneksje w kręgach muzycznych. Josh powinien rozwijać swój talent, jak tego zawsze pragnął.

Claire i Cassidy siedzieli przytuleni na werandzie domu ciotki Laurel. Tego dnia późnym popołudniem do mediów dotarła wiadomość, że Claire odwołała swoje sensacyjne oświadczenie. Reporterzy z całego kraju pragnęli poznać szczegóły tego wydarzenia od niej samej i od Cassidy'ego. Zapobiegawczo Crowder polecił im „zapaść się pod ziemię, ukryć gdzieś na kilka dni, zniknąć”.

Zaplanował w najbliższym czasie zwołać konferencję prasową i ogłosić, że Claire Laurent przyznała się do popełnienia morderstwa jedynie po to, by oszczędzić sobie, swojej firmie i rodzinie dalszych kłopotów. Że zamierzała wytłumaczyć w przyszłości ten czyn natarczywością ze strony mediów, napastliwością sekty Jacksona Wilde'a i rozpaczą po stracie przyjaciółki i partnerki w interesach, Yasmine. Miał również zasugerować, że sam jest w posiadaniu dowodów wykluczających całkowicie Claire z kręgu osób podejrzanych, a jednocześnie nadających śledztwu całkowicie nowy kierunek. Jeszcze raz Crowder okazywał się przede wszystkim politykiem.

Po rozstaniu z nim Claire i Cassidy pojechali do domu Harriett York, by zobaczyć się z Mary Catherine. Starsze panie spędzały większość czasu grając w remika. Mary Catherine nie przegrała ani jednego rozdania; z dumą pokazała gościom swoją wygraną: osiemdziesiąt dwa centy.

- Harry jest wspaniałą gospodynią, ale chciałabym już wrócić do domu. Kiedy mnie stąd zabierzesz, Claire Louise?

- Pomyśl sobie, że jesteś na wakacjach, mamó. Za kilka dni będziemy znowu razem w domu. - Objęła matkę i przytuliła ją mocno.

- Zawsze byłaś cudowną córką - powiedziała Mary Catherine, gładząc policzek Claire. - Kiedy Wrócimy do domu, upiekę ci szarlotkę według najlepszego przepisu ciotki Laurel. Lubi pan szarlotkę, panie Cassidy?

- Uwielbiam.

Jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- W takim razie serdecznie pana zapraszam do nas na szarlotkę.

- Chętnie przyjdę. Dziękuję za zaproszenie.

Teraz Claire wsparła głowę na ramieniu Cassidy'ego, z zadowoleniem chłonąc panujący tu spokój.

- Czy Josha również zamierzasz adoptować? - żartobliwie zapytał Cassidy.

- Nie rozumiem.

- Masz zwyczaj adoptowania ludzi i przejmowania się ich problemami. Mary Catherine, a do pewnego stopnia także André, Yasmine.

- Yasmine nie. Ona mi bardzo pomogła.

- Na początku. Ale to ty okazałaś się silniejsza. Francuski Jedwab to twoje dzieło. Masz twórczy zmysł i umiesz efektywnie sprzedawać swoje produkty. Nazwisko Yasmine pomogło ci

wystartować, ale Francuski Jedwab był bardziej potrzebny jej niż odwrotnie.

Claire zdawała sobie sprawę, że powiedział prawdę, ale lojalność wobec przyjaciółki nie pozwoliła jej zgodzić się z nim.

- Będzie mi jej bardzo brakowało. Łapię się na tym, że usiłuję sobie przypomnieć, kiedy przyjedzie z Nowego Jorku, a dopiero później przypomina mi się, że nie stanie się to już nigdy.

Milczeli przez moment. W końcu Cassidy powiedział:

- A co będzie ze mną?

Claire podniosła głowę i spojrzała na niego zdziwionym wzrokiem.

- Co będzie z tobą?

- Czy mnie również adoptujesz?

- Nie wiem - odrzekła beztrąsko. - Po cóż mi następny adoptowany? Co ja bym z tobą robiła?

- Mogłabyś zapoznać mnie z Vieux Carre, które tak kochasz, które jak twoje serce jest częścią ciebie. Uczyć mnie francuskiego. Opowiadać o swoich planach związanych z Francuskim Jedwabem. Rozmawiać ze mną o co ciekawszych przypadkach. Wysłuchiwać moich utyskiwań, gdy chwyci mnie kolka. Chodzić na lody. Całować się w publicznych miejscach.

- Innymi słowy, być twoją towarzyszką i kochanką.

- Właśnie.

Pocałowali się. Zapadał balsamiczny zmierzch. Z oddali przypląnęło smutne zawodzenie saksofonu. Ktoś w sąsiedztwie smażył ryby. W powietrzu unosił się ostry zapach aromatycznych przypraw.

Cassidy położył dłoń na jej piersi. Całowali się coraz namiętniej. Claire otarła się kolanem o jego rozporek. W podnieceniu wyszeptał jej imię.

Kiedy odsunęli się od siebie dla złapania oddechu, Cassidy powiedział:

- Jesteś fascynującą kobietą, Claire Louise Laurent. Najbardziej intrygującą. Najbardziej tajemniczą.

- Już nie, Cassidy. - Ujęła jego twarz w dłonie. - Znasz teraz wszystkie moje sekrety. Wszystkie. Mam nadzieję, że potrafisz zrozumieć i właściwie ocenić, dlaczego tak wiele razy kłamałam. Musiałam. Musiałam, by oszczędzić mojej matce cierpień.

- Nigdy wcześniej nie znałem nikogo, kto z miłości byłby gotów poświęcić własne życie. Dopóki cię nie poznałem, ktoś taki mógł dla mnie istnieć jedynie w wyobraźni jako nieosią-

galny ideał. Powiedz mi teraz: czy tej miłości wystarczy dla mnie?

Pocałowała go delikatnie.

- Kocham cię od dnia, w którym cię poznałam, Cassidy. Bałam się ciebie i systemu, który reprezentujesz, ale kochałam cię.

- Nie mogę ci wiele ofiarować - powiedział ponurym głosem. - Mam na myśli to, że nie jestem zamożnym człowiekiem. Kocham swoją pracę. Jestem dobry w swoim zawodzie, lecz nie nadaję się na przedsiębiorcę. Dopóki będę pracował w służbie publicznej, wyłącznie stąd będą pochodziły wszystkie moje dochody. - Przyjrzał się jej badawczo, a potem szepnął: - Ale kocham cię, Claire. Naprawdę. Wyjdiesz za mnie?

- Fe, nieładnie - powiedziała wzdychając, gdy skłonił głowę do jej piersi. - Pytasz mnie, kiedy przeżywam chwilę słabości.

- Wyjdiesz za mnie?

- Tak.

Przez moment szamotali się nieporadnie z ubraniami. W końcu Claire znalazła się nad nim. Kiedy opadała, oboje wydali zgodne westchnienie rozkoszy.

Saksofonista zaczął grać następną smutną melodię. Kobięcy głos wzywał kogoś o imieniu Desiree na kolację. Nadleciała niebieska sójka. Przysiadła przy fontannie i z kałuży wypila łyk deszczowej wody. Liście splątanej glicynii, pokrywającej wiekowy mur, zaszeleściły poruszone wieczorną bryzą.

Rytmiczne skrzypienie ogrodowej huśtawki narastało, aż przy akompaniamencie błogich westchnień ucichło.